TAJEMNICE HISTORII

NAJSŁYNNIEJSZE REWOLUCJE i ZAMACHY STANU

Terror, zdrada, chwała i śmierć

Erik Durschmied

Erik Durschmied

NAJSŁYNNIEJSZE REWOLUCJE i ZAMACHY STANU

TAJEMNICE HISTORII

Demaskatorskie lub odkrywcze biografie twórców historii i interpretacje wydarzeń Paul Aron

Nierozwiązane zagadki historii

Najbardziej intrygujące tajemnice dziejów od epoki kamienia do lat 90. XX wieku Michael Baigent, Richard Leigh Inkwizycja Colin Evans

Wielkie nienawiści w historii świata John Lewis Caddis

Teraz już wiemy... Nowa historia zimnej wojny Na podstawie tajnych materiałów z archiwów

radzieckich i chińskich

Richard Holland Neron odarty z mitów

Zdumiewająca opowieść, która burzy utrwaloną przez wieki i uwiecznioną w Quo vadis legendę cezara potwora Hans-Christian Huf

Sfinks 4 Tajemnice historii od Ryszarda Lwie Serce po Casanovę Erik Durschmied Najsłynniejsze rewolucje i zamachy stanu John Kenneth Knaus Ofiary zimnej wojny

Po raz pierwszy ujawnione tajne operacje CIA w okupowanym przez Chiny Tybecie John K. Lattimer Śmiertelna choroba Hitlera

i inne tajemnice nazistowskich przywódców Relacja lekarza przy Trybunale Norymberskim Robert K. Massie Romanowowie: ostatni rozdział Witold St. Michatowski Testament barona Ungerna

Sensacyjne poszukiwanie zaginionego złotego skarbu Brian Moynahan Rasputin: święty grzesznik Margaret Truman Pierwsze Damy: kulisy Białego Domu Mark Walker

Bomba atomowa Hitlera Mit i prawda o nazistowskiej fizyce

Ben Weider, Sfen Forshufvud

Zabójstwo na Świętej Helenie

Zagadka śmierci Napoleona rozwiązana

Dmitrij Wołkogonow

Lenin Stalin (tom l 12)

Trocki

Wybór: Andriej Maylunas, Sergiej Mironenko Mikołaj II i Aleksandra: najpiękniejsze listy miłosne w przygotowaniu: Daniel Myerson Pięciu tyranów

TAJEMNICE HISTORII NAJSŁYNNIEJSZE REWOLUCJE i ZAMACHY STANU Erik Durschmied Przekład

Maciej Antosiewicz

AMBER

Tytuł oryginału WHISPER OF THE BLADE

Revolutions, Mayhem, Betrayal, Glory and Death Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK ZBIGNIEW FONIOK Redakcja stylistyczna EUGENIUSZ MELECH Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI Korekta

MAGDALENA KWIATKOWSKA MARIA RAWSKA

Ilustracja na okładce TIME LIFE

Projekt graficzny okładki MAŁGORZATA CEBO-FONIOK Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER Skład

WYDAWNICTWO AMBER

KSIĘGARNIA INTERNETOWA WYDAWNICTWA AMBER

Tu znajdziesz informacje o nowościach i wszystkich naszych książkach!

Tu kupisz wszystkie nasze książki! http://www.amber.sm.pl

Copyright © 2001 by Erik Durschmied. Ali rights reserved. For the Polish edition

Copyright O 2002 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7245-992-4

Tym, którzy w mniejszym lub większym stopniu poświęcali się dla innych O wielkich tego świata śpiewamy heroiczne pieśni, o tych, co wschodząc jak gwiazdy, spadają jak gwiazdy...

Bertold Brecht Die Balladę vom Wasserrad

Spis treści

Przedmowa 9 Prolog: Król musi umrzeć... 11

10 sierpnia 1792 rok 15 Le jour de gloire est arrivś 13 sierpnia 1809 rok 51 Mander, s "ischt Zeit!

18 listopada 1910 rok 61 Viva Mexico!

7 listopada 1917 rok 82 Wsią włast sowietam 9 stycznia 1919 rok 117 Es łebę d/e Internationale!

20 lipca 1944 rok 139 Ein Volk, ein Reich, e/n Fiihrer 15 sierpnia 1945 rok 149 Tenno Heika Banzai!

8 października 1967 rok 169 Hasta la victoria sempre!

16 stycznia 1979 rok 184 Allahu maa es sabrin! Epilog: Bardziej żywy po śmierci 217 Przypisy 221 Bibliografia 228 Indeks nazwisk 233

Przedmowa

Wiele lat temu postanowiłem zgłębić znaczenie słowa "rewolucjonista". Młody, pełen niepohamowanej ambicji, by osiągnąć wielki sukces, spotkałem się z latynoskim Robin Hoodem, Fidelem Castro, bohaterem el revolución tropical. On również był młody, trawiło go żarliwe pragnienie, by walczyć o poprawę losu swego narodu.

Pewnego wieczoru, w niedostępnych kubańskich górach, Castro spojrzał na mnie, wyjął cygaro z ust i spytał: "Powiedz mi, periodista, co myślisz o naszej revolucióńT.

"No cóż, skoro pan pyta, myślę, że życie rewolucjonisty może być bardzo niebezpieczne". Odpowiedział bez chwili wahania: "Zwyczajne życie też może być niebezpieczne. Kiedy dzieje się niesprawiedliwość, nie można po prostu siedzieć z założonymi rękami. Libertado muerte". Czy naprawdę był to jedyny wybór?

"A jeśli sprawa okaże się...". Nie wiedziałem, jak powiedzieć: przegrana. Zmierzył mnie twardym spojrzeniem.

"Jeśli dołączam do konduktu pogrzebowego, to idę całą drogę aż na cmentarz".

Comandante Fidel Castro był pierwszym rewolucjonistą, z jakim się zetknąłem. Ale nie ostatnim. Niektórych rewolucjonistów poznałem osobiście, o innych jedynie czytałem. Nigdy nie byłem sędzią, zawsze tylko widzem, śledzącym doniosłe, choć krwawe wydarzenia na scenie ludzkiej tragedii. Niech historia wyda ostateczny wyrok na gigantów rewolucji oraz ich czyny, wielkich ludzi, którzy wschodzili jak gwiazdy i spadali jak gwiazdy.

Zdarzały się przewroty, które zmieniały bieg historii i wyznaczały decydujące momenty w dziejach. Rewolucyjne kataklizmy, które wstrząsnęły światem. Po nich nasza planeta nie była już taka sama. Rojaliści i rewolucjoniści pozostawili nam pisemne 9

świadectwa, wyrażające ich poglądy polityczne. Świadkowie tych wydarzeń często przelewali na papier swoje wspomnienia, ich relacji nie da się już jednak zweryfikować. Jak w przypadku większości najważniejszych okresów historii rodzaju ludzkiego, jedynym pewnikiem są daty - wiemy ponad wszelką wątpliwość, że lud Paryża szturmował Bastylię 14 lipca 1789 roku. Ten fakt należy do historii; jeśli chodzi o resztę, możemy jedynie próbować zbliżyć się do prawdy.

Lista osób, którym winien jestem podziękowania za radę oraz informacje historyczne, jest niemal tak wielka jak zakres opisywanych wydarzeń. Jeśli chodzi o wydarzenia współczesne, niezwykle przydatna okazała się pomoc naocznych świadków, którzy podzielili się ze mną swoimi relacjami i spostrzeżeniami. W większości przypadków nie ujawniłem ich nazwisk na wyraźne życzenie samych zainteresowanych. Wielu z nich wyraża poglądy odmienne od moich, ale przyczynili się w ogromnym stopniu do pogłębienia mojej wiedzy o naszych czasach. Dziękuję im wszystkim.

Nie roszczę sobie pretensji do współzawodnictwa z ekspertami ani nie zamierzam ogłaszać rozstrzygającego werdyktu, który może wydać tylko historia. Na tych stronach znalazła

swoje odzwierciedlenie jedynie moja ciekawość, moje zdumienie, a także moja naiwność.

Poszukiwania dotyczące wydarzeń we Francji prowadziłem w obszernych archiwach Yille de Paris. Informacje na temat Andreasa Hofera i Pancho Villi zbierałem w trakcie podróży do ich rodzinnych krajów. W rozdziale o Czerwonym Październiku korzystałem z bezcennych źródeł radzieckich, w tym z udostępnionych niedawno archiwów KGB. Materiały związane z upadkiem cesarza pochodzą z Niemieckiego Instytutu Historycznego. W operację "Walkiire" była uwikłana moja rodzina. Relację o wypadkach w Tokio oparłem na wspomnieniach ocalałych świadków, a tragiczną historię Che na tym, co sam widziałem. Irańscy znajomi dostarczyli mi wielu informacji podczas moich podróży do

Iranu przed, w trakcie i po rewolucji, a dzięki ich staraniom mogły też dojść do skutku wywiady z szachem i ajatollahem Chomeinim.

Pragnę wyrazić wdzięczność za cenne rady mojemu agentowi literackiemu Luigiemu Bonomiemu, a mojemu angielskiemu wydawcy Rolandowi Phillipsowi i jego personelowi redakcyjnemu - za cierpliwość. Przy okazji chciałbym też podziękować moim wnukom, trzynastoletniemu Williamowi i pięcioletniemu Alexandrowi, bez których nieocenionej pomocy ta książka mogłaby zostać ukończona rok wcześniej.

Erik Durschmied Domaine de Yalensole, lipiec 2000 Prolog

Król musi umrzeć...

Król Francji Ludwik XVI odziedziczył nie tylko wielkie imperium, lecz także krwawą rewolucję. Kiedy spytał: "Czy rewolucja jest nieunikniona?", otrzymał jednoznaczną odpowiedź: "Sam do niej doprowadziłeś". Wielokrotnie w historii to właśnie słabość rządzących, ludzi, którym zabrakło siły woli, gdy sytuacja wymagała zdecydowanych, a nawet brutalnych działań, pozwalała zatriumfować barbarzyństwu.

"Król musi umrzeć, aby ojczyzna mogła żyć!".

Tym zdaniem Maximilien Robespierre, człowiek, który nigdy nie miewał skrupułów, przesądził o losie monarchy. Zanim francuski Konwent przeprowadził decydujące głosowanie, Yictiorien Yergniaud, przywódca frakcji żyrondystów, rzucił wyzwanie jakobinowi Robespierreowi: "Zabijcie króla, a cały świat zwróci się przeciwko wam. To doprowadzi do rozlewu krwi".

Robespierre, którego przekonania graniczyły z dogmatyzmem, odparł: "Ilu ludzi zwróci się przeciwko nam i ile będzie ofiar? Jedna? Sto? Tysiąc? Ofiary są nieuniknione. Jeśli brakuje wam odwagi, by bronić swoich przekonań, powiedzcie nam o tym teraz...".

Fala terroru zalała kraj. Bóg tak chciał, aby na początku Francja pogrążyła się w ciemnościach, a potem, trzeciego dnia, powstała z popiołów.

Geniusz, odwaga i zmysł twórczy to potężne siły. Ale wielka jest również potęga zła. Każde stulecie wydaje własny zdumiewający zestaw postaci, licznych bohaterów i łajdaków, którzy, dzięki swym wyjątkowym czynom, odciskają niezatarte piętno na historii. Niektórzy otrzymali swoje role z tytułu urodzenia, inni zjawili się nieoczekiwanie na scenie świata. Wielu porywało masy wzniosłymi hasłami, innym wystarczyło 11

do tego jedno słowo. To, co mówili, znaczyło więcej niż siła zbrojna wysyłanych przeciwko nim armii, których dowódcy często bronili straconej sprawy. Ich nieustępliwość przezwyciężała wszelkie przeszkody, zmieniali bieg historii, a głoszone przez nich idee przekształcały nie tylko naród, z którego się wywodzili, lecz wpływały także na inne części globu. Większość z nich walczyła o wolność i zwykłą godność w obliczu niszczycielskich sił. Ci ludzie przynosili obietnicę nowej ery, kruszyli tradycyjne formy społeczeństwa i ustanawiali nowe. Ich heroiczne ofiary inspirowały niezliczone rzesze do szukania lepszego życia.

Inni przynosili ze sobą ciemność, rozpacz i śmierć. Znaleźli się wśród nich tacy, którzy pragnęli unicestwić swoich wrogów klasowych nie za to, co zrobili, lecz za to, kim byli. Żyli w myśl zasady: "Historia przyzna mi rację" i posługiwali się złem jako potężnym środkiem do osiągnięcia celu, aby spełniło się jakieś biblijne proroctwo. Ich gotowość do zabijania bez litości wymagała sformułowania całkowicie nowych poglądów na temat dobra i zła. Trwało to dopóty, dopóki inni nie przeciwstawili się wreszcie terrorowi i nie zaczęli walczyć o przetrwanie ludzkiego ducha.

Determinacja tych "bohaterów" znajdowała odzwierciedlenie w ich charakterze; ratowali swoje pogrążone w ciemnościach narody i pomagali przywrócić nadzieję. Wielu z nich nie doczekało spełnienia swoich marzeń, ale ich dziedzictwo trwało z ponurą nieuchronnością sofoklesowej tragedii, z całą złożonością szekspirowskiej sztuki. Nie byli to zwykli ludzie; ich losy mogłyby posłużyć za kanwę dramatu. Stali się szlachetnymi wojownikami, kroczącymi śmiało prosto w oko cyklonu. Niekiedy mylili się, lecz często mieli rację i byli świetlanym przykładem do naśladowania. Większość nie dbała o to, kto będzie kładł wieńce na ich grobach lub opluwał ich pamięć. Nie wszyscy jednak byli też skłonnymi do poświęceń męczennikami, którzy podporządkowują swoje myśli i czyny tak wzniosłym celom jak obrona praw człowieka, walka z nadużyciami władzy, doprowadzenie narodu do wolności myślenia czy poprawa warunków bytowych społeczeństwa.

Kto wywierał większy wpływ, bohaterowie czy łajdacy? Jedni byli zależni od drugich. Zagrożenia rozniecały wolę oporu, a terror rodził nieoczekiwaną odwagę. Wszyscy oni, dobrzy i źli, wyobrażali sobie, że ich dzieła będą trwały wiecznie. Nic nie trwa tak długo. Historia jest wypełniona postaciami z heroicznej przeszłości, które naśladowały swoich poprzedników, czasem przez stulecia, tylko po to, by skończyć jako banici we własnych krajach.

Władcy i dyktatorzy przez całe lata gromadzą zapasy prochu. Ale wystarczy jeden dzień, by je podpalić. Niezadowolenie zawsze było -

i nadal jest - zjawiskiem, które można zwalczyć tylko lepszymi ideami, perswazją i usunięciem jego przyczyn. Przekleństwem "zwykłych ludzi" był brak jedności. Ludzie nie pozostawali jednak w stanie chaosu wiecznie; z rewolucji wyłaniał się nowy porządek, który pozwalał zmobilizować ogromny potencjał mas. Największym atutem powstania jest zwykle ogień w sercach mężczyzn i kobiet, a puste obietnice nie mogą go ugasić. Nawet za najmniejszą rewoltą kryje się społeczne niezadowolenie, musi też istnieć charyzmatyczny przywódca, który odznacza się odwagą i wyobraża sobie, że potrafi zmienić świat. Gromadzi wokół siebie materiał łatwopalny, a następnie wyzwala potężny strumień energii. Zaczyna się rewolucja! 12

Rewolucja rodzi się z nadziei, a jej filozofia jest zdecydowanie optymistyczna. Jednak rewolucji nie mogą dokonać poeci i marzyciele. Do natchnionej wizji politycznych entuzjastów natychmiast dołączą swoje niezadowolenie ludzie lekceważeni, uciskani, skrzywdzeni. Ci, którzy zdają się kierować powstaniami, nie potrafią przyznać, że są one spontaniczne, tak jak wszystkie prawdziwe rewolucje. Walczą o swoje prawo do odmienności, przeciwko zdradzie i kłamstwu, o coś, co nazywają "prawdą" - tylko po to, aby się przekonać, że nie istnieje nic takiego jak prawda, zgodnie z którą może funkcjonować racjonalne społeczeństwo.

Rewolucja jest zrywem, który obala istniejący porządek przy użyciu przemocy. Wprowadza rządy terroru: nie tylko krwawy dramat szafotu lub kuli, nie tylko zażartą walkę o władzę wśród strażników nowego porządku, nie tylko chaos wojny domowej, lecz także wieczną tragedię wielu zwykłych istnień ludzkich, uwikłanych w heroiczne dylematy, które zwykle nie są ich dylematami. Terror dotyka każdego ze straszliwą siłą, a podczas rządów terroru polityczna obojętność staje się niemożliwa.

Rewolucji zawsze dokonuje się w imię wolności, jest skierowana przeciwko tyranii nielicznych w imię rządów szerokich mas. Rewolucji

towarzyszą jasno sformułowane żądania likwidacji nędzy i równego podziału bogactw. Ale co naprawdę zmieniają rewolucje? Niektóre instytucje i niektóre prawa rzeczywiście ulegają przeobrażeniom. Nie wszystko jednak się zmienia, ponieważ rewolucjoniści uczą się naśladować swoich poprzedników. Człowiek po prostu nie może znieść napięcia związanego z ciągłym wysiłkiem, by żyć zgodnie ze wzniosłymi ideałami.

Rewolucje dokonują się i rozstrzygają w umysłach jednostek; ich orężem są słowa, nie miecze. Powstanie wytwarza własną energię, która z kolei narzuca mu strategię. Metoda, po którą sięgają rewolucyjni przywódcy, nigdy się nie zmienia. Jest nią zdobycie poparcia mas dla własnych celów. To koncepcja stara jak sama rewolucja. Dań ton i Robespierre posłużyli się burżuazją, aby zabić króla; Trocki i Lenin poszczuli proletariat na nieszczęsnego cara; a szach upadł, ponieważ lud Iranu wolał Allacha od Mamony.

Jest to opowieść o najsłynniejszych rewolucjach i ludziach, którzy poświęcili swoje życie jednemu, nadrzędnemu celowi. Opowieść o monarchach, urodzonych by rządzić, i o tych, którzy odebrali im to przyrodzone prawo, o słabych ludziach na tronie i o silnych ludziach, którzy nie cofnęli się przed skrajnymi środkami, aby przejąć władzę. Wszyscy byli bohaterami, a jednocześnie pariasami historii, rozdartymi pomiędzy nakazami sumienia a wiarą w ideały. Ich grzechem pierworodnym był fanatyzm, a wielu pozostawiło po sobie zniszczenie i śmierć. Jak usprawiedliwiali swoje czyny, które doprowadziły do zamętu, terroru i rozlewu krwi? Niektórzy czynili to, aby zaszczepiać nowe idee i zmieniać społeczeństwo, inni kierowali się osobistą korzyścią lub pragnieniem zemsty. Jedni, patrząc na nich z boku, nazywali to zdradą, natomiast inni wychwalali to jako heroizm, ofiarność w dążeniu do poprawy ludzkiego losu. W odróżnieniu od monarchów, którzy okazali się zbyt słabi i niezdolni do zastosowania bezwzględnych metod w momentach krytycznych, rewolucjoniści odznaczali się wyrachowaniem, wytrwałością i zuchwalstwem - pod warunkiem, że w pobliżu 13 był ktoś, kto pomagał im odsunąć na bok zasady moralne i zagłuszyć sumienie.

Udało się to tylko nielicznym. Ci, którzy odnieśli zwycięstwo, zaczęli eliminować "wrogów rewolucji", niszczyć opozycję polityczną i przekształcać ruch wolnościowy w instrument ucisku. Postępowi rewolucjoniści stali się niebawem konserwatywnymi dyktatorami. Absolutna władza dawała im złudzenie, że dysponują czymś zbliżonym do boskiej potęgi. Otaczający dyktatorów pochlebcy umacniali ich poczucie bezkarności i pozwalali im trwać w przekonaniu, że są wolni od wszelkich ograniczeń, prawnych i moralnych. Oślepieni przez reflektory na scenie publicznego uwielbienia ludzie ci zatracili resztki zdrowego rozsądku i mylili rozgłos ze sławą. Osobista władza oparta na terrorze doprowadziła większość z nich do przedwczesnej śmierci - w wyniku przemocy, którą sami wyzwolili.

Powstanie, rewolta, rewolucja: to one dały początek procesji tragicznych postaci, które z pełną świadomością zmierzały do gwałtownego końca. Ale ich duch przetrwał. Nasz dzisiejszy świat z jego porządkiem społecznym i zasadą demokracji nie miałby sensu, gdybyśmy się nie starali zrozumieć, co stało się w przeszłości. Głowa króla spadła z woli rewolucjonisty, zanim rewolucjonista sam padł ofiarą terroru, który rozpętał. Król czy buntownik, ich śmierć następowała ze zdumiewającą szybkością. Kiedy bowiem spada ostrze, spada błyskawicznie.

10 sierpnia 1792 roku Lejour de gloire est arrive Lejour de gloire est arrive.

"Oto nadszedł dzień chwały".

Marsylianka

Laudace, encore Vaudace, toujours laudace.

"Odwaga, jeszcze raz odwaga, zawsze odwaga".

Georges Jacques Danton, 1792

Dźwięk dzwonu wyrwał mieszkańców Paryża ze snu. "Allons, enfants de la patrie...".

Potem rozległ się wystrzał armatni. "Do broni obywatele!".

Był 10 sierpnia 1792 roku, niedawno minęła północ. Król spał niespokojnie po obfitym posiłku. Nagle obudziła go eksplozja. Wygramolił się z łóżka jak lunatyk -otyły mężczyzna w ciemnoczerwonym szlafroku i przekrzywionej peruce. Tłuste wargi mu drżały. Wyrwany ze snu przerażającymi hałasami, był roztrzęsiony i pełen najgorszych przeczuć.

"Ludwiku, co się dzieje?" - spytała królowa, otulając się nerwowo peniuarem. Dzwon ciągle bił. Do sypialni wszedł książę de La Rochefoucauld. Król spojrzał na niego z przestrachem. "Co to jest? Bunt?".

"Nie, Sire, to rewolucja!".

"Rządzę z tyłkiem w siodle i z pistoletem w dłoni", oświadczył pierwszy z linii Burbonów, Henryk IV, w dniu swojej koronacji w $1572 roku. Był władcą, który potrafił

wypić więcej piwa niż dziesięciu żołnierzy, który prowadził wojsko do bitwy, idąc w pierwszym szeregu, i który, kiedy nie wojował, spędzał czas z którąś ze swych 64 kochanek. Henryk IV, król Francji i Nawarry, zaliczał się niewątpliwie do najbardziej barwnych postaci w historii Europy. Nie był intelektualistą, lecz człowiekiem czynu, a jego dwór stał się czymś pośrednim pomiędzy koszarami a zamtuzem. Henryk z Na-warry był bez wątpienia najpopularniejszym z królów francuskich, kimś, kto marzył, aby każdy z jego poddanych mógł zjeść w niedzielę kurczaka na obiad.

Następnym z linii Burbonów był Ludwik XIII, który poślubił Annę Austriaczkę. Nuncjusz papieski powiedział mu, że Niebo (i katolicka

Francja) potrzebuje dziedzica, i młody król spełnił swój małżeński obowiązek. Ale kiedy przyszło do rządzenia, okazał się zbyt młody i niedoświadczony. Miał to szczęście, że spotkał Armanda de Plessis, człowieka lepiej znanego w historii jako kardynał Richelieu. Zanim Richelieu zmarł w 1642 roku, uczynił z Francji największą potęgę europejską. 14 maja 1643 roku, w dniu, kiedy 41-letni Ludwik XIII umierał, rozkazał sprowadzić do swego łoża syna. "Jak się nazywasz, mój synu?". Dziecko odpowiedziało bez wahania: "Ludwik XIV".

Najznakomitszy z francuskich władców przyjął za godło słońce i oświadczył: " Państwo to ja!" - i dodał: - "Wojna, jeśli wymaga tego konieczność, stanowi akt nie tylko dozwolony, ale wręcz zalecany królom. Wielkim błędem jest myśleć, że można osiągnąć wyższe cele łagodniejszymi środkami". Historia Francji, a zapewne i Europy, potoczyłaby się zupełnie inaczej, gdyby przyszły Ludwik XVI posłuchał rady swego znakomitego poprzednika.

Panowanie Ludwika XV to epoka wielkiego rozkwitu, lecz także poważnego kryzysu. Wystawny styl życia monarchy, jak również niefortunne wojny ogołociły skarb. Król stracił Kanadę, dolinę Ohio i Luizjanę na rzecz Brytyjczyków. Francja chyliła się ku upadkowi. Konflikt narastał od wewnątrz, podsycany przez pokolenie wielkich francuskich filozofów, których idee miały zmienić oblicze świata. Nastawieni liberalnie Wolter i Monteskiusz pragnęli, aby monarchia zaakceptowała nową formę społeczeństwa. Zgryźliwy Beaumarchais nie spodziewał się wiele po reformach społecznych. Ekstremiści, Diderot i Rousseau, głośno wyrażali wątpliwość, czy społeczeństwo znajdzie w sobie dość siły, by wymusić reformy; ci buntownicy przeciwko dogmatyzmowi i męczennicy za wolność myśli przewidywali, że zmianę narzuci przykład pochodzący z zewnątrz.

Taki przykład niebawem się znalazł. W Ameryce Północnej wybuchł konflikt pomiędzy kolonistami a koroną. Europa oczekiwała, że podobne wypadki rozegrają się niebawem po drugiej stronie Atlantyku. Jeśli obywatele Bostonu i Filadelfii uznali za

słuszne odwoływać się do zasad myślicieli francuskich, to po co czcić dalej stare monarchistyczne bóstwa? Gdy w 1774 roku Ludwik XV umierał, jego syn, otyły, 16-letni delfin, poślubił arcyksiężniczkę austriacką Marię Antoninę, kapryśną, 15-letnią, jasnowłosą dziewczynę. Odziedziczyli królestwo na krawędzi bankructwa. Stary król wygłosił na łożu śmierci złowieszczą przepowiednię: "Po mnie choćby potop".

Tłusty chłopiec i jasnowłosa dziewczyna wstąpili na tron jako król Ludwik XVI i królowa Maria Antonina. Ich życie było prawdziwie szekspirowską tragedią. Ludwik oddawał się obżarstwu i spędzał większość czasu w swoim warsztacie przylegającym

do sali audiencyjnej. Z zapałem zajmował się zegarmistrzostwem i ślusarstwem. Energiczna Maria Antonina uwielbiała tańce i gry hazardowe. Mówiła o mężu "biedny chłopiec", komentując w ten sposób jego nieszczególne osiągnięcia w łożu małżeńskim. Nie stroniła od intryg i flirtów, a jednym z jej faworytów był wysoki i tajemniczy hrabia Axel Fersen, pułkownik królewskiego regimentu szwedzkiego. Krążyły pogłoski o jej erotycznych wyczynach w czarnej atłasowej pościeli, czyniące z niej współczesną Messalinę. W tawernach pokazywano sobie nieprzyzwoite rysunki przedstawiające królową. Z powodu frywolności, ekstrawagancji i dwulicowości zyskała sobie przydomek /Autńchienne (Austriaczka) lub lautre chienne (obca suka) i była tak znienawidzona przez "swój lud", że w końcu zaprowadziło ją to na gilotynę.

Król po raz pierwszy uwikłał się w wojnę, występując przeciwko odwiecznemu wrogowi swojej ojczyzny, Anglii, kiedy udzielił poparcia zbuntowanym kolonistom w Wirginii. W 1779 roku 7500 żołnierzy francuskich pod dowództwem hrabiego de Rochambeau i 19-letniego markiza de Lafayette zmusiło generała Cornwallisa do kapitulacji pod Yorktown. Wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych była kosztownym przedsięwzięciem i pochłonęła 2 miliardy liwrów.

Jacques Necker, brzuchaty szwajcarski bankier, został mianowany generalnym kontrolerem finansów. W swoim zestawieniu finansowym dla króla Necker zwrócił pokornie uwagę, że Francja stoi w obliczu bankructwa. W kraju zaczął się kryzys, lecz dwór w żaden sposób nie ograniczył swoich niesłychanych wydatków. W tej sytuacji burżuazja wystąpiła z żądaniem poprawy istniejących przepisów podatkowych. Dwór zaczął szukać kozła ofiarnego. Zdolny Necker został zwolniony, a na jego miejsce przyszedł niekompetentny Charles Calonne, którego polityka wyrażona w stwierdzeniu, że "ten, kto pożycza, musi wydawać się bogaty", spodobała się królowi.

Jakby nie dość było problemów małżeńskich Ludwika, afera z "brylantowym naszyjnikiem" doprowadziła kraj do punktu wrzenia. Pewien jubiler pokazał królowej naszyjnik niezwykłej piękności, lecz zbyt kosztowny na jej sakiewkę. Wówczas hrabina de La Motte-Yalois wśliznęła się do łóżka kardynała Louisa de Rohan, zarozumiałego fircyka, który miał ambicję zostać drugim kardynałem Richelieu. Nakłoniła Rohana, by kupił naszyjnik i podarował go królowej, z którą, jak powiedziała łatwowiernemu kochankowi, łączy ją wielka zażyłość. Pewnej bezksiężycowej nocy zamaskowana prostytutka, uderzająco podobna do królowej, spotkała się z kardynałem w parku wersalskim i ofiarowała mu różę. Kardynał, uradowany tą wyraźną oznaką łask, zgodził się na cenę wymienioną przez jubilera, wziął od niego naszyjnik i wręczył hrabinie, która miała przekazać go swojej "serdecznej przyjaciółce" królowej i zaprotegować jej ofiarodawcę. Sprytna hrabina oddała naszyjnik mężowi, który w Londynie sprzedał brylanty. Jubiler czekał tydzień, a potem zażądał zapłaty od królowej. Król wpadł w gniew, hrabina de La Motte-Yalois została napiętnowana jako złodziejka, a kardynał de Rohan musiał opuścić Paryż. Mimo to szkody nie dało się już naprawić, a całe odium spadło na Marię Antoninę, która stała się znana jako la Reine Deflcit, czerpiąca z funduszy państwowych, kiedy lud Paryża głoduje. (Napoleon uważał aferę z naszyjnikiem Rohana za główną przyczynę rewolucji francuskiej).

Kolejnym etapem na drodze do rewolucji stał się wypadek, do którego nie przywiązywano większej wagi, ponieważ miał miejsce za granicą. Despotyzm stadhoudera Holandii, księcia orańskiego Wilhelma V, do tego stopnia oburzał kupców i bankierów, że wystąpili przeciwko niemu. W 1786 roku powrócił do władzy przy poparciu floty angielskiej. Początkowo Francja zdołała obrócić na swoją korzyść napiętą sytuację polityczną w Holandii. Markiz de Rayneval, wysłany do Niderlandów przez Ludwika, był wstrząśnięty tym, co tam zastał. "Radykalizm stronnictwa patriotycznego czyni niepokojące postępy i jeśli się go nie powstrzyma, zachodzi obawa, iż może doprowadzić do wybuchu, który będzie miał nieobliczalne konsekwencje". Brak pomocy ze strony Paryża przyczynił się do szybkiego końca powstania holenderskiego 1787 roku. W rezultacie pokonani holenderscy rewolucjoniści uciekli do Francji, przywożąc ze sobą rewolucyjne idee i radykalny zapał. Następnego roku kolejne dwa nieszczęścia spadły na królestwo: katastrofalnie niskie zbiory i najcięższa od niepamiętnych czasów zima. Francja, z kurczącymi się zapasami żywności i chwiejącą się gospodarką, wkraczała w okres nędzy i niezadowolenia. Zasadnicze pytanie brzmiało: czy Francuzi będą po stoicku znosić niedostatki, jak czynili to wielokrotnie w przeszłości, czy też wystąpią gniewnie przeciwko staremu porządkowi politycznemu. Kiedy dwór rozważał tę doniosłą kwestię, ale nie robił nic, by ulżyć cierpieniom ludu, mieszkańcy Paryża jedli koty i szczury. Tysiące ludzi zmarły podczas strasznej zimy 1788 roku. Rok 1789 rozpoczynał się pod znakiem głodu i poważnego kryzysu finansów. Katastrofalna sytuacja zmusiła króla do rozpaczliwego kroku. Na 4 maja 1789 roku zwołał posiedzenie Etats Generaux (Stanów Generalnych). W skład zgromadzenia wchodziło 270 przedstawicieli arystokracji rodowej, czyli Stanu Pierwszego, którzy z racji urodzenia nie musieli płacić podatków. Obecnych było też 291 przedstawicieli duchowieństwa, czyli Stanu Drugiego, który również korzystał ze zwolnień podatkowych. Ostatnią grupę stanowił Stan Trzeci, którego 578 deputowanych wybrano spośród wielkiej i drobnej burżuazji. Ta grupa musiała ponosić wszystkie ciężary finansowe we Francji. Kwestia "zniesienia przywilejów"

była najważniejszym punktem porządku dziennego. Przedstawiciel niższego duchowieństwa, opat Sieyes, postawił pytanie: "Czym jest Stan Trzeci? Wszystkim! Czym był dotąd na płaszczyźnie politycznej? Niczym! Czym chciałby być? Czymkolwiek!". Ławy w wielkiej sali Wersalu były zatłoczone: szlachta wystroiła się w jedwabie, choć nieco przetarte na mankietach; duchowieństwo przyobleko się w czerń upstrzoną tu i ówdzie szkarłatem lub purpurą; wśród burżuazji przeważał ubiór prosty, a nawet niechlujny. Szlachta przeżyła wstrząs, kiedy najbliższy krewny króla, książę Orleanu, i hrabia Gabriel Honore de Mirabeau zasiedli w ławach Stanu Trzeciego.

Nikt nie wykonał cięższej i bardziej niewdzięcznej pracy, by uratować monarchię przed samą sobą, niż Mirabeau. Miał imponującą osobowość, w pojedynkę ośmielił się rzucić wyzwanie królowi. Zainicjował ciąg wydarzeń, które doprowadziły do rewolucji francuskiej. Szlachta nienawidziła go, ponieważ zdradził własny stan, burżuazja nie ufała mu z powodu szlachetnego urodzenia, a król uważał Mirabeau za chien enragó (wściekłego psa). Wszyscy oceniali go źle. Mirabeau szczerze pragnął utrzymać porządek, ale nie lancien regime, stary porządek oparty na przywilejach. W głębi

serca pozostał rojalistą, lecz nie mógł pogodzić się z mysią o potakiwaniu beznadziejnie słabemu królowi. "Monarchia jest jedyną kotwicą nadziei, która może uratować ten naród przed rozbiciem się o skały - powtarzał bez przerwy. - Ale zapamiętajcie moje słowa, król i królowa przegrają, a rozwścieczony motłoch będzie walczył nad ich ciałami".

Mirabeau przeczuwał nadchodzący kataklizm. Władza nie należała już do zubożałej arystokracji; bogactwa przeszły w inne ręce i zmienił się układ sił. Złoto spoczywało pod materacami burżuazji - a liczyła ona 26 000 000 ludzi. Wielka burżuazja kontrolowała finanse państwa za pośrednictwem banków. Drobna burżuazja obsługiwała

handel oraz infrastrukturę społeczną. Perukarze i piwowarzy posyłali swoich synów do szkół w Dzielnicy Łacińskiej, by wykształcić ich na lekarzy, adwokatów i nauczycieli. Dzieci rewolucji rekrutowały się spośród basoche, prawników; ci przedstawiciele burżuazji umieli czytać i pisać, a co najważniejsze, potrafili przemawiać.

Brakowało tylko "prostego ludu". To właśnie ta klasa, pozbawiona przedstawicielstwa, podburzona przez bezwzględnych i nieprzebierających w środkach agitatorów dążących do własnych celów, dała wyraz nieprzejednanej nienawiści wobec Kościoła i szlachty, co doprowadziło do niesławnych ekscesów rewolucji.

W maju 1789 roku burżuazja była panem sytuacji. Arystokracja i duchowieństwo widziały to inaczej; jak dotąd nieustępliwość działała na ich korzyść, trwały więc niewzruszenie na dotychczasowych pozycjach. Ale nieustępliwość nie zawsze jest skuteczną metodą. 23 czerwca 1789 roku delikatna równowaga została naruszona. Członkowie Stanu Trzeciego zastali drzwi do sali obrad zamknięte. Z hrabią Mirabeau na czele przeszli do pobliskiej Jeu de Paume (Sali Gry w Piłkę), gdzie złożyli słynną Sermon de Jeu de Paume, czyli przysięgę w Sali Gry w Piłkę, oświadczając, że "nie rozejdą się, dopóki nie dadzą Francji konstytucji". Niebawem ogłosili się jedynym legalnym Konstytucyjnym Zgromadzeniem Narodowym, czyli Konstytuantął. Kiedy dowiedział się o tym król, pospiesznie wysłał mistrza ceremonii, markiza de Dreux-Breze, z rozkazem, by niekonstytucyjne zgromadzenie się rozwiązało. Hrabia Mirabeau zmierzył królewskiego wysłannika wzrokiem i wygłosił swą słynną replikę: "Powiedz tym, którzy cię przysłali, że jesteśmy tu z woli ludu i że rozejdziemy się tylko pod presją bagnetów!". Król nie studiował historii, nie wiedział więc, jak zaczynają się rewolucje, jak różne nieporozumienia mogą zagłuszyć nawoływania do umiaru i doprowadzić do wypadków, które wstrząsają podstawami państwa. Wzruszył więc jedynie ramionami: "Skoro nie chcą się rozejść, niechaj zostaną".

Jeden Mirabeau zdawał sobie sprawę, że jeśli Francja ma zostać uratowana, może to nastąpić tylko przez ustanowienie monarchii konstytucyjnej (jej upadek okazał się bez porównania bardziej dramatyczny). To, co powiedział, legło u podstaw przyszłej decyzji Konstytuanty: "Zgromadzenie Narodowe oświadcza, że osoba deputowanego jest nietykalna, a każdy, kto ośmieliłby się prześladować deputowanego, niezależnie od tego, kto wydałby taki rozkaz, będzie uważany za zdrajcę narodu i winny zbrodni stanu".

Mirabeau, największy realista w kwestii doktryny rewolucji francuskiej, zachęcał króla, aby stanął na czele przemian, a nie przeciwstawiał się im. "Sire - dowodził -sama idea monarchii nie jest sprzeczna z rewolucją. Sire, znieś przywileje, zreformuj

państwo, a Twój Majestat stanie się silniejszy niż kiedykolwiek przedtem". Historia potoczyłaby się zupełnie inaczej, gdyby Ludwik posłuchał tego mądrego proroka. Tymczasem lekkomyślnie rozkazał, aby 30 000 żołnierzy pomaszerowało na Paryż. Ten krok skłonił wstrząśniętych mieszkańców stolicy do działania. Budowano barykady, a Camille Desmoulins, zapalczywy student prawa, zachęcał obywateli, aby zabrali muszkiety i proch z Bastylii. Po kilku strzałach, które nikomu nie wyrządziły krzywdy, 32 strażników więziennych złożyło broń. Rozjuszony tłum wdarł się do twierdzy, zamordował komendanta i obnosił jego głowę na pice. Tego dnia, 14 lipca 1789 roku, na ulicach zapanowała przemoc. Reszta jest historią. Wraz z upadkiem Bastylii, symbolu ancien regime, skończył się stary porządek monarchistycznych przywilejów2. Paryż pogrążył się w anarchii: po mieście włóczyły się zbrojne bandy, szturmowały rezydencje możnych i podpalały je; plądrowano kościoły i rozbijano posągi świętych; na prowincji chłopi uzbrojeni w widły i sierpy mordowali szlachtę i palili jej zamki. Hrabia dArtois (przyszły Karol X) uciekł z

Francji, za jego przykładem poszli książęta de Barry, Angouleme, Conde, Enghien i 20 000 arystokratów.

Sześć tygodni później, 26 sierpnia 1789 roku, uchwalono Deklarację Praw Człowieka i Obywatela, wzorowaną w znacznym stopniu na Karcie Praw Wirginii. Było to wielkie osiągnięcie rewolucji. Kiedy dwa miesiące później 5000 kobiet poszło na Wersal, domagając się chleba, Maria Antonina zapytała podobno: "Dlaczego nie jedzą ciastek?". Aby uspokoić wzburzony tłum, król spełnił żądanie kobiet i zgodził się towarzyszyć im w drodze powrotnej do Paryża. Faktycznie król stał się więźniem rewolucji. Od tej pory miał tylko tyle władzy, ile zechciał mu jej przyznać lud.

W tym krytycznym momencie pojawił się na scenie politycznej człowiek, który potrafił podsycić gniew "prostego ludu". Jean-Paul Marat był z zawodu lekarzem, a w wolnych chwilach parał się dziennikarstwem. "Ten wściekły piwniczny szczur, co wyszedł na światło dzienne, kiedy przestały mu wystarczać ścieki, a następnie zaczął pożerać wszystko na swojej drodze, był typowym przedstawicielem hołoty z tawern i burdeli, która zawsze egzystowała w ukryciu, żyjąc z rabunków

1 mordów" -oto jak pewien niemiecki rewolucjonista scharakteryzował tego Przyjaciela Ludu. W pierwszym numerze swojej gazety pod tą samą nazwą Marat przypuścił gwałtowny atak na Ludwika XVI: "(...) słabeusz bez siły ducha, niegodny tego, by zasiadać na tronie, chorągiewka na dachu, manipulowana zręcznie przez dworaków, tyran popychany do zbrodni. Człowiek, którego postępowanie było zawsze zlepkiem niekonsekwencji i ohydy, despota, który obmywa ręce we krwi ludu, potwór, który spiskuje przeciwko publicznej wolności i który w oczach sprawiedliwości musi uchodzić za zbrodniarza". Takie zdania jątrzyły "prostych ludzi", robotników, którzy pracowali dla swoich panów, a nawet żyli obok nich. Miasta nie były podzielone na dzielnice bogate i biedne; ludzie wszystkich stanów mieszkali razem w takich samych domach

przy tych samych wąskich uliczkach. Całkiem inaczej, niż działo się to z proletariatem epoki przemysłowej.

2 kwietnia 1791 roku zmarł Mirabeau. Przed śmiercią powiedział: "Jeśli nie ukrócicie ekscesów, doprowadzą do tragedii, od jednego morderstwa do masakry, od upadku króla do upadku państwa". Wraz ze śmiercią Mirabeau król utracił resztki nadziei na odzyskanie tronu. Zdecydował się na ucieczkę. O północy 20 czerwca 1791 roku

mężczyzna ubrany w długą pelerynę poprowadził do powozu kobietę, trzymającą za rękę małą dziewczynkę, oraz dwie inne kobiety. Pomógł im wsiąść postawny woźnica. Mężczyzną w pelerynie był Ludwik, kobietą Maria Antonina, "dziewczynką" delfin Ludwik Karol, a woźnicą kochanek Marii Antoniny, szwedzki hrabia Fersen. Na przedmieściach Paryża czekała na nich podróżna kareta - pomalowana na kolor jasnożółty i ozdobiona królewskim herbem! Kiedy od granicy dzieliło ich kilka godzin jazdy, Fersen źle skręcił i musiał zawrócić; zapytali o drogę miejscowego chłopca, a król wsunął mu do ręki monetę, złoty louis dor Chłopiec natychmiast pobiegł zawiadomić miejscowy komitet rewolucyjny.

Na moście w Yarennes królewska ucieczka dobiegła końca. "Stać, kto jedzie?".

Królowa odparła wyniośle: "Madame Korff, w drodze do Frankfurtu".

Monsieur Sausse, mer Yarennes, oświadczył: "Ponieważ droga jest trudna, muszę was prosić, abyście wysiedli z powozu. Na tę noc ofiaruję wam gościnę w moim domu".

Grupą uzbrojonych ludzi dowodził miejscowy poczmistrz, niejaki Drouet. "Jak to się stało, że na drugim brzegu rzeki czeka na was oddział dragonów? - spytał. -Musicie natychmiast wysiąść albo zaczniemy strzelać".

Królowa wysiadła z karety, a zaraz po niej król.

"Jesteś królem! - zawołał Drouet. - Poznaję cię!".

"Skoro mnie poznajesz, to dlaczego nie okazujesz swojemu władcy należnego szacunku?".

Zamiast okazać królowi szacunek, zamknięto go w pobliskim domu.

Sausse wysłał gońców do okolicznych wiosek: "Przybywajcie z bronią, pojmaliśmy króla".

Maria Antonina próbowała ubłagać żonę mera: "Madame Sausse, tak boję się o króla i o moje dzieci. Królowa Francji będzie pani winna dozgonną wdzięczność".

"Pani myśli o królu, a ja o panu Sausse".

Rodzina królewska została odstawiona pod eskortą do Paryża. Po drodze powóz obrzucono kamieniami. Podczas niesławnego powrotu do stolicy Ludwik zobaczył swoją kukłę wiszącą na latarni. Maria Antonina zaczęła lamentować, że czeka ich śmierć. "Ucieczka prowadziła do hańby lub na szafot. Pozostało tylko jedno wyjście z sytuacji: abdykacja - napisał Lamartine. - Ale Ludwik nie abdykował. Od tej chwili stał się zdrajcą rewolucji i marionetką w rękach jej przywódców".

17 lipca 1791 roku grupa radykalnych republikanów z Maratem na czele zebrała się na Polu Marsowym3. Marat oświadczył, że króla należy usunąć, ale wybrał zły moment; Francja jeszcze nie była gotowa stać się republiką. Generał Lafayette rozkazał Gwardii Narodowej otworzyć ogień do tłumu. Zginęło 50 osób. Konstytuanta podzieliła się na dwa obozy: żyrondyści reprezentowali

bogatą burżuazję, a radykalni jakobini "prosty lud". Obie frakcje zmusiły króla do podpisania nowej konstytucji. Ludwik stał się teraz zwykłym przedstawicielem narodu - fatalny błąd, którego burżuazja

miała pożałować. Osoba króla była jedynym instrumentem konstytucyjnym, który mógł posłużyć do przeciwstawienia się ekstremistom, a teraz burżuazja otworzyła drzwi przed wściekłymi szaleńcami, zdecydowanymi grać na pierwotnych instynktach motłochu. Na scenę publiczną wkraczał nowy garnitur postaci.

21

Następny rok okazał się przełomowy. 20 kwietnia 1792 roku Francja wypowiedziała wojnę monarchii habsburskiej. W lipcu książę Brunszwicki wtargnął do Francji na czele potężnej, 75-tysięcznej armii i ogłosił, że jego zamiarem jest przywrócenie monarchii francuskiej należnej jej pozycji, co przesądziło o losie króla. Chociaż zajęło to kolejne sześć miesięcy, proces był nieodwracalny. Niejaki Georges-Jacques Danton, członek klubu jakobinów, starannie planował morderstwo. Danton, bez wątpienia najbardziej błyskotliwy spośród rewolucyjnych mówców, pochodził z małego francuskiego miasteczka. Studiował prawo i został mianowany adwokatem Rady Królewskiej. Nie brał udziału w wypadkach lipcowych 1789 roku, ale w 1791 roku rozpoczął aktywną działalność, zakładając klub kordelierów, forpocztę jakobinów. W następstwie wypadków sierpniowych 1792 roku został mianowany ministrem sprawiedliwości i powołał do życia Trybunał Rewolucyjny, krwawy sąd, który stał się instytucjonalnym narzędziem terroru. Za milczącą zgodą Dantona od wielu dni krążyły po mieście niepokojące pogłoski, że tysiące oddanych królowi żołnierzy maszerują na stolicę i że komitety dzielnicowe wydadzą wszystkim obywatelom broń do walki na śmierć i życie. "Wolność albo śmierć!" - głosiły ulotki, a dzwony 60 paryskich kościołów biły na trwogę. "Do broni, obywatele!". Na ulicach rozlegały się zapalczywe głosy, wzywające wszystkich zdrowych mężczyzn i kobiety, aby się zjednoczyli i udaremnili szatański spisek uknuty przez króla i niegodziwą królową. "Formujcie bataliony!". Przywódcy rewolucji chodzili od dzielnicy do dzielnicy, od domu do domu, nawołując do walki. "Na barykady!". W centrum miasta zaczęły gromadzić się tłumy. Ktoś zaintonował pierwszą

zwrotkę nowo skomponowanej rewolucyjnej pieśni: "Al-lons, enfants de la patrie, lejour de gloire est arrive... Naprzód, dzieci ojczyzny, oto nadszedł dzień chwały...".

Ekstremiści zdołali wreszcie wykorzystać swoje szczególne zdolności do realizacji własnych rewolucyjnych celów. Grupki radykalnych jakobinów rozbroiły już straże przed Hotel de Yille (ratuszem miejskim) i utworzyły Komunę Rewolucyjną. Ich plan przewidywał obalenie Zgromadzenia Prawodawczego i przejęcie władzy w kraju, ale najpierw należało się pozbyć konstytucyjnej przeszkody w osobie króla. Kiedy w ratuszu dokonywał się jakobiński coup detat, człowiek, który zaprzątał umysły zamachowców, spał w swoim łóżku w Tuileries, pogrążony w błogiej nieświadomości. Królowa, jej damy dworu i najlepsza przyjaciółka, księżna de Lamballe, jeszcze nie myślały o spoczynku i grały w karty. Korytarze wielkiego pałacu były ciemne i ciche. Tylko od czasu do czasu migotliwy płomień świecy zdradzał obecność kilku starych arystokratów, którzy pełnili straż przed pokojami królewskimi, uzbrojeni jedynie w paradne miecze, wysoce nieskuteczne przeciwko bagnetom i halabardom w rękach rozwścieczonego tłumu. Na zewnątrz stacjonowało 900 szwajcarskich najemników, którzy mieli bronić ogrodów Tuileries.

Kiedy rozeszła się wieść, że "coś się stanie królowi" i że nadszedł czas wyrównania rachunków, przerażeni mieszczanie zaryglowali drzwi i pozamykali okiennice. Do rana uliczki wypełniły się komunardami Marata, a tymczasem Zgromadzenie Prawodawcze obradowało w stanie najwyższego wzburzenia w Manege (akademii jeździeckiej) w pobliżu Tuileries, zespołu budynków otoczonych wysokim parkanem z kutego żelaza. Umundurowana na czerwono Gwardia Szwajcarska uformowała zwarty szereg 22

na monumentalnych schodach prowadzących do pałacu. Naprzeciw nich stanęła "czołówka rewolucji", ponad 500 marsylskich ochotników z jednym spiżowym działem. Na pomoc Szwajcarom przysłano Gwardię Narodową, która nieoczekiwanie przeszła na drugą stronę, wprowadzając dwanaście armat.

To ośmieliło tłum, który przypadł do żelaznego ogrodzenia w momencie, gdy rodzina królewska wraz ze swoim orszakiem wychodziła z pałacu. Rozległy się okrzyki "Precz z tyranem!", a w ślad za nimi poleciały kamienie. Król zachwiał się, tłum naparł na ogrodzenie, które niebawem ustąpiło, i hordy wrzeszczących, potrząsających halabardami sansculottes* wdarły się na pałacowy dziedziniec. Część Szwajcarów porzuciła króla i uciekła, by poszukać schronienia wśród przerażonych deputowanych do Zgromadzenia Prawodawczego. Król krzyknął do gwardzistów, aby bronili budynku, co doprowadziło do tragedii. Szwajcarski pułkownik Durler rozkazał swoim żołnierzom ostrzec tłum i odziani na czerwono Szwajcarzy wznieśli muszkiety. Jakaś kobieta zawołała: "Niech żyje republika!". Tłum rzucił się naprzód i schwycił pięciu szwajcarskich gwardzistów, których wyciągnięto z szeregu, rozbrojono i zarąbano na śmierć. Szwajcarscy dowódcy kompanii, de Castlebourg i Zusler, wydali komendę: "Ognia!". Setki muszkietów plunęły ołowiem prosto w zbitą ciżbę, kotłującą się kilka kroków dalej. Efekt był wstrząsający; przed frontem gwardzistów stosy ciał piętrzyły się na wysokość ramienia, a reszta komunardów uciekła w popłochu. W odpowiedzi zagrzmiały działa zbuntowanej Gwardii Narodowej, lecz artylerzyści źle wymierzyli. Nie trafili w zwartą formację szwajcarskich gwardzistów, kule armatnie ryły krwawe bruzdy w uciekającym na oślep tłumie, zwiększając ogólną panikę i zamęt. Szwajcarzy nadal prowadzili skoncentrowany ogień, a kompania hrabiego Salis wytoczyła działo i zaczęła strzelać w ślad za uciekającymi sankiulotami. Tłum znalazł się w morderczym krzyżowym ogniu; w ciągu następnych kilku minut od kul armatnich i salw z muszkietów padły setki zabitych i rannych. Dziedziniec opustoszał, a Szwajcarzy sformowali szyk bojowy, gotując się do natarcia.

W tym czasie król z rodziną znajdował się już w Manegeu, ale deputowany Chabot oświadczył nagle, że obecność królowej jest sprzeczna z konstytucją i że musi ona opuścić zgromadzenie. Rodzinę królewską zaprowadzono do sąsiedniego pokoju. W czterech ścianach małego pomieszczenia kanonada wydawała się jeszcze

bardziej przerażająca, a król drżał, ilekroć słyszał trzask muszkietów i huk armat. "Nasi poddani giną - lamentował. - Musimy to powstrzymać". Monarcha, głęboko wstrząśnięty, podjął najbardziej katastrofalną decyzję swego życia. Tak jak przewidział Mirabeau, Ludwik okazał się chwiejnym, nieudolnym władcą, który nigdy nie pojął maksymy swego sławnego przodka, Ludwika XIV: "Wojna, jeśli wymaga tego konieczność, stanowi akt nie tylko dozwolony, ale wręcz zalecany królom. Wielkim błędem jest myśleć, że można osiągnąć wzniosłe cele łagodniejszymi środkami". Niezależnie od tego, ile władzy jeszcze posiadał, utracił ją w momencie, gdy poprosił pana dHervilly, by przekazał dowódcy Gwardii Szwajcarskiej rozkaz złożenia broni. Pułkownik Durler nie chciał uwierzyć, że król mógł wydać tak niedorzeczny rozkaz. Pospieszył do Manegeu, by porozmawiać z Ludwikiem. Byli w tym samym wieku, lecz na tym 23

kończyły się podobieństwa. Arogancki sposób bycia Szwajcara i zuchwałe spojrzenie jego przenikliwych oczu przeraziły króla. "Wasza Wysokość, mamy już w ręku zwycięstwo. Motłoch ucieka. Musimy podjąć energiczny pościg!".

Ludwik siedział na krześle z absolutną pustką w głowie i zastygłą twarzą. Znów zawładnął nim strach. Zacisnął dłonie w pięści, aby opanować ich drżenie, i próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić słowa. Najwyraźniej grzmot dział wytrącił go z równowagi.

"Sire, czy mamy ścigać buntowników?", dobiegły go wypowiedziane zimnym głosem słowa.

Ludwik znalazł się w sytuacji tych, którzy nie potrafią podjąć decyzji w decydującej chwili. Powtarzał sobie, że życie na ulicach, z jego aż nazbyt dobrze widocznymi tragediami, jest bardziej rzeczywiste, bardziej ludzkie i bardziej wzniosłe niż życie, które poznał w Wersalu. Jakże patetyczny był ten szturm tysięcy zdesperowanych ludzi na Tuileries! Przed jego oczami przesuwał się Paryż, jego lud i

realność jego życia. Próbował wziąć się w karby, zebrać myśli. Sprzedałby duszę za kilka chwil spokoju.

Natarczywy głos wyrwał go z zadumy: "To kwestia minut, a może sekund. Czekam na rozkazy. Wasza Wysokość musi podjąć decyzję!".

Bieg wydarzeń wymagał, by król ujął sprawy w swoje ręce i dowiódł, że jest kimś więcej aniżeli tylko zręcznym zegarmistrzem. Jednak w tym decydującym momencie jego życia nie starczyło mu siły woli. Powiedział: "Jeśli ceną wielkości jest być zawsze podłym, to nie nadaję się do tego zadania". W tym momencie pokazał, że nie jest godny korony. Spędził większość życia śpiąc, jedząc, pijąc, wypróżniając się, wycierając nos i naprawiając zegary. Papierowy monarcha, którego dewizą nie było działanie, lecz bezczynność. Minuty mijały, a on ciągle nie wiedział, co robić.

Pułkownik Durler warknął: "Na Boga, wstań i zachowuj się jak król!".

Twarz króla była szara jak popiół. Ukrył ją w dłoniach i jęknął: "Czy wszystko musi się kończyć rozlewem krwi?". W obliczu rewolucji i śmierci król nie zdobył się na działanie. Kilkuset ludzi poniosłoby śmierć, lecz ocaliłby swoje królestwo. Zamiast tego wydał tysiące na pastwę rewolucyjnego terroru. "Naszą wolą jest, abyście złożyli broń. Nie chcemy, by dzielni ludzie ginęli".

"Wobec tego muszę nalegać, żebyś wydał rozkaz na piśmie".

I król napisał: "Rozkazujemy naszym Szwajcarom, by natychmiast złożyli broń i wycofali się do koszar. Podpisano: Ludwik".

Pułkownik wyrwał papier z drżącej ręki króla i popatrzył na niego z pogardą. "Właśnie podpisałeś wyrok śmierci na moich dzielnych Szwajcarów i na twoją monarchię".

Szwajcarzy byli znakomicie wyszkolonymi żołnierzami, toteż bez szemrania wykonali rozkaz i złożyli broń. Gdy tylko się rozbroili, żądny krwi motłoch zaczął masakrować nieszczęsnych najemników.

Ogółem 768 zaciężnych żołnierzy szwajcarskich, w tym 26 oficerów, zapłaciło życiem za słabość króla5. Kiedy wszyscy Szwajcarzy byli martwi, tłum ruszył w stronę rezydencji królewskiej, by dokończyć rzezi. Rozjuszona tłuszcza nie oszczędzała nikogo, podrzynając gardła arystokratom, ogrodnikom, lokajom i wyrzucając trupy przez okna. Jedyna kobieta, która uszła cało, pani

Campan, musiała recytować Naród na wieki. Inne damy dworu zagnano na dziedziniec, rozebrano do naga i poćwiartowano. Ich głowy zatknięto na piki i obnoszono z dumą po ulicach. Nieliczni, którym udało się uciec sekretnym przejściem, zostali otoczeni przez tłum na Rue de Echelle. Mężczyzn zarąbano lub zakłuto, a kobiety zgwałcono i brutalnie zamordowano. Na rozkaz jakobinów trupy leżały niepogrzebane przez kilka dni, aby paryżanie nauczyli się bać ekstremistów.

Kiedy wieści o masakrze dotarły do Zgromadzenia, radykalni jakobini zakrzyczeli umiarkowanych żyrondystów. Maria Antonina przycisnęła syna do piersi i wybuchnęła płaczem. Król siedział w swojej loży deputowanego, obojętnie słuchając rozgorączkowanych mówców. "To, co czynicie, nie jest zgodne z konstytucją" - powtarzał tylko. Nikt go już nie słuchał. Rewolucjoniści nie zawahali się posłużyć kłamstwem, oszustwem i terrorem, by wprawić tłum w taką furię, że sankiuloci byli gotowi biec pod ogień muszkietów, mordować znienawidzoną arystokrację i obnosić odcięte głowy na pikach. "Gdyby tamtego dnia Ludwik przyjął zdecydowaną postawę i dosiadł konia, by objąć dowództwo w Tuileries, z pewnością odniósłby zwycięstwo" - powiedział później Napoleon. 21 września 1792 roku Ludwik XVI stał się pierwszym królem Francji obalonym przez własnych poddanych. Nowo wybrany Konwent Narodowy, trzeci parlament rewolucyjny, zniósł monarchię i ustanowił Pierwszą Republikę, której motto brzmiało: Liberie, Egalite, Fraternite - Wolność, Równość, Braterstwo. Kilka tygodni później rodzina królewska została osadzona w ponurym więzieniu Tempie,

czworokątnej wieży, wybudowanej 500 lat wcześniej przez templariuszy. Powitał ją tam Antoine Simon, szewc z zawodu i rewolucjonista z powołania, który zapędził więźniów do "królewskiej kwatery" z jednym brudnym, zapluskwionym łóżkiem. Maria Antonina oddała łóżko synowi - dziedzicowi tronu, który już nie istniał -a sama położyła się na podłodze. Warunki poprawiły się nieco, kiedy rodzinie królewskiej pozwolono kupić kilka podstawowych mebli. Raz dziennie wolno im było wychodzić na spacer do niewielkiego ogrodu, gdzie strażnicy skwapliwie korzystali z okazji, by rozprawiać głośno o ich losie. W taki właśnie sposób król dowiedział się, że jeden z jego lojalnych stronników, wydawca "Gazette de Paris", został zgilotynowany. Upadek monarchii konstytucyjnej doprowadził do dyktatury Komuny. Jej zły duch, Jean-Paul Marat, prorok równości, posłużył się tłumem, pragnąc spowodować, by stara arystokracja i rządząca burżuazja poniosły koszty polityczne krwawej rewolucji. Zamierzał zdobyć pełnię władzy za pośrednictwem pierwszej na świecie "dyktatury proletariatu", przy użyciu wszelkich środków, jakie okażą się konieczne. Ale ubiegł go Danton, przejmując kontrolę nad paryską Radą Miejską. Kiedy komendant paryskiej milicji markiz de Mandat odmówił podporządkowania się komukolwiek poza wybranymi przywódcami komuny, ludzie Dantona zastrzelili go i wrzucili zwłoki do Sekwany. Tym aktem Danton utorował sobie drogę do władzy dyktatorskiej i stał się niekwestionowanym przywódcą rewolucyjnego komitetu wykonawczego. Jego jedyny błąd polegał na tym, że w odróżnieniu od Robespierrea,

który pozbywał się rywali, Danton pozostał lojalny wobec swoich stronników i rozdawał przyjaciołom synekury.

Wydarzenia przerosły rewolucje. Na północnym zachodzie wybuchł otwarty bunt, Marsylia powstała przeciwko władzy Paryża, mieszkańcy Lyonu skazali na śmierć członków rewolucyjnej rady miejskiej, obywatele Bordeaux maszerowali na Paryż, a wielki

port w Tulonie został przekazany Brytyjczykom bez jednego wystrzału. Największe niebezpieczeństwo groziło ze strony księcia Brunszwickiego, który zbliżał się do stolicy na czele potężnej armii pruskiej. Francja znalazła się na skraju przepaści. Wybuch patriotycznego zapału odzwierciedlał zdecydowaną wolę całego narodu, aby bronić ojczyzny. Ale to Georges Danton rozpalił emocje do punktu krytycznego i stłumił wszelkie wahania swoim nieśmiertelnym hasłem: "Odwaga, jeszcze raz odwaga, zawsze odwaga!". Niczym Joanna dArc dał swemu narodowi nadzieję. Roger de Lisie napisał słowa pieśni dla marsylskich ochotników, idących na front; odtąd pieśń stała się znana jako Marsylianka. Danton nie cofał się przed rozlewem krwi, aby ocalić republikę, a najlepszym tego dowodem był jego udział we wrześniowych masakrach.

Wezwaniem do wrześniowych masakr stał się artykuł Marata w "Lami du peu-ple". 2 września 1792 roku przed opactwem Saint-Germain-des-Pres6 zatrzymały się trzy powozy, wiozące 24 księży. Otoczyła ich banda sankiulotów, pospolitych zbójów! Przed rewolucją część z nich była parafianami ubogiego księdza, który wysiadł teraz z powozu, aby uspokoić tłum. Historia nie zanotowała jego słów7. Jeden z ludzi eskortujących powóz dobył szabli i zarąbał księdza. Tłum wyciągnął z powozów pozostałych i stratował ich na śmierć. Ludzi ogarnęło szaleństwo. W pobliskim klasztorze karmelitów 150 księży oczekiwało na proces. Motłoch pokonał obrośnięty dzikim winem parkan i zaczął ich mordować pałkami, pikami, siekierami. Zmasakrowane zwłoki leżały na korytarzach, w sypialniach, nawet w kaplicy8. Jak się to często zdarza, kiedy tłum wpada w szał, zawsze znajdzie się ktoś, kto krzyczy najgłośniej i obejmuje przywództwo. Niejaki obywatel Maillard ustawił w korytarzu stół i przewodniczył doraźnemu sądowi. Wszystkich ocalałych z masakry księży przy wleczono przed oblicze sędziego, skazano i zamordowano w okrutny sposób. Ogółem zabito wówczas 190 księży, a ich ciała wrzucono do studni9.

Od karmelitów sankiuloci wrócili do opactwa Saint-Germain-des-Pres, splądrowali tamtejszą ogromną bibliotekę, rozpalili ognisko i wrzucali bezcenne dzieła w ogień10, ponieważ uważali wykształcenie za jedną z przyczyn swojej nędzy. Przed trybunał obywatela Maillarda doprowadzono jeszcze 300 więźniów. Krzyki ofiar mieszały się z rechotem tłumu. Oprawców zachęcały do czynu ich żądne krwi połowice: "Dalej, poderżnij mu gardło!". Później rozjuszony motłoch wdarł się do domów bogatych mieszczan przy Rue de Seine i zgwałcił ich kobiety". Podobne sceny rozegrały się w Conciergerie i w więzieniu Chatelet. Tej nocy zamordowano w bestialski sposób ponad 1000 ludzi.

Wśród ofiar znalazła się piękna księżna de Lamballe, którą wywleczono z celi, przywiązano do ławy i zmuszono, aby się przyznała, że była kochanką królowej. Została zgwałcona przez kilkudziesięciu brudnych mężczyzn, a następnie wyprowadzono ją boso po zmasakrowanych zwłokach na dziedziniec, gdzie sankiuloci odrąbali

jej głowę. Czeladnik fryzjerski ułożył przesiąknięte krwią włosy księżnej, po czym jej głowę zatknięto na pikę i obnoszono pod więzieniem Tempie, "aby lAutrichienne mogła rozpoznać swoją kochankę".

Tłum mordował, lecz tłum rzadko ponosi całą winę. Można go porównać do dźwigni gilotyny, która jedynie uwalnia ostrze. Danton, jeśli nawet nie był obecny na miejscu mordów, to jako minister sprawiedliwości z pewnością otrzymywał doniesienia o zajściach. Nie zrobił jednak nic, aby zapobiec rzezi, wykorzystując swoje uprawnienia.

Fala terroru pomogła jednak odeprzeć wojska księcia Brunszwickiego. Nic nie zdołałoby ich powstrzymać, gdyby Francuzi, porwani płomiennymi przemówieniami Dantona, nie chwycili za

broń. Nawet królewski korpus oficerski zaofiarował swoje talenty tej pierwszej armii obywatelskiej.

Nie chodziło już o zagrożoną monarchię, lecz o święty honor Francji. Pod dowództwem generałów Dumourieza i Kellermana żołnierze pomaszerowali pod rewolucyjnymi sztandarami do wiatraka w pobliżu Valmy na spotkanie armii pruskiej. Kellerman podniósł swój kapelusz na końcu szabli i na ten znak zagrzmiały działa. Książę Brunszwicki spojrzał na rewolucyjną artylerię i oświadczył: "Tutaj nie wydamy bitwy". Francuski zapał powstrzymał zawodową armię, a przy okazji rozwiał raz na zawsze fałszywe przekonanie o niższości armii złożonej z cywilów. Po tym zdumiewającym zwycięstwie rewolucja została uratowana przed obcą interwencją. Dwa dni później, 22 września, Francja ogłosiła się republiką. Obecnie Danton i jego jakobini mogli skupić całą uwagę na problemach wewnętrznych. Interesował ich zwłaszcza los byłego króla. Tylko Robespierre myślał o swoim przeznaczeniu, o Dantonie.

"Lhomme est ne librę, etpartout ii est dans lesfers... Człowiek rodzi się wolny, a mimo to wszędzie żyje w okowach". Robespierre, mężczyzna o zapadniętych policzkach, w białej jedwabnej kamizelce, był zagorzałym wielbicielem rewolucyjnego filozofa Jeana-Jacquesa Rousseau. Odłożył powoli książkę i pogrążył się w rozmyślaniach.

Wspominał tamten zimowy poranek w Paryżu, kiedy dyrektor College de Clermont ustawił ich klasę na brukowanym dziedzińcu szkolnym. Przez kilka godzin trzymał przemarzniętych chłopców na deszczu i przenikliwym chłodzie, ponieważ Ludwik XVI, król Francji, miał przejechać przed bramą. Chudy wyrostek z Arras, zdolny i pracowity uczeń, pozbawiony środków finansowych, którymi dysponowali jego koledzy wywodzący się w większości spośród szlachty, zastanawiał się, jaki jest ten ich król, uosobienie władzy absolutnej. Gdy tamtego dnia stał na dziedzińcu, drętwiały mu nogi, a woda kapała za kołnierz. Dyscyplina i posłuszeństwo! Była to dewiza nie tylko szkoły dla chłopców, ale całego kraju. Po nieznośnie długim oczekiwaniu u wylotu brukowanej kocimi łbami uliczki pojawiła się wspaniała żółta

karoca, zaprzężona w czwórkę koni jednolitej maści, otoczona przez zbrojnych pachołków. Chłopcy nie zobaczyli nawet twarzy króla, tylko dłoń w białej rękawiczce machającą z okna przejeżdżającej karety. Wracali już do klasy, otrząsając się jak mokre pudle i dyskutując o wszechmocy królewskiego majestatu, kiedy dyrektor zawołał ich z powrotem na dziedziniec. Pojawił się jeszcze jeden wóz, zwyczajna dwukółka. Ciągnęła ją stara, zmęczona szkapa. W wozie stała jakaś postać w mokrej, przylegającej do 27

ciała koszuli, z rękami założonymi na plecach. "Monsieur de Parisu - ostrzegł ich nauczyciel. -Niech to będzie dla was przestrogą. Nigdy nie buntujcie się przeciwko swemu władcy". Nie tutaj, nie w Royaume de France - może gdzieś indziej! W Ameryce 13 angielskich kolonii odważyło się sprzeciwić swemu monarsze. Przyszło im to stosunkowo łatwo, ponieważ od króla oddzielał je szeroki ocean, nie tak jak tutaj, gdzie z Paryża do Wersalu jest zaledwie-kilka mil. Kiedy powóz mijał kratę bramy, oczy chłopca napotkały spojrzenie tego potępionego człowieka. Wyrażało rozpacz, beznadzieję. Jeden z wielu wydziedziczonych, pozbawionych obywatelskiego prawa do przeciwstawienia się niesprawiedliwości. Chłopiec nigdy nie zapomniał tej chwili...

Robespierre otrząsnął się z zadumy i podniósł książkę. Boski Rousseau, pomyślał, nauczyłeś mnie szanować dostojeństwo ludzkiej natury. Filozofia Rousseau zastępowała mu religie. Podobnie jak Rousseau, mesjasz zmian, Robespierre uważał się za cnotliwą jednostkę pośród powszechnego występku i burżuazyjnego zepsucia. Jego idol podkreślał: "Terror bez Cnoty jest zgubny. Cnota bez Terroru jest bezsilna". Maximilien Robespierre doszedł do wniosku, że w ten sposób terror staje się cnotą.

W dniu, kiedy obywatele Paryża szturmowali Bastylię, tego nieśmiertelnego 14 lipca 1789 roku, Robespierre był w gruncie rzeczy nikim. Jako deputowany z północy, który nigdy się nie uśmiechał i spędzał całe godziny, przymierzając jedwabny strój i pudrując perukę, głosował przeciwko cenzurze, przeciwko karze

śmierci i przeciwko wojnie, a mimo to wcielił wszystkie te dekrety w życie. Nie był ani hipokrytą, za jakiego uważali go niektórzy przeciwnicy, ani politycznym oportunistą, lecz zagorzałym przerażającym ideologiem. Dołączył do niewielkiej grupki intelektualistów rozprawiających o rewolucji w refektarzu opuszczonego klasztoru św. Jakuba. Początkowo nazywali się Stowarzyszeniem Przyjaciół Konstytucji, lecz niebawem przylgnęło do nich miano jakobinów. Robespierre nie znajdował upodobania w hulankach ani nie przyłączył się do ekscesów popełnianych w imię rewolucji przez nowy twór społeczny, nazywany "tłumem" - komunardów Marata. Ta przypadkowa zbieranina, złożona z mętów społecznych, nie miała nic wspólnego z późniejszym proletariatem; jej filozofia nie opierała się na haśle "wyzyskiwane masy pracujące, zbudźcie się", lecz "zabijajcie tych, którzy mają, i odbierajcie im ich własność". Były to nędzne szumowiny, które nie brały udziału w rewolucji, ale bez wątpienia czerpały z niej korzyści. Robespierre wiedział aż nazbyt dobrze, że to nie masy robią rewolucję, lecz ich przywódcy. Masy służą jako użyteczne narzędzie: można nimi skutecznie manipulować, by spełniały polityczną rolę jako grupa nacisku podczas demonstracji lub sporadycznych wybuchów przemocy. Marat bardzo zręcznie posługiwał się tą techniką. Niech sankiuloci krzyczą i czują się ważni, niech idą tłumnie pod Zgromadzenie Narodowe, by przerwać debatę nad jakąś kwestią swoimi krzykami, które można później zinterpretować jako "wolę ludu".

Robespierre nienawidził Marata. Ten sprytny "przyjaciel ludu" przekształcił swoich populistycznych sankiulotów w groźną broń polityczną, ponieważ owi szubrawcy mieli wiele do zyskania kosztem swych ofiar. W przeciwieństwie do innych rewolucyjnych przywódców Marat był filozofem-mordercą, odnosił się z najgłębszą pogardą

do wszystkich zasad traktowanych przez większość ludzi jako ideały. Marat stanowił problem, który należało rozwiązać.

Jednak zawiść Robespierrea budził inny człowiek, Georges-Jacques Danton. W sierpniu 1792 roku, w wieku 32 lat ten śmiały, błyskotliwy mówca został mianowany ministrem sprawiedliwości. Robespierre podziwiał jego wyjątkowe zdolności i niespożytą energię. Byli rówieśnikami (Robespierre urodził się w 1758, Danton w 1759 roku), wyznawali zbliżone poglądy polityczne, lecz różnili się wyglądem zewnętrznym i temperamentem. Danton był krępy, mówił stentorowym głosem, uwielbiał występować publicznie, a pod względem zdolności oratorskich przypominał Cycerona13. Robespierre miał drobną budowę i bladą cerę; nerwowo obgryzał paznokcie i mówił przez nos. Wolał trzymać się z dala od środka sceny, działając za kulisami. Danton był sybarytą, kochał swoją żonę, dobre jedzenie i wesołe towarzystwo. Robespierre nie cierpiał wielkopańskich nawyków Dantona. Sam wiódł życie pustelnika; zamykał się z własnymi myślami i książkami w małym mieszkaniu przy Rue Saint-Honore14. Obaj snuli marzenia o Nowej Francji, lecz o ile Robespierre uosabiał czystą filozofię Rousseau, a za swój podstawowy cel uważał ustanowienie rządów cnoty, o tyle Danton miał za nic moralne racje Robespierrea i bynajmniej tego nie ukrywał. Pewnego dnia w Konwencie, gdy Robespierre rozwodził się bez końca na temat cnoty, Danton wykrzyknął: "Cnota to coś, co praktykuję w łóżku z żoną!". Robespierre nazywał swego rywala "gnijącym bożyszczem, przeżartym zepsuciem". Pragnienie pozbycia się Dantona narastało z każdym dniem. W jakimś momencie Robespierre poznał młodego człowieka, który miał odegrać niezwykle ważną rolę w okresie jego tyranii, Louisa-Antoinea de Saint-Justa15.

W gąszczu rewolucyjnych dogmatów, w tej niebezpiecznej dżungli potrzeba wielkich umiejętności i zdolności, żeby odnieść sukces i przeżyć. Saint-Just był człowiekiem, który potrafił szybko myśleć, osadzić przeciwnika ciętym językiem i pokierować tłumem. Wybrany jako przedstawiciel ludu z Soissons16, 25-letni, "piękny jak anioł" młodzieniec zyskał sobie przydomek nie ze względu na urodę fizyczną. Saint-Just, "Anioł Śmierci", był bezkompromisowym fanatykiem: "Ci, którzy kierują rewolucjami, ci, którzy chcą robić to

dobrze, nigdy nie zaznają snu - chyba że w grobie!". W porównaniu z Robespierreem, który okazywał czasem ludzkie słabości, Saint-Just był zimnokrwistym gadem karmiącym się krwią. A może po prostu miał serce prawdziwego rewolucjonisty? To tajemnica Saint-Justa. Jego Utopia była miejscem, gdzie ludzie spełniali tylko dwie podstawowe funkcje, albo jako rolnicy (którzy żywią naród), albo jako żołnierze (którzy bronią narodu); gdzie dzieci odbierano rodzicom w wieku przedszkolnym, wychowywano w instytucjach państwowych i przepuszczano przez rewolucyjną prasę, by stworzyć armię robotów17. Nigdy nie wspominał o kobietach, ponieważ dla niego właściwie nie istniały. Ci dwaj ludzie sprzysięgli się, by obalić Georgesa Dantona.

W sprawie procesu króla Danton mógł liczyć na poparcie większości deputowanych. Jednak potrzebny był podstęp. Królewską pasję do naprawiania zegarów podsycał zawodowy ślusarz, Francois Gamain. Danton powiedział Gamainowi, że król zdradził go i że straci życie, jeśli nie przysłuży się rewolucji. "Gdzie jest skrytka?" -zapytał. Przerażony Gamain zaprowadził do sekretnej szafy, gdzie znajdowało się 29

627 tajnych dokumentów. Dzięki nim Danton mógł wysunąć przeciwko królowi oskarżenie o zdradę stanu. Antoine Saint-Just, równie zimny i cyniczny, co bezwzględny, oświadczył w Konwencie: "Nie zebraliśmy się tu po to, żeby osądzić króla, lecz żeby go zabić. W XVIII stuleciu jesteśmy mniej zdecydowani niż w czasach Cezara - wtedy tyran został bez zbędnych formalności zabity w Senacie 23 ciosami sztyletów, ponieważ wymagała tego wolność Rzymu. Niech tak się stanie i teraz. Żądam, aby król został skazany na śmierć bez procesu!". Jakobini dali jasno do zrozumienia, czego chcą: jeśli mają zachować władzę, król musi umrzeć. Konwent sprzeciwił się temu żądaniu. Deputowany Chambon udał się do Tempie: "Konwent upoważnił mnie, bym ogłosił, co następuje: Ludwik Kapet zostanie postawiony w stan oskarżenia...". Ludwika wyciągnięto z celi i poprowadzono do sali obrad na przesłuchanie. Królowa patrzyła na

niego przez małe okienko, a dziecko płakało. Delfin miał zaledwie siedem lat i nie rozumiał, co się dzieje.

"Ludwiku Kapet, naród oskarża cię..." - tymi słowami 26 grudnia 1792 roku rozpoczął się proces króla. Król został oskarżony o szereg zbrodni, których nigdy nie popełnił.

- Nie uznaję tego sądu. Nie możecie sądzić króla.

- Możemy i zrobimy to. To ty stoisz przed sądem, nie my.

- Za co mam odpowiadać? - spytał zdetronizowany król.

- Za całe swoje życie!

Król siedział i słuchał z dostojną rezygnacją. Oskarżyciel publiczny pomachał plikiem papierów. "Obywatele, trzymam w ręku dokumenty, które dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że oskarżony jest winny".

W charakterze doradców przydzielono królowi dwóch prawników, Troncheta i Malesherbesa18, którym wolno było omawiać z byłym monarchą linię obrony. Wiedzieli, że jego szanse są nikłe. Debata w sprawie werdyktu przerodziła się w ożywioną dyskusję nad trzema kwestiami:

1. Czy Ludwik Kapet jest winny postawionych mu zarzutów?

2. Czy werdykt należy poddać pod głosowanie publiczne?

3. Jeśli oskarżony zostanie uznany za winnego, jaki powinien być wyrok? Więzienie, deportacja czy śmierć?

Umiarkowani żyrondyści sprzeciwiali się radykalnym jakobinom i ich hasłu: "Śmierć tyranowi!". "Anioł Śmierci" oświadczył: "Ludwik walczył przeciwko swemu ludowi i został obalony. Traktował własnych citoyens jak niewolników. Jest winny wypadków

w Bastylii i w Tuileries. Pytam: który z zagranicznych wrogów wyrządził nam więcej szkody?". Zamilkł na chwilę, po czym dodał swym zwykłym, lodowatym tonem: "Naród domaga się jego śmierci!".

Thomas Paine, angielski rewolucjonista, którego zaproszono na proces, by przydać mu nieco wiarygodności, napisał na skrawku papieru swoją sugestię i wręczył ją przewodniczącemu Konwentu: "Deportujcie króla do Ameryki". Propozycja Painea nie została uwzględniona.

"Dajcie nam głowę tej tłustej świni!"- wrzeszczeli z galerii stronnicy Marata. Danton obstawał twardo przy najwyższym wymiarze kary, Saint-Just groził deputowanym, tylko Robespierre stał z boku i przyglądał- się rozwojowi wydarzeń. Marat

niepokoił go od dawna; musiał zostać usunięty - i to bez litości. Zarządzono głosowanie, ale przez dłuższy czas stosunek głosów "za" i "przeciw" był wyrównany. Potem wstał kuzyn króla,

Filip de Chartres, nazywany teraz Filipem Egalite: "Głosuje za śmiercią!". To przesądziło o wyniku. Śmierć króla uchwalono przewagą pięciu głosów19! Lazare Carnot, przewodniczący komitetu wykonawczego, płakał, kiedy podpisywał dekret. Wniosek o odroczenie wykonania wyroku odrzucono. Kat, Charles Henn Sanson, znany jako Monsieur de Paris, otrzymał polecenie przygotowania egzekucji. Monsieur Sanson, człowiek całkowicie apolityczny, który szczycił się "dobrze wykonywaną pracą", nigdy nie zadawał pytań. Ściąłby głowę każdemu, od złodzieja do króla. Ostatnią próbę uratowania życia władcy podjęła znana aktorka Theatre Francais, mademoiselle Fleury. Odwiedziła Marata w jego mieszkaniu, ozdobionym jedynie plakatem, na którym wypisano dwa słowa: La Mort. Śmierć!

- Błagam cię, abyś okazał litość królowi.

- Jak śmiesz mówić coś podobnego? Nie mów tak głośno, bo ktoś może cię usłyszeć i za swoje bluźnierstwo zostaniesz ukarana śmiercią.

- Och, Maracie, nie boję się, ale żal mi ciebie, gdyż widzę, że wkraczasz na drogę śliską od krwi, i chcę cię powstrzymać.

- Nie zaprzeczam, że to Ludwik pomógł nam dokonać rewolucji. Teraz musimy bronić jej wszelkimi sposobami.

- Maracie, ile potrzeba łez, ile krwi, żebyśmy znów odnaleźli drogę do jedności i miłości?

Trzeba będzie ściąć wiele głów.

- Niech się tak stanie. Kiedy wdaje się gangrena, trzeba odciąć kończynę, by uratować resztę ciała. Krew i łzy są potrzebne, aby ci, co przyjdą po nas, mogli zbierać radosne plony.

- To odległa przyszłość.

- Silni potrafią czekać.

Mademoiselle Fleury zrozumiała, że poniosła klęskę.

Drzwi celi Ludwika otworzyły się i do środka weszło 12 ludzi z komitetu wykonawczego Konwentu. Kiedy odczytywano wyrok, król nie okazał żadnych uczuć. Irlandzki ksiądz Henri-Essex Edgeworth of Firmont pozostał ze skazańcem. Król zasiadł do późnej kolacji; zauważył, że nie dano mu noża do krajania mięsa. "Czy myślą, że jestem aż takim tchórzem, by odebrać sobie życie?". Następnie poprosił o widzenie z rodziną. Najpierw weszła do pokoju królowa, prowadząc za rękę ich 7-letniego syna. Za nią pojawiły się królewskie siostry. Przynajmniej raz strażnik okazał nieco przyzwoitości, zamykając drzwi, by mogli się w spokoju pożegnać. Księżniczki płakały, królowa próbowała zachować zimną

krew; tylko delfin wydawał się nieporuszony, młody wiek oszczędził mu tragicznej prawdy. Król i królowa wzięli syna za ręce.

- Zobaczymy się jutro - przyrzekł król.

- Obiecujesz, cher papai

- Obiecuję - odparł, a potem szepnął do Marii Antoniny: -Adieu.

31

Ludwik ułożył na kominku swoje rzeczy osobiste, tabakierkę, zegarek i okulary. Potem posłał po księdza Edgewortha. Pomógł nawet nakrywać mały stół do mszy i ukląkł, gdy ksiądz udzielał mu komunii. Gdzieś w mieście zapiał kogut. Ludwik podszedł po omacku do lustra. Zobaczył odbicie swojej pomarszczonej, okolonej siwym zarostem twarzy, oczy poznaczone czerwonymi żyłkami i dwie głębokie bruzdy na środku czoła. Spojrzał na zegarek. Trzecia. Jeszcze pięć godzin. Stado gołębi przeleciało za okratowanym oknem celi. Świt 21 stycznia 1793 roku był przeraźliwie zimny, a ulice Paryża puste. Obywatelom przykazano zostać w domach i pozamykać okiennice. Na każdym moście, na każdym placu ustawiono działa, a całą trasę przejazdu obstawiły tysiące gwardzistów. Gilotyna stała na Placu Rewolucji (dzisiaj plac Zgody), pomiędzy bramą do ogrodów Tuileries a cokołem pomnika, na którym wznosił się niegdyś konny posąg Ludwika XV. Kat i jego pomocnicy czynili ostatnie przygotowania. O godzinie 8.30 szczęknął rygiel w drzwiach do celi króla.

Weszło trzech ludzi. Dwaj z nich, księża, którzy zrzucili sutanny, Bernard i Jacques Roux, byli członkami radykalnej frakcji w Konwencie. Obecnie przypadł im wątpliwy zaszczyt poprowadzenia króla na śmierć. Trzecim był generał Antoine-Joseph Santerre, komendant Gwardii Narodowej.

Ludwik próbował wręczyć Jacquesowi Roux swój testament. "Czy mógłbyś przekazać to królowej?".

"Moim zadaniem jest odprowadzić cię na szafot, a nie być twoim chłopcem na posyłki" -Roux.

zadrwił

Generał Santerre wziął papier. "Ja się tym zajmę" - powiedział i zmierzył byłego księdza ponurym spojrzeniem.

Lokaj Clery podał królowi płaszcz, lecz Ludwik odmówił: "Nie będziemy tego potrzebowali". Potem zwrócił się do generała: "Jesteśmy gotowi. Chodźmy".

W czarnym powozie z zasuniętymi firankami ksiądz Edgeworth wręczył królowi brewiarz, który Ludwik zaczął czytać. Końskie podkowy stukały po bruku, gdy jechali wyludnionymi uliczkami, przez Place de Greve, wzdłuż Rue Saint-Honore, a potem przez Place de la Revolution w kierunku wielkiego gipsowego posągu la Liberii. To właśnie tam kilka miesięcy później La Pasionaria rewolucji francuskiej, madame Ro-land, w drodze na gilotynę, spojrzała na posąg i powiedziała:

"O Wolności, jakież zbrodnie popełnia się w twoim imieniu!". Dwanaście setek żołnierzy z bagnetami na karabinach otaczało maszynerię doktora Guillotina. Została skonstruowana przez paryskiego wytwórcę fortepianów, a król pomógł ją udoskonalić, sugerując, że trójkątne ostrze zapewni czystsze cięcie. Za szeregami uzbrojonych ludzi stał czarny powóz Filipa Egalite, którego haniebna zdrada doprowadziła do wydania wyroku śmierci na jego kuzyna. Dziewięć miesięcy później on sam wszedł po drewnianych stopniach na spotkanie z katem.

"Generale, jeśli się nie mylimy, dotarliśmy do miejsca przeznaczenia". Król opuścił słowo: "ostatniego". Bez lęku spojrzał na złowieszcze narzędzie, zdjął surdut i rozpiął koszulę pod szyją. Żaden szmer nie zakłócił ciszy wypełnionego szczelnie placu, żaden z tysięcy zgromadzonych gapiów nawet nie drgnął; jedynym dźwiękiem było parskanie koni i zgrzyt podków na bruku. Zawarczał

werbel, dołączył do niego następny, potem jeszcze jeden i już wkrótce były ich setki. Pomocnik Sansona chwycił

32

króla za łokcie i wykręcił je do tyłu, aby związać mu ręce. "Nie zwiążecie nam rąk. Nie pozwalamy na to". Pomocnicy zmieszali się. Sanson dał znak i Ludwik zrozumiał, że opór na nic się nie zda. Założył ręce do tyłu, a jeden z pomocników okręcił mu nadgarstki cienkim sznurem. Powoli wszedł po stopniach. Na rusztowaniu ksiądz Edgeworth uczynił nad głową skazanego króla znak krzyża. Bicie bębnów przeszło w rozdzierające uszy crescendo.

Ludwik zwrócił się do doboszów: "Przestańcie!".

Jednak generał Santerre rozkazał im: "Grajcie dalej!".

Bębny biły nadal. Król próbował przemówić do tłumu: "Bóg mi świadkiem, że nie jestem winny zbrodni, które mi się zarzuca...". Ale warkot setek werbli zagłuszył jego słowa; usłyszał je tylko irlandzki ksiądz. Pomocnicy Sansona chwycili Ludwika pod ręce i przywiązali go do świeżo umytej deski. Ksiądz modlił się: "Synu Ludwika Świętego, wznieś się do Nieba". Jeden z pomocników pchnął deskę, która opadła do pozycji horyzontalnej. Syn kata ujął głowę króla i ułożył ją w półokrągłym zagłębieniu. Drewniana klamra zamknęła się ze szczękiem. Sanson sięgnął do dźwigni i spojrzał na generała Santerrea, który po chwili wahania powiedział: "Monsieur, czyń swą powinność!". Sanson opuścił dźwignię, zwalniając linę. Przez moment lśniące ostrze wisiało w powietrzu, połyskując złowieszczo w promieniach słońca. Potem ciężki kawał zaostrzonej stali opadł z trzaskiem, przecinając ciało i kość. Zagrzmiał wystrzał armatni. Adiutant, kapitan le Gros, wyjął głowę z koszyka i podniósł wysoko, aby wszyscy mogli ją zobaczyć. Rozległ się krzyk: " Vive la Republique! Niech żyje Republika!". Burboński król nie żył20.

Poza granicami Francji reakcją na królobójstwo było przerażenie i niedowierzanie. Ale poza odwołaniem swoich ambasadorów (tych,

którzy nadal przebywali w Paryżu) obcy monarchowie nie zrobili nic. We Francji przeważały uczucia radości i wstydu. Gazeta "Le Veredique" napisała: "Śmierć Ludwika XVI wy kreowała kolejnego świętego". Faktycznie, Ludwik XVI próbował zadowolić wszystkich, lecz poniósł żałosną porażkę. Maria Antonina dowiedziała się o egzekucji męża następnego ranka, kiedy strażnik więzienny nazwał ją szyderczo "wdową Kapet". Musiała być silna, ani na chwilę nie wolno jej było zapomnieć, że nadal jest królową. Kazała małemu synkowi otrzeć łzy. "Król nigdy nie płacze" - powiedziała, stawiając pochlipującego chłopca na nogi. A następnie uklękła, by pozdrowić go jako nowego króla Francji, Ludwika XVII.

"Król umarł, niech żyje król".

Nietrudno było przewidzieć dalszy ciąg wydarzeń. Zaczęto niszczyć wszystko, co kojarzyło się z monarchią; posągi zostały obalone, a groby zbezczeszczone; zabalsamowane serca wielkich królów sprzedano na aukcji publicznej. Wszyscy związani w jakikolwiek sposób z rodziną królewską zostali uwięzieni i posłani na szafot. Ostatnim słowem Filipa Egalite było: "Merde!". Madame du Barry, kochanka Ludwika XV, błagała o łaskę. Adwokat, który ośmielił się bronić króla, zginął mężnie wraz z dziećmi i wnukami. Siostra króla, Elżbieta, została ścięta, a jej nagie zwłoki wrzucono do dołu z wapnem.

33

Trzy zasady rewolucji francuskiej: liberie, egalite, fraternitt, a przede wszystkim sama idea wolności politycznej, zostały pogrzebane. Jeśli egaliti oznaczało zniszczenie starego porządku opartego na przywilejach, a fratemite nową jedność narodową, liberie po prostu podeptano. Trybunały rewolucyjne skazywały, a kat czynił swoją powinność, dostarczając nienasyconej gilotynie coraz więcej ofiar. Francja stała się gigantycznym więzieniem, a jej ludność żyła w ciągłym strachu przed spadającym ostrzem. Wojny z Austrią żadna ze stron nie mogła rozstrzygnąć na swoją korzyść. Obywatel Louis-

Antoine Saint-Just (który odrzucił po cichu arystokratyczne "de"), wybrany do Komitetu Ocalenia Publicznego, wyjechał jako jego przedstawiciel do rewolucyjnych armii Renu i Północy. Łączność pomiędzy Paryżem a jego wojskami działała tak źle, że generał Dumouriez, dowódca sił północnych i zwycięzca spod Valmy, przez 10 dni pozostawał w nieświadomości, iż Anglia przystąpiła do wojny z Francją. (Po sekretnych negocjacjach Dumouriez przeszedł na stronę Austriaków. Zdrada generała miała katastrofalne następstwa dla jego przyjaciela Dantona).

"Technika wojskowa monarchii jest przestarzała - oświadczył Saint-Just. - O sile Rewolucji stanowi naród. Nasza Republika ma już własne oblicze polityczne, teraz należy ją przekształcić w system wojskowy, by rozgromić naszych wrogów. Jeśli chcemy to osiągnąć, nie możemy zaakceptować niczego, prócz wojny nieograniczonej. Nie spoczniemy, dopóki wszystkie narody nie będą wolne, ponieważ ich wolność jest gwarancją naszej wolności. Na tym świecie są trzy niegodziwości: królowie; dochowywanie posłuszeństwa tym królom i składanie broni, kiedy nadal istnieją panowie i niewolnicy".

Saint-Just zdołał zaszczepić żołnierzom republiki swoje nieprzejednanie, nieposkromiony entuzjazm i zapał, który miał poprowadzić ich do zwycięstwa. Ten 25-letni młodzieniec docenił to, co jest niezbędnym elementem współczesnej sztuki wojennej: ofensywnego ducha, czyli attaąue a 1outrance. Na scenie politycznej Saint-Just posuwał się ze swoją rewolucyjną gorliwością do granic absurdu. Występując przed Komitetem Ocalenia Publicznego, wyjaśniał swój punkt widzenia: "Umocnienie Republiki wymaga całkowitego zniszczenia tych, którzy występują przeciwko niej. W tym musimy pozostać nieugięci. Musimy karać zdrajców i wszystkich, którzy nie okazują entuzjazmu dla naszej sprawy. Dobrym obywatelom należy się od Republiki ochrona. Złym należy się tylko śmierć". Powyższe stwierdzenie miało się stać wiodącą dyrektywą Terroru. Następnie Saint-Just wygłosił swoje słynne zdanie, jakże często powtarzane przez dyktatorów na całym świecie: "Niech zapełnią się nasze cmentarze, a nie nasze więzienia".

Monsieur de Paris miał mnóstwo pracy. Powszechne przekonanie, iż urzędowy kat jest najwyższym kapłanem śmierci, zakorzeniło się głęboko wśród prostego ludu. Nikt nie śmiał z nim rozmawiać; nikt nie utrzymywał kontaktów z jego rodziną. Jego chleb leżał w piekarni spodem do góry, aby nikt nie wziął go przez pomyłkę. Kat praktykował zwykle swoje rzemiosło w centrum miasta, na publicznym placu. W rewolucyjnym Paryżu był to plac Rewolucji. Jego ogromne rozmiary pozwalały uczestniczyć w krwawych spektaklach wielkiej liczbie ludzi, co miało zapobiegać przyszłym zbrodniom. Jednak arystokraci, którzy wstępowali na gilotynę, tacy jak 80-letnia pani la Marechale de Noailles, nie byli zbrodniarzami, nie byli zwykłymi złodziejami

ani nie popełnili morderstwa. Kiedy wieziono te nieszczęsne istoty na szafot, saltimbanąues (uliczni kuglarze) zabawiali tłum parodiami egzekucji, a karczmy z widokiem na gilotynę robiły znakomite interesy, sprzedając zupy i piwo. Zwyczajnym dźwiękiem stał się katowski dzwonek na wózku wiozącym skazańców, którzy siedzieli nieruchomo na deskach, obojętni na to, co dzieje się wokół nich. Byli już martwi. Kiedy wózek zatrzymywał się pod rusztowaniem, niektórych trzeba było wlec po stopniach na górę, natomiast inni wchodzili na nie z godnością. Pomocnicy kata zawiązywali im oczy - nie dlatego, aby skazańcy nie widzieli ostatniego momentu, lecz z tego samego powodu, dla którego wyświadcza się podobną "przysługę" skazanym na rozstrzelanie szpiegom: nikt nie chce patrzeć w oczy swoim ofiarom. Niektórzy szli na śmierć spokojnie, podczas gdy inni złorzeczyli swoim sędziom, nim spadło ostrze i uciszyło ich przekleństwa. "Terror pozostanie na porządku dnia, dopóki nie zginą ostatni wrogowie republiki". W ten sposób arystokrację francuską dosięgła zguba; ponad 3000 ludzi wstąpiło na gilotynę.

Mimo wszystko spośród tej nieludzkiej rzezi wyróżnia się jedna ofiara. 16 października 1793 roku, dziewięć miesięcy po śmierci

męża, królowa Maria Antonina odbyła ostatnią przejażdżkę ulicami Paryża. Tymi samymi ulicami, którymi 23 lata wcześniej jechała w złoconej karocy jako młoda narzeczona przyszłego króla. Teraz była królowa jechała na wózku używanym do przewożenia przestępców na miejsce kaźni. Te same tłumy, które niegdyś sypały przed jej karetą płatki róż i wznosiły radosne okrzyki na cześć pięknej, młodej księżniczki, teraz obrzucały obelgami zmęczoną, starą kobietę z wystającymi spod czepka krótkimi siwymi włosami, odzianą w cienką białą suknię i owiniętą w stary szal dla ochrony przed chłodem. Ręce miała związane na plecach. "Śmierć Austriaczce!". Tego dnia rewolucja francuska naprawdę osiągnęła dno hańby. "To nie było królobójstwo, to było coś znacznie gorszego". Te słowa wypowiedział Napoleon.

Początek Terroru można określić dokładnie: 13 lipca 1793 roku. Tego dnia, o godzinie 10.30 rano, 24-letnia, pobożna córka normandzkiego szlachcica, Charlotte Corday dArmont, weszła do mieszkania Jeana-Paula Marata i zatopiła nóż w jego piersi, gdy zażywał leczniczej kąpieli.

Przed egzekucją Charlotte Corday wyznała przyjaciółce, że jakaś wyższa istota rozkazała jej uwolnić świat od Antychrysta. Kim była ta wyższa istota, która szeptała jej do ucha? Czy był to Bóg, rojalista, czy może jeden z przebranych stronników Robespierrea? Marat był wrzodem, który należało przeciąć.

W tym celu Robespierre sprzymierzył się z Dantonem, zawierając nader osobliwy sojusz, ponieważ Danton, który nazywał Robespierrea "cnotliwym eunuchem", kierował się tą samą ambicją i nie wzdragał się przed użyciem żadnych środków, aby ją zaspokoić. Danton nie był ani prorokiem, ani kapłanem i kochał tylko jedną rzecz: władzę! A zatem Robespierre sprzymierzył się z samym diabłem, aby wyeliminować Marata, szalonego proroka egalite. Jego śmierć w wannie pozwoliła rozpętać gniew ludu przeciwko umiarkowanym. W poprzednich latach jego jadowite artykuły w "Lami du peuple" doprowadziły do wielu okrucieństw

popełnionych przez paryski motłoch. Miesiąc przed śmiercią Marat spowodował upadek potężnej frakcji żyrondystów, podburzając swoich komunardów, by wtargnęli do Konwentu i wyrzucili pod groźbą bagnetów

35

22 deputowanych. Śmierć Marata utorowała drogę do władzy dyktatorskiej dwóm radykalnym protagonistom, którzy mieli symbolizować Wielki Terror: Dantonowi i Robespierreowi. Biorąc pod uwagę różnice ich charakterów i sposobów myślenia, było oczywiste, że jeden z nich musi odejść.

Robespierre od miesięcy próbował podporządkować sobie frakcję jakobinów. Jednak w dniu, kiedy Marat padł ofiarą własnej nienawiści klasowej, Danton szybko wypełnił powstałą próżnię. Kraj staczał się w otchłań chaosu i anarchii, i potrzebował silnego człowieka. Terror rozpoczął się w momencie, gdy wybrani przedstawiciele narodu zaczęli gilotynować się nawzajem. Pierwsi poszli pod nóż żyrondyści. Przez ponad rok rządzili Konwentem, snując intrygi i wzniecając niepokoje, a mimo to w decydującym momencie cofnęli się przed rozlewem krwi. Jakobini nie mieli podobnych skrupułów. 29 żyrondystów zostało aresztowanych, oskarżonych o działalność kontrrewolucyjną i straconych, w tym również ich przywódcy, Yergniaud, Ducos i Brissot.

Yergniaud próbował usprawiedliwić swoją słabość: "Pobłądziliśmy, gdy próbowaliśmy zdobyć wolność dla wszystkich. Nie zabierajmy przyszłości ze sobą do grobu i dajmy temu narodowi trochę nadziei".

Ducos: "A co będziemy robili jutro o tej porze?".

Brissot: "Wreszcie będziemy spać spokojnie".

Oni zapewne spali spokojnie, lecz ich naród nie. W ciągu jednego roku dyktatura Góry (jakobinów) wciągnęła naród w szaleńczą wojnę. Sytuacja stała się rozpaczliwa. Południowy zachód dołączył

do zachodniej Francji w otwartej rebelii. Niektórzy z obalonych żyrondystów zdołali poderwać armię w Normandii do marszu na Paryż. Korsyka powstała pod przywództwem Paoliego. Prusacy koncentrowali wojska w Moguncji, Austriacy zajęli Valenciennes, Anglicy wylądowali w Dunkierce, a Hiszpanie najechali Roussillon. Starzy przedrewolucyjni generałowie zostali straceni za "brak zapału", a ich miejsce zajęli ludzie bardzo młodzi. W grudniu 1793 roku generał Dugommier odebrał Brytyjczykom Tulon, Kleber pobił szuanów pod Cholet, Marceau pokonał białych (rojalistów) pod Le Mans, a na północy Jourdan rozgromił Austriaków pod Wattignies. Zwycięscy generałowie nie mieli nawet 30 lat.

W Paryżu lud świętował i powiewał sztandarami. Jednak dwaj wielcy protagoniści myśleli nie tyle o zagrożeniach zewnętrznych, ile o walce o władzę, która toczyła się w Konwencie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ci dwaj pozbawieni skrupułów, żądni władzy indywidualiści muszą się ze sobą zderzyć. Podczas gdy Danton czerpał swoją siłę z ludu skupionego w sekcjach miejskich, czyli komunach, Robespierre opierał się na klubie jakobińskim i potężnym Komitecie Ocalenia Publicznego. Posługując się komitetem jako narzędziem, zaczął kopać grób dla Dantona. Tym razem Robespierre okazał się bardziej skuteczny. Ponieważ nie mógł wysunąć przeciwko Dantonowi zarzutów o działalność kontrrewolucyjną, musiał znaleźć inny powód. Tytułem próby generalnej przed aresztowaniem Dantona jego zwolennicy zostali wtrąceni do więzienia, oskarżeni o czyny niemoralne i posłani na gilotynę. Ta sprawa o "obrazę moralności" prowadziła do następnego kroku. Z pomocą Saint-Justa wzór wszelkich cnót zaczął fabrykować zarzuty: "Danton otacza się osobnikami niemoralnymi. Jak można oczekiwać, że człowiek, któremu obce są wszelkie zasady etyczne, pokieruje walką o wolność?".

36

Przyjaciele błagali Dantona, aby przeszedł do kontrofensywy lub uciekał z kraju. Odrzucił te sugestię, udzielając typowej dla siebie

odpowiedzi: "Czy można zabrać ze sobą ojczyznę na podeszwach butów?".

Saint-Just zadał pierwszy cios. Zażądał, aby Komitet Ocalenia Publicznego wydał nakaz aresztowania niejakiego Georgesa-Jacquesa Dantona pod zarzutem zdrady stanu, polegającej na wspieraniu i podjudzaniu wrogów republiki. Oświadczył, że Danton był zamieszany w ucieczkę generała Dumourieza do Austriaków. Spośród 20 członków komitetu jedynie dwóch ośmieliło się sprzeciwić żądaniu Saint-Justa; był to mężny, lecz wysoce nierozważny krok, który zaprowadził ich na gilotynę.

Dantona zabrano z mieszkania w środku nocy. Kiedy usłyszał na dziedzińcu kroki, ucałował na pożeganie żonę Louise. Paryż wrzał z powodu aresztowania jednego z najsłynniejszych rewolucjonistów i jego przyjaciela, Camillea Desmoulinsa, odważnego młodego człowieka, który pięć lat wcześniej zagrzewał paryżan do szturmu na Bastylię. Wraz z aresztowaniem Dantona jego stronnicy zostali pozbawieni przywódcy i bez oporu podporządkowali się autorytarnej władzy Robespierrea i Komitetu Ocalenia Publicznego. Co się tyczy potulnych deputowanych do Konwentu, ulękli się pogróżek Robespierrea i Saint-Justa. Tylko dwaj deputowani, Legendre i Tallien (ten sam Tallien, który miał odegrać później niezwykle istotną rolę), odważyli się zabrać głos; reakcją na ich protesty było pełne zakłopotania milczenie. Gdyby tego ranka choćby część deputowanych zdecydowała się działać, ocaliliby większość głów, które spadły w ciągu następnych trzech miesięcy.

Saint-Just odczytał akt oskarżenia:

"Obywatele, wykryty został podły spisek zmierzający do obalenia republiki przez emigrantów z Koblencji21. Co gorsza, znaleźli oni wsparcie w tym zgromadzeniu. Nigdy więcej podobny spisek nie może zagrozić naszej świętej sprawie. Musimy zadbać o to, aby pozostali wśród nas tylko prawdziwi patrioci. Nie możemy budować republiki na pobłażliwości, lecz na bezwzględnej surowości i

całkowitej nieugiętości wobec tych, którzy nas zdradzili. Powtarzam, wszyscy zbrodniarze, niezależnie od ich obecnej pozycji, muszą ponieść karę".

W tym przemówieniu słychać już było świst spadającego ostrza gilotyny.

Podczas procesu Dantona spiskowcy wykorzystali w charakterze posłusznego narzędzia człowieka, który posłał na śmierć króla i królową, oskarżyciela publicznego Antoinea Quentina Fouquier-Tinvillea. Jak można się było spodziewać, Danton nie przyjął absurdalnych zarzutów z pokorą:

"Ja, Danton, zdemaskuję teraz dyktaturę, która ukrywa swoje istnienie...". Przewodniczący trybunału bez przerwy potrząsał dzwonkiem, aby go uciszyć, lecz grzmiący głos Dantona słyszany był aż na ulicy, gdzie przed gmachem sądu zebrał się nieprzebrany tłum. "Żądam, aby wystąpił mój oskarżyciel. Niech się pokaże". Danton nadal był przekonany, że za wszystkim stoi Saint-Just.

"Saint-Just, odpowiesz za swoje oszczerstwo.. *,"22.* Wyzywające słowa Dantona przywitał gromki aplauz publiczności.

"Danton, mów w taki sposób, żeby ludzie cię rozumieli" - przerwał mu oskarżyciel publiczny Fouquier-Tinville.

37

Danton wskazał palcem na tłum. "Spytaj ich. Spytaj ludzi. Oni mnie rozumieją". Jego odpowiedź nagrodził jeszcze głośniejszy zgiełk aprobaty. "Ludu Francji, osądź mnie, kiedy ujawnię ci wszystko...".

W tym momencie Fouquier-Tinville wpadł w panikę. Uświadomił sobie, że Danton naprawdę ma zamiar wymieniać nazwiska i że antydantonowski spisek może zakończyć się fiaskiem za sprawą tego mówcy o stentorowym głosie. Danton był po prostu zbyt błyskotliwy i należało go uciszyć. "Obywatelu przewodniczący!" - wykrzyknął

oskarżyciel, machając rękami jak wiatrak, aby zwrócić na siebie uwagę sędziów. Wbrew obowiązującej procedurze zażądał, by przewodniczący trybunału odroczył posiedzenie. Równie zaniepokojony obrotem wydarzeń Saint-Just wymknął się już wcześniej, by naradzić się ze swoim mentorem.

W obliczu grożącej katastrofy Saint-Just i Robespierre postanowili zrezygnować nawet z pozorów uczciwego procesu, ustanawiając prawo tak nikczemne, że stało się kamieniem milowym na drodze do bezprawia. Kiedy cała prawda o ich spisku wyszła wreszcie na jaw, jego podłość miała zostać zapamiętana jako jeszcze większa zbrodnia niż terror samej gilotyny. Saint-Just udał się czym prędzej do Konwentu: "Obywatele, uniknęliście właśnie śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nie potrzeba żadnych więcej dowodów, opór i podłe kalumnie rzucane przez oskarżonego na wybranych przedstawicieli narodu wystarczą, by wykazać jego winę". A następnie wymusił na zastraszonych deputowanych ustawę znaną potomności jako "prawo z 22 prairiala (10 czerwca)", która pozostaje czymś wyjątkowym w annałach prawodawstwa*. Pozbawiała ona oskarżonych podstawowego prawa do obrony, ponieważ stwierdzała, iż oskarżenie jest równoznaczne z udowodnieniem winy. Kiedy przewodniczący trybunału odczytał nowe prawo, Danton zrozumiał, że przegrał. Dopiero wtedy poznał tożsamość swojej nemezis, kryjącej się w cieniu. Przekrzykując dzwonek przewodniczącego, zawołał: "Robespierre, ty będziesz następny!".

Tego wieczoru Robespierre przemówił do członków klubu jakobinów, by usprawiedliwić drakońskie prawo: "Danton był najniebezpieczniejszym z wrogów ojczyzny, ślubował patriotom wierność, lecz nadużywał ich zaufania w intrygach i spiskach. Na słowo »cnota« wybuchał śmiechem. Nasz Trybunał Rewolucyjny został ustanowiony po to, by pomagać rewolucji, a nie po to, by ją opóźniać krzykliwymi procedurami obrony. Ci, którzy stają przed Trybunałem Rewolucyjnym, są winni tylko jednej zbrodni - zdrady stanu. Jest za to tylko jedna kara - śmierć".

Paryż nucił w niezdrowym podnieceniu: "Grandgibier ce soir... Grubą zwierzynę mamy tej nocy", a wokół machiny doktora Guillotina zbierały się tłumy. Danton do końca pozostał tym, kim był zawsze - człowiekiem zuchwałym i hardym. Gdy podczas ostatniej podróży na wózku Sansona zauważył piękną dziewczynę we łzach, zawołał: "Jaka szkoda, że nie mogę zostawić swojego kutasa temu eunuchowi Ro-bespierreowi". Wózek, na którym jechali Danton i Desmoulins, zatrzymał się przed dwoma drewnianymi słupami. Ostrze gilotyny połyskiwało w wieczornym słońcu

* Proces Dantona odbywał się w dniach 2-5 kwietnia 1794 roku, a loi de prairial uchwalono dopiero 10 czerwca 1794 roku. Podczas procesu Dantona wszedł natomiast wżycie dekret pozwalający wykluczyć z udziału w rozprawie oskarżonych, którzy zakłócają jej przebieg (przyp. tłum.).

zachodzącym powoli nad Champs Elysees. Obok stała nadnaturalnych rozmiarów statua la Liberte. Kiedy Danton spojrzał po raz ostatni na posąg, który sam pomagał tu wznosić, potrząsnął głową w rozpaczy. Bez chwili wahania wspiął się po drewnianych stopniach na wysokie rusztowanie. Być może, przez chwile pomyślał o Ludwiku XVI i Marii Antoninie, których oddał na pastwę tej morderczej machiny. Ze szczytu rusztowania popatrzył na milczące rzesze, utrzymywane w stosownej odległości bagnetami Garde Republicaine. Potem zwrócił się do Sansona, jedynego człowieka we Francji, którego nie nazywano citoyen. "Pokaż moją głowę ludowi. Jest tego warta". Ostrze opadło.

Terror, który rozpętał się po śmierci Dantona, trwał 16 tygodni - trzy miesiące wielkiego rozlewu krwi i strachu, oskarżeń i denuncjacji. Były adwokat Robespierre z bezlitosną logiką uczynił śmierć podstawą swojego systemu politycznego. Przed upadkiem Dantona ścięto zaledwie 116 osób; później zgilotynowano 3000. Codziennie prowadzono skrupulatny rejestr wszystkich egzekucji, lecz nie

uwzględnia on tysięcy morderstw popełnianych w odległych prowincjach i miastach, takich jak Nantes i Lyon. Na pierwszy ogień poszli rewolucjoniści, którzy gilotynowali się nawzajem, aby samemu uniknąć gilotyny. Potem wózki katowskie dostarczały coraz większą liczbę skazańców jako dzienne menu (przed jadłodajniami, obok spisu oferowanych potraw, znajdowała się lista przewidzianych na dany dzień ofiar, nazywana "menu"). Wielcy uczeni, tacy jak Antoine-Laurent de Lavoisier, ojciec nowoczesnej chemii, twórca nazewnictwa chemicznego i systemu metrycznego, byli skazywani słowami: "Republika nie potrzebuje naukowców". Ten sam los podzielił wielki matematyk i filozof markiz de Condorcet. Andre Chenier, liberalny poeta, został aresztowany przez pomyłkę, ponieważ wyrok dotyczył jego brata. Nie stanowiło to jednak większej różnicy: "Nie mamy jego brata, ale mamy jego". Sam fakt aresztowania wystarczył, by posłać go na gilotynę. Czasem wyrok był przypadkowy i niczym nieuzasadniony. Wdowa Mayet została skazana na śmierć wraz z grupą 50 osób, ponieważ ktoś zadenuncjował ją jako panią de Maillet (oba nazwiska wymawia się tak samo), damę z arystokratycznej rodziny. Fouquier-Tinville skwitował jej zapewnienia o niewinności słowami: "Ponieważ już tu jest, możemy ściąć również ją". Podobny los spotkał niejaką Quetier, gospodynię domową, która domagała się od męża pieniędzy na nowy rouet (kołowrotek) i została stracona za wychwalanie roi (króla).

Więzienie Conciergerie było ostatnim przystankiem przed gilotyną. Aby pomieścić ogromną liczbę więźniów, trzymano ich na ogrodzonym dziedzińcu. Wewnątrz kamiennych murów panowały warunki trudne do opisania23. Setki ludzi wtrącano razem do dusznych lochów, bez żadnych urządzeń sanitarnych ani wody do picia. "Nie są wam potrzebne, i tak umrzecie" - śmiali się strażnicy. Więźniowie walczyli między sobą o miejsce do spania; kobiety z arystokracji siedziały obok uliczników, dzieląc ich wszy i smród. Złodzieje obdzierali szlachtę z koszul i butów. Najgorszy był jednak dla więźniów obezwładniający strach, niepewność, oczekiwanie dzień za dniem, aż wywołają ich nazwiska. Przeżycie w

takich warunkach graniczyło z nieprawdopodobieństwem. Wielu odczuwało niemal ulgę, kiedy wreszcie ich wywoływano. Więzienne pożegnania były zawsze dramatyczne; mężów oddzielano od żon, matki odrywano od dzieci. Procesy doprowadziły do ogromnego rozrostu biurokracji:

spisywano nazwiska, sporządzano rejestry skonfiskowanych rzeczy... Skazanym pozwalano zatrzymać jedną parę butów i wierzchnią odzież. Hieny cmentarne krążące wokół wspólnych grobów obdzierały ich nawet z tego. Robespierre, któremu przeszkadzał przejazd wózków katowskich pod jego oknem, rozkazał przenieść gilotynę na Place du Tróne (dzisiaj Place de la Nation).

W Mieście Światła zapanowały ciemności. Radość i życie opuściły Paryż. Kultura umarła, sztuki "rojalisty" Moliera i utwory satyryczne Woltera zostały zakazane lub tak przerobione, by wyrażały rewolucyjne przesłanie. Ludzie szukali ucieczki w butelce. Pewien pijak zdołał wśliznąć się do sali sądowej, krzyknął " Vive le Roi" i skoczył z galerii, zabijając się na miejscu. Najnędzniejszymi ze wszystkich istot były tricoteuses (szydełkujące kobiety), które siedziały wokół gilotyny, szydełkując i chichocząc, kiedy głowy spadały do koszyka24. Śmierć rozniecała seksualne szaleństwo, zaspokajane później w napadach nieokiełznanej żądzy. Nowym obowiązkowym rytuałem stała się Braterska Wieczerza, w której musiał brać udział każdy w swoim

arrondissement, dostarczając jedzenie. Gdyby przyniósł za mało, obraziłby jakobińskiego nadzorcę dzielnicy, który przewodniczył ceremonii; gdyby przyniósł za dużo, zostałby oskarżony o ukrywanie zapasów. Uczestnicy musieli obejmować się ramionami i śpiewać radosne pieśni, niczym w monachijskiej piwiarni, a wszystko to pod czujnym okiem donosicieli Robespierrea.

"Władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje w sposób absolutny". Trzy miesiące sprawowania władzy przez "Nieprzekupnego" Robespierrea można skwitować tym prostym zdaniem. Komitet Ocalenia Publicznego, instrument Terroru, był skłócony. Dwaj najwybitniejsi członkowie komitetu, Saint-Just i Carnot, skakali sobie do oczu. Dwaj inni, Collot dHerbois i Billaud-Yarenne, spiskowali za kulisami. Robespierre wykorzystywał te podziały, by umocnić swoją pozycję niekwestionowanego przywódcy. Posłużył się Saint-Justem i kalekim Couthonem, by przygotować nową serię egzekucji. W Paryżu zaczęto mówić o "liście proskrybowanych".

Tak zwani wściekli (enrages), rozzuchwaleni sankiuloci, stwarzali zagrożenie dla każdego, kto sprawował władzę. Nie było ich wielu, a ich podstawową taktykę stanowiła prowokacja. Nawet kiedy Jacques Roux, ich mesjasz, popełnił samobójstwo, aby uniknąć gilotyny, nadal sprawiali takie kłopoty i siali taki zamęt, że lIncorruptible musiał działać. Odkrycie pośród nich szpiega Robespierrea zapoczątkowało pogłoski o czarnej liście. Kiedy idea listy zakorzeniła się w ich umysłach, podejrzenia narastały - i to nie tylko wśród enrages. Robespierre od dawna żył w ogromnym napięciu i nerwy zaczęły go zawodzić. Do obalenia tyrana potrzebny był jakiś szatańsko sprytny człowiek. I taki człowiek pojawił się w Paryżu nazajutrz po śmierci Dantona.

Niewiele wiadomo o Josephie Fouche, jednej z najbardziej fascynujących postaci rewolucji. Jego żywiołem była intryga. W znacznej części ponosił odpowiedzialność za śmierć Ludwika XVI, a później za upadek Napoleona. Uczestniczył w sześciu kolejnych rządach, służąc monarchii, republice, tyranii, cesarstwu, a potem znowu monarchii, zdradzając każdego, komu przysięgał dochować wierności. Kiedy Napoleon spytał go: "Fouche, czy to nie ty głosowałeś za śmiercią króla?"25, jego minister, obdarzony właśnie tytułem księcia dOtrante, odparł: "Tak jest, Sire, i była to pierwsza przysługa, jaką oddałem Waszej Cesarskiej Mości".

Fouche obserwował walkę o władzę pomiędzy Dantonem a Robespierreem z bezpiecznej odległości, z Lyonu. Od miesięcy w tym mieście nad Rodanem trwała rebelia przeciwko rządom paryskich jakobinów, a Fouche otrzymał polecenie, by zająć się jej stłumieniem. Zimą 1793 roku tysiące mieszkańców wyprowadzono przed bramy miasta i zmasakrowano ogniem z dział. Ich zwłoki wrzucono do Rodanu, by spłynęły z prądem jako wymowne ostrzeżenie. Centrum miasta zostało obrócone w perzynę, zgodnie z morderczą logiką: "Nic oprócz ognia nie może dać pełnego wyrazu wszechwładzy Ludu"26.

Dla zimnego gracza pokroju Fouche wszelkie rozważania o cnocie były babskim gadaniem. Z tej właśnie przyczyny Komitet Ocalenia Publicznego wyznaczył jego i Collota dHerbois, by zrobili użytek z "wszechwładzy Ludu". Fouche nienawidził Robespierrea. Po śmierci Dantona, którego zasadnicze idee podzielał, Fouche zrozumiał, że teraz on będzie następny na liście przeznaczonych do egzekucji. Nadszedł czas, by uderzyć. W dniu, kiedy wrócił do Paryża, zniknął ze sceny publicznej, by działać potajemnie za kulisami. Z niezwykłą zręcznością posłużył się swą główną bronią: zaskoczeniem i intrygą.

Robespierre przeżył pierwszy wstrząs, kiedy się dowiedział, że Fouche zawarł taktyczne sojusze, by zapewnić sobie wybór na przewodniczącego klubu jakobinów. Robespierre przeklinał swoją krótkowzroczność; stanowczo nie docenił możliwości tego potencjalnego rywala. Najpierw doprowadził do usunięcia Fouche z klubu jakobinów, a następnie ogłosił Fetę dEtre Supreme (Święto Najwyższej Istoty), któremu przewodniczył, niejako członek Komitetu Ocalenia Publicznego27, lecz w nowej roli dyktatora. W ogrodach Tuileries odbyła się wielka uroczystość. Robespierre wstąpił na piramidę wśród wiwatów oszalałego tłumu. Samotny i wyniosły stał na szczycie jako najwyższy kapłan obchodów. Nie zastosował się do starożytnej maksymy, która głosi: "Kto stawia głowę ponad innych,

może ją stracić". W symbolicznym geście podpalił posąg przedstawiający Bezbożność. Tłum znów zaczął wznosić okrzyki, kiedy z popiołów wyrósł nowy posąg, Mądrości i Cnoty28. To wydarzenie miało być aktem koronacji tyrana. Miesiąc później już nie żył.

Kiedy Robespierre przeforsował "prawo z 22 prairiala", przypieczętował również los własnej tyranii. Ta haniebna ustawa głosiła: "Sprawa żadnego z oskarżonych nie zostanie zamknięta, dopóki nie zbada jej Komitet Ocalenia Publicznego i Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego". Decyzję, kogo należy postawić w stan oskarżenia, pozostawiono zatem owym dwóm komitetom.

Ponieważ Robespierre kontrolował oba ciała, był nie tylko wolny od oskarżeń, lecz miał również wpływ na wynik procesów. Posępna groźba nie ograniczała się jedynie do deputowanych; nikt nie mógł być pewien, czy nie jest następnym na "liście". Powszechny strach ułatwił zadanie Josephowi Fouche. Wykorzystując go, zdołał zjednoczyć tych, których dzieliła wzajemna wrogość. Najważniejszą rolę w spisku mieli odegrać dwaj ludzie: Collot dHerbois i Billaud-Yarenne, członkowie Komitetu Ocalenia Publicznego. Fouche postawił wszystko na jedną kartę, mówiąc:

"Jeśli dostarczycie moją głowę Robespierreowi, kto obroni wasze?". Z chwilą gdy przystąpili do spisku, nie mogli się już wycofać. Czas naglił; Robespierre wygłosił w klubie jakobinów złowieszcze ostrzeżenie: "Wszyscy dobrzy

obywatele muszą mieć się na baczności przed intrygami". Położył nacisk na "wszyscy". Zbliżała się ostateczna rozgrywka.

Robespierre i Saint-Just przez całą noc układali listę deputowanych, których zamierzali posłać na gilotynę. Robespierre zorganizował kontyngent ochotników z paryskiej Komuny, by obsadzili galerie i

głośnymi okrzykami wyrażali mu swoje poparcie. Jednak Robespierre nie był Maratem; nawet komunardzi mieli dosyć Terroru, który uderzał na oślep. Historia wdowy Mayet stała się ogólnie znana. Wielu "prostych ludzi" nie popierało już dyktatora. A do działania przystąpił nie tylko Fouche. Lazare Carnot, kierujący sprawami wojskowymi w Komitecie Ocalenia Publicznego, po apelu Robespierrea do Komuny postawił w stan gotowości Gwardię Narodową. Podjął też dodatkowe środki ostrożności, powierzając swoim ludziom nadzór nad magazynami broni i amunicji. Jednak o wyniku bitwy miały zadecydować nie działa i bagnety, lecz słowa wypowiedziane z trybuny w Konwencie.

26 lipca 1794 roku tłum wypełnił szczelnie galerie. Dzień zapowiadał się niezwykle emocjonująco. Wśród przerażonych deputowanych krążyły najrozmaitsze pogłoski. Spiskowcy Fouche

rozpowszechniali plotki o "liście" i podsycali strach. Robespierre wkroczył na mównicę ubrany w błękitny surdut i żółte spodnie. Zapadła śmiertelna cisza, kiedy podniósł rękę i zaczął przemawiać.

"Ludzie uczciwi nie mają się czego obawiać. Ale ci, których intrygi sięgają Komitetu Ocalenia Publicznego i Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego, ci zdrajcy muszą zostać zdemaskowani i ukarani". Zakończył słowami: "Musicie wiedzieć, że wśród nas istnieje grupa łajdaków, którzy sprzysięgli się przeciwko cnocie publicznej". A następnie zażądał aresztowania "wszystkich spiskowców". Nie wymienił nazwisk - insynuacje zawsze wystarczały, by osiągnąć cel. Jednak tym razem okazało się to fatalnym błędem, ponieważ zjednoczyło wszystkich, którzy obawiali się o własne życie (było pewne, że na liście znajduje się Fouche, Billaud-Yarenne, Collot dHerbois, Tallien, Carnot i Barras). Wąż przemówił, a wszyscy członkowie Konwentu zamarli, zahipnotyzowani jego wzrokiem.

Wszyscy z wyjątkiem Bourdona de lOise, któremu Fouche powiedział, że jego nazwisko jest na liście. "Obywatelu Robespierre, wysunęliście poważne oskarżenia, które należy

sprawdzić". Robespierre zaniemówił. Ktoś ośmielił się wystąpić i zażądać wyjaśnień! Zanim zdążył odpowiedzieć, Cambon, członek Komitetu Finansów i stronnik Fouche, poderwał się na nogi i pospieszył do mównicy, odpychając drobnego Robespierrea. "Zanim zostanę pozbawiony czci -wykrzyknął - przemówię w imieniu Francji. Czas powiedzieć prawdę: jeden człowiek paraliżował Konwent". Aby dodać mocy swoim słowom, Cambon odsunął się na bok i zmierzył spojrzeniem mężczyznę w błękitnym surducie, po czym oświadczył grzmiącym głosem: "Tym człowiekiem jest Robespierre!". Jakby lodowaty powiew przeszedł przez salę i galerie, mrożąc zebranym krew w żyłach. Billaud-Yarenne wskoczył na drewnianą ławę i wyciągniętą ręką wskazał drżącego Robespierrea: "Tak! Trzeba go zdemaskować! Jako członek Komitetu Ocalenia Publicznego nie chcę stać się wspólnikiem jego zbrodni".

Jednak to deputowany Panis doprowadził zgromadzenie do punktu wrzenia. Wstał i zawołał:

"Obywatel Robespierre powiedział, że sporządził listę...".

"Lista! Lista! - zakrzyknęli deputowani. - Wymień tych, których oskarżasz!".

42

Zaskoczony Robespierre wybąkał: "Ja... słucham tylko głosu obowiązku".

Jego słowa zagłuszył ryk. Zegar, który wybił piątą, ocalił Robespierrea i pierwsza runda zakończyła się bez rozstrzygnięcia. Zmęczony dyktator wrócił do domu i położył się spać, a w pomieszczeniach Komitetu Ocalenia Publicznego przez całą noc paliły się świece. Saint-Just ciężko pracował, przygotowując się do decydującej rozgrywki, którą miał przynieść ranek.

9 termidora roku II (27 lipca 1794) zapowiadał się gorący i parny, nad Paryżem zbierały się ciężkie chmury. Na długo przed

rozpoczęciem posiedzenia ławy i galerie Konwentu wypełniły się deputowanymi, dziennikarzami i publicznością, hałaśliwym i podekscytowanym tłumem. Fouche przygotował własną kartę atutową. Postarał się, aby tego dnia zgromadzenie wybrało Collota dHerbois na przewodniczącego. Robespierre, w towarzystwie Saint-Justa i Couthona, wkroczył do zgromadzenia witany gromkimi okrzykami Góry (liberałowie zajmowali dolną część sali, czyli Równinę, a radykalni jakobini balkon, nazywany Górą). Pomachał życzliwie stronnikom, pewien bliskiego triumfu, i usadowił się na ławie pośrodku Równiny, by zyskać dodatkowe poparcie ze strony wahających się umiarkowanych. Jego plan wymagał starannej synchronizacji. Saint-Just miał przeprowadzić "rozgrzewkę", zanim sam Robespierre przypuści atak na Fouche i jego spiskowców.

Od tej chwili wydarzenia rozgrywały się w błyskawicznym tempie. Saint-Just wszedł na mównicę, lecz zanim zdołał otworzyć usta, Tallien krzyknął: "Żądam, aby mnie wysłuchano!". Saint-Just stropił się. Gdy wreszcie zaczął mówić, przewodniczący Collot dHerbois przerwał mu dzwonkiem. Rosły Tallien zepchnął bezceremonialnie Saint-Justa z mównicy i zawołał: "Żądam, aby dokonano zdemaskowania!". Wspólnicy Talliena poderwali się na nogi. "Zdemaskować go!". Zanim Saint-Just odzyskał głos, miejsce Talliena zajął Billaud-Yarenne. Wskazał na Robespierrea: "Ten człowiek zamierza wymordować Konwent!".

"Precz z tyranem!" - zakrzyknęła grupa dobrze zorganizowanych stronników Fouche, co spowodowało zamieszanie na Górze i spotkało się z nieśmiałym poparciem Równiny. Zaskakujące posunięcie Fouche pokazało, że istnieje szansa ocalenia głów. Niezdecydowani, którzy zawsze głosowali tak, jak wiał polityczny wiatr, dołączyli do chóru: "Precz z tyranem!". Robespierre był wstrząśnięty; siedział nieruchomo, zaciskając i rozwierając palce. Patrzył bezradnie, jak rozpada się jego stronnictwo; niektórzy jakobini, powodowani nadzieją uratowania głów, zaczęli przechodzić

do przeciwnego obozu. Tallien wyciągnął sztylet i wzniósł go teatralnie ponad głowę. "Precz z tyranem!".

Robespierre poderwał się na nogi i ruszył w stronę mównicy, lecz zatrzymał go mur spiskowców Fouche. Kiedy się odezwał, jego głos został zagłuszony przez dzwonek przewodniczącego. W sali rozpętało się piekło. Deputowani wrzeszczeli, ludzie na galeriach zrywali się z miejsc, przewodniczący potrząsał dzwonkiem. Rozległo się miarowe tupanie, któremu towarzyszyło klaskanie w ręce i okrzyk: "A bas le tyran!". Ze ściśniętym gardłem i zsiniałymi wargami Robespierre powtarzał rozpaczliwą prośbę: "Pozwólcie mi mówić! Wysłuchajcie mnie!", lecz jego głos ginął wśród ogólnego ryku. Dzwonek Collota spełnił wreszcie swoje zadanie i wrzawa ucichła. Robespierre, który zawsze niezwykle starannie ważył słowa, przerażony rozwojem wypadków,

- 43
- O historycznym znaczeniu ludzi takich jak Pancho V
- Trocki opisał kiedyś Stalina jako człowieka, który
- 151
- "Wiem, że mnie kochają". Wraz ze spadkiem popularn
- 5 Cyt. za: Liebknecht Antimilitarismus.

powiedział: "Donnez-moi la parole, PresidentdesAssasins. - Przewodniczący Morderców, proszę pozwolić mi mówić". Na te zniewagę, nazwanie Konwentu bandą morderców, odpowiedział pojedynczy głos, który przebił się przez zgiełk jak syrena przeciwmgielna: "Sam jesteś mordercą. Nawiedzają cię duchy Dantona i Desmoulinsa".

Tallien zawołał: "Ten potwór znieważył Konwent Narodowy!".

"Al bas le tyran!".

Inny deputowany, Louchet, wspiął się na ławę, zamachał rękami, aby uspokoić tłum, a następnie wypowiedział słowa, których nikt nie śmiał wyrzec, lecz które wszyscy chcieli usłyszeć: "Domagam się aresztowania Robespierrea!".

"Aresztować go!" - zawołano zarówno z Równiny, jak i z Góry. Kiedy przewodniczący, chcąc nadać aresztowaniu pozory legalności, zarządził głosowanie, podniosło się tyle rąk, że nie dało się ich policzyć. Nie było wstrzymujących się, nawet jakobini opuścili swego przywódcę. W środku dnia otoczyła "Nieprzekupnego" głęboka noc; wpatrywał się z niedowierzaniem w nadchodzącą śmierć. Hałas przybierał na sile; Collot dHerbois zawzięcie potrząsał dzwonkiem: "Nakazuję niezwłoczne aresztowanie oskarżonych o zdradę: Robespierrea, Saint-Justa, Couthona...". Tyran został obalony.

Napięcie, które ogarnęło Konwent, szybko udzieliło się komunom Paryża. Lojalni jakobini wysłali gońców do sekcji, aby zebrały "grupę silnych mężczyzn i kobiet" na Place de la Maison-Commune. Przy wsparciu dział Gwardii Narodowej zamierzali przywołać do porządku buntowniczy Konwent. Komendantem paryskiej Gwardii Narodowej był pijak i bufon, Francois Hanriot. Rozpoczął karierę jako służący rojalistycznego oficera, a potem związał się z Maratem. W czerwcu 1793 roku, na żądanie Marata, podburzył motłoch, by ruszył na

Konwent, który w efekcie wykluczył ze swego składu najbardziej aktywnych żyrondystów i został zdominowany przez jakobinów. Kilka tygodni później Marat już nie żył, a Hanriot szybko zaoferował swoje usługi Robespierreowi, który mianował go komendantem Gwardii Narodowej. Wieczorem przed 9 termidora zapewniał Robespierrea, że ustawi swoje działa przed Konwentem i "pośle tych zdrajców do piekła".

To, co stało się później, można wytłumaczyć jedynie uświęconą tradycją popołudniowego posiłku we Francji. W szczytowym momencie zawieruchy dziejowej Konwent zrobił sobie dwugodzinną przerwę obiadową! Mer Paryża, Fleuriot-Lescot, oddany stronnik Robespierrea, wykorzystał tę zwłokę, by zebrać przed ratuszem tysiące uzbrojonych ludzi. Przywódca mas, komendant Hanriot, był kompletnie pijany i bełkotał coś bez związku. Wskoczył na konia i pogalopował, krzycząc dziko i wymachując szablą, do Tuileries, gdzie został bezceremonialnie zwalony z siodła, związany i zamknięty w piwnicy.

Kiedy Fleuriot dowiedział się o aresztowaniu komendanta gwardii, dowiódł, że sam też jest marnym strategiem. Zamiast zebrać siły i ocalić Robespierrea, wysłał 200 uzbrojonych komunardów pod Konwent, aby uwolnili pijaka. Deputowani wrócili już z obiadu i starli się z motłochem Fleuriota. Nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń, lecz to wystarczyło, by zademonstrować siłę paryskiego tłumu. Pijany Hanriot został wniesiony triumfalnie do ratusza, gdzie jego artylerzyści rozstawili swoje 32 działa; poza tym jednak nie wykazywali żadnej inicjatywy. W tych decydujących

godzinach stronnicy Robespierrea dysponowali miażdżącą przewagą w artylerii - kartą atutową, która z pewnością rozstrzygnęłaby sprawę, gdyby znalazł się dowódca wojskowy zdolny objąć komendę, ponieważ Hanriot znów wymknął się do Auberge du Cheval-Vert.

Deputowani musieli czym prędzej uporać się z tą niebezpieczną sytuacją, zwłaszcza że ci, którzy pilnowali Robespierrea, przestraszyli się tłumów i pozwolili mu odejść. Dlatego zdecydowali się na krok, który miał przechylić szalę na ich korzyść. Konwent wydał dekret o wyjęciu Robespierrea spod prawa, co oznaczało, że każdy, kto udzieli mu pomocy, zostanie automatycznie aresztowany i stracony bez procesu. Deputowany Paul Barras podjął się wcielić tę decyzję w życie. Pierwszą wiadomość wysłano do ratusza, wzywając Fleuriota, aby stawił się przed Konwentem. "Przyjdę -oświadczył mer - i przyprowadzę ze sobą lud". Jednak innym posłańcom powiodło się lepiej: spośród 48 komun zaledwie 13 odpowiedziało na wezwanie Fleuriota do obrony ratusza, natomiast 27 przyjęło postawę wyczekującą. Kiedy inni przywódcy sekcji zorientowali się w nastrojach, opowiedzieli się po stronie Konwentu. Deputowani nadal nie byli pewni wyniku i drżeli przed paryskim motłochem, a tymczasem ów motłoch miotał się bez celu i czekał na rozkazy. W dodatku zmieniła się pogoda i nad Paryżem zaczęły się zbierać burzowe chmury.

Ale gdzie był Robespierre? W momencie największego kryzysu ogarnęło go to samo zniechęcenie, które zgubiło króla. W rozstrzygających godzinach przepychanek i manewrów tyran, który po mistrzowsku wykorzystywał słabości innych, poddał się zwątpieniu. Kiedy stronnicy czekali na niego w Hotel de Yille, przerażony, wytrącony z równowagi Robespierre nie chciał opuścić swojej kryjówki na lewym brzegu Sekwany. Tłum bez przywódcy to jak kura bez głowy. Sankiuloci zaczęli pić i walczyć między sobą, gdy rozeszły się pogłoski, że arrondisments przechodzą na drugą stronę. Stracono wiele bezcennych godzin, zanim Robespierre, Saint-Just i Couthon pojawili się w Hotel de Yille, by dołączyć do Fleuriota i Hanriota (którego wywleczono z oberży). Po raz drugi tego fatalnego dnia szczęście opuściło Robespierrea. Tym razem zawiniła pogoda. Nad miastem rozpętała się gwałtowna burza, którą wielki Talleyrand unieśmiertelnił słowami: "Deszcz jest kontrrewolucyjny!". Przemoczone tłumy rozbiegły się, by poszukać schronienia w najbliższej tawernie. Plac opustoszał.

W tym momencie zjawił się Barras na czele 50 żandarmów. Gwałtowne sceny, które rozegrały się później, można zrozumieć tylko w zestawieniu z bezlitosnym terrorem, który rozpętał Robespierre w mieście i w kraju. Teraz miał za to zapłacić. On i jego zwolennicy zebrali się w pokoju na pierwszym piętrze Hotel de Yille. Nagle drzwi otworzyły się, rozległ się wystrzał i kula z pistoletu strzaskała Robespierreowi szczękę29. Dyktator upadł twarzą na dokument, który właśnie podpisywał i w którym wzywał żandarmów - jeden z nich właśnie go postrzelił - by spieszyli mu na ratunek30.

Augustin Robespierre, jego brat, rzucił się do okna i wyskoczył na dziedziniec. Przy upadku złamał sobie kilka kości, ale przeżył.

Lebas wyciągnął zza pasa pistolet. Saint-Just poprosił go: "Zastrzel najpierw mnie, monfrere".

"Pauvre con, mam coś ważniejszego do zrobienia" - odparł Lebas. Przyłożył sobie pistolet do głowy i pociągnął za spust. Inwalida Couthon ukrył się pod stołem. Żandarmi znaleźli go i zrzucili ze schodów. Zataczający się Hanriot wypadł przez okno i wylądował miękko w stercie gnoju, gdzie spał pijackim snem, dopóki żandarmi nie usłyszeli jego chrapania. Obudzono go ukłuciami bagnetów i tak ciężko pobito, że stracił jedno oko.

Pierwszy brzask 10 termidora (28 lipca 1794 roku) zastał ludzi, którzy do niedawna trzymali Francję w kleszczach Terroru, poturbowanych i okrwawionych. Motłoch poczuł nowy wiatr i szybko zmienił sympatie. Barras wkroczył teatralnie do Konwentu z okrzykiem: "Zdrajca Robespierre czeka na zewnątrz", a deputowani przywitali te słowa gromkimi wiwatami. Przewodniczący oświadczył: "Jego miejsce jest na Placu Rewolucji, a nie przed tym dostojnym zgromadzeniem". Znów rozległy się owacje; na tę okazję gilotynę przeniesiono z powrotem na plac Rewolucji.

Ciężko rannego Robespierrea powleczono przywiązanego do deski, z rękami zwisającymi po obu stronach, z kostkami palców szorującymi o bruk. W Komitecie Ocalenia Publicznego zdrajca Robespierre spoczął na tym samym stole, przy którym dyktator Robespierre sprawował nieograniczoną władzę. Ten żałosny widok przyciągnął tłumy gapiów. Strzaskaną szczękę obwiązano mu zakrwawioną szmatą, jedwabne pończochy pofałdowały mu się na nogach, błękitny surdut był splamiony krwią. Ci, którzy wczoraj pozdrawiali "Nieprzekupnego", dziś przeklinali go jako "ludożercę". Stary człowiek, którego syn padł ofiarą Terroru, na widok powalonego tyrana rzekł:

" A więc jednak Bóg istnieje".

Wieczorem Robespierre i jego 22 towarzyszy zostało doprowadzonych przed Trybunał Rewolucyjny. Zgodnie z dekretem o wyjęciu spod prawa oskarżyciel publiczny Fouquier-Tinville (którego dni były już policzone) musiał tylko wyczytać nazwiska podsądnych, aby skazać każdego z nich na gilotynę." Niech oskarżeni wstaną. Couthon, Fleuriot, Hanriot, Robespierre, Saint-Just...".

Tych, którzy nie mogli się podnieść, brutalnie stawiali na nogi żandarmi. Późnym popołudniem wszystkich 23 załadowano na trzy wózki. W pierwszym stał Saint-Just, wciąż nieskazitelnie ubrany w jasne spodnie i białą koszulę, wyprostowany jak latarnia morska wśród pokonanych jakobinów. Jakkolwiek paryżanie nienawidzili tego zimnego i bezlitosnego człowieka, poszedł na śmierć w aureoli dostojeństwa. Nie powiedział słowa na swoją obronę. Chateaubriand oddał mu hołd:

"Właśnie milczenie świadczy o wielkości".

Żandarmi musieli zanieść Robespierre a do drugiego wózka i posadzić go na podłodze. W ten sposób Fouche chciał pokazać ludowi, że to naprawdę Robespierre idzie na śmierć. W ostatnim wózku leżał unurzany w gnoju Hanriot. Obok niego kulił się Couthon,

zapewniając z płaczem o swej niewinności. Procesja ruszyła dobrze udeptanym szlakiem, który paryżanie nazywali "Via Dolorosa"31. Pod domem Duplayów, gdzie Robespierre planował zgubę wielu swoich wrogów32, straszliwe tricoteuses odtańczyły ronde wokół skazańców. Osierocona kobieta krzyknęła:

"Szatanie, przekleństwo wszystkich matek spadnie na twoją głowę!". Tysiące ludzi przybyły na Place de la Revolution, by zobaczyć koniec tyrana. Ponad nimi wznosiło się narzędzie terroru

Robespierrea, la guillotine. Jednego po drugim prowadzono jakobinów na spotkanie z Sansonem. Tylko Saint-Just zachował godność i wszedł po stopniach z lodowatą

obojętnością, która uczyniła zeń jedną z najbardziej niezwykłych postaci rewolucji. Innych trzeba było ciskać na poplamioną krwią deskę. Dwudziestym pierwszym był Maximilien Robespierre. Przejmująca cisza zapadła na placu, mężczyźni zaciskali dłonie na gałkach swoich lasek, a kobiety żegnały się znakiem krzyża: "Oto idzie diabeł". Spojrzenia wszystkich zwróciły się na rusztowanie i połyskujące ostrze. Bezwładnego Robespierrea wciągnięto na górę, nogi obijały mu się o każdy stopień. Zza przykrywających twarz bandaży widać było tylko oczy, wpatrzone w ołowiane niebo. Popadł w całkowite zobojętnienie. Kolana ugięły się pod nim, więc pomocnicy kata pozwolili, by leżał tam jak symbol obalonej tyranii, zanim przywiązali go do deski. Jeden z pomocników oderwał przesiąknięty zakrzepłą krwią bandaż od jego strzaskanej szczęki. Robespierre krzyknął z bólu. Sanson skinął głową... Deska pochyliła się i spoczęła pomiędzy dwoma dębowymi słupami... Rozległ się głuchy odgłos, gdy drewniana klamra zamknęła się wokół szyi skazańca... Chwila oczekiwania... Absolutna cisza... Sanson pociągnął za dźwignię i ostrze opadło. Wszyscy słyszeli jego świst. Szmer przeszedł przez plac Rewolucji. Tyran wkroczył do piekła historii. Dyktator, który uważał się za nieomylnego, został obalony w

wyniku koszarowego spisku; jego upadek nastąpił ze zdumiewającą szybkością. W rewolucyjnym Paryżu człowiek, który wojował mieczem, zginął od niego. Zdolności, które czyniły "Nieprzekupnego" błyskotliwym w opozycji i przebiegłym w walce, okazały się niewystarczające, by pozwolić mu utrzymać się przy władzy. Nie docenił faktu, że republika, z jej skomplikowanym układem sił, potrzebowała praworządności bardziej niż monarchia. Terror, który rozpętał, upomniał się w końcu również o niego.

Ostatnią ofiarą Terroru był 10-letni chłopiec skazany na powolną śmierć. Jego cierpienia skończyły się wreszcie 8 czerwca 1795 roku. Tego dnia niekoronowany król Ludwik XVII, według oficjalnej wersji, zmarł w Tempie.

Żadna relacja z tragedii nie będzie kompletna bez wyjaśnienia "zagadki Tempie". Jaka była prawdziwa tożsamość chłopca, który zmarł w więzieniu? Jeżeli był delfinem, może należałoby posłać go na śmierć wraz z matką, niż pozwolić mu cierpieć jeszcze przez dwa lata.

Wiosną 2000 roku porównano próbki DNA pobrane z pukla włosów królowej i z wycinka serca chłopca. Wynik okazał się pozytywny. Był to rzeczywiście Ludwik XVII, syn Marii Antoniny.

W zagadkę uwikłanych jest pięć osób. 10-letni domniemany król, jego strażnik szewc Simon, Robespierre i dwaj jakobini, Hebert i Chaumette, którzy weszli do pokoju królowej w Tempie i odebrali jej dziecko. Wyrwany z rąk matki chłopiec został zamknięty w małej, pełnej szczurów celi bez ubikacji, z oknem zabitym deską, aby nie wpadało przez nie światło dnia. Był bity przez swoich strażników, kiedy nie chciał śpiewać sprośnych piosenek, do jedzenia dostawał tylko czarną polewkę i musiał spać we własnych odchodach. Szewc Simon przemienił bystrego i wesołego chłopca w tępe stworzenie, które już nigdy nie wypowiedziało ani jednego słowa.

W 1819 roku ujawniła się pewna stara kobieta, żona szewca Simona, i zażądała pieniędzy za to, co miała do powiedzenia. Według jej relacji Chaumette, z pomocą

Simona i Heberta, wykradł chłopca z Tempie i podstawił na jego miejsce chore dziecko. Hebert i Chaumette zostali aresztowani pod zarzutem "wspierania dążeń do przywrócenia monarchii", a w ich akcie oskarżenia znalazło się nader osobliwe stwierdzenie: ".. .i ułatwienia ucieczki delfinowi".

Nocą 8 czerwca 1795 roku chłopiec zmarł. Doktor Pelletan, lekarz z sąsiedztwa, przeprowadził sekcję na stole kuchennym w więziennym przedsionku. Kiedy nikt nie patrzył, zawinął serce dziecka w chusteczkę i schował do torby, po czym zaszył ciało. Owo serce miało budzić później wiele kontrowersji i namiętności. Doktor trzymał je w słoju z alkoholem, lecz nie zauważył, że płyn wyparował, a serce wyschło. Jego asystent, który zmarł wkrótce potem, ukradł słój, ale wdowa po nim zwróciła go doktorowi Pelletanowi. Po latach doktor ofiarował serce stryjowi zmarłego chłopca, Ludwikowi XVIII, lecz król nie chciał go przyjąć. Doktor Pelletan oddał je więc na przechowanie arcybiskupowi Paryża. Podczas rewolucji 1830 roku pałac arcybiskupa został splądrowany, a pewien rojalista, niejaki Lescroart, próbował ocalić relikwię. Zatrzymał go i poturbował członek Gwardii Narodowej; szklana urna upadła na chodnik, lecz serce udało się wydobyć spośród odłamków szkła. Spoczęło w katedrze Saint-Denis, miejscu pochówku królów Francji. Ogółem pojawiło się 40 pretendentów, którzy utrzymywali, że są Ludwikiem Karolem de Bourbon. Większość z nich trafiła do więzienia za oszustwo.

Nieszczęsny chłopiec, który zmarł w więzieniu Tempie, był naprawdę królem i cierpiał takie katusze, ponieważ rewolucjoniści obawiali się, że mógłby kiedyś zasiąść na tronie.

Zmarł mały chłopiec, który skarżył się: "Toujours seul, zawsze sam", kiedy matka przebywała w innej wieży. Dziecko, któremu nigdy nie powiedziano, że jego matka została stracona.

A potem...

Terror, którego nic nie może usprawiedliwić, umarł wraz z Robespierreem. Stosowano go w imię rewolucyjnego ideału - Cnoty. Odpowiedzialność za to ponosił przede wszystkim król, który zapłacił wysoką cenę za moralne i ekonomiczne bankructwo swego królestwa. Okazał niezdecydowanie w obliczu rozjuszonego motłochu. Słaby z natury, nie chciał poświęcić kilku ludzi, aby ocalić tysiące. W ten sposób farsa przerodziła się w tragedię. Z jego winy przelano wiele krwi. Francja nigdy mu tego nie wybaczy.

Byli też rewolucjoniści. Marat, jeden z pariasów historii, który, powodowany patriotycznym przekonaniem, że tylko krew oczyszcza, stworzył nową kategorię obywateli - komunę ludową.

Danton, zuchwały i ambitny "ekstremista", który usprawiedliwiał akty królobójstwa potrzebą umocnienia kruchej rewolucji. Jednym zdaniem pobudził naród, by zmazał hańbę klęski, a później padł ofiarą ambitnego, zawistnego rywala. Saint-Just, enigmatyczny, beznamiętny archanioł gilotyny, który chciał zapełniać

cmentarze, a nie więzienia. Jego życzenie miało się spełnić. I wreszcie Robespierre, z pojęciem cnoty wziętym od jakiejś bliżej nieokreślonej Najwyższej Istoty, który usprawiedliwiał własne zbrodnie idealizmem. W ostatecznym rozrachunku jego terror okazał się mniej skuteczny, niż ten zastosowany przez późniejsze reżimy.

Rewolucja francuska położyła kres epoce średniowiecznej struktury monarchicznej w Europie. Jej stygmaty pozostały symbolami wszystkich późniejszych rewolucji. Wynalazła czystki

wymierzone przeciwko całym klasom społecznym, powołała do życia trybunały ludowe, procesy bez obrony, egzekucje bez procesów33 i cały aparat, który nazywamy reżimem totalitarnym. Były też aspekty pozytywne. Komitet Ocalenia Publicznego spełniał swoje funkcje. W wyniku ogłoszonego przez Carnota poboru powołano pod broń milion ludzi, przekształcono ich w sprawną machinę wojenną i rozwinięto pierwszy współczesny przemysł zbrojeniowy do masowej produkcji muszkietów. Saint-Just umocnił morale Armii Renu, która pokonała Prusaków i Austriaków. Te zwycięstwa ocaliły młodą republikę i sprawiły, że najpotężniejsze monarchie Europy znalazły się na krawędzi upadku. Z zamętu wyrastały nowe republiki. Wywołało to pierwszy prawdziwie globalny konflikt - wojny napoleońskie, w których brały udział ogromne armie europejskich mocarstw - i położyło fundament pod brytyjską dominację na morzach.

Historia ma skłonność surowo oceniać Marata, nie doceniać Saint-Justa i stawiać zepsutego Dantona ponad "Nieprzekupnym" Robespierreem. "Niebiosa obdarzyły mnie umiłowaniem wolności - zwykł mawiać ten ostatni - i moim zadaniem jest wytyczać serdeczną krwią drogę ku szczęściu i wolności ludu". Rządami terroru pragnął zaprowadzić rządy cnoty i osiągnąć szczęście dzięki przemocy. Tam gdzie król cofnął się przed rozlewem krwi, on szedł śmiało naprzód. Aż do dnia, kiedy część z tych, którzy przed nim drżeli, zbuntowała się. Ponieważ, jak dowiedziono wielokrotnie w ciągu stuleci, człowiek może jedynie do czasu znosić ingerencję w swoje codzienne życie.

Wielcy francuscy rewolucjoniści jeden po drugim padali ofiarą własnej próżności. Kiedy wspięli się zbyt wysoko, ścinano im głowy.

W końcu "rewolucja pożarła własne dzieci"34.

Interludium 1794-1809

Pierwsza Republika Francuska trwała siedem lat. Skończywszy z Robespierreem i Wielkim Terrorem, deputowani oddali się swemu

ulubionemu zajęciu, intrygom i kłótniom. W 1799 roku pełgający płomień rewolucji stłumił kłębami dymu prochowego młody geniusz wojskowy, generał Napoleon Bonaparte.

Napoleon miał własne ambicje, diametralnie różne od dążeń rewolucjonistów. Nie troszczył się o dobro wszystkich, był żądnym sławy dyktatorem. "Władza to moja kochanka - oświadczył. - Ciężko pracowałem, aby ją zdobyć, i nie pozwolę jej sobie

odebrać". Dla osiągnięcia tego celu wykorzystywał wszelkie środki; zmiażdżył opozycję polityczną; rozprawił się z niedobitkami okresu rewolucyjnego, skazując ich na wygnanie; czynił kaprali królami, a królów wyrzutkami; wprowadzał reformy, by umocnić swoje represyjne rządy, najpierw we Francji, a później na całym kontynencie. Posłużył się nawet religią, stwierdziwszy stanowczo: "Społeczeństwo nie może istnieć bez nierówności, dlatego potrzebujemy religii, abyśmy mogli powiedzieć: «Taka jest wola Boga»". Na jego polecenie napisano nową konstytucję, "aby podtrzymać rewolucyjne wartości egalite i fraternite". W zapomnienie poszła natomiast trzecia zasada jego rewolucyjnych poprzedników, la liberie.

Wiele reform społecznych Napoleona przetrwało stulecia. Niewątpliwie największym jego osiągnięciem było skodyfikowane prawo cywilne, które stało się znane jako Kodeks Napoleona i jest w użyciu do dziś. Dał swemu krajowi solidne podstawy finansowe, zakładając Banque de France i wprowadzając sprawiedliwy system podatkowy. Jego ambasadorowie jeździli po świecie i kradli skarby kultury, wystawiane dzisiaj w Luwrze. W pierwszych latach swoich rządów odnosił oszałamiające sukcesy. Triumf i uwielbienie mas uderzyły mu do głowy. Był zbyt młody, zbyt ambitny i zbyt przekonany o swej wyjątkowej roli w historii, by spocząć na laurach. Francja okazała się zbyt mała dla jego ambicji; pragnął zostać jedynym władcą Zjednoczonej Europy. Błyskotliwymi manewrami

strategicznymi rozbił po kolei wszystkie europejskie armie. W ciągu niespełna 10 lat ubogi Korsykanin stał się równy habsburskiemu cesarzowi tysiącletniego Świętego Cesarstwa Rzymskiego i carowi Wszechrosji.

Niebezpieczeństwo, jakie stwarzały nieskrywane dążenia Napoleona do dalszej ekspansji - marzył nawet o imperium kolonialnym, powstałym na bazie francuskiej Luizjany - i jego niekwestionowane talenty wojskowe doprowadziły do wojny. 2 grudnia 1805 roku nieudolnie dowodzone wojska austriacko-rosyjskie poniosły druzgocącą klęskę pod Austerlitz. Napoleon znalazł się u szczytu sławy wojskowej, żaden wódz nie mógł się równać z jego geniuszem i żadne mocarstwo nie śmiało przeciwstawić się potędze jego armii. Generałowie kapitulowali na sam jego widok, cesarze i królowie uciekali przed nim. Napoleon zmusił nawet habsburskiego władcę, by podzielił istniejące od 844 lat Święte Cesarstwo Rzymskie. W celu złamania niemieckiej jedności księstwa Wirtembergii i Bawarii zostały z łaski Napoleona podniesione do rangi królestw. Jego dyktat pokojowy z 1806 roku zawierał jeszcze jedną klauzulę: aby chronić swą flankę przedalpejską, Napoleon nadał królowi Bawarii prawa do austriackiej prowincji - Tyrolu.

Napoleon wydawał się niezwyciężony. A mimo to, u szczytu swojej sławy, spotkał się z poważnym wyzwaniem z nieoczekiwanej strony. Była to stosunkowo drobna sprawa, lecz Napoleon popełnił ciężki grzech, gdyż stworzył męczennika i w ten sposób zjednoczył przeciwko sobie Niemcy.

13 sierpnia 1809 roku Mander, śischtZeit!

Mander, s ischt Zeit!

"Ludzie, już czas!"

Wezwanie Andreasa Hofera, 9 kwietnia 1809

Ojcze Niebieski, to dzwony na trwogę. - Czy musisz iść na wojnę? - spytała kobieta. - Uważaj na siebie.

- Wszystko w rękach Boga - odparł wieśniak i pobiegł zboczem doliny. To, co zaczęło się jako maleńki strumyk, przerodziło się niebawem w rwący potok zbrojnych idących do bitwy.

"Mander, ischt Zeit! Ludzie, już czas!". Od wielu stuleci to hasło wzywało Tyrolczyków pod broń. Tak było i tym razem. Mężczyźni zbierali się, by sformować kompanie ochotników, a kompanie formowały się w Haufenl. Haufens wspinały się na strome zbocze i śpiewały: "Jesteśmy świętą wspólnotą, a Chrystus jest z nami". Mężczyźni usypali stosy kamieni i ukryli się za skałami. Czekali na przeciwnika, który musiał przechodzić tą drogą, ponieważ innej nie było - na Francuzów i Bawarczyków, żołnierzy cesarza Napoleona maszerujących wąską doliną.

Żołnierze z urodzajnych równin Francji czuli się tak, jakby zstępowali do wnętrza ziemi, gdy zapuszczali się coraz głębiej w mroczny, wrogi świat stromych parowów, gęstych lasów i bystrych strumieni. Obsuwające się kamienie częściowo zablokowały przełęcze. Francuskie oddziały były tu już wcześniej. Żołnierze widzieli wyraźne ślady poprzedniej, nieudanej próby sforsowania przełęczy - dno doliny zaścielały skalne odłamki, ale także kości i strzępy spłowiałych mundurów. To, czego obawiali się najbardziej, czaiło się nad ich głowami; mordercze lawiny skalne. Wiedzieli, że za każdą skałą czaił się buntownik z siekierą, gotów przeciąć linę.

51

Rozkazy, jakie otrzymał generał Bisson, były jasne; miał "odeprzeć ataki buntowników, zgnieść powstanie i utorować przejście przez ważną górską przełęcz". Zlustrował okolicę. Majaczący przed nim mroczny wąwóz ze spienionym strumieniem wyglądał złowrogo, ale gdzie był przeciwnik? W górze, na krawędzi zbocza, dostrzegł jakąś

postać. Mężczyzna spojrzał w dół, na francuską kolumnę, i uniósł rękę, jakby w ostatnim pozdrowieniu dla tych, którzy wkrótce umrą.

Francuski generał złożył dłonie w trąbkę i zawołał: "Kim jesteś?". Ponieważ mężczyzna nie odpowiedział, spróbował znowu, tym razem w łamanym niemieckim: " Wer seid ihr?". - krzyknął.

Ze szczytu skały odpowiedział mu donośny głos: Andreas Hofer, słynny karczmarz!

Brodaty mężczyzna zerwał z głowy kapelusz z szerokim rondem i pomachał nim w powietrzu. Dolinę wypełnił grzmot, którego echo odbijało się od skały do skały. Generał Bisson wiedział, że jego jedyną nadzieją na ocalenie jest coś, czego nigdy dotąd nie ośmielił się zarządzić żaden z generałów cesarza. Odwrót! Ale nawet na to było już za późno. Śmierć spadała z łoskotem ze skał. Ogromne głazy grzebały Francuzów i Bawarczyków. Jako sojusznicy walczyli razem i razem umierali. A potem znów zapanowała cisza. Nie było żadnych krzyków ani jęków rannych. Nie było żadnych rannych. Tyrolczycy pokazali, że potrafią walczyć w takim terenie. Napoleon obawiał się tego i powiedział kiedyś: "Nie chcę dać się wciągnąć w walkę w górach".

Jako rewolucjonista Andreas Hofer jest wyjątkiem. Niewykształcony karczmarz, prowadzący chłopskie masy przeciwko największemu geniuszowi militarnemu i najlepszej armii, jaką świat kiedykolwiek widział. Dlaczego? Aby utrzymać na tronie autokratycznego cesarza!

"Za Boga, cesarza i nasz Tyrol!".

Trzysta lat wcześniej Tyrolczycy otrzymali specjalne prawo do noszenia broni. Taki przywilej ukształtował szczególny rodzaj człowieka, upartego, niezdyscyplinowanego i dumnego. Wioski zostały zorganizowane w Schiitzenverbaende, a największą doroczną uroczystością były tyrolskie zawody w strzelaniu. Aby się do nich przygotować, każdy ćwiczył zawzięcie ze swoim Stutzen2 - polując, co było ulubionym sposobem spędzania czasu. W razie

niebezpieczeństwa Schutzemerbaende formowały się w oddziały po 100 ludzi. Każda wioska wybierała swojego kapitana; zostawał nim zwykle wioskowy karczmarz, ponieważ spotkania odbywały się przy beczce wina i ciepłym kaflowym piecu. Ludzie znali się nawzajem i znali teren. Co więcej, mieli powód, by przekształcić się w zawziętych górskich bojowników - bronili swoich rodzin i domów. Ich bojowy duch rekompensował wszelkie braki techniczne, kiedy stawali w obliczu lepiej wyszkolonych regularnych żołnierzy. Na przestrzeni dziejów takie oddziały ochotnicze dowiodły swojej wartości, odpierając obcych najeźdźców. Tyrol był naturalną fortecą, którą tworzyły strome góry ciągnące się od włoskich wyżyn aż do doliny Dunaju w Bawarii. Jedyny dostęp zapewniała przełęcz Brenner. Starożytni Rzymianie docenili strategiczne znaczenie Tyrolu i wybudowali drogę, która

wije się przesmykami wyciętymi w alpejskich skałach przez siły natury. Ten, kto panował nad przełęczą, panował nad Tyrolem.

W 1767 roku pewnemu Sandwir? w Sankt Leonhard urodził się syn. Chłopiec został wychowany w bojaźni bożej, co Tyrolczycy nazywali Einheit von Denken und Glauben (jednością myśli i wiary). Podróżni, zatrzymujący się na noc w karczmie, przynosili wieści o rewolucyjnej gorączce, która ogarnęła część Europy. Hofer naprawdę wierzył, iż rewolucja jest dziełem Antychrysta. Mieszkańcy wioski wybrali 24-letniego Andreasa Hofera swoim przedstawicielem do tyrolskiego Landtagu4, gdzie dowiedział się, że w kwietniu 1792 roku francuski Konwent wypowiedział wojnę Austrii. Co to mogło oznaczać dla Tyrolczyków? Paryż dusił się w kleszczach jakobińskiego Terroru, a Tyrol leżał daleko od bitych traktów używanych przez armie. Gdyby Francuzi chcieli przenieść wojnę na teren Austrii, musieliby albo przejść przez Bawarię, albo wybrać drogę przez północne Włochy, ale z pewnością nie próbowaliby pokonać pokrytych śniegiem, niedostępnych gór.

Ten sposób rozumowania sprawdzał się, dopóki Francuzi nie weszli do doliny Padu i nie rozbili znacznie liczniejszych od siebie wojsk austriackich. Zamiarem generała Bonaparte5 było uderzyć w miękkie podbrzusze arcywroga, Austrii, od strony północnych włoskich równin, a w tym samym czasie inna armia francuska miała nacierać wzdłuż doliny Dunaju w kierunku Wiednia. Konieczność połączenia obu armii narzucała wybór trasy. Była tylko jedna możliwa droga - przez Tyrol.

Kiedy Hofer objął komendę, jego ludzie przypominali stado dzikich górskich kozic. Szli za dźwiękiem dzwonu, mieli swoje Stutzen i proch; reszta toczyła się własną koleją rzeczy. Pierwsza większa potyczka pomiędzy dobrze wyszkolonymi Francuzami a upartymi Schutzenverbaende Hofera omal nie zakończyła się ich sromotną klęską. Tyrolczycy byli słabsi liczebnie. Kiedy wszystko wydawało się stracone, Hofer dowiódł swojej odwagi: stał jak skała, gdy kule armatnie padały wokół niego. Francuscy żołnierze nie mogli wyjść z podziwu, że ci wieśniacy są ulepieni z twardszej gliny niż regularne wojska austriackie, rekrutowane na całym obszarze rozległego imperium habsburskiego i gotowe zdezerterować przy pierwszej sposobności. Zawzięci górale byli obywatelami swojego kraju, walczącymi za świętą sprawę. Uświadomiło to Francuzom, że mają przed sobą naród, który nie dba wcale o rewolucyjne zasady liberie i egalite; wręcz przeciwnie, ci wiejscy prostacy wierzyli tylko w Boga i cesarza, a francuski liberalizm z jego postępowymi ideami uważali za grzech śmiertelny. Dlatego wojna w górach Tyrolu przekształciła się szybko z konfliktu rewolucji z monarchicznym feudalizmem w zwalczanie narodowego ruchu patriotycznego. A na jego czele stanął Sandwirt Andreas Hofer, dla którego ojczyzna znaczyła więcej niż rodzina. Pierwsze bitwy nauczyły Hofera, że Tyrolczycy mogą zwyciężać, dopóki będą trzymać się swoich gór i atakować z zasadzki. A jeśli chodzi o bezpieczeństwo osobiste, mawiał: "Decyduje przeznaczenie!". Los miał rozstrzygnąć, czy kiedykolwiek wróci do domu.

Najmłodszy brat cesarza austriackiego, arcyksiążę Jan, docenił strategiczne znaczenie Tyrolu oraz fakt, że lokalne Schiitzenkompanien są lepiej przystosowane do 53 obrony własnego kraju niż armia cesarska przysłana z Wiednia. Latem 1804 roku arcyksiążę odwiedził dolinę Passei. "Gdy przejeżdżałem koło karczmy Sandwirt, zauważyłem postawnego mężczyznę z czarną brodą. Nie ukłonił się jak inni, a spojrzenie miał bystre i nieulękłe"6. Arcyksiążę Jan wiedział, że Hofer nie jest wichrzycielem pokroju Dantona, lecz zasługującym na zaufanie tyrolskim chłopem, prawdziwym patriotą. Podczas poufnych rozmów opracowali szczegółowy plan Tiroler Erhebung, czyli powstania tyrolskiego. Nie był to spontaniczny zryw ludzi, którzy zostali pozbawieni swoich praw religijnych, lecz starannie zaplanowana, kierowana przez dwór cesarski w Wiedniu akcja polityczno-wojskowa. Pod wpływem euforii wywołanej zwycięstwami Austrii nad Napoleonem pod Aspern i Essling cesarz Franciszek I wydał edykt nazywany Biletem Wolkersdorfskim: "Moi Tyrolczycy, niniejszym oświadczam uroczyście, że nigdy nie podpiszę traktatu pokojowego, który nie zwiąże na zawsze Tyrolu z Moją Monarchią". 6 lipca 1809 roku Napoleon pomścił swoją porażkę pod Aspern, odnosząc wspaniałe zwycięstwo pod Wagram, a cesarz austriacki poprosił o pokój. Artykuł 4. porozumienia pokojowego głosił: "Wojska austriackie muszą niezwłocznie opuścić Tyrol". Habsburski cesarz złamał obietnicę złożoną wiernym Tyrolczykom i historia potoczyła się własną koleją.

Uwolniony od austriackiego zagrożenia Napoleon postanowił zgnieść raz na zawsze wszystkie bunty w swoim wielkim imperium. Tyrol zajmował pierwsze miejsce na jego liście. Polecił Lefebvreowi: "Marszałku, bądź okrutny i bezlitosny". I wydał szczegółowe instrukcje, wyjątkowo brutalne jak na człowieka, który aż do tej pory unikał taktyki spalonej ziemi: "Rozkazuję ci spalić sześć miast i utopić ten kraj we krwi, jeśli Tyrolczycy nie wydadzą 18 000 muszkietów". Wydając ten rozkaz, Napoleon odsłonił wreszcie swoje prawdziwe oblicze. 13 sierpnia 1809 roku marszałek Pierre Lefebvre wkroczył do Innsbrucku na czele 30 000 Francuzów, Bawarczyków i Sasów.

Ten dzień zapisał się w annałach wojen napoleońskich. Wczesnym rankiem księża odprawili mszę za Tyrolczyków wyruszających do bitwy. Hofer spotkał się z dowódcami. "Czy jesteście wszyscy, Tyrolczycy? Chodźmy zatem. Wysłuchaliście mszy, wypiliście sznapsa, a więc, w imię Boże, chodźmy strzelać do Francuzów!". Z tymi prostymi słowami poszli do największej bitwy w swoim życiu.

Zanim tysiące uzbrojonych chłopów dotarły do grzbietu Bergisel, wzeszło słońce. Kryształowo czyste górskie niebo zapowiadało piękny dzień. Ukochany Innsbruck Hoffera wyglądał w dole jak zabawka, a pole bitwy rozpościerało się niczym żywa mapa. Wróg dobrze przygotował się do obrony. Hofer miał przed oczami najbardziej przerażający widok, jaki w życiu oglądał, zwarte szeregi ustawionych w idealnym szyku żołnierzy, napotężniejszego wroga, jaki kiedykolwiek najechał jego kraj. Były tam długie linie piechoty, najeżone bagnetami, które połyskiwały we wczesnych promieniach słońca. Przed nimi stały ciężkie francuskie działa, straszliwe spiżowe "napoleony" wraz z obsługą i zgrabnymi piramidami kul armatnich. Na flankach zajmowały pozycje regimenty chevaulegers (lekkiej jazdy), a rolę oddziałów uderzeniowych pełniła najgroźniejsza broń Napoleona - elitarne szwadrony cuirassiers de la garde, jego ukochani chłopcy w wypolerowanych, lśniących jak lustra pancerzach. Co on, Herr Oberkommandant, mógł przeciwstawić tej świetnie wyszkolonej, zdyscyplinowanej 54 potędze? Bezładną gromadę wieśniaków, z których połowa była uzbrojona w pałki i widły, a druga połowa nie miała butów.

Atak rozpoczął się z doliny rzeki Inn i spłynął w dół górskimi zboczami. Tyrolczycy nie okazali strachu w obliczu francuskiej artylerii i ruszyli do boju jak dobrze wyszkoleni żołnierze, a nie banda rozjuszonych dzikusów. Wspólnym przeznaczeniem Tyrolczyków było walczyć z wrogiem, który zagrażał ich Kościołowi i wierze. Czcili Boga, składając ofiarę z krwi własnej i krwi przeciwnika. Atakowali z muszkietami i szablami, siekierami i pałkami, i mężnie umierali. Hofer rzucił się w wir najzaciętszej walki, niepomny grożącego

niebezpieczeństwa, jakby krwawa rzeź nie dotyczyła jego. W najważniejszej bitwie swojego życia był tym, czego Tyrolczycy potrzebowali najbardziej - uosobieniem niewzruszonej pewności siebie. "Tyrolczycy - wołał - ruszajmy na nich!".

Biegli i padali. Kryli się w każdym rowie, za każdym grzbietem, każdą kępą drzew. Żony i córki, równie twarde jak ich mężczyźni, ładowały muszkiety i zabierały rannych z linii ognia. Zręczny manewr 15. Kompanii Schiitzen przyparł Francuzów do rzeki Inn, natomiast na otwartej równinie Tyrolczycy ponieśli dotkliwą porażkę, kiedy szarża dragonów rozczłonkowała ich szeregi. Wściekły kontratak ojca Haspingera ustabilizował sytuację, lecz niebawem jego ludzi spotkała katastrofa. Na otwartym polu zdziesiątkował ich ogień francuskich kartaczownic. Bawarczycy nacierali i umierali. Grupy Tyrolczyków podkradały się do linii Lefebvrea, używając rowów i wąwozów w charakterze osłony. Spadali potem z wielu miejsc jednocześnie na stojące w idealnym szyku regimenty lub czekali, aż Francuzi wystrzelą, a później biegli naprzód, by związać przeciwnika walką wręcz.

Obie strony ponosiły ciężkie straty i przez dłuższy czas bitwa wydawała się nie rozstrzygnięta. Nagle w środku linii Hofera powstała wyrwa. Tylko jego osobisty przykład powstrzymał uciekających Tyrolczyków. Hofer sparował pchnięcie bagnetem francuskiego gwardzisty, chwycił przeciwnika za mundur na piersiach, kopnął go w pachwinę, a kiedy Francuz zwinął się z bólu, powalił go kolbą swego Stutzen. Ojciec Haspinger wzniósł krucyfiks, przeklął rewolucyjną Francję, dzieło Antychrysta, i ruszył na czele swoich ludzi do ostatniego, desperackiego natarcia na osłabioną bawarską flankę. Tyrolczycy biegli krzycząc, wyjąc, wywijając sierpami i widłami, ale nie mogli sforsować muru bawarskich bagnetów. Kiedy wszystko wydawało się stracone, pojawiły się świeże Haufen. Ich oskrzydlający atak zmusił francuskie kolumny do odwrotu. Kolejny Haufen uderzył na wojska Lefebvrea od tyłu. Hofer wymachiwał kapeluszem, rzucając wszystkich zdolnych do walki ludzi na bawarskie pozycje. Droga do

Innsbrucku została zasłana trupami. Tu i ówdzie, w kaplicy lub ufortyfikowanym domu, broniły się jeszcze małe grupki nieprzyjaciół, ale bitwa była wygrana. Ściemniało się już, kiedy walka dobiegła końca. Trwała 12 godzin.

Tyrolscy górale zgotowali swemu wodzowi owację. Hofer ukląkł, wskazał na niebo i wypowiedział nieśmiertelne zdanie: "Nie ja, nie wy, tylko Najwyższy!".

Regent von Tirol, jak nazywali Hofera ludzie, został zdradzony. Cesarz Austrii podpisał traktat pokojowy, w którym zrzekł się Tyrolu. Napoleon wysłał ogromne siły 55 z Bawarii, Salzburga i Włoch, by rozprawić się z rebelią. W dniu Wszystkich Świętych, 1 listopada 1809 roku, Hofer stoczył swoją ostatnią bitwę. Jego ludzie walczyli nawet wówczas, gdy zgasła wszelka nadzieja. Andreas Hofer przyglądał się bezradnie, jak rozwiewa się jego marzenie

0 Tyrolu wolnym od obcego ucisku. Francuska kampania przekształciła się w polowanie na ludzi, prowadzone w sposób bezwzględny i podstępny. Każdy schwytany partyzancki przywódca był natychmiast karany śmiercią. Napoleon rozkazał ich wieszać. Hofer, najbardziej poszukiwany, przepadł bez wieści. Za jego pojmanie - żywego lub martwego - wyznaczono nagrodę w wysokości 1500 guldenów.

W wysokich Alpach jesień, która przyniosła tyle goryczy, dobiegła końca. Chłodne noce zapowiadały nadejście jeszcze chłodniejszych dni. Lód skuł stawy na pastwiskach. Zbliżała się zima. W wietrznych dolinach panował już mróz. Garstka wiernych Hoferowi ludzi zebrała się, by omówić plan ucieczki. Jeden z nich sięgnął za pazuchę i wyciągnął postrzępioną, splamioną krwią tyrolską flagę. Jej opłakany stan zdawał się symbolem położenia, w jakim się znaleźli. Większość stronników Hofera uciekła w bezpieczne miejsce jeszcze przed pierwszymi śniegami. Przywódca powstania postanowił wrócić do domu. Ukrywał się w Pflanderalm, zaledwie kilka godzin wspinaczki od karczmy Sandwirt. Gdy w dniu Bożego Narodzenia

1809 roku odwiedziła go żona z synem, odzyskał nadzieję, że nie wszystko jeszcze stracone. Był pewien, że postąpił słusznie, nie decydując się na ucieczkę.

W połowie stycznia 1810 roku, kiedy wczesny zimowy zmierzch gęstniał już pod okapem lasu, górskim zboczem wspinał się samotny człowiek. Ukrył się pod osłoną drzew i czekał tak długo, aż w końcu jego cierpliwość została nagrodzona. Dostrzegł rysującą się wyraźnie na tle wieczornego nieba ciemną postać w kapeluszu z szerokim rondem. To był Andreas Hofer, nie miał co do tego wątpliwości. Sandwirt stał w milczeniu, rozkoszując się czystym górskim powietrzem. Zdjął kapelusz i ściskał go w dłoni. Ów kapelusz był niegdyś jego koroną; symbolizował to, co odeszło, władzę, której już nie miał.

Był to smutny dzień dla Tyrolu, kiedy przyszli po Andreasa Hofera. Człowiekiem, który go śledził

1 doniósł o miejscu jego pobytu Francuzom, był wieśniak, niejaki Franz Raffl. Za 1500 srebrników Tyrolczyk zdradził innego Tyrolczyka. Niedługo potem "Judasza z Tyrolu" znaleziono powieszonego na drzewie. Oficjalny komunikat mówił o samobójstwie, ale nikt nie wierzył w oficjalne komunikaty. Hofer został zamknięty w żelaznej klatce. Grupki wieśniaków ze łzami w oczach gromadziły się wzdłuż drogi, którą go wieziono. Jakieś dziecko podbiegło do klatki i przecisnęło rączkę przez pręty, by wręczyć mu bukiet uschniętych górskich kwiatów. Szarotki, czyste i białe jak dziewiczy śnieg, dowód miłości, który z wdzięcznością przyjął. Nie, Tyrolczycy nie zapomnieli o nim, jego monarcha też nie. Cesarz Franciszek nigdy nie pozwoli mu umrzeć.

Popatrzył po raz ostatni na pokryte śniegiem górskie szczyty, nim zamknięto go w ciemnych murach twierdzy Mantui.

Wreszcie zaczął rozumieć, w jakiej znalazł się sytuacji. Arcyksiążę Jan pojechał na spotkanie z hrabią Metternichem, prawdziwym

władcą Austrii. Metternich spiskował przeciwko Napoleonowi. Austria potrzebowała czasu, by odbudować swą armię i odnowić sojusze. Ceną, jaką musiała za to zapłacić, był Andreas Hofer. Nie będzie 56 dla niego ratunku, nie będzie odroczenia; jest zapomnianym zakładnikiem, pionkiem na szachownicy dwóch cesarzy. Wojskowy gubernator Mantui, generał Pierre Francois Bisson, otrzymał wiadomość od swego władcy: "Rozkazuje zwołać sąd wojenny i rozstrzelać go. Sprawę należy zakończyć w ciągu 24 godzin. Napoleon". Bisson podziwiał dzielnego przeciwnika, ale nie mógł się sprzeciwić rozkazom cesarza. Zachował jednak pozory legalności i zapewnił więźniowi obrońcę, doktora Joachima Baseviego.

Rozprawa została otwarta, odczytano akt oskarżenia: "Andreas Hofer, przywódca tyrolskich powstańców, banita, który zbuntował się przeciwko prawowitemu władcy, królowi Bawarii...".

"Moim władcą jest cesarz Austrii...".

"Cisza!" - zagrzmiał sędzia.

Doktor Basevi nazwał Hofera ofiarą cudzych machinacji i oświadczył, że winnych należy szukać w Wiedniu. Sędziowie trybunału wojskowego wydali werdykt bez dyskusji i jednogłośnie: "W imieniu Jego Wysokości Cesarza Francuzów, zgodnie z artykułem 2. edyktu z 12 listopada 1809 roku, oskarżony Andreas Hofer zostaje skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok jest prawomocny". Poranek w dniu jego śmierci, 20 lutego 1810 roku, był szary, ponury. Na dźwięk kroków Hofer poderwał się na nogi. Do celi wszedł ksiądz z krucyfiksem w jednym ręku i Biblią w drugim. Łzy rozpaczy popłynęły z oczu tego silnego, nieugiętego człowieka, kiedy pojął wreszcie ogrom zdrady, jakiej się wobec niego dopuszczono. Kiedy ksiądz modlił się spokojnym głosem, polecając potępioną duszę łasce bożej, Hofer wspominał poświęcenie swoich ludzi dla Boga i cesarza. Czuł rozgoryczenie, gniew. Tylu dzielnych ludzi oddało życie za sprawę. Wierzyli, że on

poprowadzi ich do zwycięstwa. Prosty karczmarz przeciwko najbłyskotliwszemu geniuszowi wojskowemu tamtych czasów. Nierówna walka. Skreślił pożegnalną notatkę: "Jest wolą Boga, abym zamienił żywot doczesny na wieczny. Żegnajcie do czasu, kiedy wszyscy znów spotkamy się w niebie, i chwalcie Pana".

Kiedy Hofer wychodził z bramy więzienia, słońce przebiło się przez chmury. Za skazańcem szedł ksiądz od świętej Barbary, który wręczył mu mały drewniany krzyżyk, aby pocieszyć go na ostatnią drogę. Inni więźniowie, od buntownika do pospolitego złodzieja, przyciskali twarze do okiennych krat, krzyczeli, dodając mu otuchy. Hofer przeszedł przez Porta Ceresa z podniesioną wysoko głową i krucyfiksem zaciśniętym w ogromnej pięści - zwykłym krzyżykiem, który miał się stać symbolem oporu. Po Europie zaczęły niebawem krążyć liczne odbitki słynnego rysunku Egzekucja Andreasa Hoferal, ukazującego ostatnią drogę bohatera z krucyfiksem w dłoni. Do ludzi bardziej to przemawiało niż jakakolwiek wywrotowa literatura.

Hofer stanął na wzgórzu pod murem fortecznym. Dwunastu grenadierów z białymi, krzyżującymi się na piersi bandolierami, w granatowych płaszczach i wysokich, futrzanych czapach gwardii wystąpiło naprzód. Oficer zaproponował skazańcowi opaskę na oczy. Hofer pokręcił przecząco głową. Patrzył na odległe, pokryte śniegiem górskie szczyty połyskujące w pierwszych promieniach słońca. "Żegnam cię, mój przepiękny Tyrolu. Pozostałem ci wierny". Były to ostatnie słowa tego dzielnego człowieka. Na chwilę jego oczy spotkały się ze wzrokiem oficera. Młody kapitan wyprężył 57

się i zasalutował, a potem szczeknął krótką komendę. Sześciu ludzi przyklękło, sześciu ustawiło się za nimi. "Cel!". Na dźwięk werbla pluton podniósł broń. Andreas Hofer popatrzył prosto na nich i krzyknął: "Ognia!". Salwa z 12 muszkietów odbiła się echem od murów. Hofer osunął się na ziemię. Sierżant Michel Eiffel podszedł do śmiertelnie rannego człowieka. Zabrzmiał ostatni wystrzał.

Usłyszano go w dolinach Tyrolu, usłyszano w Austrii, w Niemczech i wszędzie tam, gdzie niewoliła narody żelazna pięść ucisku.

I ludzie zaczęli powstawać, wciąż ich przybywało...

A potem...

Powstanie tyrolskie nie było wielkim wkładem w walkę o prawa człowieka. Obie strony popełniały okrucieństwa; jedna na rozkaz cesarza, który dążył do osiągnięcia swych strategicznych celów, a druga dlatego, że wieśniacy po prostu nie wiedzieli, co czynią. Ich przywódcy też nie byli wzorem cnót. Wielu z nich kierowało się zawiścią i nie stroniło od intryg. Niemałą rolę odgrywał też alkohol. Nawet Andreas Hofer stał się znany jako "człowiek z różańcem i butelką". Z pewnością był najlepszym spośród nich, człowiekiem wielkiej odwagi, uczciwości i zdolnym do zachowania spokoju w najcięższych chwilach. Fakt, że nie był geniuszem wojskowym, nie miał większego znaczenia; był człowiekiem z ludu, który przemawiał do górali zrozumiałym dla nich językiem. Hofer czerpał swą strategiczną mądrość z twardego życia w górach, co pozwoliło mu przekuć gromadę wioskowych indywidualistów w zwartą siłę bojową. Dla tych wolnych ludzi, mieszkających w solidnych kamiennych domach, ze stadami krów w oborach, z winnicami i drzewami owocowymi porastającymi szeroką dolinę Etsch, bunt nie był podyktowany koniecznością ekonomiczną ani potrzebą przemian społecznych. Walczyli o wspólną sprawę - nie dającą się pogodzić z nową rewolucyjną ideą liberie. Prowadzili świętą krucjatę, by utrzymać tradycyjne związki z monarchią i zachować swą głęboko zakorzenioną, fundamentalną wiarę w Święty Kościół Rzymski i jego obrońcę, austriackiego cesarza.

Tyrol był krajem, gdzie każda chata stawała się twierdzą, każdy wieśniak partyzantem, każdy karczmarz i ksiądz przywódcą. Tropili nieprzyjaciela w taki sam sposób, w jaki podchodzili dzikie górskie kozice: po cichu, skrycie. Weterani spod Austerlitz i Eylau nigdy nie zrozumieli taktyki Tyrolczyków; raz po raz nacierali z nastawionymi

bagnetami na ludzi, którzy ciskali na nich kamienie ze szczytów skał. Andreas Hofer był natchnionym, bogobojnym przywódcą, wiernym tylko swemu cesarzowi i ojczyźnie. Jego wielkości można dopatrywać się w tym, że zdołał utrzymać morale swoich szczupłych sił w obliczu przygniatającej przewagi nieprzyjaciela. Ten cichy, skromny wieśniak osiągnął to, co bezskutecznie próbowali osiągnąć austriaccy i rosyjscy generałowie. Taki człowiek nie mógł przegrać, dopóki nie zdradził go któryś ze swoich. Bardzo wymowny jest fakt, że Napoleon oddał mu ostatni hołd; zapytany, co uważa za swój największy błąd, odparł: "Mój rozkaz dotyczący egzekucji tego tyrolskiego

wieśniaka. Stworzyłem męczennika. Jego śmierć zjednoczyła ludy Europy Środkowej przeciwko mnie". Dzięki nieustępliwości, z jaką Hofer walczył o to, co uważał za słuszne, legenda Tiroler Erhebung rosła i stała się inspiracją dla całego kontynentu. Sprawiedliwa walka Tyrolu z "korsykańską tyranią" przekształciła się w symbol jednoczący Europę. Z tego zrodziła się nowa koalicja. Narody odłożyły na bok swoje spory i połączyły siły przeciwko francuskiemu cesarzowi. Trzy lata po męczeńskiej śmierci Hofera Bawaria sprzymierzyła się z Austrią, by pokonać Napoleona w Bitwie Narodów pod Lipskiem. W następnym roku Kongres Wiedeński przyłączył ponownie Tyrol do Austrii. Pozostają zjednoczone do dziś.

Wszyscy przywódcy heroicznych zrywów, podnoszący otwarty bunt przeciwko uzurpatorowi, gotowi poświęcić życie w imię sprawiedliwości i wolności, kładą fundament pod osobistą legendę, która przetrwa po wieczne czasy. Tak właśnie się stało w przypadku karczmarza z Sankt Leonhard. Pierwszą pieśnią, jakiej uczy się każde austriackie dziecko, jest hymn na cześć niezłomnego Tyrolu i jego wielkiego bohatera, Andreasa Hofera.

Interludium 1815-1910

Koniec wojen napoleońskich nie zapewnił światu pokoju. Kiedy Kongres Wiedeński tańczył, a Metternich i inni dyplomaci parcelowali Europę, na odległym lądzie gromadziły się burzowe chmury. Rewolucyjna filozofia Jeana-Jacquesa Rousseau, słabnąca pozycja Kościoła katolickiego i militarne zwycięstwa Napoleona nad kruszącymi się monarchiami Europy - a zwłaszcza upadek domu królewskiego Hiszpanii - miały wywrzeć znaczący wpływ na hiszpański Nowy Świat. Przypadkowe spotkanie w Wenezueli zmieniło losy kontynentu.

W 1810 roku spotkali się w Caracas dwaj liberalni myśliciele. Jednym z nich był niemiecki naukowiec i podróżnik baron Alexander von Humboldt; drugim - zamożny wenezuelski szlachcic Simon Bolivar. Pochodnia buntu została zapalona. 19 kwietnia 1810 roku Simon Bolivar rozpoczął swoją karierę wyzwoliciela całej półkuli, usuwając hiszpańskiego gubernatora Wenezueli. W 1829 roku el grande liberator Simon Bolivar zmarł jako człowiek o złamanym sercu, wypowiadając przed śmiercią prorocze słowa: "Kto służy rewolucji, próbuje zaorać morze".

Kiedy w Europie szerzyły się niepokoje i kiedy Ameryka Północna miotała się w konwulsjach krwawej wojny domowej, cesarz Napoleon III tworzył niestrudzenie francuskie imperium kolonialne. Zaczął mieszać się w sprawy zamorskie, najpierw na afrykańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego, a później w Ameryce Łacińskiej. Wbrew woli Meksykanów wyprawił do Meksyku miłego, nieszkodliwego austriackiego arcyksięcia jako swoją marionetkę. 19 czerwca 1867 roku habsburski arcyksiążę Maksymilian, który z łaski Francji był przez trzy lata cesarzem Meksyku, stanął w Queretaro

przed 7-osobowym plutonem egzekucyjnym i umarł ze słowami: "Niech moja krew popłynie dla dobra tego kraju. Viva Mexico!". Benito Juarez, rewolucyjny przywódca, pragnął udzielić europejskim mocarstwom lekcji i pozostał głuchy na apele o łaskę.

Zaprzysiężono go jako prezydenta Meksyku i przez 30 lat kraj rozkwitał. Meksyk wkraczał w XX wiek z optymizmem nieznanym w poprzednim okresie. Do kraju napływały amerykańskie pieniądze, a postęp wydawał się pewny i nieograniczony. W 1910 roku, kiedy w salach balowych świata pojawił się po raz pierwszy nowy latynoamerykański taniec, tango, meksykański pokój dobiegł końca.

"Jeszcze jedno z tych głupich latynoamerykańskich koszarowych powstań" - mówili beztroscy sąsiedzi, uśmiechali się. Ale było to coś więcej, znacznie więcej. To, co nastąpiło podczas pierwszego w nowym stuleciu przewrotu społecznego, nie ma chyba odpowiednika w czasach współczesnych. W kraju, gdzie śmierć była traktowana jako zjawisko całkiem normalne, przekuwanie feudalnego społeczeństwa w nowoczesny naród miało wysoką cenę. Nie tylko dla Meksyku, lecz dla całego świata. Ponieważ to "głupie koszarowe powstanie" wciągnęło Stany Zjednoczone w wojnę światową.

18 listopada 1910 roku Viva Mexico!

"Lepiej umrzeć stojąc, niż żyć na kolanach". Emiliano Zapala, 1910

O2.10 po południu, 10 kwietnia 1919 roku mężczyzna ubrany w czarną opończę charro, przystrojoną teatralnie srebrnymi monetami, na której miał skrzyżowane bandoliery, z twarzą ginącą w cieniu wielkiego sombrero, wjechał na białym ogierze przez bramę hacjendy Chimaneca. Na dziedzińcu stała w zwartym szeregu kompania honorowa. Na rozkaz żołnierze zaprezentowali broń. W gorące pustynne niebo wzbił się pierwszy dźwięk sygnału granego na trąbce, słynnego od czasów wojny Meksyku z Teksasem. Non pardon - bez litości. Jeździec zeskoczył z siodła, by przywitać się z pułkownikiem. Potem cofnął się i zasalutował kompanii honorowej. Ostatnia nuta sygnału zabrzmiała przeciągłym, zawodzącym dźwiękiem, który na chwilę zawisł w powietrzu. Na ten znak żołnierze podnieśli raptownie karabiny do ramienia i strzelili z bliskiej odległości do znakomitego gościa. Mężczyzna osunął się powoli na ziemię.

Emiliano Zapata, wielki meksykański rewolucjonista, nie żył.

Wiele lat później, ilekroć Doroteo Arango patrzył na swoją broń, przypominał sobie tamtą koszmarną noc, gdy miał 16 lat. Po całym dniu wycinania trzciny na polach hacendado (właściciela ziemskiego) Durangol wrócił do rodzinnej chaty i zastał siostrę leżącą na podłodze, w podartej bawełnianej bieliźnie, z zapuchniętymi oczami. Została brutalnie zgwałcona przez syna hacendado. Z rozdzierającym krzykiem Doroteo wybiegł z chaty. Potem, pewnej księżycowej nocy, zaczaił się na gwałciciela. "Ola, mestizo2, z drogi" - warknął młody człowiek, którego ojciec był właścicielem

całej ziemi i mieszkających na niej peonów (robotników). Chciał kopnąć napastnika butem do konnej jazdy, lecz muskularne ręce ściągnęły go z konia. Nie zdążył nawet krzyknąć, kiedy dosięgła go maczeta. Doroteo Arango zostawił rannego, by wykrwawił się na śmierć na poboczu drogi.

Było to coś strasznego, niesłychanego; chłop ośmielił się zabić syna swego pana. Niepotrzebny żaden sąd, należy jak najszybciej wymierzyć sprawiedliwość; zarzucić mu sznur na szyję i niech kruki zrobią resztę. Na drzwiach wszystkich kościołów w prowincji Rio Grande pojawiły się listy gończe. Za informacje, które pomogłyby w schwytaniu zbiega, "żywego lub martwego", oferowano 1000 złotych pesos. Ale nigdy nie został schwytany. Doroteo Arango, vengador (mściciel) honoru swej siostry, uciekł w góry, gdzie dołączył do bandy wyrzutków rabujących właścicieli ziemskich i napadających na banki. Okazało się, że młody uciekinier ma wrodzone zdolności przywódcze. Z czarnymi, smutnymi oczami, opadającymi wąsami i krótkimi, krzywymi nogami wyglądał bardziej na ociężałego wieśniaka niż na bandytę. Ale pozory zewnętrzne mogą być zwodnicze. Planował każdy napad z przebiegłością kojota, a w miarę jak dokonywał coraz bardziej zuchwałych wyczynów, rosła też jego sława. Ten człowiek, zdolny do dzikich, nieprzewidywalnych zachowań, znany jest milionom ludzi na całym świecie pod przybranym nazwiskiem jako Francisco "Pancho" Villa.

Pancho Villa i Emiliano Zapata ucieleśniali szaleństwo i okrucieństwo szerzące się w Meksyku w ciągu następnych 10 lat, dekady morderstw, egzekucji i zdrad. W takie akty przemocy obfitują wszystkie wojny domowe, wpływając w znacznym stopniu na ich złowieszczy charakter, gdy zbrodnie popełnia się całkowicie niepotrzebnie i bezkarnie.

W 1910 roku Meksyk był krajem właścicieli ziemskich i poddanych chłopów. Państwem rządził pozbawiony skrupułów dyktator Porfirio Diaz, którego aparat administracyjny wysysał krew prostego ludu. Po 30 latach sprawowania absolutnej władzy Diaz pozwolił sobie zlekceważyć zwiastuny nadciągającego huraganu rewolucyjnego. Kraj stał w obliczu bankructwa, jego rząd nurzał się w "administracyjnej prostytucji i korupcji, a skarbu państwa nigdy nie okradano bardziej otwarcie i bezwstydnie"3. W 1910 roku skończyła się kadencja prezydenta i Diaz ogłosił nowe wybory. Na czele opozycyjnej Partii Antyreelekcyjnej stał Francisco Indalecio Madero. "Ten kraj dojrzał do demokracji. Już czas, by Diaz zrzekł się władzy". Diaz wykorzystał tę wypowiedź jako pretekst do aresztowania rywala. Kiedy oddział policji przybył do jego domu, Madero wymknął się tylnym wyjściem i uciekł do San Antonio w Teksasie, skąd w tak zwanym Manifeście z San Luis Potosi rzucił wezwanie do powstania zbrojnego.

Pierwsze strzały rewolucji meksykańskiej padły 18 listopada 1910 roku, podczas nieudolnej próby aresztowania Aquilesa Serdana, jednego ze współpracowników Madery. Akcja zakończyła się śmiercią Serdana i szefa miejscowej policji. Dwa dni później Madero przekroczył rzekę Rio Grande i wrócił do Meksyku, lecz nie udało mu się zdobyć społecznego poparcia. Uderzył jednak w dzwon rewolucji. Ci, którzy mieli 62

działać jako jego dowódcy wojskowi, usłyszeli wezwanie. Z gór na północy i z wiosek na południu nadciągali ludzie gotowi wzniecić rebelię. Z prowincji Morelos przybył człowiek otoczony największym szacunkiem, najsłynniejszy z nich wszystkich, smukły indio z

azjatyckim uśmiechem i mandaryńskim wąsem. Jego najbardziej uderzającą cechą były oczy, czarne i twarde jak obsydian. Tysiące podjęły jego zawołanie: "Lepiej umrzeć stojąc, niż żyć na kolanach!". Był to Emiliano Zapata. A z północy przybył Pancho Villa, który zaczynał swoją niezwykłą karierę z 15 zaledwie zwolennikami. W ciągu kilku tygodni siły Villi rozrosły się do 500 jeźdźców i Madero poprosił go, aby został "Generałem Rewolucji".

W swojej pierwszej akcji, pod San Andres, Pancho pokonał miejscowy garnizon i objawił swoją prawdziwą naturę; wszyscy pojmani oficerowie zostali rozstrzelani na miejscu, podobnie jak urzędnicy pocztowi, sędziowie i inni officiales Diaza. Zwykli żołnierze musieli dokonać wyboru pomiędzy natychmiastową egzekucją a przyłączeniem się do powstańców. Villa od początku przejawiał zaciekłą nienawiść rasową wobec każdego "nie-Meksykanina". Jego antypatia była skierowana nie tylko przeciwko właścicielom ziemskim, których uważał za hiszpańskich konkwistadorów, zaliczając ich do tej samej kategorii co amerykańskich gringos eksploatujących bogactwa naturalne kraju. Można znaleźć inne przykłady jego okrucieństwa w stosunku do cudzoziemców. Po zdobyciu Torreón jeden z jego ludzi zmarł po wypiciu przemycanego alkoholu. Ponieważ zdarzyło się to w chińskiej restauracji, Villa rozkazał zapędzić wszystkich Chińczyków na plac, przywiązać za warkoczyki do koni i wlec wzdłuż głównej ulicy4. Mimo tego rodzaju aktów niczym nieuzasadnionej przemocy El Revolución nabierała rozpędu. "Rudy" Lopez, złodziej bydła, który został powstańczym generałem, zaatakował Agua Prieta, miasto na granicy meksykańsko-teksaskiej. Trzej amerykańscy obserwatorzy, przyglądający się z drugiego brzegu rzeki, zostali zabici. Czwarty, dziennikarz, który zwrócił uwagę amerykańskiej opinii publicznej na "sprawę meksykańską", został ranny. Prezydent Stanów Zjednoczonych William Howard Taft wysłał nad granicę meksykańską 20 000 żołnierzy5. Obawiał się, nie bez podstaw, że obalenie Diaza doprowadzi do anarchii i pociągnie za sobą zniszczenie amerykańskiej własności w Meksyku. Nacjonaliści pokroju Pancho Villi uznali to posunięcie za amerykańską ingerencję w

wewnętrzne sprawy ich kraju. Amerykańska prasa publikowała jego gwałtowne antyamerykańskie wypowiedzi, co tylko wzmogło fascynację Amerykanów malowniczym revolucionańo. Wielu jankeskich poszukiwaczy przygód zaciągało się w jego szeregi. Jednym z nich był "Walczący Żyd" Sam Dreben, nowojorski makler, który okazał się ekspertem od materiałów wybuchowych i nazywał siebie "Dynamitowym Diabłem". Innym był teksaski poganiacz bydła, Tom Mix, który został później wielką gwiazdą westernów.

Wielu Amerykanów wspomagało rewolucję na różne sposoby. Typowym przykładem była sprawa spiżowego działa, pamiątki po amerykańskiej wojnie domowej, stojącym przed ratuszem w El Paso. Sympatycy Villi zdjęli działo z cokołu, przyczepili do samochodu i przeciągnęli przez most graniczny.

Miało odegrać istotną rolę w bitwie o Ciudad Juarez, strategiczny węzeł kolejowy. Madero, prawdziwy polityk, brzydził się rozlewem krwi i był gotów odwołać atak, kiedy pojawił się Villa. "To hańba wycofywać się bez walki" - oświadczył. Ustawił swoich ludzi w rowie irygacyjnym,

skąd zaczęli ostrzeliwać cuartel (fortecę) z suszonych na słońcu cegieł i domy w mieście. Kiedy Madero usłyszał strzały, przeraził się, myśląc, że to jego żołnierze zostali zaatakowani. Wysłał jednego ze swoich zastępców z białą flagą, by przerwać walkę. Parlamentariusz nie zaszedł daleko, ponieważ zastrzelili go ludzie Villi. Madero wpadł we wściekłość, lecz Villa nie okazał skruchy: "Czasem cywilny przywódca nie może zrozumieć tego, co jest oczywiste dla jego wojskowych podwładnych". W tym momencie pojawił się samochód holujący działo z El Paso. Pierwszy pocisk z działa w ogóle nie trafił w Ciudad Juarez. Drugi poszedł za wysoko, ale wybił dziurę w miejskiej wieży ciśnień. Brak wody zmusił w końcu garnizon federalny do kapitulacji. Zagraniczni obserwatorzy wojskowi, widząc po raz pierwszy armię Villi w bitwie, byli zbulwersowani

brakiem dyscypliny i nietypowymi metodami walki revolucionarios. Ilekroć rebelianci ruszali do ataku, biegli naprzód lub cofali się według własnego uznania. Stanowili niekarną zgraję hałaśliwych ludzi w białych bawełnianych colznes (chłopskich spodniach), walczących bez żadnego planu, bez jednolitego dowództwa, oszczędzających kule na masowe egzekucje, które nastąpiły po kapitulacji miasta. Kiedy nie mieli już ochoty walczyć, siadali w cieniu, aby coś zjeść, wypić lub uciąć sobie drzemkę. Była w tym jednak swoista logika. Podczas gdy oblężony garnizon nie dosypiał, tracąc bojowego ducha, rebelianci zawsze byli wypoczęci. O zachodzie słońca strzały cichły, ponieważ Meksykanie nigdy nie walczyli po ciemku6. W Ciudad Juarez przebiegły Pancho wymyślił nową taktykę, by oszczędzić swoich ludzi: kazał im wchodzić do pierwszego budynku w rzędzie domów, a następnie wysadzać dzielące je ściany dynamitem i w ten sposób torować sobie drogę do centrum miasta. Po dwóch dniach walk Ciudad Juarez wpadło w ręce zwolenników Villi. Zaczęła się grabież. Zwycięzcy paradowali po mieście w jedwabnych koszulach i skrzypiących nowych butach, afederales musieli grzebać swoich poległych we wspólnym grobie. Madero, który w żaden sposób nie przyczynił się do zwycięstwa, triumfalnie wjechał do miasta. Niebawem zaroiło się w nim od ludzi z obu stron granicy. Wielu Teksańczyków zabrało stąd na pamiątkę tyfus.

Po upadku Ciudad Juarez morale wojsk federalnych osłabło; większość miast poddawała się bez walki. Na obszarach wyzwolonych sympatycy Madery obejmowali funkcje administracyjne, a zwycięski motłoch Villi urządzał krwawe orgie. Wielki tłum zwolenników Madery zebrał się na Zocalo Plaża w stolicy kraju. Straż przyboczna Diaza umieściła na dachu Pałacu Narodowego karabiny maszynowe Maxim i otworzyła ogień do tłumu, zabijając 200 osób. Ta masakra oznaczała koniec panowania Diaza. Dyktator uciekł do Vera Cruz, gdzie wsiadł na pokład niemieckiego parowca "Ypiranga", który niebawem miał zdobyć złowieszczą sławę z zupełnie innego powodu. Madero powołał rząd tymczasowy, na którego czele stanął generał Francisco

Leon de la Barra. Kiedy politicos w stolicy rywalizowali o wpływy, dzieląc się ziemią i synekurami, Pancho Villa rozwiązał swoje oddziały, osiadł w Chihuahua i zajął się hodowlą bydła, które sprzedawano po drugiej stronie granicy, w Teksasie.

Emiliano Zapata okazał się poważnym wyzwaniem dla nowej kliki rządzącej. Generał de la Barra wysłał wojska federalne pod dowództwem generała Victoriano Huerty do prowincji Morelos, aby rozbroiły indios Zapaty. Biorąc pod uwagę wygórowane ambicje tego konserwatywnego generała, było to nierozsądne posunięcie, które

znów rozpaliło w kraju płomień wojny domowej. Madero szczerze wierzył, że uda mu się osiągnąć trwały pokój, i odwołał Huerte kilka dni przed wyborami powszechnymi. Madero został wybrany nowym prezydentem Meksyku. Podczas ceremonii zaprzysiężenia niemiecki ambasador szepnął na ucho swemu amerykańskiemu koledze: "Niech pan zapamięta moje słowa: w końcu będziecie musieli interweniować". Jak się okazało, miał słuszność.

Meksyk nie zaznał pokoju. Bezwzględny buntownik Pascual Orozco stanął na czele okrutnych coloradosl, zaprowadzając rządy terroru, gwałtu, rabunku i mordu. Ich ofiarą padła cała kolonia mormonów. Pancho Villa nie darzył Orozca sympatią; zamknął swój mięsny interes, zebrał 500 ludzi i ruszył na miasto Parral. Przez gońca wysłał dowódcy wojsk federalnych wiadomość: "Jeśli jest pan lojalny wobec prezydenta Madery, proszę wyjść i spotkać się ze mną. Jeśli nie, proszę wyjść i walczyć ze mną. Pancho Villa". Ta groźba wystarczyła, by otwarto przed nim bramy. Pewien gringo w służbie Villi, Tom Fountain, został schwytany przez colorados Orozca. Zamiast go rozstrzelać i narazić się na gwałtowny amerykański protest, Orozco wręczył mu srebrnego dolara i powiedział, że może iść i zjeść śniadanie. Na ulicy czekali oficerowie Orozca, którzy użyli Amerykanina jako celu ćwiczebnego. Później Orozco porwał

lokomotywę, napchał ją dynamitem i skierował na pociąg wiozący żołnierzy federalnych. Prezydent Madero był zmuszony przywrócić do służby znienawidzonego generała Victoriano Huerte, wysokiego mężczyznę o krótko przystrzyżonych włosach, w okularach w stalowej oprawce, by objął dowództwo nad wojskami federalnymi. Tym posunięciem Madero podpisał na siebie wyrok śmierci.

Victoriano Huerta, zdolny wojskowy, a zarazem łotr spod ciemnej gwiazdy, wkroczył do akcji. Zamierzał pozbyć się wszystkich revolucionarios, w tym również tych, którzy pozostawali lojalni wobec prezydenta. Pojmał zaskoczonego Pancho Villę i skazał go na śmierć pod zarzutem kradzieży konia. Kiedy Pancho Villę prowadzono pod ścianę8, do Huerty przybył posłaniec z wiadomością od prezydenta Madery, który wstrzymał egzekucję. W ten sposób Villa stał się jednym z niewielu ludzi, którzy stanęli przed meksykańskim plutonem egzekucyjnym i przeżyli, aby o tym opowiedzieć. "Kiedy stałem na placu, sierżant z plutonu podszedł do ściany i narysował na niej krzyż kredą. Potem kazał mi stanąć przed tym znakiem. Nie mogłem powstrzymać łez, które mnie dławiły. Sierżant pchnął mnie brutalnie pod ścianę. Upadłem na ziemię, udając, że błagam o łaskę, ale próbowałem tylko zyskać na czasie. «Dlaczego mam zostać rozstrzelany?! - krzyknąłem.

- Dobrze służyłem mojemu rządowi»".

Wstrząśniętego Villę sprowadzono przed oblicze generała Huerty, który popatrzył na niego przez okulary. "Dlaczego?" - spytał Pancho.

Huerta odpowiedział wyniosłym tonem: "To po prostu kwestia honoru". Honoru dżentelmena, białego oficera, który gardzi skromnym mestizo. Nie zaszczyciwszy więźnia ani jednym więcej spojrzeniem, Huerta odwrócił się i rozkazał odstawić Villę do więzienia wojskowego w Mexico City.

Kiedy generał Victoriano Huerta tłumił bunt Pascuala Orozca i umacniał w ten sposób własną pozycję jako męża opatrznościowego

Meksyku, Pancho Villa przekupił strażnika, by otworzył drzwi jego celi. W dniu Bożego Narodzenia 1912 roku wyszedł śmiało z więzienia, wsiadł do czekającego samochodu i wyjechał z miasta.

65

Wszystko szło dobrze, dopóki 40 kilometrów dalej nie natknęli się na posterunek wojskowy. Z typową dla siebie zuchwałością Pancho zachował się jak bogaty hacendado: "Poskarżę się waszemu pułkownikowi". Zmieszani żołnierze pozwolili mu przejechać. 2 stycznia 1913 roku przekroczył granicę amerykańską, by znaleźć schronienie w obskurnym hotelu w El Paso, gdzie udzielił wywiadu amerykańskim dziennikarzom.

W lutym 1913 roku w stolicy na nowo rozgorzała rewolucja. Ulice wyludniły się, gdy zaczęły strzelać działa i snajperzy. Prezydent Madero ściągnął dodatkowo 4000 żołnierzy do obrony Pałacu Narodowego. Wybrał jednak złego dowódcę. Generał Aureliano Blanquet, człowiek Huerty, wyciągnął rewolwer i wycelował go w pierś prezydenta: "Jest pan moim więźniem". Victoriano Huerta przybył do pałacu, by wysłać telegram: "Przejąłem władzę w kraju. Madero jest moim więźniem". Przez pałacową bramę wyjechały dwa samochody. W drugim znajdował się obalony prezydent. Kiedy konwój skręcił za róg i zniknął z oczu zgromadzonych fotografów, rozległy się strzały. Dziennikarze pobiegli w tamtą stronę i znaleźli Maderę leżącego bezwładnie na tylnym siedzeniu. Oficer dowodzący eskortą, kapitan Francisco Cardenas, złożył krótkie oświadczenie: "Madero nie żyje. Próbowano go odbić i został zastrzelony". Udziału Huerty w morderstwie nigdy nie udowodniono.

W Stanach Zjednoczonych odbyły się wybory. Liberalny prezydent Woodrow Wilson uważał 39-letniego Huertę za uzurpatora i mordercę legalnie wybranego prezydenta. Zamierzał ukarać go dla przykładu, by przywrócić wartości demokratyczne w całej Ameryce Łacińskiej. Nie musiał interweniować, wyręczył go gubernator stanu Coahuila, stając na czele ruchu

antyhuertowskiego. Innym człowiekiem, który zaangażował się w sprawę rewolucji, był 33-letni zamożny hacendado Alvaro Obregón, potomek słynnego rewolucjonisty Miguela Obregóna, lepiej znanego z czasów działalności w Irlandii jako Michael OBrien. Wrócił też Pancho Villa. Przeprawił się przez Rio Grande z ośmioma stronnikami. Sam dźwięk jego nazwiska przyciągał masy, nawet kobiety. Ilekroć jedna z tych solderadas traciła w bitwie swojego mężczyznę, najpierw płakała, a potem brała do łóżka innego mężczyznę. W Casas Grandes Villa pojmał 400 colorados, rozkazał ich ustawić w trzech szeregach, a następnie zastrzelić po trzech naraz, żeby oszczędzić cenne kule. Aby sfinansować operacje wojskowe, ludzie Villi kradli stada bydła i wymieniali je w Teksasie na broń i amunicję9.

Grand Venustiano Carranza zaproponował Metysowi Pancho Villi sojusz. Spotkali się ze sobą. "Pierwsze słowa, jakie wypowiedział do mnie Carranza - wspominał później Villa - zmroziły mi krew w żyłach. Od razu wiedziałem, że nie jest moim sojusznikiem, lecz rywalem". Armia Villi rosła; z ośmiu ludzi w krótkim czasie powiększyła się do 8000. Rekrutując ochotników, Villa nie czynił rozróżnienia pomiędzy szczerymi rewolucjonistami a obłąkanymi mordercami. Wymownym przykładem był Rodolfo Fierro, specjalista Villi od napadów na pociągi, krwiożerczy zbir.

Pewnego razu zastrzelił osobiście 300 colorados i przerywał egzekucję tylko dlatego, że od naciskania na spust zdrętwiał mu palec.

Następnym celem Villi stało się miasto Torreón, bronione przez 2000 federales Huerty i 3000 ochotników. Villa zdobył 13 dział, sześć karabinów maszynowych, 500 000 sztuk amunicji, pociąg pancerny i kilkadziesiąt lokomotyw. Schwytani oficerowie

zostali ustawieni pod ścianą i rozstrzelani. Villa nałożył podatek na bogatych obywateli miasta i rozdał pieniądze biednym, co zapewniło mu sławę Robin Hooda. Po zwycięstwie pod Torreón nie brakło środków transportu dla armii. Domem Villi i kwaterą główną Dywizji Północy stała się pomalowana na czerwono salonka kolejowa10. Villa przyjmował tu liczne amerykańskie ekipy filmowe, które chciały sfilmować legendarnego rewolucjonistę. Jego armia koczowała na każdym skrawku wolnej przestrzeni i na dachach wagonów kolejowych. Solderadas piekły swoim mężczyznom tortillę w paleniskach lokomotyw. W ciągu dnia mężczyźni nosili parasole, by chronić się przed słońcem, i strzelali do wszystkiego w zasięgu wzroku, od kaktusów do kojotów. Ci, którzy we śnie spadli z dachu wagonu, musieli czekać przy torach na następny "pociąg specjalny" Villi.

Kiedy podróżująca koleją armia siała zamęt w kraju, dyktatorowi Huercie zaczęło brakować ludzi. Jego werbownicy uciekali się do chytrych wybiegów, by zdobyć rekrutów. Pewnego razu zorganizowali pokaz filmów "tylko dla mężczyzn", a następnie pojmali widzów, ubrali ich w mundury i posłali przeciwko Villi, który zbliżał się już do Ciudad Juarez. Villa postanowił zająć graniczne miasto podstępem, wykazując przebiegłość i geniusz wojskowy. Wraz z dwoma ludźmi pojawił się na jednej ze stacji na linii Chihuahua-Ciudad Juarez, przyłożył telegrafiście pistolet do głowy i rozkazał nadać wiadomość do wojskowego komendanta miasta: LINIA DO CHIHUAHUA ZNISZCZONA, PRZYŚLIJCIE POCIĄG NAPRAWCZY. Kiedy zjawił się pociąg, telegrafista nadał drugą wiadomość: ZBLI ZA JA SIĘ BUNTOWNICY. JAKIE SA NOWE ROZKAZY? To wystarczyło. Pociąg kazano natychmiast zawrócić do Ciudad Juarez. Villa obsadził wagony swoimi ludźmi i jego koń trojański wjechał do centrum miasta. Jedyny poważny opór stawili amerykańscy gracze w kasynie, którzy bronili swoich dolarów. Villa zajął miasto, nie tracąc ani jednego człowieka. Aby pokazać Amerykanom za rzeką, że w mieście wszystko jest w porządku, rozkazał wziętej do niewoli orkiestrze wojskowej defilować wzdłuż brzegu i grać Gwiaździsty Sztandar".

Huerta wysłał swoje ostatnie rezerwy, lecz zanim zdążyły dotrzeć na miejsce, Rodolfo Fierro, zastępca Villi, zniszczył most kolejowy. Tierra Blanca wyglądała jak dekoracja do hollywoodzkiego westernu: tory kolejowe, ciągnące się przez bezkresną pustynię, zbiornik wody przy nasypie kolejowym; trzy domy, bar z wahadłowymi drzwiami i trzy osły przywiązane do słupa telegraficznego. Villa ukrył swoich ludzi za łańcuchem niskich wydm. Federales zachowali się dokładnie tak, jak przewidział Villa: zaatakowali nasyp kolejowy w zwartej masie. Villa

obserwował ich przez lornetkę. Kiedy podniósł rękę, działa otworzyły ogień. W powietrze wzbiły się fontanny piasku, a zza tej kurzawy wypadły hordy wrzeszczących dziko rebeliantów; całe kompanie federales porzucały broń i biegły w stronę pociągu, który stał pod parą na torach. Fierro pognał na koniu za uciekającym pociągiem. W najlepszym hollywoodzkim stylu zeskoczył z konia i przeskakiwał z dachu na dach, póki nie dotarł do lokomotywy, gdzie zastrzelił maszynistę i palacza. Wtedy pociągnął za dźwignię hamulca i zatrzymał skład. W bezsensownym akcie okrucieństwa ludzie Villi zmasakrowali wszystkich żołnierzy w pociągu. Villa usprawiedliwiał tę akcję przed wstrząśniętymi dziennikarzami amerykańskimi jako konieczność, która miała na celu "zasiać

takie przerażenie w sercach nieprzyjaciół, aby inni uciekali bez stawiania oporu". Z czysto wojskowego punktu widzenia założenie było słuszne - trzy dni później garnizon w Chihuahua poddał się bez jednego strzału, ale w kategoriach ludzkich akcji nie dawało się niczym usprawiedliwić. Resztki wojsk Huerty przepłynęły Rio Grande i zostały internowane w Fort Bliss w Teksasie.

Villa postanowił założyć w Chihuahua swoją kwaterę główną. Najpierw wyrzucił z miasta wszystkich Hiszpanów, ponieważ kojarzyli mu się z rico hacendados, klasą, której nienawidził od wczesnej młodości. Dwieście rodzin musiało przejść pieszo 500

kilometrów przez pustynię, w palącym słońcu, wśród jadowitych węży i ostrych kaktusów. Tylko nieliczni przeżyli ten "marsz śmierci do Torreón", znacząc swój szlak porzuconymi bagażami i ciałami najbliższych.

Villa wydawał własne gazety i wydrukował 2 miliony "pesos Villi". "Teraz mam tyle pieniędzy, ile potrzebuję" - chełpił się przed amerykańskim dziennikarzem, pokazując mu skrzynie wypchane nowiutkimi banknotami. Kazał swoim ludziom uruchomić elektrownię, młyn i centralę telefoniczną. "W czasie pokoju trzeba znaleźć żołnierzom jakieś zajęcie - stwierdził filozoficznie. - Próżnujący żołnierz zawsze myśli o wojnie i zabijaniu". Zachęcony skutecznym atakiem swojej kawalerii pod Tierra Blanca, przystąpił do formowania elitarnego korpusu, który nazwał doradosn, istotnego czynnika swoich przyszłych zwycięstw.

Wreszcie nastąpiło to, czego od dawna oczekiwano. Rewolucja meksykańska wkroczyła na scenę międzynarodową. Stało się tak głównie za sprawą nieprzemyślanych decyzji politycznych w Waszyngtonie, które wciągnęły Stany Zjednoczone w wojnę światową. Prezydent Woodrow Wilson wykonał zaskakujące posunięcie, uchylając embargo na dostawy broni dla buntowników Carranzy, a Niemcy natychmiast opowiedziały się po stronie prezydenta Huerty. Niemcy zręcznie wykorzystali akt Wilsona, przedstawiając go jako pierwszy krok Stanów Zjednoczonych w kierunku zaanektowania całego obszaru pomiędzy Teksasem a Panamą i uzyskania w ten sposób bezpośredniego dostępu do nowo wybudowanego Kanału Panamskiego. Ta opinia znalazła szeroki oddźwięk w Ameryce Łacińskiej i miała wywrzeć decydujący wpływ na politykę amerykańską w nadchodzących latach. Ciąg niepowiązanych ze sobą zdarzeń doprowadził do zaognienia sytuacji. Z Niemiec wypłynęły trzy statki z bronią dla meksykańskich federales: "Ypiranga", "Bavaria" i "Kronzprinzessin Cecilie". Niemieckie dostawy broni miały poważne reperkusje polityczne, ponieważ sprowokowały Stany Zjednoczone do obrony własnych interesów tak, jak definiowała je "doktryna Monroego".

Doktryna, sformułowana pierwotnie dla ochrony amerykańskich rynków w Ameryce Łacińskiej przed wpływami brytyjskimi, zakazywała państwom nieamerykańskim mieszania się w sprawy półkuli zachodniej. Pancho Villa działał nieświadomie na korzyść Niemiec. William Benton, przedsiębiorczy Szkot i wielki meksykański hodowca, oskarżył Villę o kradzież stad: "Zabierz swoich złodziei bydła i wynoś się z mojej ziemi". Nie był to język, do jakiego przywykł zapalczywy Pancho Villa, który rozkazał Rodolfowi Fierrowi zastrzelić Bentona. Zamordowanie obywatela brytyjskiego wywołało falę oburzenia, a Wielka Brytania

rozważała przysłanie swojej floty. Nic nie mogło bardziej ucieszyć Niemców w chwili, gdy chmury wojny wisiały złowieszczo nad Europą.

Kiedy Villa posuwał się na południe, Carranza prowadził swoje oddziały przeciwko federales Huerty w Tampico, gdzie stały na kotwicy okręty Piątej Eskadry Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych pod dowództwem admirała Henryego T. Mayo. Znajdował się tam również brytyjski okręt HMS "Hermione" i niemiecki krążownik "Dresden". "Incydent w Tampico" nie spowodowałby zapewne poważniejszych konsekwencji, gdyby nie upór amerykańskiego admirała. Załoga amerykańskiej łodzi, która zeszła na brzeg, aby uzupełnić paliwo, została aresztowana przez federales, po czym szybko zwolniona, a dowodzący amerykańską flotą admirał otrzymał stosowną notę z przeprosinami. Nieprzejednany Mayo domagał się jednak, aby nad Tampico wywieszono gwiaździsty sztandar i oddano salut z 21 dział. Biorąc pod uwagę błahość incydentu, meksykański komendant miasta odmówił. Wiadomość o incydencie dotarła do Waszyngtonu w tym samym czasie, gdy amerykański konsul w Vera Cruz zameldował, że do portu zbliża się niemiecki statek "Ypiranga", wiozący 200 karabinów maszynowych i 15 000 000 sztuk amunicji dla armii Huerty. Działając w podobny sposób, jak Brytyjczycy podczas

incydentu z kanonierką w Tangerze, Waszyngton rozkazał, aby amerykańska flota przechwyciła statek handlowy. Pancernik USS "Utah" zatrzymał "Ypirangę". Prezydent Wilson usprawiedliwiał ten akt piractwa rzekomym znieważeniem amerykańskiej flagi w Tampico: "Nie jestem zwolennikiem wojny, ale muszę dbać o godność Stanów Zjednoczonych". Sąsiednie kraje Ameryki Łacińskiej przyjęły te słowa z niepokojem.

21 kwietnia 1914 roku 3000 żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej zeszły na brzeg, aby zająć komorę celną i dworzec kolejowy w Vera Cruz, a federales Huerty musieli się wycofać. Jedynie kadeci akademii marynarki wojennej stawili opór i ponieśli straszliwe straty, ostrzelani z dział USS "Prairie", USS "Chester" i USS "San Francisco". Meksykanie stracili setki zabitych; straty amerykańskie wyniosły zaledwie 19 ludzi. Huerta zareagował zrozumiałym gniewem, a latynoamerykańskie gazety wezwały do oporu. Nawet Carranza, który mógł tylko skorzystać na amerykańskiej interwencji, ostrzegł Waszyngton, że Meksyk może zostać wciągnięty w niepotrzebny konflikt. Villa wpadł we wściekłość; zawsze nienawidził gringos, a teraz ośmielili się najechać jego kraj i mieszali się w sprawy, które ich nie dotyczyły. Mimo to komandor Tweedy z HMS "Essex" ruszył do Mexico City, by zagwarantować bezpieczeństwo 800 Amerykanom, a prezydent Wilson zarządził mobilizację amerykańskich sił zbrojnych. Dyktator Huerta, atakowany przez Amerykanów, nękany przez Zapatę i Villę, stanął w obliczu klęski.

Villa był teraz bohaterem chwili, jedyną nadzieją dla wszystkich wplątanych w zaciekłą bratobójczą wojnę, która ciążyła na ich przeszłości i zaciemniała przyszłość. Villa rozdawał żywność tłumom uchodźców, opuszczających swoje wioski, które nie mogły dłużej zapewnić im utrzymania i schronienia, nie mówiąc już o bezpieczeństwie. Jak zawsze, cywile cierpieli najbardziej. Choć za wszelką cenę próbowali uniknąć opowiadania się po którejkolwiek ze stron, pożerał ich moloch wojny. Jeśli odmawiali pomocy rewolucjonistom, byli zabijani bez litości. A jeśli pomagali

rewolucjonistom, zjawiali się federales i mordowali ich. Peoni dostali się w tryby maszynerii, która miażdżyła wszystko na swej drodze.

69

Pancho Villa znalazł się u szczytu popularności. Rozpoznawano wszędzie tego człowieka z pokaźnym brzuszkiem i opadającym wąsem i pozdrawiano entuzjastycznie okrzykiem: "Viva Villa!". Wzbudziło to szaloną zazdrość Carranzy. Rozkazał Villi, by wstrzymał marsz na stolicę, ponieważ obawiał się, że mestizo zdobędzie Pałac Narodowy i zagarnie prezydenturę dla siebie. Kiedy emisariusze Carranzy dostarczyli ten rozkaz, Villa wpadł w taką wściekłość, że polecił sprowadzić dwóch pojmanych oficerów Huerty. Spokojnie wyjął pistolet, zastrzelił obu i pozostawił ciała na słońcu, wyłącznie po to, by udzielić politicos stosownej lekcji. Na ten widok emisariusze Carranzy dostali mdłości, a Pancho warknął:, Jak wy, pijący czekoladę politycy, chcecie wygrać, nie oglądając nawet przesiąkniętych krwią pól bitewnych". Villa nie odpowiedział Carranzy na piśmie, lecz przesłał telegraficznie swoją rezygnację z funkcji dowódcy Północnej Armii Rewolucyjnej. Generał Angeles, zastępca Villi, dodał zdanie we własnym stylu: "Senor Carranza, jest pan sukinsynem". Oficerowie Villi zbuntowali się, nie chcąc przyjąć do wiadomości jego dymisji. Na czele 23 000 ludzi Pancho zaatakował Zacatecas, by zaopatrzyć swą armię w towary ze zdobytych magazynów federalnych13. Niebawem, ponieważ Villa zbliżał się do stolicy od Atlantyku na wschodzie, a Obregón od Pacyfiku na północy, Mexico City zostało wzięte w kleszcze. 17 lipca 1914 roku prezydent Huerta uciekł do Hiszpanii na pokładzie niemieckiego krążownika "Dresden", kilka dni przed tym, nim "mrok ogarnął całą Europę".

15 sierpnia generał Alvaro Obregón wyprzedził Pancho Villę w wyścigu do Mexico City. Jedyną samodzielną siłą rewolucyjną, z którą należało się jeszcze liczyć, pozostawał obecnie Emiliano Zapala. Żołnierze Carranzy trzymali oddziały Zapaty w szachu, a tymczasem Obregón, najsprytniejszy z rewolucyjnych

generałów, spotkał się z Villą, by sprowadzić go z powrotem do obozu Carranzy i ocalić w ten sposób rewolucyjną jedność. Villa zgodził się pod warunkiem, że Carranza ogłosi wybory powszechne i nie będzie się ubiegał o urząd prezydenta. Obregón przystał na to z ochotą, nie pytając nawet Carranzy o zdanie. Kiedy jedli razem obiad, nadeszła wiadomość, że zwolennicy Carranzy zaatakowali kolumnę wojsk Villi. Pancho poczerwieniał na twarzy, rozkazał pojmać Obregóna i sformować pluton egzekucyjny. Gdy jego ludzie stawiali Obregóna pod ścianą, Pancho uspokoił się i zamiast rozstrzelać potencjalnego rywala, zaproponował mu, żeby się razem napili, czego miał później gorzko żałować. "Los Meksyku jest w naszych rękach, pańskich i moich - powiedział Pancho. -Ja jestem tylko prostym peonem, ale pan jest człowiekiem wykształconym. A więc zostanie pan prezydentem". Uścisnęli sobie dłonie.

Wszyscy rewolucyjni przywódcy z wyjątkiem Obregóna spotkali się na Konwencji w Aguascalientes. Mianowali Villę naczelnym dowódcą sił Konwencji, w związku z czym Obregón poczuł się zmuszony zawrzeć sojusz z Carranzą i wypowiedzieć wojnę Villi. Pancho Villa odniósłby zwycięstwo, gdyby nie inne nieoczekiwane wydarzenie. Prezydent Wilson, nie wiedząc, którą stronę wesprzeć, rozkazał wycofać oddziały amerykańskie; Vera Cruz znalazło się w rękach Carranzy, stanowiąc bazę do jego dalszych operacji.

Wówczas wkroczył do akcji Emiliano Zapata. Jego "mali brązowi ludzie z pasami amunicyjnymi skrzyżowanymi na chudych torsach" zajęli Mexico City, gdzie pukali uprzejmie do drzwi, prosząc o jedzenie. Villa, aby nie dać się wymanewrować, również

ruszył na miasto. W wiejskiej szkole w Xochimilco, niedaleko Mexico City, doszło do historycznego spotkania dwóch słynnych rewolucjonistów. To dobrze udokumentowane i sfilmowane wydarzenie miało miejsce 6 grudnia 1914 roku. Po

braterskim abrazo nastąpiły gwałtowne targi, które zakończyły się, kiedy obaj osiągnęli porozumienie w jednej kwestii: wjadą do stolicy ramie w ramię. Poprowadzili 60 000 Convencionistas, by zgnieść Constitucionalistas Obregóna i

Carranzy. Uzgodniono, że Villa pomaszeruje na północ w kierunku Vera Cruz, a Zapata na południe z Puebla. Ani Zapata, ani Villa nie wywiązali się ze swoich obietnic. Obaj spędzili resztę grudnia na wesołych zabawach- Pancho w Mexico City, Zapata w Puebla. Bez walki, która dałaby zajęcie ich ludziom, ten czas bezczynności przerodził się w okres kłótni, aresztowań i egzekucji. Pewien Convencionista, David Berlanga, jadł obiad w restauracji, kiedy kilku zwolenników Villi, siedzących przy sąsiednim stoliku, odmówiło zapłacenia rachunku. Berlanga zapłacił za nich: "Jestem rewolucjonistą i nie chcę patrzeć, jak hańbicie mundur". Żądny krwi Fierro zastrzelił Berlangę za te słowa. Wreszcie Pancho Villa ruszył na północ. Obregón skorzystał z okazji i wkroczył do miasta na czele stutysięcznej armii. Zapata zaatakował zewnętrzny pierścień obrony Obregóna, wysadził w powietrze stację pomp i pozbawił stolicę wody. Wywołało to panikę, a w mieście wybuchła epidemia tyfusu.

Obregón postanowił rozprawić się z groźniejszym nieprzyjacielem, Pancho Villą, który zgromadził wielką armię. Dzięki swojej śmiałości i szybkości odnosił jedno zwycięstwo po drugim. Ale w generale Alvaro Obregónie spotkał godnego przeciwnika. Przewagę liczebną Villi rekompensowały z nawiązką dostarczone przez Niemców karabiny maszynowe Obregóna. W pobliżu miasta Celaya generał Obregón i jego doradca wojskowy, niemiecki pułkownik Maximilian Kloss, utworzyli sieć okopów chronionych przez zasieki z drutu kolczastego; system ten sprawdził się na polach bitewnych Francji. Cały teren znajdował się w zasięgu ognia karabinów maszynowych. Scena do rozegrania najkrwawszej bitwy na ziemi amerykańskiej od czasów wojny secesyjnej była gotowa.

Rankiem 13 kwietnia 1915 roku pod Celaya 25 000 villistas uderzyło na 15 000 obregonistów. Stosując wypróbowaną taktykę ofensywną, elitarny korpus dorados Villi zaatakował pomiędzy nasypem kolejowym a wyschniętym korytem rzeki, ruszając do samobójczej szarży pod skoncentrowany ogień karabinów maszynowych. Szwadrony dorados na wytrzymałych górskich koniach, w kapeluszach opuszczonych na twarz i ze wzniesionymi szablami, pędziły jak w inscenizacji Szarży lekkiej brygady na umocnione pozycje Obregóna. Atak przywitały karabiny maszynowe obregonistów, siejąc spustoszenie w szeregach przeciwnika; w ciągu kilku minut większość żołnierzy najlepszych regimentów Villi leżała w zaroślach martwa lub ranna. Ci, którym udało się przedrzeć przez zaporę ogniową, zaplątali się w druty kolczaste, gdzie dosięgły ich kule strzelców wyborowych. Groźni dorados Villi ponieśli całkowitą klęskę. W jednej potyczce Pancho Villa stracił ponad 1000 ludzi.

Po jednodniowym odpoczynku Villa zebrał swoją pokiereszowaną armię i zaplanował nowy atak, tym razem z wykorzystaniem wszystkich 34 dział. Artylerzyści zaczęli ostrzeliwać pozycje Obregóna, wypatrując gniazd karabinów maszynowych. Dobrze wymierzone pociski spadały prosto na cel, wzbijając gejzery ziemi wraz ze 71

strzępami rozerwanych ciał i kłębami drutu kolczastego. Villistas wyciągnęli wnioski z porażki i tym razem ruszyli do ataku pieszo. Ludzie Obregóna opóźniali natarcie przeciwnika ogniem pozostałych karabinów maszynowych. Pierwsze szeregi atakujących padły, ale następne parły naprzód, nie licząc się ze stratami. Nacierali, posuwając się od krzaka do krzaka, przez ścianę ognia i stali.

Pułkownik Kloss znajdował się w punkcie obserwacyjnym, kiedy jeden z żołnierzy pokazał mu dramatyczną scenę rozgrywającą się przed pierwszą linią okopów. Gmpafederales została odcięta. Zginęli podczas ucieczki, z wyjątkiem oficera, który, sądząc po mundurze, był pułkownikiem. Otoczyli go ludzie w sombrerach i powlekli ze

sobą. Kloss nie mógł nic zrobić, żeby go uratować, rozkazał więc żołnierzowi przy karabinie maszynowym otworzyć ogień. Chłopak głośno przełknął ślinę, zanim posłał serię w kierunku stłoczonej grupy nieprzyjaciół, zabijając wszystkich, w tym również pułkownika. Był to akt miłosierdzia. Ludzie Villi kazaliby mu chodzić boso po kaktusach. Robili już tak wcześniej.

Położenie obregonistów stało się krytyczne, ale ich generał miał w zanadrzu ostatnią niespodziankę. Przybycie dywizji kawalerii federalnej w sile 6000 szabel pod dowództwem generała Castro uszło uwagi zwiadowców Villi. Kiedy kawalerzyści Castro ruszyli do szarży przez piaszczystą równinę, Villa nie miał już dorados, których mógłby rzucić do kontrataku. Sam pozbawił się najlepszych żołnierzy, posyłając ich wcześniej przeciwko karabinom maszynowym Obregóna. Poniósł całkowitą klęskę; stracił 30 spośród 34 bezcennych dział; ponad 3500 ludzi zginęło, a 8000 dostało się do niewoli. Jednak radość zwycięzców mieszała się z goryczą; po obu stronach umierali Meksykanie. Tego wieczoru, patrząc na zabitych, których chowano we wspólnym grobie, generał Obregón oddał im ostatni hołd, a tymczasem Villa zbierał resztki swojej rozbitej armii.

Celaya była początkiem końca Pancho Villi. Musiał się wycofać. Pod Leon znów starł się z Obregónem, który prawie już wygrał bitwę, kiedy obok niego spadł pocisk; eksplozja urwała mu lewe ramię. Obawiając się powolnej śmierci, Obregón próbował się zastrzelić. Na szczęście dla Meksyku jego pistolet nie był naładowany. Przeżył, a Villa poniósł kolejną porażkę. Od tej chwili wydarzenia zmierzały szybko ku międzynarodowemu przesileniu.

Villa poprowadził 6500 ludzi przeciwko garnizonowi Carranzy w Agua Prieta nad granicą amerykańską. Ponieważ kontrolował linie kolejowe, żadne posiłki nie docierały do oblężonego przeciwnika. Carranza mógł zrobić tylko jedno: przerzucać ludzi i zaopatrzenie przez terytorium Stanów Zjednoczonych. Waszyngton znów pokpił sprawę. Prezydent Wilson uznał Carranzę za meksykańskiego

przywódcę i niebawem do Agua Prieta zaczęli docierać żołnierze meksykańscy przewożeni amerykańskimi pociągami. Podczas bitwy o miasto kawalerzyści Villi byli nie tylko ostrzeliwani z karabinów maszynowych, lecz zetknęli się również z zupełnie nowym wynalazkiem: reflektorami, które ich oślepiały. Villa utrzymywał, że potężne snopy światła dochodziły z amerykańskiej strony granicy. Częściowo miał rację - reflektory znajdowały się wprawdzie na terytorium Meksyku, lecz energia elektryczna, potrzebna do ich zasilania, była dostarczana przez granicę. Podczas odwrotu spod Agua Prieta krwiożerczy

Rodolfo Fierro rozstał się z życiem, kiedy jego koń potknął się i zrzucił go do jeziora. Pas wypchany skradzionymi złotymi monetami wciągnął Fierre pod wodę.

Villa był wściekły i obarczał winą za swoją klęskę nad amerykańską granicą "zdradzieckich gringos". Pod Santa Ysabel 70 villistas pod dowództwem pułkownika Pabla Lopeza zatrzymało pociąg wiozący 18 amerykańskich inżynierów górnictwa. "Jeśli chcecie się trochę rozerwać, popatrzcie, jak zabijamy tych gringos!" - krzyknął pułkownik Villi do jadących pociągiem Meksykanów. Jego ludzie wyciągnęli z pociągu kilku Amerykanów i kazali im biec, a następnie, z okrzykami "Viva Villa" i "Śmierć gringos", zabili ich strzałami w plecy. Innych Amerykanów zmuszono do wejścia na dach wagonu i zrzucono ich stamtąd kopniakami. Villistas przeoczyli jednego Amerykanina, Toma Holmesa, który zdołał uciec i opowiedział amerykańskim dziennikarzom o masakrze. Niezależnie od tego, czy mordercy działali na rozkaz Villi, czy też nie, amerykańska prasa przedstawiała teraz niegdysiejszego bohatera jako żądnego krwi okrutnika: "Ludzie, którzy mordują w imię rewolucji, są tylko zwykłymi bandytami i muszą być odpowiednio traktowani". Incydent z Santa Ysabel wywołał wrzenie w nadgranicznych miastach; amerykańscy żołnierze musieli zawracać tłumy Teksańczyków, którzy chcieli przeprawiać się przez Rio Grande i wymierzać sprawiedliwość

na własną rękę. Zabijanie Meksykanów przez teksaskich rewolwerowców przerodziło się w zorganizowane "polowanie na króliki", czemu sprzyjała świadomość, że żaden teksaski sąd nie skaże białego za zabicie Meksykanina.

Villa nie mógł pogodzić się z klęską pod Agua Prieta, a jego nienawiść do wszystkiego, co amerykańskie, przybrała takie rozmiary, że zatracił resztki zdrowego rozsądku. Biorąc pod uwagę stan jego umysłu i charakter, musiało to doprowadzić do tragedii. 16 lutego 1916 roku Villa i około 450 jego stronników wyszli z ukrycia i ruszyli w stronę granicy amerykańskiej. Zmierzali do Columbus, posępnego, obskurnego miasta w środku pustyni 3 kilometry na północ od granicy Meksyku, w amerykańskim stanie Nowy Meksyk. Amerykański górnik dostrzegł kolumnę villistas i popędził na złamanie karku do miasta, żeby wszcząć alarm. Niestety, pułkownik Slocum, dowódca 13. Pułku Kawalerii Stanów Zjednoczonych, otrzymywał wiele podobnych raportów i nie podjął dodatkowych środków ostrożności. O północy 9 marca 1916 roku villistas utorowali sobie drogę przez graniczne zasieki z drutu kolczastego i wjechali do śpiącego miasta. Pierwsi jeźdźcy natknęli się na Freda Griffina, amerykańskiego szeregowca pełniącego służbę wartowniczą, i zabili go. Porucznik Castleman usłyszał strzał i wybiegł w piżamie na dwór, gdzie stanął twarzą w twarz z Meksykaninem, który otworzył do niego ogień. Porucznik zastrzelił Meksykanina, a inny Amerykanin powalił drugiego napastnika kijem baseballowym. W koszarach zapanował zamęt.

"Strzelać bez rozkazu!" - krzyknął Castleman i zastrzelił Meksykanina, który szarżował na niego z maczetą. Przez następne 30 minut wszyscy strzelali do wszystkich. Pani Castleman schowała się z dziećmi pod łóżkiem. W zaparkowanym przed domem samochodzie Castlemana naliczono później 19 dziur po kulach.

W mieście villistas próbowali obrabować bank i skład towarów będący własnością Sama Revela, który spał w hotelu Commercial. Dwaj napastnicy wyciągnęli go z łóżka i poprowadzili główną ulicą,

aby otworzył sejf. Revela uratował żołnierz, który zaczął strzelać przez okno i położył obu bandytów. Podczas tego incydentu przypadkowa kula trafiła w wielką beczkę z benzyną. Beczka eksplodowała, sypiąc

fontannami iskier, a ogień rozprzestrzenił się na kilka sąsiednich budynków. Niebawem cała główna ulica stała w płomieniach. Zapewniło to doskonałą widoczność Amerykanom przy karabinach maszynowych, a ich kule zaczęły trafiać w cel. Oddział pod dowództwem majora Tompkinsa zdołał przepędzić napastników na drugą stronę granicy. Kiedy Villa uświadomił sobie, jak nieliczna jest grupa pościgowa, przeprowadził kontratak i wyparł ludzi Tompkinsa z powrotem za druty.

W całym kraju rozstukały się telegrafy i następnego ranka Ameryka otrzymała wstrząsającą wiadomość o strzelaninie w Columbus. Amerykański ambasador w Berlinie, James Gerard, wysłał zaszyfrowaną depeszę do sekretarza stanu Roberta Lansinga: "Jestem pewien, że atak Villi to dzieło Niemców". Nasuwał się oczywisty wniosek: Niemcy chciały zaprzątnąć uwagę Stanów Zjednoczonych problemem meksykańskim i odwieść je od zaangażowania się w wojnę w Europie. W Waszyngtonie, zaabsorbowanym pobliskim Meksykiem, na jakiś czas przestano myśleć o dalekich polach bitewnych Flandrii. Incydent w Columbus skłonił amerykańskiego prezydenta do zorganizowania na wielką skalę ekspedycji karnej, na której czele stanął 55 - letni generał John J. Pershing. Na jego dwutysięczne siły składał się 7. Pułk Kawalerii generała Custera oraz jednostka murzyńska- 10. Pułk Kawalerii. Pościg za Pancho Villą okazał się trudnym zadaniem dla źle przygotowanych Amerykanów. Opóźniał go opór miejscowej ludności oraz postawa Carranzy, który nie chciał udostępnić Pershingowi meksykańskich kolei. Amerykańscy kawalerzyści działali w strasznych warunkach: oczy piekły od kurzu wzbijanego przez maszerujące

kolumny, gryzły ich pchły i wszy, a najgorszy ze wszystkiego był brak wody dla ludzi i koni.

Miał tam też miejsce jeden godny uwagi incydent. Młody amerykański porucznik z Teksasu, jadąc prywatnym samochodem przez pustynię, zatrzymał się w pobliżu opuszczonej farmy. Gdy poszedł w jej kierunku, nagle otworzyła się brama i trzech jeźdźców ruszyło galopem w jego stronę. Młody porucznik wyciągnął pistolet i zwalił pierwszego mężczyznę z siodła. Jak się okazało, był to dowódca dorados Villi, generał Julio Cardenas. Porucznik spokojnie zarepetował pistolet i zabił konia pod następnym jeźdźcem. Z teksaską rycerskością zaczekał, aż mężczyzna wstanie i sięgnie po broń. Dopiero wtedy go zastrzelił. Potem wrócił do obozu z trzema martwymi Meksykanami na masce samochodu. Nazywał się George Patton (w kampanii meksykańskiej brało udział wielu późniejszych amerykańskich generałów).

Pancho Villa okazał się bardzo szybki, zawsze wyprzedzał o krok kolumny Pershinga. Tylko raz znalazł się w kłopotach. W pobliżu miasta Guerrero kula przeszyła mu prawą nogę i strzaskała kość goleniową. Szwadron 7. Pułku Kawalerii pod dowództwem majora Dodda dowiedział się o ataku Villi na Guerrero i ruszył w pościg. Trzy kilometry od miasta indiańscy zwiadowcy źle skręcili na rozwidleniu dróg i Pancho umknął do swojej górskiej kryjówki. Był to jedyny wypadek, kiedy Amerykanie mieli szansę go schwytać.

Mając już dość jankeskiej inwazji, generał Alvaro Obregón spotkał się z amerykańskim generałem Hugh Scottem, aby wyjaśnić sytuację i pozbyć się Amerykanów z kraju. Nie doszli do porozumienia w żadnej kwestii. Również Carranza w ostrej

nocie do generała Pershinga zażądał, by Amerykanie zwinęli manatki i wrócili do domu. Dowiedziawszy się o "meksykańskim impasie", niemiecki ambasador w Waszyngtonie zadepeszował do Berlina:

EKSPEDYCJA KARNA PRZECIWKO VILLI TO WSTĘP DO INTERWENCJI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Meksykańska ekspedycja Ameryki zakończyła się fiaskiem, zarówno pod względem militarnym, jak i dyplomatycznym. Zanim jednak dobiegła końca, zdarzył się wypadek, którego reperkusje wykraczały daleko poza jego rzeczywiste znaczenie. 84 ludzi pod dowództwem kapitana Charlesa T. Boyda zbliżyło się do amerykańskiej hacjendy w pobliżu Carrizal, gdzie stacjonowały meksykańskie wojska rządowe. Kapitan Boyd lekkomyślnie rozkazał przeprowadzić atak frontalny. Jego żołnierze dostali się pod skoncentrowany ogień karabinów maszynowych i 12 Amerykanów zginęło. Ten incydent sprawił, że Meksyk i Stany Zjednoczone znalazły się na krawędzi wojny.

Arthur Zimmermann14, niemiecki minister spraw zagranicznych, próbując nakłonić Meksyk do wypowiedzenia wojny Stanom Zjednoczonym, zadepeszował do swego ambasadora w Mexico City: ...SKŁADAMY MEKSYKOWI PROPOZYCJĘ SOJUSZU NA NASTĘPUJĄCYCH WARUNKACH: 1. WSPÓLNE PROWADZENIE WOJNY 2 . WSPÓLNE ZAWARCIE POKOJU 3. HOJNE WSPARCIE FINANSOWE 4. UZNANIE Z NASZEJ STRONY, ŻE MEKSYK POWINIEN ODZYSKAĆ UTRACONE TERYTORIA W KANSAS, NOWYM MEKSYKU I ARIZONIE.

Za sprawą brytyjskiego wywiadu, który złamał niemiecki szyfr dyplomatyczny, wiadomość przedostała się do amerykańskiej prasy, co wywołało nieopisane wzburzenie opinii publicznej. Aż do tej chwili, pomimo ogłoszenia przez Niemcy nieograniczonej wojny podwodnej i zatopienia "Lusitanii" (brytyjskiego statku pasażerskiego z amerykańskimi obywatelami na pokładzie),

Ameryka nie włączyła się do globalnego konfliktu. Jednak ostatnie zdanie telegramu, oferujące trzy amerykańskie stany Meksykowi, skłoniło wreszcie Stany Zjednoczone do wypowiedzenia wojny Niemcom, co nastąpiło 6 kwietnia 1917 roku.

Zimmermann nie mógł się wykazać większym brakiem dyplomatycznej finezji i wyczucia czasu. Jego propozycja została złożona w tym samym dniu, kiedy oddziały amerykańskie wycofały się wreszcie z meksykańskiej ziemi, co położyło kres spekulacjom na temat interwencji. Carranza też nie zamierzał przystępować do wojny z sąsiadem i odrzucił niemiecką ofertę. Można jednak stwierdzić z całą pewnością, że Pancho Villa był bezpośrednio odpowiedzialny za splot wydarzeń, który wciągnął Stany Zjednoczone w wojnę światową.

Carranza postanowił raz na zawsze rozwiązać problem Zapaty. Wysłał swoją armię przeciwko rewolucyjnemu przywódcy. Znów zaczęły się okrutne represje. Palono zbiory,

równano z ziemią wioski, kobiety i dzieci zapędzano do kościołów, pod które następnie podkładano ogień. Zapata rewanżował się w ten sam sposób. Wieszał hacendados, grabił fabryki, wysadzał w powietrze pociągi. Carranza wpadł we własne sidła. Pozbycie się kłopotliwego indio zajęło kolejne dwa lata i kosztowało wiele wysiłku. Kiedy polowanie na Zapatę było w pełnym toku, Carranza wysłał Francisco Murguię w pościg za Villą. Generał "Pancho" Murguia stał się niebawem znany jako "Wieszający Pancho", ponieważ zakładał pętlę na szyję każdemu zwolennikowi Villi, jakiego pojmał, a jeśli miał co do kogoś wątpliwości, wieszał go też, po prostu na wszelki wypadek. Dwaj "Panchowie" prowadzili kampanię wyjątkowo zaciekłą i okrutną. Non pardon stało się hasłem obu stron, które mordowały wszystkich, zarówno żołnierzy, jak i cywilów. Donos, że przy jakiejś okazji ktoś ośmielił się krzyknąć: " Viva Villa!", wystarczał, by powiesić go na najbliższej gałęzi. Meksyk spłynął rzeką krwi. Murguia postawił sobie za cel zniszczenie źródła siły żywej Villi, ponieważ każdy, kto ukończył 12 lat, był uważany za potencjalnego terrorystę.

W spustoszonym i spalonym kraju wisiały na drzewach tysiące ciał w różnych stadiach rozkładu. W odwecie schwytani federales byli ścinani maczetami lub pędzeni boso przez ostre jak brzytwa kaktusy, a następnie zostawiani na pastwę kojotów. Ich trupy poniewierały się na drogach i polach, bezgłowe i rozczłonkowane. W Chihuahua grupa stronników Villi wpadła w ręce generała Murgui. W ciągu kilku minut wszystkich 256 villistas zawisło na gałęziach drzew wzdłuż eleganckiej Avenida Cristoforo Colon.

W tym czasie Pancho Villa zmienił się z rewolucjonisty w bandytę. Sam pobierał podatki i zmuszał gringos, których obarczał odpowiedzialnością za swoją klęskę, by zasilali jego szkatułę. Zaczął od tego, że porwał Franka Knottsa, właściciela Spółki Górniczej Erupción, i zwolnił go za okupem 20 000 dolarów w złocie. Następnie najechał na ranczo mormonów, co przyniosło mu kolejne 20 000 dolarów. Potem wkroczył do Parral, gdzie powiesił burmistrza i jego dwóch synów przed ratuszem. Pozostałym obywatelom dał do wyboru: albo zbiorą 100 000 dolarów, albo zginą. Zapłacili. Sprzedawca samochodów Gabriel Chavez nigdy nie zapomniał tamtych strasznych chwil i miał jeszcze odegrać znaczącą rolę w życiu rewolucjonisty. Później Villa zaatakował Ciudad Juarez, gdzie zginęło kilku Amerykanów, ponieważ kule przeleciały przez granicę. Znów wkroczyła do akcji amerykańska kawaleria pod dowództwem pułkownika Tompkinsa i przed zmrokiem Villa uciekł. Jego ostatnim aktem bandytyzmu był napad na pociąg pasażerski przewożący pieniądze. Rozkazał ustawić w szeregu pracowników kolei i zastrzelił ich osobiście, jednak pasażerów puścił wolno. Po tym napadzie zniknął ze sceny.

Wódz został pokonany, ale resztki jego zdemoralizowanej armii nadal siały postrach; włóczyły się po kraju, żyjąc z dnia na dzień. Jedna z takich band rabowała wioski wzdłuż granicy z Teksasem. Rebelianci zabijali kury i kaczki, które żony wieśniaków musiały dla nich gotować. Na oczach rodzin gwałcili młode dziewczęta. Na odjezdnym napełniali sakwy ryżem i fasolą. Mężczyzn pędzili na pustynię, skąd większość nigdy nie wracała.

W kwietniu 1919 roku Jesus Guajardo, Indianin z plemienia Yaqi w randze pułkownika federales, skontaktował się z Emilianem Zapatą, proponując, że przejdzie na jego stronę. Zapata pojechał do hacjendy San Juan Chinameca, gdzie miano omówić

szczegóły. Na dziedzińcu warta honorowa pułkownika Guajardo sprezentowała broń, a potem nagle opuściła karabiny i zastrzeliła Zapatę. Guajardo odebrał 10 000 dolarów nagrody i otrzymał awans na generała. Jednak "mit Zapaty" nie umarł. Nawet dzisiaj indios w prowincji Morelos wierzą, że ich wielki bohater nadal żyje. Że zjawi się niebawem na białym rumaku jako ich wybawiciel. Prezydent Carranza złożył nieopatrznie swój podpis pod artykułem 27. nowej konstytucji meksykańskiej, stwierdzającym, że tylko Meksykanie z urodzenia lub obywatelstwa mają prawo "wydobywać podziemne bogactwo" (ropę). Upoważniało to rząd do przejmowania własności spółek zagranicznych. Czyniąc to, Carranza wystąpił przeciwko Amerykanom i przyspieszył własny upadek. Niebawem Alvaro Obregón zawarł sojusz z oficerami armii i zmusił Carranzę do ucieczki. Jego pociąg został zatrzymany, a on sam umknął do wioski San Antonio Tkancalantongo, gdzie natknął się na Rodolfa Herrerę, bandytę, który mianował się generałem. Herrero zaprowadził Carranzę do chłopskiej chaty i powiedział mu ze złośliwym uśmiechem: "Dzisiejszej nocy to będzie Pałac Narodowy". Około północy wdarli się do chaty uzbrojeni ludzie i z zimną krwią zabili prezydenta trzema strzałami w pierś. Herrero stanął przed sądem pod zarzutem morderstwa, ale przewodniczący trybunału został otruty i Herrero wyszedł na wolność. Funkcję tymczasowego prezydenta objął kolejny Huerta, niespokrewniony z obalonym dyktatorem. Generał Adolfo de la Huerta był oddanym stronnikiem Obregóna i stworzył pole dla manewrów politycznych, zawierając układ pokojowy z pokonanym, ale wciąż groźnym Pancho Villą. Ubogi niegdyś mestizo otrzymał od rządu posiadłość o powierzchni 10 000 hektarów, Canutillo w pobliżu Parral, z dala od stacji kolejowych i większych miast. W charakterze

ochrony osobistej pozwolono mu zatrzymać 50 dorados, natomiast pozostałych 800 albo wcielono do armii meksykańskiej z zachowaniem dotychczasowych stopni, albo nadano im działki.

Kiedy Emiliano Zapata i Pancho Villa zniknęli ze sceny, ludność Meksyku wreszcie odetchnęła z ulgą. Aby uspokoić peonów w Morelos, de la Huerta wydał nakaz aresztowania mordercy Zapaty, generała Guajardo, i rozkazał go publicznie stracić. Po zaprowadzeniu pokoju w kraju Adolfo de la Huerta, uczciwy i dobry człowiek, abdykował na rzecz generała Alvaro Obregóna15, który został nowym prezydentem Meksyku, 1 grudnia 1920 roku Obregón złożył przysięgę i oficjalnie objął swój urząd. Po 10 latach walk i okrucieństw rewolucja meksykańska dobiegła końca16.

A potem...

Zaczęła się nowa era. Dzięki napływowi amerykańskiego kapitału Meksyk odbudował swoje zniszczone fabryki i linie kolejowe. Nie uczyniono jednak wiele, by postawić na nogi spustoszoną wieś lub rozwiązać nabrzmiały problem meksykańskich peonów. Ludzie trzymali się swojej wiary i przychodzili tłumnie do księży z prośbą o radę; Kościół wywierał ogromny wpływ na sprawy kraju. Odżyły stare sojusze.

Prezydent Obregón próbował podnieść kraj z popiołów i sprawić, by ludzie zapomnieli o koszmarach przeszłości. W jego wizji lepszego jutra nie było miejsca dla staromodnych rewolucjonistów w rodzaju Pancho Villi.

Villa żył spokojnie w odległej mieścinie na uboczu. W Parral jakby czas się zatrzymał. Wzdłuż zrytej koleinami głównej ulicy stały rzędem domy z wypalanej na słońcu cegły, których drewniane okiennice wymagały odmalowania; w szynkach przesiadywali kowboje, prostytutki i miejscowi pijacy. Jedyne wystrzały pochodziły z rur wydechowych nielicznych samochodów,

strasząc osły przywiązane do ulicznych latarni, tych samych latarni, które służyły niegdyś za szubienice. W centrum miasta wznosiły się koszary federales ze znudzonymi wartownikami, wspartymi na karabinach. Nie mieli się czego obawiać: revolucionarios, Zapata i Villa, już odeszli. Ślady wojny były jednak widoczne wszędzie. Ściany nosiły ślady po kulach, a w redakcji miejscowej gazety wisiały wyblakłe fotografie, przypominając dzielnym obywatelom okropności wojny. Dla zwykłych peonów nic się nie zmieniło. Wiedli życie niewiele lepsze niż przedtem; mieszkali w chatach zbudowanych z puszek po sucharach, pozostawionych przez amerykańską kawalerię. Jedyna zauważalna zmiana dotyczyła młodych, którzy mieli teraz dostęp do szkoły, wybudowanej i opłacanej przez miejscową znakomitość, Pancho Villę. Okrzyk "Viva Villa!" nadal był bardzo popularny, choć teraz bardziej irytował, niż przerażał władze. Z pewnością irytował Obregóna, prezydenta, który ustępował popularnością emerytowanemu rewolucjoniście, ponieważ Pancho Villa był nie tylko bogaty, ale również sławny. Stał się ulubionym tematem producentów z Hollywood; był obsypywany prezentami przez amerykańskie firmy, które chciały, aby reklamował ich wyroby, a zwłaszcza przez producentów samochodów, albowiem korpulentny Pancho zdążył już zamienić konia na wygodny automobil.

Jeśli legendarny i sławny revolucionario Villa stał się bohaterem amerykańskiej prasy i filmu, to bandido Pancho stracił w oczach części meksykańskiego społeczeństwa do tego stopnia, że powstał fundusz "Zabić Villę". Pierwszym, który na niego wpłacił, był sprzedawca samochodów z

Parral, Gabriel Chavez, człowiek zmuszony niegdyś przez Villę do zapłacenia wysokiego okupu. Zżymał się, widząc, jak bandido pyszni się tak nieuczciwie zdobytym bogactwem, ten podły mestizo, który paradował po mieście niczym wielki grand. Próby zamachu na jego życie kończyły się niepowodzeniem, ponieważ Villa był dobrze strzeżony, dopóki wyzwania nie podjął niejaki Jesus Salas Barazza. Wynajął ośmiu zabiJakow i zaopatrzył się w ulubioną broń gangsterów, pistolety maszynowe Thomsona.

Przyjezdnemu obszar wokół Parral wydawał się niegościnną pustynią, jednostajną przestrzenią przywaloną bezkresnym niebem, krajem skazywanym każdego roku, każdego dnia, na śmierć w promieniach bezlitosnego słońca. Ale to wrażenie było zwodnicze. Mieszkali tam ludzie, uprawiali ziemię, sadzili drzewa owocowe i teraz, kiedy w kraju znów zapanował pokój, wiedli całkiem znośną egzystencję, a wszystko to dzięki jednemu człowiekowi, który pomógł im poprawić poziom życia.

Na tej rozległej równinie wznosił się kompleks solidnych budynków krytych czerwoną dachówką. Aleja wysadzana drzewami prowadziła przez sklepioną bramę na ocieniony dziedziniec. Właściciel hacjendy zwykł przesiadywać na werandzie, a u jego stóp leżały dwa psy z wywieszonymi jęzorami. Pancho Villa przybrał na wadze.

78

Tak bardzo, że guziki jego marynarki musiały być przyszyte strunami fortepianowymi, aby się nie odrywały. Nie był człowiekiem szczęśliwym, nienawidził poczucia bezczynności, do której zmusiło go to nieoczekiwane wygnanie. Żona jednego z dorados urodziła syna, a w piątek, ten święty dzień tygodnia, miał odbyć się chrzest noworodka. To dostateczny powód do świętowania, podobnie jak wszystko, co pozwala zabić tę przeklętą nudę. Urządzi wielki festyn, z fajerwerkami i muzyką, z wołem pieczonym na rożnie, owocami i tortillą. I z mnóstwem tequili. Ale najpierw w hiszpańskiej katedrze w Parral odbędzie się ceremonia religijna. Villa łaskawie zgodził się zostać ojcem chrzestnym dziecka. Ubierze się na biało, a pistolet zostawi w domu. Kościół to nie miejsce na broń, zresztą jego 50 dorados pojedzie przodem, by uformować szpaler honorowy, i będzie przed katedrą, aby go strzec.

Była godzina 11.30 w piątek 20 lipca 1923 roku, kiedy Francisco "Pancho" Villa i jego sekretarz, Miguel Trillo, wsiedli do odkrytego dodgea. Za przednią, zakurzoną szybą piaszczysta droga do miasta rozpościerała się przed nimi jak na obrazie. Potem ujrzeli pierwsze

domy Parral, o oknach zasłoniętych okiennicami, które miały chronić mieszkańców przed palącym słońcem południa. Główna ulica wyglądała jak wymarła. Nie było kobiet, które siedziały zwykle pod parasolami po obu stronach drogi, sprzedając garnki i koszyki, nie było mężczyzn w sombrerach nasuniętych na oczy, stojących w niedbałych pozach w podcieniach drzwi. Tylko samotny pijak opierał się o drewniany słup patio. Pancho wychylił się z samochodu, przytrzymując ręką sombrero, aby nie zwiał mu go pęd powietrza.

Samotny mężczyzna w białych chłopskich calzones stał na czatach. Gdy zjawi się Pancho, miał krzyknąć "Viva Villa i pomachać sombrerem. Zabójcy, przyczajeni w niszach otwartych okien, byli zawodowcami. Człowiek w odkrytym samochodzie znajdował się jeszcze za daleko, by dostrzec jego twarz pod szerokim rondem sombrera. Jeżeli to on, to... Pancho minął plac targowy ze straganami o dachach z ciasno plecionej wikliny. Tam też nikogo. Dziwne. Miasto Parral przypominało otwarty grobowiec... Stojący na czatach spojrzał spod oka na przejeżdżający samochód. Dopiero gdy uzyska całkowitą pewność, uniesie powoli sombrero. Na czoło wystąpił mu ze strachu pot. Otworzył usta, ukazując brudne, nierówne zęby... Być może Pancho wyczuwał grożące niebezpieczeństwo, coś było zdecydowanie nie tak. Dlaczego na drodze, która powinna być zatłoczona, jest tylko jeden człowiek? Od tygodni dręczyło go uczucie, że ktoś na niego poluje.

Cel był już bardzo blisko. Strzelcy czekali na sygnał. Tak to on. "Viva Villa!" -krzyknął piskliwym głosem człowiek stojący na czatach i entuzjastycznie pomachał sombrerem. Pancho Villa odwrócił się i uśmiech rozjaśnił jego twarz. Spojrzał na brązową twarz mężczyzny z wyszczerzonymi zębami i rzucił mu monetę. Przez warkot silnika zabójcy usłyszeli: " Viva Villa!" Sombrero poszybowało w powietrze. Villa siedział za kierownicą! Strzelcy odbezpieczyli broń... Samochód prawie dotarł do skrzyżowania. Zaraz skręci w lewo, w ulicę prowadzącą na plac przed katedrą. Pancho zwolnił, by wykonać ostry zakręt, gdy nagle rozległ się charakterystyczny terkot pistoletów maszynowych Thomsona. Z podcieni okien i drzwi ośmiu zabójców

strzelało długimi seriami w nadjeżdżający samochód. Przednia szyba pękła, odłamki szkła zamigotały w powietrzu. Villa skulił się na przednim siedzeniu, trafiony siedmioma

kulami. Zginął na miejscu. Najbardziej szanowany, budzący największy strach ze wszystkich meksykańskich revolucionarios miał w chwili śmierci 44 lata.

Nigdy nie udało się ustalić, kto stał za jego zabójstwem. Domniemany morderca, Jesus Salas Barraza, został aresztowany, postawiony przed sądem i skazany na 20 lat więzienia. Na mocy dekretu prezydenckiego wyszedł na wolność po sześciu miesiącach i otrzymał awans na pułkownika. Na łożu śmierci17 oświadczył: "Nie jestem mordercą. Uwolniłem ludzkość od potwora". Nawet po śmierci Pancho Villa nie zaznał spokoju. Jego grób został zbezczeszczony, wykopano ciało i ukradziono głowę.

O historycznym znaczeniu ludzi takich jak Pancho Villa świadczą polityczne konsekwencje ich czynów. Akt droit de seigneur, gwałt popełniony na jego siostrze przez pijanego hacendado, stał się katalizatorem zemsty i buntu przeciwko rządzącej klasie właścicieli ziemskich i mianowanych przez nichjefes politicos. W osobie Francisco "Pancho" Villi (i Emiliano Zapaty) prości ludzie znaleźli swego bohatera. Wynieśli go na szczyty władzy nieznanej w Ameryce Łacińskiej od czasów Simóna Bolivara. Niezależnie od metod, jakie stosował Villa, niezależnie od okrucieństw, jakie popełniał jako "Pistolet Pancho", zmienił on kraj. Utarty, akceptowany przez wieki wzorzec meksykańskiego życia został pogrzebany na zawsze. Incydent w Columbus był przyczyną jego upadku, ponieważ dostarczył jego wrogom srebrnej kuli, którą go zabili. W szerszym aspekcie Columbus stanowiło apogeum jego międzynarodowej kariery, stając się przyczyną rozdźwięków pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Niemcami. Nie ma wątpliwości, że nadgraniczne eskapady Villi popchnęły Amerykę ku spontanicznej i nierozsądnej interwencji militarnej w sprawy wewnętrzne suwerennego sąsiada. Gdyby nie Pancho Villa, wojska amerykańskie nigdy nie przekroczyłyby meksykańskiej granicy, by spotkać się z masowym okrzykiem: "Jankesi do domu!", okrzykiem, który skłonił Niemcy do zaoferowania Meksykowi pomocy wojskowej w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi. A można sądzić, że właśnie ta propozycja spowodowała przystąpienie Ameryki do I wojny światowej.

Pancho Villa to prosty wieśniak, który zbuntował się przeciwko niesprawiedliwości społecznej i stał się najbardziej enigmatyczną i kontrowersyjną postacią rewolucji meksykańskiej.

Interludium 1914-1917

"A co się stanie, jeśli wypowiedzą wojnę i nikt na nią nie pójdzie?". To śmiałe pytanie postawił wielki pacyfista, Carl Sandburg. Niestety, takiego pytania nie zadano, kiedy w sierpniu 1914 roku w Europie zagrzmiały działa i świat ogarnął płomień wojny. Wojska cesarza

przetoczyły się przez Belgię i pokonały rosyjskiego niedźwiedzia pod Tannenbergiem. Sprzymierzeni cofali się na wszystkich frontach i Niemcy znaleźli się u bram Paryża, zaledwie 30 kilometrów od Champs Elysees. W rozpaczliwej próbie powstrzymania niemieckiej nawały 2000 paryskich taksówkarzy przewiozło 80

50 000 francuskich rezerwistów na linię frontu. Niemieckie natarcie utknęło. Rozpoczęła się wojna na wyniszczenie, toczona za pomocą karabinów maszynowych, z walką na bagnety w wypełnionych błotem okopach, z pojedynkami artyleryjskimi.

Rok 1916 był rokiem szczególnym. W lutym szef niemieckiego Sztabu Generalnego, generał Erich von Falkenhayn, rzucił 1000000 żołnierzy przeciwko umocnionym pozycjom pod Verdun, chcąc skłonić Francuzów do ryzykownych kontrataków. Jego plan się powiódł, chociaż wojska niemieckie poniosły równie dotkliwe straty, co Francuzi. Zginęło 1000000 ludzi, a rozstrzygnięcie nie nastąpiło. Niewiele lepiej wiodło się Brytyjczykom we Flandrii. Generał Douglas Haig zaatakował Niemców nad Sommą. Brytyjska piechota brnęła przez księżycowy krajobraz, wśród lejów po pociskach, po kolana w błocie, prosto pod lufy niemieckich karabinów maszynowych. Rezultaty były przerażające. W pierwszym dniu tego poronionego ataku Brytyjczycy stracili siedem razy więcej poległych niż pod Waterloo. W najstraszliwszej wojnie, jaką znał świat, obie strony wykrwawiały się na śmierć.

Nie inaczej było na froncie wschodnim. Z tą jedynie różnicą, że tam ofiary ponosiła głównie jedna strona- Rosja. Niemieckie dywizje rozbijały carską armię. Rosyjskie pułki buntowały się, żołnierze grozili śmiercią swoim generałom, agitatorzy krzyczeli: "Pokój żołnierzom, wojna pałacom!". W rosyjskiej stolicy, Piotrogrodzie, żyło się jak na wulkanie. Spekulacja osiągnęła niesłychane rozmiary: pociągi z żywnością zatrzymywano, zanim dotarły do miasta, a zapasy sprzedawano na czarnym rynku. W lipcu 1917 roku doszło do poważnych wystąpień. Tym razem ludzie krzyczeli: "Precz z wojną!". Tylko zdecydowana interwencja lojalnych Kozaków ocaliła rząd.

Kiedy miliony ludzi wyrzynały się nawzajem na błotnistych równinach nad Sommą i w urwistych Karpatach, a narody walczyły o przetrwanie, nastąpiło inne, stosunkowo błahe wydarzenie, które miało jednak wstrząsnąć podstawami świata. Wszystko zaczęło się w momencie, gdy niemieccy generałowie, próbując wyplątać się z katastrofalnej wojny na dwa fronty, znaleźli świetne rozwiązanie. Potrzebna była tylko taksówka z Zurichu do granicy niemiecko-szwajcarskiej i lokomotywa, która zaciągnęła zaplombowaną, pomalowaną na zielono salonkę na Dworzec Finlandzki w Piotrogrodzie. "Przetransportowali go jak bakcyla dżumy w probówce" - napisał Winston Churchill. Tym bakcylem był bolszewik, Włodzimierz Iljicz Uljanow, znany w historii jako Lenin. Nic nie mogło go już powstrzymać.

"Matka wszystkich rewolucji" wkraczała w stadium planowania. Do jej wybuchu przyczynili się przede wszystkim dwaj ludzie. Jeden przyjechał z Zurichu w zaplombowanej salonce dzięki uprzejmości Niemców, drugi przypłynął statkiem z Nowego Jorku. Do tej pory byli zażartymi wrogami. Teraz jednak mieli stworzyć wspólny front, ponieważ to głównie brak planu i jednolitego przywództwa sprawił, że wszystkie dotychczasowe rosyjskie wystąpienia rewolucyjne spełzły na niczym. Popioły zaburzeń lipcowych jeszcze się tliły, kiedy w piotrogrodzkim mieszkaniu zebrało się potajemnie kilkunastu bolszewików w perukach i z przyklejonymi wąsami, gotowych podpalić świat.

7 listopada 1917 roku Wsią włastsowietam Wsią włast sowietam.

"Cała władza w ręce rad".

Lenin, 7 listopada 1917

Prawda? - spytał mężczyzna w okularach w stalowej oprawce i z kozią bródką. Cyniczny uśmiech wykrzywił jego twarz. - Nie! To, co musimy stworzyć, jest złudzeniem prawdy. Powstanie jest sztuką i, jak wszystkie sztuki, ma swoje prawa.

Konspiracyjne spotkanie odbyło się 10 października 1917 roku w mieszkaniu Galiny Suchanowej na Karpowce, bardzo eleganckiej dzielnicy Piotrogrodu. Mężczyźni i kobiety, którzy się tam zebrali, a przy których Brutus, Kasjusz i inni spiskowcy wyglądaliby jak nieopierzeni nowicjusze, mieli jedną wspólną cechę: uwielbiali podejmować ryzyko. Co więcej, byli gotowi osiągnąć swój cel przy użyciu wszelkich dostępnych środków, nie przejmując się takimi głupotami jak masowy rozlew krwi. Lista 12 uczestników spotkania, zdecydowanych rozpętać zawieruchę dziejową, która miała przejść do historii jako rewolucja październikowa, jest imponująca.

Włodzimierz Iljicz Uljanow, znany jako Lenin; jego żona, Nadieżda Konstantinowna Krupska, znana jako Ryba z powodu wyłupiastych oczu; Grigorij Jewsiejewicz Radomylski, znany jako Gieorgij Wasiljewicz Zinowjew, 32-letni działacz partyjny; Aleksandra Michajłowna Kołłontaj, otyła feministka z arystokratycznym rodowodem; Jakow Michajłowicz Swierdłow, złowieszczy "inkwizytor", który wkrótce zleci egzekucję cara i jego rodziny; Feliks Dzierżyński, założyciel WCzKl, osławionej tajnej policji; Lew Borisowicz Rosenfeld, znany jako Kamieniew, żydowski intelektualista w okularach, pierwszy redaktor naczelny "Prawdy"; opryskliwy, żądny władzy Józef Wissarionowicz Dżugaszwili, znany jako Stalin; i wreszcie inny uciekinier 82 z Syberii, 38-letni ideolog partyjny i błyskotliwy mówca, Lejba Dawidowicz Bronstein, znany jako Lew Trocki*.

Aby nie zwracać na siebie uwagi Ochrany, rosyjskiej tajnej policji, szli przez miasto w perukach i ze sztucznymi brodami. Lenin włożył siwą perukę, którą sporządził dla niego rekwizytor teatralny w Helsinkach, gdy miał przekraść się przez fińską granicę w pociągu towarowym, przebrany za palacza. Teraz, w świetle świec, zebrani rozważali kwestię: czy - i kiedy -rozpocząć powstanie. Niemal przez godzinę Lenin omawiał zalety zbrojnego wystąpienia. "Moment jest dobry - stwierdził. - Niemiecka marynarka wojenna podniosła otwarty bunt [nie do końca odpowiadało to prawdzie, ponieważ zbuntowała się tylko niewielka część floty], więc rosyjscy marynarze

będą mogli nas poprzeć. Potem ludzie wyjdą na ulice i przyłączą się do naszego powstania". Była to śmiała koncepcja, lecz niewątpliwie samobójcza.

Trocki zawołał: "Ludzie? Jacy ludzie? Proletariat? Nie liczcie na to. Nie jesteśmy w stanie określić nastrojów klasy robotniczej. A jeśli nasze wystąpienie zrazi do nas trzeci obóz?". Miał na myśli grupę złożoną z drobnej burżuazji, sklepikarzy, kułaków (zamożnych chłopów) i niższych urzędników.

Również Zinowjew nie zgadzał się z dokonaną przez Lenina ogólną oceną sytuacji: "Jeśli nie jesteśmy pewni drobnej burżuazji, nie możemy opierać przyszłości rewolucji światowej na wystąpieniu zbrojnym".

Kamieniew, przestraszony wizją wyjścia na ulicę, a być może i śmierci, ujął to w sposób bardziej dyplomatyczny: "To wielkie ryzyko, nie możemy opierać przyszłości naszego ruchu na zbrojnym powstaniu".

"Do diabła z drobną burżuazją, zajmiemy się nią!" - krzyknął Feliks Dzierżyński.

Trocki pomyślał, że im więcej stracą czasu na jałowe spory, tym więcej popełnią błędów.

Doskonale pamiętał przestrogę Marksa: "Proletariat nie ma prawa przejmować władzy, jeśli nie jest do tego przygotowany". A proletariat nie był przygotowany.

Tylko Stalin nie brał udziału w ożywionej dyskusji. Czekał, kto okaże się zwycięzcą, by stanąć po jego stronie.

Spór przeciągał się. Każdy z obecnych miał nerwy napięte do ostatecznych granic. Należało podjąć decyzję. Lenin wziął Trockiego na bok. Nie wiadomo, o czym rozmawiali i jaki zawarli układ, ale kiedy wrócili do pokoju, Trocki zmienił zdanie. Świt wstawał już

nad Piotrogrodem, kiedy Lenin wreszcie oznajmił: "Czas przejść od słów do czynów". Wyrwał kartkę z notesu i napisał:

"Powstanie zbrojne jest nieuchronne i nadszedł jego czas. Bolszewicki Komitet Centralny rozkazuje organizatorom, by kierowali się tą dyrektywą". Rezolucję uchwalono stosunkiem głosów 10 do dwóch, przy sprzeciwie Kamieniewa i Zinowjewa. Trocki, głosując za przyjęciem rezolucji, zasugerował, że powstanie należy zgrać ze zbliżającym się Zjazdem Rad, zwołanym na 20 października. Kiedy Zinowjew przyniósł wódkę, aby uczcić podjętą decyzję, Lenin strącił butelkę ze stołu i zawołał piskliwym głosem: "To rewolucja ludzi czystych". Kości zostały rzucone; teraz potrzebna była tylko iskra, aby spowodować wybuch.

* Poza tym byli obecni: Andriej Siergiejewicz Bubnow, Gieorgij Ippolitowicz Łomów, Grigorij Jakowlewicz Sokolnikow i Mojsiej Solomonowicz Uricki. W spotkaniu nie brała natomiast udziału Nadieżda Krupska (przyp. tłum.).

83

Rosja była krajem dzikim i barbarzyńskim. Car władał ziemią i ludźmi. "Rosjanie są aroganccy, ponieważ nie odbierają żadnej edukacji, żyją w bezwstydzie i kłamstwie; zawsze są pijani i gwałtowni, a także niewiarygodnie przesądni. Car z zasady nie pozwala swoim poddanym wyjeżdżać za granicę, aby nie zobaczyli, jaka wolność panuje gdzie indziej"2. Ludzie żyli w swoistej antynomii: ponieważ byli okrutni, mógł nimi rządzić tylko wyjątkowy okrutnik, ktoś, kto siłą woli i niesłychaną bezwzględnością potrafił zmusić poddanych, by podporządkowali się jego nakazom. Niewiele się zmieniło w ciągu stuleci.

Dynastia Romanowów doszła do władzy po śmierci syna Iwana Groźnego, Fiodora. Iwan Groźny z dynastii Rurykowiczów rozszerzył granice swego państwa za Ural, rozpoczynając podbój Syberii, i utrzymywał się na tronie, skazując na śmierć wszystkich

potencjalnych pretendentów, w tym również własnego syna, Iwana. Piotr I Wielki (1682-1725) ogłosił się imperatorem Wszechrosji. Potęga dynastii osiągnęła szczyt za panowania Katarzyny Wielkiej (1762-1796), która odebrała tron słabemu i nieudolnemu mężowi. Aleksander II przegrał wojnę z Turcją, ale wyzwolił chłopów z poddaństwa. Członek radykalnej partii Narodna Wola, Ignacy Hryniewiecki, wrzucił bombę do powozu cara i ranił go śmiertelnie. Doprowadziło to do represji za panowania Aleksandra III. Po nim wstąpił na tron jego syn Mikołaj, który poślubił piękną Aleksandrę Fiodorownę, księżniczkę heską, nazywaną z racji swego pochodzenia Niemką. Stała się ona postacią dominującą na dworze i urodziła carowi cztery córki, Olgę, Tatianę, Marię i Anastazję, a także dziedzica, carewicza Aleksieja, który cierpiał na hemofilię, chorobę w tamtych czasach nieuleczalną. Panowanie Mikołaja rozpoczęło się tragicznie. Podczas jego koronacji zebrały się wielkie tłumy, a kiedy pojawiły się wozy wiozące darmowe piwo, tysiące ludzi zadeptano na śmierć.

Mikołaj był klasycznym przykładem człowieka, który nie dorósł do swego stanowiska, co przesądziło o jego tragicznym losie. Brak realizmu cara doprowadził do ostatecznej katastrofy; słabość, jaką okazywał, sprawiała, że tracił stopniowo szacunek i zaufanie poddanych. Na dworach innych monarchów europejskich stał się znany jako "miły wujek Nicky". Był głęboko religijnym, całkowicie nieudolnym władcą, który rządził raczej per procura niż we własnym imieniu. Sprzeciwiał się reformom społecznym, co nie było już możliwe w epoce industrializacji. Niewiele lepiej wiodło mu się w polityce zagranicznej. Kiedy wystąpił przeciwko Japonii, doznał druzgocącej klęski; w 1905 roku w Cieśninie Cuszimskiej krążowniki japońskiego admirała Heirachiro Togo dosłownie zdmuchnęły rosyjską flotę z powierzchni wody. Rosja musiała zaakceptować haniebny pokój, którego nie mógł zaakceptować nawet Związek Radziecki (pokonana Japonia przekonała się o tym w 1945 roku). Przegrana wojna kosztowała Rosję 400 000 zabitych. Wraz z klęską w pobliżu Cuszimy reżim carski zaczął chylić się ku upadkowi.

Skutkiem porażki militarnej były międzynarodowe upokorzenie i niepokoje rewolucyjne w kraju. W żelaznej skorupie rosyjskiego izolacjonizmu pojawiły się szczeliny. Piotr Wielki ustanowił niegdyś kardynalną zasadę: "Europa będzie nam jeszcze potrzebna przez kilka dziesięcioleci, potem odwrócimy się od niej. Szybko bierzmy to, co najlepsze, i udoskonalajmy u siebie". Zgodnie z tą zasadą, carską polityką rządził osobliwy dualizm; sięganiu po idee pochodzące z zewnątrz towarzyszył wrodzony

i zolacj oni styczny lęk. Doskonałym przykładem była kolej żelazna, wspaniały zachodni wynalazek, który znalazł zastosowanie na ogromnych przestrzeniach Rosji -ale z szerszym rozstawem szyn niż w całej Europie. W efekcie pociągi z Polski, Austrii czy Prus nie mogły przekraczać granicy rosyjskiej. W ten sposób uniemożliwiono Rosjanom porównywanie własnego losu z losem innych narodów, a car mógł kreślić obraz Rosji jako królestwa bożego na ziemi.

Zbyt długie sprawowanie i nadużywanie władzy może uczynić władców ślepymi na ludzką godność i sprawiedliwość. Car Piotr i caryca Katarzyna umiejętnie przekształcali dowódców wojskowych w uperfumowanych dworzan, lecz ich następcy wykazali się nadzwyczajną nieudolnością polityczną.

Pod względem przepaści pomiędzy bogatą elitą a biednym proletariatem i żyjącym w poddaństwie chłopstwem sytuacja w Rosji była wyjątkowa. Industrializacja wymagała niewykwalifikowanej siły roboczej, która tworzyła zręby nowej klasy robotniczej. Ta klasa doznawała okrutnych cierpień za sprawą właścicieli fabryk; robotnicy i ich rodziny żyli w strasznych warunkach, w ciemnych norach, w rozsypujących się barakach z cegły, pokrytych grubą warstwą pyłu węglowego, brudnych i odrażających. Pojawiły się organy przedstawicielskie, które nieśmiało zaczęły występować w obronie praw robotników. Zaczęły się strajki, tłumione z całą bezwzględnością. Był to odpowiedni moment, by pojawił się mąż

opatrznościowy, zjednoczył proletariat i poprowadził Rosję ku jej przeznaczeniu.

Lejba Dawidowicz Bronstein w dzieciństwie lepiej mówił w jidysz niż po rosyjsku. Wstąpił na uniwersytet w Odessie, zakochał się w śpiewaczce operowej i zaczął się uczyć aktorstwa, co ułatwiało mu później przemawianie do wielkich tłumów. Jego światopogląd kształtowały dzieła Rousseau, Marksa, Nietschego, dAnnunzia i Zoli. "Duchowe dziedzictwo człowieka jest tak bogate, że musimy stawać na ramionach naszych wielkich przodków" - napisał, zanim w 1899 roku wsadzono go do pociągu jadącego na Syberię. W więzieniu Lejba Dawidowicz nawiązał przyjacielskie stosunki z prostodusznym myśliwym, który znał tę część Syberii. W 1902 roku udało im się uciec, a myśliwy poprowadził ich obu do Irkucka, najbliższej stacji kolejowej. Przed ucieczką Lejba Dawidowicz musiał zdobyć paszport. Jednym ze strażników więziennych był brutalny sadysta o nazwisku Trocki, który nienawidził Żydów. Bronstein okazał swoiste poczucie humoru, wpisując do skradzionego paszportu jego nazwisko. Od tej chwili Lejba Dawidowicz Bronstein stał się Lwem Trockim. Sfałszowany dokument nie wzbudził podejrzeń urzędników w Irkucku i pozwolił mu dostać się na pokład statku płynącego do Londynu, gdzie zbieg spotkał dwoje rewolucjonistów, Nadieżdę Krupską i jej męża, Władimira Iljicza Uljanowa, czyli Lenina. Z pewnością nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Trocki uznał poglądy polityczne Lenina za moralnie odrażające. A Lenin uważał Trockiego za gadułę i skończonego oportunistę.

Lenin, niewysoki, łysiejący, z mongoloidalnymi oczami, pochodził z zamożnej klasy średniej. Za swoje bezkompromisowe, radykalne poglądy polityczne spędził kilka lat w carskich więzieniach. Jego życie zmieniło się, gdy spotkał Gieorgija Plechanowa, przebywającego na wygnaniu przywódcę rosyjskich socjaldemokratów, który powiedział: "My patrzymy prosto w oczy liberalnej burżuazji, a wy odwracacie się do

niej tyłem". To doprowadziło do rozłamu w partii. Plechanow stanął na czele frakcji mienszewików, Lenin przewodził bolszewikom. Jedynym rywalem partii w Rosji byli Socjaliści-Rewolucjoniści, czyli eserowcy, zróżnicowana grupa bez jasno zdefiniowanych celów. Nie działali szczególnie skutecznie, a mimo to rośli w siłę. Aby zneutralizować ich rosnące wpływy, Ochrana pomogła założyć Związek Rosyjskich Robotników Fabrycznych, którego przywódcą został pop Gieorgij Hapon. Po wojnie rosyjsko-japońskiej nabrzmiewające w Rosji niepokoje skłoniły Trockiego do przyjazdu do Sankt Petersburga, gdzie utworzył rade robotniczą. Ponieważ w fabrykach narastało niezadowolenie, policja rozkazała Haponowi w mroźny zimowy poranek 22 stycznia 1905 roku poprowadzić Związek Robotników w publicznej manifestacji, będącej wyrazem lojalności wobec cara. Tysiące robotników i członków ich rodzin pomaszerowały pod Pałac Zimowy, niosąc petycje ze skargami, by przedstawić ją carowi Mikołajowi: "My, twoi wierni robotnicy, nasze dzieci, nasze żony i nasi bezradni rodzice przyszliśmy tu szukać prawdy i opieki. Jesteśmy biedni, jesteśmy uciemiężeni, szydzą z nas i traktują nas jak niewolników. Nasza cierpliwość się wyczerpała. Nadeszła dla nas chwila, kiedy śmierć jest lepsza niż dalsze cierpienia". Ta pokojowa demonstracja, bez sztandarów i transparentów, natknęła się na zwarty mur żołnierzy i konnych kozaków. Bez ostrzeżenia żołnierze otworzyli ogień do zbitego tłumu; w masakrze zginęło ponad 1000 osób. "Ta krwawa łaźnia stała się próbą generalną naszej rewolucji 1917 roku"- napisał Trocki. Rezultatem Krwawej Niedzieli była fala strajków, która przetoczyła się przez kraj.

Prawie 2000000 robotników porzuciły pracę - i to bez dyrektyw ze strony jakiejś organizacji politycznej. Władze zareagowały z niesłychaną brutalnością. Tysiące ludzi załadowano do pociągów i wywieziono na Syberię. Rewolucja 1905 roku była spontanicznym wystąpieniem, bez planu i bez przywództwa, a kozacy utopili ją w morzu krwi.

4 lutego młody eserowiec Iwan Kalajew rzucił bombę pod powóz stryja cara, wielkiego księcia Siergieja Aleksandrowicza, który został rozszarpany wybuchem na strzępy. Reżim szukał kozła ofiarnego i winą obarczono żydowskich rewolucjonistów. Rozpoczął się straszliwy pogrom. Palono dzielnice żydowskie, rabowano domy i sklepy, rozwścieczony tłum mordował Żydów. Zamachowiec nigdy nie powiedział sądowi, kto pociągał za sznurki.

Trocki, figurujący na liście Ochrany jako narodnik, jeden z intelektualistów, którzy postanowili robotników "wyzwolić z niewolnictwa", znów znalazł się w drodze na Syberię. Podobnie jak Włodzimierz Iljicz Uljanow, który przyjął nazwisko od rzeki przepływającej w pobliżu miejsca jego zesłania, Leny. Zanim jednak Trocki został wsadzony do pociągu, wziął udział w jeszcze jednym wydarzeniu. Car łaskawie zgodził się wydać słynny "manifest październikowy", w którym zapowiedział swobody konstytucyjne. Dla oportunisty Trockiego stało się to okazją, by dowieść swoich zdolności błyskotliwego mówcy. Wymachując carskim manifestem, zwrócił się do robotników w Piotrogrodzie: "Zmusiliśmy tego rzeźnika na tronie, aby przyznał nam wolność. Obiecał nam prawo do głosowania. Nie cieszcie się jednak. Jeśli rząd szczerze pragnie zawrzeć pokój z ludem, musi zacząć od udzielenia amnestii wszystkim naszym towarzyszom na Syberii". Tłum wpadł w szał: "Amnestia! Amnestia!". Trocki ciągnął dalej: "Robotnicy, nasza siła jest w nas samych. Musimy chwycić za broń,

upomnieć się o nasze prawa. Manifest konstytucyjny to tylko świstek papieru. Dzisiaj car daje go wam, a jutro odbierze go i podrze na strzępy, tak jak ja drę go teraz na waszych oczach". I rozrzucił strzępy manifestu ponad głowami tłumu3. Car postąpił dokładnie tak, jak przepowiedział Trocki. Pod naciskiem stryjów, kuzynów i siostrzeńców, wykazując brak politycznej przenikliwości, również tym razem, okazał niezdecydowanie. Rewolucja bolszewicka nie była jeszcze przesądzona i wszystko mogłoby się inaczej potoczyć,

gdyby podjął energiczne działania. Jednak car zawiódł całkowicie. "To królik - szydziła burżuazja, komentując bojaźliwość cara i rosnące wpływy polityczne jego żony. - Potrafi działać jedynie w łóżku, a i to tylko za jej zgodą".

Trocki znalazł się w skutej mrozem tajdze za kręgiem polarnym, 1500 kilometrów od najbliższej stacji kolejowej. Tym razem ucieczka wydawała się niemożliwa. Jego strażnicy nie docenili jednak pomysłowości Lwa Trockiego; zesłaniec zaprzyjaźnił się z nałogowym pijakiem z plemienia Zyrian, który dostarczał strażnikom pędzony w domu bimber. Pewnego wieczoru Trocki wsadził pijanego tubylca na zaprzężone w renifery sanie i wyjechał przez bramę pod stertą cuchnących futer.

Trudno opisać ich tysiąckilometrową podróż przez zimową syberyjską noc. Jechali w arktycznych ciemnościach, a Trocki zabawiał swego przewodnika, opowiadając mu różne historie. Powtarzał je często później z zakończeniem pasującym do danej sytuacji. Po kilku tygodniach dotarli do stacji kolejowej w Bogołowsku4, gdzie Trocki podał się za uczestnika ekspedycji polarnej; był tak przekonywający, że miejscowy gubernator poprosił go, aby opowiedział o swoich przygodach śmietance towarzyskiej miasta. Dalej poszło już łatwo. Z prawdziwymi dokumentami, dostarczonymi "wybitnemu profesorowi L. Trockiemu" przez uczynnego gubernatora, uciekinier pojechał pociągiem do Moskwy, a stamtąd do Londynu, Berlina i Wiednia, by osiąść w końcu w Paryżu. Po wybuchu I wojny światowej zaczął publikować artykuły w emigracyjnej gazecie "Nasze Słowo". Z powodu ostrego pióra został wydalony z Francji i wsiadł na pokład statku płynącego do Nowego Jorku, gdzie spotkał kilku innych rosyjskich socjaldemokratów, między innymi Aleksandrę Kołłontaj i Nikołaja Bucharina, i zaczął pracować w redakcji rosyjskiego dziennika "Nowyj Mir".

Tymczasem w Rosji narastał ferment, lecz car uzyskał chwilowe odroczenie wybuchu rewolucji. W czerwcu 1914 roku serbska organizacja nacjonalistyczna zorganizowała zamach na

austriackiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i niebawem cała Europa znalazła się w stanie wojny. W nacjonalistycznej gorączce dzieci machały chorągiewkami, kobiety skandowały patriotyczne hasła, a mężczyzn wcielano do wojska "w obronie Świętej Matki Rosji". Udział Mikołaja II w wojnie ograniczał się do podejmowania katastrofalnych decyzji. Skierował dwie niedostatecznie przygotowane armie (1. Armię generała Pawła Rennenkampfa i 2. Armię generała Aleksandra Samsonowa) do źle zaplanowanego ataku na Prusy Wschodnie. Głęboka osobista niechęć, jaka dzieliła obu dowódców, oraz fakt, że Niemcy odczytywali rosyjskie rozkazy, wysyłane bez zaszyfrowania, przyczyniły się do druzgocącej rosyjskiej klęski pod Tannenbergiem, gdzie świetnie wyposażona armia niemiecka pokonała kolosa na glinianych nogach. Ogółem zginęło 600 000 ludzi. Ofensywa generała Brusiłowa na linie austro-węgierskie zakończyła się kolejną katastrofą. Morale w wojsku spadło, fasada rosyjskiego patriotyzmu wykruszyła się, a monarchia zaczęła trzeszczeć w posadach.

87

Gdyby car poprosił swego kuzyna cesarza o honorowy pokój, mógłby nie tylko ocalić tron własny i jego, lecz także uczynić z Wielkiej Wojny najkrótszy wielki konflikt w historii. Wojska niemieckie parły naprzód, a Rosjanie cofali się w popłochu, ponosząc straszliwe straty.

Sytuacje pogarszała dodatkowo głęboka przepaść, jaka istniała zawsze pomiędzy kastą oficerską a chłopską armią. Oficerowie korzystali z częstych urlopów, mogli więc odwiedzać żony i sypiać z kochankami, natomiast miliony poborowych uważano jedynie za "mięso armatnie". Skuleni w okopach tkwili w błocie po kolana. Wysyłano ich prosto pod lufy niemieckich karabinów maszynowych lub na zasieki z drutu kolczastego. Tych, którzy odmawiali wykonania rozkazu, rozstrzeliwano bez sądu. Rosyjscy żołnierze zaczęli nienawidzić swoich dowódców na wszystkich szczeblach hierarchii wojskowej, od kapitana, pułkownika i generała aż do samego cara i jego "niemieckiej suki". Jednostki frontowe

przypominały beczki z prochem z coraz krótszym lontem. Wielki książę Mikołaj Nikołajewicz, wódz naczelny armii, błagał cara, aby nadał ziemię żołnierzom w nagrodę za wyjątkowe męstwo. W odpowiedzi car zwolnił wielkiego księcia ze stanowiska. "Uczyniliśmy milowy krok w kierunku pokonania Rosji" - zauważył z satysfakcją niemiecki szef sztabu, generał Erich Ludendorff, kiedy dowiedział się o usunięciu wielkiego księcia. Nieudolny car próbował teraz sam kierować działaniami wojennymi. "To jej sprawka - sarkali rosyjscy generałowie. - Ta Niemka i jej przeklęty mnich doprowadzą nas do katastrofy".

Sankt Petersburg, przemianowany na Piotrogród, by uczynić zadość patriotycznym uczuciom Rosjan walczących z Niemcami, był miastem, które zapożyczyło swą architekturę z Rzymu, rozrywki z Paryża, a aspiracje z Berlina. Było to miejsce, gdzie najsprytniejsi dorabiali się fortun, a inni pozbawiali ich majątku; miasto masek i tajemnic, pełne widzialnych i niewidzialnych wrogów. Wyczerpana psychicznie, niezrównoważona caryca Aleksandra Fiodorowna rozpaczała z powodu pogarszającego się stanu zdrowia cierpiącego na hemofilię syna Aleksieja. Nic nie pomagało, ani lekarze, ani pielgrzymki do świętych przybytków. Trwało tak do czasu, gdy na scenie pojawił się pewien syberyjski mnich i caryca znalazła się pod jego urokiem. Ów mnich, Grigorij Jefimowicz Rasputin, utrzymywał, że Bóg zsyła mu wizje i że potrafi wyleczyć carewicza z choroby. Kiedy Mikołaj przebywał w swej polowej kwaterze głównej w Mohylewie, los państwa zależał od carycy i jej złego ducha, Rasputina. Decyzje, które razem podejmowali, były katastrofalne. W grudniu 1916 roku książę Feliks Feliksowicz Jusupow zwabił Rasputina, znanego kobieciarza, do swego pałacu, obiecując mu względy swojej pięknej żony Iriny Aleksandrowny. Następnie Jusupow i dwaj jego wspólnicy zamordowali Rasputina; otruli go, postrzelili, a ponieważ nadal dawał oznaki życia, wrzucili go do lodowatej Newy. "Zabili go!" - rozbrzmiewały radosne okrzyki, kiedy kraj świętował jego śmierć, jakby to była Wielkanoc. Caryca płakała gorzkimi łzami. Toczyła się wojna i miliony musiały zapłacić życiem za nieudolność cara - ale to byli prości chłopi, urodzeni po to, by

umrzeć za swego monarchę. Tylko śmierć Rasputina liczyła się dla rodziny carskiej.

- Kto po nas zapłacze? - pytała żałośnie Aleksandra Fiodorowna.

- Moja droga, cała Rosja zapłacze - odparł Mikołaj.

88

Mylił się. Nienawiść ludu skupiła się teraz na carycy, "niemieckiej suce". Ludzie złorzeczyli jej, przytupując nogami na mrozie w długich kolejkach po żywność. Żołnierze na froncie mówili: "Wszystkiemu winna jest ta przeklęta Niemka, nie chce, żebyśmy pobili jej kuzyna". Te pogłoski przybrały wkrótce niebezpieczne rozmiary. Wielu rozstrzelano za szerzenie defetystycznych oszczerstw, ale ich miejsce zajęli inni.

Po trzech latach wyniszczającej wojny, gdy wojska rosyjskie cofały się na całej linii, w kraju szerzył się głód, cesarski dwór stał się widownią pałacowych intryg, a gospodarka była zrujnowana, Piotrogród przypominał Rzym Borgiów. Teraz, kiedy zabrakło Rasputina, władza przeszła w ręce carskich stryjów, którzy narzucali swoją wolę parlamentowi, czyli Dumie Państwowej. Pomimo strat idących w miliony, pomimo głodnych ludzi w miastach, domagających się chleba, dla rządzącej kliki w Piotrogrodzie wszystko toczyło się normalną koleją. Burżuazja zdążyła się już nauczyć, że zdeterminowany proletariat nie ma dość sił, by wstrząsnąć krajem. Jednak tym razem było inaczej. Korpus oficerski nie mógł dłużej zagwarantować lojalności swoich żołnierzy; dowódcy wojskowi mieli więcej kłopotów z utrzymaniem dyscypliny we własnych szeregach niż z prowadzeniem działań wojennych przeciwko Niemcom. Armia rosyjska stała się "chłopską milicją", dowodzoną przez podwładnych spoza klas uprzywilejowanych. Kwestia nie sprowadzała się do tego, czy wybuchnie rewolucja, ale kiedy wybuchnie - czy rozpocznie się od upadku nieudolnego monarchy, czy od buntu w wojsku. W kwaterze głównej

naczelnego dowództwa oficerowie debatowali o wielkiej strategii przy suto zastawionych stołach, a car chadzał na spacery z psem, gdy tymczasem na froncie skazywano na zagładę kolejne pułki, pozostawiając je na śmierć w marznącym błocie. Każdego ranka z lodowatego grzęzawiska okopów trzeba było wyciągać trupy. Front przedstawiał okropny obraz: cuchnące ziemianki, gnijące namioty medyczne, walące się schrony, błoto w okopach. Odwrót oznaczałby przyznanie się do klęski, toteż oficerowie rozkazywali żołnierzom trwać na pozycjach i umierać.

Przychodzi moment, kiedy nawet najdzielniejsi muszą się zbuntować. Potrzebna była tylko organizacja, która zjednoczy ludzi. Ogień w sercach rozgoryczonych żołnierzy rozpalił na nowo zastęp agitatorów, którzy opowiadali im, jak bogacze obrastają tłuszczem i jak ambitni politycy i paskarze dorabiają się na klęskach wojennych. Była to szczera prawda: tysiące kilometrów za liniami frontu spekulanci nabijali sobie kabzy i chodzili do opery z wystrojonymi kochankami. Wiarygodność rosyjskiego premiera Michaiła Rodzianki nadszarpnęły straszliwe straty na froncie i chwiejąca się gospodarka. Rząd nie mógł sobie poradzić z rosnącym niezadowoleniem i zapaścią finansową. Sytuacja pogarszała się coraz bardziej. Wówczas z cienia wyłonił się człowiek, za którego kadencji miał się dokonać upadek carskiej Rosji.

Aleksander Fiodorowicz Kierenski, błyskotliwy prawnik, spędził kilka miesięcy w więzieniu po rewolucji 1905 roku; w ten sposób zyskał etykietkę Socjalisty-Rewolucjonisty, choć uważał marksizm za nowinkę zapożyczoną z zagranicy. Nowy premier okazał się człowiekiem na tyle przewidującym, że nawiązał współpracę z Piotrogrodzką Radą Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, zgromadzeniem rywalizującym z Dumą, której członkowie szczycili się, że reprezentują "przyzwoitych obywateli",

uważając radę za "brudny motłoch". Rada broniła praw robotników fabrycznych. Utworzyli ją socjaliści, a nie bolszewicy, jak później utrzymywano, i nie miała nic wspólnego z umacniającymi swoje wpływy bolszewikami. Tym śmiałym posunięciem Kierenski ominął jałowe negocjacje pomiędzy wybranymi przedstawicielami Dumy a monarchą. Zręcznie przeciągnął na swoją stronę proletariat, ale jednocześnie umożliwił miejskiej klasie robotniczej publiczne demonstrowanie swych pretensji i uaktywnił rozgoryczonych chłopskich żołnierzy na froncie. Jak na ironię, Lenin i Trocki, którzy mieli wstrząsnąć światem w sposób, jakiego żaden z nich nie przewidział, w ogóle nie wzięli udziału w wypadkach z lutego 1917 roku. W tym czasie Lenin mieszkał jeszcze w Zurychu, a Trocki wygłaszał w Nowym Jorku wykłady o porażce międzynarodowego socjalizmu. Wbrew późniejszej radzieckiej propagandzie bolszewicy nie byli odpowiedzialni za obalenie cara, a co więcej, prawie nie istnieli jako siła polityczna.

Piotrogród, 23 lutego 1917 roku. Wszystko zaczęło się od demonstracji robotnic zakładów włókienniczych nad Newą. W ciągu godziny zebrał się wokół nich tłum krzyczący: "Precz z carskim samowładztwem!". Ludzie wzięli się za ręce i ruszyli Bolszym Prospektem. Zatrzymały ich szwadrony kozaków z obnażonymi szablami, a policja rozpędziła demonstrujących pałkami. Jakimś cudem dzień zakończył się bez ofiar i aresztowań. Tego wieczoru burmistrz Piotrogrodu powiedział przy kieliszku szampana w hotelu Astoria: "Mój Boże, wyobraźcie sobie, co pomyśleliby o nas sojusznicy, gdybyśmy zbroczyli śnieg krwią własnego ludu". Aleksander Kierenski został powitany w Dumie okrzykiem: "Zdrajca!". Kiedy zgromadzenie uspokoiło się, wskazał za okno: "Nazywacie mnie zdrajcą? Czy jesteście ślepi? Te kobiety na ulicy to wasze matki, wasze żony, wasze córki, a głód jest ich jedynym carem".

Trzy dni później rewolucyjni radykałowie, którzy nazywali się teraz bolszewikami, zwołali wiec. Natychmiast zjawili się agenci Ochrany, aby ich aresztować. Ci, którym udało się wymknąć z obławy, zebrali

200 000 gotowych na wszystko ludzi. Po raz pierwszy znaleźli się wśród nich żołnierze i studenci. Tłum przeszedł po lodzie przez zamarzniętą Newę. Sprzyjał im los, a także generał Chabałow, który odmówił otwarcia ognia. Rozeszła się wieść, że żołnierze Pułku Preobrażeńskiego przyłączyli się do demonstrantów. "Teraz nawet Turcy będą mogli się z nas śmiać" - zauważył pewien stary hrabia. O godzinie 9.30 siedział w westybulu Astorii, czytając gazetę, gdy zobaczył nadciągający bulwarem tłum. Obrotowe szklane drzwi hotelu zostały wybite kolbą karabinu i ktoś krzyknął: "To jeden z nich!". Hrabia osunął się na oparcie krzesła, ugodzony kulą. Był pierwszą ofiarą rewolucji. Tłumy szły również w stronę placu Znamienskiego i dworca Nikołajewskiego, gdzie przywitał je ogień z karabinów maszynowych. Na Newskim Prospekcie demonstrantów zatrzymała salwa Pułku Pawłowskiego. Tłum zabrał zabitych i poniósł zakrwawione ciała ulicami Piotrogrodu. Batalion wojska otrzymał rozkaz otwarcia ognia, lecz żołnierze zwrócili się przeciwko swemu dowódcy, pułkownikowi Ekstenowi, i zabili go. Coraz więcej żołnierzy, którzy mieli chronić miasto przed rozruchami, przyłączało się do demonstrantów. W Carskim Siole, rezydencji cara, 25 kilometrów od Piotrogrodu, księżniczki spoglądały przez oszronione okna na pokryty śniegiem park. Kiedy w mieście wybuchły 90

walki, carska rodzina nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji, podobnie jak Mikołaj, który przebywał w odległym Mohylewie.

Tej nocy wieści o wydarzeniach w Piotrogrodzie dotarły po drutach telegraficznych do większych ośrodków w całej Rosji. Rozruchy rozszerzyły się na Moskwę, gdzie tłum obalił ogromny posąg cara Aleksandra III, a potem śmiał się, kiedy dzieci sikały na koronowaną głowę leżącą w rynsztoku. W Piotrogrodzie rozruchy przybrały niepokojące rozmiary. Uzbrojone bandy włóczyły się po ulicach, wybijając okna wystawowe i rabując luksusowe towary; bar Astorii został ogołocony z alkoholu. Na Newskim Prospekcie rozhisteryzowany tłum rzucił się w pościg za oficerem kawalerii i zlinczował go. Garnizon twierdzy Pietropawłowskiej uwolnił wszystkich przetrzymywanych tam więźniów. Do godziny 13.30

większość jednostek wojskowych przeszła na stronę rewolucji. Po stołecznych bulwarach pędziły zarekwirowane taksówki pełne buntowników, którzy wymachiwali karabinami i krzyczeli na całe gardło: "Swoboda! Wolność!". Duma obradowała w stanie najwyższego wzburzenia, co chwila wybuchała panika. Niektórzy ministrowie błagali rewolucjonistów o ochronę przed szalejącym na ulicach motłochem. Michaił Rodzianko, jako szef rządu, rozkazał generałowi Chabałowowi przywrócić porządek wszelkimi dostępnymi środkami. Generał odparł, że nie ma już żołnierzy, którym mógłby zaufać. Wówczas Rodzianko zadepeszował do przebywającego w Mohylewie cara:

SYTUACJA POWAŻNA. MUSIMY NATYCHMIAST POWOŁAĆ NOWY RZĄD. RODZIANKO.

Było już jednak za późno, Rodzianko ustąpił, a jego miejsce zajął mienszewik Kierenski.

Człowiek, który lubił naśladować Napoleona i potrafił przemawiać całymi godzinami, musiał działać szybko. Igrając z Radą Delegatów - odrażającym motłochem, który śmierdział czosnkiem i ryczał "Swoboda!" - obudził smoka. Teraz potwór ten powinien zostać zniszczony. Rada wydała już swój słynny Rozkaz Nr 1, nawołujący żołnierzy, aby nie słuchali oficerów, lecz tworzyli rady rewolucyjne, wybierali komitety i wykonywali tylko rozkazy Rady Żołnierskiej. Kierenski i jego koledzy liberałowie otworzyli puszkę Pandory i wypuścili demony. Nagle okazało się, że to nie burżuazja kontroluje wydarzenia, lecz ulica. Czcigodny gmach Dumy przypominał poczekalnię dworcową gdzieś za Uralem. Pospólstwo wtargnęło do sali obrad, wnosząc tu broń, zapach potu i chaos. Kilku deputowanych ukryło się tchórzliwie w najdalszym kącie. Kierenski zdołał się dopchać do trybuny mówcy i zagrał kartą atutową: zagroził rezygnacją, jeśli zesłańcy polityczni

nie wrócą z Syberii, ponieważ wiedział, że to posunięcie spotka się z poparciem Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Stał się

człowiekiem chwili, gdy zaproponował utworzenie Tymczasowego Rządu Ocalenia. Aby mogło to nastąpić, musiał odejść car.

Tymczasem car wsiadł w Mohylewie do swego pociągu, chcąc jak najszybciej zobaczyć się z rodziną. W ten sposób stracił kontakt zarówno z armią, jak i z rządem. W pociągu nie było ani telefonu, ani telegrafu, a wszystkie stacje na trasie przejazdu znajdowały się w rękach rewolucjonistów. Kiedy pociąg wlókł się w ślimaczym tempie, a buntownicy przestawiali zwrotnice, aby uniemożliwić mu dotarcie do celu, Jego Cesarska Wysokość pozostawał w całkowitej nieświadomości co do rozwoju sytuacji

politycznej. Było więc dla niego zupełnym zaskoczeniem, kiedy wręczono mu telegram z sugestią natychmiastowej abdykacji:

NASILAJĄ SIĘ ŻĄDANIA ABDYKACJI NA RZECZ NASTĘPCY TRONU.

W przeciwnym razie mogło się zdarzyć, że "stary despota, który doprowadził kraj do kompletnej ruiny, zostanie obalony siłą". Wyznaczona przez Kierenskiego delegacja wyruszyła, by przechwycić pociąg cara i uniemożliwić Mikołajowi dotarcie do lojalnych jednostek wojskowych.

Psków, 2 marca 1917 roku. Koszmarna podróż Mikołaja szybko dobiegła kresu. Tego wieczoru car usiadł w swojej salonce i napisał w dzienniku: "Ze wszystkich stron otacza mnie zdrada, tchórzostwo i fałsz". Kolejarze odłączyli jego wagon i car spędził noc w nieogrzewanym przedziale. Obudził go gwizd pociągu wjeżdżającego na dworzec pskowski. Wysiedli z niego dwaj ludzie: Wasilij Szulgin, monarchistyczny deputowany, który przyłączył się do Kierenskiego, i Aleksander Guczkow, inny deputowany, przerażony rozwojem wydarzeń. Powierzono im niewykonalne zadanie: jedynym sposobem ocalenia Rosji przed całkowitą anarchią było odejście Mikołaja.

Guczkow i Szulgin zdecydowali się postąpić wbrew instrukcjom Kierenskiego, ponieważ zdawali sobie sprawę, że kraj nie może istnieć bez cara - Mikołaj musiał abdykować na rzecz syna Aleksieja. Wymagało to zgody cara; tylko on mógł teraz uratować Rosję.

Car, ubrany w długi czerkieski płaszcz, stanął w drzwiach wagonu i skinął przybyłym głową. Usiedli we trzech wokół stołu w salonce. Podano herbatę, tej uświęconej ceremonii nie mogła zakłócić ani wojna, ani rewolucja. Deputowani wyjaśnili, że sytuacja jest krytyczna, błagali cara, aby zrzekł się tronu na korzyść swego syna. Car wyglądał na zaskoczonego. "Zastanowię się nad waszą prośbą".

Guczkow zatarł nerwowo ręce. "Wasza Wysokość, nie ma na to czasu".

"Nie możecie ode mnie oczekiwać natychmiastowej decyzji".

"Niestety musimy nalegać" - rzekł Szulgin.

Była 1.00 po południu 2 marca 1917 roku (15 marca według kalendarza gregoriańskiego). Mikołaj wycofał się do swego prywatnego wagonu, skąd wysłał telegram do Rodzianki (nie uznawał Kierenskiego), wyrażając zgodę na sformowanie nowego rządu pod przewodnictwem księcia Gieorgija Lwowa. W salonce Guczkow zwrócił się do Szulgina, na którego twarzy malowało się ogromne napięcie: "Co to dla niego za różnica - abdykował od chwili, kiedy został carem. Powinien pomyśleć o własnej rodzinie".

Mikołaj wrócił, był bardzo blady, ale wydawał się spokojny. Zapewne wciąż nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

"Wasza Wysokość, trzeba działać, czas ucieka".

"Czy nie można by tego uniknąć?" - spytał car.

Wstrząśnięci deputowani spojrzeli po sobie. Prawdziwy monarcha, który nadal mógł liczyć na dobrze wyszkolonych żołnierzy,

górujących pod każdym względem nad niezdyscyplinowanym motłochem, rozkazałby stłumić bunt, powiesić prowodyrów i przywrócić porządek. Oczywiście doszłoby do rozlewu krwi, lecz było to nieuniknione dla

dobra kraju. Okoliczności wymagały twardego człowieka, który podjąłby stanowczą decyzję. A ten godny pogardy słabeusz pytał ich, czy nie można by tego uniknąć!

"Kilka lat, kilka miesięcy temu być może tak, ale nie dzisiaj" - odparł Szulgin.

Niedługo przed trzecią telegraf przekazał odpowiedź z Piotrogrodu: CAR MUSI ODEJŚĆ . KIERENSKI. Dla Mikołaja oznaczało to koniec. Nie chciał się przyznać do tego, że nienawidzi siebie za niezdolność do podejmowania stanowczych i szybkich decyzji. Miał nadzieję, iż tym aktem poświęcenia zdoła ocalić swój ukochany kraj przed dalszym rozlewem krwi. Wróciwszy do prywatnego wagonu, podniósł z biurka fotografię rodziny w srebrnej ramce i studiował ją przez dłuższą chwilę. Miał takie śliczne córki, zupełnie jak dziewczęta, które spotykał niegdyś na angielskich kortach tenisowych. Westchnął i przywołał sekretarza, by podyktować mu akt abdykacji:

"...Uważamy, że w tych decydujących dla Rosji dniach obowiązkiem Naszego sumienia jest zapewnić Naszemu narodowi możliwie największą jedność i ułatwić mu konsolidację wszystkich sił narodowych w celu jak najszybszego osiągnięcia zwycięstwa. W porozumieniu z Cesarską Dumą postanowiliśmy zatem zrzec się Tronu Cesarstwa Rosyjskiego i złożyć Naszą najwyższą władzę... Niech Bóg pomoże Rosji!

Mikołaj. 2 marca 1917, godzina 15.05".

Można powiedzieć, że w ostatnim momencie swego panowania Mikołaj okazał więcej energii niż wówczas, kiedy rządził imperium.

"Musi być inny car, car zawsze był i zawsze będzie" -powiedział, wręczając dokument, aby przetelegrafowano go do Piotrogrodu. Ale nawet w swym ostatnim posunięciu popełnił błąd. Zamiast przekazać tron Aleksiejowi, abdykował na rzecz brata, wielkiego księcia Michała Alek-sandrowicza. Car zmarnował swoją ostatnią szansę; Guczkow i Szulgin przegrali, a wraz z nimi cała Rosja. "Boże, chroń Matkę Rosję" - powiedział przygnębiony Szulgin. Kierenski był nieprzejednany: żadnego cara! W ciągu godziny przekonał wielkiego księcia Michała do podpisania rezygnacji: ".. .proszę wszystkich obywateli państwa rosyjskiego, aby podporządkowali się Rządowi Tymczasowemu, który ma pełną władzę...".

Wraz z upadkiem Romanowów powrócił względny spokój. Względny - ponieważ najgorsze miało dopiero nadejść. Mikołaj udał się do Carskiego Sioła, by połączyć się z rodziną i pędzić życie więźnia w otoczeniu wrogo nastawionych strażników. Przy całej swej politycznej zręczności Kierenski nie dostrzegał niebezpieczeństwa wiszącego nad jego burżuazyjną dyktaturą. "Nie zamierzam umrzeć jak Marat w wannie" - powtarzał. Bardziej niepokoiło go widmo restauracji monarchii niż narastające zagrożenie ze strony bolszewickich ekstremistów. Kierenski i Duma zastąpili majestat cesarski w dziele rządzenia Rosją. W skład zgromadzenia wchodziło kilka większych partii: oktiabryści (zwolennicy monarchii zreformowanej w duchu manifestu Mikołaja II z października 1905 roku), kadeci (Konstytucyjni Demokraci, reprezentujący liberalną burżuazję), eserowcy (Socjaliści-Rewolucjoniści o tradycjach terrorystycznych) i mienszewicy (umiarkowana frakcja

Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji). Na lewo od nich zasiadała skromna reprezentacja nowej formacji politycznej: bolszewicy, radykalny odłam rosyjskiej socjaldemokracji, gotowy do sięgnięcia po władzę przy użyciu przemocy i do podpisania rozejmu z Niemcami. Z tego właśnie powodu nazywano ich defetystami.

Do czerwca miasto zalały tysiące dezerterów wznoszących okrzyki: Doloj wojnu! Precz z wojną! Niebawem wszyscy krzyczeli "Precz z wojną!", strajkujący robotnicy z fabryk wyborskich, zbuntowani marynarze z twierdzy kronsztadzkiej, całe pułki odmawiające powrotu na front. Zbuntowane jednostki zajęły dworce kolejowe; na mostach przez Newę ustawiono zapory. Co jakiś czas dochodziło do strzelaniny pomiędzy kozakami a uzbrojonymi bandami. Jednak buntownikom brakowało jednolitego kierownictwa, kogoś, kto nakłoniłby prosty lud do połączenia sił. Rząd Tymczasowy z pomocą lojalnych jednostek wojskowych stłumił powstanie lipcowe. Kierenski zyskał na czasie. Jednak problem nie zniknął; zszedł na dalszy plan, a tymczasem w miastach zapanował głód, spekulacja osiągnęła niespotykane rozmiary, na froncie zaś ginęło coraz więcej żołnierzy. Rosja czekała na kogoś, kto podniesie pochodnię rewolucji.

W Nowym Jorku niewiele osób zwróciło uwagę na elokwentnego żydowskiego imigranta, dopóki nie zaczął pisać dla emigracyjnej gazety "Nowyj Mir". Stopniowo rozszerzał zakres działalności; wygłaszał wykłady o rosnącej sile proletariatu. Jego wystąpienia odnosiły taki sam skutek, jak kamień wrzucony do "kałuży pełnej nadętych żab". Trocki stracił wiarę w zdolności intelektualne i odwagę amerykańskich socjalistów. Przywódcy związkowi unikali żydowskiego parweniusza, który chciał wtrącać się w ich sprawy. W lokalnych gazetach ukazywały się karykatury Lwa Trockiego jako uosobienia rewolucjonisty: gęsta grzywa kręconych włosów, wydatny nos, wystające, grube wargi okolone czarnymi wąsami i kozią bródką, grube okulary w metalowej oprawce. Niebawem jednak miejscowa prasa odkryła, że ten gadatliwy cudzoziemiec wywiera magnetyczny, nieodparty wpływ, a jego wypowiedzi warte są cytowania. "Europa to beczka prochu, gotowa do rewolucji społecznej. Rosyjski proletariat wrzuci do niej pochodnię. Kto twierdzi, że nie spowoduje to eksplozji, ten zaprzecza prawom historycznej logiki".

Chciał się tam znaleźć, kiedy nastąpi eksplozja. Uznał, że czas jechać, kiedy po jednym z wykładów 29-letni bolszewik Nikołaj

Bucharin błagał go, aby odnowił kontakty z partią, którą porzucił po zerwaniu z Leninem w Londynie. W marcu 1917 roku Trocki wypłynął z Nowego Jorku na pokładzie statku "Christianafjord". W Halifaksie aresztowała go brytyjska policja portowa i osadziła w obozie dla marynarzy z zatopionych niemieckich U-Bootów, nie chcąc dopuścić, aby ten defetysta przyłączył się do ruchu na rzecz pokoju z Niemcami. Rosja była dla Anglii cennym sojusznikiem, ponieważ odciągała wiele dywizji z frontu zachodniego. W obozie Trocki okazał się tak przekonywającym mówcą, że nawrócił wielu uwięzionych marynarzy na socjalizm, wywołując tym irytację pruskich oficerów. Ku ich ogromnej uldze został w końcu zwolniony i ruszył w dalszą podróż, żegnany entuzjastycznymi okrzykami niemieckich marynarzy.

Drugi protagonista, Włodzimierz Lenin, również wrócił do Rosji. Jego zwolennicy zgotowali mu owacyjne przyjęcie. Stojąc na dachu pociągu pancernego na Dworcu Finlandzkim w Piotrogrodzie, zawołał: "Niech żyje światowa rewolucja socjalistyczna!". Kierenski oskarżył Lenina, że jest agentem na niemieckim żołdzie, ponieważ Niemcy dostarczyli go w zaplombowanym wagonie do granicy rosyjskiej, aby wzbudzał niepokoje i doprowadził do wycofania się Rosji z wojny. Lenin uciekł do Finlandii i ekstremiści znów pozostali bez przywódcy.

Nie na długo jednak, ponieważ w Rosji był już Trocki. Bez wielkiego hałasu wkroczył do Dumy, ignorując przedstawicieli prawicy, i zwrócił się bezpośrednio do deputowanych z bolszewickiej Rady Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich oraz do lewicowych intelektualistów: "Nie ufajcie burżuazji, polegajcie tylko na własnej sile". Ponieważ Lenin nadal się ukrywał, Zinowjew i Kamieniew nie potrafili zająć jasnego stanowiska, Bucharin był zbyt chwiejny, a nowy człowiek, Józef Stalin, zbyt grubiański i nieokrzesany, Trocki stał się wyrazicielem idei bolszewizmu. Pojawiła się opinia, że Lew Trocki jest gorszy niż wszystko, z czym Duma miała dotąd

do czynienia. Oskarżył Kierenskiego o kierowanie rządem zdrady narodowej, o podżeganie do wojny w interesie spekulantów, o wykorzystywanie klęski głodu do zgniecenia proletariatu. Kierenski replikował, zapowiadając wolne wybory, ale ta obietnica nie wystarczała bolszewikom, ponieważ nie mogli zdobyć bezwzględnej większości. Jedynym wyjściem było dla nich powstanie zbrojne, które musiało wybuchnąć przed wyborami.

Każdego dnia Trocki stawał na swojej ulubionej parkowej ławce i podburzał masy. "Kto jest przyczyną waszych nieszczęść? Burżuazja. Pomyślcie tylko o bogactwach, które przechodzą przez ręce tych pasożytów". Tłum szemrał gniewnie. "Kto wytwarza te bogactwa? Kto orze ziemię, kto pracuje w kopalniach, kto trudzi się przy maszynach?". Szmer przybierał na sile. "Kto tworzy świat, w którym bawią się i napychają sobie brzuchy?". Aż wreszcie wyklęty lud tej ziemi ryknął: "Precz z burżuazją!". Kraj znalazł się na krawędzi chaosu. Banki zostały zamknięte, pensje wypłacano w bezwartościowych pieniądzach papierowych, a strajki osiągnęły niewyobrażalne rozmiary. Na wsi zapanowała anarchia; chłopi uzbrojeni w widły łączyli się z dezerterami, by zabijać właścicieli ziemskich. Wojsko, wysyłane w celu przywrócenia porządku, nie słuchało oficerów i brało udział w grabieżach i mordach. Jedyną formą wymiaru sprawiedliwości stało się prawo linczu. Zamęt rozprzestrzeniał się jak zaraza; imperium rozpadało się na etniczne części składowe. Ukraina, Białoruś, państwa bałtyckie, nawet Syberia - wszystkie te regiony domagały się własnych zgromadzeń konstytucyjnych. Kozacy dońscy i Mongołowie, Turkmeni i Gruzini, Tatarzy i Żydzi żądali regionów autonomicznych. Wojska syberyjskie zbuntowały się i pozabijały swoich dowódców. Kraj dojrzał do przemian.

Pod wpływem zaburzeń wewnętrznych strach Kierenskiego przed odrodzeniem monarchii przerodził się w prawdziwą obsesję. Przedłużający się pobyt obalonego imperatora w Carskim Siole stał się główną kwestią w toczącej się walce pomiędzy dwoma ośrodkami władzy, Rządem Tymczasowym, który próbował ją załagodzić, a

Radą Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, która domagała się głowy cara. "Mikołaj II odziedziczył po swoich poprzednikach nie tylko wielkie imperium, lecz także rewolucję. Nie odziedziczył natomiast ani jednej cechy, która pozwoliłaby mu rządzić imperium, czy choćby prowincją - pisał napastliwie Trocki. - Jeśli się go pozbędziemy, nic nie stracimy, jeśli go zatrzymamy, doprowadzimy do przywrócenia monarchii"5.

Przybierały na sile naciski z zagranicy. Caryca była kuzynką króla Jerzego V i rząd brytyjski patrzył z niepokojem na niepewną sytuację rosyjskiej rodziny panującej. Anglicy zaproponowali, że przyślą do Murmańska krążownik. Uzyskano nawet gwarancję cesarza niemieckiego, który zgodził się zapewnić kuzynowi Nickyemu

bezpieczną podróż. Minister spraw zagranicznych w rządzie Kierenskiego wyrażał obawy o los obalonego imperatora: "Musimy wywieźć cara w bezpieczne miejsce". Wyjazd cara na wygnanie mógłby zażegnać groźbę przywrócenia monarchii. Kierenski jednak wahał się i zanim podjął decyzję, Anglicy wycofali swoją ofertę azylu. Tymczasem z frontu wracały pociągi pełne dezerterów. Dla mienszewików sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Kierenski wezwał swoich ministrów na naradę. "Musimy coś zrobić, aby zadowolić robotników i żołnierzy - stwierdzili. -Przeklęta Rada i jej żydowski podżegacz. Zobaczycie, że ten idiota sam ukręci sobie sznur na szyję".

Ktoś inny dodał: "Trocki jest sprytny, a co więcej, stanowi element jednoczący. Rzućmy mu jakiś ochłap, pozbądźmy się go".

"Kogo mamy się pozbyć, Trockiego?" - zdziwił się Kierenski.

"Nie Trockiego - cara. To powinno uciszyć tego nikczemnego Żyda. A potem uderzmy na niego, zgniećmy go i jego wściekłą sforę".

Kierenski powiadomił byłego cara, że jego rząd wybrał Tobolsk na Syberii jako "tymczasową rezydencję" monarchy. Tłumaczył ten krok troską o bezpieczeństwo carskiej rodziny. "To schronienie, nie wygnanie". Taka półprawda była bardziej haniebna niż kłamstwo, stanowiła polityczną wymówkę. Tobolsk leżał na zupełnym odludziu, w zapadłej głuszy na wschód od Uralu. Można tam było dotrzeć tylko parowcem -jeśli rzeka nie była zamarznięta, a lód pokrywał ją przez siedem miesięcy w roku. Kierenski surowo przykazał konwojentom, aby zachowywali się przyzwoicie. "Nie kopie się leżącego".

1 sierpnia 1917 roku nastąpił wyjazd rodziny cesarskiej z pałacu w Carskim Siole. Na dworcu Kierenski skłonił się sztywno carowi. Rodzina Mikołaja zajęła miejsca w wagonie i pociąg oznaczony jako Japońska misja Czerwonego Krzyża" wyruszył na Syberię. Cztery dni później przekroczył górską przełęcz na Uralu. W Tiumeniu car z rodziną weszli na pokład rzecznego parowca "Rossija". Podziwiali krajobrazy, których nigdy dotąd nie widzieli, niekończące się sosnowe i brzozowe lasy. Kiedy dotarli do Tobolska, wszyscy mieszkańcy zgromadzili się na brzegu, aby na nich popatrzeć, bez wrogości, ale też i bez współczucia, wyłącznie z ciekawości, jakby oglądali wypchane zwierzęta w muzeum. Rodzina carska została umieszczona w Domu Wolności, byłej rezydencji gubernatora, dwukondygnacyjnym murowanym, otynkowanym budynku. Dla dzieci, przyzwyczajonych do rozległych przestrzeni Carskiego Sioła, miał on wszelkie cechy więzienia.

Ich rodzicom przydzielono pokój na parterze; był tam też osobny pokój dla carewicza Aleksieja, a dziewczęta otrzymały jeden wspólny pokój z kwiecistymi tapetami. Aby zachować pozory prywatności, przedzieliły go kurtyną z prześcieradeł. Gorąca woda była rzadkością i należało się nią dzielić.

Dom Wolności nie był Pałacem Aleksandrowskim, a Tobolsk nie był Piotrogrodem. Ludzie jedli tu suszone ryby, palili machorkę, zawiniętą w papier gazetowy i pili wódkę ze złożonych dłoni. Miasto

leżało jednak daleko od bitych traktów i zapewniało złudne poczucie bezpieczeństwa. Mikołaj nigdy nie wyzbył się nadziei, że lojalni przyjaciele uwolnią ich wkrótce z syberyjskiego zesłania. A co dalej? Zapewne pojadą koleją transsyberyjską do Władywostoku, a stamtąd do Japonii. Nie ograniczano im swobody ruchów, ale bez pomocy z zewnątrz nie mogli nawet myśleć o ucieczce.

96

Poza tym stan zdrowia carewicza gwałtownie się pogarszał. Chłopiec wychudł jak szkielet i ledwie trzymał się na nogach. Doktor Jewgienij Botkin, który wiernie towarzyszył carskiej rodzinie na wygnaniu, nie potrafił powstrzymać krwotoków.

Na Syberii grupa oficerów zebrała się w tymczasowej kwaterze głównej generała Aleksandra Kołczaka.

co im się każe

- Musimy uwolnić Jego Wysokość i przywrócić monarchię. Żołnierze zrobią wszystko,

- stwierdził jeden z nich.

- Do wielu moich jednostek przeniknęli agitatorzy - wtrącił inny.

- Myślę, że mógłbym nawet pokochać Kierenskiego, gdyby powystrzelał wszystkich tych bolszewickich wichrzycieli. Jest ich więcej niż pcheł na psie.

- Niech lepiej bolszewicy zajmą się mienszewikami - powiedział szef sztabu Kołczaka. - Kiedy Kierenski zostanie wyeliminowany, a bolszewicy przejmą władzę, nie utrzymają się nawet tydzień. Rosja zmierzała ku samospełniającemu się proroctwu. Wieści z frontu były przygnębiające, ale nie z powodu nowej niemieckiej ofensywy. Niemcy nie musieli podejmować żadnych działań; po prostu czekali, aż armia rosyjska się rozpadnie. "Wmawiają nam, że toczymy wojnę

z Niemcami - głosili agitatorzy. - Toczymy wojnę z kapitalistami, a oni nie są już w stanie nami rządzić".

Kierenski sam przyczynił się do zaognienia sytuacji; swymi niespełnionymi obietnicami rozpalał płomień w całej Rosji, czego historia nigdy mu nie wybaczy. On i jego mienszewicy nie dostrzegali nędzy w ubogich dzielnicach miasta, zaledwie o rzut kamieniem od ich wspaniałych rezydencji nad Newą. Nie zauważyli istotnej zmiany w postawie ludzi i zignorowali fakt, że nędza jest idealną pożywką dla następnej, jeszcze straszniejszej rewolucji. Burżuazja uważała lewicowy dogmat, że głodujące masy powstaną, za zwykłe mydlenie oczu. Cóż za niedorzeczna myśl; masy zawsze zachowują się jak stado baranów! Bolszewicy sądzili inaczej; rzucając hasło "Władza w ręce mas!", spodziewali się odegrać pierwszoplanową rolę.

Mieli odnieść sukces przekraczający ich najśmielsze oczekiwania. W pojedynku słownym na posiedzeniu Dumy burżuazyjna większość nazwała Trockiego "nikczemnym bandyckim hersztem bandy chuliganów". Odparł: "Wiemy, że ten rząd zdrady narodowej jest gotów uciec i pozostawić miasto burżuazyjnym awanturnikom". Maskował słabość swojej partii zuchwałym sloganem: "Ludzie są z nami!". Po tych słowach 66 członków bolszewickiej mniejszości opuściło obrady. "Wreszcie pozbyliśmy się ich!" - zakrzyknęła 500-osobowa większość. Deputowani nie wiedzieli, że Trocki i jego stronnicy idą prosto na barykady. Wizja kolejnej straszliwej zimy sprawiła, że wyczerpała się cierpliwość robotników fabrycznych. Długo lekceważony, pogardzany rosyjski proletariat miał niebawem zwrócić na siebie uwagę Rządu Tymczasowego, a także uwagę świata. Bolszewicy zdawali sobie sprawę, że karabiny maszynowe w rękach zbuntowanych żołnierzy to argument bardziej przekonywający niż puste frazesy deputowanych. Trocki zaczął wcielać w życie swoją "iluzję prawdy", mówiąc masom to, co najbardziej chciały usłyszeć: "Pokój dla żołnierzy, fabryki dla robotników, ziemia dla chłopów". Oklaskiwano go i noszono na rękach.

Zza fińskiej granicy Lenin obserwował poczynania Trockiego z aprobatą. Aby potwierdzić swoje przywództwo, przemknął się przez granicę i wrócił do Rosji. Brzemienne w skutki spotkanie bolszewickiego kierownictwa, czyli, jak zaczęto je niebawem nazywać, Komitetu Centralnego, odbyło się 10 października 1917 roku. Los im sprzyjał. Niemcy wznowili ofensywę i zdobyli wielki bałtycki port w Rewlu. Bolszewicy zręcznie wykorzystali tę okazję. "Wierność państwu proletariackiemu jest rewolucyjnym obowiązkiem, natomiast wierność państwu burżuazyjnemu jest zdradą". To zawoalowane bolszewickie wezwanie do broni zaowocowało utworzeniem Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, który stał się zbrojnym ramieniem rewolucji taździernikowej. Największym bez wątpienia osiągnięciem Trockiego było zorganizowanie kilku komitetów, za których pomocą zamierzał wywierać wpływ na masy i sprawować nad nimi kontrolę. "Komitety pomogą nam przejść od przemocy spontanicznej do przemocy zorganizowanej". Rozumiał, że nadchodzący kryzys nie jest wyrazem sprzeciwu wobec władzy wykonawczej, lecz buntem zrodzonym z rozpaczy wywołanej krwawą wojną, głodem w miastach i uciskiem. Tworząc swoje komitety, chciał jedynie przerzucić pomost do rozczarowanych, by stworzyć płaszczyznę porozumienia pomiędzy proletariatem a bolszewikami, którzy mogliby odpowiednio ukierunkować rozgoryczenie mas. Od tego zależał sukces rewolucji.

Przy całej swojej przenikliwości Kierenski źle to wszystko zrozumiał - obawiał się, że zamach bolszewicki doprowadzi do monarchistycznego kontrprzewrotu. Uważał, iż dysponuje wystarczającymi siłami, by stłumić każde powstanie.

Rewolucja październikowa była amatorskim przedsięwzięciem, którego wynik zaskoczył wszystkich, a najbardziej jego organizatorów. Bolszewicy doszli do władzy, mając po swojej stronie niecałe pięć procent stanu osobowego garnizonu Piotrogrodu. Zwycięstwo zawdzięczali przede wszystkim dwóm ludziom:

Trockiemu z jego talentem oratorskim oraz Leninowi, którego niezachwiana postawa w decydujących godzinach przesądziła o wyniku. Poparły ich masy domagające się chleba i pokoju. Za stronę wojskową planowanego bolszewickiego przewrotu odpowiadał Włodzimierz Antonow-Owsiejenko. Wiedział z doświadczenia, iż w pierwszym rzędzie należy opanować najbardziej newralgiczne punkty stolicy, takie jak transport, redakcje gazet, mosty i główne skrzyżowania. Trzeba było zająć dworce kolejowe, centralę telefoniczną, elektrownię i stację pomp, a także osadzić w areszcie tylu członków gabinetu, ilu się tylko da. Wszystko zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, a do każdego z wyznaczonych punktów wysłano specjalną jednostkę. Antonow-Owsiejenko nie postawił jednak wartownika przed Instytutem Smolnym, ekskluzywną szkołą dla dziewcząt z dobrych domów. A przecież Smolny był sercem całej operacji, ponieważ znajdowała się tam bolszewicka kwatera główna i wszyscy przywódcy.

Krytyczny dzień, 6 listopada 1917 roku, zaczął się względnie normalnie. Wczesnym przedpołudniem kilkudziesięciu robotników, prowadzonych przez agitatorów, wyszło na ulice, by zaprotestować przeciwko polityce aprowizacyjnej Rządu Tymczasowego. Czerwoni komisarze sformowali komitety strajkowe i wystawili pikiety. Na scenie pojawił się oddział policji, ale uznał, że tłum jest zbyt wielki, by interweniować. W Pałacu Maryjskim Kierenski oznajmił: "Bolszewicy rzucili wezwanie do powstania. Niechaj nikt nie wątpi, że Rząd Tymczasowy będzie bronił mieszkańców

Piotrogrodu przed motłochem". Zatelefonował do pułkownika Wasiljewa, komendanta twierdzy Pietropawłowskiej, i usłyszał w słuchawce obcy głos: "Tu Błagonrawow, przewodniczący Rady

Żołnierskiej. Wykonujemy tylko rozkazy Komitetu Rewolucyjnego". Wkrótce potem Błagonrawow wysłał na miasto 80 karabinów

maszynowych.

Trocki wspiął się na konny posąg jakiegoś carskiego generała, który wskazywał szablą na odległe niebo, jakby prosił Boga, by uwolnił go od gołębi gnieżdżących się na jego głowie. Pierwsze słowa Trockiego przywitały gwizdy i szydercze okrzyki: "Przeklęty bolszewik!". Dzięki talentom oratorskim Trocki zdołał przeciągnąć tłum na swoją stronę. Jak Marek Antoniusz w słynnej mowie przed rzymskim senatem, zaczął spokojnym tonem, który stopniowo przybierał na sile.

"Kiedy lud cierpi zbyt długo, wówczas przychodzi moment, by powiedzieć nie. A lud rosyjski cierpiał zbyt długo. Dzisiejszego ranka wyszedł na ulicę, by domagać się zakończenia krwawej wojny". Ktoś zawołał: "Ma rację! Skończyć z wojną!". Inni zakrzyczeli go: "Milcz! Potrafi tylko gadać, tak jak oni wszyscy". Trocki, nie tracąc pewności siebie, ciągnął dalej: "Mówimy, skończcie z wojną! Zwróćcie nam naszych ukochanych synów, sprowadźcie ich z przesiąkniętych krwią okopów, zanim zginą! Miliony we wszystkich częściach naszej Matki Rosji chcą tego i miliony są po naszej stronie. Obalcie klikę podżegaczy i spekulantów, którzy kontynuują krwawą wojnę wyłącznie dla osobistych korzyści. Nie wierzcie temu, co mówią, ponieważ żaden wyzyskiwacz nigdy nie powie prawdy wyzyskiwanym!". Trocki wiedział, że odniósł zwycięstwo. Może ci ludzie ich nie poprą, ale nie wystąpią też przeciwko powstaniu.

Co dziwne, życie w mieście toczyło się tak, jakby nie działo się nic godnego uwagi. Jeździły tramwaje, przed kinoteatrami płonęły kolorowe neony, a Fiodor Szalapin śpiewał tytułową rolę w Borysie Godunowie. W nocy z 6 na 7 listopada 1917 roku spekulanci ucztowali w restauracji Pod Niedźwiedziem, drogi e kurtyzany spacerowały z oficerami Wozniesienskim Prospektem, a po przedstawieniu bywalcy opery pili szampana w Astorii. Tej nocy Lenin napisał swój ostatni list do Komitetu Centralnego: "Rząd chwieje się. Musimy go dobić bez względu na cenę. Odwlekanie wystąpienia oznacza śmierć". Około północy Lenin wstał, włożył płaszcz i czapkę i wraz z przyjacielem, fińskim bolszewikiem

Iwanem Rahją, wyszedł na wyludnioną ulicę. Nagle zza rogu wyjechało dwóch kozaków, którzy chcieli ich aresztować, grożąc nahajkami. Wykazawszy się przytomnością umysłu, Rahja zaczął udawać pijanego i zatoczył się na kozackiego konia, a Lenin skorzystał z okazji, umknął w boczną uliczkę i zniknął w ciemnościach. Niewiele brakowało, by dwaj kozacy zmienili bieg historii. Za kilka minut miała już być środa 7 listopada 1917 roku6. Kiedy mieszkańcy Piotrogrodu wyszli rano z domów, ulice pokrywał topniejący śnieg. 7 listopada wypadały urodziny Lwa Trockiego, ale nikt nie przyniósł mu tortu. Pluton żołnierzy z Pułku Oranienbaumskiego wtargnął do redakcji gazet "Raboczyj Put" i "Sołdat" i zdemolował je, rozbijając maszyny drukarskie. "Gazety muszą się ukazywać" - zarządził Trocki, szczerze zadowolony, że przeciwnik wykonał tak nierozsądny ruch. Usprawiedliwiało to bolszewickie twierdzenie o konieczności działania "w obronie przed podłym spiskiem". Aby chronić gazety, zwrócił się o pomoc do żołnierzy Pułku Litewskiego, którzy ulegli rewolucyjnej agitacji. Tymczasem radiostacja 99

na krążowniku "Aurora", opanowanym przez zbuntowanych marynarzy, nadawała niekończące się wezwania do broni. "Wrogowie ludu przeszli nocą do ofensywy. Postawcie swoje jednostki w stan gotowości bojowej i czekajcie na dalsze instrukcje Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego". Czerwona Gwardia opanowała Dworzec Nikołajewski i pałac Potiomkina, marynarze z "Aurory" rozbroili 11 młodych junkrów broniących ważnego strategicznie mostu Nikołajewskiego.

Lenin przebywał w Smolnym. Kierenski odciął połączenia telefoniczne ze Smolnym i wezwał 23. dywizję Kozaków dońskich. Kozacy natknęli się na tory kolejowe, zablokowane wykolejonymi wagonami. Odcięty od wszelkiej łączności Feliks Dzierżyński wręczył świstek papieru dwóm ludziom, którzy kręcili się bez celu po korytarzu: "Oto pisemny rozkaz zajęcia centrali telefonicznej. Przywróćcie łączność". Pobiegli i pokazali papier zdumionym wartownikom przed centralą telefoniczną, a potem utorowali sobie drogę do głównej łącznicy,

gdzie przy pulpitach siedzieli operatorzy. Telefony w Smolnym zaczęły działać. Dworzec Warszawski wpadł w ręce zamachowców bez walki.

Tymczasem Instytut Smolny - przysadzisty szary budynek, wyglądający bardziej na muzeum niż na rewolucyjną kwaterę główną, był strzeżony przez jednego nastolatka. W każdej chwili mogli tam wtargnąć lojaliści i aresztować całe bolszewickie kierownictwo. Smolny znajdował się tuż obok głównej komendy policji, a jednak nic się nie stało.

Wyłoniony na posiedzeniu Dumy Komitet Ocalenia rozkazał zgnieść powstanie za pomocą samochodów pancernych, uzbrojonych w karabiny maszynowe, doskonale przystosowanych do rozpędzania demonstracji. Trocki wysłał młodego chorążego, Nikołaja Krylenkę, aby zaagitował załogi samochodów pancernych. "Władza jest w waszych rękach, nie oddawajcie Wielkiej Rosji!"- nawoływał Kry lenko. Załogi przeprowadziły głosowanie i postanowiły "nie oddawać Wielkiej Rosji". Dowódca jednostki, który błagał podwładnych, by wsparli legalny rząd, został zastrzelony.

Wczesnym przedpołudniem do Smolnego dotarła wiadomość, że zbliża się do miasta 5. Batalion motocyklowy słynnej "Dzikiej Dywizji". Jakow Swierdłow rozkazał swym najzdolniejszym agitatorom, aby go powstrzymali. Jeszcze raz potwierdziła się znana prawda, że słowo ma przewagę nad siłą oręża. Mając u swego boku zaledwie kilku ludzi, Grigorij Ordżonikidze zastąpił drogę dobrze uzbrojonym "motocyklistom" i przemówił do nich: "Władza przeszła w ręce Rady. Cały garnizon piotrogrodzki przyłączył się do rewolucji. Wasza interwencja spowoduje tylko niepotrzebny rozlew krwi". Kiedy "motocykliści" zatrzymali się na przedmieściach Piotrogrodu, do sali obrad Dumy wkroczyła Czerwona Gwardia. Komisarz podbiegł do przewodniczącego obrad: "Posiedzenie zamknięte!".

Jak na razie zamach nie pociągnął za sobą zbyt wielu ofiar. Czerwonej Gwardii wydano rozkaz aresztowania wszystkich ministrów Kierenskiego, lecz gwardziści nie wykonali zadania i nie zatrzymali ani jednego wyższego dygnitarza. Nie podjęto też żadnych prób aresztowania

Kierenskiego czy zajęcia jego gabinetu w Pałacu Zimowym. Lenin, bez porozumienia z Komitetem Wojskowo-Rewolucyjnym, sporządził notatkę, którą odczytano natychmiast przez radiostację na pokładzie "Aurory": "Obywatele Rosji! Władza państwowa przeszła w ręce Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, który stoi na czele proletariatu".

Doborowe pułki kozackie, 1., 4. i 14., przeprowadziły głosowanie i postanowiły zachować

neutralność. Poinformowany o decyzji kozaków Kierenski powierzył dowództwo admirałowi Wierdierewskiemu, lecz Wierdierewski nie przyjął tego wątpliwego zaszczytu. Zajął postawę wyczekującą, co niewiele mu pomogło. Rewolucjoniści wkrótce go rozstrzelali.

Trocki z największym trudem przecisnął się przez tłum delegatów w Smolnym. "Towarzysze! - Musiał krzyczeć kilka razy, aby usłyszano go wśród powszechnej wrzawy. - Towarzysze! Rząd Kierenskiego przestał istnieć. - Podniósł ręce, próbując uciszyć wybuch entuzjazmu, i wskazał drzwi. -Towarzysze! W tym historycznym dniu jest wśród nas towarzysz Lenin". Czapki poleciały w górę i rozległy się gromkie owacje. Lenin, niewysoki i starannie ogolony, wszedł do sali i wspiął się na mównicę. Zapadła cisza.

"Towarzysze! Robotniczo-chłopska rewolucja, do której wzywała partia bolszewicka, dokonała się. Stary aparat rządowy został zmieciony. Burżuazja już nigdy nie będzie mogła uczestniczyć w rządach Rady. Nastała nowa era".

Kierenski zniknął. Zachęcany przez podwładnych do radykalnych działań, nie podjął żadnej decyzji, by uniknąć rozlewu rosyjskiej krwi. Był kolejnym słabym człowiekiem u steru rządów, a jego słabość oznaczała zgubę dla Rosji. W 1970 roku, na krótko przed śmiercią w Nowym Jorku, Kierenski stwierdził: "Byliśmy zbyt naiwni". Lenin udzielił wywiadu amerykańskiemu dziennikarzowi Johnowi Reedowi: "Stary aparat państwowy jest burzony, na jego miejscu powstaje nowy" - oświadczył, nie wdając się w szczegóły, kto go tworzy. Cała operacja zaczęła wyglądać jak "zmiana warty, lecz brakowało jej wojskowej precyzji". Kanonierki ze zbuntowanymi marynarzami Floty Bałtyckiej nigdy nie przybyły, ponieważ w samochodzie bolszewika Pawła Dybienki, który miał to zorganizować, skończyła się benzyna.

Lenin zarządził oblężenie Pałacu Zimowego. Monumentalnego budynku o 1000 pokoi i 2000 okien broniło 800 młodych junkrów i batalion kobiecy. Sygnałem do ataku miało być czerwone światło z twierdzy Pietropawłowskiej. Jej radziecki komendant nie mógł jednak znaleźć czerwonej lampy. Wreszcie rozkazał wystrzelić z dwóch dział, ale pociski chybiły o kilkaset metrów. Działa "Aurory" też wystrzeliły kilkakrotnie w kierunku pałacu. Ponieważ okręt zakończył właśnie remont i nie miał na pokładzie ostrej amunicji1, działa strzelały pociskami ćwiczebnymi. Tysiące czerwonogwardzistów ruszyły z dzikim krzykiem do ataku. Korytarze rozbrzmiewały echem wystrzałów, krew spływała po marmurowych schodach, kule dziurawiły olejne obrazy i mahoniowe boazerie. Jeszcze jedne drzwi i pierwsi czerwonogwardziści wpadli do Sali Malachitowej. Atrament z kałamarzy wylano na zielony dywan, papiery rozrzucono po podłodze. W pobliżu wielkiego stołu stali ministrowie Rządu Tymczasowego Kierenskiego. "W imieniu rewolucji jesteście aresztowani". Zegar na kominku wskazywał 2.10 w nocy 8 listopada 1917 roku.

"Pałac Zimowy jest nasz!". Ten okrzyk wywołał wybuch entuzjazmu w Smolnym, gdzie obradowała Rada. Przed wejściem do wykładanej

białym marmurem i złotem sali balowej z gipsowymi amorkami i pomalowanym sufitem, gdzie panny z najlepszych domów przedstawiano niegdyś arystokratycznym konkurentom, wisiał na kiju od szczotki pas czerwonego materiału oddartego z pluszowej kotary. Salę obrad 101

wypełniał błękitny obłok dymu tytoniowego, pod ścianami stały karabiny, a nieogoleni mężczyźni w poplamionych roboczych ubraniach siedzieli obok żołnierzy w mundurach carskiej armii. Byli tam delegaci z Moskwy, państw bałtyckich, Syberii i wielu innych części kraju. Według relacji jednego z uczestników, wyglądali bardziej jak motłoch, który wypełzł z jakichś zapadłych dziur, niż jak przedstawiciele narodu rosyjskiego. Wszyscy domagali się prawa głosu i wszyscy chcieli mówić jednocześnie. Wyrażano najróżniejsze opinie, niektóre przemyślane, niektóre spontaniczne. Reformiści proponowali rozwiązania bardziej umiarkowane, natomiast radykalne kierownictwo bolszewickie opowiadało się za kontynuowaniem powstania. Padały ostrzeżenia przed terrorem i groźbą krwawej wojny domowej.

Trocki nazwał zgromadzenie najbardziej demokratycznym parlamentem w historii ludzkości. Dla rewolucji październikowej bardzo charakterystyczne były takie spontaniczne komitety i zgromadzenia. Zajmowały sale lekcyjne, wybierały przewodniczących i rozpoczynały działalność.

Ich członkowie nie mieli żadnego doświadczenia w polityce czy ekonomii - nie wiedzieli nic o rewolucji i snuli najbardziej niedorzeczne projekty. Wielu uczestniczyło w tym epokowym wydarzeniu, lecz niewielu dotrwało do jego końca.

Nad Rosją wstawał szary świt. Z oddali Piotrogród wydawał się martwym miastem. Przynajmniej tego dnia nie wisiały nad nim kłęby dymu z kominów fabrycznych. Na dachu Pałacu Zimowego powiewał czerwony sztandar. Barykady, wzniesione pospiesznie na wszystkich większych skrzyżowaniach i przeprawach przez rzekę,

blokowały ruch. Oddziały robotników i żołnierzy ruszały do walki, której nie rozumiały, gdzie chaos, przemoc i okrucieństwo zajęły miejsce regulaminów i zasad dyscypliny. "Wielu wkrótce umrze - zauważył Trocki. - Nie mają żadnego doświadczenia i nie wiedzą, co ich czeka".

Większość obywateli przyglądała się temu bezczynnie, ponieważ nie wierzyła, że bolszewicy zdołają się utrzymać. W Smolnym wszyscy czekali na przybycie Lenina, a tymczasem Trocki tworzył Radę Komisarzy Ludowych. Stanowiska zostały rozdzielone: Lenin - przewodniczący, Trocki - sprawy zagraniczne i wojskowe, Stalin - sprawy narodowościowe. Ta ostatnia nominacja okazała się poważnym błędem, ponieważ Trocki powierzał Stalinowi kontrolę nad całym aparatem policji politycznej. Stalin mianował Feliksa Dzierżyńskiego, swego lojalnego stronnika, szefem Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją, Sabotażem i Spekulacją. Dzierżyński był tak podejrzliwy, że rozkazał co dwie godziny zmieniać strażników w więzieniach, aby nie mogli zawierać znajomości z więźniami. Kamieniewowi i Zinowjewowi przydzielono role drugorzędne. Dawid Riazanow objął resort handlu, chociaż nie miał w tej dziedzinie żadnego doświadczenia, a Wiaczesław Mienżynski finanse, ponieważ był niegdyś urzędnikiem bankowym. Kiedy pewien 20-letni student oznajmił, że napisał artykuł o inwestycjach zagranicznych, Mienżynski z miejsca mianował go dyrektorem Banku Państwowego.

Pierwsze głosowanie, jakie zarządziła Rada Komisarzy Ludowych, dotyczyło zniesienia kary śmierci. Nowo wybrany przewodniczący, Lenin, który zjawił się na posiedzeniu w czarnym garniturze z kwiecistym krawatem, warknął na Trockiego: "Jak można prowadzić rewolucję bez egzekucji? Jakie pozostaną nam inne środki repre-

sji?". Cele więzienne szybko zmieniły lokatorów; opuścili je bolszewicy, a na to miejsce przyszli ministrowie, którzy zarządzili ich

aresztowanie. Aby zarobić kule w tył głowy, wystarczyło nosić futrzany płaszcz - oznakę spekulanta. Na swój sposób Lenin i Trocki naśladowali metody Robespierrea.

Gdy Lenin oznajmił w Smolnym, że nakazał natychmiastowe przerwanie działań wojennych na froncie z Niemcami, żołnierze rzucali czapki w górę. "Wszelka prywatna własność ziemi zostaje zniesiona bez żadnego odszkodowania". Te słowa wzbudziły z kolei entuzjazm delegatów chłopskich. A przebiegły Trocki, nawiązując do niepokojących pogłosek, że Kozacy Kierenskiego idą na stolicę, dodał pospiesznie: "Oczywiście ziemie dzielnych Kozaków, służących w naszych siłach rewolucyjnych, nie zostaną skonfiskowane". (W rzeczywistości były to pierwsze ziemie zawłaszczone przez państwo.) Delegaci wybrali nowy Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy Rad, czyli WCIK, złożony ze 100 osób, wśród których znalazło się "tylko" 70 bolszewików, ponieważ było jeszcze za wcześnie, by ustanawiać rządy jednopartyjne. "Jesteśmy za sprawiedliwością społeczną i równością dla wszystkich". Niebawem wszędzie powiewały czerwone flagi, a Rząd Tymczasowy tracił grunt pod nogami. Lenin i jego towarzysze powoli przejmowali kontrolę nad aparatem państwowym i stopniowo umacniali swoją pozycję. "Władza w ręce rad!" -brzmiał ich okrzyk bojowy. W Moskwie lojalni Rządowi Tymczasowemu junkrzy ze szkoły oficerskiej zaatakowali Kreml. Tego dnia zginęło wielu ludzi.

11 listopada w Gatczynie Kierenski spotkał się wreszcie z korpusem kozackim generała Piotra Krasnowa. Późnym rankiem Kozacy dońscy dotarli do Wzgórz Pułkowskich. Mogli stamtąd łatwo wkroczyć do miasta i położyć kres "bolszewickiej awanturze". Potrzebna była zdecydowana akcja, ale Kierenski wahał się, nie chciał wydać rozkazu marszu na stolicę, natomiast Krasnow miał kłopoty z utrzymaniem dyscypliny wśród swoich podkomendnych. Gdy wreszcie Krasnow zarządził szturm miasta, Kozacy zatrzymali się na przedmieściu przed wzniesionymi pospiesznie barykadami. Lenin osobiście nadzorował przygotowania do pierwszej zbrojnej

konfrontacji. Zmobilizował wszystkie rezerwy i posłał je na "front rewolucyjny".

O świcie 12 listopada rozegrała się decydująca bitwa rewolucji. Przeciwko 700 Kozakom generała Krasnowa, dobrze wyszkolonym i wyposażonym w artylerię polową, Lenin zgromadził 12 000 robotników fabrycznych, cztery samochody pancerne z karabinami maszynowymi i dwa lekkie działa. Pierwsza fala bolszewików w sile około 5000 ludzi zaatakowała zwartą masą, prowadząc ciągły ogień. Udało im się wziąć do niewoli 10 Kozaków. Bolszewicki dowódca, Paweł Dybienko, postanowił zastraszyć wroga. Jeńcy zostali wyprowadzeni na przedpole i rozstrzelani na oczach swych towarzyszy. Wywarło to efekt przeciwny do zamierzonego. Wściekli Kozacy ruszyli do szarży na bolszewików. Rozbili ich, podpalili ciężarówki i rzucili się w pościg za przeciwnikiem. Moździerze Krasnowa trafiły w stertę skrzyń z amunicją, w niebo wzbił się płomień potężnej eksplozji. Uciekający bolszewicy padali pod ciosami kozackich szabel, lecz niebawem straszliwi jeźdźcy znad Donu wjechali na miękki, podmokły grunt. Konie zapadały się w grząskiej ziemi i natarcie straciło impet. Kozacy byli kawalerzystami i nie przywykli do walki pieszo. Ostatnia kontrofensywa Kierenskiego załamała się. Kierenski uciekł, a bolszewicy stali się panami sytuacji.

103

Kiedy zakończyły się walki wewnątrz kraju, Komitet Centralny rozkazał naczelnemu dowódcy rosyjskich sił zbrojnych, generałowi Nikołajowi Duchoninowi, zwrócić się do Niemców z propozycją natychmiastowego zawieszenia broni. Ponieważ Duchonin nie chciał zdradzić swego kraju, Lenin mianował 32-letniego byłego nauczyciela i "rewolucyjnego bohatera", chorążego Nikołaja Krylenkę, dowódcą największej armii w Europie. (Krylenko został stracony na rozkaz Stalina w 1938 roku). Krylenko, nazwany niebawem "najbardziej odrażającą kreaturą w Rosji", rozstrzelał generała. Rozpoczęły się rokowania pokojowe. Delegacji rosyjskiej

przewodniczył nowo mianowany komisarz spraw wojskowych Lew Trocki. 3 marca 1918 roku w Brześciu Litewskim został podpisany traktat pokojowy. Armia rosyjska poszła w rozsypkę; dla niej wojna się skończyła. To, co się teraz zaczęło, było gorsze od wszystkiego, czego doświadczył dotąd naród rosyjski.

18 stycznia 1918 roku bolszewicy rozpędzili Zgromadzenie Konstytucyjne, przejmując pełnię władzy w kraju. Ich strategia opierała się na prostej formule: "Zabijajcie obszarników i odbierajcie im ziemię". Było to wezwanie do mordów i grabieży, odwołujące się do najbardziej prymitywnych instynktów. Ci, którzy niczego nie posiadali, przyłączali się do ruchu bolszewickiego.

Znajdowali w nim własną wizję prawa i porządku. Liczyła się tam przede wszystkim odwaga i bezkompromisowość. Nagle człowiek stawał się kimś ważnym, czuł się jak w rodzinie i musiał dowieść swej lojalności. Zadaniem bolszewików była likwidacja dawnej elity. Trocki oświadczył: "Nie ma nic niemoralnego w tym, że proletariat dobija umierające klasy". Ci mordercy budzili strach i nienawiść, choć stanowili znikomą część społeczeństwa. Noc zapadła nad Rosją, wyrównywano rachunki, rozstrzeli wuj ąc ludzi, wieszając, paląc, wyrzynając jak bydło. Feliks Dzierżyński, krwawy oprawca Stalina, tak usprawiedliwiał dyktaturę proletariatu: "Nie potrzebujemy sprawiedliwości, musimy wyrównać rachunki".

Osławiona Wszechrosyjska Nadzwyczajna Komisja Dzierżyńskiego (WCzK) była organizacją powołaną do zwalczania "elementów kontrrewolucyjnych" i spełniała funkcję karzącego ramienia totalitarnej dyktatury, odpowiedzialnego bezpośrednio przed najwyższym kierownictwem partyjnym. Nie sposób ustalić dokładnej liczby jej ofiar. Dzierżyński uzurpował sobie prawo do stosowania kary śmierci bez procesu. Gdy budziło to zastrzeżenia, Lenin umywał ręce. Uważał, że Dzierżyński postępuje słusznie. WCzK uzyskała oficjalną aprobatę stosowanych metod, kiedy Jakow Swierdłow ogłosił wezwanie do bezlitosnego masowego terroru. Znalazło ono swój wyraz w uchwalonym 5 września 1918 roku dekrecie o

czerwonym terrorze, który stwierdzał, że wszystkie osoby zamieszane w działalność kontrrewolucyjną lub utrzymujące kontakty z kontrrewolucjonistami podlegają rozstrzelaniu. Dzierżyński natychmiast wcielił dekret w życie, zarządzając egzekucję 500 zakładników.

Niebawem pojawiło się nowe zagrożenie w postaci wiernych carowi wojsk syberyjskich, których dowódcy obiecywali przywrócenie monarchii. Wymagało to natychmiastowego i radykalnego rozwiązania sprawy byłego cara, Mikołaja Romanowa.

Rybaków i myśliwych w Tobolsku niewiele obchodziły wydarzenia rozgrywające się po drugiej stronie Uralu. Panowała surowa, syberyjska zima. Wieści z Petersburga

prawie nie docierały. Mieszkańcy byli uzależnieni od linii telegraficznej, która rzadko działała podczas wielkich mrozów, kiedy słupy łamały się pod ciężarem śniegu, a druty pękały jak szkło. Życie rodziny carskiej skupiało się wokół żelaznego pieca w salonie. Dziewczęta spędzały dnie na robótkach ręcznych, car i caryca odbywali przechadzki po lesie. Pewnego mroźnego zimowego dnia doszła do nich wiadomość, że grupa bolszewików z Trockim i Leninem na czele obaliła rząd Kierenskiego.

Przewodniczący prezydium Zjazdu Rad Obwodu Uralskiego, Aleksander Biełoborodow, i komisarz wojskowy tego obszaru, Filip Gołoszczekin, dowiedzieli się o spisku w celu uwolnienia cara. W Moskwie zwołano natychmiast tajne posiedzenie, by omówić kwestię dalszych losów obalonego imperatora. Zapadła decyzja o wysłaniu do Tobolska 200 uzbrojonych ludzi. Jakow Swierdłow, bliski współpracownik Lenina, poinformował dowódcę tego oddziału, Wasilija Jakowlewa, że car i jego rodzina ze względów bezpieczeństwa muszą wrócić do Moskwy. Gdyby sytuacja stała się krytyczna, należy ich dostarczyć do Jekaterynburga.

WTobolsku można już było zaobserwować oznaki zbliżającej się wiosny. Jakowlew w drodze z Tiumenia dowiedział się, że Biała Armia admirała Kołczaka idzie na Tobolsk, aby uwolnić cara. Jakowlew zapewnił Mikołaja, iż zostanie wyprawiony statkiem do Skandynawii. Carską rodzinę wsadzono do sań i konwój czym prędzej opuścił miasto. 28 kwietnia dotarł do Tiumenia. Jakowlew zadepeszował do Swierdłowa i otrzymał instrukcje: "Dostarczyć ładunek do Moskwy". Aleksander Biełoborodow nie miał jednak zamiaru wypuszczać z rąk "cennego więźnia". Mikołaj był atutem w grze o władzę. Armia Kołczaka działała swobodnie na Syberii; 22 stycznia 1918 roku Ukraina ogłosiła niepodległość, a w jej ślady poszła niebawem Armenia, Azerbejdżan, Białoruś, Kaukaz, Estonia, Gruzja, Łotwa i Litwa. W efekcie "ładunek" nigdy nie dotarł do Moskwy. Skierowano go do Jekaterynburga, gdzie rodzina carska została umieszczona w domu Ipatiewa przy Wozniesienskim Prospekcie. Aleksander Biełoborodow odczytał głośno dekret: "Z rozkazu Komitetu Centralnego były car Mikołaj Romanow i jego rodzina zostają przekazani Radzie Uralskiej i od tej pory są więźniami". W Jekaterynburgu więzienie pękało w szwach, a bolszewickie plutony egzekucyjne codziennie rozstrzeliwały ludzi. Cele wypełniał smród potu i strachu. Nie zapadły jeszcze żadne decyzje w sprawie najcenniejszego zakładnika.

Inni członkowie rodziny Romanowów mieli mniej szczęścia. 12 czerwca 1918 roku trzej czekiści wtargnęli do hotelu Korolew w Fermie. Wywieźli wielkiego księcia Michała i jego angielskiego sekretarza, Briana Johnsona, poza miasto, gdzie ich zastrzelili i wrzucili ciała do szybu opuszczonej kopalni. Przewodniczący Permskiej Rady Delegatów, G.I. Miasnikow, który wydał rozkaz egzekucji, wysłał telegram do Moskwy: "Niezidentyfikowani sprawcy, przebrani za żołnierzy, uprowadzili Michała Romanowa i jego sekretarza. Poszukiwania nie dały rezultatów"7.

W swoim nowym miejscu odosobnienia, jednopiętrowej mieszczańskiej rezydencji w stylu rosyjskiego rokoka, rodzina

Romanowów znalazła się pod ścisłym nadzorem. Jedyną pociechę mogła im przynieść wspólna modlitwa. Ustawiono mały ołtarz, przy którym odprawiane były codzienne nabożeństwa. Wszyscy przygotowywali się

do powrotu do Moskwy, lecz ich ostatnia podróż miała być znacznie krótsza. Aby rozwiązać problem rodziny cesarskiej, komisarz Gołoszczekin pojechał do Piotrogrodu na spotkanie z przewodniczącym Leninem. Przed jego przybyciem Lenin zwołał tajne posiedzenie Komitetu Centralnego.

Bucharin: "Romanow? Przejmujecie się losem jednego człowieka?".

Swierdłow: "Wszystko musi się odbyć legalnie. Należy go oskarżyć o zdradę...".

"Należy dobrze rozważyć konsekwencje polityczne..."- Lenin badał nastroje pozostałych członków komitetu.

"Dlaczego?" - zapytał Trocki.

"Opinia światowa...".

Trocki, który pamiętał carskie pogromy i pałał nieprzejednaną nienawiścią do Romanowów, odparł: "Trzeba skończyć z tą kościelną gadaniną o świętości życia ludzkiego!"8. W ten sposób Lenin otrzymał odpowiedź człowieka, na którego opinii naprawdę mu zależało: Lew Trocki był po jego stronie! Jest zatem jasne, że to właśnie Trocki przesądził o losie ostatniego z Romanowów, kiedy dodał: "Podstawowe pytanie brzmi: do jakiej klasy należy car?". Jedynym człowiekiem, który nie brał udziału w rozmowie, był Stalin; siedział w milczeniu, obserwując swoich towarzyszy, zapamiętując, jak się zachowywali, by wykorzystać to w przyszłości. Ostatnie słowo należało do Trockiego: "Jeśli król umrze, nie będzie już odwrotu!".

Nikt jednak nie wie na pewno, co postanowiono na tym nadzwyczajnym posiedzeniu. Wszyscy jego uczestnicy nie żyją. Nie odbyło się żadne głosowanie, a ostateczną decyzję pozostawiono jednemu człowiekowi, owładniętemu szaloną, irracjonalną obsesją zniszczenia symboli starej Rosji. W dążeniu do władzy absolutnej Lenin był gotów rzucić wyzwanie światowej opinii publicznej. Dramat byłego cara szybko zmierzał do punktu kulminacyjnego.

Przybysz odwiedzający Jekaterynburg (późniejszy Swierdłowsk), symbol radzieckiej potęgi przemysłowej, nazwany tak na cześć Katarzyny Wielkiej, nie znalazłby nic ciekawego w tym mieście pełnym kominów fabrycznych, zatruwających toksycznymi wyziewami okoliczne lasy, ogołocone z liści przez kwaśne deszcze. Jednak tego upalnego lata 1918 roku była to tylko senna stacyjka na bocznicy kolei transuralskiej, dopóki jedno wydarzenie nie wydobyło jej z niebytu, wydarzenie tak haniebne, że nowy reżim nie zdołał zmazać tej hańby przez 70 lat rządów komunistycznych. Najbardziej zagadkowe morderstwo stulecia, otoczone tajemnicą, mitami i kłamstwami. Czego dokonano tej upalnej letniej nocy 1918 roku? Podłego i głupiego czynu. Aktu tchórzostwa, popełnionego pod wpływem wódki. Zbrodni, która dowiodła, do czego prowadzi nienawiść. W krótkim czasie prawie wszyscy bezpośredni wykonawcy zginęli jako ofiary swych mocodawców, którzy bali się, by nie wyszła na jaw ich straszna tajemnica. Jedno jest pewne. Żaden czyn bolszewików nie spotkał się z większym potępieniem niż zamordowanie z zimną krwią cara Mikołaja II, jego żony Aleksandry Fiodorowny oraz ich dzieci.

Po przyjeździe do Jekaterynburga Mikołaj posiwiał, a w jego oczach pojawił się wyraz beznadziejnego smutku. Miał powody do obaw. Jego rodzina znalazła się teraz

w rękach okrutnego Jakowa Jurowskiego, którego car nazywał "mroczną postacią". Przyszły carobójca był synem żydowskiego

szklarza i szwaczki. Młodość spędził w skrajnej nędzy, a jego rodzina cierpiała głód. Nienawidził Boga, prawosławnego cara i swoich panów. Jako przewodniczący niesławnego Uralskiego Trybunału Rewolucyjnego posłał przed pluton egzekucyjny setki ludzi. Jak tylko mógł, znęcał się nad mieszkańcami "domu specjalnego przeznaczenia". Ilekroć rodzina cesarska zbierała się na wieczorne modlitwy, Jurowski nigdy nie opuszczał pokoju. Pewnego razu sprowadził do domu popa, aby odprawił nabożeństwo. Obecność cara do tego stopnia zmieszała popa, że zaintonował niewłaściwy psalm: Odpoczywaj w pokoju ze świętymi, który zwykle śpiewano na pogrzebach. Jurowski zachichotał rozbawiony. Kiedy zauważył krzyżyk na złotym łańcuszku, który caryca powiesiła nad łóżkiem chorego syna, zerwał go. Mały Aleksiej dostał ataku kaszlu, a z jego oczu popłynęły łzy. "Proszę - błagał chłopiec - zostaw mi krzyżyk". Jurowski roześmiał się: "Tam, dokąd idziesz, nie będzie ci potrzebny".

Pod koniec czerwca 1918 roku Omsk wpadł w ręce Białej Armii, a Kołczak nacierał od wschodu na Jekaterynburg. Ofensywę rozpoczął w najgorętszym dniu lata. Czerwoni bronili się zażarcie, walcząc do ostatniego naboju. Miejscowy komitet bolszewicki wpadł w panikę i zastanawiał się, co zrobić z carem. Niebawem wrócił z Moskwy Gołoszczekin i położył kres sporom; rozkazał Jurowskiemu znaleźć odpowiednie miejsce pochówku, tak dobrze ukryte i głębokie, aby nikt nigdy nie znalazł Romanowów. Później miał zameldować: "Rodzina ewakuowana w bezpieczne miejsce". Bezpieczne miejsce znajdowało się kilka metrów pod ziemią. Jakow Jurowski w towarzystwie Piotra Jermakowa, komisarza wojskowego obwodu isieckiego, i jego zastępcy, marynarza Siergieja Waganowa, zbadał rejon w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca i znalazł je: opuszczoną kopalnię w lesie w pobliżu wsi Koptiaki.

Tajemnica losu cara zawarta jest w trzech linijkach telegramu. Jurowski wspomniał o telegramie w swoich zapiskach, ujawnionych w okresie chruszczowowskim: "Jekaterynburg, 16 lipca 1918. Przyszedł telegram z poleceniem likwidacji Romanowów.

Gołoszczekin rozkazał wykonać polecenie". Pomimo swego okrucieństwa Jurowski był tylko drobnym pionkiem w wielkiej machinie terroru, sadystą, który nigdy nie ośmieliłby się podjąć działań bez wyraźnych dyrektyw z góry.

Przełożonym Jurowskiego, jedynym człowiekiem, od którego przyjmował rozkazy, był towarzysz Filip Gołoszczekin, a Gołoszczekin też czekał na decyzję Moskwy. Nadeszła w formie telegramu od Zinowjewa, członka Komitetu Centralnego:

NR 14228, 16 LIPCA, 21.22

MOSKWA, KREML, SWIERDŁOW KOPIA DLA LENINA

AKCJI UZGODNIONEJ Z FILIPEM [GOŁOSZCZEKINEM] NIE MOŻNA ODWLEKAĆ Z UWAGI NA SYTUACJĘ MILITARNĄ. NIE MOŻEMY CZEKAĆ. W TEJ SPRAWIE SKONTAKTUJCIE SIĘ Z JEKATERYNBURGIEM OSOBIŚCIE. ZINOWJEW.

107

Kto wydał rozkaz przeprowadzenia "akcji", którym to kryptonimem opatrzono morderstwo? Zinowjew nie miał prawa podjąć takiego kroku. Należy pamiętać, że był tylko chłopcem na posyłki Lenina, a jego dopisek "kopia dla Lenina" sugeruje, iż to sam Lenin poprosił o kopie własnego rozporządzenia. Nazwisko adresata, Swierdłow, i słowa: "Nie możemy czekać. Skontaktujcie się z Jekaterynburgiem osobiście", świadczą, że to Swierdłow wydał rozkaz egzekucji rodziny carskiej.

Z kim Swierdłow rozmawiał w tych decydujących godzinach? Jest faktem, iż telegram dotarł na Kreml o 21.22; czyli sześć godzin przed egzekucją. Innymi słowy, jeśli nawet Lenin nie zlecił morderstwa osobiście, z pewnością wiedział, że zostało zaplanowane, i nie zrobił nic, aby temu zapobiec.

Wyjątkowa brutalność, z jaką dokonano zbrodni, była niewątpliwie "zasługą" Jurowskiego. W późniejszych latach jego okrucieństwo uznano za akt szaleństwa, dokonany przez Żyda, który mścił się za prześladowania, jakie jego naród cierpiał w czasach carskich.

Dom Ipatiewa, 16 lipca 1918 roku, godzina 20.00. Był parny, letni wieczór, jakie zdarzają się tylko na Syberii. Rodzina zjadła późną kolację. Przykuty do łóżka Aleksiej bawił się swoją ulubioną zabawką, drewnianym modelem okrętu wojennego; jego siostry szyły przed wieczorną modlitwą. Potem wszyscy położyli się spać. Nie wiedzieli, że czynią to po raz ostatni.

Miasto Jekaterynburg zasypiało w ciemnej gęstwinie lasu, nieświadome bliskości morderców, którzy mieli się zjawić o północy. W domu Ipatiewa panowała cisza. Jak na ironię to właśnie w monasterze Ipatiewskim pierwszy car z nowej dynastii, Michał Romanow, otrzymał 304 lata wcześniej koronę rosyjską. Teraz historia miała zatoczyć pełny krąg. W sieni unosił się zapach wódki i zatęchły odór dymu tytoniowego. Mucha, rozleniwiona upałem, pełzła po wygolonej czaszce stojącego na warcie żołnierza. Był zbyt zmęczony i zbyt pijany, aby ją odpędzić. Czknął i łyknął wódki, którą zagryzł czosnkową kiełbasą. Znowu czknął. Gdzieś ze szczytu schodów dolatywało pochrapywanie drugiego wartownika. Tego popołudnia wolni od służby żołnierze poszli do miasta, aby zaopatrzyć się w wódkę, i od tamtego czasu nie odrywali się od butelki. Teraz wszyscy spali: car i jego rodzina mogliby po prostu wyjść frontowymi drzwiami i nikt by ich nie zatrzymał. Mikołaj umył się ostatni. Wracając do pokoju, spojrzał na wartowników, Jegora Stołowa i Filipa Proskuriakowa, pełniących straż w rozpiętych, brudnych bluzach. Tego wieczoru coś tu było inaczej niż zwykle. Kiedy bolszewicy topią swój strach w wódce, to z pewnością zbliża się Biała Armia. Nadszedł decydujący moment i były car musiał dostrzec oznaki nieuchronnej tragedii. Odebrali mu imperium; teraz odbiorą mu rodzinę, a prawdopodobnie i życie.

Ostatni akt miał się rozegrać o północy. Wyznaczona pora dawno minęła i Jurowski zaczynał się już niecierpliwić. Podobnie jak Gołoszczekin, który czekał na instrukcje z Moskwy.

O godzinie 1.30 Gołoszczekin wysłał do domu Ipatiewa ciężarówkę, którą prowadził Siergiej Luchanow, kierowca z fabryki w Wierchnie-Isiecku. Ciężarówka dotarła na miejsce

przed drugą. Jurowski wszedł do pokojów rodziny cesarskiej, rozkazując wszystkim ubrać się i zgromadzić na dziedzińcu, gdzie przygotowano dla nich transport. Wyjaśnił, że w mieście wybuchły kontrrewolucyjne zamieszki i że nie jest w stanie zagwarantować im bezpieczeństwa. Car wziął chorego syna na ręce; obaj mieli na sobie oliwkowe wojskowe bluzy i czapki, z których usunięto insygnia. Caryca włożyła liliowy kostium, a jej córki długie, ciemne spódnice i białe bluzki. Anastazja niosła małego pieska, Jemmyego. Pokojówka Diemidowa9 przyciskała do piersi poduszkę, w którą zaszyto część klejnotów koronnych. Zaspaną rodzinę wyprowadzono na dziedziniec. Zobaczyli ciężarówkę z zapuszczonym silnikiem; zapewniono ich, że zostaną przewiezieni na dworzec kolejowy. Jurowski rozkazał im zejść parami do wilgotnej piwnicy. Posłuchali i skierowali się w stronę schodów. Pomieszczenie było wąskie, ze sklepioną niszą po jednej stronie i drewnianym przepierzeniem, za którym znajdował się magazyn. Kiedy car spytał, czy mogliby usiąść, Jurowski wydał rozkaz i jego zastępca, Grigorij Nikulin, przyniósł z góry trzy krzesła. Jurowski powiedział więźniom, żeby ustawili się do zdjęcia.

Przy kamiennym łuku siedział car Mikołaj II, były imperator Wszechrosji; obok niego słaniał się na krześle chory carewicz Aleksy, który co chwila zerkał z przestrachem na ojca i trzymał go za rękę; caryca Aleksandra Fiodorowna głaskała ukochanego syna po głowie i szeptała mu uspokajające słowa. Za nimi ustawiły się rzędem córki, Olga, Anastazja, Tatiana i Maria. Rodzinny lekarz, doktor Jewgienij

Botkin, pokojówka Anna Diemidowa i dwaj inni służący, lokaj Aleksiej Trupp i kucharz Iwan Charitonow, stanęli z boku. Przez kilka minut nic się nie działo. Potem na schodach rozległ się tupot ciężkich butów. Dwunastu członków plutonu egzekucyjnego ustawiło się naprzeciwko 11 skazańców. Mikołaj podniósł się z krzesła i przyjął wyprostowaną postawę, jakby odbierał honory wojskowe od swojej armii, podtrzymując ramieniem drżącego carewicza Aleksieja. Przez krótką chwilę imperator Wszechrosji stał dumny i nieporuszony. Jurowski wyjął papier i zaczął powoli czytać rozkaz egzekucji:

"Dekret Komitetu Wykonawczego Uralskiej Rady Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich. Po otrzymaniu informacji, że czechosłowackie bandy* zagrażają ludowej stolicy Uralu, Jekaterynburgowi, i mając na względzie fakt, że koronowany oprawca może zbiec i uniknąć ludowej sprawiedliwości, Komitet Wykonawczy, wypełniając wolę ludu, rozkazał stracić byłego cara, Mikołaja Romanowa, winnego niezliczonych zbrodni

Były monarcha potrząsnął głową. "Co takiego? Czy możecie powtórzyć?".

Jurowski spojrzał na papier, a potem schował go do kieszeni. "Ponieważ wasi poplecznicy nie zaprzestają ataków na Rosję Radziecką, Komitet Wykonawczy postanowił was rozstrzelać".

Car spojrzał na rodzinę. "Niech Bóg ma w opiece nasze dusze".

Piotr Jermakow wydobył ze skórzanej kabury mausera. Ale Michaił Miedwiediew był szybszy.

Wystrzał z browninga wstrząsnął piwnicą, ostry, wibrujący pogłos odbił

* Mowa o tzw. Korpusie Czechosłowackim, który podczas I wojny światowej został sformowany z jeńców austro-węgierskich i miał

walczyć z Niemcami, a później wystąpił zbrojnie przeciwko bolszewikom (przyp. tłum.).

109

się od ścian. Car zachwiał się i bez jęku osunął się na podłogę. "O mój Boże!" -szepnęła imperatorowa. W tym momencie trafiła ją kula. Był to sygnał do rzezi. W zamkniętym pomieszczeniu strzały i krzyki rozbrzmiewały dudniącym echem. Grad kul zasypał cesarską rodzinę. Byli martwi, zanim zdążyli upaść. Podłogę pokryły kałuże świeżej krwi. Palba ustała tak samo nagle, jak się zaczęła. Piwnicę wypełniły kłęby dymu prochowego i słodkawy zapach krwi. Mordercy krztusili się i ślizgali na wilgotnej podłodze. Nagle rozległ się krzyk. Diemidowa, która stała z boku, jeszcze żyła. "Dobijcie ją bagnetami!" - krzyknął Jermakow. Kłuli przez dłuższą chwilę, nim wreszcie pokojówka umilkła. Wszystko było skończone... chociaż nie całkiem. W piwnicy zabrzmiał cichy, skowyczący dźwięk. "Pies! - zawołał Nikulin. - Anastazja miała pieska". Ale to nie był pies, to jęczał carewicz Aleksiej. Wszyscy zamarli na widok otwartych oczu chłopca i jego chudej rączki wyciągniętej w kierunku zakrwawionej bluzy ojca. Grigorij Nikulin opróżnił cały magazynek, mierząc w głowę następcy tronu. Przeżywszy ojca o tych kilka chwil, Aleksiej stał się w istocie ostatnim carem Rosji.

Pluton egzekucyjny pracował w szaleńczym pośpiechu. Aleksander Striekotin obdzierał kobiety z biżuterii, a tymczasem inni owijali ciepłe jeszcze zwłoki w płachty brezentu. "Kiedy układaliśmy martwe ciała na noszach, niektórzy dawali jeszcze oznaki życia. Nie mogliśmy ich zastrzelić, ponieważ drzwi piwnicy były otwarte i ktoś mógłby usłyszeć strzały. Jermakow wziął ode mnie bagnet i zaczął dźgać. Kiedy próbował dźgnąć jedną z dziewcząt, bagnet nie mógł przebić gorsetu". To wstrząsające oświadczenie Aleksandra Striekotina dało asumpt legendzie o cudownym ocaleniu Anastazji. Ułożywszy ciała na ciężarówce, przykryli rodzinę Romanowów brezentem. Była to ściśle tajna operacja. Jurowski bardzo się spieszył i popędzał swoich ludzi, którzy podczas pracy pokrzepiali się wódką.

Straż przednia Kołczaka, Korpus Czechosłowacki, znajdowała się w odległości kilkunastu kilometrów od miasta, co mogło tłumaczyć ich strach. Jermakow, który miał nadzorować tę część operacji, szybko się upił. Grupa pod dowództwem Michaiła Miedwiediewa zmywała krew z podłogi, aby całkowicie usunąć obciążające ślady po kulach; dom w końcu zniszczono. Mordercy rozeszli się, zrobili już swoje. Inna grupa miała się zająć pogrzebaniem ciał.

Tuż przed świtem 17 lipca 1918 roku przez miasto mknęła ciężarówka, strzelając z zepsutego tłumika. Ten przeraźliwy dźwięk obudził wielu ludzi, którzy wyglądali ostrożnie przez szczeliny w drewnianych okiennicach. Zobaczyli, że ciężarówka minęła mury opuszczonej fabryki, a potem skręciła na północ, w stronę przejazdu kolejowego. Przy szopie w pobliżu przejazdu kierowca Luchanow powiedział Jurowskie-mu, że musi się zatrzymać, ponieważ silnik się przegrzał. (Szlaban na przejeździe numer 184 obsługiwał dróżnik Łobuchin. W kwietniu 1919 roku opowiedział on Nikołajowi Sokołowowi, sędziemu śledczemu przy sztabie admirała Kołczaka, o tym, co wówczas widział). Kierowca Luchanow wysiadł z ciężarówki, rzekomo po to, by przynieść wody do chłodnicy; strażnicy poszli za szopę, "aby sobie ulżyć", ale w rzeczywistości chcieli pociągnąć z butelki, którą jeden z nich ukrył pod bluzą. Jermakow leżał na zwłokach, pijany do nieprzytomności. Jurowski udał się na poszukiwania ludzi z grupy pogrzebowej, z którymi miał się spotkać przy przejeździe. Znalazł ich wreszcie, ale wszyscy byli pijani.

110

Wydarzenia następnej godziny posłużyły za kanwę niezliczonych powieści sensacyjnych i filmów. Jeżeli bowiem jednej z córek cara udało się uciec albo dokonano wymiany, musiało się to zdarzyć właśnie tam, przy szopie w pobliżu przejazdu kolejowego numer 184. Wydaje się to jednak wysoce nieprawdopodobne. Jedyną osobą, która mogłaby rzucić na tę sprawę nieco światła, był

drużnik Łobuchin, ale jeśli coś wiedział, zabrał tajemnicę ze sobą do grobu.

Po niemal godzinnej zwłoce ciężarówka ruszyła. Skręciła w las, na polanę znaną okolicznym mieszkańcom jako Czterej Bracia z Koptiaków. Na wąskiej drodze ciężarówka zaryła się przednimi kołami w błoto. Od opuszczonej kopalni dzieliło ich jeszcze kilkaset metrów. Ciała ułożono na zaimprowizowanych noszach. Kiedy przekładali na nosze kobiety, Jurowski zauważył, że kula rozdarła gorset jednej z dziewcząt i w porannym słońcu błysnęły brylanty. Rozkazał swoim ludziom obedrzeć zwłoki dziewcząt do naga. W bieliźnie znaleźli kilka kilogramów brylantów i pereł. Jurowski rozesłał patrole, by "chronić miejsce pochówku przed intruzami". Zrobił to, ponieważ chciał zatrzymać kosztowności, albo nagle odkrył, że brakuje zwłok, co mogło oznaczać dla niego wyrok śmierci. Całkiem też prawdopodobne, że odesłał ludzi, aby nikt oprócz ściśle wtajemniczonych nie znał dokładnego miejsca wiecznego spoczynku rodziny carskiej. Na polanie zostali tylko Jurowski, Jermakow i Nikulin. W pośpiechu zapomnieli zabrać łopaty, posłali więc Luchanowa po narzędzia, kwas siarkowy i benzynę. Zajęło to trochę czasu, więc resztę dnia spędzili w lesie przy zwłokach, które przykryli gałęziami. Kiedy zapadła noc, ułożyli stos z podkładów kolejowych znalezionych w pobliżu opuszczonej kopalni, spalili ciała i oblali zwęglone kości kwasem siarkowym. Potem wykopali dół głębokości metra i średnicy około 3 metrów. Złożyli tam szczątki zamordowanych, posypali wapnem i zakopali. (Późniejsze relacje Jurowskiego i Jermakowa różnią się. Podczas gdy jeden twierdził, że wrzucili zwłoki do szybu kopalni, drugi utrzymywał, iż pochowali je w płytkim grobie. Wersja Jurowskiego została potwierdzona, lecz nadal nie wyjaśnia to kwestii brakujących ciał).

Wiatr zawodził płaczliwie w wierzchołkach wysokich drzew. Za szpalerem ciemnych sosen i srebrzystych topoli, w smutnym, zadumanym lesie, w płytkim, bezimiennym grobie, spoczęły szczątki ostatniego cara Wszechrosji i jego rodziny. Było to tak, jakby nigdy nie istnieli.

To, co stało się później, ginie w pomroce dziejów. Nie było żadnego świadka, który by przeżył. Zadbał o to nowy władca Rosji. Jednak nawet najlepiej strzeżona tajemnica ma jakiś słaby punkt. Żona rybaka Anastazja Zykowa szła właśnie do miasta, by sprzedać dzienny połów, gdy nagle z lasu wypadli galopem dwaj jeźdźcy. Jeden z nich miał na głowie spiczastą czapkę z naszytą czerwoną gwiazdą. "Wracaj tam, skąd przyszłaś, starucho, i nie oglądaj się, bo cię zastrzelę". Zanim odeszła, zauważyła, jak z chmury kurzu wyłania się ciężarówka, która skręciła w las. Przerażona kobieta pobiegła do domu i opowiedziała mężowi o tym, co się zdarzyło. Zdjęty ciekawością rybak Zykow w towarzystwie dwóch innych wieśniaków, Nikołaja Papina i Piotra Zubrickiego, postanowił przyjrzeć się temu bliżej. Poszli do lasu otaczającego starą kopalnię, lecz przepędził ich stamtąd jeden z wartowników. Kiedy czerwonogwardziści 111 odjechali, Papin wrócił. Tym razem zabrał ze sobą syna Olega. Szli po odciśniętych w miękkiej ziemi śladach, które zaprowadziły ich na polanę. Znaleźli dwie sterty popiołu i rączki szczotki do włosów z inicjałami A.F. Papin nie umiał czytać i nigdy się nie dowiedział, że A.F. oznacza Aleksandrę Fiodorownę. Jednak rozpoznał coś innego: nad literami widniała wytłoczona cesarska korona. Małemu Olegowi wydało się, że usłyszał jęk. A może był to tylko wiatr?

"Nie pokazuj tego miejsca nikomu, mój synu, mieszkają tu złe duchy".

Zapadła czerwona kurtyna, a tajemnica miała na zawsze pozostać tajemnicą. Tak się przynajmniej wydawało. Tego przeklętego miejsca nikt nie śmiał odwiedzać, a nawet wspominać o nim. Miejscowi rybacy i chłopi poumierali ze starości i nikt już nie pamiętał o miejscu pochówku w lesie, z wyjątkiem jednego człowieka, którego zabrał kiedyś na polanę ojciec i zobowiązał do milczenia. Sześćdziesiąt jeden lat później Oleg zaprowadził dwóch geologów i reżysera filmowego do miejsca, które jego ojciec odkrył w lesie przed wielu laty.

Korpus Czechosłowacki wchodzący w skład Białej Armii admirała Kołczaka zajął Jekaterynburg.

Jakow Jurowski wyjechał z miasta ostatnim pociągiem, zabierając ze sobą zapieczętowaną skrzynkę z osobistymi papierami i dziennikami cara10. Jego zastępca, Grigorij Nikulin, uciekł przebrany za robotnika, niosąc płócienny worek. Wewnątrz znajdowały się kosztowności Romanowów. Żołnierze Kołczaka znaleźli carskie więzienie, dom Ipatiewa. Odkryli piwnicę z dziurami po kulach i śladami krwi. Nie znaleziono jednak żadnych ciał. Śledztwo doprowadziło do kelnera, który podsłuchał, jak czerwonogwardziści rozmawiają o kopalni, typowym miejscu pochówku ofiar bolszewickiego terroru. Ale o której? W okolicy było mnóstwo kopalni, w tym wiele zatopionych. Sam fakt egzekucji potwierdzała odnaleziona kopia zaszyfrowanego telegramu:

18 LIPCA. RADA KOMISARZY LUDOWYCH

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU WYKONAWCZEGO TOWARZYSZ SWIERDŁOW KOMITET WYKONAWCZY W AŁAPAJEWSKU INFORMUJE, ŻE GRUPA NIEZIDENTYFIKOWANYCH BANDYTÓW DOKONAŁA NAPADU NA DOM, W KTÓRYM PRZETRZYMYWANI BYLI JAKO WIĘŹNIOWIE: IGOR KONSTANTINOW, KONSTANTIN KONSTANTINOW, IWAN KONSTANTINOW, SIERGIEJ MICHAJŁOWICZ I PALEJ11. POMIMO BOHATERSKIEGO OPORU STRAŻNIKÓW WSZYSCY WIĘŹNIOWIE ZOSTALI UPROWADZENI. PO OBU STRONACH BYŁY STRATY. ŚLEDZTWO W TOKU. 4853.

Przeczesano miasto w poszukiwaniu świadków. W ręce białogwardzistów wpadli Proskuriakow, Jakimow i Lietiemin, trzej podkomendni Jurowskiego, którzy uczestniczyli przy masakrze. Wszyscy byli tak pijani, że nie zdążyli w porę uciec z miasta. Pierwszy, Michaił Lietiemin, został zidentyfikowany, ponieważ przywłaszczył sobie pieska Anastazji, Jemmyego, i zabrał go do swojej chaty. Wszyscy trzej zdecydowali się mówić, ponieważ ich los

i tak był przesądzony. To, co miało być najściślej strzeżoną tajemnicą, szybko wyszło na jaw.

112

Białogwardziści i tajna policja Stalina dosięgli tych, którzy mogli złożyć świadectwo na temat ohydnej zbrodni. Niektórzy zmarli z "przyczyn naturalnych", inni zginęli od kul plutonu egzekucyjnego.

Jakow Swierdłow, drugi człowiek po Leninie, przeżył cara zaledwie o dwa miesiące (zmarł na grypę).

Piotr Jermakow, dowódca grupy likwidacyjnej, został rozstrzelany.

Grigorij Nikulin, który dobił rannego carewicza, został rozstrzelany.

Michaił Miedwiediew-Kudrin, który chełpił się, że zastrzelił cara, został rozstrzelany. Aleksander Striekotin, Aleksiej Kabanow i Paweł Miedwiediew zostali rozstrzelani.

Proskuriakow, Jakimow i Lietiemin zostali rozstrzelani.

Sześciu "łotewskich strzelców wyborowych", których nazwiska nie są znane, zostało rozstrzelanych.

"Rzeźnik ze Swierdłowska", Jakow Jurowski, zmarł z powodu "pęknięcia wrzodu".

Komisarz Filip Gołoszczekin został rozstrzelany.

Przewodniczący Rady Uralskiej, Aleksander Biełoborodow, został rozstrzelany.

Tylko Siergiej Łuchanow, który przewoził zwłoki ciężarówką, a potem wysiadł z kabiny, aby "przynieść wody do chłodnicy", uniknął egzekucji. Kiedy zmarł jako stary człowiek, zabrał ze sobą do grobu wielką tajemnicę.

Jak na ironię, miasto wsławione zbrodnią przemianowano na Swierdłowsk, na cześć Jakowa Swierdłowa, który rozkazał zamordować cara. Po upadku komunizmu jako jedno z pierwszych miast odzyskało swą pierwotną nazwę - Jekaterynburg.

30 sierpnia 1918 roku terrorystka z partii Socjalistów-Rewolucjonistów, Fania Kapłan, postrzeliła i ciężko zraniła Lenina. Nigdy nie odzyskał w pełni zdrowia i zmarł w 1924 roku. Trocki, który uwielbiał rozgłos i "z ochotą zginąłby w walce, gdyby była tam odpowiednio wielka publiczność"12, został odsunięty na bok przez Gruzina o przenikliwych oczach i okrutnych ustach, Józefa Stalina. Stalinowski terror rozpoczął się pod koniec lat 20. i ogarnął cały kraj, przemianowany w 1922 roku na Związek Radziecki. Terror miał trwać przez następne 31 lat; w tym okresie bezwzględni siepacze Stalina zamordowali ponad 20 000 000 Rosjan13. Pierwszymi ofiarami stali się zamożni chłopi, czyli kułacy, którzy umierali z głodu podczas przymusowej kolektywizacji. Potem nastąpiło niekończące się pasmo egzekucji, zwykle bez procesu.

Była ogromna różnica pomiędzy wczesnym terrorem a terrorem stalinowskim. Lenin kierował swoje represje przeciwko konkretnej klasie społecznej, w wyniku czego przestała istnieć rosyjska burżuazja. Zastąpiła ją nomenklatura partyjna, która niebawem zaczęła się zachowywać jak carska biurokracja. Trocki wybrał sobie za cel religię. Kościół miało zastąpić państwo, a właściwie partia. Działalność Stalina była skierowana przeciwko rzeczywistym i urojonym wrogom, których podejrzewał o chęć pozbawienia go władzy. "Wybrać ofiarę, przygotować drobiazgowy plan, wywrzeć nieubłaganą zemstę, a potem iść spać - nie ma nic cudowniejszego na świecie"14. Dlatego w dniach

Wielkiego Terroru nikt nie czuł się bezpiecznie. Oprawcy ginęli z rąk innych oprawców, których wkrótce potem spotykał podobny los. Wierność ideałom

bolszewickim, czyli, jak zaczęto wówczas mówić, komunistycznym, nie była już gwarancją długowieczności.

Stalin puścił w ruch maszynerię, której - gdy już zaczęła działać - nawet on nie potrafił zatrzymać. Na szczycie jego listy figurowali ci, którzy znajdowali się najbliżej źródła władzy, innymi słowy - najbliżej niego. Uważał, że wszyscy mieli złe zamiary i pragnęli zniszczyć jego legendę. Nie martwił się opinią światową. Świat zwykle zamykał oczy na cierpienia milionów. Może i będzie współczuł Rosjanom, ale nie przejmie się zbytnio dyktatorem, który doszedł do władzy po stertach trupów. Na pierwszy ogień poszli starzy towarzysze partyjni, tacy jak Zinowjew, Kamieniew i Bucharin. Czterej oficerowie NKWD rozstrzelali ich w specjalnym pokoju straceń w piwnicy gmachu NKWD przy placu Dzierżyńskiego. Kilka dni później oprawcy też już nie żyli, zgodnie z zasadą Stalina, by nie zostawiać żadnych świadków. "Wolę ludzi, którzy popierają mnie ze strachu, a nie z przekonania, ponieważ przekonania można zmieniać" - wyjaśnił Gienrichowi Jagodzie, krwawemu psychopacie z NKWD, którego też kazał rozstrzelać. Potem przyszła kolej na armię. Stalin rozprawił się z całym sztabem generalnym i przeprowadził rozległą czystkę w korpusie oficerskim. Chorobliwie podejrzliwego Stalina dręczyły nocne koszmary. Pozostał jeszcze jeden wróg: Lew Trocki, który ukuł słynną frazę, by opisać szaleństwo Stalina: "Cel może uświęcać środki - dopóki istnieje coś, co uświęca cel".

Stalin był maniakalnym mordercą, który nigdy nie zapominał twarzy wroga. Zwłaszcza takiego, który próbował niegdyś zająć jego miejsce. Stalin i Trocki tak samo pragnęli najwyższej władzy. Do pewnego stopnia obaj wierzyli, że konflikt pomiędzy socjalizmem a kapitalizmem zakończy się upadkiem systemu kapitalistycznego i doprowadzi komunizm do światowej dominacji.

W1928 roku Trocki został zmuszony do opuszczenia Związku Radzieckiego i przez kilka lat tułał się po świecie. W 1937 roku prezydent Meksyku, generał Lazaro Cardenas, przyznał mu azyl polityczny. Trocki zamierzał pokonać Stalina bronią, którą władał

najlepiej - piórem. 20 sierpnia 1940 roku Jaime Ramon Mercader, agent NKWD, roztrzaskał Trockiemu czaszkę młotkiem do lodu15.

Trocki opisał kiedyś Stalina jako człowieka, który "czeka na okazję, by nie tylko pognębić przeciwnika, lecz zgruchotać mu czaszkę". Jego opinia okazała się bardzo trafna.

A potem...

Przez 80 lat komunizm decydował o losach połowy ludności świata.

Spośród wielu następstw I wojny światowej najbardziej trwałym była rewolucja rosyjska. Jej fala uderzeniowa zataczała coraz szersze kręgi. Sprzęgła się z nią bezsilność demokracji zachodnich w tamtym okresie: Anglia i Francja na skutek straszliwych strat zostały wyeliminowane z gry, a prezydent Woodrow Wilson nie chciał negocjować z cesarzem Wilhelmem II. Zniszczenie Prus pozbawiło kontynentalną

Europę wschodniego przedmurza. Spowodowało to globalną destabilizację, doprowadziło do kolejnej wyniszczającej wojny i przywiodło świat na krawędź nuklearnej zagłady.

Dla narodu rosyjskiego konsekwencje rewolucji październikowej okazały się apokaliptyczne. Chrześcijaństwo zastąpił komunizm, którego prorokiem był Karol Marks, a jego manifest stał się nową Biblią. Utożsamiał postęp materialny ze szczęściem ludzkości i głosił ponadczasowy charakter idei walki klasowej. Narodziła się "dyktatura proletariatu" (termin zapożyczony od Marksa), dobrotliwą autokrację Mikołaja Romanowa zastąpił totalitarny reżim ludzi pokroju Trockiego, Lenina i Stalina, a krew i przemoc stały się akuszerką historii*.

Słabość Mikołaja przesądziła o jego upadku. Kiedy potrzebna była stanowczość, car okazał się niezdolny do użycia tych samych bezwzględnych metod co ludzie, którzy zabili go bez chwili wahania. Dopiero jego śmierć, a także śmierć całej carskiej rodziny sprawiła,

że wstrząśnięty świat dostrzegł przerażające widmo nowej doktryny, posługującej się terrorem. Również Kierenski w momencie zagrożenia wykazał taki sam brak zdecydowania jak car. Do władzy doszli inni ludzie, bardziej okrutni.

"Rewolucja to parowóz dziejów. Należy go prowadzić z pełną prędkością i uważać, by nie wypadł z szyn" - oświadczył Lenin. Zapewne potrafiłby utrzymać swoją rewolucję na szynach, lecz umarł zbyt wcześnie. A co się tyczy Stalina, to "był potworem, który, choć odwoływał się do abstraktu, do utopijnych idei, w praktyce stosował jedynie kryterium skuteczności - a to oznaczało przemoc i fizyczną eksterminację"16. Stalinizm był aberracją, rozmyślnym wypaczeniem ruchu robotniczego, który doprowadził Stalina do władzy. Masy ślepo mu ufały i podążały za nim jak za ojcem. Ślepota też jest formą współudziału: człowiek pozwala sobą manipulować, służy kłamstwu, pada jego ofiarą. Trocki był rewolucjonistą, ustawicznie spragnionym popularności, bez wątpienia ponosił winę za okrucieństwa okresu rewolucji, ponieważ często działał tak, jakby chciał się zemścić na całej ludzkości. Bolszewicy rozbudzili nadzieję w uciskanym społeczeństwie, kiedy obiecali nowy, wspaniały świat. Zmienili jednak tylko nazwę kraju. Carska Rosja stała się Związkiem Radzieckim, gdzie ludzi zamieniono w trybiki w ogromnej maszynie, gdzie Wielki Brat śledził każdego, a Wielki Terror szalonego, mściwego dyktatora sprowadził śmierć na miliony.

Trocki próbował powiedzieć rosyjskiemu proletariatowi, że taki postęp ma również swoją ciemną stronę. Dlatego właśnie zmuszono go do milczenia. Jeśli ktoś naprawdę wierzy w ideały, może nie dostrzegać całkiem banalnej prawdy. W Związku Radzieckim wyznawcy nowej idei odkryli, że nic nie trwa wiecznie, ani imperium, ani społeczeństwo. Wraz z upadkiem Muru Berlińskiego17 umarł ich prorok Marks.

Rozwiązanie zagadki zbrodni stulecia zabrało 80 lat. Ale czy naprawdę została rozwiązana? Po rewolucji październikowej

radziecka kolektywna "amnezja" doprowadziła do zafałszowania historii na gigantyczną skalę. Jedno jest pewne: gdyby car i jego rodzina nie zostali zamordowani w tak bezlitosny sposób, moglibyśmy w ogóle zapomnieć o ich istnieniu, tak jak o dwóch innych wielkich monarchach tamtych czasów, Karolu I, ostatnim z cesarzy habsburskich, i Wilhelmie II, ostatnim królu Prus.

* Parafraza słynnego zdania Trockiego: "Klęska wojenna jest akuszerką rewolucji" (przyp. tłum.). 115

Swoją śmiercią ostatni imperator Wszechrosji, ten słaby człowiek, który wolał spokojne życie rodzinne od brzemienia służby publicznej, sprawił, że świat zapamiętał pierwszą ofiarę czerwonego terroru. Pozostaje jeszcze jedna zagadka: tamtej nocy zginęło 11 osób, a w płytkim grobie odnaleziono tylko 9 szkieletów. Brakuje zwłok carewicza Aleksieja i jednej z dziewcząt. Ale której? Testy wykazały, że nie była to Anastazja.

Interludium 1917-1918

Wielka wojna zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Żołnierze, których Niemcy zdołali wycofać z frontu wschodniego, wykluczając Rosję z wojny, musieli się teraz zmierzyć z nowym przeciwnikiem: Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Monolit pruskiego militaryzmu zaczął się kruszyć.

Do władzy dochodziły nowe siły. Zamęt wywołany przez wojnę - Volkerwanderung (migracje) całych narodów, chłopi zamieniający ciężary systemu feudalnego na zniewolenie miejskiego proletariatu - doprowadził do niepokojów na skalę światową. Kolejny wybuch miał nastąpić w Niemczech w ostatnich miesiącach 1918 roku. Nie uznawano tolerancji, której Niemcy, podobnie jak reszta świata, potrzebowały w tych niespokojnych czasach najbardziej.

Okres powojenny to jeden z tych fascynujących momentów historycznych, kiedy nagle krajobraz społeczny ukazuje się w bardzo ostrych konturach. Europa niewiele miała do

zaoferowania zmieniającemu się gwałtownie społeczeństwu. Kiedy Rosja pogrążyła się w krwawej wojnie domowej, w Anglii, Francji, Austrii i Niemczech wybuchały strajki. Organizowane początkowo z powodów ekonomicznych, przybrały niebawem charakter wyraźnie polityczny. W Niemczech strajki marynarzy i robotników, które doprowadziły w efekcie do abdykacji cesarza, wyznaczały nie tyle koniec jakiejś epoki, ile początek nowej. Potrzebny był tylko ktoś, kto potrafiłby zjednoczyć zróżnicowane frakcje, aby przedstawiły jedną listę żądań. Z cienia wyłoniła się kobieta. W płomiennych słowach kobiety nie tylko dorównują mężczyznom, lecz w wielu przypadkach znacznie ich przewyższają.

9 stycznia 1919 roku Es lebe die Internationale!

Es lebe die Internationale! "Niech żyje Międzynarodówka!"

"Wolność jest zawsze i jedynie wolnością dla tych, którzy myślą inaczej".

Róża Luksemburg, 1918

Musicie ich powstrzymać, musicie ich powstrzymać! - krzyczał cesarz. W zatłoczonym pokoju sztabowym panowała atmosfera lęku i niepewności. Nerwy wszystkich obecnych były napięte do ostatecznych granic. Niemiecki cesarz z wyrazem bezsilnej rozpaczy na twarzy, przez dłuższy czas trwał w bezruchu, zbyt wstrząśnięty, by poczuć się obrażony wyniosłym tonem szefa sztabu jego potężnej armii. Monarcha był przytłoczony poczuciem straszliwej niemocy. Mógł winić tylko siebie, to on wszystko rozpętał.

" Yerlasst die Kugel erst den Lauf, haelt się kein Kaiser Willi auf. Kiedy kula opuszcza lufę, nawet cesarz Wiluś nie może jej zatrzymać". Tak śpiewały dzieci na ulicy, chłopi w polu, a znaczenie tych słów przerażało dyplomatów od Whitehall i Quai d Orsay aż do Sankt Petersburga. Wilhelm spuścił ze smyczy bestię wojny, gdyż uznał, że woli "wstrząs cywilizacyjny" od dialogu dyplomatycznego. Niemcy potrząsnęły szabelką, a słowo "Niemcy" znaczyło w tym

wypadku "pruski sztab generalny". Austria ogłosiła mobilizację, podobnie jak Rosja w obronie Serbii, lecz Włochy pozostały neutralne. Francja już odrzuciła niemieckie ultimatum, tak samo jak Belgia, która nie zgodziła się przepuścić wojsk niemieckich przez swoje terytorium. Wielka Brytania włączyła się do wojny "z powodu skrawka papieru", aby bronić neutralności Belgii. Tym razem cesarz naprawdę posunął się za daleko. Kiedy ta piekielna machina 117

wojenna - armia pruska - została puszczona w ruch, rydwan zniszczenia toczył się coraz szybciej i nikt nie był w stanie temu zapobiec. "Musicie ich powstrzymać". Ta prośba została wypowiedziana szeptem - pokorne błaganie pod adresem człowieka z czerwonymi lampasami na szarych spodniach, który poprawił monokl i udawał, że studiuje mapę. Głos generała brzmiał jak spiż: ‚Jhre Kaiserliche Majestat, wszystko zostało zaplanowane, wszystko zostało uruchomione i nic już nie można zrobić". Wskazał błękitną linię na wielkiej mapie Europy. "Armia niemiecka przekroczyła Ren". I tak też było. 3 sierpnia 1914 roku zwolniono hamulec i pociąg z roześmianymi żołnierzami niemieckimi zadudnił na moście, który oddzielał Niemcy od Francji. Królewski dom Hohenzollernów przetrwał ponad pięć wieków. Urósł do znaczenia latem 1415 roku i upadł wraz z abdykacją cesarza Wilhelma II jesienią 1918 roku. O jego pozycji przesądziły nie tyle wybitne zdolności władców, ile łaskawe wyroki historii. To, co wzięło początek w kraju bagien i mrocznych lasów pomiędzy Odrą a Łabą, przekształciło się w cesarski dom, który trząsł Europą. Sto lat po założeniu dynastii jeden doniosły fakt zmienił nie tylko losy Prus, lecz także losy świata. Wieczorem przed dniem Wszystkich Świętych w 1517 roku pewien augustiański mnich na drzwiach kościoła w Wittenberdze przybił swą śmiałą krytykę niepodważalnych do tej pory dogmatów Kościoła katolickiego. Nazywał się Marcin Luter. Margrabia brandenburski szybko przyjął nową wiarę, dostrzegając znakomitą sposobność do pozbycia się katolickiego cesarza z dynastii Habsburgów. Wyniszczająca wojna trzydziestoletnia (1618-1648) doprowadziła do ostatecznego rozłamu na protestancką północ i katolickie południe. Człowiekiem, który przekształcił Prusy

w wielką potęgę, był Der Grosse Friedrich. Aby położyć kres ekspansjonistycznym aspiracjom Habsburgów, zainicjował Fuerstenbund, związek książęcy, prawdziwie makiaweliczny plan. Stał się on testamentem politycznym Fryderyka Wielkiego.

Po upadku Napoleona Prusy utworzyły Deutschen Zollverein, niemiecki związek celny pod protektoratem króla pruskiego. Anglia panowała na morzach i wykuwała imperium kolonialne,

Francja odbudowywała swą potęgę militarną, Austriacy tłumili niepokoje we Włoszech i na Węgrzech. Nowy król pruski, Wilhelm I, określił swoją politykę w mowie tronowej: "Armia pruska będzie narodem pruskim pod bronią". Mianował kanclerzem Ottona von Bismarcka. Bismarck wybrał zdolnego młodego oficera, hrabiego von Moltke, i postawił go na czele pruskiego sztabu generalnego. W 1864 roku generał von Moltke udoskonalił swoją strategię podczas krótkiej, lecz zwycięskiej wojny z Danią. Bismarck doskonale zdawał sobie sprawę, że aneksja Szlezwika-Holsztynu musi doprowadzić do konfliktu z Austrią. Do tego zmierzał i tak właśnie się stało. Bismarck postawił przed sobą dwa cele. Po pierwsze, zgodnie ze strategią jednego frontu, nie mógł dopuścić do tego, by Francja włączyła się do wojny z Austrią. Po drugie, musiał pokonać Austrię w wojnie błyskawicznej, nie upokarzając habsburskiego cesarza, i pozostawić armię austriacką dostatecznie silną, by stworzyć przeciwwagę dla Francji.

3 lipca 1866 roku pod Koeniggraetzem (Sadową) szczęście sprzyjało Prusakom. Największym przegranym okazali się nie Austriacy, lecz francuski cesarz, Napoleon III,

zaskoczony błyskawicznym sukcesem armii pruskiej. Gdyby Prusy przegrały, być może świat uniknąłby dwóch wojen światowych. Celem Bismarcka było zjednoczenie księstw niemieckich pod żelazną ręką Prus. Celem Francji było nie dopuścić do takiego zjednoczenia.

Prusakom nadal sprzyjało szczęście. W 1870 roku, gdy doszło do wojny, którą Bismarck zręcznie sprowokował, armia francuska pomaszerowała prosto w zastawioną pułapkę. Szybkość, z jaką wojska pruskie rozbiły jedną z najpotężniejszych armii w Europie, nie miała precedensu w historii. Miała za to poważne konsekwencje, ponieważ utwierdziła pruskie naczelne dowództwo w fałszywym przekonaniu, że Francja jest słaba i w razie następnej wojny skapituluje równie szybko. 18 stycznia 1871 roku "żelazny kanclerz" Otto von Bismarck ogłosił króla Prus, Wilhelma I, cesarzem Niemiec.

Upokorzona Francja pałała żądzą odwetu. W tym czasie reszta Europy, której domy panujące były ze sobą skoligacone, nadal zajmowała się własnymi sprawami, czyli zdobywaniem kolonii w Afryce i w Azji. Doprowadziło to do rywalizacji handlowej, co Anglia postrzegała jako zagrożenie dla swego imperium.

W 1888 roku na tron niemiecki wstąpił nowy cesarz, Wilhelm II. Niedługo po jego narodzinach matka chłopca, angielska księżniczka Wiktoria, napisała do brytyjskiego monarchy: "Twój wnuk Wilhelm jest nadto żywy i skory do wszelkich psot". Wilhelm II był prostackim autokratą o wygórowanych ambicjach, pozbawionym poczucia humoru człowiekiem, który domagał się ślepego posłuszeństwa. Jego pierwszym posunięciem było zdymisjonowanie Ottona von Bismarcka, czyli oddalenie jedynego człowieka, który mógłby rozładować wybuchową sytuację polityczną. Podczas gdy Bismarck konsekwentnie starał się zapobiec połączeniu sił Francji i Rosji, polityczne gafy Wilhelma tak zaniepokoiły obu jego sąsiadów, że podpisali sojusz obronny, a następnie entente cordiale z Anglią.

W sierpniu 1914 roku narody Europy ochoczo pomaszerowały na rzeź. Niemcy, Rosjanie, Austriacy, Francuzi, Brytyjczycy, Serbowie, Turcy- wszyscy chwytali za broń "w obronie świętej ojczyzny". Wszyscy krzyczeli "hurra" i szli na śmierć od kuli, torpedy lub dyzenterii. Cesarz chciał panować nad światem, ale cena okazała się zbyt wysoka, ponieważ wciągnął Prusy do wojny; kiedy Prusy zagroziły całemu światu, musiało się to skończyć ich nieuchronną

klęską. Pruska strategia opierała się na Vernich-tungsschalcht, czyli wojnie na wyniszczenie. Młodym ludziom wpajano, że ich obowiązkiem jest nie tylko walczyć za kraj, ale i ginąć za niego. Był to początek nowej epoki "najwyższej ofiary". Jej duch zdominował przemówienia i artykuły w gazetach. Ponoszone straty traktowano jako miernik narodowej determinacji. Ostatnia niemiecka ofensywa na froncie zachodnim zakończyła się druzgocącą klęską. W sierpniu 1918 roku wojska alianckie zdołały przełamać niemieckie linie. Armia niemiecka straciła 1500000 ludzi, broniąc z góry straconych pozycji. Dni patriotycznego entuzjazmu dawno minęły i wojna zamieniła się dla Niemiec w krwawą, błotnistą golgotę.

Generałowie zwalili winę za porażkę na polityków swego kraju. Rzeź na froncie zachodnim była tylko ostatnim z ciągu wydarzeń. Ponad 100 lat wcześniej pruski junkier, Heinrich Dietrich von Biilow, napisał traktat1 o wzajemnych zależnościach pomiędzy polityką a wojną, w którym dobitnie wyraził pogląd, iż walczący naród potrzebuje silnego przywódcy, i podkreślił, że we współczesnych warunkach strategicznych nie może być wyraźnego rozgraniczenia pomiędzy polityką a wojną. Cesarz 119

Wilhelm zawiódł haniebnie pod wszystkimi względami. Zimą 1917-1918 roku we wschodnich Niemczech wybuchło kilka krwawych rewolucji. Ta sama zima ujawniła też z całą ostrością polityczne i ekonomiczne konsekwencje czterech strasznych lat wojny. Rządzący socjaldemokraci byli bezsilni, a zmęczony cesarz okazał się niezdolny do zdecydowanych działań. Podczas wizyty w Kilonii w 1918 roku przekonał się, jaka sytuacja panuje w kraju. Jednego dnia nie było chleba. Kilka dni później pojawił się chleb, natomiast przestały kursować autobusy. Ludzie sarkali, ale nie mając innego wyboru, musieli znosić trudy codziennego życia. Wszędzie pojawiały się plakaty, naklejane pospiesznie na ścianach domów. "Kaiser raus! Precz z cesarzem!". Na rogach ulic zbierały się grupki ludzi, a agitatorzy związkowi stawali się coraz zuchwalsi. "Zawsze ci przeklęci czerwoni" - stwierdził cesarz. Generał Hindenburg nie przebierał w słowach: "Wasza Wysokość, armia jest w odwrocie; musimy prosić o

natychmiastowe zawieszenie broni". W tym momencie cesarz z pewnością uświadomił sobie, że to już koniec jego roli jako monarchy. Kiedy zastanawiał się nad następnym posunięciem, do pokoju wpadł generał Ludendorff. "Czy sformowano nowy rząd?" - zawołał.

"Nie jestem cudotwórcą" - odparł zirytowany Wilhelm.

"Wasza Wysokość, nie można tracić czasu na dyskusje. Lada chwila załamie się cały front i przeciwnik wkroczy na nasze ziemie".

3 października 1918 roku cesarz mianował swego kuzyna, księcia Maksymiliana Badeńskiego, kanclerzem Rzeszy. Dwa dni później alianci zaakceptowali "14 punktów" prezydenta Wilsona jako podstawę do negocjacji o zawieszenie broni. Wilson domagał się "odwołania rządu, który do tej pory narzucał swoją wolę narodowi niemieckiemu". Niemcy nie odpowiedzieli na to. Dziesięć dni później nadeszła wiadomość od prezydenta Wilsona: "Nie możemy pertraktować dłużej z autokratycznym cesarzem, nie możemy brać pod uwagę zawieszenia broni. W grę wchodzi tylko kapitulacja".

Do niemieckiej rewolucji listopadowej 1918 roku doprowadziły dwie zasadnicze przyczyny. Pierwszą była klęska wojsk niemieckich na froncie zachodnim. Żołnierze mieli dość przewlekłej, nieprzynoszącej rozstrzygnięcia wojny, którą gazety kwitowały jednym zdaniem: "Na zachodzie bez zmian". Drugą była postawa rządu, który nie chciał wprowadzić reform społecznych, co pogłębiło przepaść pomiędzy klasą rządzącą a proletariatem miejskim. Niemcy stały się beczką prochu.

Na pierwszej linii dojrzewającego niemieckiego kryzyzu stanęła organizacja polityczna nazwana Związkiem Spartakusa. Źródeł jej powstania można się doszukiwać w kilku listach napisanych przez kobietę odsiadującą wyrok za działalność antywojenną. Nazwa jej ruchu nawiązywała do innego rewolucjonisty, rzymskiego

gladiatora Spartakusa, niewolnika, który ośmielił się wzniecić bunt i pokonał legiony rzymskie, zanim został pojmany i ukrzyżowany. Tą kobietą była Róża Luksemburg. Róża Luksemburg pochodziła z Zamościa, polskiego miasta w zaborze rosyjskim, jednego z wielu gett w Europie Wschodniej. Ulice dzielnicy żydowskiej były tam wąskie i wyboiste. Zimą pokrywała je warst wa lodu, a wiosną zamieniały się w rzeki 120

błota; latem kurz dławił wszystkich, którzy przy nich mieszkali. Jednak życie w getcie miało pewną zaletę: znajdowały się tam synagogi ze szkołami, które wydały wielu światłych ludzi. Co 10

lat w "strefie osiedlenia"2 dochodziło do antyżydowskich rozruchów i pogromów. Najgorsza była Pascha, czyli Wielkanoc. W tym okresie rosyjscy popi domagali się, aby Żydzi zamurowy wali okna swoich domów wychodzące na cerkiew. Na terenie zaboru rosyjskiego nie było nikogo, kto broniłby Żydów. W 1881 roku car Aleksander II został zamordowany przez młodego żydowskiego terrorystę. Po pogromach, które wówczas nastąpiły, wielu Żydów uciekło do Ameryki i do Niemiec. Znalazła się wśród nich także rodzina Róży Luksemburg. Porzucili swoje zajęcia, swój dom, całe mienie i wyjechali do Szwajcarii.

Róża nie wyróżniała się urodą. Jej atutem był intelekt i cięty język. Miała dwa romanse: jeden z młodym lekarzem, który zginął w okopach, a drugi z synem najlepszej przyjaciółki3. Jednak większości mężczyzn nie odpowiadał jej wybitny intelekt. Przyjaciele nazywali ją niemieckim Dantonem, przeciwnicy twierdzili, że wywiera "najbardziej destrukcyjny wpływ na nasze wysiłki zmierzające do wygrania wojny". W 1889 roku uzyskała dyplom z prawa na uniwersytecie w Zurychu.

W 1899 przeniosła się do Berlina i poślubiła Gustava Liibecka, aby otrzymać obywatelstwo niemieckie. Jednak gazety opozycyjne nigdy nie pozwoliły jej zapomnieć, że jest "polską Żydówką". W 1904 roku

została skazana na trzy miesiące więzienia za obraźliwą uwagę wygłoszoną publicznie pod adresem Jego Cesarskiej Wysokości.

Jej pierwsze wielkie wystąpienie publiczne miało miejsce w 1907 roku; przemawiając na kongresie socjalistów, ostro skrytykowała leninowską formułę, że socjaldemokracja jest jakobińską organizacją proletariatu. W tym samym roku zaczęła wykładać ekonomię polityczną w szkole partyjnej SPD (Socjaldemokratycznej Partii Niemiec). W latach 1912-1914 poświęciła się całkowicie działalności antywojennej. Swoje hasło zaczerpnęła z Ody do radości Schillera: "Ville Menschen werden Briider - Wszyscy ludzie staną się braćmi". W 1916 roku socjaliści w Reichstagu przegłosowali kontynuowanie wojny. Róża uznała to za zdradę klasy robotniczej, zerwała z partią i opublikowała swoje poglądy4. Za stwierdzenia w rodzaju: "Kiedy każą nam podnieść śmiercionośną broń przeciwko naszym francuskim braciom, nie zrobimy tego", spędziła prawie cały okres wojny w więzieniu. Kiedy w 1916 roku została na krótko zwolniona, wykorzystała ten czas, by założyć Związek Spartakusa.

Pomagał jej w tym Karl Liebknecht, potomek znanej rodziny o tradycjach socjalistycznych. Jego ojciec Wilhelm był wybitnym socjalistą i posłem do Reichstagu. W 1875 roku, wraz z Augustem Beblem i Ferdinandem Lasallem, założył Socjalistyczną Partię Robotników Niemiec. Wilhelm Liebknecht był również redaktorem socjalistycznej gazety "Vorwarts", która miała odegrać decydującą rolę w wypadkach 1919 roku. Młody Karl, niepozorny człowiek w grubych okularach (podobny trochę do Lwa Trockiego), poszedł w ślady ojca i zajął się polityką. Został wybrany do Reichstagu, gdzie dał się poznać jako zdecydowany przeciwnik przystąpienia Niemiec do światowego konfliktu. Zaatakował wojnę w kolportowanej nielegalnie ulotce zatytułowanej "Nasz główny wróg znajduje się w naszym kraju", za którą spędził kilka lat w więzieniu. Został zwolniony w październiku 1918 roku, akurat w porę, by przysporzyć rządowi poważnych kłopotów.

Związek Spartakusa tworzyła garstka lewicowych ekstremistów z partii socjalistycznej. Łączyło ich jedno: wszyscy sprzeciwiali się wojnie. Róża Luksemburg koncentrowała się przy tym na działalności rewolucyjnej. W jednym ze swych listów napisała: "Akcja antymilitarystyczna jest najbardziej intensywną formą walki klasowej przeciwko wojnie i kapitalistycznej strukturze władzy"5. Za takie i podobne stwierdzenia była gotowa zapłacić wysoką cenę. Tak jak Liebknecht odzyskała wreszcie wolność, kiedy tłum zaatakował więzienie.

Przez całe lata prasa codzienna znajdowała się pod ścisłą kontrolą cenzury wojskowej, toteż wiadomość, że Niemcy stoją w obliczu klęski, wywołała prawdziwy wstrząs. Społeczeństwo nie było przygotowane na taką ewentualność. Kiedy żołnierzom znudziło się umierać za cesarza, który nie chciał pomóc ich głodującym rodzinom, i zaczęli się buntować, nad Niemcami zawisła groźba przewrotu bolszewickiego. Od tej chwili rewolucja niemiecka przekształciła się w zawody w przeciąganiu liny, w których stawką było zdobycie poparcia mas, z radykalnymi socjalistami i spartakusowcami z jednej strony, a umiarkowanymi socjalistami w rządzie z drugiej. Dla wszystkich członków rządu jedna rzecz nie ulegała kwestii: cesarz musiał odejść, a wraz z nim monarchia. Nikt jednak nie śmiał wystąpić otwarcie przeciwko władzy cesarskiej.

1 listopada 1918 roku książę Maksymilian Badeński wysłał swego ministra spraw zagranicznych do Spa, aby spróbował przemówić cesarzowi do rozsądku, lecz Wilhelm nie chciał słyszeć o abdykacji. A potem wydarzenia przybrały nagle bardzo niepomyślny obrót. Ich areną stała się Kilonia, macierzysta baza niemieckiej Hochseeflotte. Jej 3. Eskadra, składająca się z krążowników "Bayern", "Kónig", "Kronprinz Wilhelm", "Markgraf i "Grosser Kurfuerst", miała wypłynąć w morze na ostatnią bitwę z flotą brytyjską. Ten rozkaz był aktem szaleństwa graniczącego z samobójstwem. W porcie zgromadziło się 25 000 marynarzy i 15 000 żołnierzy piechoty. Wybuchł niewielki bunt, ale został stłumiony, a jego przywódców aresztowano. Marynarze z załogi krążownika "Markgraf zażądali natychmiastowego

zwolnienia swoich towarzyszy. Wówczas komendant Kilonii rozkazał wszystkim jednostkom wrócić do koszar.

Kiedy marynarze odmówili wykonania rozkazu, komendant portu wysłał kompanię piechoty, by rozpędziła demonstrację. Palacz Karl Artelt, członek niemieckiej Rady Delegatów Robotniczych, wskoczył na wzniesioną pospiesznie barykadę i zawołał: "Nie chcemy was skrzywdzić!". W efekcie żołnierze też przestali słuchać oficerów. "Markgraf otrzymał rozkaz wyjścia w morze, ale palacze wygasili ogień pod kotłami. Wezwano więcej piechoty, lecz wszyscy żołnierze z wyjątkiem 13 odmówili posłuszeństwa. Stadtkommandant, admirał Souchon, wydał nowe rozkazy. Zamiast załagodzić sytuację, ogłosił stan wyjątkowy, nie zważając na fakt, że zmusi go to do użycia przemocy. Przewidując marsz protestacyjny marynarzy do miasta, sformował "białą gwardię" ze słabo wyszkolonych słuchaczy szkoły oficerskiej. Wszystko to bardzo przypominało wydarzenia w Piotrogrodzie.

Teraz wystarczyła już tylko iskra, by spowodować upadek dotychczasowego systemu władzy. Kadeci z "białej gwardii" wpadli w panikę i oddali salwę w kierunku

wykrzykujących pokojowe hasła marynarzy. Zginęło 37 demonstrantów. Z okrzykiem "Niech żyje Międzynarodówka!" marynarze zaatakowali magazyny broni i uzbroili się w karabiny i karabiny maszynowe. We wczesnych godzinach rannych 4 listopada 260 marynarzy z krążownika "Grosser Kiirfuerst" pod przywództwem palacza Bodowskiego przysięgło pomścić zamordowanych towarzyszy. Buntownicy utworzyli Soldatenrat (radę żołnierską), pierwszą z wielu. Powstanie rozprzestrzeniało się błyskawicznie. Do południa Soldatenrate miały już do dyspozycji 20 000 karabinów oraz większość ciężkich dział okrętowych, obsadzonych przez artylerzystów marynarki, którzy przyłączyli się do powstania. Spisano żądania. Artykuł 1.: "Abdykacja Hohenzollerna...". Potem przyszło

wezwanie do strajku generalnego. Przedstawiciele rad żołnierskich wpadli bez ostrzeżenia do gabinetu admirała Souchona. Admirał obruszył się na ich żądania, ale zgodził się porozmawiać. Zamierzał przywołać swoich podwładnych do porządku, jednak nie udało mu się to. Żołnierze nie chcieli już słuchać jego tyrad.

"Jeśli nasze żądania nie zostaną spełnione..." - powiedział przywódca.

"Grozicie mi?" - warknął Souchon.

Jedno nie ulegało wątpliwości: czas na dyskusje już minął. Książę Henryk Pruski, naczelny dowódca niemieckiej Floty Bałtyckiej, uciekł tylnymi drzwiami. Z Berlina przyjechała delegacja rządowa, by przemówić buntownikom do rozsądku. Mogła tylko patrzeć, jak marynarska rewolta zatacza coraz szersze kręgi. Z Kilonii rozprzestrzeniła się na Lubekę, #Travemuende, Wilhelmshaven, Brunsbiittel, Bremę i Hamburg. Buntownicy potrzebowali kierownictwa politycznego. Kiedy przewodniczący delegacji berlińskiej, socjalista Gustav Noske, uświadomił sobie, że nie da się powstrzymać rebelii, szybko się do niej przyłączył i zdołał uzyskać zaufanie marynarzy. Stanął na czele Soldatenrate, odsunął na bok admirała Souchona i mianował się wojskowym gubernatorem Kilonii. Następnie utworzył rząd tymczasowy i pospiesznie sformował "Żelazną Brygadę" złożoną z zawodowych żołnierzy i antybolszewików, aby rozprawić się z "czerwonymi marynarzami", którzy go wybrali.

Główną przyczyną porażki Matrosenbewegung (ruchu marynarzy) w 1918 roku nie był brak poparcia ze strony mas, lecz brak politycznego kierownictwa, jakie zapewnili Lenin i Trocki w dniach rewolucji październikowej.

Świt 9 listopada 1918 roku wstał posępny i zimny. Ołowiane chmury wisiały nad Spa. Zła pogoda panowała również w Berlinie, gdzie o

godzinie 9.15 na biurko kanclerza Rzeszy, księcia Maksymiliana Badeńskiego, trafił telegram następującej treści:

NACZELNE DOWÓDZTWO SIŁ ZBROJNYCH UWAŻA ZA SWÓJ OBOWIĄZEK POINFORMOWAĆ JEGO WYSOKOŚĆ, ŻE NIE MOŻE JUŻ LICZYĆ NA LOJALNOŚĆ ARMII W PRZYPADKU WOJNY DOMOWEJ.

Kiedy kanclerz Rzeszy przeczytał telegram, wybuchnął: "To koniec!". W obliczu alarmującej sytuacji w kraju cesarz rozważał możliwość użycia lojalnych jednostek frontowych przeciwko zrewoltowanym marynarzom. Haniebny bunt 123 floty zranił go bardziej niż upokarzająca klęska we Francji. Zwołał Kronrat (radę koronną) do Chsteau de la Fraineuse w Spa, aby omówić "operacje w kraju pod dowództwem cesarza". Generałowie zdawali sobie jednak sprawę, że jest o wiele za późno; wspaniała niegdyś armia niemiecka poszła w rozsypkę. Stało się nawet coś znacznie gorszego. Zwycięzcy spod Leuthen, Waterloo i Sedanu, wychowani w pruskiej tradycji ślepego posłuszeństwa zwierzchnikom, podnieśli otwarty bunt, uwięzili swoich oficerów, zablokowali drogi i przecięli łączność pomiędzy ojczyzną a frontem. "Wasza Wysokość, to już nie rebelia, to wojna domowa. Buntownicy opanowali wszystkie najważniejsze mosty na Renie. Większość naszych żołnierzy przeszła na stronę rewolucjonistów". Wydawało się, że cesarz nie rozumie powagi sytuacji.

Wreszcie generał Groener wziął głęboki oddech i powiedział: "Wasza Wysokość nie ma już armii". Cesarz popatrzył na generała i krzyknął: "Żądam, aby przedłożył mi pan swoje oświadczenie na piśmie! Chcę zobaczyć czarno na białym, że armia niemiecka nie posłucha swego wodza naczelnego. Składali mi przysięgę na wierność!".

Generał Groener rozejrzał się po pokoju i zobaczył dokoła pobladłe twarze. "Wasza Wysokość, w obecnej sytuacji taka przysięga jest zwykłą fikcją".

Świat cesarza walił się w gruzy. Obwiniał o to buntowników, którzy podnieśli rękę na jego cesarski majestat, a także czerwony rząd w Berlinie, tych socjaldemokratów, którzy spiskowali, aby doprowadzić do jego upadku.

W tym momencie zadzwonił telefon. Książę Maksymilian Badeński donosił z Berlina, że w stolicy zapanował kompletny chaos: "Dziś po południu rady robotnicze i żołnierskie proklamują republikę z bolszewikiem Liebknechtem jako przywódcą... Wszyscy żołnierze przyłączyli się do rebelii... Nasz rząd jest bezsilny... Możemy liczyć tylko na trzy pułki...". Chwilę później kanclerz znowu zadzwonił, aby oznajmić, że trzy elitarne pułki również zdradziły, a przed gmachem Rady Ministrów przy Wilhelmstrasse zebrał się ogromny tłum, gotów w każdym momencie zaatakować budynek.

Pięć minut później książę Maksymilian zatelefonował jeszcze raz. "Wasza Wysokość, ogłoszono strajk generalny. Musisz abdykować, bo inaczej Niemcy pogrążą się w wojnie domowej".

Cesarz bez odpowiedzi odłożył słuchawkę. Nadal wierzył, że nic z tego, co się dzieje, nie może dotyczyć jego osoby. "Odniesiemy wielkie zwycięstwo - powiedział, studiując mapę z pozycjami jednostek wojskowych, które już nie istniały albo przyłączyły się do buntu. - Musimy przerzucić tutaj więcej ludzi

Zebrani spojrzeli po sobie w milczeniu.

Minęło kilka minut i telefon znowu zadzwonił. Był to krzyk rozpaczy z Berlina. "Wasza Wysokość, liczy się każda chwila. Nalegam...".

Von Schulenburg wziął słuchawkę. "Tak ważnego kroku nie można podejmować w pośpiechu. Jego Wysokość formułuje notę, która znajdzie się w waszych rękach w ciągu trzydziestu minut".

"To o wiele za późno...".

Von Schulenburg popatrzył błagalnie na cesarza. Żal było patrzeć na monarchę: trzęsły mu się wargi i miał szkliste oczy. Delikatne porcelanowe filiżanki zadrżały od

dalekiego grzmotu artylerii. Wreszcie cesarz podszedł do biurka. "Właśnie tracę moje cesarstwo"

- mruknął pod nosem i usiadł, by zredagować telegram obwieszczający jego decyzję zrzeczenia się tytułu cesarza Niemiec. Dodał jednak na pocieszenie: "Zachowam koronę jako król Prus".

W Berlinie sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli. Kiedy tysiące demonstrantów domagały się głośno abdykacji cesarza, a wzburzony tłum mógł w każdej chwili odebrać władzę legalnie wybranemu rządowi, co zakończyłoby się wielką tragedią, potrzebny był śmiały krok, aby oszczędzić Niemcom goryczy wojny domowej. Na szczęście dla kraju znalazł się człowiek, gotów go uczynić. Zanim jeszcze telegram cesarza dotarł do Berlina, książę Maksymilian Badeński wyszedł na balkon gmachu Rady Ministrów przy Wilhelmstrasse. Zamachał rękami, aby uciszyć rozszalały tłum, co zajęło mu kilka minut.

"Seine Kaiserliche Majestat hal abgedankt. Jego Cesarska Wysokość abdykował...".

Wstrząśnięty tłum zamarł w bezruchu i przez chwilę panowała cisza. Książę Maksymilian powtórzył więc swoje oświadczenie: "Seine Kaiserliche Majestat hat abgedankt...".

Tłum na Wilhelmstrasse wpadł w szał i zaczął wiwatować. Ludzie ściskali się i całowali, krzycząc: "Cesarz Wiruś odszedł, wojna się skończyła!".

Aby zapobiec dalszemu rozlewowi krwi, kanclerz zatelefonował do agencji informacyjnej Wolffa i przekazał wiadomość do

natychmiastowego rozpowszechnienia:

"Cesarz Niemiec i król Prus postanowił zrzec się tronu. Kanclerz pozostanie na swoim stanowisku, dopóki nie zostaną rozwiązane wszystkie kwestie wynikające z abdykacji cesarza i pozbawienia praw do korony następcy tronu Cesarstwa Niemieckiego i Prus...".

Maksymilian Badeński nie miał prawa wydawać takiego oświadczenia bez wcześniejszego porozumienia z cesarzem, ale rozwój wydarzeń nie pozostawiał mu żadnego wyboru. W Spa była już godzina 14.30. Telegram cesarza został wreszcie wysłany. Minęło kilka minut, po czym nadeszła odpowiedź z Berlina. Była krótka i jasna:

ZA PÓŹNO, BY TO WYKORZYSTAĆ. KANCLERZ POWIADOMIŁ JUŻ NARÓD, ŻE CESARZ ABDYKOWAŁ. KSIĄŻĘ MAKSYMILIAN PEŁNI URZĄD TYMCZASOWO, NOWYM KANCLERZEM JEST EBERT.

"Zdrada! - krzyknął cesarz, kiedy pokazano mu kopię telegramu Maksymiliana. Twarz mu poszarzała, z czoła spływały wielkie krople potu. - Podła zdrada stanu!". Podyktował szereg sprzecznych rozporządzeń, ale nikt się już tym nie przejmował. Generałowie wiedzieli, że cesarz nie może nawet marzyć o zachowaniu korony pruskiej. Spartakusowcy Karla Liebknechta i Róży Luksemburg szturmowali już pałac królewski w Berlinie.

Socjaliści z Friedrichem Ebertem na czele wpadli w panikę. Wielu socjalistów zmieszało się z podekscytowanym tłumem w korytarzach, łącząc się z dawnymi wrogami, spartakusowcami (komunistami), którzy zaminowali parlamentarne pole bitwy rewolucyjnymi hasłami. W dostojnym gmachu rozpętało się piekło. Philipp Scheidemann, podsekretarz stanu w gabinecie Maksymiliana Badeńskiego i poseł socjalistyczny,

wbiegł po ceremonialnych schodach, zarezerwowanych na wizyty Jego Cesarskiej Wysokości, i obwieścił stamtąd podniosłym tonem:

"Bracia, naród niemiecki zwyciężył na całej linii". Jego oświadczenie powitały gromkie wiwaty przedstawicieli lewicy. Scheidemann, dając się ponieść nastrojowi chwili, podniósł ręce i w westybulu zapadła cisza. Następnym zdaniem uwiecznił się w podręcznikach historii: "Niniejszym proklamuję Republikę Niemiecką!". Członkowie Reichstagu zareagowali wybuchem entuzjazmu i krzykami oburzenia. Większość posłów czuła jednak ulgę, że wojna wreszcie dobiegła końca. Ci, którzy drżeli wcześniej przed autokratycznym monarchą, teraz dali wyraz swoim emocjom. "Niech żyje Republika Niemiecka!". Ci, którzy kilka minut wcześniej byli skłonni okazać lojalność cesarzowi, teraz pospiesznie porzucili zdetronizowanego monarchę. Po pięciu stuleciach dynastia Hohenzollernów została obalona. Monarchia niemiecka przeszła do historii.

Kiedy w Berlinie rozgrywały się te doniosłe wydarzenia, w najbliższym otoczeniu cesarza w Spa panowało całkowite zamieszanie. Pojawiały się doniesienia, że mosty na Renie opanowali żołnierze z czerwonymi sztandarami, a zbuntowane pułki zablokowały wszystkie drogi do Berlina; że pomiędzy jednostkami policji, lojalnymi rządzącym umiarkowanym socjalistom, wybuchły krwawe walki uliczne; i że z więzień wypuszczono nie tylko postępowych spartakusowców, ale w ogóle wszystkich więźniów politycznych, w tym także Różę Luksemburg. Wszyscy walczyli o schedę po cesarstwie Hohenzollernów; w Reichstagu bolszewicy głosowali za państwem robotniczym a. la Russe, natomiast rządzący socjaliści opowiadali się za umiarkowaną republiką burżuazyjną.

Armia niemiecka nie miała już naczelnego wodza. Hindenburg oznajmił cesarzowi: "Jako pruski generał nie chcę patrzeć, jak Wasza Wysokość zostanie aresztowany przez własnych żołnierzy i powleczony przed trybunał rewolucyjny". W jego słowach kryła się wyraźna sugestia, że cesarza

może spotkać los innych obalonych władców. Nie była to już rewolta, lecz rewolucja.

Wilhelm spojrzał na niego wyniośle. Nozdrza mu drżały, policzki płonęły. Czuł bezgraniczną

pogardę dla wichrzycieli w odległej stolicy. I zły był na samego siebie, że pozwolił generałom

postawić się w tak niezręcznym położeniu. "Czy naprawdę myśli pan, że obawiam się własnych żołnierzy?" - zapytał.

Hindenburg odparł z najgłębszą powagą: "Wasza Wysokość nie ma już żołnierzy. Niestety taka jest prawda".

Cesarz Wilhelm stał w swojej ulubionej pozie, wysoki i wyprostowany, z prawą nogą w wysokim, wyczyszczonym do połysku bucie wysuniętą lekko do przodu, jakby chciał podbić i ujarzmić świat. Ale coś się w nim zmieniło. Pogodził się wreszcie z sytuacją i popadł w takie samo zniechęcenie, jakie odczuwa wielu przywódców w momentach kryzysu. Rozmyślał o dniach największej chwały, o wspaniałych defiladach w Berlinie, o wizytach koronowanych głów, o kłaniających się i szurających nogami urzędnikach dworskich. Jazda w kierunku udekorowanej flagami trybuny przed Sie-gessaule, kolumną zwycięstwa z 1871 roku; bulwary pełne machających chorągiewkami i wiwatujących berlińczyków; doskonale wyćwiczony krok jego pruskich batalionów.

Musiało mu zaświtać w głowie, że to on ponosi odpowiedzialność za ofiarny dym bijący z lejów po pociskach i gnijące zwłoki ludzi, którzy przysięgli bezwarunkowe posłuszeństwo cesarzowi i Rzeszy, a później walczyli, padali, modlili się i umierali na polach bitew, w okopach... Wspomnienia były zbyt bolesne. Nad jego cesarstwem zapadła głęboka noc. Jakichż bezmiernych cierpień przysporzył swoim poddanym; żaden naród nie mógłby znieść takiej katastrofy. Żaden władca nie jest uodporniony na gniew swego ludu ani na hańbę klęski. Nie wypowiedziawszy ani słowa więcej, Wilhelm II,

były cesarz Niemiec, wyszedł z pokoju, aby poinformować następcę tronu o zamiarze wyjazdu na wygnanie do Holandii.

Jego pociąg wynurzył się z mroku ostatniego dnia wojny. Cesarz zarządził postój w Liege.

Niepokój dawał mu się we znaki bardziej niż chłód nocy. Na chwilę zatrzymał się w drzwiach cesarskiej salonki, aby zapiąć guziki szarego płaszcza. Dopiero wtedy wysiadł z pociągu. Pomimo gwałtownych zamieszek w Berlinie Liege o tej porze wydawało się wymarłym miastem. Adiutant, Sigurd von Ilsemann, musiał pożyczyć od zawiadowcy lampę naftową, aby oświetlić cesarzowi drogę przez peron ku wyjściu ze stacji. Po raz pierwszy w życiu niemiecki cesarz stał samotnie na pustej ulicy, bez wiwatujących tłumów.

Podjechały dwie limuzyny. Wilhelm zajął miejsce na tylnym siedzeniu drugiego samochodu. Podano mu naładowany karabin. Jadąc przez centrum Liege, patrzył na miasto, podobne do wielu innych, przez które przeszły jego wojska. Ściany znaczyły dziury po kulach, kominy sterczały jak nagrobki z gruzów zrujnowanych fabryk. Wśród ruin znajdowały się cmentarze z rzędami białych krzyży, przypominające upalne dni sierpnia 1914 roku. Od tego czasu upłynęły cztery lata, które zmieniły świat i przyniosły śmierć milionom ludzi. Wyjechali z miasta, reflektory rzucały upiorne snopy światła na długą, prostą drogę prowadzącą na północ. Oba samochody minęły zakręt i dotarły do wąskiego drewnianego mostu. Nagle z przodu zamajaczyły niewyraźne postacie z wymierzonymi karabinami. Posterunek drogowy. Pierwszy samochód zahamował z piskiem opon, otoczyli go ludzie w stalowych hełmach i szarozielonych mundurach. Na szczęście była to jednostka, która przestrzegała jeszcze dyscypliny i generałowi von Falkenburgowi udało się przekonać żołnierzy, aby ich przepuścili.

Po godzinie samochody dotarły wreszcie do podwójnych zasieków z drutu kolczastego. Po drugiej stronie znajdowała się neutralna

Holandia. W blasku świateł ukazał się następny szlaban, strzeżony przez ludzi z bawarskiej Landwehry. Nadzieje cesarza rozwiały się, kiedy zobaczył czerwoną flagę zatkniętą na wbitej w ziemię żerdzi. W świetle reflektora, który oślepił obu kierowców, żołnierze wymierzyli karabiny w podróżnych. W przeciwieństwie do poprzedniego posterunku, okazali żywe zainteresowanie konwojem, zwłaszcza gdy jeden z nich odkrył na drzwiach samochodu ślady cesarskiego herbu. Podszedł feldwebel (sierżant) z pistoletem w dłoni. Mógł mieć najwyżej 24 lata, ale z pomarszczoną twarzą i czerwonymi od ciężkiej pracy rękami wyglądał na znacznie starszego. Zaciskał palce na kolbie pistoletu. "Das sind Offiziere, feige Ausreisser.

Ci oficerowie to tchórzliwi dezerterzy" - powiedział jeden z żołnierzy z bawarskim akcentem i wymierzył karabin prosto w głowę von Falkenburga. Sierżant kazał mu opuścić broń i wsunął głowę przez okno samochodu. "Wohin willst Du? Dokąd

jedziesz?". Żadnych honorów wojskowych, żadnego "panie generale", po prostu zwykłe "Dw", jak pomiędzy prostymi żołnierzami.

W drugim samochodzie cesarz zacisnął mocno dłonie na kolbie karabinu. Oddychał ciężko i drżał w przewidywaniu tego, co się za chwilę stanie. Czy ośmielą się podnieść rękę na świętą osobę cesarza? Ich milczenie było bardziej niepokojące niż gdyby krzyczeli w gniewie.

"Co z nami zrobią?" - szepnął, starając się zapanować nad głosem.

"Miejmy nadzieję, że zdrowy rozsądek zwycięży" - odparł Ilsemann, którego opuścił zwykły spokój. Pojawiło się więcej żołnierzy, odcinając im drogę odwrotu. Wilhelm zrozumiał, iż jest zgubiony. Siedząc tu jak w pułapce, uświadomił sobie, że koszmar zbliża się do końca, a on ponosi wyłączną odpowiedzialność za

rozwój wydarzeń. Ogarnęło go poczucie klęski. W każdej chwili sierżant mógł rozpoznać jego twarz, która widniała na tysiącach fotografii i banknotów. Zanim sierżant zdążył zidentyfikować pasażera drugiego pojazdu, z pierwszego samochodu wysiadł generał von Falkenburg. W blasku reflektorów widać było wyraźnie czerwone lampasy na spodniach. Zmarszczył brwi i spytał: "Co to ma znaczyć?".

Jego władczy głos wywarł odpowiedni efekt. Żołnierze, którzy okrążyli samochód, nie wiedzieli z początku, jak zareagować, dopóki sierżant nie podniósł ręki i nie zasalutował oficerowi, który warknął: "Generał von Falkenburg w drodze do Holandii w pilnych sprawach". Był to śmiały bluff, ale generał liczył na ślepe posłuszeństwo wpajane każdemu niemieckiemu żołnierzowi. I nie przeliczył się. Sierżant Alois Mittermaier ze 193. Bawarskiego Batalionu Landwehry, żołnierz, który spędził cztery długie lata w okopach i przeszedł przez piekło, trzasnął obcasami i podniósł dłoń do hełmu. "Jawohl! Tędy, panie generale". A następnie wydał swoim ludziom rozkaz, aby podnieśli szlaban. Sierżant słyszał pogłoski o spodziewanym podpisaniu zawieszenia broni i wziął pasażerów obu samochodów za niemiecką delegację: "To nasi parlamentariusze".

Generał von Falkenburg wskoczył na przednie siedzenie pierwszego samochodu. "Ruszaj szybko -syknął do kierowcy. - I cokolwiek by się stało, nie zatrzymuj się". Zdezorientowany cesarz widział, jak samochód mija ludzi w szarych mundurach i hełmach. Pasiasty szlaban został podniesiony, Wilhelm II odwrócił się na siedzeniu, a sierżant zasalutował przejeżdżającym samochodom. Niemiecki cesarz przyjął ostatnie honory wojskowe od niemieckiego żołnierza.

O godzinie 11.00 jedenastego dnia jedenastego miesiąca Roku Pańskiego 1918 działa umilkły i rzeź dobiegła końca. Wszyscy Niemcy zadawali sobie to samo pytanie: jak naród, zwycięski w tylu bitwach, mógł przegrać wojnę? Odpowiedzi udzielił sto lat wcześniej Napoleon: "W obliczu przygniatającej przewagi można wygrać wiele bitew, ale nigdy wojny".

Nadal pozostawał problem politycznego dziedzictwa w Niemczech. Było jasne, że wielkie mocarstwa, które walczyły ramię w ramię, by pokonać cesarza, nawet nie pomyślały, że upokarzając dumny naród żądaniem bezwarunkowej kapitulacji, mogą doprowadzić do jeszcze większej tragedii. Ale to miało przyjść później. Na razie liczył się fakt, że działa wreszcie umilkły i skończyła się straszna wojna, chociaż

w Niemczech, gdzie robotnicy i zbuntowani żołnierze mieli broń, groził nowy rozlew krwi. Walka o władzę prowadziła do wojny domowej, która jak zawsze mogła przynieść wiele niespodzianek.

9 listopada w pierwszym numerze nowej gazety "Die Rote Fahne" (Czerwony Sztandar) Karl Liebknecht napisał: "Robotnicy, żołnierze! Wybiła wasza godzina... Niech żyje Międzynarodówka! Związek Spartakusa". W jego artykule zawartych zostało kilka postulatów: precz z dynastią; formujcie rady żołnierskie; i najważniejszy: nawiążcie kontakt z proletariatem rosyjskim.

Artykuł wywołał pożądany efekt. Od tej pory Karl Liebknecht i Róża Luksemburg zaczęli przemawiać z balkonów, w halach fabrycznych, na placach, a nawet w koszarach. Tysiące ludzi oklaskiwały ich płomienne wystąpienia. 22 grudnia 1918 roku siedmiu członków Komitetu Wykonawczego Związku Spartakusa spotkało się na nadzwyczajnym posiedzeniu. Nadszedł czas, by nadać stałą nazwę nowo utworzonej partii. Imię Spartakusa było dobrym symbolem oporu, ale niezbyt odpowiednie dla stałej formacji politycznej. Róża Luksemburg opowiadała się za Sozialistische Partei (Partią Socjalistyczną), lecz Liebknecht i trzej inni członkowie komitetu głosowali za Kommunistische Partei Deutschland (Komunistyczną Partią Niemiec). Z właściwą sobie przenikliwością Róża Luksemburg przewidziała problemy, jakich przysporzy ta nazwa, i ostrzegła, że będzie się ją łączyć z rządem Lenina w Rosji.

Ten spór o nazwę miał nie tylko znaczenie symboliczne; był jak bomba z opóźnionym zapłonem, która prędzej czy później musiała wybuchnąć. Zwołano zjazd założycielski nowej KPD, w której skład weszło 83 członków Związku Spartakusa, 29 radykalnych socjalistów i trzech członków Czerwonej Rady Żołnierskiej. Bolszewik Karol Radek zaszokował zebranych, kiedy złożył im protekcjonalne życzenia od rosyjskiej partii bolszewickiej. Delegaci odpowiedzieli: "Jesteśmy Niemcami, nie Rosjanami" i powstali z miejsc, aby opuścić salę. Przewidując katastrofę, Róża Luksemburg podbiegła do mównicy. Udało jej się uspokoić delegatów, kiedy zaczęła mówić o programie ich partii i sytuacji politycznej w Niemczech. Podkreśliła, jak ważne jest zdobycie poparcia mas proletariackich: robotników, chłopów i powracających z frontu żołnierzy. "Walka o socjalizm jest możliwa tylko wraz z nimi. Musimy zwalczać kapitalizm w fabrykach i na wsiach. Socjalizmu nie można zadekretować. Należy skruszyć łańcuchy ucisku, które wykuł kapitalizm. Jaką bronią dysponujemy, aby osiągnąć ten cel? Strajkiem!". Potem dała jasno do zrozumienia, iż nie zamierza naśladować bolszewików. "Rewolucja prowadzona przez naszych towarzyszy w Rosji była inna; nie mieli tych problemów, z którymi my musimy się zmierzyć. Nasza partia musi pozostać niemiecka".

Róża Luksemburg pracowała ciężko, pisząc artykuły, przewodnicząc posiedzeniom, przeciwstawiając się politykom i partyjnym oportunistom. Wykazywała się ogromnym zdecydowaniem i wielką odpornością nerwową; wyglądało to tak, jakby przez lata więzienia nagromadziły się w tej niepozornej kobiecie nadwyżki energii. Jednak jej pewność siebie była pozorna: po każdym wystąpieniu publicznym miała bóle głowy i mdłości. Wigilię Nowego Roku spędziła z Liebknechtem.

W pierwszych dniach stycznia

1919 roku często spacerowała ulicami, by wczuć się w nastroje tłumów. Aż nazbyt szybko uświadomiła sobie, że większość ludzi nie rozumie, czym jest rewolucja.

Trzy główne grupy radykalne zjednoczyły się i utworzyły Radę Rewolucyjną, która nie potrafiła jednak określić swojej roli w walce o zdobycie władzy dla proletariatu. Liczyła na zbrojną pomoc Volksmarine Division pod dowództwem Dorrenbacha. Zdaniem tego byłego marynarza floty cesarskiej wszyscy żołnierze, w tym również stacjonujący na przedmieściach Berlina, byli gotowi połączyć siły i obalić rząd socjalistyczny. Przewidywania Dorrenbacha okazały się nazbyt optymistyczne. Róża myślała w kategoriach bardziej politycznych; uważała, że samo poparcie mas, jeśli uda się je zorganizować, poprowadzić i ukierunkować ich energię, wystarczy, aby zwyciężyć. Równocześnie jednak była przekonana, że godzina powstania, wspartego w razie konieczności kulami i bagnetami, jeszcze nie wybiła. W pierwszym rzędzie należało zdobyć władzę w Berlinie. Jednak jej nowa partia nie była ani dostatecznie liczna, by porwać się na tak gigantyczne przedsięwzięcie, ani nie dysponowała odpowiednimi środkami, by przeciągnąć masy na swoją stronę. Tak czy owak, Róża nie miała innego wyboru, jak tylko pozostać z rewolucjonistami i uczestniczyć w ich zwycięstwie albo w ich klęsce. Jej towarzyszka, Mathilde Jacobs, napisała: "Mieszkam z Różą i przyprowadzam ją każdej nocy ze stacji. Jest zmęczona, przepracowana, ale szybko odzyskuje siły, jak tylko podam jej kubek gorącej czekolady. Ten rzadki rarytas w dzisiejszych czasach mamy od naszych bolszewickich towarzyszy z ambasady rosyjskiej". Należy w tym miejscu wspomnieć, że większość funduszy na zakup broni przekazywano z Rosji za pośrednictwem bolszewickiego ambasadora w Berlinie, Adolfa Joffego6.

Wypadki, do których doszło w Berlinie w styczniu 1919 roku, sprowokował szereg nie powiązanych ze sobą incydentów. Kanclerz Friedrich Ebert zapowiedział na 19 stycznia wybory powszechne. Komisarz policji został zmuszony do ustąpienia. Ulicami Berlina przetaczały się masowe demonstracje strajkujących

robotników. Aby przeciwstawić się strajkującym, ultrarepublikańska milicja, składająca się z żołnierzy powracających z frontu zachodniego i dobrze wyćwiczonych w zabijaniu, zwarła szeregi pod dowództwem generała Waltera von Liittwitza. Jednostki te nazywano Freikorpsami. Pączkująca partia komunistyczna została wciągnięta w wir wydarzeń przez radykalnych ekstremistów. Gdyby doszło do otwartej walki, rewolucjoniści, określani łącznie jako spartakusowcy, musieliby się zmierzyć z republikańskimi Freikorpsami. W tej skomplikowanej sytuacji centrowi socjaliści z kanclerzem Ebertem na czele przejawiali niezdecydowanie, aż wreszcie wydarzenia całkowicie wymknęły się spod kontroli.

Emil Eichhorn, komendant berlińskiej policji, pracował niegdyś dla rosyjskiej agencji prasowej, a gazeta "Vorwarts" nazywała go bolszewickim agentem. To, co rozpoczęło się od cyklu artykułów, przekształciło się w "aferę Eichhorna". "Die Rote Fahne" pisała: "Wraz z atakiem na szefa policji przypuszczono atak na cały niemiecki ruch rewolucyjny. Wychodźcie na ulice w potężnej demonstracji woli ludu...". To wystarczyło, by doprowadzić masy do punktu wrzenia.

"Tydzień Spartakusa" rozpoczął się 5 stycznia 1919 roku. Na łamach "Die Rote Fahne" ukazało się wezwanie Róży Luksemburg do obywatelskiego nieposłuszeństwa.

W największej demonstracji, jaką kiedykolwiek widziała niemiecka stolica, na ulice wyszły setki tysięcy ludzi. Centrowi socjaliści próbowali rozładować napięcie w sposób pokojowy, ale KPD wydała następny apel z podpisem Róży Luksemburg: "Nie rozmawiajcie! Nie negocjujcie! Działajcie!". Kilka grup zaatakowało budynek redakcji "Vorwarts" i wydrukowało własną gazetę, która domagała się usunięcia "zdrajców Eberta i Scheidemanna, jeśli to konieczne - siłą!". Tego samego popołudnia Rada Rewolucyjna, oszołomiona masowym odzewem na wezwanie do strajku, postanowiła obalić

rząd w drodze otwartej rebelii. Uczyniła to, choć nie była pewna, czy jej ramię zbrojne, Volksmarine Division, przyłączy się do powstania. Plan rady wyszedł na jaw, co pozwoliło kanclerzowi Ebertowi zareagować, tym razem z całą energią. Oddziały wierne rządowi skierowano do Berlina. Spartakusowcy nie odstąpili od swego zamiaru zbrojnego zamachu stanu. Rozdano karabiny i bojownicy wyszli na barykady.

Róża Luksemburg napisała płomienną odezwę, aby ich powstrzymać, dowodząc, że "zostały zlekceważone najbardziej elementarne reguły akcji rewolucyjnej". Nawet Karol Radek, bolszewicki ekstremista, który nigdy nie wzdragał się przed gwałtownymi działaniami, domagał się "powstrzymania tego szaleństwa". Trójstronna Rada Rewolucyjna nie posłuchała i Róży Luksemburg nie pozostało nic innego, jak przyłączyć się do powstania. Wiedziała, że nie można wmanewrować mas w sytuację bez wyjścia, a następnego dnia próbować je z tego wydostać. Członkom Związku Spartakusa wydano fatalny rozkaz: "Będziemy walczyć ramię w ramię z naszymi rewolucyjnymi braćmi, gdziekolwiek dojdzie do akcji rewolucyjnej". Teraz miała polać się krew i nic nie mogło tego powstrzymać.

Nie wiadomo, co robiła i gdzie przebywała Róża Luksemburg w następnych krwawych dniach. W Berlinie zbyt wiele się działo, by ktokolwiek zwracał uwagę na drobną kobietę z włosami upiętymi w kok. Od momentu kiedy wypadki potoczyły się własną koleją rzeczy, Róża Luksemburg stała się postronnym widzem obserwującym z boku krach wszystkiego, w co zawsze wierzyła. Nie wiadomo, czy zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie groziło jej ze strony nie mniej radykalnych przeciwników, pruskich junkrów, czy też po prostu postanowiła je zignorować. 11 stycznia napisała list do najbliższej przyjaciółki, Klary Zetkin: "Wielu naszych dzielnych chłopców zginęło. Dzisiaj powinnam się już chyba z tobą pożegnać".

Po krwawym przejęciu redakcji "Vorwarts" Rada Rewolucyjna większością głosów postanowiła rozpocząć zbrojne powstanie. Na ulicach Berlina zabrzmiały serie karabinów

maszynowych. Podstawową słabością Rady Rewolucyjnej była jej skrajna nieudolność. 6 stycznia rada wydała proklamację zakończoną słowami: "Niżej podpisana Rada przejęła odpowiedzialność za sprawy państwa". Nie była to prawda: kanclerz Ebert nadal sprawował władzę, a przynajmniej próbował to czynić. Wydał zręcznie zredagowane oświadczenie, wzywając "większość lojalnych Niemców" do udzielenia poparcia legalnemu rządowi: "Obywatele, przywódcy Spartakusa proklamowali upadek legalnego rządu; pragną ustanowić czerwoną dyktaturę za pomocą mordu i krwawej wojny domowej, czego rezultatem będzie anarchia i głód". "Lojalni Niemcy" posłuchali i sprawy przybrały inny obrót. Do pierwszego rozłamu w szeregach rewolucjonistów doszło wówczas, kiedy Volksmarine Division postanowiła pozostać w koszarach. Rewolucjoniści nie pomyśleli o tym, by zająć budynek, który

symbolizował władzę w Niemczech, Reichstag. Czterdziestu lojalistów, uzbrojonych w kilka karabinów, zabarykadowało drzwi Reichstagu i obsadziło Bramę Brandenburską, blokując główną arterię komunikacyjną stolicy (podobnie jak niesławny mur wiele lat później). Rozgorzały walki: karabin maszynowy strzelał zza kolumnady, a kule grzechotały w rzeźbach na szczycie gigantycznej Bramy Zwycięstwa. Do kolejnych walk doszło w pobliżu Anhalter Bahnhof. W tych otwartych potyczkach obie strony poniosły ciężkie straty.

Do 8 stycznia stało się jasne, że Ebert jest gotów użyć wszystkich środków, aby opanować sytuację. Tego dnia wydał oświadczenie: "Obywatele, Spartakus walczy o zdobycie absolutnej władzy. Rząd podjął wszelkie niezbędne kroki, aby zapobiec groźbie terrorystycznego reżimu. Godzina zemsty jest bliska". Bezsilna Rada Rewolucyjna rozwiązała się 9 stycznia. Ebert rozkazał lojalnym jednostkom wojskowym zaatakować budynki, znajdujące się wciąż w rękach rebeliantów.

Nocą z 10 na 11 stycznia pułk Maikafer wkroczył do akcji w dzielnicy prasowej. Wybuchły ciężkie walki o gmach redakcji "Vorwarts". Pomieszczenia redakcyjne znajdowały się w fabryce, którą rebelianci przekształcili w twierdzę. Atak poprowadzili pułkownik Reinhardt i major Stephani. Budynek został otoczony przez żołnierzy uzbrojonych w trzy haubice kalibru 105 milimetrów i sześć ciężkich karabinów maszynowych. Najpierw zaczęły strzelać karabiny maszynowe, a potem dołączyły do nich działa. Rebelianci odpowiadali ogniem i trzymali się przez dwie godziny. Wreszcie spróbowali wynegocjować zawieszenie broni. Major Stephani zażądał bezwarunkowej kapitulacji: otrzymał już wyraźny rozkaz od dowódcy Freikorpsu, by rozstrzeliwać na miejscu wszystkich schwytanych rewolucjonistów. Spartakusowcy nie zgodzili się na to żądanie. Żołnierze Freikorpsu ruszyli do ataku, wspierani przez miotacze płomieni i ciężkie moździerze. Nie okazywano litości. Na dziedzińcu piętrzyły się ciała zabitych.

Spartakusowcy zdali sobie sprawę, że ich położenie jest beznadziejne. Z podziurawionego kulami budynku wyszło siedmiu ludzi z podniesionymi rękami, aby wynegocjować kapitulację. Był wśród nich pisarz Wolfgang Fernbach, intelektualny przywódca Spartakusa. Zaledwie 24 godziny wcześniej opublikował wezwanie do broni. Nie zjednało mu to sympatii żołnierzy, którzy ponieśli ciężkie straty. Całą siódemkę postawiono pod ścianą i rozstrzelano. Spartakusowcy odpowiedzieli ogniem, a artylerzyści Freikorpsu znów zaczęli ostrzeliwać budynek. Po następnej godzinie drzwi otworzyły się i wytoczyli się z nich pozostali Spartakusowcy, z podniesionymi rękami, kaszląc, krztusząc się dymem. Żołnierze wzięli około 300 jeńców. Wszyscy zostali pobici, a wielu rozstrzelano natychmiast na dziedzińcu. Reszta trafiła do więzienia7.

Do bitwy doszło też na Alexanderplatz, w pobliżu komendy głównej policji, gdzie Spartakusowcy uzbroili się w pistolety i karabiny odebrane policjantom. Rankiem 12 stycznia dwie kompanie pułku Maikafer pod dowództwem porucznika Schulzego zaatakowały kompleks budynków. Pierwsze strzały padły w pobliżu

Alexanderkaser-ne, gdzie rebelianci przetrzymywali 600 uwięzionych policjantów. Porucznik Schulze wdarł się do środka, uwolnił policjantów i zaopatrzył ich w zdobytą na powstańcach broń. Kilkunastu spartakusowców zostało rozstrzelanych na dziedzińcu. Kiedy na Alexanderplatz ustawiono pierwsze działo, seria z karabinu maszynowego, umieszczonego

na dachu komendy policji, skosiła wszystkich artylerzystów. Sierżant Westphal zebrał swój pluton w sile 50 ludzi, załadował ich na ciężarówki i podjechał na tyły komendy policji. Kiedy skręcili w Prenzlauerstrasse, dostali się pod ogień zaporowy i jedna z kul trafiła kierowcę pierwszego pojazdu. Ciężarówka uderzyła w ścianę domu, a wszyscy jadący nią żołnierze zginęli bądź odnieśli rany. Niedobitków, którzy próbowali się odczołgać w bezpieczne miejsce, dosięgły kule snajperów. Na czoło kolumny wyjechał samochód pancerny w asyście żołnierzy. Przywitał ich ogień z dachów i okien piwnicznych. Kula uderzyła w ścianę nad głową sierżanta Westphala. Żołnierze wrzucili granaty przez okna na parterze i szybko złamali opór rebeliantów. Do akcji weszła następna haubica, zasypując budynek gradem pocisków. Efekt skoncentrowanego ognia był morderczy. Jakiś mężczyzna, najwyraźniej ranny, pojawił się w oknie drugiego piętra. Trzej żołnierze wystrzelili jednocześnie i ciało spadło na ulicę.

Westphal ruszył naprzód z dwoma ludźmi. Szrapnel uderzył w fasadę budynku, odpryski cegieł i odłamki zadzwoniły o ich stalowe hełmy. Ogień nadal był bardzo silny, kiedy sierżant podbiegł do zabarykadowanych głównych drzwi. Nagle drzwi otworzyły się i wyszło z nich kilku spartakusowców z rękami w górze. Westphal spytał, czy są gotowi poddać się, i otrzymał odpowiedź twierdzącą.

Gdy jednak wspomniał o bezwarunkowej kapitulacji, zaczęli się wahać. Westphal oznajmił im, że mają do wyboru albo kapitulację, albo śmierć wewnątrz budynku. Jeden ze spartakusowców

zawrócił, by naradzić się z innymi. Po kilku minutach drzwi otworzyły się na całą szerokość i z dymiących ruin wyszła grupa 150 powstańców. Porucznik Schulze i sierżant Westphal zajrzeli do ciemnego wnętrza budynku; zewsząd dobiegał suchy trzask wystrzałów. Przekrzykując hałas, Schulze wezwał do przerwania ognia i oświad-czył, że każdy, kto odmówi złożenia broni, zostanie rozstrzelany. Poskutkowało. Walka o komendę policji dobiegła końca8, lecz nie był to koniec zabijania. Co najmniej pięciu spartakusowców rozstrzelano na dziedzińcu.

W innych częściach miasta nadal trwały walki. Grupy spartakusowców w strategicznych punktach wciąż stawiały opór jednostkom Freikorpsu. Zginęło wielu ludzi: powstańców, żołnierzy i niewinnych przechodniów. Pułk Reichstag stracił ponad stu ludzi. Aby położyć kres rozlewowi krwi, Friedrich Ebert potrzebował demonstracji siły. Pod Berlinem stacjonowała dywizja kawalerii gwardii generała von Hoffmanna. Kanclerz obawiał się posłać arystokratycznego generała przeciwko proletariackim masom, mianował więc dowódcą wojsk rządowych własnego człowieka, Gustava Noskego, który stłumił bunt marynarzy w Kilonii. Kiedy Noske otrzymał rozkaz, powiedział: "Jeden z nas musi być krwawym psem. Nie boję się odpowiedzialności". I ruszył na stolicę na czele 3000 lojalnych żołnierzy formacji, przemianowanej z tej okazji na Freikorps Noske. Przybyli na miejsce około południa w sobotę 11 stycznia, zbyt późno, by wziąć udział w walkach. Zanim Noske dotarł do Berlina, bitwa była już rozstrzygnięta. Jego ludzie przedefilowali jednak z zaciętymi twarzami przez Kurfurstendamm, co pomogło przywrócić spokój w mieście.

13 stycznia rady robotnicze ogłosiły koniec strajku generalnego, robotnicy wrócili do pracy, a "Tydzień Spartakusa" dobiegł końca. Potem nastąpiły represje. Żołnierze wyważali kolbami drzwi, bez nakazu sądowego każdego ranka ciężarówki zabierały

setki sympatyków rebelii. Najbardziej narażeni byli spartakusowcy. Żołnierze splądrowali biura Komitetu Centralnego KPD. W rządowej prasie ukazywały się artykuły z wyrazami potępienia dla rewolucyjnych przywódców. Arthur Zickler opublikował w "Vorwarts" szyderczy wierszyk: "Setki zabitych leżą w równych rzędach - proletariuszy! Nie ma wśród nich Karla, Radka, Róży...". Dowódcy Freikorpsów proponowali przeprowadzić obławę na znanych komunistów i czym prędzej skończyć z tym fermentem. Ulotki wzywały do zamordowania Róży Luksemburg, Karla Liebknechta i całej ich kliki. Za "zdrajców Luksemburg i Liebknechta", żywych lub martwych, wyznaczono nagrodę, wysokości 100 000 marek9. Tropiono ich po całym mieście i musieli przenosić się z jednej kryjówki do drugiej, żadne miejsce nie było bezpieczne. Nawet po egzekucjach kilku jej współpracowników Róża nadal nie chciała uwierzyć, jak wielkie zagraża jej niebezpieczeństwo. Nie ośmielą się jej tknąć! Noc z 12 na 13 stycznia 1919 roku spędzili w mieszkaniu robotniczym w Neukólln. Kiedy weszli tam żołnierze, uciekli schodami przeciwpożarowymi. Następnej nocy przenieśli się do dzielnicy burżuazyjnej, gdzie Róża napisała swój ostatni artykuł pod cynicznym tytułem Porządek panuje w Berlinie. Był to druzgocący atak na burżuazyjną ideę porządku z całym jej okrucieństwem i uciskiem: "Rewolucja nie ma czasu do stracenia; pędzi naprzód pełną parą, ponad otwartymi grobami, ponad zwycięstwem i klęską, niepowstrzymana w dążeniu do ostatecznego celu". Aby temu zapobiec, należało Róży Luksemburg zamknąć usta na zawsze.

Róża i Karl zostali zdradzeni. Ich ostatnim schronieniem był okazały dom w Wilmersdorfie, przy Mannheimer Strasse 53, w mieszkaniu przyjaciółki Róży, panny Markussohn. Obecność dwojga podejrzanych ludzi w burżuazyjnej dzielnicy nie uszła uwagi mieszkańców i ktoś zadenuncjował ich przed prawicowym Komitetem Obywatelskim. Był późny wieczór 15 stycznia 1919 roku. Wilhelm Pieck, członek Komitetu Centralnego KPD, przyszedł właśnie, aby dostarczyć uciekinierom fałszywe dokumenty, kiedy żołnierze pod dowództwem porucznika Lindnera, któremu towarzyszył

Mehring, przewodniczący Komitetu Obywatelskiego, wyważyli drzwi. Róża leżała na kanapie, miała atak migreny. Początkowo próbowała bluffować i pokazała fałszywe dokumenty, ale to nie wystarczyło. Wiedząc już, że nie uniknie kolejnego pobytu w więzieniu, zapakowała do małej walizki trochę rzeczy osobistych i kilka książek. Kiedy krzątała się w sypialni, żołnierze odprowadzili Liebknechta do czekającego samochodu. Różę i Piecka sprowadzono pod strażą do drugiego samochodu. Całą trójkę odwieziono do hotelu Eden, gdzie mieściła się kwatera główna Gardeschiitzen Division Noskego. Kiedy Liebknecht wszedł do hotelowego westybulu, otrzymał dwa ciosy kolbą karabinu w głowę i zwalił się na podłogę. Żołnierze nie chcieli zabandażować jego krwawiącej obficie rany. Niebawem wepchnięto też do westybulu Różę, gdzie powitały ją zniewagi i szyderstwa. Zobaczyła leżącego na podłodze Liebknechta i próbowała pomóc mu się podnieść, ale przeszkodzili jej w tym żołnierze z nastawionymi bagnetami. Porucznik Lindner zaprowadził więźniów do gabinetu szefa sztabu dywizji, kapitana Pabsta, który odpowiadał za "procedurę aresztowania". Pabst nie pozwolił więźniom usiąść, kiedy rozmawiał przez telefon. Od czasu do czasu spoglądał na nich i mówił do kogoś na drugim końcu linii: "Ja, ja...Ich habe verstanden...

Jawohl. Tak, tak... Zrozumiałem... Tak jest". Nigdy nie ustalono, kto wydał rozkaz ani kto wiedział o planie zamordowania dwojga komunistycznych przywódców.

Pieck został umieszczony pod strażą w korytarzu, a w tym czasie kapitan Pabst przesłuchiwał Liebknechta i Luksemburg. Pieck słyszał podniesione głosy; domyślił się, że to kąśliwe uwagi

Róży doprowadziły przesłuchującego do furii. Potem drzwi otworzyły się. Zapewne po to, aby w obecności świadka stworzyć pozory, iż nie dzieje się nic niezwykłego, Pabst powiedział głośno: "Zabierzcie ich

do więzienia w Moabicie". Pieck, który ciągle siedział w korytarzu, słyszał wyraźnie, jak kapitan udziela jednemu z podwładnych instrukcji, że dwójka zatrzymanych nie może wyjść z samochodu żywa.

Najpierw sprowadzono po schodach Liebknechta. Jeszcze nie doszedł do siebie po ciosach, które mu zadano, i nadal chwiał się na nogach; Otto Runge, wartownik przy drzwiach, uderzył go jeszcze raz w głowę kolbą karabinu. Liebknecht upadł, a dwaj żołnierze chwycili go pod ramiona i wywlekli na dwór, co jeden z gości hotelowego baru skwitował uwagą: "Ten ludożerca ze Spartakusa wcale nie wygląda tak strasznie". Liebknechta wepchnięto do czekającego samochodu, który prowadził kapitan Horst von Pflugk-Harttung. Oprócz niego w samochodzie znajdował się też kapitan Heinz von Pflugk-Harttung oraz porucznicy Liepmann, von Rittgen, Stiege i Schultz, a także szeregowiec Friedrich. Samochód odjechał sprzed hotelu, ale nie do więzienia w Moabicie. Skręcił w przeciwnym kierunku, w stronę berlińskiego Tiergarten, który o tej porze nocy był zupełnie ciemny i opuszczony. Tam szeregowiec Friedrich wyciągnął na wpół przytomnego Liebknechta z samochodu i kazał mu iść. Liebknecht ruszył chwiejnym krokiem w świetle samochodowych reflektorów. Śmiertelny strzał oddał kapitan Horst von Pflugk-Harttung. Ciało Liebknechta znaleźli w bocznej uliczce spacerowicze, po czym odwieziono je do kostnicy jako niezidentyfikowaną ofiarę walk. Według oficjalnej wersji samochód zepsuł się, a kiedy Liebknecht próbował wyskoczyć w krzaki, oficer go zastrzelił.

Tymczasem Różę sprowadzono do westybulu, gdzie otoczyli ją żołnierze. Porucznik Kurt Vogel powiedział kilka słów do Rungego, który wystąpił naprzód i uderzył ją w głowę kolbą karabinu. Róża Luksemburg upadła bez słowa na podłogę. Żołnierze zawlekli jej bezwładne ciało do samochodu czekającego przed hotelem. Samochód pojechał tą samą drogą do Tiergarten, gdzie wyrzucono ciało na ulicę. Samochód już miał odjechać, kiedy porucznik Vogel uświadomił sobie, że Luksemburg wciąż daje oznaki życia. Porucznik

marynarki Hermann Wilhelm Souchon strzelił jej z pistoletu w głowęlO. Mordercy zawinęli ciało w koc, obciążyli kamieniami i zrzucili z mostu Liechtenstein do kanału Landwehry. Porucznicy Vogel i Souchon wrócili do hotelu Eden, by złożyć raport z własną wersją wydarzeń: w drodze do więzienia tłum zmusił kierowcę do zatrzymania samochodu i wyciągnął z niego aresztowaną. Nie wiadomo, co stało się z nią później. W maju 1919 roku zwłoki Róży Luksemburg fale wyrzuciły na brzeg.

Ale prawda wyszła na jaw znacznie wcześniej. Oficjalną wersję po raz pierwszy podała w wątpliwość gazeta "Vorwarts". Przyzwoici obywatele Berlina nie mogli zaakceptować zabójstwa z zimną krwią. W artykule redakcyjnym pojawiło się sformułowane w ostrych słowach żądanie ukarania winnych morderstwa. Aby uśmierzyć

gniew klasy robotniczej, rząd poczuł się zmuszony do wydania oświadczenia: "Rząd polecił wszcząć skrupulatne dochodzenie w sprawie nagłej śmierci doktor Róży Luksemburg i doktora Karla Liebknechta. Oboje, chociaż ciężko zgrzeszyli przeciwko narodowi niemieckiemu, mieli takie samo prawo do uczciwego procesu, jak inni obywatele". Natomiast republikański "Tagliche Rundschau" stwierdził w artykule wstępnym: "Krew wymaga krwi! Krwawa łaźnia sprowokowana przez Karla Liebknechta i Różę Luksemburg wywołuje akty zemsty. To, co spotkało Różę Luksemburg, było okrutne, ale sprawiedliwe". Do kwietnia 1919 roku prawdę na temat okoliczności morderstwa poznał nie tylko rząd, lecz także całe społeczeństwo. Przyczynił się do tego psychopata Otto Runge, który uważał, że jego udział w brutalnych egzekucjach nie został należycie doceniony, i opowiedział dziennikarzom o swoich 15 minutach chwały. Rząd skapitulował wreszcie pod naciskiem opinii publicznej i sprawą zajął się trybunał wojskowy. Jedyne oskarżenie, wniesione przeciwko porucznikowi Voglowi, dotyczyło "ukrycia ciała i sfałszowania raportu dla przełożonego". Vogel otrzymał najniższy możliwy wyrok, lecz w tym samym tygodniu przyjaciele uwolnili go z

więzienia i pomogli mu przekroczyć granicę szwajcarską. Otto Runge, obłąkany sadysta, został oskarżony o "użycie broni służbowej w celu zadania obrażeń" i skazany na dwa lata więzienia. Ci, którzy naprawdę byli winni, nigdy nie stanęli przed sądem.

Róża Luksemburg chciała obalić bariery klasowe, od pokoleń wyznaczające niemiecki system społeczny. Próba ta zakończyła się jej porażką. Pisma Róży Luksemburg zostały publicznie spalone po dojściu Hitlera do władzy. Jej pomnik zniszczono. Wielu jej uczniów zamordowano w hitlerowskich obozach koncentracyjnych i stalinowskich łagrach. Co gorsza, niektórzy nadużywali jej imienia, głosząc idee, pod którymi nigdy by się nie podpisała. Jednak duch Róży Luksemburg nadal żyje, ponieważ żaden stos ani dyktatorski dekret nie może pogrzebać myśli, kiedy już zostanie zasiana w umysłach ludzi. Jej najlepszym epitafium mógłby być komentarz Oscara Wildea: "To osobowości, nie zasady, nadają bieg dziejom".

A potem...

Jest jedną z największych tragedii współczesnej historii, że pierwsze spotkanie Niemiec z demokracją miało taki właśnie przebieg. Użyto broni w celu rozwiązania problemów politycznych. Komuniści zbudowali swój plan w oparciu o brutalną siłę, a następnie popełnili tragiczny błąd, który doprowadził do kryzysu. Socjaldemokraci, akceptując użycie wojska w celu przywrócenia porządku, zgnietli komunistyczną rewoltę z równą brutalnością". Podczas walk ulicznych w styczniu 1919 roku, które historyk Rudolf Hilferding nazwał "niemiecką bitwą nad Marną", rewolucyjna aktywność

sięgnęła zenitu. Ostatnim aktem rewolucji niemieckiej był pogrzeb jej ofiar na berlińskim cmentarzu Friedrichsfelde 25 stycznia 1919 roku.

Zamordowanie przywódców ruchu, a także nietolerancja i nienawiść, z jaką wyrównywano rachunki z komunistami-spartakusowcami, nie

pozostały bez wpływu na niemiecką scenę polityczną w nadchodzących latach12. Okrucieństwa, których dopuścili się żołdacy Noskego, skłoniły wielu ludzi do przejścia na stronę opozycji. Wydawało się, że ocalenie państwa zależy od wymordowania przeciwników. Nastąpił czas zamętu; niezdecydowani stawali po stronie rządu, a bardziej pewni siebie tworzyli nowe partie. Jedna z nich narodziła się w piwnicach monachijskiej piwiarni. Początkowo działała niezbyt dynamicznie, dopóki nie znalazła charyzmatycznego przywódcy w osobie austriackiego kaprala, który nie wahał się uczynić terroru swoją bronią.

Główne organizacje polityczne zjednoczyły się, by utworzyć republikę weimarską. Okazała się całkowitym niewypałem, podobnie jak prezydentura Hindenburga. Przepychanki w Reichstagu trwały nadal. Inflacja niszczyła gospodarkę kraju. Z tego zamieszania wyłoniła się nowa partia z Adolfem Hitlerem na czele, który łączył w sobie trzy elementy tyranii: populistyczną wersję cesarza, wymagającą absolutnego posłuszeństwa i lojalności wobec jego osoby jako niekwestionowanego Fiihrera; całkowity brak skrupułów; oportunizm, który pozwalał dobrowolnie zmieniać głoszone programy polityczne. Jego porywające przemówienia, zawierające wzmianki o czystości rasowej, stały się pokarmem dla mas. Zainspirowały zamieszki uliczne. Hitler obiecywał wszystko, co masy chciały usłyszeć, lecz nie zamierzał dotrzymać swoich obietnic. Jego ulubione powiedzenie brzmiało: "Niemieckim prawem jest wola jego Fiihrera". Hitler pogrzebał dopiero co powstałą Republikę Niemiecką.

Interludium 1920-1944

"Wyrzeczenie się przemocy to największa siła, jaką dysponuje rodzaj ludzki. Jest potężniejsza niż jakakolwiek broń stworzona dzięki ludzkiej pomysłowości" - nauczał Mohandas Gandhi. W ten sposób zamierzał dowieść, że siła oręża nie może się równać z siłą ducha. W 1930 roku, stojąc na czele walki narodowowyzwoleńczej, skłonił ludzi do obywatelskiego nieposłuszeństwa przeciwko niesprawiedliwemu brytyjskiemu prawu, dotyczącemu wytwarzania soli, a następnie

zebrał swoich zwolenników w "marszu do morza po własną sól". Do marszu przyłączyli się ludzie ze wszystkich części kraju i wszystkich klas społecznych, co zmusiło Brytyjczyków do negocjacji. Był to początek pokojowej walki Hindusów o wyzwolenie spod kolonialnej zależności. Gandhi prowadził głodówkę, dopóki wyznawcy hinduizmu i muzułmanie nie zgodzili się żyć razem w harmonii13. Zginął z ręki zamachowca w 1948 roku. Mohandas Gandhi, apostoł wyrzeczenia się przemocy, był i jest wyjątkiem. Brali z niego przykład Nelson Mandela i Martin Luther King.

137

Nie wszyscy rewolucjoniści tamtej epoki stosowali się do ograniczeń narzuconych przez Gandhiego i jego uczniów. W latach 30. dominowały jednak inne tendencje. Pojawił się wówczas człowiek, który dążył do zdobycia władzy, głosząc skrajny nacjonalizm, nienawiść rasową i zorganizowane ludobójstwo. Przez jakiś czas świat nie rozumiał, że Adolf Hitler stanowi większe zagrożenie dla demokracji i pokoju niż komunizm. Jego żądania rosły, siła jego osobowości wydawała się nieodparta. Tych, którzy mu się sprzeciwiali, czekał straszny los. W równie bezwzględny sposób podporządkowywał sobie sąsiadów. Nie musiał walczyć. Wystarczyło tylko przekonać światowe mocarstwa, że jest gotów stawić im czoło. Politycy, ci biedni mali ludzie w starannie odprasowanych garniturach i śmiesznych kapeluszach, zostali upokorzeni przez niemieckich generałów w wysokich butach i szarozielonych mundurach, a ich kraje padały po kolei ofiarą hitlerowskiej agresji.

Niemiecka machina wojenna toczyła się niepowstrzymanie przez Europę, dopóki wreszcie nie odmieniły się koleje wojny. W 1944 roku sytuacja Niemiec stała się wręcz beznadziejna. W czerwcu tego roku, gdy zachodni alianci parli w stronę Renu, a Rosjanie planowali uderzenie w samo serce Niemiec, kilku odważnych niemieckich spiskowców uznało, że Hitlera należy powstrzymać.

Wiedzieli, iż w przypadku porażki czekają ich okrutne tortury i powolna śmierć. A mimo to byli gotowi poświęcić życie, aby oszczędzić Niemcom koszmaru klęski. Postanowili dokonać przewrotu. Był to szalony plan, straceńcza misja.

20 lipca 1944 roku

Ein Volk, ein Reich, ein Fuhrer

Ein Volk, ein Reich, ein Fuhrer.

"Jeden naród, jedna Rzesza, jeden Wódz".

Slogan partii nazistowskiej, początek lat 30.

Wir haben das Letzte getanfiir Deutschland.

"Spełniliśmy do końca obowiązek wobec Niemiec".

Generał Friedrich Olbricht, 20 lipca 1944

Jest pan człowiekiem, jakiego potrzebujemy - oświadczył generał Friedrich Olbricht, zastępca dowódcy niemieckiej armii rezerwowej, wysokiemu pułkownikowi z czarną przepaską na oku. Generał nie miał na myśli jakiegoś iluzorycznego "ostatecznego zwycięstwa", lecz bardziej poważny, aktualny problem. Wiedział, że pułkownik jest błyskotliwym strategiem i dzielnym człowiekiem. Na afrykańskiej pustyni został okaleczony podczas ataku amerykańskich samolotów. Tacy ludzie zdarzali się rzadko, więc pomimo widocznego kalectwa niemieckie naczelne dowództwo mianowało go adiutantem dowódcy armii rezerwowej, generała pułkownika Friedricha Fromma.

Były to ciężkie dni dla III Rzeszy. Na jej granicach wojska niemieckie i alianckie toczyły zacięte walki. Niemcy chwiały się pod bezlitosnymi ciosami Armii Czerwonej na wschodzie i połączonych sił Amerykanów, Brytyjczyków i Francuzów na zachodzie. Krajowi groziło zniszczenie, a narodowi niemieckiemu zagłada. Nic, nawet

fikcja wszechpotężnych Wunderwaffen (cudownych broni), nie mogło przesłonić faktu, że naród zmierzał do katastrofy o apokaliptycznych rozmiarach. Dla uczciwych Niemców nadszedł czas, by działać i ocalić kraj, zanim stoczy się w przepaść.

Generał przyglądał się uważnie człowiekowi, który bohatersko wyprowadził swój pułk z krwawej rzezi na przełęczy Kasser., #JrYzez lata - powiedział Olbricht - kroczyłem

139

po samej krawędzi piekła, lawirując pomiędzy prawdą a kłamstwem, dobrem a złem. Gdybym kiedykolwiek przeciwstawił się tyranowi, umarłbym jako męczennik, a to na nic by się nie zdało. Jest już dość męczenników w obozach koncentracyjnych naszej wspaniałej III Rzeszy. Nie mogę jednak milczeć, kiedy mój nieszczęsny kraj zmierza ku przepaści. I nie jestem w tym osamotniony". Słuchając generała, pułkownik zdawał sobie sprawę, że zaraz zostanie wtajemniczony w spisek na najwyższym szczeblu hierarchii wojskowej. "Naszym ostatecznym celem jest wynegocjowanie pokoju -ciągnął generał, patrząc młodemu pułkownikowi prosto w jedyne oko. - Aby to osiągnąć, musimy wyeliminować Hitlera. Czy jest pan z nami?".

Pułkownik Claus Schenk hrabia von Stauffenberg wyjrzał przez okno. To, co było niegdyś wspaniałą stolicą Prus, mekką tytanów literatury i wielkich myślicieli, przypominało teraz podziurawiony kraterami krajobraz księżycowy. Tak, generał miał słuszność: cztery lata temu poświęcili ojczyźnie wszystko: rodzinę, dom, swoją przyszłość. A teraz ich kraj stał się cmentarzyskiem.

Nie wahał się. "Może pan na mnie liczyć, Herr General".

"Herr Oberst, widzę, że potrafimy się porozumieć. Jest pan człowiekiem o wyjątkowych zdolnościach. Plan operacji znają tylko nieliczni. Opatrzyliśmy go kryptonimem «Operation Walkiire» (Operacja Walkiria)".

Ciężkie klęski, ponoszone przez wojska niemieckie, skłoniły grupę wysokiej rangi oficerów do zawiązania spisku w celu obalenia brutalnej dyktatury Hitlera. Nie mogli liczyć na powszechne, ludowe powstanie, ponieważ w warunkach reżimu totalitarnego było to niemożliwe. Od początku wojny Hitlera dniem i nocą strzegła osobista ochrona. Tylko kilku najbliższych współpracowników miało do niego dostęp, ludzie tacy jak Himmler, Góring, Goebbels czy najbardziej złowieszczy z nich wszystkich, Martin Bormann, jedyny trzymający się w cieniu osobnik spośród obwieszonych medalami palatynów III Rzeszy. Zamachu na życie Hitlera, jeśli coś takiego w ogóle mogło się udać, musiała dokonać niewielka, lecz dobrze zorganizowana grupa wyższych oficerów, którzy czasem kontaktowali się z nim bezpośrednio. Podobne próby podejmowano już wcześniej, lecz wszystkie zakończyły się fiaskiem. Jedna z nich miała miejsce 13 marca 1943 roku, gdy Fiihrer wizytował Grupę Armii "Środek" na froncie wschodnim. W jego osobistym samolocie podłożono bombę, schowaną pomiędzy dwiema butelkami koniaku. Ponieważ zapalnik czasowy zawiódł, samolot Hitlera wylądował bezpiecznie i nikt na jego pokładzie nie zdawał sobie sprawy, że cudem uniknął śmierci. Jeden ze spiskowców, Fabian hrabia von Schlabrendorff, okazał wielką odwagę, udając się do kwatery Hitlera, by usunąć bombę z samolotu, zanim zostanie odkryta.

Opozycja przeciwko Hitlerowi w Niemczech nie ograniczała się do kręgów wojskowych1, lecz najważniejsi spiskowcy wywodzili się z rozczarowanej kasty oficerskiej. Feldmarszałek Erwin von Witzleben; generał Ludwig Beck, były szef sztabu generalnego; generał pułkownik Friedrich Fromm, dowódca armii rezerwowej; jego zastępca generał Friedrich Olbricht; doktor Karl Goerdeler, były burmistrz Lipska; ambasador Ulrich von Hassel i admirał Wilhelm Canaris, szef niemieckiego wywiadu

wojskowego, czyli Abwehry. Resztę czyta się jak rejestr pruskiej szlachty: Helmuth hrabia von Moltke, Fabian hrabia von

Schlabrendorff, Claus Schenk hrabia von Stauffenberg, adiutant generała Fromma w Naczelnym Dowództwie Wojsk Lądowych.

Spisek został starannie zaplanowany, by zapobiec dezintegracji całego aparatu państwowego. Pod koniec 1943 roku generał Olbricht przedstawił jego ogólne zarysy: zabić Hitlera, przejąć kontrolę nad Wehrmachtem i zlikwidować SS. Potem należało spróbować zawrzeć kompromisowy pokój z aliantami. Najważniejszym elementem planu było wyeliminowanie Hitlera, zadanie, którego podjął się Stauffenberg. Kryptonim "Operacja Walkiria" został wybrany bardzo trafnie: Hitler i jego klika, rażeni furią Walkirii, skończą na stosie pogrzebowym.

Plan przedyskutowano w ścisłym kręgu spiskowców, do którego należeli Ulrich Wilhelm hrabia von Schwerin-Schwanenfeld, Adam von Trott zu Stolz, Fritz Dietlof hrabia von der Schulenburg, pułkownik Albrecht Merz von Quirnheim, pułkownik Georg Hansen, porucznik Caesar von Hofacker i Peter Yorck hrabia von Wartenburg. Wszyscy byli potomkami starych rodów junkierskich, dumnymi arystokratami, ludźmi zupełnie innego pokroju niż bojówkarze w brunatnych koszulach z pierwszych dni ruchu nazistowskiego czy partyjni karierowicze u boku Hitlera. I wszyscy byli gotowi umrzeć za swe patriotyczne ideały. "Potrzebujemy ludzi, którzy pociągną za spust w imię tego, w co wierzą - oświadczył generał Olbricht. - Potrzebujemy szybkich rezultatów. Tego lata alianci wylądują na wybrzeżu francuskim, a wówczas wojna na dwa fronty stanie się rzeczywistością. Ponieważ wszyscy macie odegrać ważne role w naszym planie, nadszedł czas, abyście je poznali". Pułkownik Claus Schenk hrabia von Stauffenberg nie był rewolucjonistą, lecz jako idealista zbuntował się przeciwko represyjnej dyktaturze Hitlera i jego siepaczy. Osobowość Stauffenberga dodała spiskowi energii, stała się siłą napędową zamachu stanu. Stauffenberg nie był jednak zabójcą, z pewnością nie nadawał się do tego, by zabić Hitlera. Odniesione rany poważnie ograniczyły jego sprawność: w Afryce Północnej stracił oko

i prawą rękę, a u lewej dłoni brakowało mu dwóch palców. Ponieważ uniemożliwiało to posłużenie się bronią palną, musiał użyć bomby.

Spiskowcy, podobnie jak niemieckie naczelne dowództwo, byli zaskoczeni lądowaniem wojsk alianckich w Normandii 6 czerwca 1944 roku. Stauffenberg podjął pierwszą próbę zamachu 11 lipca, a następną 15 lipca. W obu przypadkach Hitler nie pojawił się w przewidywanym miejscu. 17 lipca część spisku została odkryta. Spiskowcy nie docenili skuteczności funkcjonariuszy gestapo.

Generał Ludwig Beck, generał Olbricht i pułkownik von Stauffenberg zdecydowali, że należy się spieszyć. Okazja nadarzyła się szybciej, niż oczekiwali.

18 lipca generał Olbricht wezwał Stauffenberga do swego biura: "Nasz kapral zarządził odprawę". Olbricht wręczył Stauffenbergowi kopertę. "Dwudziestego pojedzie pan do Wolfschanze Eins [Wilczego Szańca Jeden]"2. Uścisnął pułkownikowi rękę. "Nasz czas nadszedł...".

Sytuacja na wszystkich frontach była rozpaczliwa. Hitler wiedział o tym, podobnie jak jego generałowie. Mimo to Fiihrer, popijając herbatą codzienną porcję pigułek

na uspokojenie, nie przestawał powtarzać: "Wielkość Niemiec polega na tym, że zwycięstwo wykuwa się w obliczu klęski". Rzeczywistość wyglądała jednak zupełnie inaczej. Armia Czerwona przełamała blokadę Leningradu i wyzwoliła Mińsk, Wilno, Pińsk i Grodno. Wojskom niemieckim w państwach bałtyckich groziło okrążenie, a rosyjskie natarcie zbliżało się do Prus Wschodnich. Eskadry alianckich bombowców regularnie zasypywały gradem bomb niemieckie miasta. 4 czerwca wojska alianckie wkroczyły do Rzymu, a dwa dni później ogromna armada inwazyjna wylądowała na wybrzeżach Normandii. Hitler zaczął sobie uświadamiać, co naprawdę oznacza wojna na dwa fronty. Stan jego zdrowia

ustawicznie się pogarszał. Fiihrer był blady i apatyczny. Podczas narad sztabowych bawił się nerwowo okularami albo gryzł ołówek. Musiał siedzieć, gdy jego generałowie pochylali się nad mapami kurczącej się gwałtownie nazistowskiej Europy. Stał się człowiekiem zgorzkniałym; czuł się zdradzony i obwiniał swoich generałów o to, że pozwolili aliantom wylądować we Francji. Nie potrafił wydawać sensownych rozkazów i wygłaszał długie monologi na temat cudownych broni, swoich Vergeltungswaffen, które rozgromią przeciwnika. Żył w ustawicznym strachu o własne życie3. Nigdy nie podróżował bez kamizelki kuloodpornej i zawsze jeździł opancerzonym samochodem. Miał ochronę osobistą i przybocznego lekarza. Wierzył w swoje przeznaczenie, w czym utwierdzał go nadworny astrolog. "Naród niemiecki nie zasługuje na mnie" -powtarzał nieraz.

Hitler spędził pierwsze dwa tygodnie lipca z kochanką, Ewą Braun, w swojej rezydencji w Obersalzbergu. Dlatego właśnie uniknął dwóch pierwszych planowanych zamachów na jego życie. W trzecim tygodniu poleciał do polowej kwatery głównej, Wilczego Szańca, w lasach w pobliżu Rastenburgu (Kętrzyna) w Prusach Wschodnich, ponieważ 20 lipca spodziewał się wizyty Benito Mussoliniego. Z tej przyczyny jego sztab przesunął codzienną Fiihrer Lagebesprechung (naradę sytuacyjną) na godzinę 12.30. Z powodu upału odprawa nie odbyła się w przeznaczonym do tego celu betonowym bunkrze, którego masywne ściany spotęgowałyby skutki wybuchu, lecz w drewnianym baraku w lesie. Ta zmiana pociągnęła za sobą fatalne konsekwencje.

20 lipca 1944 roku hrabia von Stauffenberg, któremu towarzyszył drugi spiskowiec, porucznik Werner von Haeften, wsiadł do samolotu kurierskiego lecącego z Berlina do Rastenburgu, gdzie miał złożyć raport o rozmieszczeniu nowo sformowanych jednostek frontowych, wydzielonych z armii rezerwowej. W jego teczce znajdowały się nie tylko notatki, lecz także kilogramowa bomba z heksonitu, plastycznego materiału wybuchowego, połączonego z chemicznym zapalnikiem czasowym4, który powinien zdetonować bombę po 10

minutach od zgniecenia szklanej kapsułki z kwasem. Samolot Stauffenberga wylądował w Rastenburgu o godzinie 10.15. Z lotniska obaj oficerowie pojechali do kompleksu kwatery głównej, mijając po drodze liczne posterunki kontrolne SS. Feldmarszałek Keitel wyszedł z drewnianego baraku.

"I co, Stauffenberg, przywiózł pan dobre wieści?".

"Mam nadzieję, Herr Feldmarschal...".

Keitel zaprowadził pułkownika do pokoju odpraw, gdzie znajdował się Hitler w otoczeniu generałów i adiutantów5. Wszyscy pochylali się nad rozłożoną na ciężkim drewnianym stole mapą i nie zwrócili uwagi na wchodzących. Stauffenberg

zajął miejsce obok pułkownika Heinza Brandta, który stał na prawo od Hitlera. Zgniótł już szklaną kapsułkę i do wybuchu pozostało kilka minut. Postawił teczkę na podłodze i wsunął ją nogą pod stół, po czym odwrócił się do Keitla i szepnął: "Panie feldmarszałku, przepraszam na chwilę, muszę zatelefonować do Berlina". Keitel skinął głową i Stauffenberg opuścił pokój. Była 12.50. Ledwie wyszedł z drewnianego baraku, kiedy pokojem odpraw wstrząsnęła potężna detonacja. Strop zapadł się, a drewniane ściany rozsypały się na tysiące kawałków. Gdy Stauffenberg i Haeften jechali z pełną prędkością na lotnisko, nad drzewami unosiła się chmura czarnego dymu. Znów dopisało im szczęście; w zamieszaniu nie wydano posterunkom rozkazu, by zatrzymywały każdy pojazd opuszczający teren kwatery głównej.

Chmura kurzu powoli opadała, ranni jęczeli, wartownicy biegali we wszystkich kierunkach, syreny wyły, a ze zrujnowanego baraku wytoczył się Hitler - żywy! Był pokryty kurzem i zakrwawiony, prawa ręka zwisała mu bezwładnie wzdłuż ciała. Miał urwaną prawą nogawkę spodni i osmalone włosy, na nogach ślady oparzeń i głęboką szramę na karku, gdzie uderzyła go spadająca

belka. Potrząsał głową, próbując odzyskać słuch. W jego oczach malowało się przerażenie i niedowierzanie. Wszyscy, którzy stali obok niego, byli albo martwi, albo ciężko ranni. Życie ocalił mu masywny stół, który osłonił jego tors, i kruche ściany, które rozpadły się od podmuchu eksplozji. Chwiał się na nogach, wstrząśnięty i oszołomiony, mamrocząc: "To opatrzność!". W pierwszej chwili myślał, iż było to bombardowanie lotnicze, dopiero dużo później zrozumiał, że dokonano zamachu na jego życie.

W zamieszaniu spowodowanym eksplozją hrabia von Stauffenberg minął posterunki SS, strzegące kwatery głównej, i jego bombowiec He-111 wystartował, biorąc kurs na Berlin. Mógł podziwiać swoje dzieło, gdy samolot przelatywał nad czarną plamą w lesie, a ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, byli ludzie biegający w kółko jak oszalałe mrówki.

Kierownictwo spisku zebrało się w biurze generała Olbrichta w kwaterze głównej OKH Ersatzheer (armii rezerwowej) przy Bendlerstrasse w Berlinie. Obecni byli: feldmarszałek von Witzleben,

generał Beck, generał Hoeppneri Olbricht. Przede wszystkim musieli nadać obwieszczenie przez radio i ostrzec naród, że grupa bezwzględnych przywódców SS próbowała podporządkować sobie Wehrmacht. Aby udaremnić ten zamiar, Beck i Witzleben uznali za konieczne przejąć władzę po zamachu na Fiihrera. Na szczeblu wojskowym lokalne rezerwy Wehrmachtu miały rozbroić SS w Berlinie, zająć rozgłośnie radiowe i otoczyć dzielnicę rządową. Spiskowcy liczyli na to, że po śmierci Hitlera oficerowie armii nie będą się już czuli związani przysięgą na wierność narodowosocjalistycznemu przywódcy. Wszystko zależało od dwóch czynników: powodzenia zamachu i przecięcia łączności pomiędzy kwaterą polową Hitlera a instytucjami rządowymi w Berlinie.

Samolot Stauffenberga potrzebował dwóch godzin na powrót do stolicy. Wylądował o 15.45 i Stauffenberg pojechał prosto na Bendlerstrasse, gdzie zameldował, że prawdopodobnie nikt nie przeżył wybuchu. Opierał swój sąd na ocenie siły eksplozji i obserwacji z powietrza. Niestety, mylił się. Plan nadal mógłby się powieść, gdyby nie drugi czynnik: system łączności pomiędzy Berlinem a Wolfschanze nie został przerwany, co doprowadziło do fiaska spisku. Po wysłuchaniu raportu Stauffenberga

generał Olbricht pospieszył do biura generała Fromma i zażądał, aby dowódca armii rezerwowej natychmiast dał sygnał do rozpoczęcia operacji "Walkiire". Fromm wahał się, ponieważ poza ustnym raportem Stauffenberga nie nadeszło żadne potwierdzenie, że Hitler nie żyje. Nie wydał rozkazu i doszło do szamotaniny, w wyniku której Fromm został obezwładniony i osadzony w areszcie. Tymczasem, bez instrukcji od generała Olbrichta, Merz von Quirnheim rozesłał wstępne rozkazy dotyczące operacji "Walkiire", które o godzinie 16.05 dotarły do garnizonów wojskowych w Berlinie i w jego okolicach. Chociaż rozkazy były niejasne, poszczególni dowódcy wykonali je: pododdziały z ośrodków szkoleniowych wojsk pancernych w Krampnitz i Gross Glienicke, ze szkoły piechoty w Doebernitz oraz ze szkoły podchorążych w Poczdamie wyruszyły do Berlina. Później próbowano wprowadzić do akcji jeszcze jedną jednostkę. Wachbataillon Grossdeutschland otrzymał zadanie obsadzenia najważniejszych ministerstw w dzielnicy rządowej.

Kiedy oficer łączności batalionu, porucznik Hagen, odczytał rozkaz, wydało mu się dziwne, że nie został podpisany przez dowódcę armii rezerwowej, lecz przez oficera sztabowego. Nakłonił dowódcę batalionu, majora Ottona Ernsta Remera, aby porozumiał się z ministrem propagandy, doktorem Josefem Goebbelsem, i zweryfikował rozkaz.

Rezultat okazał się katastrofalny dla przywódców puczu, ponieważ Goebbels połączył majora Remera z kwaterą główną. Rozmówca na drugim końcu linii spytał: "Poznaje pan mój głos?".

Wstrząśnięty Remer, konwulsyjnie ściskając słuchawkę telefonu, odpowiedział: "Jawohl, mein Fuhrer".

Hitler za pośrednictwem Goebbelsa rozkazał Remerowi, aby stłumił bunt z całą bezwzględnością.

W wyniku jednej rozmowy telefonicznej sytuacja spiskowców stała się beznadziejna. Goebbels zadzwonił do rozgłośni radiowej Deutschlandsender i polecił nadać komunikat specjalny, że grupa oficerów próbowała dokonać zamachu stanu, ale Fuhrer żyje, ma się dobrze i niebawem przemówi do narodu. Gdy tylko rozeszły się pogłoski, że Hitler przeżył, wielu oficerów gotowych przyłączyć się do spisku zmieniło zamiar. Jednym z nich był generał Fromm, który rozmawiał przez telefon z feldmarszałkiem Keitlem. Keitel potwierdził wiadomość o "cudownym ocaleniu Fiihrera". Czy Hitler naprawdę żył? Fromm nie zamierzał ryzykować, toteż spiskowcy zamknęli go w jego gabinecie. Zamieszanie rosło, a tymczasem major Remer skierował swój batalion wartowniczy na Bendlerstrasse.

Zmęczony feldmarszałek von Witzleben opuścił właśnie na chwilę swój gabinet, kiedy przez oficera łącznikowego z Bendlerstrasse otrzymał wiadomość, że Reichsfiihrer SS Heinrich Himmler został mianowany nowym dowódcą armii rezerwowej. Wzbudziło to podejrzenia jednego z oficerów ze sztabu generała Fromma. Pułkownik Karl Pridun, adiutant generała Olbrichta, wezwał do siebie pozostałych oficerów i przypomniał im o przysiędze na wierność Hitlerowi5. Co dziwne, żaden z ludzi, którym Goebbels rozkazał stłumić pucz, nie pojawił się jak dotąd na Bendlerstrasse: ani SS-Obergruppenfiihrer Ernst Kaltenbrunner z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, ani dowódca sił specjalnych Hitlera SS-Obersturmbannfuhrer Otto Skorzeny.

Również batalion Remera spóźniał się z powodu trudności z transportem. Do akcji mogła wejść tylko grupa Priduna, znajdująca się w budynku przy Bendlerstrasse.

To, co działo się później, na zawsze pozostałoby tajemnicą, gdyby nie świadek, który został przeoczony, zapomniany i zdołał przeżyć wojnę. Był nim major Georgi, przydzielony do kwatery głównej niemieckich sił powietrznych, żonaty z córką generała Olbrichta. O godzinie 21.00 Olbricht zatelefonował do zięcia i kazał mu stawić się natychmiast na Bendlerstrasse7.

"Generał Olbricht siedział w swoim gabinecie, paląc cygaro, a przed nim stał kieliszek koniaku. »W południe - oznajmił - hrabia von Stauffenberg podłożył bombę w kwaterze Hitlera. Powiedziano nam, że [Hitler] został zabity; feldmarszałek von Witzleben przejął władzę. Jednak później dowiedzieliśmy się, że Hitler przeżył, i większość naszych stronników wycofała się. Może uda nam się utrzymać przez krótki czas. Może jedną noc, może dwie, ale równie dobrze może być po nas już za godzinę. Umrę jak żołnierz. Umrę za dobrą sprawę, o czym jestem przekonany. Spełniliśmy do końca obowiązek wobec Niemiec«. Teść kazał mi natychmiast odejść i zatroszczyć się o rodzinę. Była godzina 22.10, kiedy do gabinetu wkroczyło sześciu lub ośmiu oficerów sztabowych z wyciągniętymi pistoletami i zażądało wyjaśnień, co znaczą wszystkie te sprzeczne rozkazy.

Generał Olbricht próbował ich zbyć, ale domagali się rozmowy bezpośrednio z generałem Frommem. W tym momencie drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł Stauffenberg; powiedział im, że sprawdzi, czy Fromm jest osiągalny. Wychodząc, hrabia zatrzasnął gwałtownie drzwi. Rozległ się wystrzał. Potem padły następne. Generał Olbricht skorzystał z okazji, by uścisnąć mi rękę, a potem wypchnął mnie z gabinetu. Przedpokój był pełen uzbrojonych ludzi. Odruchowo uniosłem ręce ponad głowę i wyszedłem. Nikt

mnie nie zatrzymał. Teraz byłem pewien, że widziałem teścia po raz ostatni".

Faktycznie grupa wiernych Hitlerowi oficerów z podpułkownikiem Franzem Herberem na czele wdarła się do gabinetu Olbrichta, aby zażądać wyjaśnień. Wtedy właśnie wszedł pułkownik von Stauffenberg. Gdy jego osobisty adiutant, kapitan Friedrich Karl Klausing, zobaczył wyciągnięte pistolety, strzelił pierwszy, a oficerowie odpowiedzieli ogniem. Stauffenberg został lekko ranny, ale zdołał uciec do sąsiedniego pokoju i zatrzasnął drzwi8. Oficerowie zaprowadzili Olbrichta pod lufami pistoletów do gabinetu generała Fromma. Dwuznaczna rola, jaką odegrał Fromm w ostatnich wydarzeniach, narażała go na śmiertelne niebezpieczeństwo, musiał więc dowieść swej wierności Fiihrerowi. Rozkazał aresztować natychmiast Olbrichta, Stauffenberga, Merza von Quirnheima i porucznika von Haeftena.

W gmachu przy Bendlerstrasse przebywał również w tym czasie inny spiskowiec, generał Ludwig Beck, oficer zbyt wysokiej rangi, by ktokolwiek ośmielił się go tknąć bez wyraźnego rozkazu Hitlera. Wiedział jednak za dużo o roli Fromma w całej aferze i dlatego musiał zostać wyeliminowany. Fromm przeprowadził z nim rozmowę. Beck wyjął służbowy pistolet i dwukrotnie strzelił sobie w pierś. Ponieważ jednak nadal żył, Fromm rozkazał sierżantowi, aby go dobił. Chcąc zatrzeć wszelkie ślady swojego udziału w nieudanym spisku, Fromm ogłosił, że natychmiast zwoła sąd polowy. Nie powiedział, kto ma być członkiem tego fikcyjnego trybunału, ale zażądał kary śmierci dla "den Oberst im Generalstab Merz, den General der Infanterie Olbricht,

diesen Oberst dessen Namen ich nicht mehr kenne - którego nazwiska nie chcę więcej znać [mówiąc to, wskazał na Stauffenberga] - und diesen Oberleutnant [Haeftena]". Czterech skazańców sprowadzono po schodach i wypchnięto na dziedziniec.

Przy oknie piwnicznym znajdowała się hałda piachu, mająca chronić przed nalotami lotniczymi. Ustawiono pod nią Olbrichta, Stauffenberga, Merza i Haeftena9. Była 0.10. Zapłonęły reflektory dwóch zaparkowanych na dziedzińcu ciężarówek, rzucając na czterech oficerów snopy światła. Dziesięciu żołnierzy z batalionu majora Remera zajęło pozycje. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. "Na moją komendę!". W ciszy, jaka zapadła po tym krótkim rozkazie, słychać było tylko basowy pomruk silników pracujących na jałowych obrotach. "Cel". Claus Schenk von Stauffenberg wystąpił krok do przodu i pewnym głosem zawołał: "Es lebe unser heiliges Deutschland!". "Ognia!". Dziesięć karabinów plunęło ogniem i cztery ciała osunęły się na ziemię.

SS-Obersturmbannfuhrer Otto Skorzeny, człowiek, który uwolnił Benito Mussoliniego po jego aresztowaniu przez zbuntowaną armię włoską, wysiadał z pociągu na dworcu w Berlinie, gdy dotarła do niego wieść o zamachu. Pospieszył na Bendlerstrasse, gdzie znalazł czterech martwych spiskowców; generał Fromm poszedł już do domu. To wzbudziło podejrzenia Skorzenego; dlaczego dowódca niemieckiej armii rezerwowej, którego zastępca i najbliższy współpracownik próbował zabić Hitlera, opuścił swój posterunek w taką noc? SS-Obersturmbannfiihrer zatrzymał na razie swoje przeczucia dla siebie i aresztował brata Stauffenberga, Bertholda, oraz trzech innych spiskowców, Vorcka von Wartenburga, Ulricha von Schwerina-Schwanenfelda i Eugena Gerstenmaiera. Zerwał im dystynkcje i rozkazał zamknąć ich do procesu.

W tym samym czasie Hitler przemawiał przez radio do narodu: "Zwracam się dzisiaj do was, abyście usłyszeli mój głos i przekonali się, że jestem cały i zdrowy, a także, byście poznali szczegóły zbrodni, która nie ma sobie równych w historii Niemiec. Mała, przestępcza klika ambitnych, pozbawionych sumienia i głupich oficerów uknuła spisek, aby mnie usunąć, a wraz ze mną zgładzić całe dowództwo Wehrmachtu. Bomba, którą podłożył hrabia von Stauffenberg, eksplodowała dwa metry ode mnie...". Zakończył

swą tyradę złowieszczą przepowiednią: "Rozprawimy się z nimi w sposób, w jaki zwykli to czynić narodowi socjaliści!".

A potem...

Niemiecki korpus oficerski uwikłał się w coś, co znacznie wykraczało poza jego podstawowe zadanie, którym było walczyć i ginąć za ojczyznę. Polityka nie wyszła spiskowcom na dobre i wszyscy mieli przez nią skończyć na szubienicy. Hitler wiedział, że w spisku brała udział nie tylko garstka arystokratów z kasty oficerskiej, lecz również wielu jego najbliższych współpracowników i generałów. Ci pozbawieni kręgosłupa

junkrzy, którzy zazdrościli mu żelaznej woli i wojskowego geniuszu, mieli czelność nazywać go "małym kapralem"! Jego nienawiść skierowała się teraz przeciwko całej kaście oficerskiej. Wydał kategoryczny rozkaz, aby wszyscy zamieszani w spisek zostali straceni w najbardziej haniebny sposób: "aufgehangt wie Schlacht-vieh, powieszeni jak bydło w rzeźni".

Wielu przy wleczono przed oblicze bezlitosnego, psychopatycznego sędziego, doktora Rolanda Freislera, wyznaczonego przez Hitlera do specjalnego Sądu Ludowego10. Procesy ciągnęły się tygodniami, a lista skazanych niemieckich oficerów nie miała końca. Zemsta Hitlera przypominała stalinowską czystkę w korpusie oficerskim, kiedy generalissimus posłał pod ścianę całe radzieckie naczelne dowództwo, łącznie z marszałkiem Tuchaczewskim. Była to również okazja do pozbycia się niewygodnych opozycjonistów i dysydentów, intelektualistów, arystokratów, przemysłowców, duchownych, pisarzy i akademików. Z pogwałceniem elementarnych zasad sprawiedliwości wszyscy zostali uznani za winnych i powieszeni na strunach fortepianowych na rzeźnickich hakach w piwnicy berlińskiego więzienia Ploetzensee, a ekipa filmowa nagrywała egzekucję scena

po scenie, aby Hitler mógł ją obejrzeć ze wszystkimi szczegółami. Fiihrer nie znał litości.

Członkowie rodzin domniemanych spiskowców zostali aresztowani i poddani represjom na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej. Nie oszczędzono nikogo, nawet największego z niemieckich bohaterów wojennych, feldmarszałka Erwina Rommla. Lis Pustyni nie był bezpośrednio zamieszany w spisek, jednak swym zjadliwym krytycyzmem naraził się wielu groźnym ludziom, takim jak Himmler,

Goebbels, a zwłaszcza "szarej eminencji" Hitlera, Martinowi Bormannowi. Bormann wysłał generałów Wilhelma Burgdorfa i Ernsta Maisela do domu Rommla w Herrlingen w Szwabii, gdzie feldmarszałek leczył się z ran. Tym razem Goebbels nie mógł użyć kłamstw, jakie rozpowszechniano na temat skazanych przez Sąd Ludowy. Rommlowi zaoferowano wyjście Sokratesa. Feldmarszałek wybrał kapsułkę z cyjankiem i został pochowany z honorami wojskowymi, a "Vólkischer Beobachter" ogłosił z żalem, że jego śmierć była wynikiem ran odniesionych na wojnie.

Generał Friedrich Fromm, który zarządził doraźną egzekucję Stauffenberga i Olbrichta, aby ukryć swój udział w spisku, został aresztowany, oskarżony o "tchórzostwo w obliczu wroga" i stracony. Pucz z 20 lipca 1944 roku znalazł stosowne epitafium na łamach "New York Herald Tribune": "Zaciekłość, z jaką hitleryzm toczy swój ostatni bój, niszcząc niemieckie tradycje wojskowe, bardzo ułatwia zadanie naszym siłom sprzymierzonym".

Niniejszy rozdział ma jeszcze osobiste posłowie. Pewnego upalnego letniego wieczoru w 1960 roku spotkałem się z człowiekiem, którego alianci nazwali "Jednostką Specjalną", z SS-Obersturmbannfiihrerem Ottonem Skorzenym. Jego oczy zdradzały, że jest to człowiek, który nie zna litości. Siedząc na tarasie domu Skorzenego w Madrycie, rozmawialiśmy o jego roli dowódcy specjalnej jednostki interwencyjnej Hitlera. Powiedział, że wykonywał tylko swoje zadanie, które polegało na eliminowaniu nieprzyjaciela wszelkimi

dostępnymi środkami. "Nie czułem nienawiści do nikogo -147 oświadczył mi - nawet do wroga". Nasza rozmowa zeszła na wypadki 20 lipca i role, jaką w nich odegrał. Chciałem się dowiedzieć, co sądzi o spiskowcach, dlaczego ich próba zabicia Hitlera nie powiodła się. "To byli partacze - stwierdził z pogardą. - Jeśli chce się wyeliminować wybrany cel, nie można zostawić bomby pod stołem i wyjść".

"Jak pan by się do tego zabrał?".

"Wszedłbym do pokoju, wyciągnął pistolet i strzelił, dla pewności dwa razy. Zanim obecni otrząsnęliby się z szoku i wypełzli spod stołu, byłbym już w połowie drogi do Londynu lub do Moskwy".

"A jeśli nie można użyć pistoletu?".

"Obwiesza się człowieka dynamitem i każe mu się wysadzić w powietrze wraz z celem".

To prawda, nie ma ratunku przed zamachowcem samobójcą. Na szczęście został dany ludziom instynkt samozachowawczy, który powstrzymuje większość przed przekroczeniem pewnej granicy. Większość, ale nie wszystkich. Niektórzy zostali jak roboty zaprogramowani na zabijanie.

Próba Stauffenberga była skazana na niepowodzenie, ponieważ myślał on i działał jak istota ludzka.

Interludium kwiecień-sierpień 1945

"Kogo Bóg chce zgubić, temu najpierw odbiera rozum". W historii ludzkiego szaleństwa wyróżnia się z pewnością jeden człowiek: Adolf Hitler. Wymordował cały naród tylko za to, że w ogóle istniał. 30 kwietnia 1945 roku, o godzinie 15.30, kiedy żołnierze radzieccy mieli właśnie wkroczyć do ostatniej reduty Fuhrera, włożył on sobie pistolet w usta i pociągnął za spust. Jego zwłoki oblano benzyną i spalono11.

Wojna w Europie dobiegła końca, ale sama wojna jeszcze trwała. Punkt ciężkości przeniósł się na Pacyfik, gdzie japoński cesarz, którego generałowie nie chcieli się pogodzić ani z klęską, ani z kapitulacją, stanął przed nierozwiązywalnym na pozór dylematem: jak położyć kres wojnie.

Ostatnie działania armii japońskiej były wymierzone nie przeciwko znacznie potężniejszemu nieprzyjacielowi, lecz przeciwko temu, co najważniejsze w Japonii -jej boskiemu cesarzowi.

15 sierpnia 1945 roku Tenno Heika Banzai!

Tenno Heika Banzai! "Niech żyje cesarz!"

"Nadszedł czas, kiedy musimy znieść to, co jest nie do zniesienia.

Przełykamy łzy..." Cesarz Hirohito, 9 sierpnia 1945

Niebiański monarcha Imperium Wschodzącego Słońca rzekł: "Dlaczego nie potrafili zrozumieć, co mieliśmy na myśli?". Czarna rozpacz ogarnęła wszystkich w pokoju; nikt nie śmiał podnieść oczu na boski majestat. Byli niespokojni, wciąż się obawiali, czy w cieniu nie czai się jakiś fanatyczny oficer. Tylko chłodna odwaga, jaką okazał cesarz w obliczu kryzysu, dawała im nadzieję na przyszłość. Przez okna widzieli chmurę dymu z płonących dokumentów.

W domu, który przetrwał nalot amerykańskich samolotów, regularnie zrzucających na Tokio bomby zapalające, oficer pochylił głowę i spojrzał na ciało rozciągnięte na ryżowej macie. Podniósł papier - poemat samobójcy. Kilka kropel krwi spadło na skreślone pewną ręką słowa.

Stary człowiek powiedział: "Twój mąż wróci do domu za godzinę. Moja córko, czy jesteś przygotowana?"

"Jestem, ojcze".

"Zabił się".

Dziewczyna nauczyła się nie okazywać emocji. "Zostałam na to przygotowana".

Japonia przeżywała swój najdłuższy dzień.

149

Tenno był władcą wybranym z laski Boga. Idea świętego cesarza nakładała na niego szczególne ziemskie obowiązki i leżała u podstaw japońskiej doktryny monarchicznej. Fanatyczna wiara w boską władzę tenno uczyniła Japończyków najgroźniejszymi żołnierzami w Azji, gotowymi oddać życie za swego cesarza, boską osobę, która ucieleśniała ducha całego narodu. Walczyli mężnie i umierali z honorem, by bronić swego władcy, ponieważ śmierć za niego była najwyższym zaszczytem dla każdego człowieka. Kapitulacja przed nieprzyjacielem wiązała się z utratą twarzy; lepiej było popełnić seppuku, niż żyć w hańbie.

"Japoński żołnierz nigdy się nie poddaje! Jego życie należy do boskiego cesarza!". Armia japońska dała dowód swego męstwa na Tarawie, małej piaszczystej wysepce na Oceanie Spokojnym. Spośród 4836 żołnierzy japońskiego garnizonu zaledwie 17 dostało się do niewoli. Reszta zginęła bohaterską śmiercią- od bomb, kul albo z własnej ręki.

W sierpniu 1945 roku pod bronią było nadal 6 000 000 Japończyków, gotowych wypełnić rozkaz swego cesarza i ponieść najwyższą ofiarę, jak obrońcy Okinawy i Iwo Dzimy, okrytych chwałą miejsc ostatniego spoczynku opromienionych sławą bohaterów. Toczyli bitwę z przebiegłym przeciwnikiem i nie mieli złudzeń, co ich czeka. Ich rodziny zostały pogrzebane pod gruzami, lecz japońska armia nie składała broni. Długonose białe diabły zapomniały o jednym: ich bomby przekształciły japońskie miasta w doskonałe pole bitwy, na którym można stawiać opór agresorowi. Będą bronić każdego skrawka ziemi, każdego strumyka, każdego domu i zbiorą straszliwe

żniwo, by pomścić swych najbliższych. A co najważniejsze, nic nie przeszkodzi japońskiemu żołnierzowi w wypełnieniu świętego obowiązku wobec cesarza. W tych gorących dniach lata 1945 roku wola japońskiego żołnierza pozostawała nieugięta, jego wiara w niebiańskiego cesarza niezachwiana. Siedem stuleci wcześniej kamikaze ("boski wiatr") powstrzymał potężną flotę Mongołów przed najazdem na japońskie wybrzeża. Teraz też zada przeciwnikowi straszliwe straty; ciała poległych pokryją plaże i góry wysp. Japoński żołnierz będzie trwał, walczył i ginął. Tą najwyższą ofiarą zapewni sobie przyszłe życie.

I nagle żołnierze dowiedzieli się o podłej zdradzie tchórzliwych polityków, którzy ośmielili się zmusić ich cesarza, aby odczytał proklamację do narodu.

Od wczesnych godzin rannych marszową muzykę, nadawaną przez rozgłośnię radiową, przerywał powtarzany wielokrotnie komunikat: "Dzisiaj w południe odczytane zostanie oświadczenie niezwykłej wagi. Prosimy wszystkich słuchaczy o powstanie. ..". W południe ludzie przy radioodbiornikach mieli usłyszeć po raz pierwszy w dwutysiącletniej historii tego dumnego kraju głos boskiego Showa-tenno, znanego reszcie świata jako Hirohito, cesarz Japonii. To nie powinno się stać. To nie może się stać - nie wolno dopuścić, aby głos tenno został splugawiony. Okrzyk gniewu wyrwał się z ust młodych oficerów, którzy przysięgali przestrzegać uświęconych tradycji bushido, kodeksu honorowego samurajów. Przede wszystkim należy oczyścić Japonię z wrogów wewnętrznych - a wówczas nastanie dla Japonii dzień, który całkowicie zmieni przyszłość kraju. Gdy dochodziło południe, wszyscy Japończycy skupili się przy radioodbiornikach - w wioskach, w okopach, w schronach, w szkołach, pośród ruin zbombardowanych miast. Punktualnie o 12.00 ludzie wstali. Jedynym człowiekiem,

który tego nie uczynił, był sam cesarz. Siedział z pochyloną głową w schronie przeciwlotniczym, w otoczeniu najbliższych doradców. Wszędzie, od Tokio do Osaki, od Czungkingu do Moskwy, Londynu i Waszyngtonu, cały świat nastrajał się na częstotliwość japońskiej rozgłośni radiowej. Najpierw rozległy się trzaski, a potem popłynął w eter głos spikera: "Tu Radio Japonia. Nadajemy wiadomość niezwykłej wagi".

Po krótkiej chwili ciszy rozległ się nagrany na płytę wysoki głos: "Do naszych dobrych i wiernych poddanych. Po starannym rozważeniu ogólnych tendencji światowych oraz warunków, jakie panują dzisiaj w naszym cesarstwie, postanowiliśmy zastosować nadzwyczajne środki 15 sierpnia 1945 roku był najdłuższym dniem w dziejach Japonii.

W VII wieku p.n.e. zstąpił z nieba półbóg, potomek Amaterasu, bogini słońca. Nazywał się Jinmu Tenno i położył podwaliny pod Cesarstwo Wschodzącego Słońca. Jego dynastia miała trwać 2600 lat. Każdy następny bóg-cesarz był uważany za istotę nadludzką, przewyższającą wszystkie żyjące na ziemi stworzenia. Żaden śmiertelnik nie śmiał podnieść wzroku i spojrzeć w jego niebiańską twarz, ponieważ naraziłby się na wypalenie oczu, jeśli nie przez słońce, to przez cesarskich gwardzistów.

Cofając się w przeszłość, a początki dynastii cesarskiej sięgają bardzo dalekich czasów, nie znajdziemy żadnych wizerunków tych boskich istot, żadnych malowideł ani rzeźbionych w kamieniu posągów. Kiedy mnich Kobo-daishi wprowadził rewolucyjną ideę, religię sintoizmu, pojawiła się kasta rycerzy-mnichów, którzy żyjąc według niezłomnych zasad kodeksu bushido "gotowi byli umrzeć na spalonej ziemi lub na wzburzonym morzu". Nazywali się samurajami. Wraz z ich rosnącym wpływem władza cesarza ograniczyła się do roli czysto ceremonialnej. Podczas gdy na dworze w Heian-kyo (Kioto) panowali kolejni słabi i nieudolni władcy, panowie-wojownicy sprawowali udzielne rządy w shoen (prowincjach). Były to niespokojne czasy. W latach 823-1338 na

cesarskim tronie zasiadało 43 władców, z których 23 abdykowało lub zostało zamordowanych, najczęściej przez członków własnej rodziny, a trzej zostali obaleni. Wojowniczy klan Fujiwara stworzył potężną bazę w Kamakura. Doprowadziło to dwuwładzy boskiego cesarza i jego dowódcy wojskowego -szogunai.

W "czarnym 1281 roku" nad Japonią zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Mongolski chan Kubilaj wysłał potężną flotę, aby podbić łańcuch wysp u wybrzeży Chin. Kiedy okręty zbliżały się do wybrzeży Japonii, a wojska chana Kubilaja przygotowywały się do zejścia na ląd, zerwał się tajfun i mongolska armada zatonęła. Japończycy podziękowali bogom za cudowne ocalenie i nazwali tajfun kamikaze - "boskim wiatrem". Nikt więcej nie próbował inwazji aż do dnia, kiedy latem 1945 roku na wyspach miały wylądować armie alianckie.

W połowie XIX wieku na Pacyfiku pojawiła się nowa obca potęga: Stany Zjednoczone Ameryki wysyłały statki do wybrzeży japońskich pod pretekstem połowu wielorybów. Aby umocnić swoją pozycję na morzach w obliczu dominacji brytyjskiej, Stany Zjednoczone potrzebowały silnej floty i zagranicznego kotwicowiska. W ten

sposób wkroczył na scenę komandor Matthew C. Perry ze swymi "czarnymi okrętami". W lutym 1854 roku trzy amerykańskie fregaty parowe i pięć okrętów liniowych wpłynęło do Zatoki Tokijskiej i wycelowało działa w miasto. W tym czasie amerykański konsul Townsend Harris "przekonał" szoguna, aby podpisał traktat w Kanagawa, który otwierał trzy porty dla amerykańskich kupców. Oburzeni upokarzającym traktatem "młodzi oficerowie"2 zawiązali spisek i obalili "zdradzieckiego szoguna". Był to koniec szogunatu. Młody cesarz Meiji poprowadził kraj z trzytysiącletnią azjatycką przeszłością w europejską przyszłość. Powstały zagraniczne misje handlowe, dzięki którym Japończycy mogli poznać zachodnią wiedzę. Przy tym wszystkim Japonia zachowała swą starożytną kulturę. Meiji okazał się zręcznym politykiem, umiejącym korzystać z nadarzającej się okazji. Gdy w 1900 roku chińska cesarzowa Cy-si znalazła się w trudnej sytuacji z powodu antycudzoziemskiej rebelii, znanej jako "powstanie bokserów"3, Japonia wykorzystała ten pretekst, by dokonać inwazji na Chiny. Cztery lata później Rosja i Japonia znalazły się w stanie wojny, kiedy Rosja próbowała zdobyć niezamarzający zimą port. W 1905 roku admirał Heihachiro Togo pokonał flotę rosyjską w Cieśninie Cuszimskiej. W tym samym roku, w samobójczym ataku frontalnym, japońscy żołnierze zdobyli Port Artur, a następnie wkroczyli do Korei. Amerykański prezydent Theodore Roosevelt zainicjował negocjacje pokojowe pomiędzy carską Rosją a cesarską Japonią, co przyniosło mu Pokojową Nagrodę Nobla. Japonia stała się największą potęgą morską i lądową na Dalekim Wschodzie. Podczas I wojny światowej cesarz przyłączył się do aliantów i zaanektował niemieckie posiadłości w Chinach.

Meiji zmodernizował japońską armię i przekształcił ją w groźne narzędzie władzy cesarskiej. To posunięcie przyczyniło się do powstania nowej kasty rządzącej, zawodowych wojskowych. Chociaż powstały układ funkcjonował dobrze za rządów silnego władcy, takiego jak Meiji, okazał się poważną przeszkodą dla

słabego, takiego jak jego syn Yoshihito, znany jako Taisho. Gdy Japonia przeżywała gwałtowny wzrost ekonomiczny, na scenie politycznej sprawy nie układały się najlepiej. Cesarzowi Taisho brakowało siły charakteru jego ojca. Nowa kasta wojskowa wykorzystała to jako pretekst do sięgnięcia po władzę, co wypaczyło system demokratyczny, który wprowadził Meiji, uwikłało kraj w szereg konfliktów i spowodowało represje polityczne. Premier Takashi Hara, który odważył się przeciwstawić armii, został zamordowany, a generał Hisaichi Terauchi zaangażował swoje wojska w lekkomyślną politycznie awanturę, nieudaną inwazję na radziecką Syberię. W 1921 roku syn Taisho, Hirohito, przejął skutecznie kontrolę nad sprawami państwa, a w 1926 roku wstąpił na tron pod imieniem Showa, co znaczyło "oświecony pokój". Wybór imienia Hirohito wyjaśnił w swym orędziu koronacyjnym, które odczytano narodowi i armii: "Odwiedziłem pola bitewne wielkiej wojny we Francji. W obliczu dokonywanych tam zniszczeń zrozumiałem błogosławieństwo pokoju i potrzebę zgody pomiędzy narodami".

Jego panowanie rozpoczęło się od globalnej katastrofy gospodarczej. Wielki Kryzys,

zapoczątkowany krachem na giełdzie w 1929 roku, nie ominął Japonii. Bez surowców naturalnych i z niewielkim areałem ziemi ornej do wykarmienia powiększającej się gwałtownie populacji stała się ona jednym z najciężej dotkniętych krajów. Masy wyszły na ulice z żądaniem "polityki godności narodowej". Japońscy militaryści

wszędzie widzieli czerwone zagrożenie i szukali sposobu na odwrócenie uwagi narodu od problemów wewnętrznych. Znaleźli go w Mandżurii. Japoński imperializm rozpoczął swój długi marsz, zakończony dopiero w sierpniu 1945 roku.

Hirohito, czczony przez swój naród jako wojownik-bóg-cesarz, był w rzeczywistości spokojnym człowiekiem, który stronił od blasku życia publicznego, nie pił, nie palił, a jadł najchętniej posiłek składający się z czarnego chleba, warzyw i wodnistej zupy. Po porannych modlitwach w świątyni Kashiko odbywał przechadzki po pałacowym ogrodzie, a potem zabierał się do czytania codziennych gazet. Rzadko opuszczał kompleks pałacu cesarskiego. Mówił cichym głosem, co jego dowódcy wojskowi uznawali za słabość. W teorii wszyscy generałowie odpowiadali przed cesarzem, ale w praktyce każdy z nich robił to, co chciał. O polityce zagranicznej decydowała japońska armia, a nie cesarz.

18 września 1931 roku stacjonująca w Korei potężna japońska Armia Kwantuńska przystąpiła do działań wojennych, aby "powstrzymać postępy komunizmu". Chcąc usprawiedliwić agresję, japońskie dowództwo zaaranżowało akt sabotażu na torach znajdującej się pod zarządem japońskim Kolei Południowo-Mandżurskiej4. Japończycy złamali słaby opór nielicznych obrońców i szybko zajęli miasto Mukden, wkraczając do Mandżurii. Wiadomość o tym nagłym ataku wstrząsnęła cesarzem, który wezwał premiera Tsuyoshi Inukai i powiedział: "Wierzymy, że międzynarodowa sprawiedliwość jest ważna dla naszego kraju. Dążymy do światowego pokoju, ale Nasze wojska za morzem nie wypełniają Naszych rozkazów, lekkomyślnie wykorzystując byle incydent". Rozkazał dowódcy Armii Kwantuńskiej, generałowi Kanaya Hanzo, by powstrzymał swoje wojska przed dalszymi aktami agresji. Armia jednak kontynuowała natarcie. Świadczyło to o potędze generałów, którzy, udając lojalność wobec boskiego cesarza, lekceważyli jego polecenia.

W maju 1932 roku gabinet premiera Inukai próbował ograniczyć wszechwładzę armii. Premier został zastrzelony przez oficerów. Szef sztabu wojsk lądowych, generał-porucznik Sadao Haraki, stwierdził bez ogródek: "Trzeba było spacyfikować polityków". Nie skończyło się na jednym morderstwie. O świcie 26 lutego 1936 roku grupa "młodych oficerów", wspierana przez 2000 żołnierzy, zaatakowała

dzielnicę rządową w Tokio. Na szczęście dla Japonii i jej cesarza spiskowcy po opanowaniu rozgłośni radiowej i budynków rządowych, po zastrzeleniu kilku ministrów nie mieli pojęcia, co robić dalej. Opuścili zajęte obiekty i wrócili do koszar. Zamach wojskowy

wywołał powszechną konsternację. Niemiecki ambasador w Tokio zatelefonował do doktora Richarda Sorgego, aby wyjaśnił mu znaczenie puczu. Ten sam Richard Sorge, as radzieckiego wywiadu, zawiadomił w 1941 roku Kreml, że Japonia nie zaatakuje Syberii.

7 lipca 1937 roku rozwój wydarzeń doprowadził wreszcie do konfliktu, którego tak obawiał się cesarz, a w który miały się zaangażować największe mocarstwa. Dowódca japońskiej 1. Dywizji Piechoty, stacjonującej w pobliżu chińskiego miasta Wanping, rozkazał chińskiemu komendantowi otworzyć bramy, aby umożliwić "poszukiwania japońskiego dezertera". Gdy Chińczycy odmówili, japońska artyleria obróciła Wanping w perzynę i rozpoczęła się niewypowiedziana wojna z Chinami. Cesarz Hirohito udzielił swoim generałom ostrej reprymendy: "Bez mojego wyraźnego rozkazu

nie wolno wam ruszyć ani jednego żołnierza". Tak jak wcześniej, wojskowi zlekceważyli cesarski rozkaz, a nowy rząd, złożony tym razem z wojowniczych generałów i militarystów, zignorował protesty Zachodu. Na początku grudnia światowa opinia publiczna doznała kolejnego wstrząsu, kiedy wojska japońskie wkroczyły do Nankinu i dokonały rzezi tysięcy bezbronnych mieszkańców. Tego samego dnia eskadra japońskich bombowców zaatakowała amerykańską kanonierke "Panay" stojącą na kotwicy na rzece Jangcy. Trafiona kilkoma bombami kanonierka zaczęła tonąć. Pierwszy oficer, raniony w krtań, nabazgrał kredą rozkaz opuszczenia okrętu. Kiedy załoga płynęła do brzegu w łodziach ratunkowych, samoloty zawróciły i ostrzelały je z karabinów maszynowych. Trzech Amerykanów zginęło.

Można było odnieść wrażenie, że japońscy generałowie ze wszystkich sił chcą wciągnąć Stany Zjednoczone do wojny w Azji.

Japończycy posuwali się w głąb Chin. Szanghaj, Wuhan, Kanton i Pekin padły. Podczas bitwy o Szanghaj zginęło 250 000 źle odżywionych i słabo uzbrojonych chińskich poborowych. Mimo to Chińczycy okazywali niewiarygodną zdolność do stawiania oporu, zwłaszcza gdy nacjonaliści i komuniści połączyli siły, by utworzyć jednolity front przeciwko wspólnemu wrogowi. Ten sojusz zupełnie nie pasował do scenariusza krajów Zachodu i Liga Narodów udzieliła Japonii ostrzeżenia. Jednak Europa była w tym czasie zajęta przede wszystkim swoimi sprawami, ponieważ faszyzm odnosił spektakularne sukcesy, a w Hiszpanii toczyła się wojna domowa. W 1938 roku, mając rozwiązane ręce, wojska japońskie przecięły kontrolowaną przez Brytyjczyków linię kolejową z Kantonu do wnętrza Chin. Aby przełamać blokadę, Brytyjczycy rozpoczęli jedno z najambitniejszych przedsięwzięć w dziedzinie komunikacji - budowę słynnej Drogi Birmańskiej. W 1939 roku mocarstwa zachodnie straciły zainteresowanie Chinami, ponieważ w sierpniu tego roku Hitler zawarł 10-letni pakt o nieagresji ze Stalinem. Tydzień później Hitler zaatakował Polskę, rozpoczynając II wojnę światową. We wrześniu 1940 roku Japonia podpisała Pakt Trójstronny z Niemcami i Włochami, a następnie zaskoczyła swoich sojuszników, zawierając pakt o nieagresji ze Związkiem Radzieckim. Japonia potrzebowała gwarancji bezpieczeństwa dla swojej granicy północnej (Syberia-Mandżuria), gdyż dzięki temu mogła zwrócić się na południe i podbić resztę Chin. 12 lipca 1941 roku 50 000 żołnierzy japońskich wylądowało w Indochinach Francuskich (obecnie Wietnam) i ogłosiło ten obszar japońskim "protektoratem". Stany Zjednoczone patrzyły na to spokojnie, ograniczając się do wystosowania noty protestacyjnej, którą Japonia zignorowała. 25 lipca 1941 roku prezydent Franklin D. Roosevelt nałożył wreszcie embargo na paliwo wysokooktanowe, niezbędne japońskim siłom powietrznym. Sankcja okazała się bardzo dotkliwa dla cesarskiej machiny wojennej. Japonia nie mogła ugiąć się pod obcym naciskiem. Skoro Ameryka nie chciała dostarczać paliwa potrzebnego Japonii do dalszej

ekspansji, należało zająć holenderskie szyby naftowe w Indonezji. Jednak zdobycie holenderskich złóż ropy wymagało opanowania Hongkongu i Singapuru, pereł korony angielskiej, co musiało doprowadzić do konfliktu z wielką potęgą przemysłową po drugiej stronie Pacyfiku. Pod koniec lata Japonia spróbowała rozwiązania dyplomatycznego, proponując Stanom Zjednoczonym "pokojowe współistnienie w strefie Wielkiej Azji Wschodniej". Waszyngton kategorycznie odrzucił propozycję japońską.

154

We wrześniu 1941 roku szef sztabu cesarskiej marynarki wojennej, admirał Osami Nagano, oświadczył cesarzowi: "Musimy zdecydować się na wojnę, nasze zapasy ropy się kurczą". A następnie obiecał swemu boskiemu władcy, że potężna cesarska flota i armia podbiją cały południowy Pacyfik w ciągu trzech miesięcy. Przepowiednie admirała okazały się trafne. Nagano nie przewidział jednak natychmiastowej reakcji Stanów Zjednoczonych. Cesarz odbył prywatną rozmowę z najbardziej rozsądnym spośród japońskich strategów, admirałem Isoroku Yamamoto. "Wasza Cesarska Mość, skoro rozkażesz mi przystąpić do działań wojennych, wykonam rozkaz i będę walczył zażarcie przez sześć miesięcy. Jeśli jednak wojna się przedłuży, nie mogę zagwarantować zwycięstwa. Moja rada: unikajmy wojny ze Stanami Zjednoczonymi".

Generał Hideki Tojo, nowy premier, był wojowniczym militarystą, chociaż uważano powszechnie, że zdoła powstrzymać armię przed uwikłaniem się w otwarty konflikt ze Stanami Zjednoczonymi, 10 listopada 1941 roku amerykański prezydent oznajmił narodowi: "Wojna zbliża się do naszych drzwi". Mimo to nie uczyniono nic, by postawić amerykańskie siły zbrojne w stan gotowości. Podjęta w ostatniej chwili przez "frakcję pokojową" próba doprowadzenia do bezpośredniego spotkania pomiędzy cesarzem Hirohito a prezydentem zawiodła, kiedy Waszyngton popełnił gafę, uznaną za "zniewagę Boskiego Majestatu". Doprowadziło to do wymiany ostrych not, a generał Tojo i japoński sztab generalny zdecydowali,

że wojna jest nieunikniona. Taki krok wymagał jednak zgody cesarza, a Jego Wysokość był przeciwny wojnie z Ameryką.

W listopadzie przeprowadzono ćwiczenia tak tajne, że nie wiedział o nich nawet cesarz Hirohito. Statek "Taiyo Maru" z dwoma oficerami marynarki na pokładzie, kapitanem Suzuki i kapitanem Maejimą, przepłynął planowaną trasą ataku i zawinął do Honolulu. Przez kilka dni obaj oficerowie obserwowali ruch okrętów w Pearl Harbor i sporządzili szkic kotwicowiska amerykańskiej Floty Pacyfiku.

1 grudnia 1941 roku Tojo i jego gabinet, złożony wyłącznie z wojskowych, poinformowali cesarza, iż nie może odwlekać dłużej swojej zgody na atak bez poważnego zagrożenia bezpieczeństwa Japonii. Tojo miał na myśli kurczące się rezerwy paliwa dla marynarki wojennej i sił powietrznych. Tak czy inaczej było już za późno na zmianę planów, ponieważ, bez wiedzy cesarza, odpowiednie kroki zostały podjęte. Tydzień przed tym, nim zebrała się rada cesarska, by rozstrzygnąć tę kwestię, cesarska flota wymknęła się niepostrzeżenie z baz na Wyspach Kurylskich i wyruszyła w długą drogę ku wojnie światowej. Dowodzona przez wiceadmirała Chuichi Nagumo potężna armada lotniskowców, pancerników, krążowników i tankowców przebyła nie wykryta 5600-kilometrową trasę. Operację opatrzono kryptonimem "Kurai Tani-ma" - "Mroczna Dolina"; celem była amerykańska Flota Pacyfiku w Pearl Harbor.

Premier Tojo przedstawił wahającemu się cesarzowi nieubłagane fakty: "Wasza Cesarska Mość, nasza flota jest już w drodze".

Zdecydowany przeciwnik wojny ze Stanami Zjednoczonymi, admirał Yamamoto, poparł tym razem premiera Tojo: "Jeśli mam nadal dowodzić cesarską flotą, należy uderzyć właśnie teraz". Wmanewrowany w sytuację bez wyjścia przez ludzi, którzy działali w jego imieniu, Showa-tenno zatwierdził wreszcie decyzję o przystąpieniu do wojny i świat stanął w obliczu katastrofy

o rozmiarach, jakich nie widział dotąd rodzaj ludzki. Termin uderzenia wyznaczono na niedzielę 7 grudnia 1941 roku.

155

Waszyngton zdawał sobie sprawę, że Japonia rozpaczliwie potrzebuje ropy i innych surowców strategicznych, i dlatego właśnie amerykańscy analitycy, przewidując prawdopodobne cele japońskiego ataku, wskazywali miejsca odległe od posiadłości Stanów Zjednoczonych. Trafnie zidentyfikowali brytyjskie Malaje i Holenderskie Indie Wschodnie, ale nie wzięli pod uwagę Hawajów i Filipin. Dochodzi do tego jeszcze jeden czynnik, który nigdy nie doczekał się dostatecznego wyjaśnienia. W ramach operacji opatrzonej kryptonimem "Czary" amerykański kryptoanalityk, pułkownik William Friedman, złamał za pomocą maszyny deszyfrującej cesarski szyfr dyplomatyczny. W sobotę 6 grudnia 1941 roku, 24 godziny przed atakiem, szyfrantka wywiadu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w Honolulu, Dorothy Edgers, wpadła do gabinetu swego przełożonego, mówiąc, że właśnie przechwyciła japońską depeszę, z której wynikało, iż niebawem nastąpi atak na Hawaje. Przełożony kazał jej zaczekać z tym do poniedziałku. Kilka godzin później szef sztabu amerykańskich wojsk lądowych, generał George Marshall, otrzymał inną zaszyfrowaną wiadomość. Podjął natychmiastowe działania i wysłał ostrzeżenie do amerykańskich baz na całym świecie. Los pokrzyżował mu jednak szyki, ponieważ złe warunki atmosferyczne uniemożliwiły łączność radiową z bazą amerykańskiej Floty Pacyfiku w Pearl Harbor.

Na pokładzie okrętu flagowego "Akagi" admirał cesarskiej floty Yamamoto siedział przy swoim biurku i układał poemat: "Moim jedynym życzeniem jest służyć Cesarzowi jako tarcza - nie będę w tym celu szczędził życia". Japońska flota pruła wzburzone fale zaledwie 230 mil na północ od wyspy Oahu na Hawajach. Samoloty szturmowe z podczepionymi bombami i torpedami stały na pokładach sześciu potężnych lotniskowców; piloci zajęli miejsca w

kokpitach. Ryknęły silniki. O godzinie 7.55 w niedzielę 7 grudnia 1941 roku komandor Misuo Fuchida, dowódca pierwszej fali uderzeniowej 183 japońskich samolotów, wydał słynny rozkaz do ataku: "Tom! Tora! Tora! "s i rozpoczęła się wojna na Pacyfiku. Pancernik USS "West Virginia" został trafiony sześcioma torpedami, "Oklahoma" pięcioma, "California" dwiema, podobnie jak "Utah". Trafione zostały również "Tennessee", "Maryland", "Pennsylvania" i "Nevada". Na pancerniku "Arizona" eksplodowała amunicja i okręt zatonął wraz z całą załogą. Z wyspy Ford nadano depeszę:

ATAK LOTNICZY NA PEARL HARBOR - TO NIE ĆWICZENIA, POWTARZAM, TO NIE ĆWICZENIA!

Tysiące mil dalej, w ambasadzie japońskiej w Waszyngtonie, panowało zamieszanie. Ambasadorowi przekazano szyfrem tekst wypowiedzenia wojny, które miał wręczyć osobiście amerykańskiemu sekretarzowi stanu godzinę przed atakiem. Sekretarz, który tłumaczył tekst na angielski, nigdy przedtem nie korzystał z maszyny do pisania z zachodnią czcionką; spowodowało to zwłokę i wypowiedzenie wojny zostało doręczone godzinę po rozpoczęciu nalotu na Pearl Harbor.

Przemówienie o "dniu hańby", wygłoszone w Kongresie przez prezydenta, było wstępem do zrzucenia bomby atomowej.

Na Filipinach lotnictwo japońskie zniszczyło na ziemi większość amerykańskich samolotów. Dwa dni później dobiegła końca era pancerników, kiedy dwa brytyjskie okręty tej klasy, "Prince of Wales" i "Repulse", zostały zatopione przez startujące z lądu samoloty. Japończycy zdobyli Hongkong, później Singapur i Filipiny. Nic nie

mogło powstrzymać cesarskiej machiny wojennej przetaczającej się przez Pacyfik. W Japonii nawet dzieci szkolne świętowały kolejne zwycięstwa, wymachując na ulicach chorągiewkami. Kraj

ogarnęła euforia, a tymczasem nad Waszyngtonem zawisło widmo klęski. Kiedy przygnębienie sięgało zenitu, prezydent podpisał Rozkaz Operacyjny nr 9066, który dawał wojsku prawo aresztowania 127 000 Amerykanów japońskiego pochodzenia i internowania ich w 10 obozach.

Ale w Japonii też nie działo się dobrze. Sztab generalny stanął w obliczu poważnych problemów. Przede wszystkim, jak zapewnić obronę zajmującemu ogromny obszar cesarstwu, a jednocześnie zawrzeć pokój ze Stanami Zjednoczonymi, zanim potężny amerykański przemysł zacznie pracować na pełnych obrotach. Linie zaopatrzeniowe zbyt się rozciągnęły, japońska armia utknęła pod Kohimą, a chluba marynarki wojennej, cztery wielkie lotniskowce, zostały zatopione przez amerykańskie samoloty pod Midway. 18 miesięcy po Pearl Harbor Japonia zaczęła przegrywać wojnę. Amerykański przemysł ciężki dokonywał cudów, a naukowcy pracowali nad ściśle tajnym przedsięwzięciem, "Projektem Manhattan".

Na północ od Santa Fe w Nowym Meksyku, w Górach Skalistych, znajduje się równina, którą hiszpańscy konkwistadorzy nazwali Los Alamos. Powstał tu pierwszy na świecie zakład rozszczepiania plutonu, zatrudniający fizyków, chemików i matematyków z całej kuli ziemskiej. Fizyka nuklearna stała się ich pasją, chociaż niektórzy, jak na przykład Jacob Robert Oppenheimer, nie mogli wyzbyć się obaw co do konsekwencji swojej pracy6. Pewnego razu ledwie uniknęli tragedii. Louis Slatin, kanadyjski naukowiec, zapobiegł przypadkowej reakcji łańcuchowej, rozdzielając gołymi rękami dwa fragmenty masy krytycznej. Stał się pierwszą znaną ofiarą nowej śmiertelnej choroby wywołanej promieniowaniem radioaktywnym.

W 1944 roku wojska generała MacArthura zdobywały kolejne wyspy na południowo-zachodnim Pacyfiku. Japońska marynarka wojenna poniosła druzgocącą klęskę w zatoce Leyte, tracąc cztery pancerniki, pięć lotniskowców i 60 innych okrętów, a ponadto 7000 samolotów wraz z pilotami. Premiera Tojo zastąpił admirał Kantaro

Suzuki. Na Iwo Jimie pozostali przy życiu obrońcy zebrali się w bunkrze wokół swego dowódcy, generała Kuribayashiego, i wysadzili się w powietrze. Japonia powierzyła swoją obronę bohaterskim, lecz słabo wyszkolonym młokosom, "pilotom boskiego wiatru", kamikaze. Ich motto brzmiało: "Czyste trafienie, czysta śmierć". Sformowano z nich elitarny korpus pod dowództwem admirała Takajiro Onishiego. W pierwszym ataku trafili lotniskowce "Saratoga" i "Bismarck Sea", zabijając 500 amerykańskich marynarzy. Ogółem kamikaze zatopili bądź uszkodzili 300 amerykańskich okrętów. Jednak nic nie mogło powstrzymać alianckiej nawałnicy, która zbliżała się do brzegów Japonii.

Nocą z 9 na 10 marca 1945 roku generał lotnictwa Curtis LeMay posłał do ataku na Tokio 279 ogromnych bombowców B-29 z nową bronią, bombami napalmowymi M-69. Mieszkańcy Tokio zignorowali syreny przeciwlotnicze i pozostali w swych drewnianych domach. Dwa pierwsze samoloty oznaczyły centrum miasta płonącą literą X, a następnie kolejne fale bombowców zrzuciły 1900 ton napalmu, galaretowatej mieszanki kauczuku i benzyny. Spowodowało to ognistą burzę, która osiągnęła temperaturę 1800° C i trwała cztery dni. W wyniku nalotu zginęło 80000 ludzi, ponad 1000000

straciło dach nad głową, a czwarta część miasta zamieniła się w dymiące popioły. Superpancernik "Yamato" wypłynął w samobójczą misję i został zniszczony. Wokół wysp krążyły amerykańskie okręty podwodne, które w zatopionym tonażu znacznie prześcignęły niemieckie U-Booty.

21 czerwca 1945 roku w rękach amerykańskich znalazła się Okinawa. Spośród 120 000 japońskich obrońców przeżyło zaledwie 7000. Ich dowódca, generał Misturi Ushijama, i wszyscy oficerowie jego sztabu popełnili seppuku. Następnego dnia cesarz Hirohito zwołał Najwyższą Radę Wojenną i zaproponował

natychmiastowe zawieszenie broni oraz negocjacje pokojowe z nieprzyjacielem.

Frakcja wojskowych z ministrem wojny, generałem Korechiką Anamim, na czele upierała się przy kontynuowaniu beznadziejnej walki. Po upadku ostatnich ufortyfikowanych wysepek strzegących głównych wysp japońskich, Hokkaido, Kiusiu, Sikoku i Honsiu, Amerykanie zgromadzili gigantyczną flotę inwazyjną złożoną z 42 lotniskowców, 24 pancerników i 750 000 ludzi. W tym samym czasie rozpoczęto przygotowania do ściśle tajnej operacji i 509 Grupa 20. Floty Powietrznej Stanów Zjednoczonych została przerzucona na atol Tinian. 16 lipca 1945 roku o godzinie 5.25 zespół J. Roberta Oppenheimera zdetonował na pustynnym poligonie pierwszy ładunek nuklearny. Wielki naukowiec powiedział: "Stałem się śmiercią, niszczycielem światów"7. 26 lipca 1945 roku podczas konferencji w Poczdamie alianci zdecydowali, że Japonia musi zaakceptować bezwarunkową kapitulację albo czekają "całkowita i nieodwołalna zagłada". Nie powiedzieli, jakich środków zamierzają użyć, aby osiągnąć swój cel. Świat wkrótce się o tym dowiedział.

Perspektywa tego, co przyniesie najbliższa przyszłość, ciążyła Jego Cesarskiej Wysokości. Kraj, wydany na pastwę morderczych bombardowań, czekał straszny los. Wynik wojny był łatwy do przewidzenia. Pozostawało tylko pytanie, w jaki sposób Japonia zdoła ocalić swą integralność i honor wobec pewnej klęski. Tylko osoba cesarza mogła umocnić naród w obliczu nieuchronnej katastrofy, a jednocześnie ocalić kraj przed całkowitą anarchią. Cesarz podszedł do okna i popatrzył na niebo jarzące się czerwono ponad fosą, która oddzielała pałac cesarski od płonącego Tokio. Jak miał przekonać swoich dowódców, że zawieszenie broni, niezależnie od warunków podyktowanych przez wroga, to jedyny sposób ocalenia Japonii przed totalną zagładą?

27 lipca 1945 roku zebrała się Najwyższa Rada Wojenna, aby przedyskutować deklarację poczdamską z poprzedniego dnia.

Minister spraw zagranicznych Shigenori Togo oświadczył kategorycznie:

"Armia nigdy nie zaakceptuje deklaracji poczdamskiej w jej obecnym brzmieniu".

Wszyscy w pokoju czekali, jak zareaguje minister wojny, generał Korechika Anami. "Wystosujmy ostrą notę protestacyjną do aliantów" - powiedział.

"Nie - odparł premier Suzuki, a następnie wygłosił słynne zdanie: - Po prostu mokusatu [zabijemy milczeniem] ich deklarację".

Był to fatalny błąd, ponieważ Waszyngton uznał, iż żądania aliantów nie zostały potraktowane poważnie. Amerykański sekretarz stanu Henry Stimson oświadczył: "Musimy pokazać, że ultimatum oznacza całkowitą zagładę japońskich sił zbrojnych oraz kompletne zniszczenie kraju".

158

6 sierpnia 1945 roku o godzinie 2.45 amerykański bombowiec B-29 Superfortress "Enola Gay" oderwał się od pasa startowego na atolu Tinian. Jego pilotem był pułkownik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Paul W. Tibbets. Rozkaz, który otrzymał od generała lotnictwa Thomasa T. Handyego, został sformułowany bardzo wyraźnie: "...w zależności od warunków atmosferycznych zrzucić bombę specjalną na jeden z następujących celów: Kokura, Niigata, Hiroszima,

Nagasaki...". 6 sierpnia 1945 roku o godzinie 8.15 i 17 sekund świat wkroczył w erę nuklearną.

Drugi pilot "Enola Gay", kapitan Robert Lewis, zawołał: "Mój Boże, co myśmy zrobili!". Oślepiający błysk przesłonił trudną do przewidzenia przyszłość Japonii i zmienił reguły prowadzenia wojny.

Naukowcy stworzyli prometejskiego potwora i oddali w ręce człowieka ogień samego słońca.

Następnego dnia generał-porucznik Torashiro Kawabe, zastępca szefa sztabu generalnego, spełnił nieprzyjemny obowiązek, informując swego cesarza o zrzuceniu pojedynczej bomby o niesłychanej mocy, która starła z powierzchni ziemi całe miasto. Po otrzymaniu wiadomości cesarz oznajmił premierowi: "Wobec zastosowania nowego rodzaju broni Japonia nie może dalej prowadzić wojny". I dodał, że tragedia Hiroszimy nie może się powtórzyć. Premier Suzuki, który miał nadzieję skorzystać z mediacji Związku Radzieckiego, by doprowadzić konflikt na Pacyfiku do kompromisowego zakończenia, gorzko się rozczarował. 8 sierpnia 1945 roku Związek Radziecki wypowiedział wojnę Japonii i w ciągu trzech dni wojska radzieckie opanowały Mandżurię. Wstrząs był straszliwy, zwłaszcza że rankiem 9 sierpnia drugie japońskie miasto, Nagasaki, zostało unicestwione w płomieniu atomowej eksplozji. Cesarstwo Japonii nie miało innego wyboru, jak tylko zgodzić się na haniebną, bezwarunkową kapitulację. Mimo to armia nadal odmawiała złożenia broni: "Nie oddam swojego miecza" - oświadczył generał Yoshijiro Umezu8, który utrzymywał, że Japonia nie przegrała wojny. Z takich wypowiedzi wynikało jasno, iż armia woli zostać całkowicie zniszczona, niż haniebnie skapitulować.

We czwartek 9 sierpnia zebrał się rząd, aby zdecydować o losie Japonii. Minister marynarki, admirał Mitsumasa Yonai, stwierdził wprost: "Wojna jest przegrana, musimy więc zapomnieć o ratowaniu twarzy i skapitulować tak szybko, jak tylko to możliwe".

Minister wojny, generał Anami, gwałtownie zaprotestował: "Jeszcze za wcześnie mówić, że wojna jest przegrana. Nasze wojska nie złożą broni, wiedzą, że nie wolno im skapitulować. Nie pozostaje nam nic innego, jak kontynuować wojnę".

"Ale ta olbrzymia bomba...".

"To tylko zwykła bomba, być może trochę większa, ale wciąż tylko bomba-wtrącił generał Umezu. -Pamiętacie przypowieść o wojowniku, który uciekł, ponieważ wziął trzepot ptasich skrzydeł za tupot butów swoich wrogów?"

Aby przełamać upór kliki rządzącej, premier Suzuki zdecydował się na krok, na który nikt się wcześniej nie odważył: poprosił pokornie o nadzwyczajne posiedzenie gabinetu z udziałem Jego Cesarskiej Wysokości. W zwykłych okolicznościach Syn Niebios nigdy nie brał na siebie odpowiedzialności za decyzje polityczne, pozostawiał je swoim najbliższym doradcom. Tym razem było inaczej; tylko boska interwencja mogła rozwiązać problem i ocalić kraj. Aż do tej pory cesarz nie opowiadał się po 159 żadnej stronie, aprobował jedynie (w niektórych wypadkach niechętnie) decyzje rządu. Teraz jednak niezbędny był jego salomonowy wyrok.

9 sierpnia o północy Jego Cesarska Wysokość przeszedł ciemnym, wąskim korytarzem, który parował wilgocią w bladym świetle. Sala posiedzeń znajdowała się w bunkrze o suficie ze zbrojonego betonu i ścianach wykładanych ciemnym drewnem. Był słabo oświetlony i źle wentylowany w duszącym sierpniowym upale. Przy dwóch rzędach stołów pochylało głowy ze wzrokiem wbitym w podłogę 11 najwyższych doradców w oficjalnych porannych ubraniach lub świeżo odprasowanych mundurach. Baron Suzuki poprosił sekretarza gabinetu, by odczytał głośno deklarację poczdamską: "Japońscy militaryści doprowadzili Cesarstwo Japonii na skraj zagłady...". Tekst kończył się słowami: "Wzywamy rząd Japonii, aby ogłosił natychmiast bezwarunkową kapitulację wszystkich japońskich sił zbrojnych oraz złożył właściwe i stosowne gwarancje swoich szczerych intencji w takim działaniu. Alternatywą dla Japonii jest całkowite unicestwienie".

Po chwili milczenia cesarz skinął głową i premier poprosił ministra spraw zagranicznych, Shigenoriego Togo, aby zalecił natychmiastowe przyjęcie deklaracji poczdamskiej. Minister wojny, generał Anami, poderwał się, stając na baczność, jakby wszyscy występowali w

sztuce, w której on też chciał odegrać swoją rolę. "Wyniku bitwy o Japonię nie można przewidzieć, dopóki nie zostanie stoczona. Jeśli gabinet zgodzi się na kapitulację, doprowadzi to do sytuacji bez precedensu" - powiedział.

Premier pochylił się w stronę cesarza. "Potrzebna jest decyzja Waszej Cesarskiej Mości".

Nadeszła najtrudniejsza dla cesarza chwila. Następny krok będzie nieodwołalny i może oznaczać koniec boskiej dynastii, panującej nieprzerwanie od 2600 lat. Jego przodkowie zawsze uważali się za przedstawicieli absolutnej władzy, zarówno doczesnej, jak i wiecznej. Gdyby ugiął się przed żądaniem swoich sił zbrojnych w kwestii dalszego prowadzenia wojny, przekroczyłoby to ich możliwości i byłoby niezgodne z jego wolą. Decyzja miała wymiar moralny, a dla cesarza także filozoficzny. Ten drobny, kruchy mężczyzna odznaczał się ogromnym opanowaniem i odwagą, a w obliczu przeciwności losu nie stracił siły woli, której ćwiczeniu poświęcił całe życie. Tak, było inne wyjście. Stary system rządzenia cesarstwem może i dogorywał, ale jeszcze nie umarł. Japonia musi zostać odrodzona. Tylko tak może odzyskać miejsce, które jej się słusznie należy; tylko tak może wykorzystać okazję, którą zmarnowali generałowie, i stać się wiodącą siłą w Azji. W odrodzonej Japonii rząd będzie wypełniał wolę narodu, a nie wolę cesarza lub podżegających do wojny generałów. Dlatego należy działać szybko, aby zaszachować "frakcję wojenną". Liczyła się jego boska wola. Przez kilka minut słychać było jedynie ciężkie oddechy 12 ludzi. Potem w ciszy rozległ się spokojny głos cesarza: "Rozumie się samo przez się, że myśl o rozbrojeniu naszych dzielnych żołnierzy jest dla mnie nie do zniesienia. Jednak nadszedł czas, kiedy musimy znieść to, co jest nie do zniesienia". Nie wypowiedziawszy ani słowa więcej, przeszedł pomiędzy pochylonymi kornie głowami. Cesarz przemówił, a jego wola była wolą Boga.

Cesarz Hirohito zapewnił strażnika tajnej pieczęci, markiza Koichi Kido, że jego osobiste bezpieczeństwo nie ma znaczenia, gdy chodzi o ocalenie narodu, i że życzy 160 sobie, aby podjęto wszelkie kroki

niezbędne do podpisania natychmiastowej kapitulacji. Markiz doradził niesłychane posunięcie: radiowe orędzie cesarza do narodu. Hirohito zgodził się i jednocześnie poprosił ministra spraw zagranicznych Togo o wysłanie noty akceptującej alianckie żądania. Po czterech godzinach nota była gotowa i mogła zostać przekazana za pośrednictwem ambasadorów w Szwecji i Szwajcarii. Tekst głosił: "Rząd japoński jest gotów zaakceptować warunki wymienione we wspólnej deklaracji ogłoszonej w Poczdamie... z zastrzeżeniem, iż owa deklaracja nie zawiera żadnych warunków ograniczających prerogatywy Jego Wysokości jako suwerennego władcy".

W Japonii napięcie rosło, kiedy czekano na odpowiedź nieprzyjaciela. W Waszyngtonie sekretarz stanu Henry Stimson przekonywał usilnie prezydenta Trumana, że zachowanie powagi Cesarskiego Majestatu ułatwi kapitulację. W euforii pewnego zwycięstwa Departament Stanu dodał jednak do oficjalnego komunikatu nader niefortunne sformułowanie. Kiedy depesza dotarła do Tokio, żądanie wywołało wstrząs: "Cesarz i japońskie naczelne dowództwo będą musieli podpisać akt kapitulacji". Pewien znany historyk stwierdził:

"Niestety, amerykański prezydent i jego doradcy nie rozumieli Japonii. Tenno, Syn Niebios, był naczelnym wodzem sił zbrojnych i zarazem bogiem w oczach swego narodu, symbolem Japonii. Dlatego też nie mógł rozkazać swemu narodowi, aby skapitulował bezwarunkowo, a tym samym pozwolić, żeby jego poddani stali się zbrodniarzami wojennymi, których należy postawić przed sądem albo rozstrzelać na miejscu"9.

Ta dyplomatyczna gafa miała drogo kosztować Amerykanów. W efekcie doprowadziła do upadku cesarstwa i skłoniła japońską armię, zobowiązaną umrzeć za swego niebiańskiego władcę, do kontynuowania beznadziejnej walki o każde miasto, każdą ulicę, każdy dom. Tego samego wieczoru Radio Tokio nadało wystąpienie generała Anamiego: "Nie mamy innego wyboru: musimy walczyć dalej, ponieważ tylko nasza śmierć stworzy Japonii szansę przetrwania".

W tym samym czasie, gdy Radio Tokio ogłosiło, że nie będzie żadnej kapitulacji, miało miejsce inne, jeszcze bardziej znaczące wydarzenie. 15 młodych oficerówlO zebrało się w piwnicach Ministerstwa Wojny na wzgórzach Ichigaya, aby zdecydować, jakie kroki należy podjąć, ażeby ocalić nietykalność cesarza i święty honor cesarskich sił zbrojnych. Przywódcą spisku był fanatyczny major Kenji Hatanaka. Uwłaczające żądania, wysunięte przez Amerykanów pod adresem Syna Niebios, oburzyły go do głębi. Co więcej, nie mógł pozwolić, aby boski władca cierpiał zniewagi ze strony własnych ministrów, którzy zmuszali go do podpisania kapitulacji. Miał ogień w oczach, kiedy oświadczył: "Zdrajcy muszą odejść", po czym wymienił najważniejszych członków "frakcji pokojowej" w łonie rządu. Byli to: premier Suzuki, minister spraw zagranicznych Togo i strażnik tajnej pieczęci markiz Kido, który miał bezpośredni dostęp do Jego Boskiego Majestatu: ci trzej musieli zostać wyeliminowani natychmiast. Powodzenie spisku zależało od reakcji generała-porucznika Takeshiego Mori, który dowodził starannie wyselekcjonowaną gwardią cesarską i bez którego zgody nie mogliby wejść na teren pałacu. Gdyby Mori odmówił przystąpienia do spisku, on również musiałby zostać wyeliminowany. Spiskowcy zyskali cennego wspólnika w osobie majora Hidemase Kogi, przydzielonego w charakterze oficera 161

sztabowego do Cesarskiej Dywizji Gwardii. Co więcej, Koga był zięciem usuniętego niedawno ze stanowiska premiera, generała Hideki Tojo, który nadal posiadał ogromne wpływy w kręgach wojskowych. Koga, podobnie jak Hatanaka i miliony innych Japończyków, dowiedział się o "podłej zdradzie kliki politykierów" z ulotek zrzucanych przez amerykańskie samoloty i zawierających pełny tekst japońskiej noty kapitulacyjnej.

Amerykanie zrzucali te ulotki w dobrej wierze, aby powstrzymać dalszy rozlew krwi, ale dla przeciętnego Japończyka było nie do pomyślenia, że jego boski cesarz mógłby ukorzyć się przed wrogiem. Markiz Kido pokazał jedną z ulotek cesarzowi i ostrzegł go:

- Musimy działać szybko, bo inaczej dojdzie do niepokojów w armii.

Cesarz zgodził się z nim. Polecił przygotować nagranie wystąpienia radiowego i rozkazał, aby premier Suzuki zwołał kolejne posiedzenie rady cesarskiej. Na posiedzeniu oznajmił swoim ministrom i dowódcom, a wszyscy oni mieli łzy w oczach, że postanowił zwrócić się do narodu.

- Nie dbam o to, co może stać się ze mną - powiedział spokojnym głosem. - Jest moim życzeniem, aby gabinet przy gotował reskrypt cesarski i ogłosił zakończenie wojny.

Generał Anami wezwał do pałacu generała-porucznika Mori i powiadomił go o decyzji cesarza. Dowódca gwardii cesarskiej odparł:

- A zatem musimy być posłuszni.

Tym samym wydał na siebie wyrok śmierci. Następnie Anami wysłał depeszę do wszystkich jednostek wojskowych:

MINISTERSTWO WOJNY, 14 SIERPNIA, GODZ. 14.30. WOJSKA CESARSKIE BĘDĄ DZIAŁAŁY ZGODNIE Z ROZPORZĄDZENIEM JEGO WYSOKOŚCI CESARZA. (PODPISANO) GENERAŁ ANAMI.

Minister wojny zdecydował, po której stronie się opowiedzieć. Dowódca Armii Wschodniej, generał Shizuichi Tanaka, wydał natychmiast podobny rozkaz:

14 SIERPNIA. WOJSKA CESARSKIE BĘDĄ DZIAŁAŁY ZGODNIE Z WOLĄ CESARZA. (PODPISANO) GENERAŁ TANAKA. Major Hatanaka uznał, że nie ma czasu do stracenia, i postanowił działać. Skontaktował się ze swym oddanym stronnikiem, podpułkownikiem Masataką Idą z Wydziału Spraw Wojskowych.

Ida wahał się: "Nie, Hatanaka, ogień, który polano wodą, już nie zapłonie". Hatanaka nie dał się zniechęcić. W towarzystwie

podpułkownika Takeshiego Shiizaki pojechał na rowerze przez Tokio do sztabu Cesarskiej Dywizji Gwardii. Obawiał się, że kiedy Jego Wysokość odczyta reskrypt cesarski, będzie już za późno.

Gdy dotarli do pułkownika Toyojiro Hagi, dowódcy 2. Batalionu Cesarskiej Dywizji Gwardii, major Hatanaka postawił wszystko na jedną kartę.

- Minister wojny [Anami], dowódca Armii Wschodniej [Tanaka] i dowódca gwardii cesarskiej [Mori] popierają przewrót - skłamał. Pułkownik Haga nie wahał się długo. W drodze powrotnej do sztabu armii podpułkownik Shiizaki spytał:

- A jeśli Mori zdezawuuje twój bluff i nie da nam zielonego światła?

Hatanaka odparł:

- Zrobi to.

-A jeśli nie?

- Wtedy będziemy musieli go zabić - powiedział Hatanaka z ogniem w oczach. O północy cesarz Hirohito, ubrany w generalski mundur, zjawił się w Ministerstwie Dworu Cesarskiego, gdzie czekała już ekipa radiowa, by nagrać jego orędzie do narodu.

- Do naszych dobrych i wiernych poddanych - zaczął. - Po starannym rozważeniu ogólnych tendencji światowych oraz warunków, jakie panują dzisiaj w naszym cesarstwie, postanowiliśmy zastosować nadzwyczajne środki... - Westchnął, a następnie wygłosił zdanie, które zadecydowało o przyszłym kursie Japonii. - Zjednoczcie wszystkie siły, aby poświęcić je budowaniu przyszłości.

Kultywujcie uczciwość, łączcie szlachetność ducha i pracy ze zdecydowaniem, abyście mogli pomnażać wieczną chwałę Cesarstwa

i dotrzymać kroku rozwijającemu się światu. - Miały to być prorocze słowa.

Nagranie przekazano dwóm cesarskim szambelanom, Tokugawie i Todzie, którzy mieli przechować płytę. Tokugawa umieścił ją w prywatnym sejfie, a następnie położył na niej plik papierów, aby nie rzucała się w oczy. Nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób ocali nagranie przed zniszczeniem.

Po sesji nagraniowej minister informacji Shinomura wydał westchnienie ulgi:

- Cesarz nagrał swoje wystąpienie. Mamy jasną sytuację.

- Noc jeszcze się nie skończyła - odparł jego asystent.

Major Hatanaka dowiedział się o nagraniu od spiskowca z rozgłośni radiowej.

- Mori wciąż nie jest z nami - zwrócił się do Takeshity.

- Podobnie jak Anami - dodał podpułkownik Masahiko Takeshita.

- Musisz iść i przekonać ministra wojny - powiedział Hatanaka.

Podpułkownik Takeshita wtargnął do gabinetu swego szwagra, ministra wojny Anamiego, w stanie wielkiego wzburzenia. Oświadczył, że generał dopuści się zdrady, jeśli nie nakłoni armii, aby powstrzymała cesarza przed podpisaniem zawieszenia broni.

Anami pokręcił głową.

- Cesarz podjął decyzję, a ja muszę być mu posłuszny. Takeshita krzyczał tak głośno, że było go słychać w korytarzu:

- Do kapitulacji nie dojdzie. Będziesz musiał odebrać sobie życie!

Minister wojny milczał. Stanął przed niemożliwym do rozstrzygnięcia dylematem. Powinien bronić honoru armii, a jednocześnie musiał dochować wierności cesarzowi. Anami wiedział, że pozostało mu tylko jedno wyjście.

Tymczasem Hatanaka udał się do sztabu gwardii cesarskiej, aby porozmawiać z generałem Morim.

Mori naradzał się właśnie ze swoim zastępcą, podpułkownikiem Michinori Shiraishim, kiedy do gabinetu wtargnęli bez zezwolenia major Hatanaka i kapitan Uehara. Nigdy nie uda się ustalić, co stało się później, ponieważ nie było naocznych świadków. Dwaj spiskowcy przebywali w gabinecie generała około minuty, gdy nagle rozległ się odgłos wystrzału, a potem krzyki. Po chwili pojawił się w drzwiach Hatanaka z pistoletem w dłoni. "Nie było czasu na dyskusje, więc go zastrzeliłem!" - zawołał. Z otwartych drzwi wybiegł kapitan Uehara, ocierając krew ze swego miecza.

Zabójstwo Moriego i Shiraishiego pozbawiło Hatanake szansy na poparcie ze strony armii. Dlatego musiał działać szybko. Wraz z majorem Kogą wydał gwardii cesarskiej Rozkaz Strategiczny nr 584. Był to już prawdziwy zamach stanu. Rozkaz stwierdzał:

1. Cesarska Dywizja Gwardii pokrzyżuje zamiary wroga. Ochroni cesarza i zapewni ciągłość polityki państwowej.

2. Dowódca 1. Pułku piechoty zajmie pałac, by strzec rodziny cesarskiej. Dowódca wyśle również kompanię, która zajmie tokijską rozgłośnię radiową i nie pozwoli na żadne transmisje.

Innym pododdziałom dywizji też wyznaczono konkretne cele. Major Hatanaka ukradł ze zbryzganego krwią biurka generała Moriego jego osobistą pieczęć i przystawił ją pod dokumentem, aby zalegalizować rozkaz. Następnie pospieszył do kwatery pułkownika Hagi i oświadczył dowódcy batalionu, że z rozkazu generała Moriego 2.

Batalion ma zająć pałac, aby "chronić Jego Cesarski Majestat", aresztować przebywających na terenie pałacu ministrów i, co najważniejsze, odnaleźć płytę z proklamacją, którą cesarz był zmuszony nagrać "pod naciskiem zdrajców".

W pałacu książę Konoye, brat cesarza, powiadomił markiza Kido, że chciałby się z nim natychmiast widzieć. "Dotarły do mnie niepokojące pogłoski na temat Cesarskiej Dywizji Gwardii. Czy pan coś słyszał?".

Kido potrząsnął głową i już zamierzał wyjść, kiedy zobaczył przez okno, jak na dziedziniec wkracza grupa silnie uzbrojonych żołnierzy. Byli z 2. Batalionu gwardii cesarskiej, którym dowodził pułkownik Toyojiro Haga. W ciągu kilku minut cały kompleks pałacowy znalazł się w rękach buntowników. Każdy, kto tam przebywał, niezależnie od stanowiska i wieku, został zamknięty w piwnicy. Żołnierzom nie udało się jednak odnaleźć Tokugawy i Tody, którzy wiedzieli, gdzie jest ukryte nagranie. Kiedy dwaj cesarscy szambelanowie usłyszeli za drzwiami tupot żołnierskich butów, uciekli podziemnym przejściem do spiżarni. Żołnierze przetrząsnęli pałac, próbując odnaleźć cenne nagranie, a tymczasem jedyna osoba, która mogłaby zmienić sytuację samą swoją obecnością, nie zdawała sobie sprawy, że dokonywano zamachu stanu. Nawet w takim krytycznym momencie nikt nie śmiał zakłócać snu Jego Boskiego Majestatu.

Gdy generał Tanaka, dowódca Armii Wschodniej, został powiadomiony o zamordowaniu generała Moriego, wydał rozkaz: "Wszystkie oddziały okupujące pałac cesarski mają się natychmiast wycofać".

Podpułkownik Ida wręczył kopię rozkazu Hatanace. "To koniec. Armia Wschodnia nie stanęła po naszej stronie". Jednak Hatanaka był porywczym, impulsywnym człowiekiem. Chciał służyć swemu cesarzowi, który, jak uważał, został zdradzony przez dworaków. Nic oprócz śmierci nie mogło odwieść go od tego zamiaru.

Podpułkownik Takeshita pobiegł do swego teścia, generała Anamiego. Zastał go piszącego list pożegnalny: "Za swą najcięższą zbrodnię błagam o przebaczenie przez akt śmierci. Korechika Anami, noc 14 sierpnia 1945 roku". Do tak rozpaczliwego kroku popchnęła go zapewne myśl o losie szefa sztabu armii cesarskiej za panowania Meiji, generała Maresuke Nogi, który odebrał sobie życie z powodu błędu w dowodzeniu. Powiedział do Takeshity: "Orędzie cesarza zostanie nadane jutro w południe, a ja nie mógłbym zdobyć się na to, aby go wysłuchać". Powiał chłodny wiatr, jakby sama śmierć weszła do pokoju. Generał Anami przygotowywał się do wiecznego snu.

164

Generał Tanaka zatelefonował ze sztabu Armii Wschodniej do pułkownika Hagi. Poinformował dowódcę 2. Batalionu, że Mori został zamordowany, a Rozkaz nr 548 jest zwykłym fałszerstwem, i zażądał, by Haga natychmiast wycofał swoją jednostkę z terenu pałacu. Z gniewem w oczach Haga zwrócił się do Hatanaki, który właśnie stał obok niego: "Teraz rozumiem, że to wszystko było od początku oszustwem. Wcale nie bronimy cesarza. To jest otwarty bunt, a ja nie chcę brać w nim udziału". Twarz Hatanaki pokryła się trupią bladością. Bez słowa odwrócił się i opuścił pokój. Zdołał wymknąć się z pałacu kilka minut przed tym, nim zjawił się generał Tanaka, aby osobiście objąć dowództwo i przywrócić porządek.

Tymczasem Anami klęczał na ryżowej macie z zakrwawionym sztyletem w dłoni. Kołysał się w przód i w tył jak wahadło, a jego biała, ceremonialna szata coraz bardziej przesiąkała krwią. Popełnił seppuku. Dusza już go opuściła, ale jego ciało jeszcze nie umarło. Podpułkownik Takeshita stał obok i patrzył na bolesną agonię ukochanego generała, dopóki nie poczuł, że nie zniesie dłużej tego widoku. Dobył miecza i jednym ciosem położył kres cierpieniom konającego. Bezgłowe ciało generała Anamiego, ministra wojny Jego Cesarskiej Wysokości, osunęło się powoli na matę.

Kiedy porządek został przywrócony, cesarski szambelan Toda wyszedł ze swojej kryjówki, aby obejrzeć szkody, które wyrządzili żołnierze, szukając nagrania z cesarskim orędziem. "Nigdy nie sądziłem, że dożyję czegoś podobnego -japońscy żołnierze zbuntowani przeciwko swemu cesarzowi!". Westchnął z ulgą, gdy odnalazł nietknięty sejf, a wewnątrz bezcenne nagranie.

15 sierpnia o świcie major Hatanaka, który wymknął się z zastawionej na niego sieci, przyjechał na rowerze do budynku rozgłośni radiowej. Przed drzwiami nie było wartowników, a wewnątrz panowało ogromne zamieszanie. Krążyły niepotwierdzone pogłoski o zamachu stanu i wzburzeni dziennikarze próbowali uzyskać dokładniejsze informacje, lecz połączenia telefoniczne z pałacem zostały przerwane, a pałacowych bram bronili uzbrojeni żołnierze, którzy mieli rozkaz strzelać do każdego, kto próbowałby dostać się do środka. Hatanaka wtargnął do studia i zażądał dostępu do mikrofonu. Przerażeni technicy wyjaśnili mu, że to niemożliwe, ponieważ odcięto zasilanie. Hatanaka krzyczał i wymachiwał pistoletem, ale nie potrafił przezwyciężyć problemów technicznych, których nie rozumiał. W tym momencie pojął, że wszystko skończone. Papier z przygotowanym uprzednio oświadczeniem wyśliznął mu się z palców i Hatanaka wyszedł chwiejnym krokiem z budynku.

O godzinie 7.21 czasu tokijskiego spiker radiowy ogłosił: "Jego Cesarska Wysokość wydał respkrypt cesarski. Zostanie on odczytany dzisiaj w południe...".

O godzinie 8.00 2. Batalion gwardii cesarskiej przekazał pałac cesarski rządowi.

0 godzinie 8.10 wielki szambelan Fujita został przyjęty przez cesarza, który spytał: "Dlaczego nie potrafili zrozumieć, co mieliśmy na myśli?".

W tymczasowej kwaterze głównej na terenie pałacu generał Tanaka wydał nakaz aresztowania majora Hatanaki i jego wspólników. Kapitan Shigetaro Uehara, zabójca podpułkownika Shiraishiego, został aresztowany przez Kempeitai (japońską policję polityczną), lecz zwolniono go w zamian za obietnicę, że popełni samobójstwo. Aresztowano również innych, ale przywódca spisku, major Kenji Hatanaka, zdołał uniknąć obławy. Był tam, gdzie się go najmniej spodziewano. Klęczał na żwirze przed pałacem

cesarskim. Użył tego samego pistoletu, z którego zabił generała Moriego, by strzelić sobie w skroń. Podpułkownik Jiro Shiikazi patrzył na śmierć przyjaciela, a potem dobył miecza i rozciął sobie brzuch.

Admirał Takijiro Onishi, ojciec "boskiego wiatru", i oficerowie jego sztabu zgromadzili się na stopniach cesarskiego pałacu, gdzie uklękli i popełnili ceremonialne samobójstwo, ponieważ teraz mieli służyć swemu cesarzowi w innym świecie. Ostatni z ich pilotów-kamikaze wystartowali i spadli wraz z samolotami do morza.

Orędzie Jego Cesarskiego Majestatu do narodu zostało nadane zgodnie z zapowiedzią. Była dokładnie 12.00 w południe 15 sierpnia 1945 roku.

A potem...

"Ludzka tragedia polega na tym, że po wszystkich wysiłkach i poświęceniach setek milionów ludzi

1 zwycięstwie słusznej sprawy wciąż nie znajdujemy pokoju i sprawiedliwości, nadal jesteśmy wystawieni na niebezpieczeństwa jeszcze gorsze od tych, które przezwyciężyliśmy" - napisał Winston Churchill w swym dziele Druga wojna światowa.

Po sześciu straszliwych latach II wojna światowa dobiegła wreszcie końca na pokładzie amerykańskiego pancernika na Pacyfiku. Ale co

przyniosła? I kto był prawdziwym zwycięzcą?

W 1941 roku Ameryka przystąpiła do wojny całkowicie nieprzygotowana. W ciągu 24 godzin straciła swoją flotę w Pearl Harbor i siły powietrzne na Filipinach. W ciągu kilku miesięcy Pacyfik stał się japońskim morzem. Potem doszło do bitwy lotniskowców pod Midway i nastąpił przełom. W ciągu 18 miesięcy amerykański przemysł ciężki zdołał wyprodukować największą flotę wojenną, jaka kiedykolwiek pływała po morzach. Kiedy głównym teatrem działań wojennych stała się Europa, gdzie wojska lądowe toczyły krwawe i zacięte bitwy, kiedy Niemcy zostali wyparci z Rosji, kiedy doszło do lądowania w Normandii i wyzwolenia Francji, wojna na Pacyfiku zeszła jakby na drugi plan. Po nieodwracalnych stratach poniesionych w bitwie w zatoce Leyte w październiku 1944 roku stało się jasne, że Japonia nie zdoła wygrać wojny. Jest tragedią obu krajów, Japonii i Stanów Zjednoczonych, że amerykańscy przywódcy nie docenili politycznego znaczenia swego zwycięstwa w największej bitwie morskiej w historii. Ponieważ Stany Zjednoczone włożyły największy wysiłek w powalenie małego wyspiarskiego narodu na kolana, w ich najżywotniejszym interesie leżało odniesienie szybkiego zwycięstwa na Pacyfiku, nie dzielonego z sojusznikami. W ten sposób Ameryka chciała uniknąć późniejszych komplikacji, zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim, którego ekspansjonistyczne ambicje były dobrze znane. Amerykanie stracili swą polityczną przewagę w Azji, kiedy Związek Radziecki w ostatniej chwili wypowiedział wojnę Japonii i zyskał wolną rękę w rozszerzaniu wpływów komunistycznych 166

na cały Daleki Wschód i Azję Południowo-Wschodnią. W rezultacie amerykańska krucjata w imię "pokoju na Pacyfiku" przekształciła się niebawem w konfrontację pomiędzy dwoma supermocarstwami, która w latach późniejszych miała doprowadzić do wojny w Korei i Wietnamie.

Wydarzenia potoczyły się tak, jak przewidział cesarz. W grudniu 1945 roku sintoizm, tysiącletnia opoka kultu cesarza, został

zakazany. Okazało się to punktem zwrotnym dla japońskiego społeczeństwa i katalizatorem przemian. Doprowadziło też do nieuniknionego następnego kroku, 1 stycznia 1946 roku w krótkim orędziu, które zaskoczyło kraj i pogrążyło naród w głębokim smutku, cesarz Hirohito oświadczył: "Więź pomiędzy cesarzem a jego ludem nie może zależeć od mitów i legend. Nie może opierać się na fałszywym założeniu, że cesarz jest osobą boską". Tym prostym zdaniem niebiański potomek bogini słońca zrezygnował z prawa do tego, by uchodzić za bóstwo. Rozpoczęła się nowa era demokracji.

Cesarz Hirohito odszedł we śnie w wieku 87 lat". Wraz z nim umarła starożytna historia Japonii. Tłumy ludzi klękały przed pałacem cesarskim, aby oddać ostatni hołd już nie bogu, ale ukochanemu władcy.

Interludium 1945-1959

Hitler nie żył, Mussolini został stracony, Japonia skapitulowała. Mapa świata zmieniła się, a narody na wszystkich kontynentach musiały wybierać pomiędzy dwoma obozami: Wschodem i Zachodem. Wszelka myśl o neutralności była ułudą. Konflikt zbrojny w Korei zachwiał na chwilę wygodnym dla obu stron stanem równowagi, ale go nie naruszył. Perspektywa nuklearnej zagłady była zbyt przerażająca, aby brać ją pod uwagę. Pomiędzy dwoma atomowymi supermocarstwami zapanowało status quo. Taki układ funkcjonował doskonale przez lata. I nagle w miejscu, gdzie nikt się tego nie spodziewał, nastąpił kryzys, który omal nie spowodował wystrzelenia rakiet z głowicami atomowymi.

Nowym punktem zapalnym stała się karaibska wyspa Kuba, gdzie mafia założyła sieć luksusowych hoteli i domów gry, gdzie rum lał się strumieniami, gdzie prezydent patrzył przez palce na czarny rynek i zabierał swoją część zysków, a zwykły compesino (wieśniak) cierpiał skrajną nędzę. Była to gleba wystarczająco urodzajna, by wzeszła na niej idea egalitarnego socjalizmu.

26 lipca 1953 roku, w dniu, kiedy przedstawiciele Narodów Zjednoczonych i Korei Północnej podpisali w odległym Panmundżonie zawieszenie broni, syn właściciela plantacji trzciny cukrowej chwycił strzelbę myśliwską i na czele garstki ludzi zaatakował koszary wojskowe w Santiago de Cuba. Był to początek zaburzeń. Powstanie upadło, a młodego prowodyra schwytano i skazano. Potem za wstawiennictwem biskupa został zwolniony i wygnany do Meksyku. Dwa 167

lata później Fidel Castro znowu spróbował szczęścia. Zabrał gromadę buntowników na 18-metrowy jacht i wylądował w odległej części Kuby. Ktoś jednak ujawnił jego plan i większość członków grupy zginęła lub została pojmana. Castro uciekł z 12 towarzyszami. Przez dwa lata barbudos (brodacze) Fidela Castro ukrywali się w górzystym regionie Sierra Maestre, a ich szeregi stopniowo rosły. Powstała rada rewolucyjna pod przewodnictwem Fidela. Poza nim w jej skład wchodzili sami kubańscy weterani: jego brat Raul, Camilo Cienfuegos, Juan Almeida, Hubert Matos, Efigenio Almejeiras, Christino Naranjo, Faustino Perez. Sami Kubańczycy. Oraz jeden Argentyńczyk, który dołączył do rewolucjonistów, doktor Ernesto Guevara.

Światowa prasa utrzymywała, że ich światopogląd jest zlepkiem filozofii awanturniczego Robina Hooda z wielkim rewolwerem i egalitarnej filozofii Karola Marksa. Z nielicznymi wyjątkami nie utożsamiali się ani z jednym, ani z drugim12. Uczniowie Castro nie byli ani lewicowi, ani prawicowi; byli po prostu Latynosami, dążącymi do obalenia skorumpowanego prezydenta i kliki jego urzędników. Potem zamierzali zastąpić system feudalny, który Kuba odziedziczyła po Hiszpanach, prawdziwą demokracją. Ten niesłychany w Ameryce Łacińskiej krok nie dawał się pogodzić z interesami wielkiej finansjery. Fidel Castro wyznawał idee rewolucyjnego socjalizmu. Jego brat Raul był zagorzałym komunistą. Argentyńczyk Guevara różnił się od nich: ten intelektualista, latynoski trockista wierzył, że tylko przemoc może zapewnić zwycięstwo. W

Boże Narodzenie 1958 roku Ernesto Che Guevara zdobył ważne miasto Santa Clara i utorował wreszcie drogę do Hawany.

8 października 1967 roku Hasta la victoria sempre!

Hasta la victoria sempre!

"Do ostatecznego zwycięstwa!"

Ernesto Che Guevara, Boliwia, 1967

"Nie ważna jest śmierć, dopóki słychać nasz okrzyk bojowy..."

Ernesto Che Guevara, Boliwia, 1966

Indianie nazywają to miejsce Tierra Muerta, Martwą Ziemią. U wejścia do wioski sterczy samotny szkielet zardzewiałego jeepa. Widnieją na nim zatarte znaki armii boliwijskiej. Do stoku wzgórza przytuliło się skupisko prymitywnych domów o ścianach z gliny, prażących się w podzwrotnikowym słońcu. Żadnego kościoła, tylko drewniany krzyż na szczycie pagórka, który służy jako miejsce wspólnych modłów. Przed chatami pracują Indianki w luźnych niebieskich sukniach i miękkich kapeluszach z opuszczonym rondem. W pobliżu włóczy się bezpański pies, próbując wytropić dzikiego królika. Dziecko toczy drewnianą obręcz po piaszczystej drodze, biegnącej przez środek wioski. Zewsząd wieje taką nędzą, że nawet świnie są tu chude.

Wioska La Higuera w boliwijskiej prowincji Rio Grande to ostatnie miejsce na ziemi, które mogłoby przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę. A mimo to pewnego dnia znalazło się na ustach wszystkich. 9 października 1967 roku świat obiegła elektryzująca wiadomość: "Armia boliwijska zabiła legendarnego rewolucjonistę".

La Higuera? Gdzie jest najbliższe lotnisko? Jak się tam dostać, aby ubiec konkurentów do sensacji dziesięciolecia? Wydawcy gazet studiowali mapy Ameryki Łacińskiej, a sekretarki rezerwowały bilety

dla najlepszych reporterów, sieci telewizyjne czarterowały samoloty. Ludzie z bardziej tajnej branży, podający się za fotografów, czynili własne przygotowania. A wszystko po to, aby zobaczyć zwłoki!

169

Prezydencki bal noworoczny 1958 roku w Hawanie na Kubie rozpoczął się o 9.00 wieczorem. Wielka feta z udziałem wszystkich znakomitości. Piętnaście minut przed północą prezydent Fulgencio Batista, ubrany w zwyczajowy biały garnitur, wstał od stołu i skinął na generała Cantillę. Tłum rozstąpił się, aby zrobić mu przejście, pozdrawiał uśmiechniętego prezydenta, który zmierzał wśród tańczących par w stronę drzwi. Senator Ronaldo Masferrer, dowódca znanej z brutalności armii, zdziwił się, że prezydent postanowił wyjść przed noworocznym toastem. Dyskretnie podążył za nim i zobaczył, jak Batista wsiada do samochodu. Było to bardzo dziwne, podobnie jak wszystko, co działo się w stolicy w ciągu ostatnich 72 godzin, kiedy nadeszły wstrząsające wieści o zwycięstwie Che Guevary pod Santa Clara. Masferrer wezwał swojego kierowcę i polecił mu jechać dyskretnie za prezydencką limuzyną. Gdy samochód prezydenta skręcił w stronę lotniska, Masferrer zdał sobie sprawę, że bomba poszła w górę. Fulgencio Batista zostawiał ich wszystkich na pastwę losu. Kiedy Hawana powita Nowy Rok, a w kasynach i salach balowych strzelą korki od szampana, samolot będzie przelatywał nad Atlantykiem, uwożąc kubańskiego prezydenta na wygnanie. Batista, sierżant, który sam awansował się na generała, a potem został prezydentem, był skorumpowany, ulegał wpływom amerykańskich gangsterów. Jego reżim nie był jednak nawet w połowie tak dyktatorski i represyjny jak ten, który miał nadejść po nim.

Epoka castryzmu rozpoczęła się w momencie, kiedy prasa światowa odkryła Fidela Castro: "Nowa postać w historii". Castro rozpalał masy pustą retoryką i doskonale rozumiał, że poparcie społeczne liczy się bardziej niż siły policyjne. Brał przykład z wielkich mówców i szybko się nauczył, że w każdej wypowiedzi do "ludu" forma znaczy więcej

niż treść. Przez kłęby dymu z cygara oznajmił wiwatującym tłumom, że "system feudalny ustąpił miejsca prawdziwej demokracji". Obiecał wolne wybory, ale nie powiedział, kiedy mają się odbyć. Mówił o przebudowie konstytucji w oparciu o prawo i sprawiedliwość, ale nie wydał takich rozporządzeń. Obiecał pobłażliwość i przebaczenie wrogom, lecz kazał wszystkich rozstrzelać. Zwycięzcy napawali się swoim triumfem, a tymczasem zwykli obywatele modlili się, aby Fidel Castro nie okazał się takim samym władcą jak ten, którego obalił.

Fidel Castro wkroczył do Hawany w glorii zwycięskiego rewolucjonisty. Tego dnia świat wstrzymał oddech, zafascynowany perspektywą demokratycznych przemian w Ameryce Łacińskiej. Obyło się prawie bez przemocy. Ta miała przyjść później. Był to świt nowej obietnicy dla Kuby, świt wielkich nadziei i oczekiwań, które miały się przerodzić w gorycz i rozpacz. Niebawem libertad stała się synonimem ucisku, a demokrację zastąpił dyktatorski terror, nie tylko wobec zwykłych obywateli, lecz także wobec rewolucyjnych przywódców, z których większość miała skończyć w więzieniu lub w grobie.

Zagarnięcie wszystkich przywilejów związanych z władzą nie stanowiło większego problemu dla nowych konkwistadorów. Nadszedł czas podziału łupów. Rewolucyjna sprawiedliwość zmieniła się w farsę, nie był potrzebny żaden ideologiczny pretekst, aby wyrzucić z domu bogatą rodzinę. Rewolucjoniści zabierali bogaczom domy,

samochody i rum, aby świętować w tropikalne noce. Barbudo stał się honorowym obywatelem, wolnym od wszelkich podejrzeń i krytyki. W euforii, na fali terroru dawni biedacy polowali na wyzyskiwaczy i panów z dawnej kliki rządzącej, którzy nie zdążyli w porę uciec. Osaczali ich, tłukli kijami i kolbami karabinów, zostawiali na drodze w kałuży krwi. Był to czas wyrównywania rachunków. Z wyspy dochodziły niepokojące wieści o procesach pokazowych i

okrutnych prześladowaniach. Sam Castro dał sygnał, gdy oświadczył: "Historia mnie rozgrzeszy!".

Bardziej jednak niż Castro niepokoili zagranicznych sąsiadów Kuby rewolucyjni przywódcy, którzy wjechali do Hawany na tym samym czołgu. Stanowili polityczną niewiadomą. Zwłaszcza jeden,

Ernesto Che Guevara, architekt zwycięstwa Castrol. "Obalić dyktaturę było łatwo, ale nie będzie łatwo zbudować nowe społeczeństwo. Socjalizm musi stworzyć nowy typ człowieka" - obwieścił ów teolog socialismo tropical.

Ernesto Guevara de la Serna urodził się w 1928 roku wRosario de Santa Fe, porcie zbożowym nad Rio Parana w Argentynie. Był chorowitym dzieckiem, cierpiącym na ataki astmy. Podczas studiów medycznych w Buenos Aires zaczął okazywać wielkie zainteresowanie losem zwykłych peonów, występując przeciwko antyrewolucyjnym, katolickim pobresitos (biedakom), którzy nie chcieli uczestniczyć w walce klasowej. Nigdy nie przywiązywał wagi do kwestii doktrynalnych, jego koncepcja socjalizmu była połączeniem analizy kapitalizmu Marcusea, krytyki biurokratyzmu Trockiego i "rewolucji kulturalnej" Mao. Mieszanina tych trzech składników okazała się wybuchowa, ponieważ przewidywał, że "potęga chłopów", zgodnie z maoistowską wizją milionów ludzkich atomów wywołujących własne eksplozje, wstrząśnie światem bardziej niż jakakolwiek bomba nuklearna. Na Kubie Argentyńczyk był postrzegany jako przybysz z zewnątrz i cierpiał z powodu ksenofobii wyspiarzy. Nie mógł zaakceptować kubańskiego lenistwa w dążeniu do prawdziwej niepodległości. Głośno wyrażał rozczarowanie mentalnością narodową Kubańczyków: "Przekonaliśmy się, że Kubańczycy są gotowi ginąć za rewolucję, ale nie zauważyliśmy, żeby chcieli pracować dla rewolucji". Castro powierzył mu Ministerstwo Przemysłu - Kuba nie miała przemysłu, tylko nieco przestarzałych cukrowni. Później uczynił go prezesem Banku Narodowego w kraju bez ekonomii. Guevara zawsze podejmował się zadań, których inni nie

chcieli, wiedząc, że nie poradzą sobie z nimi. Che przyjął oba stanowiska i nie sprawdził się na żadnym z nich.

Stary porządek, oparty na patronacie amerykańskiego imperializmu, zmiotły gorące wiatry nowo proklamowanego latynoskiego nacjonalizmu Fidela Castro. Kraj trzeciego świata odważył się popisywać przed światem swoją suwerennością! Ostateczne zerwanie ze Stanami Zjednoczonymi przyszło wraz z inauguracyjnym przemówieniem nowego amerykańskiego prezydenta, Johna F. Kennedyego, który wezwał "uciśniony naród kubański, aby obalił swój rząd", Kubańczycy unieśli się honorem i rzucili Stanom Zjednoczonym rękawicę.

Setki zagranicznych dziennikarzy zgromadziły się w kinie w śródmieściu Hawany, by posłuchać, co Commandante Che ma do powiedzenia. Po długim przemówieniu, które nie przyniosło nic nowego, jeden z reporterów podniósł rękę i spytał:

- Commandante Che, co stanie się z amerykańskimi udziałami na wyspie?

Guevara odpowiedział tonem, który świadczył wyraźnie, że nudzi go to pytanie.

- Senor, jak powiedział już nasz przywódca, zagraniczna własność w żaden sposób nie ucierpi. Oczywiście zagraniczni właściciele muszą się dostosować do nowej sytuacji.

- Czy może pan to uściślić?

- Nie widzę potrzeby, żeby cokolwiek uściślać. Celem naszej rewolucji była równość i sprawiedliwość dla wszystkich.

Na dźwięk słowa "sprawiedliwość" reporter skrzywił się. Wstał inny dziennikarz.

- Commandante, co się stanie z więźniami politycznymi?

- Ich zbrodnie nie mogą zostać zapomniane. Nie możemy mieć litości dla tych, którzy służyli sprawie bezwzględnego dyktatora. Musimy okazać nieustępliwość zbrodniarzom, którzy zdradzili naród kubański.

- Ilu jest tych, których nazywacie zdrajcami?

- Nie potrafię podać dokładnej liczby. Ale mogę powiedzieć jedno: nie ma nadziei na dobrobyt, dopóki nie zginie ostatni zdrajca. Musimy ukarać nie tylko tych, którzy zdradzili, ale również tych, którzy nie zrobili nic, aby powstrzymać łajdaków, którzy po prostu przyglądali się bezczynnie.

- To terror polityczny, Commandante.

- My nazywamy to sprawiedliwością.

Podniosło się więcej rąk. Guevara udzielił głosu starszemu dziennikarzowi, który sądził, że już wszystko w życiu widział i wszystko słyszał.

- W porządku, panie Guevara - powiedział dziennikarz protekcjonalnym tonem -przestańmy się czarować. Słuchając pana, odnoszę wrażenie, że uważa pan terror za usprawiedliwiony.

Lekki uśmieszek wykrzywił wargi Argentyńczyka. Kapitaliści zaniepokoili się o swoje inwestycje i o skorumpowanych przyjaciół. Doskonale.

- Powiedziałem już, że wprowadzamy rewolucyjną sprawiedliwość. Gdyby jednak naszego kraju nie nękały spiski, gdyby nuestra patria nie padła ofiarą dyktatorskiego terroru, inspirowanego, niech mi będzie wolno dodać, przez rząd Stanów Zjednoczonych, to nic nie stałoby na przeszkodzie, by rządzić środkami pokojowymi.

- Czy zamierzacie sprowadzić Kubańczyków na drogę cnoty, każąc im denuncjować sąsiadów?

- Obowiązkiem każdego dobrego Kubańczyka jest demaskować tych, którzy czerpali korzyści z tyranii. Ludzie, którzy nie potrafią bronić siebie samych, nie potrafią bronić niczego, a naszym obowiązkiem jest nauczyć ich tej cnoty. - Zabrzmiało to jak słowa Robespierrea: "Niech zapełnią się cmentarze, a nie więzienia".

W sali zapadła śmiertelna cisza. Tym jednym zdaniem Ernesto Che Guevara, najbardziej wpływowy człowiek w kraju po Fidelu Castro, skazał setki przeciwników politycznych na pluton egzekucyjny. Otworzył drzwi do zalegalizowanego terroru, który miał pchnąć Kubę w otchłań.

Po obu stronach Cieśniny Florydzkiej żywiono poważne obawy co do przyszłych stosunków pomiędzy dwoma krajami. Wielkiego sąsiada odległego od Kuby o zaledwie dziewięćdziesiąt mil niepokoiło najbardziej to, że przykład Castro może zainspirować ruchy narodowowyzwoleńcze w całej Ameryce Łacińskiej. Zamiast jednak dać narodom latynoamerykańskim przykład prawdziwej niepodległości, Castro zamienił

wyspę w więzienie, jej mieszkańców w uchodźców, a siebie w przywódcę represyjnego, sterowanego z Moskwy reżimu. Zapadła "trzcinowa kurtyna" i Kuba znalazła się w całkowitej izolacji. Castro chełpił się brakiem litości dla wrogów systemu: "Moja rewolucja nie cofnęła się i nie cofnie przed zdecydowanymi środkami, jeśli będzie tego wymagała konieczność. Dowodem na to jest rozstrzelanie przestępców wojskowych i politycznych". Takie wypowiedzi studziły entuzjazm tych, którzy nadal uważali Fidela Castro za romantycznego, niezrozumianego bojownika.

W 1962 roku Rosjanie uwikłali się w niebezpieczną grę polityczną. Mała karaibska wyspa na drugiej półkuli stała się pionkiem w

rozgrywce, która nie miała wiele wspólnego z ideologią marksistowską, lecz wiązała się przede wszystkim z walką o władzę na najwyższych szczeblach radzieckiej hierarchii. W efekcie pierwszy sekretarz Chruszczow zdecydował się na samobójcze posunięcie i zaczął rozmieszczać na Kubie rakiety z głowicami atomowymi. Czyniąc to, stworzył strategiczne zagrożenie, przyznał nawet między wierszami, że Związek Radziecki prawdopodobnie nie zdołałby się obronić przed zdecydowanym amerykańskim atakiem. W ciągu kilku gorących dni października 1962 roku, kiedy świat wstrzymywał oddech, prezydent Kennedy zmusił Chruszczowa do usunięcia rosyjskich rakiet z wyspy. Wycofując je, Rosjanie machnęli ręką na Castro, dali dowód, iż nie troszczą się specjalnie o swych socjalistycznych braci. Wielu ludzi tak to odebrało, ale tylko jeden zareagował. Żarliwy latynoski rewolucjonista, który w swych trockistowskich poglądach nie ugiął się przed dyktatem Moskwy. W chwili kiedy ośmielił się zakwestionować ideę światowej hegemonii Związku Radzieckiego, stał się wyrzutkiem. Tym człowiekiem był Ernesto Guevara. El Che sprzeciwiał się zimnowojennej polityce równowagi sił pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, która, jak przewidywał, doprowadzi do tego, że oba supermocarstwa utworzą własne strefy wpływów i podzielą świat między siebie.

Konflikt pomiędzy dwoma niezwykle ambitnymi ludźmi - Castro, Kubańczykiem, który przehandlował swój rewolucyjny zapał za korzyści płynące z komunizmu, a Guevarą, Argentyńczykiem, który pozostał latynoskim purystą - był nieunikniony. Do zerwania doszło w lutym 1965 roku; Guevara wystąpił na Konferencji Państw Trzeciego Świata w Algierze i potępił "nowy socjalistyczny imperializm" Związku Radzieckiego. Podkreślił, że pomoc ze strony bratnich socjalistycznych państw nie powinna pociągać za sobą żadnych zobowiązań, podczas gdy Związek Radziecki zachowuje się gorzej niż nowojorscy bankierzy. Jego przemówienie wywołało zróżnicowane reakcje, od niemego osłupienia po burzliwy aplauz. Jak łatwo zgadnąć, doprowadziło do furii radzieckich przywódców. Guevara ugodził ich w

najczulszy punkt na obszarze, gdzie, biorąc pod uwagę próżnię polityczną wytworzoną w wyniku przejścia od kolonialnej zależności do narodowego samostanowienia, nie istniały jeszcze żadne podziały polityczne i nie uformowały się żadne sojusze. Co więcej, właśnie w 1965 roku społeczności murzyńskie w Stanach Zjednoczonych podniosły otwarty bunt. Czarne getta w Watts i Detroit stanęły w ogniu, został zamordowany czarny rewolucjonista Malcolm X. Rosjanie spodziewali się, że w wyniku reakcji wtórnej na te wydarzenia uda im się wciągnąć narody Czarnej Afryki do swojej strefy wpływów - a tutaj to druzgocące oskarżenie ze strony kogoś, kto był częścią ich globalnej strategii! Trudno 173

ocenić rzeczywisty wpływ jego przemówienia na kraje afrykańskie, ale nie ma wątpliwości, że wywołało głęboki oddźwięk w Ameryce Łacińskiej. Dlatego rozwścieczyło nie tylko Rosjan, lecz również człowieka, który starał się przedstawić jako nowy wyzwoliciel - Fidela Castro. Dla Moskwy i dla Hawany jedno nie ulegało wątpliwości: Che Guevara musi zniknąć ze sceny politycznej.

Po swoim wystąpieniu Che wrócił do Hawany na pokładzie kubańskiego samolotu. Tym razem na płycie lotniska nie było orkiestry wojskowej ani fotografów2, którzy uwieczniliby powrót bohatera.

Fidel przywitał Che w poczekalni, z dala od wymachujących chorągiewkami tłumów. Wydarzenia szybko zmierzały do punktu kulminacyjnego. Che i Fidel spędzili cały dzień za zamkniętymi drzwiami. Nie było żadnych świadków ich rozmowy. "Gdzie jest Che?". Sam fakt, że jego zdjęcie nigdy już nie ukazało się w kubańskiej gazecie, a w artykułach nie wymieniano jego imienia, mówił za siebie. W marcu 1965 roku, zaledwie kilka tygodni po sekretnym spotkaniu, Che pożegnał się z córką Hilditą i zniknął z Hawany. Niektóre gazety donosiły, że przebywa na Węgrzech, w Chile, a nawet w Palestynie. Ale nikt go naprawdę nie widział. Wreszcie ktoś go zobaczył w Kongu. Che poprowadził 200 Kubańczyków do dawnej belgijskiej kolonii, aby wesprzeć

miejscowy ruch wyzwoleńczy Pierrea Mulele przeciwko popieranemu przez Amerykanów dyktatorowi Mobutu3.

Che nie potrafił zrozumieć afrykańskiej polityki ani afrykańskiej mentalności. Wtedy podjął fatalną decyzję: wybrał Boliwię - kraj bijący światowe rekordy pod względem liczby puczów wojskowych, a zarazem najbiedniejszy ze wszystkich krajów Ameryki Łacińskiej, rządzony twardą ręką przez generała Barrientosa. Guevara wybrał Boliwię, ponieważ uznał, że sytuacja dojrzała do tego, aby tamtejszy ruch wyzwoleńczy obalił dyktatorski reżim. Jednak Boliwia była (i jest nadal) krajem średniowiecznym, którego polityka charakteryzuje się barbarzyńskim okrucieństwem, osobistymi uprzedzeniami i głęboką religijnością. Miejscowa ludność była pełna przesądów, modliła się do Chrystusa w kościołach, a na własnych podwórkach oddawała cześć pogańskim bóstwom. Tamtejsi Indianie bali się ducha ciemności, uważali współczesną medycynę za wynalazek diabła i wierzyli w lokalnych uzdrowicieli, którzy przepowiadali przyszłość i rozpoznawali choroby, wróżąc z liści koki. Na księży katolickich patrzyli jak na pozaziemskich bogów. Tacy ludzie nie mieli najmniejszego pojęcia, co znaczy revolucion. Che Guevara był jednak przepojony niezłomnym duchem Simona Bolivara: "Chodźmy i zobaczmy, dokąd nas to zaprowadzi".

Kolejny problem stanowili ludzie, którzy wyruszyli z Che do Boliwii. Nie zostali wybrani ze względu na kwalifikacje wojskowe. Należeli do politycznych bankrutów, tych, co nie zgadzali się z polityką Fidela. Nawet Nunez Acosta, którego Che mianował dowódcą drugiego frontu, był nieudacznikiem z Hawany. Ci ludzie nie mieli żadnego doświadczenia w działaniach partyzanckich, nigdy nie byli w Boliwii i zwracali na siebie uwagę, ponieważ mówili ze "śmiesznym akcentem". Na domiar wszystkiego Che chorował na astmę4 i każdy jej atak wywoływał u niego panikę.

W listopadzie 1966 roku Che wrócił potajemnie na Kubę, aby dobrać sobie 16 zwolenników. Wsiedli oddzielnie na statek płynący do La Paz w Boliwii5. Guevara, alias Ramon Benitez, podróżował przez

Moskwę, Pragę, Zurych i Frankfurt. Gładko ogolony, łysy, w ciemnych okularach, przybył do La Paz 3 listopada 1966 roku i wynajął

pokój w tanim hotelu Copacabana. Jego miejscowym łącznikiem była Tania, młoda Niemka, z którą sypiał. Skontaktowała go z miejscowym komunistycznym związkiem zawodowym górników. Negocjacje z działaczami związkowymi i z przywódcą Boliwijskiej Partii Komunistycznej spełzły na niczym. Boliwijczycy chcieli przejąć kontrole nad całym przedsięwzięciem i decydować o każdym kroku, toteż Che znalazł się w izolacji, a jego marzenie o powszechnym powstaniu mas rozwiało się. Miał do dyspozycji 50 ludzi i ta liczba już się nie zwiększyła. Założył bazę w dżungli nad rzeką Nancahuazu w prowincji Santa Cruz i przyjął pseudonim Ramon6.

Jego towarzysz Antonio Pacho ośmielił się zauważyć głośno: "Możesz zapomnieć o pomocy z Kuby. Chcieli się nas pozbyć"7.

Che odłożył fajkę i odparł: "Naprawdę lubisz babrać się w gównie".

Jak się okazało, Che do końca wierzył, że Castro pomoże im wydostać się z Boliwii, gdyby kiedykolwiek zaszła taka potrzeba. Nigdy nie brał pod uwagę zdrady. Pewnej nocy dwaj partyzanci uciekli z bazy i powiadomili władze boliwijskie o obecności Che. Jednostki armii boliwijskiej otoczyły cały obszar, tworząc żona roja (czerwoną strefę), i rozbiły podziemną siatkę Guevary w La Paz. Che nie mógł już liczyć na pomoc z zewnątrz. Tylko Tania wymknęła się z obławy, by dołączyć do Che; przyprowadziła ze sobą francuskiego filozofa, Regisa Debraya.

Niebawem polała się krew. Partyzanci zaskoczyli patrol wojskowy w rzecznym parowie i zabili siedmiu żołnierzy. Narodowa rozgłośnia radiowa trąbiła: "Nasz kraj najechali zagraniczni najemnicy. Obowiązkiem każdego Boliwijczyka jest walczyć z najeźdźcami".

Wiadomość wywołała histerię w miastach; w wioskach księża mówili wieśniakom, że bandyci przyjdą zabrać im bydło.

Był to początek gigantycznego polowania na ludzi z udziałem 2000 żołnierzy, wspieranych przez samoloty, które zrzucały napalm na dżunglę, wypalając całe połacie lasu. W porośniętej drzewami dolinie patrol natknął się na partyzantów. Zginął Rubio, a reszta schroniła się w gęstej dżungli. Niebawem natknęli się na kolejny patrol i żołnierze ponieśli ciężkie straty. Che musiał podzielić swoje siły, aby wymknąć się z pułapki. Podczas przeprawy przez rzekę grupa Joaquina i Tani starła się z armią boliwijską. Po krótkiej, morderczej wymianie ognia wszyscy partyzanci zginęli. Grupa Che dotarła do wysokich gór.

Kilka potyczek, opisywanych na pierwszych stronach gazet, doprowadziło do jeszcze większej paniki. Pracownicy Korpusu Pokoju ewakuowali swoje rodziny, a ha-cendados uzbrajali peonów. Boliwia poprosiła o pomoc i na scenę wkroczyli Amerykanie8. Zespół instruktorów z zahartowanej w bojach 1. Dywizji Powietrznodesantowej pod dowództwem kapitana Pappyego Sheltona został przerzucony z Wietnamu i zaczął szkolić żołnierzy boliwijskich. Przebiegły Barrientos wykorzystał sytuację, by wprowadzić stan wyjątkowy i pozbyć się opozycji. Setki działaczy związkowych i sympatyków lewicy znalazły się w więzieniach. Do strefy czerwonej przerzucano kolejne oddziały, tysiące dobrze uzbrojonych żołnierzy przeciwko garstce wyczerpanych partyzantów, którzy nie mieli już dokąd uciekać.

W kwietniu 1967 roku Jan Stage9, duński dziennikarz wysłany na Kubę przez wielki skandynawski koncern prasowy, otrzymał wezwanie do biura Ismaela Fundory, szefa kubańskiego departamentu propagandy.

- Senor Stage, lubi pan podróżować, nieprawdaż?

- Tylko wtedy, gdy mogę zdobyć dobry materiał.

- W tym przypadku mam dla pana dobry materiał, wyjątkowo dobry.

Fundora wręczył Stagemu bilet do Boliwii. Che Guevara! Dla Duńczyka stało się jasne, że nikt w Hawanie nie ma najmniejszego pojęcia o ruchach i planach Che. W La Paz Stage nawiązał kontakt z "miejscowymi źródłami zbliżonymi do rewolucji" i znalazł sposób, by dotrzeć do odciętej czerwonej strefy. Amerykańscy inżynierowie wysyłali swoje rodziny z powrotem do Stanów. Musieli przetransportować cały dobytek z Santa Gruz i Cochabamba do La Paz i wynajęli do tej pracy duńskiego przedsiębiorcę przewozowego. Stage podał się za jego współpracownika. Dzięki temu mógł zbierać informacje o wydarzeniach w Santa Cruz. Kiedy wrócił na Kubę, na hawańskim lotnisku czekał na niego Manuel Pineros, szef sekcji latynoamerykańskiej kubańskiej służby

bezpieczeństwa. "Pańskie raporty są znakomite. Proszę natychmiast wracać do Boliwii". Tym razem nie była to uprzejma prośba, lecz raczej rozkaz. Stage zgodził się dopiero wówczas, gdy żona Che, Hilda Gadea, ubłagała go, aby zdobył jakieś wieści ojej mężu. W La Paz przekonał się, że nie może już liczyć na wcześniejsze kontakty; informacje były mętne, niejasne, a nawet rozmyślnie bałamutne. I nagle olśniło go: Che wyrwał się z potrzasku.

Minęło osiem miesięcy i wśród partyzantów zapanował nastrój przygnębienia. Musieli być stale w ruchu; wszędzie roiło się od żołnierzy. Samoloty zrzucały ulotki: "Nagroda! Suma 50 000 pesos zostanie wypłacona każdemu, kto dostarczy partyzanta Ernesto «Che» Guevarę żywego lub martwego". Dzień po dniu błąkali się po kamienistych ścieżkach, w górę, w dół, a potem znowu w górę, prawie bez jedzenia i bez wody. Stan zdrowia Che poważnie się pogorszył, astma nie dawała mu spać. Stał się człowiekiem ściganym, otoczonym przez przeważające siły wroga, w obcym

środowisku, wśród ludności, która nie chciała ani jego, ani jego rewolucji.

22 września 1967 roku partyzanci dotarli do wioski o trafnej nazwie Alto Seco, czyli Wysoka Sucha. Przyjęto ich na poły z lękiem, na poły z ciekawością. Pewien campesino poinformował Che, że wieśniacy obserwowali wspinaczkę jego oddziału i że alcade (sołtys) poszedł wezwać na pomoc wojsko. Nic nie można było na to poradzić. Guerrilleros Che Guevary chodzili od chaty do chaty i prosili ludzi, aby zebrali się w szkole na wiecu. Wieśniacy słuchali Che, nie okazując cienia jakiejkolwiek reakcji. Była to dla niego ostateczna oznaka porażki. Jeśli ci campesinos, żyjący w skrajnej nędzy, nie rozumieli jego marzenia, to nikt go nie zrozumie. Zniechęceni partyzanci opuścili Alto Seco. Wąska ścieżka pięła się stromo pod górę. Przed zmrokiem dowlekli się wyczerpani do Picacho10, gdzie powietrze było rozrzedzone i chłodne. Kilka indiańskich rodzin w łachmanach podzieliło się z nimi skąpymi zapasami jedzenia, a potem tańczyło i śpiewało wraz z nieoczekiwanymi gośćmi. Che odzyskał wiarę; ci ludzie nie odnosili się do niego wrogo. Dopiero później odkrył, że Indianie, mieszkający w czterech glinianych chatach, nie mają radia i nie zdają sobie sprawy, kim jest.

Piętnaście kilometrów dalej w linii prostej kapitan komandosów studiował mapę. Buntownicy będą szukać źródeł wody. Podjął szybką decyzję i postukał palcem w punkt oznaczający małą wioskę. La Higuera.

Z Picacho stroma ścieżka prowadziła do La Higuera. Ludzie Che weszli do wioski, która wydawała się zupełnie wyludniona, jeśli nie liczyć trzech kobiet, przyglądających się podejrzliwie partyzantom. Był to zły znak i Che postanowił wyruszyć natychmiast w dalszą drogę. Musieli przekroczyć 2600-metrową przełęcz wiodącą do Yaguey. Aby rozpoznać teren, wysłał przodem siedmiu ludzi. Wkrótce potem rozległy się strzały. Benigno wrócił kulejąc, krwawiąc z rany w

nodze. Czterej jego ludzie zginęli w zasadzce. Partyzanci Che ruszyli w dół porośniętym krzewami jeżynowymi zboczem, aby wymknąć się z pętli, która zaciskała się szybko wokół nich. Przez kilka ostatnich dni 17 ludzi Che błąkało się bez wody po okolicy. Raz pluton żołnierzy przeszedł w odległości kilku metrów od nich. Musieli zdobyć wodę. Aby oszczędzać siły, poruszali się tylko nocą. Idąc przez bezludny teren usłyszeli nagle szczekanie psa. Przed nimi rozciągała się płaska, otoczona górami dolina, porośnięta karłowatymi drzewami i krzakami jeżyn. Przycupnęli pod kępą drzew, a Boliwijczyk Willy udał się na poszukiwanie studni. Trafił na zagrodę z chudą świnią i kilkoma kurami, ale nie dostrzegł żadnych ludzi. Przywołał towarzyszy, którzy wreszcie zaspokoili pragnienie z glinianego dzbana, a potem położyli się w cieniu drzew. Kiedy Che otworzył oczy, stała nad nim stara kobieta z trzema kozami. Dał kobiecie 50 pesos i kazał jej być cicho; kobieta pokazała im drogę do kanionu, gdzie mogli znaleźć wodę i ścieżkę, która zaprowadzi ich przez góry. Kanion nazywał się Quebrada del Yuro. Wyruszyli przed zachodem słońca. Wtedy właśnie zauważył ich pasterz kóz i zawiadomił kapitana komandosów Garyego Prada. Che i jego mały oddział dotarli do Quebrada del Vuro po zmroku. Pod okapem niskich drzew zwalili się na ziemię i zdjęli buty, by pozwolić odpocząć odparzonym stopom, po czym owinęli się szorstkimi kocami. Che dostał kolejnego ataku astmy; aby nie przeszkadzać innym, odszedł na bok. Popatrzył w nocne niebo... Przybyli tu zaledwie 11 miesięcy temu, ale miał wrażenie, jakby minęło co najmniej 100 lat. Czuł, że jego odyseja zbliża się do końca. Zamknął oczy... Gdy obudził się, wokół było cicho, zbyt cicho. Przebiegł wprawnym okiem wzdłuż grani, która zaczęła wyłaniać się z ciemności w pierwszym brzasku nowego dnia - i zobaczył setki żołnierzy, wyraźnie widocznych na skraju kanionu.

Był 8 października 1967 roku. Niedziela. A więc stało się to, co nieuniknione. Ludzie Che byli obcymi, zabłąkanymi na bezludnej pustyni. Wieśniacy nie mogli albo nie chcieli zrozumieć ich rewolucyjnego języka. Od wielu dni pętla zaciskała się wokół partyzantów. Teraz nie mieli już drogi odwrotu. Znaleźli się w

pułapce, w skalistym kanionie z zablokowanym wejściem. Mogli tylko przypaść do ziemi w próżnej nadziei, iż żołnierze nie są do końca pewni ich obecności. Ludzie Che byli niewidoczni, ukryci w zaroślach, a wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć odgłosów lasu i brzęczenia owadów. Około południa ciszę przerwał straszliwy ryk. Ziemia wokół Che zadrżała, kanion eksplodował gejzerami płomieni. Pociski smugowe z karabinów maszynowych cięły poszycie, rozrywały się granaty moździerzowe. Wielu partyzantów padło od pierwszej, wściekłej nawały ognia. Orlando Pontoja i Rene Martinez mieli twarze zmasakrowane odłamkami pocisku z moździerza. Jakimś cudem Che uniknął trafienia i strzelał raz po raz z karabinu. Około drugiej po południu ogień partyzantów ucichł; jego ludzie byli martwi, umierający lub skończyła im się amunicja. Willy wśliznął się do rozpadliny obok Che; machał gwałtownie ręką, wskazując ścieżkę na

zboczu. Ruszyli szybko w tamtą stronę, kiedy serie z karabinów maszynowych zaczęły szatkować liście. Che padł na ziemię, trafiony w prawą nogę. Karabin M-2 wysunął mu się z rąk, jego łożysko strzaskała następna kula. Willy chwycił go za kurtkę i wciągnął głębiej w zarośla.

Pomimo dotkliwego bólu Che zaczął się czołgać w górę zbocza. Dotarli do krawędzi kanionu - i znaleźli się twarzą w twarz z dwoma boliwijskimi komandosami z wycelowaną bronią, kapralem Balboa i szeregowcem Choque. "Alfol Alto! Ręce do góry!" - wrzasnął zdumiony Choque.

Che pospiesznie podniósł ręce. "Nie strzelać! Jestem Commandante Guevara. Szybko sprowadźcie oficera".

Ścieżką nadbiegł oficer, kapitan Gary Prado Salomon. Człowiek, którego przed sobą zobaczył, nie przypominał uśmiechniętego rewolucjonisty w czarnym berecie, znanego z fotografii.

Brudna, ponura twarz, zarośnięta i wymizerowana. "Więc to pan jest Che Guevara?". Che skinął głową. Oczy Prado zaświeciły się; nie wątpił, że ta zdobycz zapewni mu przyszłą karierę.

Dwaj żołnierze pomogli Che wstać. Dotarli do La Higuera. Jedynym budynkiem z zamykanymi drzwiami była szkoła, podzielona na dwa pomieszczenia: składzik bez okien i salę lekcyjną.

"Tego tutaj. Che do klasy- rozkazał Prado, a potem zwrócił się do sierżanta Spinozy: -Odpowiadasz głową za tych więźniów".

Żołnierze cisnęli związanych więźniów na podłogę i zaczęli przeszukiwać im kieszenie. Kiedy sierżant próbował zabrać Che fajkę, więzień kopnął go zdrową nogą. "Nie traktuje się w ten sposób Che Guevary, zapamiętaj to sobie" - warknął.

Kapitan Prado zadzwonił do sztabu dywizji z polowego telefonu: " Cinco cento cansado" (był to umówiony sygnał, który oznaczał, że Che został schwytany). Kiedy elektryzujące wieści dotarły do La Paz, generałowie boliwijskiej junty byli zaskoczeni. Chociaż ścigali Che od roku, nie mieli żadnych planów na wypadek jego pojmania. Zawsze uważali, że zginie w walce. Teraz musieli rozważyć inne opcje. Generał Barrientos, zręczny polityk, nie chciał się w to mieszać. Rozkazał, aby pułkownik Joaquin Zenteno Anaya przeprowadził rozpoznanie na miejscu. Zenteno wysłał radiogram: "Utrzymajcie cinco cento przy życiu do mojego przyjazdu". Tej nocy, kiedy żołnierze w La Higuera świętowali swój triumf, a sztab generalny debatował nad losem słynnego więźnia, Barrientos pojechał do rezydencji amerykańskiego ambasadora na konsultacje.

Poniedziałek, 9 października 1967 roku. Do La Higuera nie dotarły żadne nowe rozkazy i żołnierze byli zdezorientowani. W jakiś sposób - zapewne dlatego, że była ładną kobietą- zezwolono wejść do klasy miejscowej nauczycielce, Julii Cortez Balderal. Che siedział wyprostowany pod ścianą, z rękoma związanymi na plecach, z nogami skrępowanymi sznurem w kostkach. Najwyraźniej dokuczał

mu ból, a ze zranionej nogi sączyła się krew. Krwawiące stopy pokryte miał zadrapaniami, ubranie podarte i poplamione.

"Spodziewałam się ujrzeć fanatyka, a tymczasem zobaczyłam człowieka o łagodnych oczach. Rozmawialiśmy przez chwilę. Spytał, czy jestem nauczycielką, a potem zaczął mówić o rysunkach, które moi uczniowie przypięli do ściany. Powiedział, że

korzystam ze złych podręczników, a potem zaczął opowiadać o szkołach na Kubie, gdzie uczniowie są dobrze odżywieni i nie chodzą w łachmanach. Spytał, czego wioska potrzebuje najbardziej, a ja powiedziałam, że traktora. Obiecał, że przyśle traktor, kiedy wyjdzie na wolność. Mówił niskim, spokojnym głosem, patrząc mi prosto w oczy. Przekonało mnie to, że mam przed sobą bardzo przyzwoitego człowieka. Powiedziałam: Jest pan taki inteligentny, jak pan mógł znaleźć się w takiej sytuacji?». Odparł: «To przez moje ideały»".

Do wioski przyprowadzono innego więźnia, Chino Changa, otyłego Peruwiańczyka w średnim wieku. Niebawem nadleciał śmigłowiec i wylądował, wzbijając tumany kurzu. Wysiedli z niego pułkownik Joaquin Zenteno, kontradmirał Ugarteche i miejscowy rezydent CIA, Felix Rodriguez. Weszli do szkoły, aby popatrzeć na więźnia, który spowodował taką panikę w kraju., Jeśli mamy zawrzeć jakikolwiek układ -powiedział hardo Guevara - to domagam się, aby w naszych rozmowach pośredniczyła miejscowa nauczycielka, seńorita Cortez". Zenteno skinął głową, wiedząc, że nie będzie żadnych rozmów. Kapitan Prado czekał na rozkazy.

Decyzja zapadła w La Paz około dziesiątej rano. Zaszyfrowaną wiadomość przekazano kapitanowi Prado, który wręczył ją pułkownikowi Zenteno. Była zwięzła i jednoznaczna: "Żadnych więźniów". Kiedy Zenteno rozmawiał przez radio z La Paz, agent CIA Rodriguez wywlókł Che na zewnątrz, aby zrobiono im wspólną

fotografię. Oczy Guevary były zapadnięte, twarz ściągnięta, włosy potargane".

W południe nauczycielka Julia Cortez weszła do szkoły, przynosząc więźniowi miskę zupy. Che popatrzył na nią z wdzięcznością. "Już dawno tak dobrze nie jadłem. Myślę, że zaraz po mnie przyjdą, ale nigdy pani tego nie zapomnę". A potem dodał cichym głosem: "Hasta la victoria sempre!".

Zenteno dał znak kapitanowi Prado. Nastąpiła chwila zwłoki, ponieważ interweniował agent CIA: Amerykanie chcieli przesłuchać Che i zabrać go w tym celu do Panamy. Jednak Zenteno miał wyraźne rozkazy. Kapitan Prado zawołał swoich podoficerów. Spośród siedmiu z jego kompanii zgłosiło się trzech. Wybrał dwóch: sierżanta Bernardino Huancę i sierżanta Mario Terana. Rozkazał im zabić więźniów i upozorować to tak, jakby zginęli w walce.

O 1.00 po południu tego upalnego poniedziałku sierżant Huanca wszedł do składziku, w którym przetrzymywano Willyego. Rozkazał mu stanąć twarzą do ściany. Willy odparł: "Chcę w chwili śmierci patrzeć na ciebie". Sierżant wystrzelił kilka krótkich serii z pistoletu maszynowego i więzień zwalił się na podłogę.

Przez kilka minut ze szkoły dochodził zgiełk podniesionych głosów. Później pojawiły się pogłoski, że Teran zawahał się i nie chciał wykonać rozkazu. Pułkownik Zenteno warknął: "Zarepetuj broń, żołnierzu". Drzwi sali lekcyjnej otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł sierżant Mario Teran z karabinem gotowym do strzału. Bez słowa nacisnął spust. Che został trafiony dziewięcioma kulami, które ułożyły się w linię od lewej strony jamy brzusznej do prawego barku. Choć trudno w to uwierzyć, Che nadal się poruszał, a jego palce zaciskały się w powietrzu. Teran oddał jeszcze jeden strzał, prosto w serce Che.

Julia Cortez siedziała przy kuchennym stole, kiedy usłyszała strzały. Domyśliła się, że zabito Che. Później nie potrafiła sobie przypomnieć,

jak długo trwało, zanim

doszła do siebie na tyle, by udać się do szkoły. Przez uchylone drzwi zobaczyła ciało zabitego i jego otwarte oczy, które patrzyły wprost na nią. Ernesto Che Guevara miał 39 lat.

Egzekucja została doskonale zgrana w czasie. Kiedy Che umierał, w La Paz zwołano konferencję prasową. "Ernesto Che Guevara zginął wczoraj, w bitwie, która zakończyła się śmiercią 10 żołnierzy i całej bandy rebeliantów". Podstawiono specjalny samolot, który zabrał

przedstawicieli miejscowej i zagranicznej prasy do Vallegrande, aby mogli obejrzeć zwłoki. Kiedy samolot dotknął ziemi, obok wylądował helikopter z owiniętymi w płótno zwłokami przywiązanymi do płóz. Zwłoki przeniesiono do ambulansu, który zaraz odjechał. Dziennikarzy zaproszono do stojącego na uboczu budynku pralni Szpitala Maltańskiego w Vallegrande, gdzie zabity przywódca partyzantów został wystawiony na widok publiczny. Pułkownik Zenteno zadbał o to, aby znaleźć się na zdjęciu, kiedy lampy błyskowe aparatów strzelały jak petardy.

Mistyfikacja nie udała się. Dziennikarze odszukali lekarzy dyżurnych, doktora Jose Martineza Casasa i doktora Moisesa Abrahama. Doktor Martinez powiedział, że zwłoki były jeszcze ciepłe, kiedy je dostarczono, i że krew w ranach nie zdążyła zakrzepnąć. Argentyński dziennikarz spytał:

- Od jak dawna ten człowiek nie żyje?

- Od pięciu, najwyżej sześciu godzin.

Po chwili pełnej napięcia ciszy, którą przerywało jedynie gorączkowe skrzypienie ołówków, zadano doktorowi Martinezowi następne pytanie:

- Która rana była śmiertelna?

- Kula w sercu.

- Czy można żyć 24 godziny z taką raną?

- Z całą pewnością nie; śmierć musiała nastąpić natychmiast.

Dziennikarze spojrzeli na zegarki. Była 6.00 po południu w poniedziałek 9 października. Innymi słowy, Che Guevara zginął w południe tego dnia, a nie, jak próbowano im wmówić, podczas walki w niedzielę! Prawda, którąjunta chciała za wszelką cenę ukryć, wyszła na jaw za sprawą lekarza dyżurnego i kilku dociekliwych dziennikarzy.

W La Paz generał Alfredo Ovando Candia wybiegł w pośpiechu z konferencji prasowej, pozbawił kapitana Prado dowództwa i rozkazał żołnierzom zburzyć budynek szkoły, aby zatrzeć wszelkie ślady. Zanim to się stało, do budynku wpuszczono jedną osobę, dominikanina, który przybył do La Higuera z wizytą duszpasterską. Wartownicy nie ośmielili się zatrzymać duchownego. Powiedział on:

"Kiedy zjawiłem się we wtorek wczesnym rankiem i wszedłem do szkoły, pomieszczeń jeszcze nie sprzątnięto. Żołnierze nie bardzo się do tego palili. W pokoju, gdzie zginął Willy, podłoga była zalana krwią. Trudno było oddychać, w powietrzu unosił się zatęchły odór śmierci, a w duszącym upale brzęczały muchy. Na ścianie naprzeciwko drzwi zauważyłem kilka dziur po kulach na wysokości głowy i piersi. W sali lekcyjnej też było mnóstwo krwi. Tutaj dziury po kulach znajdowały się około 180

pół metra nad podłogą. Zabrałem trzy kule i trochę włosów. W wiosce panował względny spokój; ludziom rozkazano pozostać w domach, a kapitan bardzo się starał, aby jego żołnierze nie odkryli więcej, niż już wiedzieli. Odwiedziłem kilku wieśniaków; byli wystraszeni. «Co się z nami stanie, ojcze?». Bali się, że przyjdą przyjaciele zabitego partyzanta i zemszczą się na nich". Ciało Che

leżało na betonowej płycie przez cały wtorek. Mieszkańcy Vallegrande przychodzili je oglądać, a żołnierze pozowali do fotografii, mierząc z karabinów do zwłok, które wpatrywały się w sufit otwartymi oczami. Okaleczone, pozbawione twarzy ciała Kubańczyków Antonia i Artura ułożono obok, aby spotęgować efekt grozy. Przed zachodem słońca zaczęły przychodzić kobiety ze świecami, powodowane bardziej głęboko religijnym szacunkiem dla zmarłego niż podziwem dla rewolucjonisty, którego sprawy nigdy nie rozumiały.

W La Paz generał Ovando znów trafił na pierwsze strony gazet, kiedy wydał kilka sprzecznych oświadczeń. Najpierw stwierdził, że ciało Che pochowano w nieoznaczonym grobie i przysypano wapnem. Później zmienił wersję; oznajmił, że zwłoki spalono, a popioły rozsypano na wietrze, aby nikt nigdy nie oddawał czci mordercy. Kiedy agencje informacyjne na całym świecie huczały od licznych nowych pogłosek, w Vallegrande zaczęło się dziać coś dziwnego. W oknach i witrynach sklepowych pojawiło się zdjęcie Che, wycięte z ilustrowanego magazynu i powielone przez miejscowego fotografa. Nie było to zdjęcie trupa, wpatrującego się martwymi oczami w sufit, lecz portret uśmiechniętego Che w czarnym berecie. Zdjęcie, które niebawem miało obiec cały świat.

A potem...

Narodził się okrzyk bojowy. "Commandante Che Guevara!".

"Presente! Obecny!" - krzyczały dzieci i dorośli od Hawany do Hanoi. Uśmiechnięta twarz Che patrzyła z plakatów na całym świecie. Jego wizerunek przyćmił popularnością samego legendarnego Fidela. Kubański dyktator zwołał masowy wiec na Plaza de la Revolución. Tak ogromnej demonstracji Hawana jeszcze nie widziała. "Commandante Che Guevara!" - zawołał brodaty przywódca socialismo tropical. Odpowiedział mu okrzyk z miliona gardeł: "Presente!"

Podobne wiece zwoływano od Mexico City do Santiago, od Algierii do Angoli, od Kairu do Kalkuty. Mieszkańcy Budapesztu i Pragi palili świece; portrety uśmiechniętego Che pojawiły się w Londynie i Paryżu. Stało się właśnie to, czemu chcieli zapobiec generałowie i politycy: świat znalazł męczennika. A kiedy kilka miesięcy później wybuchły zamieszki w Berlinie, Paryżu i Chicago, skąd niepokoje rozprzestrzeniły się na amerykańskie miasteczka uniwersyteckie, młodzi ludzie wkładali koszulki z wizerunkiem Che Guevary i nieśli jego portrety podczas marszów protestacyjnych. Podczas tych upojnych miesięcy rewolucji 1968 roku Che Guevara nie był martwy. Był jak najbardziej żywy.

181

Ernesto Che Guevara był ostatnim z wielkich romantycznych rewolucjonistów, Don Kichotem poszukującym nieziszczalnych marzeń. Swoje pobudki wyraził najlepiej w liście do rodziców, wysłanym z Boliwii: "Wierzę, że walka zbrojna jest jedynym rozwiązaniem dla ludzi, którzy pragną się wyzwolić. Wielu nazywa mnie awanturnikiem - i jestem nim, ale takim, który gotów jest zaryzykować życie, aby dać świadectwo prawdzie".

Boliwia była pomysłem Che, nie Fidela. Boliwia stanowiła etap na drodze do jego ostatecznego celu: wyzwolenia Argentyny. Che próbował poderwać wiejską ludność Boliwii do walki klasowej przeciwko kapitalistycznemu uciskowi - chociaż w kraju nie było wielkich kapitalistów. Prezydent Barrientos nadał działki ziemi chłopom, przekształcając biednych wieśniaków w drobnych właścicieli. Gdy Che głosił swoją rewolucję społeczną, katoliccy chłopi nie rozumieli go. Dla inteligencji miejskiej Ernesto Guevara był obcym wichrzycielem i heroldem latynoamerykańskiej wersji komunizmu Fidela Castro. Boliwijska partia komunistyczna nie poparła go, obawiając się wpaść w kubańsko-radziecką pułapkę, i Che nie zdołał przekonać ani jednego Boliwijczyka, by przyłączył się do jego sprawy12. Boliwijska eskapada Che była skazana na klęskę od samego początku.

Można by się upierać, że katastrofę spowodowały jego błędne kalkulacje. Pozostaje wszakże jedna nierozstrzygnięta, bardzo istotna kwestia: dlaczego Castro nawet nie próbował wyplątać Che z tej beznadziejnej sytuacji? Hawana doskonale wiedziała, że Guevara nie ma żadnego wyboru ani żadnej szansy przeżycia. A zatem dlaczego? Ponieważ Kubańczyków nie obchodziło to, co robi Che! Mogli wysłać zespół ratowniczy, ale tego nie zrobili. Przyjęli cyniczną postawę: "Zobaczmy, co się stanie. Jeśli wygra, odniesiemy zwycięstwo. Jeśli zginie, zyskamy męczennika". Śmierć Che była wielkim zwycięstwem propagandowym i nadal nim jest3.

Jego tajemnica wciąż fascynuje świat. El Che umarł w samotności. Ci, którzy mogliby opowiedzieć całą jego historię, również nie żyją. Prezydent Barrientos zginął w katastrofie śmigłowca. Generał Ovando zmarł na raka. Sierżant Mario Teran przepadł w obozie wojskowym.

Mityczny Che i prawdziwy Che otrzymywał cios za ciosem. Niewiele pozostało z jego marzenia o "świetlanej przyszłości", o zwycięskim socjalizmie. Ameryka Łacińska jest dzisiaj tym, czym była zawsze: skorumpowanym, pełnym kontrastów kontynentem. Jedyny eksperyment z latynoskim socjalizmem w Chile prezydenta Allende nie powiódł się. To zdumiewające, że ktoś tak przenikliwy jak Che mógł przeoczyć społeczne i ekonomiczne katastrofy w świecie komunistycznym, represyjną, totalitarną politykę jego władców. W jakimś sensie Che stał się więźniem niewzruszonej wiary w staromodny marksizm "dla dobra wszystkich ludzi". Przegrał, ponieważ bogobojni ludzie w bogobojnym kraju nie chcieli przyjąć jego ateistycznej ewangelii. Woleli słuchać słów nauczyciela, którego nauki przetrwały dwa tysiąclecia i będą aktualne nadal, kiedy wszystkie rewolucje już dawno zostaną zapomniane. Największego rewolucjonisty wszech czasów - Jezusa z Nazaretu.

W wiosce La Higuera stoi dzisiaj pomnik, popiersie mężczyzny w berecie. Wyrzeźbili je miejscowi Indianie i pomalowali żywymi

kolorami. Tak właśnie wieśniacy zapamiętali twarz "człowieka, który przyszedł z gór", Che Guevary. A na ścianie

szkoły jest tabliczka z jego nazwiskiem. Dzieci patrzą na nią i zastanawiają się, kim on był.

Interludium 1968-1979

Na Zachodzie akcje zwyżkowały, a gospodarka kwitła. Aby nakarmić nienasycony nowoczesny przemysł, potrzebna była ropa. Można ją było zdobyć tanio i w dostatecznych ilościach w regionie, który konflikty polityczne i religijne uczyniły wysoce niestabilnym. Arabia Saudyjska, Izrael, Syria, Jordania, Egipt, Irak: kraje rozdzierane sporami terytorialnymi i zaburzeniami wewnętrznymi, nękane przez terroryzm i waśnie etniczne. Był to okres, kiedy Ameryka zaczęła wycofywać się z Wietnamu, a Rosja miała się niebawem uwikłać we własny Wietnam w Afganistanie; okres, kiedy produkujące ropę kraje arabskie zjednoczyły się w "kartelu naftowym". Świat uprzemysłowiony zaniepokoił się i zaczął szukać bardziej bezpiecznych zasobów cennego czarnego złota. W ogólnym chaosie jeden kraj wyróżniał się zdecydowanie na korzyść. Wydawał się stabilny i dysponował najlepiej wyposażoną armią w tym rejonie. Posiadał zapasy ropy, które mogły zapewnić regularne dostawy. I okazał się niezawodnym sojusznikiem kapitalizmu. Królestwo Iranu. Wszystko szło dobrze, dopóki nie wkroczył na scenę pewien wichrzycielski duchowny szyicki.

16 stycznia 1979 roku Allahu maa es sabrin!

Allahu maa es sabrin! "Allach sprzyja wytrwałym!"

"O Proroku, zagrzej swoich wyznawców do walki". Jeśli znajdzie się dwudziestu wytrwałych, pokonają dwustu.

Koran

Wiał lodowaty wiatr, jak zawsze zimą na wysokiej równinie. Bogatsze dzielnice stolicy opustoszały; większość zamożnych obywateli uciekła bądź zabarykadowała się za żelaznymi parkanami i zamkniętymi okiennicami. Kraj sparaliżowały strajki. Śmigłowiec przemknął nad dachami, nabierając powoli wysokości, aby pasażerowie mogli spojrzeć po raz ostatni na rozpościerające się w dole miasto, zanim wysadził ich przed królewskim pawilonem na lotnisku Mehrabad. Oficer warty honorowej podszedł ze łzami w oczach do drobnego, szczupłego mężczyzny w szarym garniturze, który wpatrywał się w niebo, jakby sprawdzał pogodę. Oficer przyklęknął i ucałował jego dłoń.

"Czyńcie, co uznacie za konieczne. Mam jednak nadzieję, że nie będzie już więcej ofiar".

Oficer zasalutował po raz ostatni swemu monarsze. Królewska para przeszła powoli czerwonym dywanem i wsiadła do boeinga 707, który nosił nazwę "Królewski Sokół". Była 1.08, 16 stycznia 1979 roku. Kiedy czterosilnikowy, błękitno-biały samolot z monarchą za sterami wzbił się w powietrze, w kanionach ulic zabrzmiał donośnym echem ryk milionów: "Allahu maa es sabrin! Allach sprzyja wytrwałym!"1.

Radio i telewizja przerwały swoje programy, by nadać zwięzły komunikat:

"Szach opuścił kraj".

184

W 1878 roku, kiedy ubogiemu wieśniakowi w odległej górskiej prowincji urodził się syn, Persja była najbardziej zacofanym krajem na Bliskim Wschodzie. Jej ludność, rasowy konglomerat powstały w wyniku najazdów Sumerów, Babilończyków, Asyryjczyków, Greków, Rzymian, Arabów, Mongołów,

Kurdów i Turków, przysparzała nieustannych problemów licznym władcom Persji. Najeźdźcy przynosili ze sobą własny język i własne prawa, swoje zwyczaje i swoją religię. Utrzymanie jedności stało się nadrzędną troską każdego kolejnego szacha. Nie było dróg, a podróżowanie wiązało się z ogromnym ryzykiem; po kraju włóczyły się bandy rabusiów. Szkolnictwo i sądownictwo pozostawało w rękach mułłów, którzy uważali, że sprawowana władza daje im prawo do decydowania za innych, do narzucania własnych instytucji i promowania własnego stylu życia. Taki rodzaj przywództwa nie mógł zapewnić pokoju i stabilizacji, zwłaszcza że największym problemem kraju w ciągu całej jego historii były konflikty religijne. Religijna większość podzieliła się na dwa wrogie odłamy islamu, sunnitów i szyitów. Na północy zamieszkiwali buntowniczy Kurdowie, a w górach w pobliżu Jezdu przetrwały resztki staroperskiego kultu, zoroastryzmu, którego wyznawcy pozostawiali swoich zmarłych na płaskich dachach wież na pastwę sępów2.

Prawdziwymi władcami byli Rosjanie i Brytyjczycy, którzy dążyli do rozszerzania swych interesów handlowych, co wymagało ochrony szlaku wiodącego z Europy przez Persję do Afganistanu, a stamtąd przez przełęcz Khyber do Indii. Wzdłuż tego szlaku powstawały osady handlowe na skolonizowanych obszarach. W 1872 roku brytyjski magnat kolejowy, Julius de Reuter, ubiegł rosyjskiego cara, rozpoczynając budowę perskiej linii kolejowej. Kamienista ziemia nie nadawała się pod uprawę. W kraju panowało bezprawie, a kiedy zagroziło stolicy, Kadżar Szach postanowił utworzyć jednostki kozackie, szkolone i dowodzone przez carskich oficerów. Do oddziałów kozackich zaciągnął się piętnastoletni chłopiec, Reza Pahlawi. Dzięki wyjątkowym zdolnościom szybko awansował.

Po wybuchu I wojny światowej Kadżar Szach sprzymierzył się z Niemcami. Nie można było do tego dopuścić, ponieważ brytyjskie statki handlowe przestawiały się właśnie z węgla na ropę i perskie złoża ropy musiały być dobrze strzeżone. Wraz z "układem o wzajemnym porozumieniu", wymuszonym na szachu w 1919 roku, Persja stała się faktycznie protektoratem brytyjskim. Ponieważ

Kadżar Szach nie zasługiwał na zaufanie, Brytyjczycy, a w szczególności Anglo-Perska Spółka Naftowa, postanowili osadzić na Pawim Tronie wiarygodnego sojusznika. Rezie Pahlawiemu dano do zrozumienia, że protektorzy Persji nie będą się sprzeciwiać, jeśli dokona zamachu stanu. Generał Reza Pahlawi Chan wjechał do Teheranu na czele swojej brygady kozackiej i przejął władzę. W kwietniu 1926 roku były chłopski syn został koronowany jako Reza I Pahlawi, szachinszach Persji. W 1935 roku zmienił nazwę kraju na Iran. Jego następnym posunięciem miało być nałożenie kagańca klerowi, który uważał za główną przeszkodę na drodze procesu modernizacji.

Jego dziedzic, Mohammed Reza Pahlawi (i jego bliźniacza siostra Ashraf) urodził się 26 października 1919 roku w Teheranie. W dzieciństwie chorował na dyfteryt, gorączkę tyfusową i malarię. Zawsze był słabowity, w przeciwieństwie do swojej siostry, która służyła mu chętnie pomocą i radą. Pewnego dnia, chłopiec omal nie zginął,

gdy podczas przejażdżki, koń poniósł i omal go nie zabił. Po tym wypadku nastąpił kolejny długi okres rekonwalescencji. Reza junior spędził lata modzieńcze w ekskluzywnej szkole Le Rosey w Szwajcarii. Ze swoją doskonałą prezencją zdobył wątpliwą sławę tombeur desfilles (pożeracza serc niewieścich) i musiał pospiesznie wracać do domu, kiedy jego związek z pokojówką zbulwersował szkołę. Reza I przetrząsnął cały Bliski Wschód w poszukiwaniu odpowiedniej partii dla syna. Największe korzyści polityczne obiecywał związek z domem królewskim Egiptu. W 1939 roku, w wieku 19 lat, młody Reza poślubił córkę egipskiego króla Fuada i siostrę Faruka. Księżniczka Fawzia urodziła dziewczynkę i wróciła do swego królewskiego ojca. Następna była Soraya Esfandiary, która też nie obdarzyła małżonka męskim potomkiem. Wtedy pojawiła się studentka architektury Farah Diba. Została wysłana do Paryża, gdzie dzięki fryzjerom i domom mody z

kunsztem godnym Pigmaliona przekształcono ją w księżniczkę z Księgi tysiąca i jednej nocy. W ciągu roku urodziła szachowi małego Rezę.

Historia współczesnego Iranu to historia ropy. W 1901 roku brytyjski awanturnik William Knox dArcy uzyskał od Kadżar Szacha prawo "do poszukiwania i wydobywania, do transportowania i sprzedaży całej perskiej ropy". Branża naftowa była (i jest nadal) zdominowana przez kartel Siedmiu Sióstr3. W porozumieniu z Achnacarry z 1928 roku wielkie spółki naftowe podzieliły pomiędzy siebie światowe zasoby ropy tak, jakby dzieliły krąg sera. Nie zadawszy sobie trudu, by uzyskać zezwolenie władców tych państw, zagarnęły każdy skrawek terytorium i zgodziły się na strukturę cen, "jaką narzucą prawa rynku". Ich zyski zwiększyły się z ogromnych do gigantycznych po wybuchu II wojny światowej, która toczyła się w oparciu o ropę. O ile XIX stulecie było uzależnione od węgla do silników parowych, o tyle XX wiek stał się epoką silników spalinowych. Bez ropy świat uprzemysłowiony nie mógłby funkcjonować.

Szach zdawał sobie sprawę, że trzyma w garści międzynarodowy przemysł i transport, nie wspominając już o międzynarodowej machinie wojennej. Ropa, a raczej jej brak, była powodem, dla którego Japonia przystąpiła do wojny. Cios w niekwestionowany wcześniej monopol Siedmiu Sióstr został wymierzony bez ostrzeżenia. W 1937 roku szach podpisał układ z włoską spółką naftową; Włosi zainwestowali 50 procent kosztów w poszukiwania ropy w zamian za 25 procent zysków z jej wydobycia. Stanowiło to niebezpieczny precedens i kartel naftowy zatrząsł się z oburzenia. Później szach zawarł podobne porozumienia z Japończykami i Francuzami.

Igranie z ropą było ryzykownym posunięciem, o czym Reza I przekonał się na własnej skórze. Za granicą zaczęto go odtąd traktować oschle, a nawet wrogo. W 1932 roku Reza I popełnił poważny błąd, odbierając koncesje Anglo-Irańskiej Spółce Naftowej.

Został zmuszony do ustępstw i podpisania 6-letniego moratorium. Popełnił kolejny błąd, wspierając Niemcy podczas II wojny światowej. W 1941 roku Związek Radziecki i Wielka Brytania dokonały inwazji na Iran i obaliły szacha4. Pod dyktatem dwóch obcych mocarstw na tron wstąpił jego 21 -letni syn Mohammed Reza II. Nowy władca, młody i niedoświadczony, stał się marionetką w rękach Brytyjczyków i Rosjan.

186

Winston Churchill usprawiedliwiał zamach stanu: "Wypędziliśmy dyktatora i zainstalowaliśmy konstytucyjnego monarchę, który obiecał cały szereg długo odwlekanych, poważnych reform".

W 1944 roku w wewnętrzne sprawy Iranu zaczęło ingerować jeszcze jedno światowe mocarstwo - Stany Zjednoczone Ameryki. W memorandum dla swego sekretarza stanu Cordella Hulla prezydent Roosevelt stwierdził: "Jestem podekscytowany pomysłem wykazania na przykładzie Iranu, co może dokonać polityka amerykańska". Nagłe zainteresowanie Ameryki bogatym w ropę regionem było wbrew interesom brytyjskim i mogło pokrzyżować radzieckie plany rozszerzenia imperium przez włączenie doń bliskowschodniego portu. Wspierany przez Moskwę ruch niepodległościowy proklamował w północno-wschodnim Iranie republikę autonomiczną, a jednocześnie zaczęła podnosić głowę partia Tudeh, propagująca komunizm w stylu radzieckim. Z punktu widzenia Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych ta rosnąca presja stanowiła zagrożenie dla zasobów ropy. Szach wprowadził stan wyjątkowy, a reszty dokonała jego tajna policja. Aresztowania nie rozbiły ruchu rewolucyjnego i niepokoje trwały nadal. Na scenę wkroczył zręczny manipulator Mohammed Mossadek, który domagał się ni mniej, ni więcej tylko nacjonalizacji irańskiej ropy. Premier Ramzmara sprzeciwił się temu, twierdząc, że Iran nie może unieważnić podpisanych wcześniej koncesji. Cztery dni później Ramzmara zginął, zabity w drodze na piątkowe modły. Nastąpiły kolejne aresztowania, a

irańską gospodarką wstrząsnęła seria paraliżujących strajków. Aby wyprowadzić kraj z impasu, szach mianował Mossadeka premierem.

Przez 50 lat Anglo-Perska (później Anglo-Irańska) Spółka Naftowa była instrumentem brytyjskiej dominacji w Iranie. W 1952 roku 73-letni Mossadek zażądał dla swego kraju równego udziału w zyskach. Rząd brytyjski z niewiarygodną lekkomyślnością odmówił przystąpienia do negocjacji i wycofał swoich specjalistów z rafinerii w Abadanie. "Nie poradzą sobie bez naszych inżynierów" -oznajmił brytyjski minister energetyki. Mylił się. Iran kontynuował wydobycie, a Anglo-Irańska Spółka Naftowa wezwała rynki naftowe do bojkotu irańskiej ropy. Mossadek zawarł ze Związkiem Radzieckim porozumienie w sprawie sprzedaży irańskiej ropy. W szczytowym momencie zimnej wojny, kiedy Ameryką owładnęła paranoja maccartyzmu, brytyjski rząd konserwatywny nie miał trudności z przyklejeniem Mossadekowi etykietki komunistycznego agitatora. Prezydent Eisenhower zaczął wietrzyć czerwone zagrożenie i CIA otrzymała rozkaz opracowania planu awaryjnego. Rezydent CIA na Bliskim Wschodzie, Kermit Kim Roosevelt, wnuk prezydenta Theodorea Roosevelta, stanął na czele operacji "Mossadek". Kiedy rodził się plan przewrotu, szach siedział w swoim pałacu jak w klatce, nie wiedząc, co się dzieje. Zaczął nawet podejrzewać, że Brytyjczycy współpracują z Mossadekiem, dopóki Kim Roosevelt nie przemknął się potajemnie do pałacu, by przedstawić szachowi propozycję kontruderzenia.

W sierpniu 1953 roku Mossadek rozwiązał parlament, stając się dyktatorem. Szach próbował go odwołać i mianować na jego miejsce przedstawiciela skrajnej prawicy, generała Fazollaha Zahediego, ale Mossadek mógł liczyć na poparcie społeczne i odmówił ustąpienia. Na ulicach rozbrzmiewały okrzyki: "Jankesi do domu!". Na ulice wyległa młodzież z czerwonymi sztandarami. Płonęły samochody i ginęli ludzie. W Teheranie 187

odbywały się burzliwe demonstracje, połączone z paleniem flag i atakami na biura spółek naftowych i zagranicznych linii lotniczych. W

przewidywaniu najgorszego szach stracił zimną krew, wszedł na pokład prywatnego samolotu i odleciał do Rzymu. Zjawił się tam jako uchodźca bez grosza i musiał dzielić pokój z perskim przedsiębiorcą w hotelu Excelsior5. Ta wybuchowa sytuacja mogła w każdej chwili rozprzestrzenić się na cały Bliski Wschód. Należało szybko położyć jej kres. W ruch poszły pieniądze CIA. Niebawem zamiast okrzyków "Jankesi do domu!" rozległo się: "Niech żyje Ameryka!", a portrety szacha znów pojawiły się w witrynach sklepowych. 19 sierpnia 1953 roku, jedząc obiad w Rzymie, szach otrzymał telegram:

MOSSADEK OBALONY. WOJSKA KRÓLEWSKIE OPANOWAŁY SYTUACJĘ W TEHERANIE.

W jednej z najbardziej spektakularnych operacji CIA, z pomocą kilku opłacanych przez nią generałów, Stany Zjednoczone pozbyły się Mossadeka. Został osądzony i skazany na śmierć, lecz szach zamienił mu wyrok na karę więzienia. Rozpromieniony Pahlawi wrócił do stolicy, gdzie dziennikarze wznosili toasty na jego cześć. Chętnie udzielał wywiadów, aby poprawić swój nadszarpnięty wizerunek monarchy, który uciekł, pozostawiając kraj na pastwę wojny domowej. Po powrocie zastał bezwzględne, uzbrojone po zęby siły policyjne, zacofanych mężów stanu, żądnych chwały polityków i "wspólników w interesach" - miejscowych i zagranicznych - spiskujących dla własnych celów. Ci zręczni intryganci przyklękali i całowali dłoń szacha, który powtarzał:

"Wiem, że mnie kochają". Wraz ze spadkiem popularności Mossadeka uwierzył, że jest nieśmiertelny i kochany przez wszystkich, co z czasem miało doprowadzić do tragedii. Jego megalomania nie znała granic; w ciągu kilku miesięcy oznaki jego ubóstwienia stały się wszechobecne. Po wprowadzeniu surowego prawa prasowego wszelkie dyskusje krytyczne na temat nękających kraj problemów zostały faktycznie zakazane. Każda gazeta codzienna musiała zamieszczać na pierwszej stronie obszerny artykuł o Rezie II, szachinszachu Iranu, wychwalając jego osiągnięcia niezależnie od tego, co jeszcze działo się na świecie. Jego ambicją było zostać Napoleonem Bliskiego Wschodu. Wpływy ze sprzedaży ropy i amerykańska pomoc pomogły mu stworzyć potężną machinę wojenną. Generałowie, których lojalność nie budziła wątpliwości, byli rozpieszczani i obdarowywani wspaniałymi rezydencjami. Emerytowani szefowie CIA i francuscy generałowie, występujący w roli handlarzy bronią, odbywali pielgrzymki do Teheranu, aby zademonstrować skuteczność pocisków kierowanych i nowoczesnych samolotów myśliwskich. Petrodolary płynęły nieprzerwanym strumieniem do kieszeni producentów sprzętu wojskowego. W latach 1972-1977 Iran zakupił 240 najnowocześniejszych samolotów myśliwskich, 500 śmigłowców bojowych, cztery fregaty, trzy okręty podwodne i kilkanaście baterii pocisków Hawk. Monarcha usprawiedliwiał tę rozrzutność, mówiąc: "Nie możemy osiągnąć przewagi ekonomicznej bez potężnych sił zbrojnych".

Prócz szacha była jeszcze jedna bardzo ważna osoba, równie boska. Stała się znana jako SAIPA,

Son Altesse Imperiale Princesse Ashraf. Ludzie darzyli ją nienawiścią albo miłością, lecz nikomu nie była obojętna. Księżniczka Ashraf wniosła większy wkład w wizerunek monarchii niż którakolwiek z trzech żon Rezy. Zapewne Najwyższa Istota

wymieszała przy urodzeniu geny bliźniąt i obdarzyła dziewczynkę cechami przeznaczonymi dla chłopca. Jako nadzwyczajny ambasador szacha Ashraf nauczyła się, że dyplomacja jest sztuką osiągania tego, co możliwe do osiągnięcia, i dowiodła swojej wartości jako mistrzyni intryg i kompromisów. Kiedy Rosjanie nie chcieli wycofać swoich wojsk z Azerbejdżanu, pojechała zobaczyć się ze Stalinem; radziecki dyktator nie tylko spełnił jej żądanie, lecz podarował jej też wspaniałe sobolowe futro. Wraz z Amerykanami odegrała istotną rolę w obaleniu Mossadeka; pomogła nawiązać stosunki dyplomatyczne pomiędzy Iranem a Chinami Mao. Na francuskim Lazurowym Wybrzeżu krążyły fantastyczne pogłoski ojej niezliczonych przygodach miłosnych. Niebywały zmysł do interesów przyniósł jej fortunę, lecz nie dało się udowodnić żadnych nadużyć. W latach 70. większość poważniejszych transakcji załatwiano za pomocą walizek Samsonite, wypchanych studolarowymi banknotami i przewożonych prywatnymi samolotami do banków w Liechtensteinie lub na Kajmanach. Łapówka była jedyną metodą prowadzenia interesów z Iranem. Korupcja stała się chorobą społeczną; argument, że "wszyscy to robią", był powszechnie akceptowany. Trudno jest przezwyciężyć głęboko zakorzenione nawyki.

W 1963 roku Reza zainicjował "Białą Rewolucję", która przewidywała szereg daleko idących zmian. To, co zostało pomyślane jako reforma rolna, było w rzeczywistości tylko populistyczną retoryką. Kupowano ziemię od zamożnych rodzin i odsprzedawano bogatym właścicielom ziemskim. Biedni wieśniacy, których liczba rosła, napływali do miast, gdzie próbowali odtworzyć wiejski styl życia. Niektórzy nowi przybysze znajdowali zatrudnienie jako służba domowa, lecz dla większości nie było pracy. Zamiast poprawić swój los, wiedli żałosną egzystencję w dzielnicach nędzy wyrastających w szybkim tempie na przedmieściach. Ich rozpaczliwa sytuacja zwiększała ogólne niezadowolenie i niebawem biedacy zaczęli szukać pomocy u mułłów. Szach popełnił również błąd, gdy na wzór Zachodu próbował przyznać kobietom prawo do głosowania, o czym nie słyszano dotąd w świecie islamskim. Jego śmiałą inicjatywę potępiło

natychmiast 80 000 mułłów w meczetach w całym kraju. Księżniczka Ashraf otwarcie wyrażała irytację z powodu kobiet, które nadal noszą "te straszne czarne zawoje swoich babek". Niczego to nie zmieniło; kobiety nie przestały nosić czadorów.

Proponowana emancypacja kobiet zapoczątkowała zaciętą walkę pomiędzy władzą świecką a duchową. Właśnie na tym polu Amerykanie przyczynili się do upadku szacha. Tysiące amerykańskich doradców i techników napływały do Iranu, aby pomóc uruchomić jego machinę wojenną. Przybywali wielkimi samolotami i oceanicznymi transportowcami. Otwierały się luki, skrzypiały dźwigi i z okrętowych ładowni wyłaniał się sprzęt wojskowy. Artyleria, amunicja, śmigłowce, pociski - i setki skrzynek z alkoholem. Doradcy przywozili ze sobą własną kulturę i hamburgery; brygady irańskich robotników wyładowywały puszkowaną fasolę z boczkiem, suszarki do włosów i tysiące innych przedmiotów niezbędnych do tego, by Amerykanie mogli czuć się jak u siebie w domu. Ich żony jeździły wielkimi samochodami na miejscowe bazary i ubierały się jak nastolatki w słonecznej Kalifornii, w krótkie szorty i obcisłe podkoszulki. Chodziły na plażę, gdzie ich mężowie piekli na grillu mrożoną wieprzowinę, a w tym czasie "dziewczęta" przebierały się w skąpe bikini. Nie zważały na 189

fakt, że znalazły się w kraju islamskim, gdzie obowiązuje pruderyjny islamski kodeks kobiecej skromności. Ci młodzi Amerykanie nie mieli doświadczenia w życiu za granicą i nie rozumieli złożoności surowych religijnych praw szyitów. Nie uszło to jednak uwagi miejscowej ludności, która uważała napływ obcych przybyszów za swego rodzaju nieprzyjacielską okupację. W 1964 roku kwestia, kto ma prawo sądzić wykroczenia popełniane przez amerykańskich doradców, doprowadziła do rozłamu pomiędzy szachem a człowiekiem, który miał się stać jego nemezis, ajatollahem Chomeinim.

Morderstwo sądowe od tysiącleci było symbolem potęgi władcy, a pod tym względem Iran stał się jednym z najbardziej represyjnych

reżimów. Krytyka władzy królewskiej nie była tolerowana. Jeśli w łonie rządu pojawiały się nieporozumienia polityczne, wówczas szczególnie nieustępliwi przeciwnicy szacha płacili za to długoletnim więzieniem - lub życiem. Zabijanie przeciwników podsycało jedynie opozycję. Nie oszukało nikogo posunięcie szacha, który wprowadził system dwupartyjny, a następnie, aby być pewnym "opozycji", sam wybrał kandydatów. "Pragniemy za wszelką cenę uniknąć doświadczenia niektórych krajów demokratycznych, gdzie lud daje rządowi taką opozycję, na jaką zasługuje" - oświadczył. Z pomocą aparatu bezpieczeństwa wewnętrznego trzymał kraj w żelaznym uścisku. Narzędziem władzy szacha była osławiona SAYAK (Narodowa Organizacja Bezpieczeństwa i Wywiadu), której 80 000 agentów (po jednym na każdego mułłę, jak mówiono) nie musiało się tłumaczyć ze swoich działań. Całe perskie społeczeństwo było infiltrowane, od ministrów do górników, od oficerów do starszyzny wioskowej, a szczegółowe raporty trafiały codziennie na biurko władcy. Czasami organizował procesy pokazowe, kiedy indziej ludzie po prostu znikali. Za granicą agenci SAYAK nękali emigracyjne środowiska opozycyjne i grupy studenckie. W armii spotkania więcej niż dwóch oficerów były zabronione. Strach stał się psychicznym fundamentem rewolty. Wywołało to proces podobny do choroby zakaźnej - jak uczy historia, terror zawsze rodzi terror. Walka zmieniała charakter. Żołnierzy gotowych umrzeć za szacha mieli niebawem zastąpić chłopcy ze zdobycznymi karabinami, gotowi umrzeć za ajatollaha.

Reza Pahlawi w coraz większym stopniu zachowywał się tak, jakby jego mottem była nieśmiertelna fraza Ludwika XIV: "Państwo to ja". Ale podczas gdy francuski Król Słońce otaczał się utalentowanymi ludźmi pokroju Colberta czy Turennea, szach uważał, że może robić wszystko sam. Nie miał jednak do tego ani zdolności, ani odpowiedniej pozycji w świecie. Mimo to niezachwianie wierzył w swoją boską misję. "Od czasu, gdy ukończyłem sześć lat, miałem poczucie, że istnieje Najwyższa Istota, która kieruje moimi krokami". Chociaż w kraju brakowało szkół i szpitali, szerzył się analfabetyzm, a wskaźnik śmiertelności był najwyższy na Bliskim Wschodzie,

w październiku 1971 roku szach urządził widowisko na skalę, która przyćmiła wszystko, co do tej pory oglądano. Sprowadzono na tę okazję najlepszych paryskich projektantów mody i kucharzy. Samoloty wiozące członków rodzin królewskich lądowały na specjalnie zbudowanym pasie startowym.

W środku pustyni powstało miasto z namiotów, a każdy namiot był wyposażony w marmurową łazienkę. Przygotowano specjalne perfumy; galowe mundury były szamerowane nicią z czystego złota; szef kuchni u Maxima przyrządził danie z gotowanych jajek przepiórczych i kawioru. Ponieważ

jednak mistrz protokołu zapomniał poinformować eksperta kulinarnego, że Jego Królewski Majestat nie bierze do ust kawioru, podczas bankietu nikt nie jadł, dopóki trzygwiazdkowy kucharz nie podał monarsze gotowanych porów.

Po raz pierwszy od czasu kongresu wiedeńskiego, kiedy królowie i mężowie stanu dzielili ponapoleońską Europę, zaproszono światowych przywódców, by dyskutowali o przyszłości globu.

Jeden cesarz, dziewięciu królów, trzech rządzących książąt, 13 prezydentów, 10 szejków i jeden sułtan. Reza Pahlawi uważał się za potomka Cyrusa Wielkiego, który w 564 roku przed Chrystusem podbił Lidię (dzisiejszą Turcję), a później rozszerzył swoje imperium od Morza Śródziemnego po Syrię i Egipt. Innym z jego wielkich przodków był Dariusz, który dotarł aż do doliny Indusu. Szach połączył zatem obchody trzydziestej rocznicy swojej koronacji z 2500-leciem Iranu jako imperium. Wybrał do tego celu ruiny Persepolis, wymowny symbol wielkości starożytnej Persji. Persepolis było świadkiem wielkich wydarzeń. Po wspaniałym zwycięstwie Aleksandra Wielkiego nad Persami pod Gaugamelą w 331 roku przed Chrystusem pojawiła się przepowiednia, że Aleksander zniszczy perską przeszłość, aby grecka kultura mogła

podbić świat. Aleksander rozkazał więc doszczętnie spalić Persepolis. Tak głosiła legenda; prawda była zapewne taka, że jego żołnierze zasmakowali w luksusach i odmówili dalszego marszu. Aleksander rozwiązał problem, niszcząc ich kwatery.

Mohammed Reza II Pahlawi, który dostosował historię Persji do własnych celów, otworzył uroczystości bezbarwnym, monotonnym głosem: "Cyrusie, wielki królu królów, ja, szachinszach Iranu, i mój lud pozdrawiamy cię!". Potem nastąpił kostiumowy czterogodzinny spektakl, który rozpoczęli brodaci wojownicy w strojach Persów i Medów. Demonstracja potęgi Iranu, osiągniętej niegdyś dzięki konnicy Kserksesa i rydwanom wojennym Cyrusa, została doprowadzona do czasów współczesnych pokazem potęgi militarnej szacha. Mówiąc oględnie, Persepolis okazało się klapą. Szach polecił traktować zaproszonych gości zgodnie ze średniowiecznym ceremoniałem królewskiego starszeństwa, co doprowadziło do wielu żałosnych nieporozumień. Królowie bez królestw byli sadzani przed przywódcami wielkich mocarstw. Prezydent Francji Georges Pompidou nie chciał siedzieć za jakimś drobnym książątkiem i przysłał w zastępstwie swego premiera - afront, którego szach nigdy mu nie wybaczył. Królowa Anglii przysłała córkę, księżniczkę Annę; królowa Holandii przysłała męża. Największe zakłopotanie wywołała jednak nieobecność prezydenta Stanów Zjednoczonych Richarda Nixona. Amerykę reprezentował wiceprezydent Spiro Agnew, którego zgodnie z arystokratycznym protokołem posadzono tuż przed ambasadorem Chińskiej Republiki Ludowej. Co gorsza, wydatek rzędu 300 000 000 dolarów na jednodniowe przedstawienie w kraju ze średnim rocznym dochodem wysokości 50 dolarów na głowę dostarczył amunicji wrogom szacha. Szach uznał jednak Persepolis za wielki sukces. Przekazał swoje przesłanie. Miesiąc później wykonał wojowniczy gest i zerwał stosunki dyplomatyczne z Irakiem. Zdecydował się też na osobliwe posunięcie, które naruszyło równowagę w całym regionie - zajął trzy skaliste, bezludne wysepki w cieśninie Ormuz, panujące nad wejściem do Zatoki Perskiej, dzięki czemu mógł kontrolować szlak żeglugowy do obszarów bogatych w ropę. Ten krok pociągnął za sobą daleko idące konsekwencje.

22 grudnia 1973 roku był znaczącym dniem dla ekonomii światowej. Przedstawiciele sześciu państw Zatoki Perskiej produkujących ropę naftową spotkali się na poufnej sesji w Teheranie. Po przeciwległych stronach przykrytego suknem stołu zasiedli szejk Żaki Yamani, saudyjski minister przemysłu naftowego, który domagał się obniżki cen arabskiej ropy, i szach, który dowodził, że Zachód powinien płacić więcej. Pierwsza tura rozmów zakończyła się impasem. Wówczas szach wykonał mistrzowskie posunięcie, zwołując konferencję prasową. Wielka hala międzynarodowego portu lotniczego w Teheranie wypełniła się zagranicznymi dziennikarzami. Niebawem zjawił się szach i zasiadł przed mikrofonami. Zanim ktokolwiek zdążył zadać pytanie, królewskim gestem uniósł ręce i uciszył wszystkich zebranych. A potem ogłosił wstrząsającą wiadomość: "11,65 dolara za baryłkę!". Ponaddwukrotnie więcej niż cena z poprzedniego dnia! Wyjaśnił, że składa tę ofertę, "powodowany hojnością i łaskawością". W 1974 roku dochody Iranu ze sprzedaży ropy wzrosły z 5 miliardów dolarów do 24 miliardów dolarów rocznie.

Ropa stała się tematem dnia. Zachód nie interesował się zbytnio islamskimi problemami wewnętrznymi, ale był niezwykle podatny na "wstrząs naftowy". Arabowie (jak ich powszechnie nazywano) powodowali komplikacje na rynku, podnosząc ceny ropy -i tylko to było ważne. A co się tyczy polityki wewnętrznej, to poza palestyńskimi terrorystami (też określanymi jako Arabowie), którzy podkładali bomby w telawiwskich autobusach, media nie miały wiele do przekazania. Wkrótce się to zmieniło.

Zarówno dla szyitów (uczniów Alego, zięcia Mahometa), jak i dla ich śmiertelnych wrogów sunnitów (uczniów samego proroka Mahometa) imamowie (muzułmańscy przywódcy) reprezentowali coś więcej aniżeli tylko religię; dostarczali duchowej wykładni praw zapisanych w Świętym Koranie. W wyniku reform przeprowadzonych przez Rezę I Chana w latach 30. imamowie stracili większość

swoich wpływów na rządy krajem. Mułłowie byli zamieszani w próbę zamachu na szacha w 1949 roku i niewątpliwie popierali Mossadeka, zgodnie z miejscowym porzekadłem: "Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem". Następną wielką ofensywę rozpoczęli w latach 60., w odpowiedzi na "Białą Rewolucję" szacha, ponieważ reforma rolna i emancypacja kobiet były sprzeczne z duchem islamu. Potrzebowali jednak kogoś, kto miałby dosyć siły ducha i wyobraźni, by doprowadzić do zmian. Znaleźli go w osobie podstarzałego, siwobrodego szyickiego nauczyciela prawa islamskiego, którego najbardziej uderzającą cechą były oczy gorejące świętym ogniem.

Ajatollah Sayyed Rudollah Musawi Chomeini urodził się w 1902 roku w rodzinie pomniejszego mułły w świętym mieście Kom. Został wychowany według surowych zasad wiary islamskiej. Napisał broszurę, w której zarzucał szachowi, że zapomniał o prawach islamu. W miarę jak jego ataki przybierały na sile, grono jego słuchaczy gwałtownie rosło. "Dzisiaj Święty Koran i Islam są w niebezpieczeństwie" - te słowa stały się wypowiedzeniem wojny władzy kraju. W 1963 roku otwarcie oskarżył szacha, że jest agentem Izraela. Aresztowanie Chomeiniego doprowadziło do krwawych zamieszek w całym kraju, w których zginęły tysiące ludzi6. Premier Assadollah Alam chciał pozbyć się raz na zawsze kłopotliwego ajatollaha, lecz szach zapobiegł jego egzekucji. Stanowczo nie docenił wytrwałości i uporu swego przeciwnika. Dla niego Chomeini był tylko nauczycielem zasad, podczas gdy prawdziwe niebezpieczeństwo stanowili podziemni

agitatorzy. W 1964 roku skazał Chomeiniego na wygnanie w odległe rejony kraju, ale imam nie chciał milczeć, a jego przemówienia zaostrzały sytuację. Znów został aresztowany i znów szach nie dopuścił do egzekucji. Próbował przekonać ajatollaha, by pozostawił politykę doświadczonym mężom stanu. Chomeini odparł: "Od czasów Proroka islam reprezentował władzę polityczną, nie ograniczając się

do praktyk religijnych". Ostateczne zerwanie było nieuniknione i nastąpiło jesienią 1964 roku w związku z kwestią amerykańskich doradców wojskowych, którzy odpowiadali za swoje wykroczenia przed trybunałami amerykańskimi, a nie przed irańskim wymiarem sprawiedliwości, działającym zgodnie z prawami islamu. W 1965 roku Chomeini został wydalony z kraju i osiadł w Al-Nadżaf w Iraku. W chwili, gdy ajatollah przekroczył Shatt-el-Arab, rzekę oddzielającą Iran od Iraku, wszedł do historii islamu.

Na początku VII wieku rozeszła się wieść o niezwykłym wydarzeniu w Mekce, kupieckim mieście na bezdrożach Arabii. Muhammad Ibn Allah, urodzony w 570 roku, ogłosił się wysłannikiem Boga.

Ludzie przybywali do jego domu, by słuchać nauk. Po śmierci proroka w 632 roku Khalid-ibn-Walid (znany jako "Miecz Islamu") wyruszył na podbój Półwyspu Arabskiego, kierując się nieposkromionym fanatyzmem religijnym. Do decydującego starcia doszło w 637 roku pod Al-Kadisijją w pobliżu Nadżafu. W "Matce Wszystkich Bitew" Saad-ibn-Waqqas pokonał ogromną armię perską. Po zwycięstwie nic nie mogło powstrzymać postępów islamu i słowa proroka powędrowały z obszaru Żyznego Półksiężyca do Afryki Północnej, a stamtąd do Hiszpanii, gdzie utrzymały się aż do upadku Granady w 1492 roku. Islam doprowadził do fundamentalnych zmian politycznych w krajach, którym został narzucony. W 656 roku zięć proroka Mahometa, Ali, przyczynił się do upadku kalifa Ustmana; jego zwolennicy zasztyletowali Ustmana, który stał się pierwszym kalifem zabitym przez innego muzułmanina. Wybuchła krwawa wojna i Ali został zamordowany. Po tych zabójstwach islam się podzielił. Husajn ibn Ali, syn Alego, jest uważany za świętego założyciela sziat Ali -Stronnictwa Alego. W 680 roku otrzymał boski nakaz odnowienia kalifatu ojca w Kufie. Wraz z 72 towarzyszami, powodowanymi fanatyczną determinacją, by wykorzenić bałwochwalstwo i rozpustę, wyruszył z Medyny. Ommajadzki kalif Jezid rozkazał przechwycić karawanę i zabić stronników Husajna7. "Masakra siedemdziesięciu dwóch" doprowadziła do Wielkiej Schizmy islamu, podziału na sunnitów i

szyitów. Historia schizmy obfituje w najazdy i wygnania, zabójstwa, wojny i rzezie, a pragnienie zemsty utrzymuje się do czasów obecnych8.

Na początku szyityzm był doktryną mniejszości, zawołaniem bojowym wszystkich, którzy żywili urazę do swych arabskich panów. Doprowadziło to do powstania grup aktywnych politycznie ekstremistów, takich jak asasyni (od hasz-szaszi, czyli "palacz haszyszu"), sekta założona przez perskiego duchownego, której nazwa stała się synonimem morderstwa. Teologia szyicka zawiera liczne elementy preislamskie, na przykład męczenników otacza aureola świętości, tak jak starożytnych królów Persji. Spadkobiercy Husajna, nazywani imamami, przypisywali sobie te same atrybuty, co boskie postacie z przeszłości.

Chomeini był szyitą. Miasto Nadżaf wybrał dlatego, że jest to nie tylko najświętsze miejsce szyitów, lecz także ośrodek irańskiej religii państwowej. Z tego smutnego miasta domów o glinianych ścianach, położonego w cieniu meczetu Alego, fanatyczny XX-wieczny uczeń proroka ciskał gromy na "występnego sługę dolara". Demaskował okrucieństwa popełniane przez SAYAK, sławił męczenników w walce z uciskiem i podburzał irańskich mułłów do czynnego oporu. W 1978 roku Saddam Husajn, w obawie przed aktywizacją buntowniczej mniejszości szyickiej, wygnał Chomeiniego z Iraku.

Ajatollah był siłą napędową insurekcji, ale do upadku szacha doprowadziła przede wszystkim ropa. Arabowie nie ufali człowiekowi, który sprzedawał ropę każdemu, kto chciał ją kupić, w tym również Izraelowi. Przynajmniej raz szach zareagował; pod jego kierownictwem największe kraje produkujące ropę naftową zjednoczyły się i odniosły pierwsze zwycięstwa. OPEC, luźna federacja państw, oznaczała koniec starego systemu koncesji. Krajom od Indonezji do Wenezueli i od Arabii Saudyjskiej do Meksyku udało się wymusić istotne zmiany na potentatach

naftowych. Wraz z utworzeniem OPEC reputacja szacha osiągnęła swój szczyt. Popełnił jednak fatalny w skutkach błąd, próbując uzurpować sobie koronę naftową, a jednocześnie walcząc z kartelem Siedmiu Sióstr. Była to wojna na dwa fronty, z niezbyt obiecującymi perspektywami. W 1973 roku, gdy ministrowie OPEC nadal spierali się o regulację cen, Egipt i Syria najechały terytoria okupowane przez Izrael. Przez całą Wojnę Jom Kipur szach zaopatrywał Izrael w ropę. Arabowie, pod przewodem saudyjskiego króla Fajsala, wprowadzili embargo na eksport ropy; przed stacjami benzynowymi na całym świecie tworzyły się kolejki. Irański minister przemysłu naftowego, działając na polecenie szacha, złamał embargo, wprowadzając pierwszą z serii "aukcji ropy", w której wyniku ceny skoczyły z sześciu dolarów do 17 dolarów za baryłkę. Arabowie byli wściekli. Amerykański sekretarz skarbu William Simon odwołał wizytę w Teheranie, mówiąc: "Szach to pomyleniec". Nieodpowiedzialne posunięcia szacha mogły spowodować komplikacje w całym regionie. Nadszedł czas, aby się go pozbyć. Nie brakowało powodów ani pretekstów. Na pierwszym miejscu były kwestie religijne. Symboliczny dekret szacha przeciwko islamskiemu fundamentalizmowi mógł zdyskredytować samą ideę, którą miał w swoim zamyśle umacniać. Ryzyko było zbyt wielkie, a potencjalne korzyści zbyt nikłe. OPEC uznała, że szach musi odejść. Co dziwne, aż do tej pory Iran uzyskiwał największe poparcie ze strony produkujących ropę szejkanatów arabskich, zwłaszcza królestwa Arabii Saudyjskiej. Dowodzono, że dopóki szach pozostaje u władzy, ceny ropy utrzymują się na wysokim poziomie. Był jeszcze jeden kraj, który zawsze patrzył nieprzychylnym okiem na przyjazne stosunki pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a szachem Iranu. Chodzi oczywiście o Izrael. Iran stanowił tu kamień węgielny amerykańskiej zapory przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Izraelowi niezbyt się podobało, że Stany Zjednoczone wspierają w tym regionie dwóch sojuszników. Kolejne znaczące wydarzenie nastąpiło latem 1975 roku, kiedy iracki przywódca Saddam Husajn i szach położyli chwilowo kres odwiecznym waśniom swoich krajów i zawarli typowy orientalny układ. Iran zgodził się wstrzymać dostawy broni dla Kurdów walczących z Irakiem, a Saddam Husajn

otworzył Shatt-el-Arab dla irańskiej żeglugi. To zbliżenie podważyło wiarygodność Iranu.

194

Przez jakiś czas szach utrzymywał się przy władzy na zasadzie inercji. Zachód zbyt wiele w niego zainwestował, aby go teraz porzucić. Zachodnie potęgi przemysłowe dowodziły, że z szachem, który pozostawał siłą napędową OPEC, łatwiej będzie negocjować politykę naftową z Arabami. To założenie opierało się na błędnych przesłankach, ponieważ szach był teraz uważany za zdrajcę islamu. Państwa arabskie nad Zatoką Perską zaczęły wspierać finansowo irańską opozycję. Była to zapewne najgorsza rzecz, jaką mogły zrobić. Nie wzięły pod uwagę, jak poważne komplikacje pociągnie za sobą upadek szacha: w najlepszym razie zatriumfuje nacjonalizm, w najgorszym - nowy religijny fundamentalizm, który może zarazić cały Islamski Półksiężyc9.

Tak czy inaczej, nie była potrzebna pomoc arabskich sąsiadów; szachinszach sam kopał dla siebie grób. "Co to jest wolność przekonań, co to jest demokracja? - spytał dziennikarza. - Chodzenie na strajk i paradowanie po ulicach z pięcioletnimi dziećmi? To jest demokracja? To jest wolność?". W dniach poprzedzających kryzys 1978 roku lepsze wyczucie sytuacji, silniejsza wola polityczna i większa uczciwość mogłyby uratować monarchię przed stoczeniem się w przepaść. Potrzebne były radykalne decyzje: zmiana rządu i kampania wymierzona przeciwko łapówkarzom.

Przywrócenie stabilizacji wymagało zaufania narodu. Szach i jego ministrowie roztrwonili swój kredyt zaufania. Szach sądził, że uda mu się przeprowadzić zasadnicze zmiany ekonomiczne bez równoczesnych zmian politycznych. Zaledwie rok wcześniej tłumy świętowały wyniesienie kraju do rangi światowego mocarstwa (po zajęciu przez Iran wysp w cieśninie Ormuz). Teraz ci sami ludzie wylegali na ulice, by zaprotestować przeciwko nieudolności rządu, która doprowadziła do kryzysu politycznego. Z narastających

problemów korzystali islamiści. W momencie, gdy potrzebna była silna ręka, wcześniejsza euforia szacha ustąpiła miejsca rozpaczy.

Na domiar wszystkich problemów wewnętrznych szach był człowiekiem ciężko chorym. W 1975 roku wezwano potajemnie do Teheranu doktora Georgeśa Flandrina, słynnego paryskiego chirurga. Stwierdził raka krwi i zalecał natychmiastową chemioterapię jako wstęp do intensywnej radioterapii. Diagnoza była dla szacha poważnym wstrząsem i, co zrozumiałe, mniej teraz myślał o sprawach państwa. Cierpiał na stany depresyjne; zawsze pozostawał w cieniu swego wielkiego ojca, który stosował metody zapożyczone od renesansowych kondotierów, by podporządkować sobie naród. Przez całe lata agenci SAYAK zajmowali się przede wszystkim zwalczaniem komunizmu; nigdy im się nie śniło, iż może dojść do powstania mającego oparcie w religii. Szach nie chciał przyjąć do wiadomości, że przez ostatnie 20 lat on sam dawał powód do agitacji mułłów. Szef rządu szacha, emir Abbas Hoveyda, subtelny, uczciwy człowiek, który starał się wypełniać sumiennie swoje obowiązki i nie nadużywał zajmowanego stanowiska do zaspokojenia osobistych ambicji, próbował ostrzec monarchę: "Wasza Wysokość, w kraju panuje niepewna sytuacja. Młodzi ludzie organizują się w grupy i gromadzą w ośrodkach religijnych. Musimy potraktować ich poważnie, bo inaczej niepokoje rozszerzą się na przedmieścia". Szach zlekceważył ostrzeżenie, widząc w wystąpieniach buntowniczej młodzieży co najwyżej uciążliwą niedogodność.

Ehsan Naraghi, doradca, który regularnie spotykał się z szachem, opisał nastroje na dworze królewskim w pierwszych miesiącach 1978 roku:

- Wasza Wysokość, islamscy rewolucjoniści wprowadzili system pożyczek bez oprocentowania. Szach z niedowierzaniem potrząsnął

głową.

- Skąd pochodzą pieniądze?

- Wasza Wysokość, w ciągu ostatnich kilku lat w samym Teheranie zbudowano kilkaset meczetów; składały się na nie setki tysięcy uczniów, wydrukowano setki publikacji - a wszystko to bez żadnego wsparcia ze strony państwa, tylko dzięki muzułmańskiej solidarności.

- Kim są ludzie, którzy wspierają to finansowo?

- Pieniądze przychodzą z zewnątrz, ale kupcy z bazarów też mają swój wkład w to przedsięwzięcie. Podczas następnego spotkania wynikła kwestia wiarygodności zagranicznych sojuszników Iranu:

- Wiesz, co Anglicy zrobili mojemu ojcu.

- Wasza Wysokość, jednak Amerykanie nam pomagają.

- Tak, Amerykanie są inni, chociaż za bardzo ulegają angielskim wpływom. Boją się, że użyjemy naszej potęgi militarnej, by podporządkować sobie cały region. Woleliby mieć w tej części świata słabego króla, którym mogliby manipulować.

Przełomowy 1978 rok zaczął się spokojnie, usypiając szacha iluzją imperialnej potęgi. Niecały tydzień po Nowym Roku szereg niewielkich demonstracji zapoczątkował ciąg wydarzeń, zakończonych nie tylko upadkiem szacha, lecz także zniszczeniem 2500-letniego perskiego imperium.

W styczniu wybuchły zamieszki w świętym mieście Kom. SAYAK opublikowała artykuł w "Ettelaat", znieważając wygnanego i prawie zapomnianego ajatollaha. Demonstracja zorganizowana przez mułłów w obronie honoru Chomeiniego zakończyła się atakiem na posterunek policji. Sześć osób zginęło. Niepokoje rozszerzały się. Tydzień później podczas religijnych zamieszek w Tebrizie śmierć poniosło 100 osób. 15 maja studenci uniwersytetu w

Teheranie urządzili demonstrację i żołnierze wtargnęli na teren uczelni. Miesiąc później w Meszhedzie zginęło 200 osób, kiedy tłum podchwycił wezwanie Chomeiniego do obalenia szacha. Zabitych owinięto w zielone sztandary z wyszytymi wersetami z Koranu, a mułłowie zaintonowali: "Jnna lahum eljanna... bo raj należy do tych, którzy kroczą słuszną drogą Allacha, którzy zabijają i giną, a później dostąpią odkupienia". Pogrzeb męczenników z Meszhedu przekształcił się w demonstrację wiary i w ciągu jednej nocy Chomeini stał się dla ludzi człowiekiem świętym.

Może udałoby się wyciszyć niepokoje, gdyby nie seria niepowiązanych ze sobą wydarzeń, które przeważyły szalę. Do pierwszego doszło na południu, w Abadanie, gdzie mieściła się największa na świecie rafineria ropy. W upalny wieczór 19 sierpnia 1978 roku wybuchł pożar w kabinie projekcyjnej kina Rex. Gdy widzowie zorientowali się, że wyjścia zostały zablokowane z zewnątrz, wpadli w panikę; 477 osób poniosło śmierć w płomieniach. Było to celowe podpalenie, o które policja oskarżyła islamskich fundamentalistów. Mułłowie przypisywali winę agentom SAYAK. Ich argumenty były bardziej przekonywające i zostały ochoczo zaakceptowane przez ludność, która nazwała kino Kebabi-ye Aryamehr, szaszłykarnią szacha. Opozycja zaczęła rozpowszechniać inne pogłoski, twierdząc na przykład, że szach poprosił Izrael

o 20 000 żołnierzy do stłumienia zamieszek. Atmosfera stała się napięta: nie było już jednostajnego wrzasku tłumu, zapanowała złowieszcza cisza przerywana okrzykami. Po raz pierwszy klasa rządząca uświadomiła sobie, że kraj znalazł się na krawędzi rebelii. Posągi szacha oblewano czerwoną farbą, ale jeszcze nie zwalano ich z cokołów; wciąż było dosyć czasu, aby rozładować wybuchową sytuację. Żeby to zrobić, szach musiał działać, i to działać szybko, jeśli chciał zapobiec katastrofie. Musiał zaakceptować perspektywę rozlewu krwi. Zawahał się i niepokoje ogarnęły Teheran, a tysiące ludzi wyległy na ulice. Skandowali nowe hasło: "Chomeini naszym

przywódcą!". Była to hałaśliwa demonstracja, lecz obeszło się bez ofiar i aresztowań. Słabość szacha czy zdrowy rozsądek? Tak czy inaczej, rewolucjoniści zdecydowali, że chwila dojrzała do tego, by przejąć inicjatywę.

Za krytyczny dzień należy uznać ten, kiedy obywatelskie nieposłuszeństwo przekształciło się w otwartą rewolucję, przesądzającą o losie szacha. Tego dnia, 8 września 1978 roku, na ulicach zgromadziły się liczniejsze niż zwykle tłumy i gubernator wojskowy generał Gholam-Ali Oveissi, nie pytając monarchy o zgodę, postanowił interweniować. Ludzie zebrali się na teherańskim placu Jahleh. Otoczyli limuzynę bogatego kupca i mustazafin, jeden z "wydziedziczonych", wskoczył na jej dach, krzycząc: "Margh bar Shah! Śmierć szachowi!". Ostateczne bluźnierstwo! Padł strzał, agitator zwalił się na ziemię, a przez plac przeszedł głuchy jęk. Ciało owinięto w zbryzgany krwią zielony sztandar i rewolucja zyskała swego męczennika. Tłum pałał żądzą zemsty. Generał Oveissi rozkazał swoim ludziom otoczyć plac. Uzbrojeni żołnierze ruszyli wolno naprzód, spychając wzburzone masy na środek placu. Demonstrantów okładano kolbami karabinów. Przebywający na miejscu zagraniczni dziennikarze nie zdołali ustalić, czy nadgorliwi żołnierze sami zaczęli strzelać, czy też działali na rozkaz oficera. Wojsko otworzyło ogień, zabijając 122 osoby i raniąc 4000. Szach był wstrząśnięty; ponad wszystko nienawidził rozlewu krwi.

Nie tylko Oveissi ponosił winę. Powstanie było reakcją na postępowanie władz, które przy podobnych okazjach zawsze wydawały dowódcom kategoryczne rozkazy tłumienia zamieszek z całą energią. Przemoc rodzi jednak przemoc. Bezpośrednim efektem rządowej demonstracji brutalnej siły stało się zjednoczenie mas wokół mułłów. Każdy następny incydent pomagał tylko przekształcić zwykłych mieszkańców miasta w armię rewolucjonistów.

Poprzednie starcia zbladły w porównaniu z tą krwawą masakrą, mającą się powtarzać w następnych tragicznych miesiącach. Ruch nabrał dynamiki. Na ulice wychodziły tysiące ludzi. Wielu zapaleńców zyskało szansę, by przyłączyć się do heroicznej rewolucji proroka. Religia nadal była ich symbolem. W takim właśnie zapalnym momencie wstąpił na scenę agitator polityczny i zagrał na emocjach podnieconego tłumu: "Śmierć szachowi!". Szach nigdy nie był symbolem religijnym, tylko despotycznym monarchą. W nagłym wybuchu tłumionego przez lata gniewu dziesiątki tysięcy ludzi, powodowanych szaleńczą nienawiścią do szacha, zwróciły się przeciwko najlepiej uzbrojonej armii na Bliskim Wschodzie. Tłum rzucał kamienie i butelki z benzyną; wojsko odpowiadało kulami.

Jak wiadomo, nieszczęścia chodzą parami. Kilka dni po masakrze na placu Jahleh miasto Tabas nawiedziło potężne trzęsienie ziemi, w wyniku którego zginęły 3000

ludzi. Szach poleciał na pobliskie lotnisko, gdzie sfotografował się w otoczeniu generałów i dostojników, a w tym czasie pogrążeni w smutku studenci i mułłowie odgrzebywali zabitych spod gruzów. Jako posunięcie propagandowe wizyta szacha w rejonie dotkniętym trzęsieniem ziemi okazała się fiaskiem. Stan jego zdrowia wyraźnie się pogorszył, a pewność siebie ustąpiła miejsca rozpaczy. Michael Blumenthal, amerykański sekretarz skarbu, oznajmił prezydentowi po wizycie w Teheranie: "Ten człowiek to żywy trup. Czy mamy alternatywne plany?".

Waszyngton nie był przygotowany na taką sytuację. W tym czasie admirał Kamil-ladin Olahi, dowódca irańskiej marynarki wojennej, poprosił o audiencję u szacha. "Niech armia opanuje sytuację; aresztujmy 5000 łapówkarzy i 5000 mułłów. To powinno wystarczyć" - powiedział.

Szach długo milczał. Wyglądał przez okno, wpatrując się w jakiś odległy punkt, a potem odparł: "To wbrew konstytucji". Teraz wszystko było wbrew konstytucji, a kraj znalazł się na krawędzi katastrofy.

"Wasza Wysokość, nie ma innego wyjścia. Rewolucja osiągnęła już taki punkt, że tylko armia może ocalić nasz kraj".

Szach nadal się wahał i Olahi odszedł zdeprymowany. Pozbawiony woli król musi przegrać. Podobnie jak Ludwik XVI, Mikołaj II i inni obaleni władcy kolejny monarcha stracił ostatnią szansę, by uratować koronę i swój kraj.

Wysiłki szacha w kierunku modernizacji Iranu naruszyły wzorzec życia codziennego. Nie da się zaprzeczyć, że rewolucyjni mułłowie odegrali istotną rolę w kształtowaniu opinii publicznej i społecznego niezadowolenia, a ich agitacja stała się bez wątpienia ważnym czynnikiem w podburzaniu mas. Jednak z całą pewnością ogromne tłumy, które wyrażały swój gniew, nie były tylko biernym, zręcznie sterowanym instrumentem.

Lewicowy islam stanowił źródło postępowego i radykalnego myślenia od kilku dziesięcioleci. Zapładniał kręgi polityczne i intelektualne, choć często omijał same meczety. Niektórzy mułłowie krytykowali archaiczną strukturę instytucji religijnych i atakowali hierarchię duchowną jako część skostniałego systemu społecznego. Wywoływało to żywy oddźwięk wśród młodzieży, która wychodziła na ulice i głośno domagała się zmian. Młodzi ludzie podejmowali działalność polityczną, kierowani pragnieniem, by samemu decydować o swojej przyszłości, a studencka solidarność była kolejnym czynnikiem aktywizującym. Jak w większości decydujących momentów w historii, ostateczne konsekwencje tego stały się widoczne dopiero w następnych miesiącach.

We wrześniu 1978 roku Chomeini odleciał do Francji, gdzie poprosił o azyl polityczny. Francuzi nie wiedzieli początkowo, co z nim zrobić.

Chociaż zagrozili Chomeiniemu natychmiastowym wydaleniem, nie docenili uporu starego, apodyktycznego człowieka. Przyjmując ajatollaha na francuskiej ziemi, prezydent Giscard dEstaing otworzył puszkę Pandory. Z typowo galijskim cynizmem na Quai dOrsay przygotowywano następcę spisanego już na straty szacha. Francuska policja nie przeszkadzała wygnańcowi w działalności politycznej. Cicha francuska prowincja stała się miejscem 198

pielgrzymek. Uczniowie ajatollaha obozowali w okolicy, a miejscowa ludność miała kłopoty z robieniem zakupów z powodu tłoku panującego na ulicach Neauphle-le--Chateau. Obowiązkowe były tam teraz białe koszule i trzydniowe brody, a dziewczęta, przyzwyczajone do obcisłych dżinsów, zaczęły się ubierać w brzydkie czarne szaty zwane czadorami.

Nadzieje szacha, że świat, a w szczególności jego kraj zapomni o starym mulle, okazały się płonne. W średniowieczną krucjatę ajatollaha wkroczył nowy czynnik: elektroniczne środki masowego przekazu. Chomeini chętnie udzielał wywiadów, a jego słowa wywierały natychmiastowy wpływ. Wspierani zręcznie przez ludzi takich jak Sadegh Ghotbzadeh (jego tłumacz), doktor Ibrahim Yazdi (lekarz ze Stanów Zjednoczonych) i Bani Sadr (jego pierwszy przy wódca polityczny) zagraniczni dziennikarze stali się ostrym mieczem ajatollaha. Niebawem jego skromny domek na przedmieściach Paryża zaczęły oblegać tłumy reporterów z kamerami telewizyjnymi. Talerze anten satelitarnych wyrastały gęściej niż chwasty. Dziennikarze czekali w kolejkach i zdejmowali buty, zanim wprowadzono ich przed oblicze tego człowieka o wyglądzie biblijnego patriarchy, z białą brodą i czarnymi brwiami, który stłumionym głosem celebrował konferencje prasowe. Pewien dziennikarz spytał ajatollaha, czy aprobuje grę w karty. "Tylko pod warunkiem że królowie są bici, a damy noszą czadory". Wypowiedzi Chomeiniego, wygłaszane w formie monotonnych kazań, były transmitowane przez międzynarodowe rozgłośnie radiowe na cały świat, w tym również do Iranu. Dla Chomeiniego nie istniało rozgraniczenie pomiędzy religią a polityką. Wykluczał kompromis

z szachem - nie będzie rozmawiał z wcieleniem Szatana. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami w namiocie, ustawionym w sadzie owocowym, wygłaszał kazania, które mułłowie nagrywali i przemycali kasety do Iranu. "Świat znajduje się we władaniu zła" - brzmiało jedno z jego haseł.

W irańskich meczetach "wydziedziczeni" mieszkańcy dzielnic nędzy gromadzili się wokół swoich mułłów i słuchali nagranych słów imama, który podburzał ich do buntu. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że najbardziej skutecznego poparcia jego sprawie udzieliły zachodnie media. Kiedy ajatollah z czarnym turbanem na głowie udzielał wywiadów w wiejskim regionie Ile de France, w Iranie rosły szeregi jego zwolenników. Nurt radykalny rozkwitał od czasu, gdy szach zaangażował się pośrednio w Wojnę Jom Kipur; wojujący islamiści uznali milczące poparcie udzielone przezeń Izraelowi za akt zdrady. Niebawem dołączyli do nich ludzie wykształceni, doświadczeni politycznie i dojrzali, którzy reprezentowali muzułmańską elitę i nie należeli do żadnej partii. W decydującym momencie irańskiej historii wnieśli wkład moralny i intelektualny i pomogli radykałom porwać za sobą masy. Te siły zjednoczyły się, by sformować kierownictwo rewolucji islamskiej.

Poczynając od października 1978 roku w Teheranie i innych miastach codziennie odbywały się demonstracje. Podczas wielkiego strajku cała załoga gigantycznej rafinerii w Abadanie odcięła dopływ ropy do rurociągu. W ciągu tygodnia w kraju dysponującym jednymi z najbogatszych złóż roponośnych zabrakło ropy.

Ehsan Naraghi został wezwany przed oblicze szacha.

- Jak oceniasz obecną sytuację? - spytał go szach.

- Ruch strajkowy rozprzestrzenia się na cały kraj, Wasza Wysokość.

- Czy możesz mi wyjaśnić, jaka jest przyczyna tych wszystkich strajków? Musimy zadać sobie pytanie, czy za strajkami nie kryje się coś jeszcze.

- Nie mam wątpliwości, że istnieje siła polityczna, która tym wszystkim kieruje.

- Chcesz mi powiedzieć, że oprócz żądań płacowych jest coś jeszcze? Co?

Przebieg tej rozmowy dowodzi, że szach do ostatniej chwili nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistego niebezpieczeństwa. Jego bezczynność była wyrazem słabości i nielojalności wobec najwierniejszych stronników, zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Nie ma bardziej gorzkich chwil w życiu władcy niż ta, kiedy porzucają go przyjaciele i sojusznicy, a on sam dryfuje jak rozbitek w morzu rozczarowania, gniewu, potępienia i nieufności. Szach był rozdarty pomiędzy lojalnością wobec przyjaciół a wiernością swemu powołaniu. A teraz opuścili go wszyscy ci, którym pomógł zdobyć sławę i fortunę. Znalazł się w takiej izolacji, że zaczął wątpić w swoje boskie powołanie. W przeciwieństwie do rewolucjonistów, którzy byli gotowi uciec się do brutalnej siły, Reza Pahlawi, szach Iranu, nie był ani wystarczająco bezwzględny, ani wystarczająco silny, by wykorzystać wszelkie środki w celu utrzymania się przy władzy.

2 listopada 1978 roku prezydent Carter uświadomił sobie wagę problemu, z jakim Stany Zjednoczone będą musiały się uporać na Bliskim Wschodzie, kiedy otrzymał depeszę od amerykańskiego ambasadora w Iranie, Williama H. Sullivana. Zawierała zwięzłą wiadomość i miała doprowadzić do poważnego kryzysu:

SZACH IRANU MYŚLI O ABDYKACJI.

Sullivan, który zaledwie tydzień wcześniej depeszował: "Naszym przeznaczeniem jest współpracować z szachem", zmienił tą

wiadomością całą wykładnię amerykańskiej polityki zagranicznej. Pytanie, na które Ameryka musiała sobie odpowiedzieć w ciągu następnych 24 godzin, brzmiało: czy nadal ma wspierać szacha, czy też powinna go porzucić? Wszystko sprowadzało się do pieniędzy. Amerykański przemysł zbrojeniowy otrzymał z Iranu zamówienie na najnowocześniejszy sprzęt wojskowy wartości 12 miliardów dolarów, a tak ogromnych pieniędzy należało bronić. Mając to na względzie, amerykański Departament Obrony wysłał swojego pełnomocnego przedstawiciela, Erika von Marboda, aby dokonał restrukturyzacji irańskiego programu zakupów uzbrojenia, biorąc pod uwagę zmieniającą się sytuację. Psychologiczny portret szacha, przygotowany przez CIA, przedstawiał go jako "niebezpiecznego megalomana, który będzie dążył do własnych celów ze szkodą dla interesów amerykańskich". Prezydent, najpotężniejszy sojusznik szacha, zaczął się wahać. W Waszyngtonie wytworzyła się sytuacja niemal tak zawikłana jak w Teheranie. Prezydent podejmował sprzeczne decyzje, które krytykował otwarcie były sekretarz stanu Henry Kissinger: "Polityka Cartera to utrata Iranu dla Zachodu".

5 listopada 1978 roku, lekceważąc rządowy zakaz demonstracji, na ulice Teheranu wyległy ogromne tłumy. Znaczną część demonstrantów stanowiły kobiety w czarnych, bawełnianych czadorach. Z okrzykiem: "Śmierć szachowi!" motłoch zaatakował banki, budynki rządowe, siedziby kontrolowanych przez państwo spółek i miejsca dystrybucji alkoholu. Wybijano szyby w sklepach z artykułami luksusowymi, przewracano samochody, podpalano autobusy i demolowano domy zamożnych obywateli. Pozbawiona ochrony ambasada brytyjska została splądrowana. Młodociani demonstranci,

stosując się do otrzymanych uprzednio instrukcji, roztrzaskali meble i sprzęt łączności, a następnie podpalili budynek. Karim Khan Zand Avenue była usłana rozbitym szkłem i spowita dymem płonących samochodów; bank Melli Tower zamienił się w dymiącą ruinę,

podobnie jak luksusowy salon samochodowy. Tym razem rozwój wydarzeń zaskoczył szacha. Historia odsunęła go na bok, kiedy nie zdobył się na to, by położyć kres dalszemu rozlewowi krwi, podejmując stanowcze kroki. "Monarcha nie może utrzymać się przy władzy za cenę życia swoich poddanych". Podczas gdy jego ojciec, stary szach, zawsze był gotów podjąć trudną decyzję i nie zawahał się przed sprowadzeniem kawalerii z frontu, Reza Pahlawi wzdragał się na widok krwi, pozostawiając zabijanie innym.

Sytuacja błyskawicznie wymykała się spod kontroli. Strajki sparaliżowały kraj; bazary były zamknięte; wybuchały coraz to nowe zamieszki i coraz częściej dochodziło do aktów przemocy. Przemoc się opłacała. Przemoc trafiała na pierwsze strony gazet. Podczas masowej demonstracji ponad 1000000 zwolenników Chomeiniego starło się z elitarnymi jednostkami djavilan, Nieśmiertelnymi z Gwardii Królewskiej, i homafars, Specjalnym Korpusem Lotniczym. Wojsko zablokowało podejścia do pałacu. Kilka procesji zjednoczyło się w jeden wielki, wyjący tłum: "Śmierć szachowi!". Padły strzały, tym razem nie w powietrze, a tłum odpowiedział wściekłym rykiem. Był to ryk rannego smoka, odbijający się echem wśród wieżowców i luksusowych hoteli. Potem rozpętała się burza, jakby cały kraj powstał; tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi zafalowały i runęły na uzbrojonych żołnierzy w dzikiej furii. "Marg/z bar Shah! Śmierć szachowi!" Znów rozległy się strzały; pierwszy szereg upadł, lecz następni przeszli ponad ciałami zabitych i parli dalej. Nic nie mogło ich powstrzymać. "Śmierć szachowi!" Krzyk niósł się ponad dachami i docierał aż do królewskiej rezydencji. Z okien dochodziły inne krzyki, gdyż ogień rozprzestrzeniał się błyskawicznie szybami wind i korytarzami. Było wielu zabitych i rannych. Niektórzy wyskakiwali z płonących budynków; kobiety z koszykami na zakupy i starzy ludzie, którzy nie zdążyli usunąć się z drogi szarżującego tłumu, zostali stratowani. Tego dnia centrum Teheranu było usłane ciałami i wypalonymi wrakami samochodów; wiele budynków spłonęło i nad miastem unosił się czarny całun dymu. Zginęło co najmniej 600 osób, a 3000 zostało rannych. Masakra wstrząsnęła szachem, owładnęło nim przygnębienie i strach. Zatracił jasność

myślenia. Jego niezdolność do podjęcia natychmiastowych działań miała daleko idące konsekwencje. Biały Dom całkowicie zmienił zdanie i opracował plan poparcia przewrotu wojskowego, który zabezpieczyłby instalacje naftowe, przy czym krok ten nie był postrzegany jako zamach stanu, lecz raczej prewencyjne przejęcie władzy przez wojsko pod kierownictwem nastawionego przyjaźnie do Amerykanów Shapura Bachtiara. Waszyngton uświadomił sobie, że szach zupełnie się załamał, a jego upadek jest nieuchronny. Fortuna się odwróciła; kraj zamienił się w beczkę prochu.

Szach został sam. W Sali Audiencyjnej wielki mistrz ceremonii, emir Aslan Afshar, padł na kolana.

- Wasza Wysokość, Teheran w ogniu, musisz coś zrobić - błagał.

- Moi żołnierze panują już nad miastem.

- Zakazałeś im bronić się. Wasza Wysokość, błagamy, postaw na czele rządu silnego człowieka.

- Kogo masz na myśli?

- Generała Oveissiego, gubernatora wojskowego. - Generał był znany z tego, że gasił ogień krwią, co uczynił już we wrześniu na placu Jahleh.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Ale szach nie zrobił nic. A przynajmniej nic, co pozwoliłoby rozładować sytuację, gdyż mianował szefem rządu generała Gholamrezę Azhariego. Oveissi skończyłby z rewolucją raz na zawsze, podczas gdy słaby Azhari przyczynił się tylko do jeszcze większej destabilizacji.

Szachowi złożył poufną wizytę Alexandre de Marenches z francuskiej tajnej służby. Jadąc przez ulice opanowane przez wrzeszczące tłumy, miał okazję ocenić rzeczywistą skalę rozruchów. Kiedy dotarł na miejsce, szach przyjął go w zaciemnionym pokoju.

- Nigdy nie pozwolę żołnierzom strzelać do moich poddanych - oświadczył szach.

- W takim razie, Sire, jesteś skończony.

Po powrocie do Paryża hrabia de Marenches udał się prosto do Pałacu Elizejskiego, by złożyć relację prezydentowi Giscardowi dEstaing.

-Alors, Marenches?

- To następny Ludwik XVI - odparł Marenches.

Stało się jasne, że pokojowe rozwiązanie nie jest możliwe. Całe pokolenie zbuntowało się przeciwko dotychczasowemu systemowi społecznemu. Huk eksplodujących baków z benzyną był słyszalny w luksusowych hotelach, gdzie zatrzymali się zagraniczni dziennikarze. Blask płonących samochodów zabarwiał szkarłatną poświatą unoszące się nad miastem chmury gazu łzawiącego. Na ulicach toczyły się zacięte walki. Młodzież rzucała się do bitwy z niesłychaną brawurą; zyskała życiową szansę, by przyłączyć się do rewolucji. Szach wykonał gest Samsona i pogrzebał się pod gruzami.

Dziesiątego dnia świętego miesiąca Muharram ponad 1000000 demonstrantów ruszyło pod pomnik wystawiony przez szacha na cześć dynastii. Na czele szli "wydziedziczeni" w brudnych opończach, ze szczeciniastym zarostem na podbródkach i ogolonymi głowami, a za nimi mułłowie w czarnych i białych turbanach, recytujący wersety z Koranu. Mustazafin, którzy w Teheranie znaleźli jedynie nędzę, zaczęli krzyczeć: "Jesteśmy świętymi męczennikami jak nasz imam Husajn!". Krzyk narastał niczym fale oceanu rozbijające się o brzeg: ‚Ąllahu akbar - Khomeini rachbar! Bóg jest

wielki -Chomeini jest naszym przywódcą!". Rewolucja islamska stała się faktem dokonanym.

Następnego dnia Amerykanie zaczęli działać. 30 grudnia wysoki urzędnik amerykański w Iranie,

Gary Sick, napisał poufne memorandum dla prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa, Zbigniewa Brzezińskiego, ostrzegając Biały Dom przed możliwością wojny domowej. W takim wypadku nienawiść Irańczyków obróciłaby się przeciwko 10000 amerykańskich specjalistów naftowych i członkom ich rodzin, przebywających w Iranie. Sick proponował ich natychmiastową ewakuację. Brzeziński przeczytał memorandum i dopisał pod spodem: "Zgoda". Rozpoczął się amerykański exodus, 1 stycznia 1979 roku amerykański ambasador, William H. Sullivan, odwiedził szacha. Miał dwa pytania, na które prezydent Stanów Zjednoczonych chciał 202

poznać odpowiedź przed wyjazdem na konferencję na szczycie w Gwadelupie. Czy szach zgodzi się na nowy rząd z Shapurem Bachtiarem na czele i czy szach zamierza opuścić kraj? Szach wreszcie zdał sobie sprawę, że Amerykanie pozostawiają go własnemu losowi. Jego nowym kandydatem na premiera był Shapur Bachtiar, człowiek zdolny, sprzyjający demokratycznym przemianom. Jednak sytuacja była beznadziejna. Zżerany korupcją, nękany etnicznymi, religijnymi i regionalnymi konfliktami kraj nie potrzebował błyskotliwego intelektualisty, lecz silnego sternika, który wyprowadziłby go na czyste wody. Ze swoją skłonnością do świeckiego nacjonalizmu i tolerancji religijnej Bachtiar był niewłaściwym człowiekiem na owe czasy.

Ambasador amerykański i brytyjski zostali wezwani na audiencję w pałacu królewskim. Wyraźnie zmęczony szach nie potrafił już panować nad swymi emocjami. Był chory, a ostatnie kilka tygodni ciągłego napięcia znacznie nadwyrężyły jego odporność psychiczną. Oświadczył, że widzi tylko trzy możliwości: pozostać i

pogodzić się z upokorzeniem; zabarykadować się w twierdzy i pozwolić, by wojsko przejęło władzę; lub opuścić kraj. Obaj dyplomaci zgodzili się, że w obecnej sytuacji nie pozostaje mu nic innego, jak "tymczasowo" opuścić kraj. Ambasador amerykański uzyskał z Waszyngtonu zapewnienie, że czasowa wizyta szacha "z powodów zdrowotnych" nie napotka na żadne przeszkody, nie może być tylko mowy o ceremonialnym przyjęciu monarchy przez prezydenta. (Sullivan miał później napisać w pamiętnikach: "Wyrzucili go jak zdechłą mysz"). Chcąc umożliwić szachowi zachowanie resztek godności, egipski prezydent Anwar Sadat poprosił królewską parę, żeby w drodze do Stanów Zjednoczonych zatrzymała się w Asuanie. Nie wiadomo, co sprawiło, że szach ostatecznie zdecydował się wyjechać. Zapewne próbował powtórzyć mistrzowskie posunięcie generała de Gaullea, który podczas rewolucji majowej 1968 roku udał, że ucieka z

Francji, aby uśpić czujność swoich przeciwników, a w rzeczywistości przez cały czas przygotowywał swój triumfalny powrót.

Kwestia irańska, która tak się skomplikowała z powodu konfliktu lojalności znacznej części społeczeństwa, stała się teraz znacznie prostsza. 6 stycznia 1979 roku na konferencji w Gwadelupie wydarzyło się coś, co przesądziło o losie szacha. Carter oznajmił Helmutowi Schmidtowi, Jamesowi Callaghanowi i Giscardowi dEstaing, że szach jest skończony i musi odejść. "Nie możemy oczekiwać niczego więcej od jego reżimu. Władzę przejmą wojskowi. Znamy ich dobrze, moi generałowie są z nimi po imieniu". Carter naprawdę uważał, że bliska znajomość z kilkoma irańskimi generałami może rozwiązać kryzys. Plan przewidywał postawienie na czele rządu człowieka umiarkowanego - przywódcy niewielkiego Ruchu Wyzwolenia Iranu, Mehdiego Bazargana. Stany Zjednoczone nie rozumiały, że negocjacje do niczego nie doprowadzą. Obecnie liczył się już tylko Chomeini. (Theodore Eliot, amerykański wysłannik, który próbował zawrzeć układ z ajatollahem w Paryżu, nie otrzymał żadnych gwarancji, że plany Chomeiniego będą do przyjęcia dla Stanów Zjednoczonych).

Kiedy po długich wahaniach decyzja wyjazdu szacha wreszcie zapadła, potwierdzenie nadeszło nie z Teheranu, jak można było oczekiwać, lecz z Waszyngtonu, w postaci oświadczenia sekretarza stanu Cyrusa Vancea. Zostało zredagowane językiem, który nie oszukał nikogo: "Szach postanowił udać się na tymczasowe wakacje z powodów zdrowotnych". Vance dodał, iż rząd amerykański "pogodził się" z decyzją

szacha o wyjeździe z kraju. "Głos Ameryki" i Sekcja Międzynarodowa BBC podały to jako wiadomość dnia. Reakcja była natychmiastowa. W Teheranie zapanował zamęt. Szach czuł tylko rozgoryczenie, że najbliższy sojusznik publicznie się go wyrzekł. W "kraju Chomeiniego" kierowcy zapalali reflektory i trąbili, pasażerowie przekazywali sobie znak zwycięstwa. Wszystko zależało od postawy wojska, a wojsko było podzielone. Wyżsi oficerowie nie popierali przewrotu, natomiast prości żołnierze i podoficerowie otwarcie bratali się ze zwolennikami Chomeiniego; na pancerzach czołgów przyklejano plakaty z wizerunkiem ajatollaha, a żołnierze paradowali z goździkami w lufach karabinów. W bogatych dzielnicach Teheranu przeważały nastroje bliskie paniki; setki ludzi opuszczały swoje rezydencje i wsiadały na pokład samolotów odlatujących do Europy. Wszyscy zadawali sobie jedno podstawowe pytanie: która spośród sił rewolucji okaże się zwycięska? Zdeterminowani muzułmańscy radykałowie czy podstępni marksiści, dążący do władzy pod pozorem obrony Allacha?

Jednym z ostatnich dworzan, przyjętych na audiencji przez Jego Wysokość, był doradca szacha Ehsan Naraghi. Miało to miejsce dwa dni przed odlotem szacha.

- Coś nowego? - spytał szach zmęczonym głosem.

- Najważniejsza wiadomość to komunikat o wyjeździe Waszej Wysokości.

-Tak, postanowiłem wyjechać na kilka tygodni, aby dać Bachtiarowi szansę na uporządkowanie spraw. Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś mi prawdy?

- Wasza Wysokość zawsze wolał tych, którzy ukrywali prawdę. Szach zmarszczył brwi.

- Wiesz, za każdym razem, kiedy kraj stawał w obliczu kryzysu, słuchałem rad naszego wielkiego poety Hafeza. Co powiedziałby teraz?

- W obliczu przeciwności mądrzej jest zachować rezerwę- odparł Naraghi bez wahania.

- Pocieszające... No cóż, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Nie spotkali się już nigdy.

Wtorek 16 stycznia 1979 roku był zimny i wietrzny. W śródmieściu Teheranu podekscytowane tłumy szły w śniegu i błocie, niosąc portrety Chomeiniego. Przesądnym natura dała znak: poprzedniej nocy zobaczyli twarz ajatollaha na powierzchni księżyca. Szach i jego małżonka po raz ostatni przekroczyli bramę królewskiego pałacu. Wszyscy dostojnicy dworscy i lojalni oficerowie ustawili się przy czerwonym chodniku. Generał Abdullah Badrai podbiegł do szacha i ucałował jego dłoń. Miał później zapłacić za ten gest. Wielu trzymało Koran nad głową wyjeżdżającego monarchy, polecając go w ostatniej podróży opiece Allacha. Czekający na dziedzińcu śmigłowiec zawiózł królewską parę na lotnisko. Do strzeżonej hali wpuszczono kilku zagranicznych dziennikarzy.

Szach podszedł do baterii mikrofonów i złożył krótkie oświadczenie: "Utworzony został nowy rząd. Co do mnie, czuję się zmęczony i potrzebuję odpoczynku. Moja podróż zaczyna się dzisiaj". "Jak długo potrwa?" - spytał jeden z dziennikarzy. "Nie wiem... naprawdę nie wiem...".

16 stycznia 1979 roku o godzinie 1.08 wystartował boeing "Królewski Sokół". Liczące 2500 lat królestwo szachów Persji przeszło do historii.

Najwierniejsi stronnicy szacha mieli nadzieję, że okaże się władcą godnym tronu. Zabrakło mu jednak siły woli, a jego niezdecydowanie graniczyło z polityczną nieudolnością.

Nie miał ani wiarygodności, ani autorytetu moralnego, by położyć kres rozruchom. To nie jakiś fanatyczny mułła spowodował upadek monarchy, do zguby przywiodły go własne demony. Przez lata otaczał się pochlebcami, którzy mówili mu to, co chciał usłyszeć. Dopiero kiedy było już o wiele za późno, zaczął słuchać tych, których unikano na dworze, ponieważ mówili zbyt szczerze. Został porzucony przez ludzi, którym pomógł się wzbogacić, którzy dzięki niemu zdobyli niewyobrażalne fortuny: przedstawicieli miejskiej klasy średniej. Kiedy wybuchły zamieszki, nie mógł liczyć na żadną lojalność, żadne poparcie. Wszyscy przyłączyli się do opozycji - nie tylko robotnicy i chłopi, lecz także drobna inteligencja, rozgoryczona i zawzięta w swej pogardzie. Największym mankamentem Pahlaviego był brak pewności siebie. Jego wyniosłość i arogancja nie zdały egzaminu w konfrontacji z dobrze zorganizowaną kampanią nienawiści.

Pod koniec szach się rozpłakał. A wraz z nim miał niebawem zapłakać cały kraj. Ale nie 1 lutego 1979 roku, kiedy 3000000 ludzi zgromadziły się na ulicach prowadzących na lotnisko i za wszelką cenę starały się dotknąć samochodu, którym wracał triumfalnie do Teheranu ajatollah Chomeini. Autokratycznego monarchę zastąpił religijny dyktator.

Czyniąc z ajatollaha Chomeiniego męczennika, szach wyniósł go na szczyty władzy i prestiżu, niespotykane w najnowszej historii islamu. Imam stał się symbolem Nowego Iranu. Dzieci niosły transparenty:

"Chomeini zmusił szacha do ucieczki". Nocą na murach stolicy pojawił się nowy plakat. Przedstawiał partyzanta trzymającego ulubioną broń terrorystów, kałasznikowa, a napis pod spodem głosił: "Afzal ul-jihad. Na świętą wojnę".

O pierwszej nad ranem 1 lutego 1979 roku z paryskiego lotniska Charleśa de Gaullea wystartował samolot Air France. Na pokładzie wyczarterowanego boeinga 747 znajdowało się 168 pasażerów, w większości dziennikarzy. Bateria mikrofonów celowała w twarze kilku nieogolonych mężczyzn w wymiętych garniturach i rozpiętych pod szyją koszulach: Mohammeda Vazdiego, rzecznika ajatollaha; Sadeka Ghotb-zadeha, który miał niebawem zostać ministrem spraw zagranicznych; i wyniosłego, milczącego Bani Sadra, przyszłego prezydenta Republiki Islamskiej. Na górnym pokładzie odrzutowca, oddzielony od reszty, znajdował się jeszcze jeden pasażer - sam Agha, ajatollah Chomeini, ubrany w dobrze znany brązowy płaszcz i czarny turban. Towarzyszył mu jego sekretarz i zaufany powiernik, Sadek Tabatabai. Podczas lotu Chomeini poprosił Tabatabaiego, aby naszkicował program dla nowego rządu. Powiedział, że ma być gotowy w ciągu trzech tygodni. Oznaczało to, że Bachtiar musi odejść. Kiedy przez iluminator wpadły pierwsze promienie wschodzącego słońca, a samolot przeleciał nad górami na granicy turecko-irańskiej, ajatollah rozłożył na podłodze kabiny koc Air France i ukląkł twarzą w kierunku Mekki. Składał dzięki Allachowi, że pozwolił mu wrócić do domu.

Sytuacja w Iranie nadal była niepewna. Czy wojsko nie zestrzeli samolotu? W Khazvinie stacjonowała eskadra myśliwców irańskich sił powietrznych. Na podejściach do wszystkich lotnisk rozmieszczono baterie przeciwlotnicze. A co z żołnierzami

Gwardii Królewskiej, czy nie aresztują pasażerów? Jak reżim mógłby zatrzymać czołowych przedstawicieli światowej prasy, nie wywołując gigantycznego skandalu? Czy właśnie z tego powodu pozwolono

dziennikarzom towarzyszyć ajatollahowi? Pilot Air France nie zamierzał ryzykować. Aby sprawdzić, jak zostanie przyjęty na lotnisku Mehrabad, odrzutowiec przeleciał nisko nad pasem startowym, zanim podszedł do lądowania. Była godzina 9.00. Na szczycie schodów pojawił się ajatollah i ruszył w kierunku hali przylotów, gdzie zgromadziło się wielu jego najwierniejszych stronników. Islamscy strażnicy zablokowali ulice prowadzące na lotnisko, zatrzymując ogromne tłumy pod pomnikiem Shahyad. Jedyny incydent wydarzył się, kiedy telewizja teherańska, transmitując na żywo przylot ajatollaha, ukazała nagle portret szacha. Chwilę później ekran zgasł. Bardziej niż cokolwiek innego świadczyło to o tym, jak napięta i niepewna jest nadal sytuacja. Premier Shapur Bachtiar nie pojawił się na lotnisku, co miało go kosztować życie. "Allahu akbar, Khomeini rachbar - Allach jest wielki, Chomeini naszym przywódcą". Jasnobłękitna furgonetka, wioząca ajatollaha, nie mogła przebić się przez rozhisteryzowaną ciżbę. Trzeba było sprowadzić śmigłowiec, który zabrał Chomeiniego na cmentarz Behest-e-Zahra, gdzie ajatollah złożył pierwsze publiczne oświadczenie na rodzinnej ziemi. Przez trzy dni utrzymywał się impas pomiędzy premierem, wojskiem a mułłami. Ajatollah potępił Bachtiara i zagroził rozpętaniem świętej wojny. Problem polegał na tym, że świętą wojnę można wypowiedzieć tylko niewiernym, a Bachtiar był muzułmaninem. Imam, uparty starzec, zdecydowany wyrównać osobiste porachunki, okazał się tak samo oderwany od rzeczywistości, jak przed nim szach. A mimo to wygrał i doszedł do władzy, odwołując się do archaicznej, purytańskiej odmiany islamu, opartej na średniowiecznym antywschodnim i antyzachodnim światopoglądzie.

3 lutego 1979 roku Chomeini utworzył Islamską Radę Rewolucyjną. Czyniąc to, uwolnił siedem mściwych furii. Naiwni politycy zachodni wierzyli, że ludzie na całym świecie zachowują się w ten sam racjonalny sposób. Zakładano, że wraz z upadkiem despotycznego szacha Iran przejdzie ewolucję polityczną; że gospodarka zacznie się rozwijać, rozsądni Irańczycy będą się ubierali tak jak wszyscy, a dobrobyt doprowadzi do liberalnej demokracji. Ale Iran był, i jest

nadal, innym krajem. Nie tylko Zachód, lecz przede wszystkim sąsiedzi Iranu mieli się niebawem przekonać, że decydującą siłą w polityce irańskiej stał się jadowity muzułmański fundamentalizm. 7 lutego Chomeiniści przejęli kontrolę nad administracją, policją i wymiarem sprawiedliwości. Zaledwie trzy dni później wybuchł bunt w armii i większość jednostek przyłączyła się do rewolucji islamskiej.

Premier Bachtiar był nieosiągalny, generał Gharabaghi konferował z przywódcą Ruchu Wyzwolenia Iranu, Mehdim Bazarganem, a status irańskich sił zbrojnych pozostawał nierozstrzygnięty. Ajatollah ogłosił utworzenie Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego z Bazarganem na czele. Bachtiar uznał to za żart. Gwardia Królewska wyruszyła do bazy wojskowej w Farahabadzie, aby stłumić bunt podoficerów. Doszło do krwawego starcia, w którym zginęło ponad 100 osób. Wieści o masakrze w Farahabadzie rozeszły się po Teheranie i doprowadziły do zaciętych walk ulicznych pomiędzy Strażnikami Rewolucji a jednostkami wiernymi Bachtiarowi.

206

Odkrycie kart nastąpiło w niedzielę 11 lutego. O godzinie 10.20 czasu teherańskiego generał Gharabaghi ogłosił decyzję Najwyższej Rady Wojskowej, że irańskie siły zbrojne mają pozostać neutralne. Zaskoczyło to wszystkich. Premier Bachtiar pospiesznie opuścił swoje biuro i zniknął z pola widzenia, a tłum zaatakował magazyny broni. Do zachodu słońca wszystkie obiekty wojskowe znalazły się w rękach islamistów. Admirał Olani uciekł pieszo przez góry do Turcji10. Wielu oficerów nie miało tyle szczęścia; wywleczeni z samochodów lub z domów zostali brutalnie zamordowani przez tłum. Tej samej nocy premier Bachtiar wsiadł na pokład jednego z ostatnich samolotów odlatujących z Teheranu i dotarł do Francji. Premierem został Mehdi Bazargan, długoletni przewodniczący irańskiego Komitetu Obrony Praw Człowieka. Rewolucjoniści zajęli pałac królewski. Po mieście grasowały uzbrojone bandy, włamując się do domów zamożnych obywateli i dokonując aresztowań. Generał Abdullah Badrai, który płakał przy wyjeździe szacha,

został zamordowany. Lojalny premier szacha, emir Abbas Hoveyda, stanął przed obliczem Sadeka Khalkhaliego, który niebawem zyskał przydomek "Wieszającego Sędziego". Ten drobny, niepozorny mężczyzna w grubych okularach chełpił się przed dziennikarzami, że w pierwszych tygodniach rewolucji skazał na śmierć 400 osób. "Od tej chwili my będziemy rządzić. Republika Islamska przetrwa dziesięć tysięcy lat. Marksiści mogą mieć swojego Lenina, my mamy Chomeiniego". Wiadomość dotarła do Waszyngtonu we wczesnych godzinach rannych. O godzinie 11.00 czasu wschodnioamerykańskiego na biurko prezydenta Cartera trafiła depesza wysłana przez attache wojskowego w Teheranie, pułkownika Toma Schaefera:

WOJSKO KAPITULUJE. CHOMEINI ZWYCIĘŻYŁ. NISZCZYMY TAJNE DOKUMENTY.

Po tej depeszy Waszyngton uświadomił sobie, że stracił wpływy w Iranie. Niebezpieczeństwo groziło wszystkim przedstawicielom Stanów Zjednoczonych. Amerykański konsulat w Tebrizie został splądrowany. Sprzed amerykańskiej ambasady w Teheranie wycofano irańskich strażników i budynku broniło zaledwie 22 żołnierzy piechoty morskiej. 14 lutego 1979 roku, w dniu św. Walentego, rewolucjoniści rzucili wyzwanie "amerykańskiemu szatanowi". Po raz pierwszy amerykańska ambasada stała się obiektem ataku. Okrzyk "Margh bar Shah! Śmierć szachowi!" zastąpił "Margh bar Amrika! Śmierć Ameryce!". Mimo to udało się uniknąć najgorszego, a nowy irański minister spraw zagranicznych, Ibrahim Vazdi, wręczył amerykańskiemu ambasadorowi oficjalne przeprosiny. Uczynił to w momencie, gdy ambasador zamierzał właśnie zejść do piwnicy, by wydać rozkaz zniszczenia tajnych dokumentów i maszyn szyfrujących. Ameryka otrzymała ostrzeżenie: jeśli udzieli obalonemu szachowi gościny na swoim terytorium, wszyscy amerykańscy dyplomaci zostaną odesłani do domu - w drewnianych skrzyniach.

Następnego dnia odbyły się pierwsze doraźne egzekucje oficerów. Pobitego i zakrwawionego generała Nematołlaha Nassira pokazano przed kamerami telewizyjnymi. Po parodii procesu, który prowadził sadystyczny mułła Sadek Khalkhali, generałowie Rabii, Chosrowdad, Naji i czterej inni oficerowie zostali zawleczeni na dach szkoły Ala vi i rozstrzelani. Aby zademonstrować stanowczość nowej władzy pozostałym w kraju lojalistom, całą scenę sfilmowano i pokazano w irańskiej telewizji.

207

1 kwietnia 1979 roku proklamowano Islamską Republikę Iranu. Premier Abbas Hoveyda został wyprowadzony na dziedziniec więzienia Qasr, przywiązany do drabiny i rozstrzelany. Ponieważ nie umarł od razu, pewien mułła uniósł jego głowę za włosy i strzelił mu w twarz. Większość generałów szacha i funkcjonariuszy SAYAK spotkał podobny los. Ajatollah Taleghani wycofał się z nowego rządu na znak protestu przeciwko okrucieństwom popełnianym w imię islamu. Jednym z najbardziej haniebnych aspektów rewolucji była działalność islamskich ochotników. Nazywając siebie strażnikami rewolucji, wszczęli gwałtowną kampanię w celu wykorzenienia wszelkich śladów dawnego reżimu i "dekadenckiej" kultury zachodniej. Obalano posągi szacha, a inskrypcje na cokołach zaklejano portretami ajatollaha. Palono zachodnie książki i amerykańskie samochody, rozbijano bary hotelowe, alkohol wylewano do basenów. Rozlegające się sporadycznie salwy sygnalizowały egzekucje wysokich urzędników i oficerów. Pierwsze miesiące rewolucji islamskiej okazały się wyjątkowo krwawe. Monarchiści byli bezlitośnie mordowani. Każdego, kto nie manifestował wiary w Allacha, uznawano za ateistę, wywlekano z domu i rozstrzeliwano. Zabijano właścicieli ziemskich i inżynierów naftowych. W całym kraju powstawały komitety obywatelskie, działające pod egidą miejscowych mułłów. Iran pokryła sieć lokalnych ośrodków władzy. Premier Bazargan błagał Chomeiniego o rozwiązanie komitetów, lecz ajatollah zastąpił "umiarkowanych" tradycjonalistów młodymi, gorliwymi "radykałami".

Ten krok pozwolił nastolatkom dopuszczać się ekscesów na niespotykaną dotąd skalę.

Front Narodowy, którego wielu członków było prawnikami, broniącymi swobód obywatelskich i praw człowieka, zastąpiła Islamska Partia Republikańska. W nowej konstytucji podniesiono Chomeiniego do godności velayat-e-faqih, przedstawiciela Boga. Chomeini zamierzał uciszyć opozycję, ale potrzebował pretekstu, by odwrócić uwagę opinii publicznej. Idealnie nadawali się do tego Kurdowie. W zamian za poparcie przeciwko wojskom szacha obiecano im lokalną autonomię. Teraz Chomeini nazwał Kurdów "diabłami sprzeciwiającymi się woli Jedynego Boga". Ich powstanie stłumiono za pomocą ekspedycji karnych i doraźnych egzekucji. Chomeini pojechał do świętego miasta Kom, by stamtąd rozprawić się z kilkoma buntowniczymi mułłami, którzy sprzeciwiali się jego dyktatorskiej władzy. Jednym z nich był ajatollah Taleghani, teherański przywódca religijny, który za panowania szacha organizował demonstracje antyrządowe w stolicy. Taleghani wyznawał bardziej tolerancyjne poglądy niż Chomeini: "Przywódcy religijni nie powinni sprawować władzy w Republice Islamskiej. Troskę o losy kraju należy powierzyć ludziom, którzy cieszą się szacunkiem całego społeczeństwa". Nacisk położony na "przywódców religijnych" nie pozostawiał wątpliwości co do jego intencji. Umiarkowane poglądy Taleghaniego bardziej przypadły do gustu inteligencji i studentom niż nieprzejednana postawa Chomeiniego. Niedługo potem Taleghani "zmarł na serce", a na jego miejsce przyszedł ajatollah Montazeri, człowiek niekompetentny, którym można było manipulować.

Nowe zgromadzenie głosowało za karą śmierci dla szacha i jego małżonki. Mułłowie udowodnili, że ich ramię sięga daleko poza granice kraju. Syn księżniczki Ashraf został zastrzelony w Paryżu na rozkaz ajatollaha Khalkhaliego, który usprawiedliwił morderstwo, mówiąc: "Musimy zniszczyć wszystkich brudnych lokajów dekadenckiego

208 systemu". Odyseja obalonego szacha dopiero się zaczęła. Pozostało mu jeszcze 18 miesięcy życia i przez cały ten czas nieustannie studiował mapę globu, szukając bezpiecznej przystani. Analizował różne możliwości i zawsze napotykał jakieś przeszkody. Żaden kraj go nie chciał. Szwajcaria powiedziała nie; austriacki kanclerz uznał, że jego obecność byłaby "kłopotliwa". Angielska "Żelazna Dama", Margaret Thatcher, też odmówiła. Prezydent Carter, w tym czasie zajęty sprawą uwolnienia amerykańskich zakładników, wyraził swoje stanowisko całkiem jasno: "Nie życzę sobie zdjęć obalonego szacha, który gra w tenisa w Ameryce, kiedy nasi ludzie są przetrzymywani jako zakładnicy". Wiernym przyjacielem szacha pozostał były amerykański sekretarz stanu, doktor Henry Kissinger, który próbował skłonić prezydenta Cartera do zmiany zdania. Opuszczony przez wszystkich szach błąkał się bez celu po świecie, a tymczasem choroba gwałtownie postępowała. Zatrzymał się na krótko w Maroku, na Bahamach, w Meksyku i w Panamie. Jego tułaczka dobiegła końca w Egipcie, gdzie zmarł 27 lipca 1980 roku. Mohammed Reza II Pahlawi był szachinszachem przez 38 lat. Richard Nixon wyraził to, co czuło wielu ludzi: "Uważam, że sposób, w jaki postąpił nasz rząd, pozostanie na zawsze jedną z najczarniejszych kart w historii naszego kraju".

Trwała już reorientacja zachodniej polityki wobec Iranu. Islam zawsze zajmował istotne miejsce w polityce światowej. Dlatego należało zaakceptować fakt, że Ameryka ma do czynienia z nowym, rewolucyjnym typem islamu. Amerykańscy mężowie stanu zdali sobie wreszcie sprawę, że nigdy jeszcze nie zetknęli się z kulturą tak upersonifikowaną jak radykalny islam ajatollaha. Chomeini rozprawił się z opozycją; ci, którzy przetrwali, utworzyli podziemną organizację mojahedin-e-khalq. Gdy tylko obalony szach zjawił się po cichu w Nowym Jorku, rozległy się w Iranie oburzone głosy: "Protestujemy przeciwko temu, że Stany Zjednoczone przyjmują naszego wroga. .. domagamy się, aby wydały go nam. Traktujcie to jako nasze ostrzeżenie". Słowa znalazły swoje potwierdzenie w czynach, kiedy "dzielni irańscy studenci,

oburzeni postępowaniem amerykańskiego Szatana", zaatakowali amerykańską ambasadę i wzięli zakładników".

W przededniu planowanego ataku oświadczenie podpisane przez Chomeiniego dolało oliwy do ognia: "Prosimy wszystkich studentów i teologów o nasilenie ataków na Stany Zjednoczone i Izrael, co pomoże zmusić Stany Zjednoczone do wydania zbrodniczego szacha". Chomeini grał o wysoką stawkę. Zamierzał się porwać na najpotężniejszy kraj na świecie.

Kto naprawdę pociągał za sznurki w Teheranie? Jest to jedna z zagadek rewolucji islamskiej. A może w rzeczywistości były dwie rewolucje? O pierwszej wiedzą wszyscy. Ale co działo się w dniach poprzedzających wzięcie amerykańskich zakładników? Kto wydał rozkaz opanowania amerykańskiej ambasady? Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest takie, że uczyniła to Islamska Partia Republikańska pod przywództwem Mohammada Beheshtiego. Beheshti prowadził z amerykańskimi urzędnikami poufne rozmowy, które mogły zostać uznane za zdradę, i chciał, aby wszelkie zapisy z tych rozmów uległy zniszczeniu12. Być może rozkaz nie pochodził od ajatollaha Chomeiniego, którego zaskoczył dalszy bieg wydarzeń. Świadczy o tym fakt, że kilku urzędników irańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych 209

próbowało ostrzec amerykańskiego ambasadora, aby podjął kroki zapobiegawcze. W rewolucyjnym Iranie istniało kilka radykalnych frakcji walczących o władzę. Jedną grupą kierował Rafig Doust, przywódca Gwardii Rewolucyjnej i szef potężnej Fundacji Wydziedziczonych. Asgar Oladi, który reprezentował kupców z bazarów, kierował drugą. Ta frakcja sprawowała kontrolę nad handlem i ropą. Oportuniści w rodzaju Rafsanjaniego, zawsze trzymający się w cieniu, przyczyniali się do zagmatwania sytuacji. A wreszcie był też przywódca radykalnych mułłów: Mohammad Beheshti. Ten wpływowy działacz Islamskiej Partii Republikańskiej i członek Rady Rewolucyjnej uważał, że Chomeini robi się zbyt miękki. To prawda, ajatollah był velayat-e-faqih, przedstawicielem Boga, a

nawet w państwie teokratycznym polityka należała do sfery spraw doczesnych. Oczywiście, można dowodzić, że to Chomeini wydał rozkaz, obawiając się, że władza wymyka mu się z rąk. Zapewne szukał czegoś, co odwróciłoby uwagę opinii publicznej od jego radykalnych planów i uciszyło przybierającą na sile opozycję.

Irański kryzys z zakładnikami rozpoczął się 4 listopada 1979 roku. Od wczesnych godzin rannych grupki wojowniczych studentów zbierały się przed bramami ambasady amerykańskiej. Około godziny 10.30 irańscy strażnicy, wyznaczeni do ochrony budynku, nagle zniknęli i tłum 3000 studentów wtargnął na teren kompleksu. Dwudziestu dwóch żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej, którzy strzegli ambasady, obezwładniono, rozbrojono i zawiązano im oczy. Tłum wdarł się do budynku i uwięził 66 pracowników ambasady. Skrępowano im z tyłu ręce, a oczy zaklejono taśmą. Niebawem stało się jasne, że to, co wyglądało początkowo na spontaniczną antyamerykańską demonstrację, jest w rzeczywistości dobrze zaplanowaną akcją wzięcia zakładników. Do czasu, gdy na miejscu pojawiły się zagraniczne ekipy telewizyjne, ambasada została opanowana, a żołnierzy piechoty morskiej z zawiązanymi oczami przyprowadzono przed kamery. Obrazy te zostały przekazane przez satelitę na cały świat. Stany Zjednoczone były wstrząśnięte, Amerykanie szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w ekrany telewizorów. Waszyngton obawiał się represji w stosunku do irańskich studentów, mieszkających w amerykańskich campusach, i do ochrony uniwersytetów zmobilizowano Gwardię Narodową.

Główną troską prezydenta Cartera pozostawali zakładnicy. Jego największy błąd polegał na tym, że myślał racjonalnie, a nie jak terrorysta; za bardzo liczył na zabiegi dyplomatyczne. Kiedy przedstawiciele Organizacji Wyzwolenia Palestyny próbowali wynegocjować ich zwolnienie, studenci odmówili wszelkich kontaktów "z Jaserem Arafatem, OWP czy z kimkolwiek innym". Przysłany przez Chomeiniego minister spraw zagranicznych Sadek Ghotbzadeh próbował osobiście dowiedzieć się o stan zakładników, lecz został brutalnie wyrzucony przez studentów. Ekipy telewizyjne

oblegały bramy ambasady, więc świat otrzymywał codzienną porcję zdjęć irańskich studentów stojących na murze i powiewających flagami - ale nawet przez chwilę nie zobaczył amerykańskich zakładników.

Los 5213 Amerykanów pozostawał zagadką. W świecie islamskim doszło do kolejnych aktów terroru.

Na początku świętego miesiąca Moharram grupa szyickich fanatyków zaatakowała Wielki Meczet w Mekce. Było wiele ofiar. W Kabulu został zastrzelony amerykański ambasador w Afganistanie, a tłum zaatakował amerykańską ambasadę w Pakistanie,

zabijając dwie osoby. Doprowadziło to do ewakuacji większości amerykańskiego personelu z tego regionu.

Kryzys próbował rozwiązać sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim. Jego misja spełzła na niczym, ponieważ teherańska gazeta natychmiast zamieściła na pierwszej stronie zdjęcie Waldheima z szachem. Podczas ataku na ambasadę sześcioro Amerykanów zdołało się wymknąć i ukryć. Kanadyjski ambasador zaopatrzył ich w paszporty i odlecieli z Iranu rejsowym samolotem. Artykuł na ten temat, napisany przez amerykańskiego dziennikarza, sparaliżował wysiłki zmierzające do uwolnienia zakładników. Amerykański Departament Stanu wystosował ostrą notę do irańskiego prezydenta Bani Sadra: "Aby uniknąć nieporozumień, informujemy rząd Iranu, że jeśli do poniedziałku 31 marca nie nastąpi uwolnienie zakładników, podejmiemy kroki, od których do tej pory powstrzymywaliśmy się...". Bani Sadr odpowiedział w duchu pojednawczym, a Rada Rewolucyjna uchwaliła nawet stosunkiem głosów osiem do trzech rezolucję o rozwiązaniu kryzysu. Wówczas jednak zawetował ją Chomeini. Być może poczuł się zmuszony do zademonstrowania radykałom, że w dalszym ciągu jest twardy.

Waszyngton uświadomił sobie wreszcie, że nie ma żadnej nadziei na rozwiązanie problemu innymi środkami niż bezpośrednia interwencja zbrojna. Najpierw pojawiła się propozycja zniszczenia irańskich instalacji naftowych, gdyby chociaż jednemu zakładnikowi stała się krzywda. Brzeziński odrzucił tę propozycję w obawie, że przystępując do bombardowań, Ameryka zwróci przeciw sobie cały Bliski Wschód. Czas upływał. 7 kwietnia 1980 roku Stany Zjednoczone zerwały oficjalnie stosunki dyplomatyczne z Iranem. Nastąpiło to w dosyć dziwacznych okolicznościach. Irański charge daffaires został przyjęty w drzwiach Departamentu Stanu przez Henryego Prechta. Irańczyk oznajmił amerykańskiemu urzędnikowi z drwiącym uśmieszkiem, że zakładnicy czują się doskonale, a niektórzy z nich chcieliby nawet pozostać w Republice Islamskiej. Precht odparł po prostu: "Co za brednie!". Irańczyk poczuł się urażony i pospiesznie opuścił budynek. Notę informującą o jego wydaleniu ze Stanów Zjednoczonych wręczono mu, gdy siedział już w samochodzie.

Operacja "Orli Szpon", jak nazwano wojskową akcję ratunkową, była najambitniejszym przedsięwzięciem zleconym kiedykolwiek jednostce Delta Force. Jak podkreślił izraelski generał Rafi Ejtan (dowodzący słynną akcją w Entebbe*), główny problem stanowiły wielkie odległości na terytorium nieprzyjacielskim. W operacji miało wziąć udział osiem transportowców C-130 i powietrzne tankowce. 24 kwietnia samoloty wylądowały na pustyni. Komandosi wystawili posterunki wokół strefy lądowania. W pobliżu znajdowała się mało uczęszczana droga. Nagle pojawiły się światła trzech cywilnych pojazdów. Pierwszym był zdezelowany autobus, wiozący 43 pasażerów. Komandosi zatrzymali autobus i uwięzili pasażerów. Drugi pojazd nie zatrzymał się. Został ostrzelany i stanął w płomieniach. Kierowca zdążył uciec, przeskakując do furgonetki, która jechała tuż za nim i niebawem zniknęła w ciemnościach.

* W lipcu 1976 roku izraelscy komandosi przeprowadzili spektakularną akcję uwolnienia pasażerów francuskiego odrzutowca, który został porwany przez terrorystów palestyńskich i uprowadzony do Entebbe w Ugandzie (przyp. tłum.).

Później okazało się, że była to banda przemytników, którzy uznali, iż natknęli się na blokadę policyjną. Misję kontynuowano. Żołnierze z jednostki Delta Force pułkownika Beckwitha ruszyli w dalszą drogę ośmioma śmigłowcami z lotniskowca USS "Nimitz" stacjonującego w Zatoce Perskiej. Projektowana trasa śmigłowców prowadziła przez 800 kilometrów pustyni Dacht-el-Kavir.

Amerykańscy planiści wzięli pod uwagę wszelkie ewentualności z wyjątkiem bad-e-semun, "niszczycielskiego wiatru". Wszystko szło dobrze, dopóki śmigłowce nie wleciały nagle w burzę piaskową. Niebawem w śmigłowcu numer 6 zapalił się wskaźnik świadczący o nieprawidłowej pracy wirnika. Każdy kierowca, kiedy na desce rozdzielczej jego samochodu zaczyna mrugać światełko, zatrzymuje się. Pilot również tak postąpił: posadził maszynę, a jej załogę zabrał następny śmigłowiec. Potem w śmigłowcu numer 5 zepsuły się przyrządy nawigacyjne. Pilot zawrócił na pokład "Nimitza". Utrata drugiego śmigłowca zagroziła powodzeniu misji, ponieważ mogło nie wystarczyć miejsca dla wszystkich zakładników. Jednak kłopoty na tym się nie skończyły. W śmigłowcu numer 2 wystąpiły problemy z hydrauliką, wymagające poważnej naprawy. On też musiał zawrócić. Pułkownik Beckwith był zdruzgotany. Wstawał świt, a jemu pozostało pięć śmigłowców, za mało, by przeprowadzić akcję ratunkową. Wysłał sygnał alarmowy do Białego Domu. Brzeziński wezwał sekretarza obrony Browna, aby sam ocenił sytuację. Była godzina 16.57 czasu waszyngtońskiego. "Konieczne jest przerwanie misji" - stwierdził Brown.

Prezydent Carter z pewnym wahaniem odpowiedział: "Musimy się zgodzić z jego zaleceniem".

Kurtyna ostatecznie zapadła, kiedy przepadł kolejny śmigłowiec. W gęstej chmurze wirującego piasku pilot stracił orientację i zderzył się z powietrzną cysterną wypełnioną wysokooktanowym paliwem lotniczym. Samolot eksplodował, a siedmiu członków jego załogi

zginęło. O godzinie 18.00 znów zadzwonił telefon na biurku prezydenta w Białym Domu. Carter podniósł słuchawkę i pobladł. "Czy są zabici?" -spytał, po czym poinformował członków sztabu kryzysowego o eksplozji14. Następnego ranka irańscy kamerzyści, prowadzeni przez mułłów, udali się na pustynię, by uwiecznić wspaniałe zwycięstwo nad "amerykańskim Szatanem". Stacje telewizyjne na całym świecie przekazały straszliwe obrazy zwęglonych ciał i rozbitych maszyn. Komentarze się zmieniały, ale zdjęcia pozostawały te same.

O fiasku operacji "Orli Szpon" przesądziły problemy techniczne. W tej ambitnej operacji amerykańscy specjaliści zbytnio zaufali technologii. Stany Zjednoczone Ameryki i ich potęga militarna zostały wystawione na pośmiewisko. Triumf irańskiej propagandy był całkowity. 19 stycznia 1981 roku amerykański sekretarz stanu Cyrus Vance podpisał "porozumienie algierskie", które przywracało stan rzeczy sprzed listopada 1979 roku. Jednym z głównych punktów był zwrot zamrożonych irańskich aktywów w Stanach Zjednoczonych. Następnego dnia 52 zakładników zostało uwolnionych. Tego samego dnia Ronald Reagan zastąpił Jimmiego Cartera na urzędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Przez cały czas trwania kryzysu Jimmy Carter był pięćdziesiątym trzecim zakładnikiem Iranu.

Terror trwał nadal. Pomimo surowej cenzury wieści o tym przedostawały się na Zachód15. Jedną z ofiar był irański nauczyciel angielskiego, uznany za podejrzanego intelektualistę, który zeznał:

"Najpierw zaciągnęli mnie do piwnicy i bili, abym się przyznał, że jestem na żołdzie Ameryki. Tylko dlatego, że mówię po angielsku! Zapewne miałem szczęście, ponieważ do naszej celi wprowadzono innego więźnia, ze zwisającymi bezwładnie rękami i twarzą umazaną krwią. Zwalił się na podłogę i wkrótce umarł, nie odezwawszy się ani słowem. Ustawiano nas na przejmującym zimnie na więziennym dziedzińcu. Jeśli ktoś umierał, jako przyczynę śmierci podawano

zapalenie płuc. Umieszczono mnie w oddzielnej celi i dano do przetłumaczenia dokumenty znalezione podczas ataku na amerykańską ambasadę. Pewnego dnia zapędzono nas na dziedziniec, abyśmy przyglądali się egzekucji kilku więźniów oskarżonych o działalność kontrrewolucyjną. Przerzucili sznury przez ramię dźwigu budowlanego, uruchomili dźwig i powiesili ich".

Ehsan Naraghi, jeden z ostatnich ludzi, którzy widzieli szacha, został aresztowany i wtrącony do więzienia. Jego relacja z osławionego więzienia jest poruszająca.

"Strażnik założył mi opaskę na oczy i zaprowadził mnie do głównego budynku. Kiedy zorientowałem się, że odszedł, uniosłem lekko opaskę z jednej strony. To, co zobaczyłem, przypominało koszmarny sen - w korytarzu stało 50 chłopców i dziewcząt, z zasłoniętymi oczami, związanych. Stali tam przez kilka godzin, niepewni swego losu. Czy darują im życie i zapędzą z powrotem do cel, czy też wyprowadzą na dziedziniec przed świtem? Byli to młodzi ludzie, którzy wyznawali ideologię marksistowską. Uważali, że ich towarzysze pod przywództwem Massouda Rajaviego (który przebywał w Paryżu) obalą reżim islamski. Nawet w nieuchronnym marszu ku śmierci pozostawali ślepi na rzeczywistość. Życie w więzieniu było piekłem. Przesłuchaniom towarzyszyło bicie i tortury, po których następowały kolejne przesłuchania. Pewnego ranka do mojej celi wepchnięto młodego chłopca. «Dzisiaj pierwszy raz przesłuchiwano mnie bez opaski na oczach»- powiedział.

Dla mnie było jasne, iż oprawcy nie obawiali się już, że zostaną rozpoznani. I rzeczywiście tak było; następnego ranka chłopiec został rozstrzelany".

W lutym 1981 roku irański prokurator generalny Ali Ghoddussi przedstawił dane na temat liczby procesów przed trybunałami rewolucyjnymi. Według niego odbyło się 11 565 rozpraw, zakończonych wydaniem 2600 wyroków skazujących, w tym 406 wyroków śmierci. Ghoddussi wyjaśniał: "Nie używamy tortur,

stosujemy tylko tradycyjne kary islamskie". Zachodni dziennikarze poznali przedsmak nowych porządków, kiedy Strażnicy Rewolucji wdarli się do hotelu zarezerwowanego dla przedstawicieli zagranicznej prasy i rozkazali im wsiąść do autobusu16. Autobus zatrzymał się przed osławionym więzieniem Evin. Dziennikarzy poprowadzono schodami na górę, do obszernej sali. Była to scena wyjęta żywcem z Piekła Dantego. Ogromne malowidło ścienne, przedstawiające machającego życzliwie dłonią ajatollaha Chomeiniego, dominowało nad wielkim tłumem, złożonym zapewne z 1000 więźniów. Wszyscy byli ubrani jednakowo: chłopcy w szarych więziennych kapotach klęczeli po lewej stronie, a naprzeciwko nich dziewczęta w ciemnobłękitnych czadorach. "Niech żyje wspaniała rewolucja islamska - śmierć Ameryce". Przed obiektywami kamer przesuwała się procesja żałosnych postaci. W łamanej angielszczyźnie wyrażali samokrytykę. Sformułowania w rodzaju "dobroczynny wpływ rewolucji islamskiej" i "nauki naszego ukochanego velayat-e-faqih" mieszały się z okrzykami: "Śmierć amerykańskiemu 213

Szatanowi, który sprowadził nas na ścieżkę zła". Jedna z więźniarek wyznała, że nie nosiła czadoru, uświęconego stroju kobiet. Zbrodnia innej polegała na tym, że przyłapano ją na czytaniu zachodniej literatury. Zagranicznym dziennikarzom pozwolono zadawać pytania niektórym więźniom; wszyscy byli wystraszeni i budzili zaufanie. Potem przedstawicieli prasy zaprowadzono przed oblicze człowieka o złowieszczym przydomku "Rzeźnika z Teheranu", prokuratora Assadollaha Ladjevardiego, który dał pokaz niezwykłej skromności. Trudno było sobie wyobrazić, że zaledwie kilka godzin wcześniej ten sam człowiek posłał na śmierć 80 nastolatków. Tej nocy zagraniczni dziennikarze i widzowie na całym świecie zobaczyli obraz piekła. Tym razem rewolucyjna propaganda chybiła celu.

22 września 1980 roku wybuchła wojna pomiędzy Iranem a Irakiem. Po pierwszych niepowodzeniach naród irański zjednoczył się wokół swego imama przeciwko irackim najeźdźcom. 24 maja 1982 roku wojska irańskie odbiły ważny irański port Khorramshahr. Ten

sukces sił zbrojnych wywołał ogromny entuzjazm i został ogłoszony jako "zwycięstwo prawdziwych wiernych". Zagranicznych dziennikarzy17 wezwano na godzinę 6.00. "Polecicie do Khorramshahru, bądźcie gotowi za 15 minut". Na przedpolach Khorramshahru oczom korespondentów ukazały się widome oznaki pogromu nieprzyjacielskiej armii: wypalone wraki czołgów, leje po pociskach, zasieki z drutu kolczastego, pola minowe i okopy wypełnione trupami. I niezwykły widok: tysiące samochodów ustawionych na sztorc i wkopanych maskami w piasek jako zapora przeciwko atakom wojsk powietrznodesantowych. Z ostatnich punktów oporu nadal dobiegały sporadyczne odgłosy strzałów. Samo miasto było kupą zbombardowanych, wypalonych ruin, świadczących o tym, do czego prowadzi walka na śmierć i życie. Wilgotna bryza znad Shatt-al-Arab niosła zapach śmierci; gdzieniegdzie

wałęsały się bezpańskie psy. W pobliżu wielkiego mostu, cudu inżynierii, obecnie przeciętego eksplozją na pół, leżały stosy trupów wzdętych od upału. Tutaj Irakijczycy stoczyli ostatni bój. Ze strzelnicy zwisały zwłoki żołnierza z obsługi karabinu maszynowego, z trzema taśmami amunicyjnymi wokół szyi i wielką dziurą w brzuchu. Nieopodal siedzieli trzej Irańczycy z pistoletami automatycznymi na kolanach i patrzyli przed siebie nieobecnym wzrokiem. Oparci o ścianę stali zakrwawieni iraccy jeńcy, ze związanymi rękami i zasłoniętymi oczami. Wszędzie walały się łuski po pociskach, porzucone hełmy i buty. "Szybciej uciekali boso" - zadrwił towarzyszący dziennikarzom oficer. Sądząc ze stosów ciał, niewielu udało się uciec. Czarny krąg znaczył miejsce, gdzie upadła bomba zapalająca, spopielając domy i ludzi. W pobliżu siedziała grupka Irańczyków z miotaczem płomieni. Jeden z żołnierzy wskazał osmalone trupy, unoszące się na wodzie: "Próbowali zwiewać tędy, ale dostaliśmy ich, jednego po drugim".

Ta wojna pomiędzy irackimi sunnitami a irańskimi szyitami przekształciła się w "świętą krucjatę", która trwała długie lata i pochłonęła setki tysięcy ofiar. Wreszcie Arabowie znad Zatoki

Perskiej przejrzeli na oczy. O wiele za późno uświadomili sobie, że szach był mimo wszystko mniejszym złem.

A co stało się z mułłami i ich rewolucyjnymi pomocnikami, którzy podburzali tłumy? Ajatollah Morteza Motahhari, teolog ze szkoły islamskiej w Kom i zwolennik zreformowania całego szyickiego systemu religijnego, został głównym teologiem rewolucji

islamskiej. Zamordowała go grupa mudżahedinów nazywających siebie "Obrońcami wiary Koranu". Ajatollah Beheshti zginął od wybuchu bomby. Sadek Ghotbza-deh, który próbował zorganizować zabójstwo szacha, został powieszony na rozkaz swego ajatollaha. Wieszający sędzia Assadollah Ladjevardi zginął zastrzelony w pracowni krawieckiej. Ajatollah Sadek Khalkhali, który zlecił zamordowanie syna księżniczki Ashraf, a także eksterminację Turkmenów i Kurdów, został zamknięty na oddziale psychiatrycznym. Abdul-Hassan Bani Sadr, pierwszy prezydent Republiki Islamskiej, uciekł na wygnanie. Mehdi Bazargan, który ustąpił ze stanowiska premiera, umarł śmiercią naturalną. Shapur Bachtiar, tymczasowy premier, który próbował rozwiązać kryzys środkami pokojowymi, został zamordowany w Paryżu. Natomiast ajatollah Chomeini przeżył szacha o dziewięć lat. Umarł ze starości w czerwcu 1989 roku. Nie zaznał spokoju za życia i nie miał go zaznać również po śmierci; jego mauzoleum zniszczyła bomba.

A potem...

Historia odnotuje, że Mohammed Reza II Pahlawi, szachinszach Iranu, był ostatnim z potężnych monarchów dynastycznych, który rościł sobie boskie prawo do absolutnej władzy. Upadek imperium irańskiego i wpływ jego upadku na inne dynastie królewskie nie musi oznaczać końca monarchii konstytucyjnych. Królowie mogą przetrwać jako głowy państw, dopóki będą przestrzegać podstawowych zasad: muszą się do tego nadawać i

muszą być apolityczni. Z pewnością jednak wyznacza to koniec pewnej epoki. Szach popełnił kardynalny błąd, ponieważ przecenił własną potęgę i nie docenił prestiżu imama z powodu swych uprzedzeń do religijnego odrodzenia. A poniżani, uciskani ludzie mają tylko jedną ucieczkę: wiarę.

Tragedia Iranu polegała na zasadniczej sprzeczności pomiędzy aroganckim, pompatycznym, chwiejnym monarchą, który nienawidził rozlewu krwi, choć mimo wszystko do niego doprowadził, a uczonym mułłą, który znalazł się w centrum konfliktu i posłużył się religią, aby narzucić przestarzały system społeczny. Mułła obalił monarchę, a następnie przyjął tytuł imama, który u szyitów przeznaczony jest wyłącznie dla pierwszych 12 następców Proroka. Imam Chomeini upolitycznił islamską wykładnię prawa oraz wprowadził absolutny i totalitarny reżim w imię Allacha, proroka i jego 12 imamów, a także wydziedziczonych. Czyniąc to, Chomeini zapoczątkował w kraju islamski renesans i rozpętał prawdziwą rewolucję, która szybko rozprzestrzeniła się poza granice Iranu. Islamski fundamentalizm był eksportowany do sąsiednich krajów i doprowadził do krwawych wojen domowych na obszarze Islamskiego Półksiężyca. Porywano samoloty, mordowano przeciwników politycznych. Sunnici walczyli z szyitami. Syryjskie miasto Hama zostało starte z mapy przez artylerię, kiedy Bractwo Muzułmańskie wywołało powstanie przeciwko reżimowi Hafeza el-Asada. W ciągu dwóch dni wymordowano 25 000 ludzi. Irak skorzystał z zamętu, jaki zapanował w Iranie, by najechać sąsiada. Do tego kroku skłonił Saddama Husajna usprawiedliwiony

strach przed szyickim powstaniem w Iraku. Działania wojenne wspierali finansowo jego sunnicy sąsiedzi nad Zatoką Perską. Kiedy wojna się przedłużała, doszło do zawarcia najbardziej niewiarygodnego sojuszu pomiędzy Iranem, "obrońcą prawdziwej wiary", a "szatańskim" Izraelem. Po ośmiu straszliwych latach wojna zakończyła się impasem. Ponieważ Arabowie znad

Zatoki Perskiej odmówili dalszego finansowania irackich operacji wojskowych, Saddam Husajn zaatakował Kuwejt i rozpętał Wojnę w Zatoce, która zakończyła się pożarami szybów naftowych. Islamskie zagrożenie stało się rzeczywistością. Stany Zjednoczone niepokoiły się o zasoby ropy, a Związek Radziecki musiał się liczyć z 55 000 000 muzułmanów we własnych granicach. W interesie obu supermocarstw leżało ukrócenie władzy mułłów. I tak pewnego letniego dnia w 1990 roku świat został wciągnięty w konflikt, który rozpoczął się w Teheranie 11 lat wcześniej.

A co do Iranu, to będzie dalej szedł własną drogą, tak jak czynił to od tysiącleci. akbar - Bóg jest wielki".

Epilog

Bardziej żywy po śmierci

"Kiedy źli ludzie spiskują, dobrzy muszą współdziałać, bo inaczej upadną, jeden po drugim, nieopłakiwane ofiary w godnej pogardy walce".

Edmund Burke, 1729-1797

Łatwo utożsamiamy się ze straconą sprawą, wylewając więcej łez nad losem chwiejnego Ludwika XVI niż bezwzględnego Dantona. Nie powinniśmy jednak ulegać sentymentom, monarchowie obaleni przez rewolucjonistów nie zasługiwali na swoje królestwa. Przywdziewali żałosne maski wielkości; ich słabe charaktery były pożywką dla intryg i korupcji, dopóki ich monarchiczne okręty nie rozbiły się na skałach i nie zatonęły.

Jednak w ten sam sposób krwawe poczynania wielkich rewolucjonistów przysparzały cierpień ludowi; z godnym pogardy cynizmem buntownicy dopuszczali się wszelkich podłości, aby odebrać władzę słabemu władcy. Stosowanie przez nich kary głównej naruszało jedyną niekwestionowaną międzyludzką więź - solidarność w obliczu śmierci. Aby osiągnąć swój cel, nowi

przywódcy nie cofali się przed niczym. A czego żądał w zamian lud? Sztandarów, zwycięstw i śmierci. I dostawał to wszystko. Kiedy w grę wchodziła jedność narodowa, wszystko stawało się dozwolone, w tym również zbrodnie przeciwko ludzkości. Plany rewolucjonistów były wzniosłe, ale ich metody nierzadko godne potępienia. Jest faktem, że demokracja nie powstaje w ciągu jednego dnia. A zatem, jeśli nawet moralnie błądzili, historycznie mieli zazwyczaj rację. Moralność i Historia to bardzo niedobrane małżeństwo. Na tym polega prawdziwa tragedia rewolucji.

Dziejowe zawieruchy ostatnich dwóch stuleci spowodowały zniknięcie wielkich potęg jako gwarantów wewnętrznego i międzynarodowego ładu. Rozwijający się żywiołowo nacjonalizm, w połączeniu z rewolucją przemysłową, która przyniosła

ułatwienia w dziedzinie podróżowania i komunikacji, doprowadził do ich upadku w takim samym stopniu jak rewolucja. Luźne federacje lub republiki zastępowały dziedzicznych królów, którzy często osiągali równowagę brutalnymi środkami; ostatecznym rezultatem była globalna destabilizacja, podział wielkich państw na minipaństewka, co zmuszało wiele mniejszych państw do łączenia się w większe federacje w celu przetrwani a.

To stulecie zaczęło się lepiej niż poprzednie, kiedy rewolucje wstrząsały Rosją i Meksykiem, Burowie buntowali się w Afryce Południowej, a "bokserzy" w Chinach. Obecny, XXI wiek przyniósł nowe zjawisko monetarnej globalizacji. Jest to potężny bodziec, który stymuluje rozwój gospodarczy, upowszechnia nowe technologie i podnosi poziom życia zarówno w krajach bogatych, jak i w niektórych biednych. Na razie celem większości krajów świata jest osiągnięcie materialnego dobrobytu, a to z kolei redukuje szansę politycznych przewrotów czy powstań. Pogoń za powszechnym szczęściem owładnęła ludzką wyobraźnią. Żyjemy w epoce rewolucji dobrobytu. Komfortowy styl życia ma przynieść rozwiązanie

większości ludzkich problemów. W miarę jak technologia przybliża osiągnięcie tego celu, nierówności, które powoduje, zagrażają jego realizacji. Technologia napędzała rozwój masowej industrializacji, dzięki współczesnym środkom transportu i łączności elektronicznej doprowadziła do skurczenia się globu, a także dała jednostkom ogromną wiedzę i władzę. Te fundamentalne przemiany przysparzają wielu problemów: wiążą się z ograniczeniem suwerenności państwowej, powodują erozję lokalnych kultur i zagrażają stabilizacji społecznej. Nasuwa się zasadnicze pytanie: czy narody będą w stanie kontrolować tego rodzaju przeobrażenia?

Kraje biorące udział we współczesnej rewolucji gospodarczej Europy widzą antidotum na odwiecznie zgubne skutki nacjonalizmu w unifikacji ekonomicznej, gdzie technologia uzupełnia politykę. Wielkie przedsiębiorstwa już przekraczają granice państwowe, rośnie eksport, inwestycje nie są uzależnione od interesów narodowych. Wielonarodowe korporacje organizują produkcję na zasadach globalnych. Gwałtowny wzrost gospodarczy i rozwój handlu znacznie ograniczyły liczbę nędzarzy. Powszechna poprawa warunków życia odbiera argumenty rewolucjonistom. A mimo to zawsze istnieje niebezpieczeństwo światowej destabilizacji ekonomicznej; globalizacja otwiera drogę do totalnego uzależnienia od przemysłowych supermocarstw. Mniejsze kraje obawiają się wszelkich zmian przychodzących z zagranicy, które zagrażają ich strukturze politycznej, kulturalnej i społecznej. To, co zawsze było rodzime i znane, jest nagle zastępowane czymś całkowicie obcym.

Na razie ludzie w większości krajów czują, że mają więcej do zyskania niż do stracenia. Nie wyklucza to jednak możliwości potężnej reakcji odwrotnej o trudnych do przewidzenia konsekwencjach. Zaawansowana technologia pogłębiła przepaść pomiędzy posiadającymi a nieposiadającymi. Powiększająca się w wyniku żywiołowego przyrostu naturalnego ludność świata będzie się domagać żywności, dachu nad głową i wszelkich innych dóbr. Powstanie

niebezpieczeństwo rewolty, jeśli jakaś klasa lub społeczeństwo poczuje się odsunięte od korzyści płynących z technologii, która prowadzi do ogólnego dobrobytu. Może je

to skłonić do sięgnięcia po środki rewolucyjne. Coraz łatwiej uciskanym podporządkować sobie ciemiężycieli i przekształcić regionalne konflikty w wielkie wojny. Ludzie często mówią o świadomym wyborze swojej przyszłości, ale z historycznej perspektywy jest jasne, że taki wybór rzadko był możliwy, a jeżeli już, to zwykle pod autorytarnym przywództwem. Tego rodzaju przywódcy dokonują świadomego wyboru, który pozwala im realizować własne cele, a później używają swojej władzy, aby manipulować społeczeństwem. Dzisiaj trudniej jest pozostawić trwały ślad w historii, a rebelie inspirowane przez jednego czy dwóch agitatorów, takie jak niegdyś w Paryżu, Piotrogrodzie lub Teheranie, wydają się nam niewyobrażalne. Współczesna telekomunikacja przyspiesza rozwój wydarzeń, podobnie jak środki natychmiastowej, gwałtownej represji. Śledzą nas automatyczni obserwatorzy, a Wielki Brat stał się rzeczywistością. Dobrobyt jest ważny, ale ważna jest również osobista wolność.

Człowiek to dziwne stworzenie. Potrzebuje przyjaciół, ale potrzebuje także wrogów. Tych ostatnich zawsze będzie pod dostatkiem. Chociaż wraz z upadkiem komunizmu Zachód stracił część z nich, w ciągu ostatnich kilku lat zyskaliśmy jednak nowych. Muzułmańscy fundamentaliści, rosyjska mafia, przekupni politycy - nie zapominając o kilku potężnych organizacjach gospodarczych. W związku z tym mamy prawo zadać sobie kilka poważnych pytań. Niektóre rzeczy wyglądają dzisiaj tak samo jak w minionych stuleciach. Pojawiają się ludzie gotowi zachwiać naszą gospodarką i zniszczyć naszą kulturę, wykorzystując różnice klasowe i religijne. W krajach, gdzie wolność osobista jest systematycznie naruszana, jej brak staje się poważnym problemem. Ale taka wolność, jaką znamy dzisiaj, może być niebezpieczną ideą, ponieważ budzi nadzieje, których

nigdy nie uda się urzeczywistnić. Współczesne idee łatwo przekraczają granice państwowe dzięki elektronicznym środkom komunikacji i mogą doprowadzić do tragedii. Kuba Fidela Castro przeżyła już jeden elektroniczny wstrząs, "rewolucję faksową i telewizyjną". Obietnica lepszego życia, sącząca się za pośrednictwem satelity z Miami, doprowadziła do dramatu kubańskich uchodźców. Tysiące zginęły, pożarte przez rekiny lub zmyte przez fale z gumowych pontonów. Nauczeni na własnych błędach, z pewnością nie będą w przyszłości uciekać przez wzburzone morze, lecz obalą swoich anachronicznych przywódców. Rewolucje na skalę Kuby są problemem, z którym musi się uporać współczesny świat. A jest jeszcze miliard Hindusów i prawie 2 miliardy Chińczyków, którzy też pragną poprawy swego losu. Ich obecne kierownictwo prawdopodobnie przekona się, że wielkość i potęga militarna nie są równoznaczne z siłą wewnętrzną. Zniecierpliwione narody Azji powstaną i zrzucą jarzmo obozów koncentracyjnych, łagrów i terroru tajnej policji, uwolnią się od tego wszystkiego, co przeszkadza im być tym, czym chciałyby być.

W 1930 roku "półnagi fakir" (mówiąc słowami Churchilla) dał światu pierwszy przedsmak wolności, kiedy skutecznie zademonstrował nową wersję rewolucji, dokonującej się przez pokojowe zmiany. Pięćdziesiąt dziewięć lat później jakiś Chińczyk z teczką stanął na drodze kolumny czołgów, które jechały na plac Tienanmen, by stłumić rebelię najliczniejszego narodu na kuli ziemskiej. Ten jednostkowy akt zdecydowania i odwagi zelektryfikował świat. Uruchomił też dzwonki ostrzegawcze. Tak, idea wolności dociera szybko do większości ludzi we wszystkich częściach globu.

Nowe tysiąclecie przyniesie wielu z nich Nowy Porządek, który zastąpi lancien regime. Może to nawet nastąpić niepostrzeżenie, ponieważ trudno jest uchwycić początek zmian. Bardzo często towarzyszą im niepokoje społeczne. Dzień, w którym Azja i miliardy jej mieszkańców, "których dręczy głód", powstaną, będzie

odpowiednikiem kosmicznego Wielkiego Wybuchu. A że taki dzień nastąpi, to pewne. U progu nowego tysiąclecia świat ma znacznie lepsze pojęcie o tym, co pozostawia, niż o tym, co go czeka w przyszłości.

Historia to dzieje ludzkości, a każdy człowiek ma swoją osobowość, ambicje i namiętności. Nikt nie może uciec od swego środowiska naturalnego, wychowania, zasadniczych cech charakteru.

Spośród tych, którzy żyli w minionych stuleciach, wielu było wezwanych, lecz tylko nieliczni zostali wybrani. Swoim przykładem zainspirowali naśladowców i przesądzili o losie nas wszystkich. Każdy z ich czynów można usprawiedliwić, dowodząc, że został popełniony w imię patriotyzmu, Boga lub - najczęściej -jakichś idei.

Na naszym życiu odcisnęli swoje piętno ci, którzy żyli przed nami. "We wszystkich krajach śmierć jest końcem. Przychodzi i kurtyna opada. Ale nie tutaj. Tutaj człowiek umarły jest bardziej żywy po śmierci...". Te słowa napisał poeta Federico Garcia Lorca w noc przed egzekucją. Jakże prawdziwe. Człowiek żyje, dopóki trwa pamięć o nim. Zabija go jedynie zapomnienie. Zapewne największym dziedzictwem, jakie pozostawia nam po sobie rewolucjonista, nie są jego zdolności wojskowe ani osiągnięcia polityczne, lecz fakt, że jego duch nigdy nie umiera. To najwspanialszy pomnik człowieka.

Taki człowiek jest bardziej żywy po śmierci.

Przypisy

10 sierpnia 1794 roku

1 Po uchwaleniu konstytucji 1791 roku Konstytuanta rozwiązała się, a na jej miejsce wybrano Zgromadzenie Prawodawcze, czyli Legislatywę.

2 Wydarzeniem dorównującym swoją symboliką zdobyciu Bastylii był upadek Muru Berlińskiego dokładnie 200 lat później, w 1989

roku.

3 Obecnie wznosi się tam wieża Eiffla.

4 Termin ten oznacza dosłownie "bez spodni" i odnosi się do noszonych przez arystokratów krótkich, zapinanych pod kolanami spodni (culottes), których nie nosili ludzie z gminu.

5 W Lucernie stoi pomnik poświęcony ich heroicznej postawie, wielki śpiący lew z bokiem przebitym włócznią, dzierżący w łapach królewski herb.

6 Obecnie jest to centrum paryskiego życia artystycznego.

7 Według niektórych źródeł wykrzyknął: "Miejcie litość!".

8 Ze wspomnień opata Sicarda, jedynego ocalałego świadka.

9 W 1860 roku, podczas renowacji klasztoru, odnalezione zostały ich szkielety.

10 Hitlerowska "noc kryształowa" w 1938 roku i nazistowskie rytuały palenia książek bledną przy tych wydarzeniach.

11 Z relacji naocznego świadka Philippea Mauricea.

12 Oficjalny tytuł kata Paryża, niejakiego Charleśa Henriego Sansona.

13 Cytaty z Dantona wypełniają tomy, a jego powiedzenia uwieczniono na pomnikach.

14 Dom Duplayów, gdzie mieszkał, został zburzony przez Napoleona.

15 Saint-Just urodził się w 1767 roku w Decize. Dom jego rodziców stoi nadal w miasteczku Blerancourt.

16 Wygrał niewielką większością głosów.

17 "Armia robotów" została znakomicie przedstawiona w filmie Fritza Langa Metropolis.

221

18 Francois Denis Tronchet przeżył i został sędzią. Chretien Guillaume de Lamo-ignon de Malesherbes skończył na gilotynie.

19 Później ustalono, że 13 głosów było nieważnych; niektórzy z głosujących nie zostali wpisani na listę, a jeden był za młody: Saint-Just, który nie osiągnął wieku uprawniającego do głosowania.

20 Jego ciało wrzucono do dołu z wapnem na cmentarzu de la Madeleine. Dwadzieścia dwa lata później szczątki króla odkopano i urządzono mu przyzwoity pogrzeb.

21 Dowodzi to, na jak słabych podstawach opierało się oskarżenie. Danton należał do tych, którzy posłali króla na śmierć. Koblencja była ośrodkiem działalności rojalistycznej.

22 Relacje z tamtego okresu wskazują, że Danton wciąż nie zdawał sobie sprawy, kto jest rzeczywistym inspiratorem procesu.

23 Zachowały się bardzo nieliczne świadectwa, ponieważ niewielu więźniów przeżyło.

24 Relacja księdza Carrichona z egzekucji księżnej de Noailles.

25 Ostateczne głosowanie nad wyrokiem śmierci dla Ludwika XVI było jawne. Miało to oddzielić publicznie gołębie (rojalistów) od jastrzębi (republikanów).

26 Eduard Herriot Lyon nest plus.

21 Święto było jedynym dniem podczas jego krwawych rządów, kiedy gilotyna nie pracowała.

28 Posągi zaprojektował malarz David, który został później nadwornym artystą Napoleona.

29 Żandarm Merda utrzymywał, że to on oddał strzał, lecz jego słowa nigdy nie zostały potwierdzone.

30 Zbryzgany krwią dokument, a także stół, na którym leżał Robespierre, znajdują się w Musee Carnavalet w Paryżu.

31 Biegł on od głównej bramy Conciergerie przez Pont Neuf na Sekwanie i dalej wzdłuż Rue St Honore na plac Zgody.

32 W obawie przed aresztowaniem Robespierre przeniósł się 17 lipca 1791 roku do domu pod numerem 398 przy Rue St Honore. Dzisiaj mieści się tam Cafe le Robespierre.

33 Terror pochłonął 16 594 ofiary.

34 Zdanie to wypowiedział inny francuski rewolucjonista, Pierre Victorien Vergniaud, który zginął na gilotynie w 1793 roku: "Rewolucja, jak Saturn, pożera własne dzieci".

13 sierpnia 1809 roku

1 Haufen znaczy "kupa" lub "gromada", luźno związana jednostka nieregularnej milicji.

2 Stutzen to garłacz ładowany od lufy, który miał tę przewagę nad karabinem wojskowym, że był krótszy i dlatego łatwiejszy w użyciu w warunkach wojny partyzanckiej. Stutzen był poprzednikiem karabinka kawaleryjskiego.

3 Sandwirt to nazwa karczmy. Było w zwyczaju zwracać się do człowieka nie po nazwisku, lecz używając jego tytułu.

4 Tyrol miał własny parlament, czyli Landtag. Warto zwrócić uwagę, że Tyrolczycy obawiali się centralistycznej polityki Wiednia bardziej niż obcych najeźdźców.

5 Jego osobiste męstwo, przedstawione na słynnym obrazie w Luwrze, uczyniło go bohaterem narodowym.

6 Z pamiętników arcyksięcia Jana.

7 Jego autorem był Johann David Schubert.

18 listopada 1910 roku

1 Wioska w meksykańskiej prowincji Rio Grande.

2 Mestizo - Metys.

3 Cytat z Luisa Lary Pardo, meksykańskiego historyka.

4 Z relacji Henryego Baerleina, naocznego świadka.

5 W owym czasie stanowiło to 25 procent wszystkich amerykańskich sił zbrojnych.

6 Z relacji Timothyego Turnera, korespondenta "El Paso Times".

7 Amerykanie nazywali ich Czerwonymi Pelerynami; był to elitarny korpus jazdy, który zawdzięczał swoje miano brudnoczerwonym opończom.

8 Zachowała się fotografia przedstawiająca tę scenę.

9 Wielu Teksańczyków skorzystało na rewolucji meksykańskiej, kładąc podwaliny swoich fortun.

10 Pancho, znany z licznych małżeństw, nigdy nie rozstawał się z ostatnią żoną. Pewnego razu w tym samym mieście mieszkały aż trzy

señoras Villas. Kiedy Pancho zmarł, pięć kobiet utrzymywało, że są legalnymi wdowami.

11 "Colliers Magazine" określił to jako "powstanie Villi".

12 Nazwa pochodziła od złotych insygniów na kapeluszach.

13 W Zacatecas brytyjski wicekonsul został aresztowany i postawiony pod ścianą, lecz Villa wstrzymał egzekucję.

14 Zob. Barbara Tuchman Telegram Zimmermanna.

15 W kolejnej wolcie, jakże typowej dla rewolucji meksykańskiej, Adolfo de la Huerta wystąpił zbrojnie przeciwko Obregónowi, lecz został pokonany i uciekł do Kalifornii, gdzie zmarł jako nauczyciel muzyki.

16 16 lipca 1928 roku Obregón został zamordowany przez religijnego fanatyka Leona Torala.

17 Barazza zmarł śmiercią naturalną w 1951 roku.

7 listopada 1917 roku

1 WCzK to skrót od Wsierossijskaja Czriezwyczajnaja Komissjapo borbie s kontr-riewolucyjej i sabotaietn.

2 Z pamiętników Kotoszychina napisanych po jego ucieczce z Rosji.

3 A. Muller Gesprache żur Weltgeschichte.

4 Nie wiadomo, co stało się z zyriańskim przewodnikiem.

5 L. Trocki Historia rewolucji rosyjskiej.

6 Według obowiązującego w Rosji kalendarza juliańskiego wypadał wtedy 25 października, dlatego wydarzenia najbliższych godzin stały się znane jako rewolucja październikowa.

7 Ujawnił to w 1965 roku na łożu śmierci jeden z zabójców, Andriej Markow.

8 Treść rozmowy zacytował Martin Łacis, były członek kolegium WCzK, w swojej książce Czerwony terror.

9 Diemidowa była tęga, natomiast pokojówka, którą zamordowano w piwnicy, została opisana jako wysoka i szczupła. Dlatego nie jest pewne, czy Diemidowa naprawdę była tam tej nocy.

10 Edvard Radzinsky, The Last Tsar.

11 Kryptonimy cara i członków jego rodziny.

12 Z relacji Roberta Brucea Lockharta, brytyjskiego konsula generalnego.

13 Według statystyk radzieckich, opartych na spisie ludności ze stycznia 1959 roku.

14 Boris Souvarine Stalin.

15 Mercader stanął przed sądem, ale nigdy nie ujawnił, kto kazał mu zamordować Trockiego.

Spędził w więzieniu 20 lat.

16 Milovan Djilas Rozmowy ze Stalinem.

17 9 listopada 1989 roku.

9 stycznia 1919 roku

1 Der Geist des neuer Kriegssystems, 1799.

2 Obszar Rosji, na którym wolno było mieszkać Żydom.

3 Doktor Hans Diefenbach i Kostia Zetkin.

4 Junius Brochure.

5 Cyt. za: Liebknecht Antimilitarismus.

6 E. Bernstein Die Deutsche Revolution. 1 F. Runkel Die Deutsche Revolution.

8 Zeznanie porucznika Schulzego podczas późniejszego dochodzenia.

9 Jak na ironię sumę tę zaofiarował Scheidemann, socjalista, do którego partii należała przez ostatnie dwa lata ścigana para.

10 Przez wiele lat uważano, że porucznik Vogel oddał śmiertelny strzał. Przeprowadzone ostatnio dochodzenie wykazało jednak, że uczynił to inny oficer, porucznik Souchon.

11 Obalili też lewicowy rząd Kurta Eisnera w Bawarii.

12 Niemiecki karykaturzysta Georg Grosz opublikował rysunek, na którym oficer je obiad z przemysłowcem, a w tym czasie żołnierze rozpędzają bagnetami robotników.

13 Nieprzejednana nienawiść pomiędzy muzułmanami a hinduistami rozpoczęła się wraz z islamskim podbojem sułtana Mahmuda-al-Ghazny w 1000 roku.

224

20 lipca 1944 roku

1W lutym 1943 roku dwoje studentów Uniwersytetu Monachijskiego, Hans Scholl i jego siostra Sophie, założyło grupę antywojenną Weisse Rose (Biała Róża). Oboje zostali aresztowani i ścięci.

2 Wolfschanze (Wilczy Szaniec) to kryptonim kwatery Hitlera. Był także Wolf-schanzeZwei (Wilczy Szaniec Dwa) dla zachodniego teatru działań wojennych w pobliżu wioski Margival we wschodniej Francji.

3 Podobnie jak inny dyktator, Józef Stalin.

4 Stauffenberg użył zdobycznego zapalnika brytyjskiego, który okazał się bardziej niezawodny.

5 Obecni byli: Keitel, Jodl, Warlimont, Heusinger, Buhle, Bodenschatz, Scherff, Korten, Voss, Puttkamer, Brandt, Below, Assman, Waizenegger, Buechs, Fegelein, Guensche, Sonnleithner i Berger.

6 Karl Pridun 20 J uli 1944, Stellungsnahme.

7 Pisemna relacja Georgiego z tej rozmowy została sporządzona o godzinie 1.00 21 lipca 1944 roku, a więc zaledwie półtorej godziny po opisanych wydarzeniach.

8 Von der Heyde Der 20 J uli 1944 im OKW-AHA.

9 Miejsce to oznaczone jest dzisiaj tabliczką, a turyści mogą oglądać ślady po kulach w ścianie.

10 Freisler zginął w sądzie przygnieciony przez spadającą belkę podczas nalotu bombowego na Berlin.

11 Wraz ze zwłokami jego nowo poślubionej żony, Ewy Braun.

15 sierpnia 1945 roku

1 Shogun albo sei-i-tai shogun znaczy "wielki wódz ujarzmiający barbarzyńców".

2 Termin "młodzi oficerowie" został użyty na określenie stopni wojskowych do podpułkownika.

3 Termin "bokserzy" oznacza "Stowarzyszenie zgodnych pięści".

4 Hitler powtórzył tę taktykę, gdy zaaranżował podobny incydent na granicy polskiej, by rozpocząć II wojnę światową.

5 Skrót od Totsugeki - "Naprzód!"

6 Jednym z nich był niemiecki naukowiec Klaus Fuchs, który okazał się agentem radzieckim i przekazał Rosjanom dokładny schemat bomby.

7 Słowa boga Wisznu z poematu Bhagawatgita. Za swój sprzeciw wobec programu nuklearnego Oppenheimer został w 1952 roku, w okresie maccartyzmu, zwolniony i oskarżony o zdradę. Oczyszczono go z tych zarzutów, ale już nigdy nie uzyskał dostępu do wyników badań.

8 Był to ten sam Umezu, który ostatecznie podpisał akt kapitulacji Japonii na pokładzie pancernika USS "Missouri".

9 J.F.C. Fuller The Dedsive Battles ofthe Western World. 1(1 Jest to raczej japońskie wyrażenie z okresu rewolucji Meiji niż zwrot oznaczający niską rangę.

11 7 stycznia 1989 roku.

225

12 Autor spędził kilka miesięcy z Castro w Sierra Maestre. Ulubioną lekturą Fidela było Commando Extraordinary, historia pułkownika Ottona Skorzenego. Autor, który w tym okresie spędził dużo czasu w towarzystwie Fidela, woli nie spekulować, co sprawiło, że Castro zmienił zdanie.

8 października 1967 roku

1 Podczas jedynej bitwy rewolucji Fidela Castro, stoczonej pod Santa Clara w grudniu 1958 roku, Che zniszczył słynny pociąg pancerny Batisty i zdobył miasto. W ten sposób rozciął Kubę na dwie części i zmusił Batistę do ucieczki.

2 Jedna fotografia ukazała się w oficjalnej gazecie "Granma", ale bez informacji, gdzie została zrobiona.

3 Jednym z zastępców Che był Laurent Kabila, który w 1997 roku obalił Mobutu i jest dzisiaj prezydentem Konga.

4 Astma przeszkadza choremu przy wydychaniu powietrza.

5 Podczas konferencji prasowej zwołanej pod koniec października 1967 roku władze boliwijskie pokazały dziennik, który prowadził Che Guevara w trakcie działań partyzanckich, znaleziony w jego plecaku w pobliżu miejsca zasadzki. Che nabył ten zeszyt na lotnisku we Frankfurcie i zapisywał w nim wszystko, co się wydarzyło.

6 Jego najbliższymi towarzyszami byli: Marcos, Benigno, Rolando, Coco, Joaquin, Alejandro, Luis, Moro, Medico, Urbano, Pombo, Pacho, Tuma, Loro, Inti i Jorge -sami Kubańczycy.

7 Tę teorię poparł również w swojej książce Paco Ignacio Taibo, uciekinier z Boliwii.

8 Bezpodstawnie uważano później, że to Amerykanie pojmali Che.

9 Jan Stage jest najlepszym źródłem informacji o udziale Castro w boliwijskiej awanturze Che. Mieszkał na Kubie prawie przez cały okres rewolucji, a potem ożenił się z bliską przyjaciółką Hildy Gadei, żony Che. Osobista relacja Stagego okazała się niezwykle przydatna przy odtwarzaniu przebiegu wydarzeń.

10 Na wysokości 2280 metrów; był to najwyższy punkt na trasie marszu Che.

11 Na zdjęciu agent CIA stoi na prawo od Che Guevary. Fotografia stała się źródłem pogłosek, że egzekucję Che zleciła CIA.

12 Trzej Boliwijczycy, którzy byli w grupie Che, przybyli wraz z nim z Kuby.

13 Castro zorganizował szeroko nagłośnioną operację poszukiwania szczątków Che. W 1997 roku grupa geologów wyruszyła z Kuby i odnalazła ludzkie szczątki w pobliżu Vallegrande. Zostały wysłane do Hawany i pochowane z wielką pompą i honorami wojskowymi.

16 stycznia 1979 roku

1 Koran, 2, 153.

2 Nietzsche Tako rzecze Zaratustra. Prorok Zaratustra (gr. Zoroaster) żył w VII wieku p.n.e.

Jego nauka opierała się na kulcie słońca i jego energii. Perska ludność Bombaju to wyznawcy staroperskiego kultu Zaratustry.

3 Siedem Sióstr to: Standard Oil of New Jersey (Exxon), Mobil Oil, Standard Oil of California (Socal), Royal Dutch Shell, Texaco, Gulf Oil i British Petroleum (BP, dawniej Anglo-Perska, później przemianowana na Anglo-Irańską).

4 Zmarł na wygnaniu w Afryce Południowej w 1944 roku.

5 Wszyscy, którzy w tym okresie udzielili pomocy szachowi, zostali hojnie wynagrodzeni.

6 Było to pierwsze zetknięcie autora z rewolucją islamską.

7 Husajn został pochowany w Kerbali, która, wraz z meczetem Alego w Nadżafie, jest dla szyitów bardziej świętym miejscem niż Kaaba w Mekce lub grobowiec proroka Mahometa w Medynie.

8 Latem 1998 roku wojska sunnickich talibów zdobyły kilka większych miast w Afganistanie i wymordowały wszystkich szyitów.

9 Terminem Islamski Półksiężyc określa się obszar geograficzny od Indonezji do Afryki Północnej.

10 Podobno pomógł mu izraelski Mossad.

11 Wzajemna wrogość trwała aż do 21 czerwca 1998 roku, kiedy drużyny piłkarskie Iranu i Stanów Zjednoczonych spotkały się podczas rozgrywek o Puchar Świata we Francji. Wygrał Iran.

12 Za tą teorią przemawia zaprzeczenie zamieszczone w gazecie "Mojahed" 2 grudnia 1980 roku. Zostało opublikowane wraz depeszą o rzekomej rozmowie pomiędzy Brucem Leingenem i Henrym Prechtem z Departamentu Stanu a Beheshtim:

TO NAPRAWDĘ GODNE UBOLEWANIA, ŻE CI SAMI LUDZIE, KTÓRZY OBALILI REŻIM BAZARGANA, PONIEWAŻ UTRZYMYWAŁ KONTAKTY Z BRZEZIŃSKIM, MOGLIBY UWAŻAĆ DOKUMENTY AMBASADY ZA KOMPROMITUJĄCE. NIC NAM O TYM NIE WIADOMO, ŻE PAN BEHESHTI SPOTYKAŁ SIĘ Z PRACOWNIKAMI AMERYKAŃSKIEJ AMBASADY I PROSIŁ AMERYKANÓW O POMOC.

13 Kilkanaście czarnych kobiet zostało zwolnionych.

14 Szef Operacji Morskich, admirał J.L. Holloway III, Rescue Mission Report, sierpień 1980.

15 Jedna z opowieści dotyczyła więźnia, któremu udało się uciec, gdy przewożono go z więzienia Qasr do Evin. Zapłacił Kurdom, aby przeprowadzili go przez góry do Turcji, i mieszka dzisiaj w Danii.

16 Autor był jednym z nich.

17 Autor znalazł się w pierwszej grupie, która odwiedziła pole bitwy.

Bibliografia 10 sierpnia 1794 roku

Anecdotes peu connues sur Danton, Paryż 1793.

Bailly A.D. Anecdotes sur la mort de Louis XVI, Paryż 1804.

Beaucourt Marquis Captivite et derniers moments de Louis XVI, Paryż 1892.

Behrens A. The Ancien Reginie, Londyn 1967.

Bonnet J. La mort de Marat, Paryż 1986.

Bressand J. Recit des temps revolutionnaires, Paryż 1984.

Campan A. Memoires, Paryż 1821.

Castelot A. Louis XVI, Paryż 1960.

Convention Nationale sur le jugement Citoyen Capet par J. Fouchet, 1793.

Crapelet Portrait de Marat, 1794.

Decaux A. Face aface de lhistoire, Paryż 1977.

Desessarts Le crime de Robespierre et ses complices, la mort de Marat, 1797.

Detremau N. Trois jours pour detruire la monarchie, Paryż 1988.

Dumineray H. La Peste Rouge, Paryż 1851.

Dunn S. Death of Louis XVI, Princeton 1994.

Firemont Abbe Memoires, Paryż 1815.

Furneaux R. The Bourbon Tragedy, Londyn 1968.

Hampton D. Danton, Londyn 1978.

Hue F. The last Years of Louis XVI, Londyn 1866.

Jugement du citoyen Capet et safemme, Marie Antoinette, Paryż 1796.

La mort et la resurrection de Louis XVI, \ 792.

Lenotre G. The Dauphin: Louis XVII, Londyn 1911.

Letter ofM. Burke, member of parliament, Londyn 1790.

Marat J.P. Lami du peuple, 1790.

Mathiez A. Le dix aout. Paryż 1931.

Morris G. A Diary ofthe French Revolution 1789-93, Londyn 1939.

Nodier C. Le 21 janvier, Paryż 1816.

Revelation sur la procedurę et execution de Charlotte Corday, 1794.

Roederer P. Chroniqm des cinquante jours du 20juin au W aout, Paryż 1832.

Romartin Les geanys de 89, Paryż 1977.

Schama S. Citizens: A Chronicie ofthe French Revolution, Londyn 1989.

Seward D. The Bourbon Kings of France, Londyn 1976.

Speech by M r Pitt before the House ofCommons, 1793.

Sutherland D.M.G. France 1789-1815, Londyn 1985.

Thompson S. Leaders ofthe French Revolution, Londyn 1988.

Tocqueville A de. Lancien regime et la revolution, Paryż 1877.

Turgy F. Les ąuatre jours de la Terreur, Paryż 1814.

Yalom M. Les Temps des Orages, Paryż 1989.

Źródła archiwalne

Archiwa Narodowe, Paryż (zwłaszcza relacje świadków naocznych z procesów i egzekucji).

13 sierpnia 1809 roku

Bartsch R. Der Yolkskried in Tirol, 1905. Franki L.A. Andreas Hofer im Liede, 1884. Hirn J. Tirols Erhebung im Jahre J809, 1909. Magenschab H. Das Leben des Andreas Hofer, 1935.

Źródła archiwalne

Archiwa Narodowe, Paryż; Bibliotheque Centre Culturelle dAutriche, Paryż; Oester-reichische Staatsbibliothek, Wiedeń.

18 listopada 1910 roku Alba V. The Mexicans.

Atkins R. Revolution.

Blasco Ibanez V. Mexico in Revolution.

Cline H.F. The United States and Mexico.

Harris L.A. Pancho Villa and the Columbus Raid.

Pinchon E. Viva Villa.

Tuchmann B. The Zimmerman Telegram.

7 listopada 1917 roku

Conąuest R. The Great Terror, Londyn 1990. Denikin A. The Russian Turmoil, Londyn 1922.

Djilas M. Rozmowy ze Stalinem, Paryż 1963.

Golovine N. The Russian Army in the World War, New Haven 1932.

Kerenski A. The Crucifixion of Liberty, Nowy Jork 1934.

Mourousy P. Lenin: autopsie dun dictateur, Paryż 1992.

Moynahan B. Comrades, Londyn 1992.

Miiller A. Gesprdche żur Weltgeschichte, Stuttgart 1965.

Pares B. The Fali ofthe Russian Monarchy, Londyn 1939.

Plowman S. My Kingdomfor a Grave, Londyn 1970.

Radzinsky E. The Last Tsar, Londyn 1992.

Reed J. Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem.

Serge (Kibaltshish) V., Lan l de la Revolution Russe, Paryż 1971.

Sokolov N. Enąuete Judiciaire sur lassassinat de la Familie Imperiale Russe, Paryż 1929.

Souvarine B. Stalin, Londyn 1939.

Trotsky L. The History ofthe Russian Revolution, Nowy Jork 1932.

Źródła dodatkowe

Rozmowy z ojcem B. Czukowem z rosyjskiej cerkwi prawosławnej w Paryżu.

9 stycznia 1919 roku

Akademie Wissenschaft Revolutionare Ereignisse 17/18, 1957.

Badia G. Rosa Luxemburg.

Bernstein E. Die Deutsche Revolution, 1921.

Braubach M. Aufstieg Brandenburgs 1640-1815, 1933.

Bulow H.D. von Der Ceist des neuer Kriegssystems, 1799.

Co wieś V. Wilhelm der Kaiser, 1963.

Ebda C. The Spartakist Uprising, 1958.

Feldman G. Army, Industry. Labor in Germany, 1966.

Freiheit Yerlag Der Mord an Kań Liebknecht und Rosa Luxemburg, 1920.

Froehlich P. Rosa Luxemburg, 1939.

Ilsemann S. Der Kaiser in Holland, 1967.

Liebknecht K. Antimilitarismus.

Luxemburg R. Die Akkumulation des Kapitals, 1912.

Luxemburg R. Junius Brochure, 1916.

Macartney C. Habsburg and Hohenzollern Dynasties, Londyn 1970.

Mommsen H. Die Yerspielte Freiheit, 1989.

Nettl P. Rosa Luxemburg.

Quack S. Geistigfrei, niemandes Knecht, 1983.

Reiners L. In Europa gehen die Lichter aus, 1954.

Runkel F. Die Deutsche Revolution,

Waldman E. Spartakus, 1967.

ZieglerW. Volk ohne Fuehrung, 1938.

230

Źródła archiwalne

Deutsches Historisches Institut, Paryż.

20 lipca 1944 roku

Bullock A. Hitler. Studium tyranii, Warszawa 1970. GuentherH. Geschichte des 2. Weltkriegs,

1965. Hauner M. Hitler: a chronology, Londyn 1983. Heyde von der Der 20 Mi 1944 in OKW-AHA. Maser W. Adolf Hitler, 1971. Page H.P. General Friedrich Olbricht, 1992. Pridun K. 20 Juli 1944, Stellungsnahme.

Źródła archiwalne i dodatkowe

Deutsches Historisches Institut, Paryż; wywiady autora z Albertem Speerem i Ottonem Skorzenym.

15 sierpnia 1945 roku

Akamatsu P. Meiji 1868, Paryż 1968.

Bergamini D. The Conspiracy ofHirohito, Paryż 1974.

Churchill W. Druga wojna światowa, Gdańsk 1996.

Fuller J.F.C. The Decisive Battles ofthe Western World, Londyn 1970.

Guillain R. Lepeuple japonais et la guerre, Paryż 1947.

Leonard J.N. Medieval Japan, 1969.

Okasaki A. Histoire de Japon, Paryż 1958.

Pacific War Research Group Japan s Longest Day, 1965.

Źródła dodatkowe

Rozmowy autora z japońskimi świadkami.

8 października 1967 roku KalfonP. Che, 1997.

Maspero R, Guevara C. Journal de Bolivie, 1968.

Ramirez D.A. Le Che en Bolivie, 1997.

Stage J. Revolution, 1968.

Taibo P. Guevara, 1997.

Źródła archiwalne i dodatkowe

Archiwa kubańskie, Hawana; osobiste notatki autora i rozmowy ze świadkami.

16 stycznia 1979 roku

Ajomand S.A. The Turban for the Crown, Londyn 1988.

Harney D. The Priest and the King, Londyn l998.

Holloway J.L. et al Rescue Mission Report, 1982.

Hoveyda F. The Fali ofthe Shah, Londyn 1980.

Huyser R. Mission to Tehran, Londyn 1986.

Jordan H. The Last Year ofthe Carter Presidency, Nowy Jork 1982.

Legrand J. Le Chah dIran, Paryż 1998.

Moreau R-comme racket petrolier, Paryż 1976.

Mozaffari M. Pouvoir Shiite, Paryż 1998.

Naraghi E. Du Palls du Chah aux prisons de la Rźvolution, Paryż 1991.

Pahlevi R. Answer to History, Nowy Jork 1980.

Parsons A. The Pride and the Fali, Londyn 1984.

Powell J. The Other Side ofthe Story, Nowy Jork 1984.

Samson A. The Seven Sisters, Londyn 1975.

Scholl-Latour P. Allah ist mit den Standhaften, Stuttgart 1983.

Scott C.W. Pieces ofthe Gamę, Atlanta 1984.

Shawcross W. The Shah s Last Ride, Nowy Jork 1988.

Sick G. Ali Fali Down, Londyn 1985.

Taheri A. The Unknown Life ofthe Shah, Londyn 1991.

Źródła dodatkowe

Znaczna część tego rozdziału jest oparta na osobistych obserwacjach autora, gdy poczynając od lat 60., jako dziennikarz odwiedzał Iran, przeprowadzając wywiad z szachem w 1972 roku i z premierem Freydounem Hoveydą. W roku 1978 autor złożył wizytę w rezydencji ajatollaha Chomeiniego pod Paryżem, przebywał w Teheranie

podczas rewolucji i kryzysu z zakładnikami, w 1982 roku odwiedził więzienie Evin i opisywał wojnę irańsko-iracką z Teheranu i Bagdadu.

Indeks

Abraham Moises 180 Acosta Nunez 174

Afshar Aslan 201 Agnew Spiro 191 Alam Assadollah 192

Aleksander II, car Rosji 84, 88, 106, 125,

128

Aleksander III, car Rosji 84, 91 Aleksandra Fiodorowna, caryca 88, 106,

125

Aleksy, syn Mikołaja II 109 Ali Husajn ibn 193 Allende SaWador 182 Almeida Juan 168 Almejeiras Efigenio 168 Anami Korechika 158, 159, 160, 161, 162,

163, 164, 165 Anastazja, córka Mikołaja II 84, 109, 110,

112, 118

Anaya Joaquin Zenteno 178 Anna Austriaczka, żona Ludwika XIII 16 Annunzio Gabriel d 85 Antonow-Owsiejenko Władimir Aleksandrowicz 98 Arafat Jaser 210 Arcy William Knox 186 Artelt Karl 122

Ashraf, księżniczka 85, 188, 189, 208, 215 Asad Hafez el- 215 Awksentiew Nikołaj Dmitrijewicz

158 Azhari Gholamreza 202 B

Bachtiar Shapur 201, 208, 210, 211, 212,

224

Badrai Abdollah 204, 207 Balderal Julia Cortez 178 Barra de la 64 Barras Paul 42, 45, 46 Barraza

Jesus Salas 80 Barrientos 174, 175, 178, 182 Barry Jeanne Becu hr. de 20, 33 Basevi Joachim 57, 64 Batista Fulgencio 170 Bazargan Mehdi 203, 206, 207, 208, 215 Beaumarchais Pierre 16 Bebel August 121 Beck Ludwig 140, 150, 152, 154 Beckwith 212

Beheshti Mohammad 209, 210, 215, 232 Benton William 68 Berlanga David 71 Bernard Pierre 32 Billaud-Yarenne Jacques Nicolas 40, 41, 42,

43

233

Bismarck Otto von 118, 119, 157 Bisson Pierre Fran9ois 52, 57 Błagonrawow 105, 113 Blanąuet Aureliano 66 Blumenthal Michael 198 Bolivar Simón 80 Bonaparte Napoleon 49, 53 Bormann Martin 140, 147

Botkin Jewgienij Siergiejewicz 97, 109 Boyd Charles 75 Brandt Heinz 143, 230 Braun Ewa 142, 230

Brissot de Warville Jacques Pierre 36

Brown 212

Brusiłow Aleksiej Aleksiejewicz 87 Brzeziński Zbigniew 202, 211, 212 Bucharin Nikołaj Iwanowicz 87, 94, 95,

106, 114

Biilow Heinrich Dietrich von 119 Burgdorf Wihelm 147 Biełoborodow Aleksander Gieorgijewicz 105, 113

Callaghan James 203

Calonne Charles 17

Cambon Joseph 42

Canaris Wilhelms 140

Candia Alfredo Ovando 180

Cardenas Francisco 66, 74

Cardenas Julio 74

Cardenas Lazaro 114

Carnot Lazare 31, 40, 42, 49

Carranza Yenustiano 66, 69, 70, 72, 74, 75,

76, 77 Carter Jimmy 200, 203, 207, 209, 210, 212,

225

Casas Jose Martinez 66, 180 Castleman 73 Castro Fidel 9, 72, 168, 170, 171, 172, 173, 174, 175, 182, 219, 231 Castro Raul 175, 182 Chabalow 90, 91 Chabot Franęois 23 Chambon 30 Chang Chino 179

Charitonow Iwan Michajłowicz 109 Chateaubriand Franęois Renę 46 Chaumette Pierre 47, 48

Chenier Andre 39

Chomeini Sayyed Rudollah Musawi 10,

190, 192-194, 196-199, 201-211, 213,

215, 225

Chruszczow Nikita Siergiejewicz 173 Churchill Winston 81, 166, 187, 219, 224 Colbert Jean-Baptiste 190 Collot dHerbois Jean Marie 40, 41, 42, 43,

44 Condorcet Jean Antoine Nicolas de Caritat 39 Corday dArmont Marie Annę Charlotte 35,

222

Cornwallis Charles 17 Couthon Georges 40, 43, 44, 45, 46

D

Daishi Kobo

Danton Georges Jacques 13, 15, 22, 25, 26,

27, 29, 30, 34-41, 44, 48, 49, 54, 121,

217, 221, 226, 227 Gaulle Charles de 203, 205 Debray Regis 175 Desmoulins Camille 20, 37, 38, 44 Dfaz Porfirio 62, 63, 64 Di ba Farah 186 Diefenbach Hans 229 Diemidowa Anna Stiepanowna 109,

110,

229

Diderot Denis 16 Djilas Milovan 223, 229 Dodd 74 Dorrenbach 130 Doust Rafig 210 Dreben Sam 63 Duchonin Nikołaj Nikołajewicz 104 Ducos Roger 36

Dugomierre Jacąues Franęois Coquille 165 Dumouriez Charles Franęois du Perier 27,

34, 37

Durler 23, 24

Dybienko Paweł Jefimowicz 103 Dzierżyński Feliks 82, 83, 100, 102, 104,

114

E

Ebert Friedrich 125, 130, 131, 132, 133 Edgers Dorothy 156 Edgeworth de Firmont 31, 32, 33 234

Eichhorn Emil 130 Eiffel Michel 58 Eisenhower Dwight D. 187 Eisner Karl 229 Ejtan Rafi 211 Eksten 90

Eliot Theodore 203

Esfandiary Soraya 186

Estaing Giscard d 198, 202, 203

F

Fajsal, król Arabii Saudyjskiej 194

Falkenburg 127, 128

Falkenhayn Erich von 81

Fernbach Wolfgang 132

Fersen Axel von 17, 21

Fierro Rudolfo 66, 67, 68, 71, 73

Filip Egalite (Chartres Louis-Philippe-Jo-

sephde) 31, 32, 33 Flandrin Georges 195 Fleuriot-Lescot Edouard 44, 45, 46 Fouche Joseph 40, 41,

42, 43, 46 Fouquier-Tinville Antoine Quentin 37, 38,

39, 46

Franciszek Ferdynand, arcyksiąże 87 Franciszek I, cesarz Austrii 54 Freisler Ronald 147, 230 Friedman William 156 Fromm Friedrich 139, 140, 141, 144, 145,

146, 147

Fryderyk II Wielki, król Prus 118 Fuad I, król Egiptu 186 Fuchida Misuo 156 Fuchs Klaus 230 Fujita 165

Fuller J.F.C. 224, 230 Fundora Ismael 176

Gadea Hilda 176

Gamain Francois 29

Gandhi Mohandas 137, 138

Gerard James 74

Gerstenmaier Eugen 146

Gharabghi 206, 207

Ghoddussi Ali 213

Ghotbzadeh Sadek 199, 205, 210, 215 Goebbels Paul Josef 140, 144, 147 Goerdeler Karl 140

Gołoszczekin Filip Isajewicz 105-108, 113

Góring Hermann 140

Griffin Fred 73

Groener 124

Grosz Georg 188, 229

Guajardo Jesus 76, 77

Guczkow Aleksander Iwanowicz 92, 93

Guevara Ernesto (Che) 10, 168, 169, 171182, 224, 231

Guillotin Joseph-Ignac 32, 38, 46 H

Haeften Werner von 142, 143, 145, 146 Haga Toyojiro 162, 164, 165 Hagen 144 Haig Douglas 81 Handy Thomas T. 159 Hanriot Franęois 44, 45, 46 Hansen Georg 141 Hanzo Kanaya 153 Hapon Gieorgij

Apołłonowicz 86 Hara Takashi 152 Haraki Sadao 153 Harris Townsend 152, 222 Haspinger 55 Hassel Ulrich von 140 Hatanaka Kenji 161, 162, 163, 164, 165 Hebert Jacques Renę 47, 48 Henryk IV,

król Francji i Nawarry 15, 16 Herber Franz 145 Herrero Rodolfo 77 Heyde Bodo von der 224, 230 Hilferding Rudolf 136 Himmler Heinrich 140, 144, 147 Hindenburg Paul von 120, 126, 137 Hirohito, cesarz Japonii 149, 150, 152, 153,

155, 158, 160, 161, 163, 167, 224 Hitler Adolf 136, 137, 138, 140-148, 154,

167, 224, 226, 230 Hoeppner Erich 143 Hofacker Caesar von 141 Hofer Andreas 10, 51, 52, 53, 54, 55, 56,

57, 58, 59, 222 Hoffman 133 Holloway J.L. 225, 232 Holmes Tom 73

Hoveyda Abbas 195, 207, 208, 225 Hryniewiecki Ignacy 84 Huanca Bernardino 179 Huerta Adolfo de

la 65, 66, 67, 69, 70, 77 Huerta Victoriano 228

235

Hull Cordell 187 Humboldt Alexander von 59

Husajn Saddam 193, 194, 202, 215, 216, 232

Idą Masataka 162, 164

Jakimow 112, 113

Jakowlew Wasilij 105

Jan, arcyksiąże 53, 54, 56, 228

Jermakow Piotr 107, 109, 110, 111, 113

Joffe Adolf Abramowicz 130

Johnson Brian 105

Jourdan Jean Baptiste 36

Juarez Benito 60, 63, 64, 67, 76

Jurowski Jakow Michajlowicz 107-113

Jusupow Feliks Feliksowicz 88

K

Kabanow Aleksiej 113

Kabila Laurent 231

Kaltenbrunner Ernst 144

Kamieniew Lew Borysowicz 82, 83, 95,

102, 114

Kapłan Fania 113 Katarzyna II Wielka, carowa Rosji 84, 85,

106

Kawabe Torashiro 159 Keitel Wilhelm 142, 143, 144, 230 Kellerman Francois Etienne Christophe 27 Kennedy John F. 171, 173 Khałkhali Sadek 207, 208, 215 Kido Koichi 160, 161, 162, 164 Kierenski Aleksander Fiodorowicz 89-98,

100, 101, 103, 105, 115 King Martin Luther 137, 222, 223, 225 Kissinger Henry 200, 209 Klausing 145 Kleber Jean Baptiste 36 Kloss Maximilian 71, 72 Knotts Frank 76 Koga Hidemase 162 Kołczak

Aleksander Wasiljewicz 97, 105,

107, 110, 112

Kołłontaj Aleksandra Michajlowna 82, 87 Konoye Fumimaro 164 Krasnow Piotr Nikolajewicz 103

Krupska Nadieżda Konstantinowna 82,

85

Krylenko Mikołaj Wasiljewicz 100, 104 Kuribayashi Tadamichi 157

La Rochefoucauld-Liancourt hr. de 15 Ladjevardi Assadollah 214, 215 Lafayette Marie Joseph 17,

21 Lamartine Alphonse Marie Louis Prat de 21 Lamballe Marie-Therese-Louise de Savoie--Carignan de 22, 26 La Motte-Valois de Luz Jeanne de 17 Lansing Robert 74 Lasalle Ferdinand 121 Lavoisier Antoine-Laurent de 39 Lebas Joseph 45, 46 Lefebvre Pierre 54, 55 Le Gros 33 LeMay

Curtis 157 Lenin Włodzimierz Iljicz 13, 81-83, 85, 86,

90, 94, 95, 98-108, 113. 115, 123, 129,

142, 207, 223 Lewis Robert 159 Liebknecht Karl 121, 122, 124, 125, 129,

134, 135, 136, 223, 229 Liebknecht Wilhelm 223 Liepmann 135

Lietiemin Michaił Iwanowicz 112, 113 Lindner 134 Lisie Roger de 26 Lockhart Robert Bruce 229 LOise Bourdon de 42 Lopez Pablo Lopez 63, 73 Louchet 44

Ludendorff Erich von 88, 120 Ludwik XIII, król Francji 16 Ludwik XIV, król Francji 16 Ludwik XV, król Francji 16, 32, 33 Ludwik XVI, król Francji 20, 25, 27, 33, 40,

198,	202,	217,	227	Ludwik XVII 33,	. 47 Ludwik XVIII, król Francji 48 Luksemburg Róża 117, 120
121,	122,	125,			
126,	129,	130,	131,	134-136 Luter	Marcin 118
236					

Liittwitz Walter von 130

Lwów Gieorgij Jewgieniewicz 92

Łacis Martin 229 Łobuchin 110, 111 Łuchanow Siergiej 110, 113 M

MacArthur Douglas 157

Madero Francisco Indalecio 62, 63, 64, 65,

66

Maillard 26 Maillet 39 Maisel Ernst 147 Maksymilian, cesarz Meksyku 59 Maksymilian Badeński 120, 122-125 Malesherbes Chretien de 30, 227 Mandela Nelson 137 Mao Tse-tung 171, 189 Marat Jean-Paul 20, 21, 22, 25, 26, 28,

29, 30, 31, 35, 36, 42, 44, 48, 49, 93,

221

Marbod Eric von 200 Marceau 36 Marcuse Herbert 171 Marenches Alexandre de 202 Maria, córka Mikołaja II 109 Maria Antonina, żona Ludwika XVI 16, 17,

20, 21, 25, 33, 35 Marków Andriej 229 Marks Karol 83, 85, 115, 168, 207 Markussohn 134 Marshall George 156 Masferrer Rolando 170 Matos Hubert 168 Mayo Henry T. 69 Mehring 134 Meiji, cesarz Japonii 152, 164, 224, 230 Mercader del Rio Ramon 114, 229 Metternich Klemens Lothar 56, 59 Miasnikow G.I. 105 Michał Aleksandrowicz, wielki książę 93,

105 Miedwiediew Paweł Spiridonowicz 109,

110, 113

Miedwiediew-Kudrin Michaił Aleksandrowicz 113 Mienżynski Wiaczesław Rudolfowicz 102

Mikołaj H, car Rosji 84, 86, 87, 88, 91, 92, 93,

95, 96, 104, 105, 106, 108, 109, 115, 198 Mikołaj Mikołajewicz, wielki książę 88 Mirabeau Gabriel Honore de 18, 19, 20, 23 Mittermaier Alois 128 Mix Tom 63 Mobutu Joseph Desire 174, 231 Moltke Helmuth von 118, 141 Montazeri 208

Monteskiusz (Monteskin Charles-Louis) 16 Mori Takeshi 161, 162, 163, 164, 165, 166 Mossadek Mohammed 187, 188, 189, 192

Motahhari Morteza 214 Mulele Pierre 174 Muller A. 228 Murguia Francisco 76 Mussolini Benito 142, 146, 167 N

Nagumo Chuichi 155

Naji 2 07

Napoleon III, cesarz Francuzów 59, 118 Naraghi Ehsan 195, 199, 204, 213, 225 Naranjo Christino 168 Nassiri Nematollah 207 Necker Jacques 17 Nietsche Friedrich 85

Nikulin Grigorij Piotrowicz 109, 110, 111,

112, 113

Nixon Richard 191, 209 Noailles, de hrabina 34, 227 Nogi Maresuke 164 Noske Gustav 123, 133,

134, 137 O

Obregón Alvaro 66, 70, 71, 72, 74, 77, 78

Obregón Miguel 228

Oladi Asgar 210

Olahi Kamilladin 198, 207

Olbricht Friedrich 139, 140, 141, 143, 144,

145, 146, 147, 224 Olga, córka Mikołaja II 109 Onishi Takijiro 157, 166 Oppenheimer Jacob Robert 157, 158, 230 Ordżonikidze Grigorij Konstantinowicz

100

Orozco Pascual 65 Osami Nagamo 155 Oveissi Gholam-Ali 197, 202 237

Pabst 134, 135 Pacho Antonio 175, 231 Paine Thomas 30 Pani s 42 Paoli Pascal 36 Papin Mikołaj

111, 112 Papin Oleg 112 Patton George 74 Pelletan 48 Perez Faustino 168 Perry Matthew C. 152 Pershing John J. 74 Pflugk-Harttung Heinz von 135 Pflugk-Harttung Horst von 135 Pieck Wilhelm 134, 135 Pineros Manuel 176 Piotr I Wielki, car Rosji 84, 85 Płechanow Gieorgij Walentinowicz

85, 86 Pompidou Georges 191 Pontoja Orlando 177 Prado Gary 178, 179, 180 Precht Henry 211, 232 Pridun Karl 144, 145, 224, 230 Proskuriakow Filip Polijewicz 108, 112, 113 R

Rabii 207

Radek Karol 129, 131 Raffl Franz 56 Rafsanjani 210 Rahja Iwan 99 Rajavi Massoud 213 Ramzmara 187

Rasputin Grigorij Jefimowicz 88, 89 Reagan Ronald 212 Reed John 101, 223 Reinhardt 132

Remer Otto Ernst 144, 145, 146 Rennenkampf Paweł Karlowicz 87 Reuter Julius de 185 Revel Sam 73

Reza IPahlawi, szachinszach Persji 185,

186 Reza II Mohammed Pahlawi, szachinszach

Iranu 186, 191, 209, 215 Riazanow Dawid Borysowicz 102

Richelieu Armand Jean du Plessis ks. de 16,

17

Rittgen von 135 Robespierre Augustin 45 Robespierre Maximilien 11, 13, 25, 27-30,

35-49, 103, 172, 221, 227 Rochambeau Jean-Baptiste de Yimeur de 17 Rodriguez Felix 179 Rodzianko Michaił Władimirowicz 89, 91,

92

Rohan Louis-Rene-Edouard kardynał de 17 Rommel Erwin 147 Roosevelt Franklin D. 154 Roosevelt

Kermit (Kim) 187 Roosevelt Theodore 152, 187 Rousseau Jean-Jacques 16, 27, 28, 29, 59,

85

Roux Jacąues 32, 40 Runge Otto 135, 136 Runkel F. 223, 229 Sadat Anwar 203

Sadr Abdol-Hassan Bani 199, 205, 211,

215 Saint-Just Louis Antoine 29, 30, 34, 36, 37,

38, 40, 42-46, 48, 49, 226, 227 Salis 23

Samsonow Aleksander Wasiliewicz 87 Sandburg Karl 80 Sanson Charles Henri (Monsieur de Paris)

31, 32, 33, 38, 39,46,47,226 Santerre Antoine-Joseph 32, 33 Schaefer Tom 207

Scheidemann Philipp 125, 126, 131, 229 Schlabrendorff Fabian von 140, 141 Schmidt Helmut 203 Scholl Hans 230 Scholl Sophie 225, 230 Schubert Johan David 228 Schulenburg Fritz Dietlof von der 141 Schulenburg Friedrich von 124 Schulze 132, 133, 229 Schwerin-Schwanenfeld Ulrich Wilhelm von 141, 146 Scott Hugh 74, 225 Serdan Aquiles 62 Shelton "Pappy" 175 238

Siergiej Aleksandrowicz, wielki książę 86,

107, 108, 112, 113 Shiizaki Jiro 162 Shinomura 163

Shiraishi Michinori 163, 164, 165 Sick Gary 202, 225 Simon Antoine 25, 47, 48 Simon William 194 Skorzeny Otto 144, 146, 147, 224, 231 Slatin Louis 157 Slocum 73

Sokołów Nikołaj Dmitrijewicz 110 Sorge Richard 153 Souchon, admirał 122, 123, 135 Souchon Hermann Wilhelm, porucznik 229 Soiwarine Boris 223, 229 Spinoza 178 Stage Jan 175, 176, 224, 231 Stalin Józef Wissarionowicz 82, 83, 95,

102, 104, 106, 113, 114, 115, 154, 189,

223, 229, 230 Stauffenberg Berthold Yorck von 140, 141,

142, 143, 144, 145, 146, 147, 148, 230 Stauffenberg Claus Schenk von 147, 230 Stephani 132 Stiege 135

Stimson Henry 158, 161 Stolz Adam von Trott 141 Stołów Jegor Aleksiejewicz 108 Striekotin

Andriej Andriejewicz 110, 113 Suchanowa Galina 82 Sullivan William H. 200, 202, 203 Suzuki Kantaro 155, 157, 158, 159, 160,

161, 162

Suzuki, kapitan 158, 162 Swierdłow Jakow Michajłowicz 82, 100,

104, 105, 106, 107, 108, 112, 113 Szalapin Fiodor 99 Szulgin Wasilij Witalijewicz 92, 93 Tabatabai Sadek 205

Trocki Lew Dawidowicz 13, 83, 85, 86, 87, 90, 94-106, 113-115, 121, 123, 171, 229 Truman Harry S. 161 Trupp Aleksiej Jegorowicz 109 Turenne Henri 190 Turner Timothy 228 Tweedy 69 U

Uehara Shigetaro 163, 165 Ugarteche 179 Umezu Yoshijiro 159, 230 Ushijima Misturi 158

Yance Cyrus 203, 212 Yergniaud Pierre Yictorien 11, 36, 227 Villa Francisco (Pancho) 62-80, 222, 228 VogelKurt 135, 136, 229 W

Waganow Siergiej 107 Waldheim Kurt 211 Wartenburg Peter Yorck 141, 146 Wasiljew 82, 99 Westphal

133 Wierdierewski 101 Wilhelm I, król Prus 118 Wilhelm II. cesarz Niemiec 119, 127, 128 Wilhelm V, książę orański 18 Wilson Woodrow 66, 68, 69, 70, 72, 114, 120 Witzleben Erwin von 140, 143, 144, 145 Wolter (Yoltaire Franęois Maria Arouet) 16, 40

Yamamoto Isoroku 155, 156 Yamani Żaki 192 Yazdi Ibrahim 205, 207 Yazdi Mohammed 199 Yonai Mitsumasa 159 Yoshihito, cesarz Japonii 152

Zahedi Fazollah 187

Zapala Emiliano 61, 62, 63, 64, 70, 71, 76,

77, 78

Zenteno Joaquin 178, 179, 180 Zetkin Klara 131 Zetkin Kostia 229 Zickler Arthur 134 Zimmermann Arthur 75, 228 Zinowjew Grigorij Jewsiejewicz 82, 83, 95,

102, 107, 108, 114 Zola Emile 85 Zubricki Piotr 111 Zykowa Anastazja 111 WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.

00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62

Warszawa 2002. Wydanie I

Druk: Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza

Table of Contents

43
O historycznym znaczeniu ludzi takich jak Pancho V
Trocki opisał kiedyś Stalina jako człowieka, który
151
"Wiem, że mnie kochają". Wraz ze spadkiem popularn
5 Cyt. za: Liebknecht Antimilitarismus.